

Józef Ignacy Kraszewski

MACOCHA

Powieść z XVIII wieku

TOM PIERWSZY

I

W kraju puszczy i moczarów, który się z wolna, w miarę wzrostu ludności wytrzebiał i osuszał, nie dalej jak przed stu laty były jeszcze zakąty, oddzielone od gęściej zamieszkanymi okolic przestrzeniami tak znacznymi lasów i błot, że przystęp do nich nie w każdej porze roku był możliwy, a często całkiem niepodobny. W tych zakątach położonych, jak mawiano, na końcu świata życie też, odcięte od społeczeństwa, wiodło się zupełnie odrębnym obyczajem. Musiano starczyć sobie, z podań i wrażeń tworzyć własną ośnowę, a w braku podbudzających z zewnątrz pobudek usypiać nieco i wlec się tak powoli za drugimi, iż często o cały wiek zostawało się za nimi. Był to sen życia spokojny, jednostajny, bez pragnień przebudzenia, zmiany i gorętszych wrażeń. Rodzili się częstokroć na tych wyspach stałego lądu, lasami jak morzem oblanych, ludzie, którzy nigdy poza ich obręb nie wyrzeli, a o kilka mil odległe osady znali za ledwie ze słuchu. Nie było potrzeb wyszukanych ani nawyknień do tego, czego by sama okolica nie wydawała i sam jej mieszkaniec stworzyć nie mógł.

Z pewną obawą i nieufnością spoglądano tu na obcego człowieka, na strój i krój nowy, na ruch pośpiesniejszy, na przybysza, który wkradłszy się w to zacisze, mógł tajemnice jego podchwycić, wieść z nich wynieść na szerszy świat. Miejsca podobne, wśród puszczy, zwały się nawet częstokroć ostrowami, niby wyspami oddzielnymi, które nie chciały się łączyć z otoczeniem i stanowiły całość odrębną.

W dzisiejszym życiu ogólnym świata, opartym na zespoleniu sił wszystkich, na podziale owoców myśli i pracy, trudno pojąć takie dobrowolne wyrzeczenie się wszystkiego, co współka ludzka przynieść mogła; lecz przed wieki ludzkość też żyła inaczej. Gromadki spoglądały na się zazdrośnie i wrogo, byt się opierał nie na przymierzu, lecz na walce i zdobyczy.

Wszystko się zdobywać musiało, nie nabywać; poszachowany był pstró świat i wojować musiał, bo błogosławieństwa pokoju i pracy jeszcze nie pojmował.

Takim zakątem na pograniczach Polesia były w wieku przeszłym Borowce. Na ludniejszych wybrzeżach tego ogromnego leśnego ostrowu znano je z nazwiska tylko i opowiadań, bo mało kto się tam zapuścił i zwiedził ową zapadlinę. Szedł lub jechał do Borowiec tylko, kto musiał; jedna drożyna leśna przez moczary i gąszcze prowadziła do nich i wyprowadzała.

W czasie gdy gromady na pół koczujące szukały bezpieczeństwa od napadów nieprzyjaciela, od klęsk wojny, zabiegła tu snadź kupka ludzi strwożonych i osiedliła się wśród puszczy, rada temu, że za sobą nie pozostawiła śladu. Stare horodyszczce, obwiedzione wałem, świadczyło, że w przedhistorycznych czasach znaczna już musiała być tu osada. Później może obyczaje najazdów tatarskich, zbiegowiska ze wsi sąsiednich, stojących na szlakach, pomnożyły ludność jeszcze, stworzyło się coś na kształt miasteczka, stanęła cerkiew, kościół i zamek. Wkoło ryneczku-targowicy postawiano domy z podcieniami na słupach, starym kształtem przypominające ugaleriowane miasta włoskie, choć tym tylko, że tam od słońca, a tu od sloty były ochroną przechodniom.

Borowce za pośrednictwem kilku przekupniów izraelskiego rodu, mających cały handel w swym ręku, otrzymywały z zewnątrz to, czego potrzebowały; przez nich też wyprzedawały się z tego, co im zbywało. Niewielu mieszkańców rolników, należących do wioski, chciało się narażać na dalsze podróże we własnych interesach; wszyscy woleli doma siedzieć, niż gonić za zyskiem i ocierać się o nieznanych ludzi. Kilku zaledwie, których po zewnętrznych cechach łatwo odróżnić było można, posługiwało kupczącym do wywozu tutejszych płodów; reszta za żaden zarobek nie podjęłaby się podróży poza granice lasów borowieckich. Spoglądano na tych, dotknięciem obcych pokalanych ludzi, nieomal jak na straconych i cudzych, jak na nieszczęśliwe chciwości ofiary. A prawdę rzekłszy, ci, co Żydom furmanili, byli też najwięksi pijacy i najrozpuśniejsi ludzie.

Żaden prawie żywioł obcy nie pomieszał się ze starodawnym plemieniem borowiczian.

Żeniono się między swymi; proboszcza zastępował jaki krewniak, wcześniej tu na wychowanie wzięty i przyswojony, a do tej pustyni nawykły; parochowie na synów przelewali swe obowiązki; we dworze też, jeśli co przybyło nowego, to tak młodego, że się łatwo i prędko dało wcielić w gromadkę. Służba spadała z ojca na syna; chaty i pola, suknie i charakter, sprzęty i obyczaje, nawet rysy i oblicza brały pokolenia w spadku. Mało też kto by był mógł tu wyżyć, nie nawykły do uroczystej ciszy, spokoju, do tego marudnego życia, które żywszego biegu nie znało. Utrzymywali tutejsi, że i zwierzęta domowe, konie, woły, psy, owce, wszystko, co hodowano, inaczej tu niż za ostrowem wyglądało.

Ku północo-wschodowi niezmiernie lasów tutejszych obszary przypierały do kilku podobnych ostrowów, od wieków także zaludnionych, pokrewnych zwyczajami i żywotem, od których w ostateczności zapożyczano się, jeśli potrzeba była konieczna rzemieślnika, parobka, warsztatu. Były wprawdzie podania, iż borowiczanie krwawe niegdyś o lasy i łęgi staczali boje z tymi sąsiedzi, ale te od bardzo dawna ustały. Mieli ziemi do zbytku.

Kilka mogił na granicach, obłożonych gałęzmi suchymi, służących razem za kopce graniczne, jedynymi były pomnikami tych bratnich zapasów. W tej atmosferze, nie zamaconej żadnym obcym wyziewem, rosły jak dęby i sosny, podania i baśnie, które każde nowe pokolenie przerabiało, ubierało i zwiększało ich rozmiary. Czepiały się one uroczyssk, gajów, strumieni, kamieni i jak bluszcze a powoje każdą obwijały ruinę.

Wyminąwszy miasteczko, które niczym się oprócz rozmiarów od wiosek nie różniło, ulica wyszczerbiona ze starych bardzo drzew prowadziła ku horodyszczu i tak zwanemu zanikowi, położonemu nad samym brzegiem rzeki, zielonymi otoczonej łąkami. Horodyszcz obrosłe drzewy, na którym żadnych budowli od wieków nie było, wychodziło na błota ku rzece; bliżej łądu stał późniejszy zamek, przytykający doń, z kamienia niegdyś zbudowany, zniszczony potem czy spalony, szarą ruiną, dość jeszcze rozległą, opuszczoną, wyglądający na zielonym tle drzew smutnie. Snadź przed jego upadkiem, podania bowiem wielce były różne, wzniesiona została wspianiała piętrowa brama wjazdowa, obronna, panująca nad mostem zwodzonym. Służyła ona niegdyś na pomieszczenie zbrojnej załogi i wojennych przyborów, a potem, gdy zamek sam niszczał, dziedzice przenieśli się do niej, poprawili ją nieco i dziś ona dwór zastępowała.

Była to budowa nieforemna, dolepiana, przerabiana, popsuta zewnątrz, ale do potrzeb życia zastosowana jako tako. Okute wrota ciężkie, które ją niegdyś zamykały, żelazne brony spuszczone z dawna bezużyteczne, do ścian i murów przyrosłe, nie ruszały się już, rdzewiały i gniły powoli. Na piętrze wsparte na belkach i kamiennych wyskokach balasy, z których na nieprzyjaciela miotano kamienie i lano wrzątek, poopadały zupełnie, tak że z nich tylko kościotrupa sterczała szczątek.

Grube mury, od podwórza jeszcze szkarpami popodpierane, rzadko gdzie dotąd zarysowały się szparami, nie wpuściły ani traw, ani krzewów, co by je rozsadzić mogły, trzymały się krzepko mimo sędziwego wieku. Okna miejscami błoniaste, w ołów oprawnymi, małymi szybki świecące, inne już z szerszych tafli złożone, świadczyły, że wszystkie mieszkania w bramie pozajmowane były. O kilkanaście kroków stojąca okrągła baszta, snadź dawniej murem okólnym z zamkiem połączona i do niego należąca, teraz nawą przybudówką się z bramą zrosła i jedną z nią stanowiła całość.

W obszernym podwórku, ku ruinom zamczyska wiodącym, niedawno snadź zasadzony krzewił się ogródek kwiatowy. Nie był on ani wykwintny, ani sztucznie przybrany, ale jego pstre grzędki i uliczki piaskiem sypane ożywiały nieco te pustki. Niektóre klombiki wybiegały aż na wał okryty rumowiskami dawnej kurtyny zburzonej, a ze starych fos oschłych dobywające się zarośla łączyły się z nimi, podnosząc się z drugiej strony.

Od wieków utrzymywały się tu podania o niezmiernie rozległych pod zamkiem i horodyszczem lochach i pieczarach podziemnych, których część dotąd była pod kluczem, a reszta służyła za schronienie kunom i nietoperzom. Otwory ich, gdzieniegdzie widne przez gałęzie ożyn, ciekawym chłopcom wiejskim służyły do rzucania kamyków i różnych doświadczeń a zabawek. Kilka takich przełomów znajdowało się na zamku i w pobliżu niego, a ziemia dokoła próżnią tętniała.

Pomimo ponurego i smutnego oblicza krajobraz otaczający nie pozbawiony był wdzięku. Wprawdzie, jak sięgnęło oko, niezmiernie ściany czarnych lasów jakby żelaznym obejmowały go pasem, lecz wpośród nich szeroko też zielone rozpościerały się łągi a wolno płynąca, szeroka rzeka srebrzysta.

W dali gdzieniegdzie samotna sosna lub dąb prastary sterczał wystąpiwszy daleko przed gąszcze i majestatycznie gałęzmi olbrzymimi malował się na czarnych lasu głębiach. Po łągach stały stogi jak strażnicy, dalej szarych łóz i wierzb pozaokrągłane kłęby jakby wał leżały nad rzeką. Gdzieniegdzie pobożna ręka wzniosła wysoki krzyż, świadczący o modlitwie i boleści, tajemniczy kurhan, zielonym kobiercem obrzucony, samotny, jak zagadka przeszłych wieków, nie rozwiązana, świecił żółtym, oberwanym bokiem.

Oko, błędząc po lasu wybrzeżach, mogło w nich dojrzeć jakby zasieki poobalanych drzew, ze sterczącymi konary białymi i zeschniętymi, dalej łąk, które się wcisnęły we wnętrza puszczy, i strumieni osłoniętych bujnymi rośliny, zwieszającymi się u ich brzegów. Lecz oprócz ogromnej osady Borowiec i kilku przysiółków z nią połączonych, a niewielu chat w pobliżu rozsianych, w całej okolicy żadnego ludzkiego nie widać było mieszkania. Poza wydartymi polami, na wzgórzach, ciągnęły się lasy, bory, puszcza całkiem bezludna. Jedna szersza droga do niej wiodła, gdzieniegdzie ścieżyny ledwie znaczne i wydeptane przez, leśników dróżki.

Cały ten obszar, który małe mógłby był stanowić państewko, gdyby ludność odpowiadała ziemi, należał od lat tak wielu do jednej rodziny, iż pamięć ludzka nie sięgała czasów zdobycia czy nabycia przez nią Borowiec. Najstarsze też dokumenta wspominały o Dobkach z Borowiec. Losy tej rodziny, przykutej do pustkowie, były dość osobliwe, historia ciekawa i zagadkowa; nie wszystkie wypadki jej Wiadome nawet miejscowym, a poza granicami dziwy z nich sobie pleciono. Dobkowie trzymali się Borowiec przez kilka wieków ani z bogacząc się, ani zubożawszy, nie mogąc się rozrodzić, ale też nie wygasnąwszy, gdy tyle innych rodów wymarło. Najczęściej syn tu jeden po ojcu zostawał i dziedziczył, rzadko ich dwu bywało, nigdy nie dorosli razem. Córek niewiele wyszło z domu, majątność się też nie podzieliła i o jednym tylko Dobku herbu Cholewa wiadomo, że się był wyniósł stąd, a osiadł

na Litwie. Trafiło się to właśnie pod ten czas, gdy Dobkowie, nie wiadomo skąd i jak, zachwycili religijnych nowinek, z kościoła zrobili zbór, księdza wygnawszy, dawali różnym warchołom przytułek, na ostatek zabłąkali się aż do arian i z nimi w końcu trzymali.

Siedzieli tu jakiś czas, kryjąc się, Przytkowscy i kilku innych braci polskiej. Gdy przyszło potem srogie arian prześladowanie i zmuszono ich albo kraj opuścić, lub wiary się swej wyrzekać, ów Dobek, co stąd wędrował, wszedł po to, aby do kościoła wrócić, i katolikiem zostawszy, ożenił się z bogatą dziedziczką, z którą nową gałąź Dobków Cholewitów fundował; ta jednak wszelkie stosunki z pierwszym swym gniazdem zerwała.

Dobkowie borowieccy, dopóki tylko było można, trzymali jawnie z ariany, potem z dysydentami, pozornie się arianizmu wyrzekłszy, na ostatek nawrócili się i oni do katolicyzmu, chociaż różnie o tym mówiono i byli, co utrzymywali, że stary w nich zakwas utajony pozostał.

Zbór, który był z kościoła zrobiony, na powrót zwrócono księdzu. W czasie gdy Dobkowie heretykami byli, pochowano ich tu kilku i w zborze wystawiono im przepyszne grobowce. Gdy wrócili katolicy, ponieważ sobory i bulle nie pozwalały, by z kościoła wyłączonych ciała w poświęconym miejscu spoczywały, musiano przenosić i monumenta, i ciała do sąsiedniego zamkowego lochu, na co osobne sklepienie przeznaczono podziemie. Opierali się zrazu Dobkowie naruszeniu pokoju zmarłych, lecz gdy duchowieństwo surowo domagać się zaczęło usunięcia tych grobów, zabrano z kościoła do zamku nie tylko arian, ale wszelkie, jakie były, trumny, i odtąd grzebali się wszyscy w tym lochu zamkowym, na dwie izby podzielonym, w którym monumenta, tablice, rzeźby i wszelkie pamiątki po nich zgromadzono.

Te odosobnione groby Dobków na samym zamku zajmowały część ogromnych lochów, o których głośno podania, że się aż za rzeką ciągnęły. Wniście do nich było osobne, zamczyste, a piecza około zachowania szczególna. Kilka okien kraciastych od dziedzińca dozwalało dojrzeć w głębi stojące trumny, począwszy od dębowych, w kłodach grubych żłobionych, aż do cynowych i kamiennych. W jednym lochu leżeli arianie, obok poświęcony mieścił rodzinę katolicką.

Z kolei po sobie następujący tu proboszczowie wszyscy brali, zdaje się, w spadku po sobie pewną ku kolatorom nieufność i podejrzenie ich ortodoksji, chociaż Dobkowie nie dawali do tego żadnego powodu, spełniali zewnętrzne obowiązki gorliwie i przykładowo, ale się pono w starych Bibliach swoich zanadto rozczytywali.

Więc choć ich o herezję jawną pomówić nie było można, podejrzewano o pewną do niej skłonność. Gorliwości zbytnej nie było z ich strony, braku pohamowania zarówno... a któż mógł zajrzeć w sumienie?

Z tego powodu może niełatwo im było o żony, tak że gdy pora ślubowania przychodziła, wybierali się zwykle gdzieś daleko, kędy ich z tej strony nie znano, i stamtąd sobie przywozili towarzyszki albo też trafiało się, że wcześniej ubogie krewne żon swych sprowadzali dla synów, wychowując na przyszłe małżonki.

Od wieków tak bardzo odosobnieni, samotni, nie żyjąc z nikim, rodziną się tylko własną i sami sobą otaczając, starczyli sobie, ani z sąsiadami, ani z tymi, do których wypadki ich zbliżały, nie zawiązując ściślejszych stosunków. Mało co też wiedziano o nich, o życiu na zamku, o ich sprawach i myślach; a służba, która dwór otaczała, tak była dobrana i wyuczona, że się ze wsią i miasteczkiem nie łączyła i stanowiła też jakby odrębną gromadę. Sług nowych przyjmować nie potrzebowano, gdyż młodzież i dzieci zawczasu wprawiano i sposobiono na wszelkie funkcje zamkowe. Przed stu laty blisko, gdy się opowiadanie nasze zaczyna, panem na Borowcach był Salomon Dobek Cholewa Borowiecki, człowiek już niemłody, wdowiec, z wielu względów do przodków swoich niepodobny, chociaż dużo też z ich charakteru zachował. Odziedziczył on był majątność po ojcu już od lat kilkudziesięciu, w dosyć dziwny sposób: bo choć wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ojciec jego, Adam Dobek, nie żył od dawna, wszakże śladu, co się z nim stało i jaką śmiercią, i gdzie zginął, nie było. Jakaś mętna historia, nie rozjaśniona, wiązała się z tym zniknięciem ojca Salomonowego.

Adam, urodzony w ostatnich latach siedemnastego wieku, ledwie doszedłszy pełnoletności, stracił najprzód ojca, a wprędce potem i matkę. Lat potem niemal dziesięć żył całkiem samotnie, dzicząc na zamku, nie zdając się myśleć o ożenieniu. Potem obyczajem ojców wyruszył kędyś szukać dozgonnej życia towarzyszki. Rok go prawie w domu nie było, powrócił z żoną do Borowiec. Kobieta, którą z sobą przywiózł, nadzwyczajnej być miała piękności, lecz od pierwszej chwili smutna, płacząca, widocznie zboląła i nieszczęśliwa, zdawała się przeciw woli wydaną za niełubą męczennicą.

Wkrótce po powrocie urodził się syn i matka zaraz, wydawszy go na świat, umarła.

W ostatniej chorobie nie dopuszczano do niej nikogo z ludzi; z izb, w których leżała, dochodziły jakieś krzyki rozdzierające, przeraźliwe, straszne, a gdy skołała, sam ją mąż do grobu ubierał.

Po śmierci jej stary Adam stał się bardziej jeszcze ponurym i odludkiem zamkniętym; mówiono, że znaczną część dnia i nocy przy grobach ojców przepędzał. Zajmował się też wychowaniem syna, co mu było ciężko, bo dziecko było złośliwe i uparte. Ojciec i syn gryźli

się, kłócili, chłopiec z domu nawet uciekał i kilka razy gonić za nim, łapać go i więzić musiano.

Gdy nareszcie dorósł lat pewnych, nieco się uśmierzywszy z pomocą nauczyciela, którego doń sprowadzono z daleka (a ten go uchodzić przecież potrafił), zaszedł ów dziwny z ojcem wypadek, nie rozjaśniony dotąd a różnie tłumaczony.

Nie wiadomo z jakiego powodu, zbiegł z zamku stary sługa, za którym próżno, znaczną nagrodę wyznaczony, gnano — sługa od dzieciństwa tu wychowany i zaufanie pana posiadający. Wkrótce potem, nie wiadomo, czy za jego powodem, czy z innych przyczyn, zjechali sądowi ludzie do Borowiec na zamek i samego pana Adama Dobka osobę ująć chciano. Lecz nim się to stało, przeczuwając snadź coś złego, stary wziął klucze od grobów i zniknął w lochach, tak że potem na próżno je przetrząsano, śledzono i nigdzie nie odkryto, jak I dokąd ujść potrafił. Utrzymywano później, że zagrożony banicją i infamią (nie wiadomo za jaki występki), sam sobie dobrowolnie życie odebrał wstydu uchodząc, a rodzina całą sprawę zdusić i utaić potrafiła. To pewna, że go od dawna za umarłego miano i w grobach tablicę pamiątkową umieszczono.

Syn bez przeszkody objął majątności i przeciw obyczajowi ojców, nie szukając daleko, pojął za żonę córkę jednego ze swych oficjalistów, dziewczynę prostą, której piękność była całym posagiem. Przywiązał się do niej wielce, a gdy wydał ją na świat i ona wprędce życie skończyła, w rozpacz o mało sam, zachorawszy, nie poszedł za nią. Pozostałe dziecię przywołało go do życia.

Dziewczynie imię Laura było.

Dochodziła ona lat szesnastu, a piękność jej, przypominająca matkę, rozkwitała najcudniej na pociechę ojcowską. Była to ostatnia imienia Dobków dziedziczka i, co się od wieków po raz; pierwszy trafiało, majątki przejść miały po kądzieli w obcą rodzinę, a imię stare wygasnąć. Płakał nad tym po kryjomu Salomon. Miał on naówczas lat niespełna pięćdziesiąt, lecz życie surowe, a jednostajne młodo go zachowało.

Od śmierci żony szukał pociechy i zajęcia w różnych przedmiotach: najprzód w troskliwej nad dzieckiem opiece, która była dlań pierwszym życia zadaniem, potem w czytaniu ksiąg, które mu nie smakowały, na ostatek zbudziła się w nim żądza z bogaceniami i ta go drugim węzłem przywiązała do życia. Od czasu jak począł frymarczyć, z Żydami na wspólnie handlować, wyprzedawać lasy, zakupować zboża i puszczać różne towary do Gdańska, ożył jakoś Salomon, orzeźwił, w końcu zaś stał się chciwym skąpcem, co dzień prawie łakomym mienia, w miarę jak ono wzrastało. Nie przyszła ta namiętność od razu, ale się w

nim, można rzec, rozrastała powoli, chwyciła go, coraz uciskając mocniej, opanowywała, aż niemal do niepoznania zmieniła.

Kochał zawsze tę córkę jedyną miłością bałwochwalską, będąc raczej pierwszym jej sługą niż rodzicem; przecież starania o grosze, o zyski, o złoto, na którego widok drżał, czasem mu nawet Laurę z pamięci i serca rugowały.

Handle jego, którymi nie oddalając się prawie z Borowiec kierował, odbywały się przez kilku izraelskich faktorów, sług płatnych, wprawnych a pewnych, bo ich rodziny w rękę miał Dobek i ludzi dobierał trafnie. Zaczął najprzód od wyrobku niezmiernych lasów własnych, w których się skarby wielkie znalazły: dęby nie widzianych rozmiarów, klepka, masztowe sosny i bale. Spławna rzeka wywóz ich ułatwiała, pędzono oprócz tego smołę, palono potażę. Puszcze były tak rozległe a nie tykane, że gospodarstwa tego na lata stało. Corocznie tysiącami dukatów brano za leśne produkta, a w lasach trzebieży tej znać nie było.

Na sosnowe belki zaczął potem Dobek składać zboże kupowane w żyźniejszych okolicach i prowadzić je do Gdańska. Z każdym rokiem handel tym większe przybierał rozmiary. Życie się nie zmieniało wcale, grosz przywieziony w jasnym obrączkowym złocie tonął gdzieś w żelaznych skrzyniach, w podziemiu zamkniętych, od których klucz nosił Dobek, jak mówiono, na szyi, nikomu go nigdy nie powierzając.

Jedynym szafunkiem były gościńce, które z Gdańska dla Laury przywożono co rok: bogate sprzęty, klejnociki, sreberka. Te Aron Lewi, prawa ręka Dobka, Żyd bardzo już majątny, sam wybierał i kupował, a miał i smaku wiele, i wytargować się umiał.

Salomon Dobek, choć dawniejsi jego przodkowie mieli wszyscy być postawy olbrzymiej, nie dorósł ich wcale, a nawet ojca, o którym prawiono, że był rozrosły i silny. Mały, suchy, zgarbiony nieco, łysy, rumiano i świeżo jeszcze wyglądał, oczy mu się świeciły, biegał po młodemu i ani oczu, ani uszu, ani żywości młodej nie stracił. Chodził zawsze odziany szaro, podpasany skórzanym paskiem, w butach do kolan.

Dopuszczenie faktorów do zamku i owe frymarki z nimi, choć się odbywały w izbie na dole na to przeznaczonej, i nigdy im dalej na zamek wchodzić i po nim się wałęsać nie było wolno, zmieniły po trosze życie borowieckie. Z chciwością złota wcisnęły się troski, zajęcia tysiączne i potrzeby stosunków ze światem. Laury też dorastającej nie mógł ojciec wychować o własnej sile, musiał do niej jakąś daleką krewną babki z odległych stron sprowadzić. Przybyła panna Fryderyka von Henau powiększyła szczupłe gronko mieszkańców zamku. Składało się ono: z pana Salomona, panny Laury i cioci Henau, jak ją pospolicie zwano. Już za Adama dwór się był znacznie zmniejszył, dziś stał się szczuplejszym jeszcze; wielu starych

puszczono na chleb łaskawy. Salomon, który dla córki nic nie szczędził, dla siebie, domu i ludzi z każdym dniem stawał się dokuczliwszym sknerą.

Niedaleko zamku, bo tak teraz bramę z basztą nazywano, stał dawny kościół, przerobiony ze zboru i przywrócony ostatecznie nabożeństwu katolickiemu; przy nim mieściła się stara, murowana plebania, od lat kilkunastu zamieszkiwana przez proboszcza Żagła, którego stryj poprzednio był także czas długi miejscowym duszpasterzem. Pomiedzy plebanią a zamkiem nie było otwartej wojny, stosunki na oko przyjazne łączyły kanonika z dziedzicem, lecz z obu stron panowała nieufność i tajona niechęć. Ksiądz Żagiel wiedział najlepiej od stryja i z miejscowych podań, co tylko o Dobkach rozpowiadano, tu się zbiegały wszelkie ciche, nieprzyjazne im plotki; we dworze także szukano zawsze jakichś do proboszcza przyczepiek, czegoś, co by mu zarzucić było można.

Widywano się tylko z konieczności, a zgoda była powierzchowna, pokrywająca ciągle wzrastającą tajoną nienawiść.

Ksiądz Żagiel nastawał szczególnie na to, że u Dobków pełno było tajemnic i rzeczy ukrytych w życiu i postępowaniu, dodając, że kto czystym jest, ten się nie ma z czym ukrywać. We dworze księdza Żagła za niebezpiecznego miano fanatyka i rozsiewacza potwarzy nieuzasadnionych. Nie przychodziło jednak do wybuchu i powierzchowne porozumienie dotąd nadwreżone nie zostało.

Ksiądz Żagiel był człowiekiem dobrym w gruncie, lecz samotnością, życiem na tej ustroni bez ludzi podrażnionym i kwaśnym a niekiedy niecierpliwym. A że nadzwyczaj surowo pilnował, aby się w obowiązkach religijnych nie opuszczali i najlżejszemu w tym uchybieniu nie przebaczał, nie zawsze bywał ze dworu zadowolony. W otoczeniu Dobków i w nich samych gorliwości żadnej nie było; zaniedbywali się nawet często, a gniew proboszcza lekceważyli. Miał on też i to za złe, że Salomon więcej z Izraelitami dla handlu przestawał niż z kimkolwiek bądź i zdawał się w ich towarzystwie smakować. Laury wychowanie, zbyt wielką dające jej swobodę, charakter dziewczęcia śmiały, energiczny, fantastyczne jej postępowanie, męskie niemal upodobania proboszczowi się też nie podobały. Od majątnego Dobka nigdy ani na naprawę kościołka, ani na restaurację plebanii, ani na ogrodzenie cmentarza ksiądz nic doprosić się nie mógł. Spotykali się też chyba w niedzielę na sumie, w uroczyste święta i dni, gdy proboszcz czuł się w obowiązku odwiedzić kolatora, a rzadko bardzo nawet na obiad był proszony.

Samym położeniem swym Borowce wszelkiego bliższego sąsiedztwa pozbawione były, stosunki więc ze szlachtą prawie nie istniały. Dobek wyjeżdżał rzadko, tylko gdy był zmuszony; do niego nikt nie przybywał, chyba za interesem. Nie można jednak powiedzieć,

ażebym się tu nudzono; Salomon od rana do nocy siedział w rachunkach lub słuchał szczebiotania córki; Laura i panna Henau biegały, chodziły, czytały i zajmowały się robotkami kobiecymi. Dwie te kobiety zdawały się stworzone na przeciwieństwo sobie i dlatego się może doskonale godziły. Nic sztywniejszego, chłodniejszego na pozór, wystawić sobie nie można nad ciocię Fryderykę, od rana w czarną suknię z białym kołnierzem opiętą, wyprostowaną, nie uśmiechającą się nigdy prawie i do starego jakiegoś flamandzkiego portretu podobną. Chód jej, postawa, mierzona mowa, wzrok nigdy się nie ożywiający, usta, z których płynęły jakby siłą wyciśnięte, z wolna, jeden po drugim, obliczone wyrazy — były w najzupełniejszej sprzeczności z ognistą naturą, niepohamowaną szczebiotliwością i rozpieszczoną samowolą Laury, która co chwila czegoś nowego do podsylenia w sobie życia płonącego potrzebowała, a czegokolwiek zapragnęła, to osiąść musiała koniecznie. Ojciec czasem próbował ją hamować, co mu się nigdy prawie nie udawało, ustępował pieszczotom dziecka, na którego czole obawiał się najłżejszej nawet chmurki. Właściwie piękna Laura, którą wszyscy spieszczoną Lorką nazywali, panowała samowładnie na zamku i wola jej rządziła wszystkimi. Kochano ją powszechnie, gdyż dziecię, szczęśliwe, dokoła siebie szczęście widzieć chciało wszędzie, przymilało się każdemu i niechęci długo nie mogło w sercu zatrzymać.

Gwałtowność uczuć wszakże kazała się domyślać, że gdyby Lorka raz kogo znieawidzieć mogła, nienawiść jej, jak miłość, nie znałaby granic. Życie, osamotnione dotąd, nawykłym do niego nie ciążyło; frasował się tylko zawczasu pan Dobek tym, że ono zmienić się musi, bo i tak dziewczęcia w tym kątku zamurowanego trzymać nie było podobna zawsze. Rok jeszcze lub dwa, a przewidzieć było łatwo, iż z nim wyjechać przyjdzie, by je na świat wywieźć i dać je poznać światu.

W takim położeniu byli mieszkańcy Borowiec, gdy niespodziany wypadek zamącił ten spokój, do którego od dawna nawykli.

O mil dwie (wprawdzie fantastycznie wielkich) poza wschodnią granicą lasów borowieckich leżały dobra rozległe, do Sapiehów należące, w których się od dawna dzierżawcy różni mieniali. Klucz smołochowski, wypuszczany różnym spekulatorom, przed laty sześciu dostał się niejakiemu panu Nosce, szlachcicowi mającemu własny majątek o mil dziesięć, zamożnemu a chciwie dorabiającemu się grosza. Nosko wziął Smołochów z wolnością pędzenia smoły, dziegiu i palenia potażu, używał też jej i korzystał śpiesznie, gdy w ciągu tych zabiegów o fortunę, niedawno ożeniony, w sile wieku i zdrowia, zaziębiwszy się na polowaniu, dostał gorączki i zmarł prawie nagle.

Pozostała po nim wdowa, kobieta młoda, piękna, energiczna, sama jedna, bez rodziny, bo ta gdzieś się po świecie była rozpiezchła; zrozpaczywszy niemal o sobie, postanowiła szukać ratunku, gdzie go się jak najmniej spodziewać mogła.

Jednego dnia, gdy pan Salomon Dobek najmocniej był zajęty rachunkami ze swym Aronem, dał mu znać stary sługa, iż młoda jakaś pani piechotą przyszła z miasteczka i prosiła, by się z nim widzieć i pomówić mogła.

Było w tym coś tak nadzwyczajnego, niesłychanego, nie praktykowanego w Borowcach, iż w pierwszej chwili Dobek się przeląkł i odpowiedzieć na pytanie nie mógł. Spojrzał na Arona, jakby żądając rady, co tu począć.

Kto mogła być ta kobieta młoda, obca, która się z panem borowieckim widzieć i mówić chciała? Po co i dlaczego? Stary Aron pogładził brodę, rady bowiem dawać nie śmiał, a czuł zresztą, iż rozmowy nikomu odmówić nie można.

— Ale któż ona jest? — zapytał Dobek. — Skąd? Jakim się tu sposobem dostała?

— Tego nie wiem — rzekł sługa.

— Jak wygląda? — dodał pan Salomon.

— Bardzo pańsko... kobieta młoda, nie więcej lat dwudziestu kilku, piękna, śmiała... nietutejsza... musi być kędyś... z kraju... (Krajem tu nazywano, co poza polesiami leżało).

Dobek spojrział powtórnie na Arona. Aron, znowu długą w dłoń zebrawszy brodę, brwi podniósł, głową pokręcił, westchnął i nic nie rzekł.

— No, cóż tu zrobić?

— A jasny panie, jużci pogadać z każdym trzeba — mruknął Aron.

Pan Salomon spojrział na swój strój zaniedbany, na izdebkę tę, w której tylko Żydów, oficjalistów i sługi zwykł był przyjmować, namyślił się i po chwili rzekł słudze, aby jejmość przybyłą prosił do parlatorium. Tak się tu zwała izba większa na piętrze w bramie, sklepiona, do której rzadko kiedy zagładano, ustrojona w dawne sprzęty, w obrazy, szafy i co dwór miał najlepszego. Lorka nie lubiła jej, bo była ciemna i ponura; Salomon chodził tylko czasem obejrzeć, czy tam jakiej szkody nie ma; jedna panna Henau lubiła ten ciasny kątek wspomnień pełny i siadywała tu czasami, przepatrując stare księgi, które w dwóch czarnych, gdańskich, wspaniałych szafach chroniono.

Z okien parlatorium w jedną stronę pogładając, widać było ulicę wysadzaną i miasteczko, w drugą — dziedziniec zamkowy z ogródkiem Laury i szarymi ruinami starymi. Z dwojga drzwi, w węższych ścianach jego umieszczonych, jedno wiodły na schody od wnętrza bramy, drugie w głąb domu, ku mieszkaniom Laury i panny Henau; korytarzykiem i przybudowaną galerijką szło się na schody łączące piętro z izbami na dole, które pan Dobek zajmował.

Sklepienia niskie nadawały salce smutną fizjonomię. Okna, w grubym murze głęboko osadzone, w ołów oprawnymi szyby skąpo ją oświecały. Przyciemniał ją też sprzęt czarny, szafy szerokie, przysadziste, na których wierzchach stojące delfty sine sięgały prawie łuków sklepienia. Pomiędzy nimi, w ramach czarnych, przyciemniałe portrety, z których gdzieś twarz chmurna patrzyła, nie mogły jej ożywić ani rozweselić. Dębowe stoły, ławy i stare krzesła okryte aksamitem wypłowiałym, kilka półek, na których srebrne i gliniane stały naczynia, puchary i misy, mosiężny złożony pająk od środka sklepień wiszący — dopełniały ubrania parlatorium.

W każdym z okien, o dwa łokcie przynajmniej w mur wsuniętych, stały na podniesieniach ławeczki do siedzenia, zielonym suknem poobijane. Nade drzwiami głównymi stare płótno wyobrażało Chrystusa na krzyżu, z całą średniowiecznej sztuki wyrazistością odmalowanego.

Do tej izby ponurej, jakby na obcowanie z umarłymi przeznaczonej, sługa, otworzywszy drzwi, wpuścił młodą panią, która się rozmowy z panem Dobkiem dopraszała. Snadź ona się go tu znaleźć spodziewała, bo wszedłszy, obejrzała się ciekawie, zdumiała widząc się samą i korzystając z wolnej chwili, zaczęła się chciwie po salce pustej rozglądać.

Nieznajoma pani, która tu weszła, wdowa po panu Nosce, na czarnym tle parlatorium wyglądała świeżo, krasno jak kwiat na ciemnej aksamitu szacie. Pani Sabina, gdyż takie imię nosiła, była pięknego wzrostu i ślicznej kształtnej postawy, ciemnych oczu i włosów, kobietą w kwiecie wieku i wdzięku. Oko znawcy nie znalazłoby w niej może żadnej z tych cech, którymi Bóg znaczy wybrane swoje, ale też nie wyszukałoby skazy.

Piękność była regularna, choć pospolita, nic w niej uderzającego nadzwyczajnością, nic rążącego brakiem harmonii. Jak z jednej sztuki brązu ulana, zręczna, silna, z energią na czole, z oczyma pełnymi rozumu i ognia razem, przypominała piękną kariatydę grecką, która dźwignąć może gmach, ale nie ma skrzydeł, by się nad ziemię podniosła. Niepospolita była to piękność — a przecież nic nie mówiąca; twarz spokojna zdawała się zagadką marmurową, wszystko z niej mógł uczynić artysta, ale czym ona była sama z siebie — nie mówiła. Czarny ubiór wdowi Sabiny podnosił wdzięki jej postawy, cery i twarzy. Długa suknia, czarny kwef okrywający włosy, szeroka chustka z koronkami, którą zarzuciła na ramiona, drapowały ją pięknie bardzo.

Wszedłszy do parlatorium, powstała chwilę zdumiona, rozglądając się po ścianach, sprzętach, wizerunkach, nie śmiała się ruszyć, badając drzwi jedne i drugie, zaparte jakby na wieki. Na zamku cisza panowała uroczysta, przez okna, których szyby lata długie spaliły, mało co na zewnątrz widać było.

Jeszcze się tak rozpatrywała Sabina wśród izby, w której oddychać jej było ciężko, gdy usłyszała hałas i śmiech za drzwiami przeciwnymi tym, którymi weszła, potem lekki bieg w przyległym mieszkaniu; klamka żelazna zadrgała, otwarło się pół podwoi i blondynka złotowłosa, biała, różowa, z wielkimi oczyma niebieskimi jak dwa wschodnie turkusy, wpadła uciekając do salki... Spostrzegła ją, krzyknęła przeraźliwie, zachwiała się, oparła o ścianę i przelęknięta chciała uciekać jak od widma, ale nogi pod nią zdrząły, wyciągnęła ręce, odpychając od siebie zjawisko, i na kolana upadła.

II

Pani Sabina Noskowa, której postać była powodem takiego przerażenia biednej Laury, nie wiedziała, co począć z sobą, nie rozumiała zrazu, co się stało. Zmieszana, nie mogła rzecz słowa i mimowolnie brew jej zmarszczyła się uczuciem tłumionego gniewu. Nie mogła pojąć, dlaczegożby jej przytomność taką trwogę wywołać miała. Wzruszyła ramionami, postąpiła krok, lecz w tejże chwili, widząc ją poruszającą się z miejsca, dziewczę, zdumione i zawstydzone razem, porwało się z ziemi, uśmiechać się zaczęło i, spoglądając ciekawie, niezręcznie dosyć się skłoniło.

Laura, wpadając do parlatorium, które zwykle bywało puste, gdzie od wieków gość nie powstał, nie wiedziała wcale o przybyciu sąsiadki, wzięła ją więc w pierwszej chwili za widmo jednej z prababek swych, o których tu tyle podań chodziło. Bawiła się ona z dziewczynką, córeczką jednego ze sług dworskich, i w ucieczce od niej niespodzianie dopadła drzwi salki. Teraz, gdy w mniemanym widmie poznała żywą kobietę, zdumienie Laury prawie nie mniejsze było, niż gdy ją widmem sądziła.

— Co ta nieznajoma pani robić tu może? — mówiła sobie, spoglądając na nią z obawą.

Jakby dla ośmielenia Laury, w tejże chwili pani Noskowa odezwała się dźwięcznym, jasnym, do rozkazywania stworzonym, choć złagodzone na ten raz, głosem:

— Czy będę mogła widzieć pana Dobka?

— Mojego ojca? — spytała z obawą zawsze, zbliżając się Lorka i wpatrując się z niezmierną uwagą w nie znaną istotę — mojego ojca? Ja..., ja nie wiem! Lecz jakże tu pani wejść mogła?

— Prosiłam o widzenie się z nim. Kazano mi tu zaczekać.

Lorka popatrzała uważnie i instynktem gościnności wskazała uprzejmie przy stole stojące krzesło. Wdowa też, dowiedziawszy się, iż była córką dziedzica, zdawała się chcieć

uśmiechem słodkim nagrodzić niedawne brwi zmarszczenie. Twarz jej jednak z trudnością łagodny wyraz przybrać mogła, zbyt ciężki smutek zapewne serce goryczą zaszło uciskał.

Stały tak naprzeciw siebie obie zdumione, rozpatrując się w sobie, badając, a w tej chwili stanowczej, w której zwykle serce uderza ku nieznanemu, albo od niego odpycha, Laura uczuła jakby obawę, Sabina niewytłumaczony gniew ku zuchwale wyglądającej dziewczeczce.

Laura przypatrywała się jej w istocie z niezwykłą może na innym świecie śmiałością, która by ledwie dziecku przystała, lecz była dziecinna jeszcze i udawać nie umiała; każda myśl, każde uczucie wytryskało przez oczy i śmiało się na ustach, nic też ukrywać dotąd nie miała potrzeby.

Powtórnie wskazała Laura krzesło wdowie, która obejrzawszy się ku niemu, usiadła.

Piękna dziewczeczka nie odeszła i jak dziecko, które wyglądało przez drzwi, tak ona uważnie, spokojnie, nielitościwie przypatrywała się pani Noskovej.

— Wiesz, pani — odezwała się, śmiejąc wesoło, Laura — u nas tu nikt a nikt nie bywa, nie można się dziwić, że się tak przelęknęła, dotąd mi jeszcze serce bije! Jak żyję, nie widziałam tu nikogo obcego. Można mi i strach, i ciekawość przebaczyć! A pani... pewnie z daleka?

— Mniej daleko mieszkam, niż się pani zdawać może — odparła harmonijnym zawsze, lecz niesympatycznym głosem Sabina — państwo i najbliższych nie znacie, i nie widujecie sąsiadów. Ja jestem wdową po panu Nosce ze Smołochowa... możeś pani słyszała?

— A tak... mówiono, że zmarł niedawno — z politowaniem odezwała się Laura. — Do Smołochowa dwie mile, a to tak dla nas już daleko! I droga podobno okropna, ja tam nie byłam, jak żyję.

Gdy Lorka mówiła, oczy wdowy od stóp do głów przebiegały z uczuciem jakiejś zazdrości tę śliczną figurkę, której zdało się skrzydeł tylko braknąć, by mogła ulecieć w powietrze.

— Jakże państwo tu tak w tej pustyni bez ludzi żyć sami możecie? — spytała wdowa.

— A proszę pani! Mnie tu doskonale! — zawołała Lorka. — Z tego, co o świecie ciocia Fryderyka opowiada, ja wcale nie mam ochoty się spieszyć wyjść z mojego zakątka. Mnie tu tak dobrze! Ja tu jestem sobie panią, swobodną, mam wszystko, o czym zamierzę, a nie lękam się tych zdrad, podstępów, fałszu i niegodziwości a przewrotności, o których ciocia powiada!

Wdowa lekko, nieznacznie poruszyła ramionami i roześmiała się z naiwnego dziecięcia, brwi się jej nieco ściągnęły, jakby to, co Lorka mówiła o świecie, do siebie wzięła.

— I nie nudzisz się tu pani? — spytała z pewną ironią ukrytą.

— Ja? Nudzić się! — klasnęła w dłonie Laura. — Nudzić się? Ja tego nie rozumiem, co to jest się nudzić, mnie wszystko bawi, jestem ciekawa wszystkiego i tak mi z ojcem i ciotką dobrze! A! A! Gdzieżbym ja nudzić się mogła.

Wdowa westchnęła, spojrzały na siebie, wtem kroki na schodach słyszeć się dały; Lorka domyśliła się nadchodzącego ojca, skłoniła się nieznajomej i oddaliła pośpiesznie, drzwi zamykając za sobą.

Niemal w tej samej chwili z przeciwnej strony otworzył je pan Salomon i, bojaźliwie oglądając się, wsunął, wzrok ciekawy posyłając przodem. W przyciemnionej sali niedobrze było widać nawet o południu, lecz wstając z krzesła pani Noskowa zwróciła się ku oknu i żywsze światło padło na piękną twarz jej i postać wspaniałą.

Dobek, który dawno tak pięknej kobiety z bliska nie oglądał, zdawał się uderzony wdziękiem harmonijnym postaci, o jakiej nie marzył nawet. Odmalowało się to na jego twarzy, a Sabina wyczytała w niej łatwo zdumienie i milczący zachwyt, postanawiając z tego korzystać.

Nisko skłoniła się, spuszczać oczy i przybierając wyraz pokorny i łagodny; głos, którym przemówiła, słodszy był daleko od tego jakim niedawno odzywała się do Laury. Ta jedna okoliczność dawała w niej poznać niewiastę rozumną, obytą z ludźmi i umiejącą się do okoliczności zastosować.

— Raczysz mi waćpan dobrodziej przebaczyć, że śmiem jego samotność ulubioną przerywać. Nieszczęśliwi mają pewne prawa, a ja, panie szanowny, jestem bardzo nieszczęśliwa.

Westchnęła tak przejmująco, że zimny Dobek uczył coś w piersi jakby wzruszenie mimowolne. Tak była piękną ta młoda niewiasta, a oczy starego od tak dawna nie napawały się widokiem bożego tworu, rozkwitłego do życia i promieniejącego nim.

— Pan dobrodziej nie znasz mnie — mówiła dalej — choć byliśmy i jesteśmy sąsiadami bliskimi. Muszę mu się przedstawić sama. Imię nasze znane mu jest pewnie ze słyhu przynajmniej, bo nieboszczyk mąż mój...

Tu chusteczkę podniosła do oczu suchych.

— Mąż mój od lat sześciu trzymał Smołochów.

— Więc pani Noskowa! pani Noskowa! — odezwał się, ręce zacierając, Dobek. — Bardzo mi przyjemnie... Niech pani siadać raczy! Lecz czymże mogę...?

Sabina usiadła, Dobek krzesło sobie przysunął i zasiadł także, starając się obrać takie miejsce, aby pięknej mógł przypatrywać się twarzy, która go upajała, aż mu przed samym sobą wstyd było. Nie uszło to pewnie oczu wdowy, która nadzwyczaj bacznie śledziła każdą

najmniejszą zmianę na licu sąsiada. Głos jej stawał się coraz słabszym i pełniejszym zwodniczego uroku.

— A, panie — poczęła, poprzedzając mową westchnieniem — a, panie! Wdowa, sierota, sama jedna, bez krewnych, bez opieki... w rozpacz przychodzę do ciebie błagać o radę i pomoc. Lękam się, ażeby Sapieżyńscy nie korzystali z położenia mojego i nie spędzili mnie z dzierżawy zapewnionej kontraktem na następne sześć lat. Nie mam nic oprócz tego, co mi zostało w dzierżawie po mężu, nie wiem jeszcze, jak się ze mną obejdzie jego rodzina. Oni także zechcą pewnie z sieroctwa mego korzystać. Do kogóż ja się tu udam wśród tego pustynnego kraju? Jeśli mi pan odmówisz...

Mówiąc to powoli, trąc oczy ciągle chusteczką, wzdychając, poglądała na starego Dobka takimi oczyma, takim wzrokiem wyiskrzonym, jakby go oczarować chciała. Stary, prawie przełknięty, odwracał oczy, mieszał się, co też nie uszło uwagi Sabiny. Na ostatek sięgnęła białą dłonią po jego rękę, jakby ją ucałować chciała. Dobek z krzesła się porwał i odsunął.

— Moja mościa dobrodziejko! — zawołał gorąco. — Nie potrzeba tych prośb, obowiązkiem jest wdowy i sieroty bez opieki zostające ratować. Lecz ja... domator jestem... prosty człek, nie prawnik, pustelnik, odzwyczailem się od ludzi, odwykłem od świata. Mam przy tym własną sierotę swoją... i nierad bym być zmuszonym wychylać się z tego zakątka.

— A ja też zbyt wielkich ofiar od niego wymagać bym nie śmiała — przerwała wdowa mrużąc oczy, z którymi dziwy wyrabiała. — Ja o nic więcej acana dobrodzieja nie proszę, prócz żebyś raczył opiekę przyjąć nade mną, a gdy na grunt zjadą czy Sapieżyńscy, czy bracia pana Noski, byś mi swej rady i protekcji nie odmawiał. Do Smołochowa dwie milki małe, kilka godzin. Bóg to panu wynagrodzi.

Pan Dobek namyślać się zdawał, spuścił głowę. Człek to był rozumny; nie tyle mu szło o stratę czasu, o kłopot, jaki nań mógł spaść z tego powodu, a raczej o pewne niebezpieczeństwo, którego groźbę czuł nad sobą. Po wrażeniu, które na nim czyniła wdowa, poznał stary Salomon, iż gdyby się, uchowaj Boże, uwzięła na niego, łącznie by go przydeptać mogła i zrobić zeń, co by jeno chciała. Prędziusieńko obrachował skutki możliwej słabości swojej; a nuż zażąda tych najukochańszych dukatów? A nuż wymagać będzie podróży, prowadzenia procesu, oddalenia od Lorki?

Lecz mogłoby to znowu być, aby ta śliczna młoda kobiecina poznała się na tym, iż od pierwszego wejrzenia taką zyskała siłę nad pustelnikiem z Borowiec?

Od śmierci żony pan Salomon żył jak mnich, nie widując nikogo prócz wyschłej cioci Fryderyki, swego rumianego aniołka i tych istot rodzaju żeńskiego, na które nigdy oczu nawet nie podnosił i które na niego, przesuając się przez dziedziniec, spoglądać nie śmiały. Nagle

zjawienie się tej wdowy przypadło snadź w jakiejś klimakterycznej chwili, nieszczęśliwy Salomon po kwadransie rozmowy czuł się wzruszonym nad miarę. Postanowił więc obiecać, co by żądała, a potem się tak jakoś wywijać od bliższych stosunków, aby w starym piecu diabeł tymi piwnymi oczyma, ocienionymi rzęsy długimi, palić nie mógł.

— Moja mościa dobrodziejko — rzekł kłaniając się — o ile ja, nieumiejętny i niezdolny do spraw, potrafię jej służyć, nie wiem, a wiele sobie nie przypisuję, wszelako chrześcijański obowiązek spełnić muszę i od niego wcale wyłamywać się nie będę.

Na te słowa pani Noskowa porwała się, jakby znowu chciała rękę jego chwycić i ucałować, od czego jednak przestraszony Dobek wyratował się prędkim cofnięciem, chociaż dotknięcie białych paluszków na suchej swej dłoni (uniknąć go nie mógł) poczuł jak gorące żelazo i piekło go ono potem nie dzień cały, lecz bodaj lata długie.

Niespokojnymi oczyma piękna wdowa każdy ruch Dobka śledziła i decyfrowała, a snadź wprawna była w tym czytaniu, bo się nie myliła w tonie odpowiedzi i korzystała z usposobień z trafnością nad młode swe lata. Im Dobek spieszniej chciał obietnicą ogólnikową zamknąć rozmowę, aby się pozbyć wielce niebezpiecznej niewiasty, tym ona, na przekór jemu, widoczniej pobyt swój i posiedzenie na cztery oczy z jegomością przedłużyć się starała.

Usiadła znowu, siadł gospodarz ze spuszczoneymi oczyma. Nie patrzył już na nią, ale przez uszy wpadał mu aż do serca słodki, drżący głosik kobiety, która nim wyśpiewywać umiała, snadź jak wirtuoz, cokolwiek jej było potrzeba. Grała na tym bożym organku z niesłychaną wprawą.

— A, gdybyś pan znał — mówiła — smutne losy moje, ulitowałbyś się pewnie nad nieszczęśliwą wdową. Któż to mógł przewidzieć, gdy mnie nieboszczyk pan Szczepan brał u matki w Warszawie, gdzie się tylu o mnie dystygowanych ludzi starało, że tak rychło po zamążpójściu wpadnę w taką otchłań interesów, kłopotów i nieszczęść! Matkę straciłam, nie mam nikogo! Nikogo!

Chusteczką zakryła znów oczy i choć wcale nie płakała, jęknęła ślicznie, niby gwałtownie łązy wstrzymując, czym pan Salomon uczuł się do głębi przejętym.

— Moja mościa dobrodziejko — przerwał cicho, oczy dla ostrożności ciągle trzymając spuszczone — niech się pani ukoi, Pan Bóg łaskaw...

— A chyba mi on w panu zesze anioła opiekuna! — dodała wdowa.

Oczy trochę potarte i zarumienione zwróciła na starego, usiłując wzrok jego spotkać; trzymał się wszakże na ostrożności, co ją nieco zniecierpliwiło.

— Już wielką z siebie dla nieboszczyka Szczepana uczyniłam ofiarę — mówiła dalej — opuszczając miasto, do którego od dzieciństwa nawykłam, a przenosząc się z nim na tę

pustynię, lecz to niczym jeszcze wobec dzisiejszego mojego położenia. Wśród ludzi nieprzyjaznych, niechętnych, ja sama, nieudolna, kobieta słaba... Od śmierci mojego męża ani wiem, co się nawet u mnie dzieje. Gospodarstwo, fabryki, wszystko na łasce bożej.

— Przecież oficjalistów pani masz? — rzekł Dobek nieśmiało podnosząc oczy, które, napotkawszy wzrok pani Noskowej, natychmiast wlepił w ziemię.

— Czyż pan dobrodziej nie wiesz, czym są oficjaliści, gdy nad nimi pańskiego oka nie ma?! — zawołała tęskno kobieta.

— Więc i gospodarstwo? — począł Salomon, ale siły nie miał dokończyć.

— Gdybyś pan dobrodziej znalazł jaki wolny dzionek, a jako mój opiekun przybył chociaż spojrzeć na tę wdowę mizerię, jakżebym mu wdzięczną była. A, panie!

— Moja mościa dobrodziejko, będę się starał, jeśli pani każesz...

Słowa te wymruczał Dobek niewyraźnie, przyszło mu bowiem na myśl, że jechać tam do wdowy, być zmuszonym przez dłuższy czas z nią pozostać, było rzeczą nader ryzykowną, lecz stało się, stało, cofnąć mógł chyba później... a zresztą...

Myśli swej już nie dokończył. Sam sobie zaczął tchórzostwo wyrzucać i śmiać się z niego. Cóż znowu? Stary człek, dochodzący pięćdziesięciu lat, miałby się lękać niebывałego o tym wieku niebezpieczeństwa? Podniósł oczy śmieiej. — A grzechem przecie — pomyślał — nie jest w piękne spojrzeć źrenice.

Pani Noskowa patrzyła nań właśnie tą parą przymrużonych oczu słodkich i pociągających. Snadź uczuła potrzebę z kondolencyjnych tonów zejść na nieco spokojniejszą rozmowę.

— Więc — rzekła wyciągając dłoń, jakby go kusiła, żeby ją wziął i pocałował, na co się wszakże Dobek ważyć nie chciał — więc rachuję na mojego drogiego opiekuna, a Bogu dziękuję, że mnie do tej podróży natchnął. A bo to nie uwierzysz pan, jak mi odradzano, na próżno jak się zdawało, do serca pańskiego kołatać! A jam sobie przeczuciem jakimś mówiła, że pan Dobek nie odepchnie sieroty nieszczęśliwej. I nie omyliłam się. Wiem ja — mówiła ciągle szczebiocząc — że panu, coś tu tak spokojnie wiele przeżył, przyjdzie to zapewne nie bez ofiary poświęcić swój spokój dla obcej zupełnie osoby, lecz chciej wierzyć, że dozgonną dlań, gorącą zachowam wdzięczność. A, panie!

Dobkowi tym głosem grała tak po sercu, że się aż czuł zmieszany; nigdy w swym życiu na taką nie był wystawiony pokusę. Choć niepobożny, mimo woli z „Ojczy nasz” przypomniał sobie prośbę: „I nie wódź nas na pokuszenie”. Oprócz tego przychodziło mu na myśl, iż musiało być we zwyczaju, gościa, a zwłaszcza pupilkę, czymś przyjąć i ugościć. Zrobiła mil okrutnych dwie ze Smołochowa do Borowiec, miała przed sobą powrót ku

wieczorowi po tych samych groblach i wybojach, godziło się coś na stół postawić. Myśl ta upiekła go, wstał z krzesła.

— Niechże pani dobrodziejka spocznie — rzekł — ja w tej chwili powracam. — Skłonił się i wyszedł, drepcząc pośpiesznie, w lewo, ku mieszkaniu cioci Henau.

Wdowa za wychodzącym popatrzała wzrokiem badającym i rozjaśnionym; potrzebowała nawet chód jego poznać, bo i ten ją czegoś o charakterze mógł nauczyć. Czyniła to instynktem, a instynkt miała szczęśliwy.

Dodajmy dla objaśnienia, iż ta nieszczęśliwa wdowa, nim się ośmieliła przybyć do Borowiec, dowiedziała się jak najdokładniej wprzód od księdza Żagła, który ze mszą do smołochowskiej przyjeżdżał, o położeniu, charakterze, niezmiernych bogactwach, sposobie życia, o wszystkim, o czymkolwiek tylko można się było poinformować od niego, o panu Salomonie Dobku. Widzenie i rozmowa dopełniały dla niej skreślonego wizerunku. Nie miała zapewne innych zamiarów nad zyskanie sobie pomocy i opieki; dopiero tu, przypatrzawszy się staremu i czytając jego pomieszenie, odkryła, iż mogłaby o coś się więcej pokusić. Myśl ta zarysowała się zrazu mglisto i niewyraźnie, lecz wkrótce wystąpiła jaśniej i Sabina powiedziała, uśmiechając się do siebie: — Któż wie? Trzeba próbować...

Miała czas do rozmyśłów zostawszy sama, pan Dobek bowiem poszedł na radę do cioci Henau, co by tu podać sąsiadce. Pora była poobiednia, więc owoce i kawę.

Laura przytomna była tej naradzie.

— Niechże i Lorka wyjdzie! — rzekł Salomon.

— O nie, tatku! Nie! Ja nie pójdę — odpowiedziało dziewczę potrząsając głową. — Niech sobie ciocia Fryderyka gospodaruje, ja nie pójdę.

— A to dlaczego? Dziczku ty jakiś! — zaśmiał się ojciec.

— Takem się tej pani nastraszyła! Tatko nic nie wie. Bawiłyśmy się z małą Julką, wpadam do salki, którą od urodzenia nawykłam widzieć pustą... i widzę czarne widmo stojące przed sobą. Myślałam, że upiór! O mało nie zemdlałam.

Dobek ręce aż załamał.

— Czy ci to nie zaszkodzi, moje dziecko?

— Nie, już mi odeszło, chociaż długo, długo potem biło mi serce — mówiła Laura. — Jednak spojrzeć na nią nie mogłam bez strachu. Zdaje mi się, że widzę upióra, który przyszedł po duszę moją.

Dobek pobladł.

— Co ty pleciesz! Tak piękna, młoda pani!

— A młoda, ale straszna! Co za oczy przenikające do głębi! O! Nie kaźcie mi tam iść, nie mogę, nie mogę. Dosyć miałam i widzenia i rozmowy! Aż nadto!

Ojciec się zafrasował, bo niegrzecznie było, żeby Laura się nie ukazała, lecz uległ dziecku i nie wymagał więcej, by zeszła do parlatorium. Uściskał ją, pocałował, a wrażenie, z jakiego mu się wypowiadała Lorka, zwiększyło własną jego obawę co do pani Noskowej.

Pośpieszył wrócić do salki. Tu zastał panią Sabinę przechadzającą się wzdłuż i przyglądającą ciekawie starożytnym pamiątkom.

— Jak to już dawno rodzina państwa tu musi zamieszkiwać! Co tu ślicznych, dawnych rzeczy! Wszak to być muszą portrety dziadów i naddziadów.

Mówiła to miłszym jeszcze, dźwięcznym głosem, który wkuł Dobka w miejscu. Bał się szelestem swych kroków zagłuszyć śpiewu tak ślicznego.

— Tak jest, pani — odparł cicho. — Wieki już, jak żyjemy tutaj i nie zamienilibyśmy tych naszych ruin na najwspanialsze pałace. Żyjemy otoczeni wspomnieniami pokoleń ubiegłych, jakby wśród nich i z nimi. Mamy tutaj to, o co się gdzie indziej ludzie ubiegają na próżno: jesteśmy panami czynności naszych i całego życia. Nikt nam nie broni urządzić go sobie tak, jak nam najmilej i najdogodniej, obce a zazdrosne oko nie śledzi każdego kroku.

Piękna wdowa słuchała z zajęciem pana Salomona, który wreszcie, powstrzymany w tym wynurzeniu się myślą jakąś, nagle zamilkł, jakby się za język ukąsił.

— Jest to zapewne szczęśliwe położenie — odparła Noskowa oglądając się ciągle — ale jednak wyznam, nawyknąć do niego potrzeba. Ja moją młodość spędziłam w mieście i przybywszy z mężem pierwszy raz do Smołochowa, choć u nas daleko więcej się ludzi widzi i czasem ktoś z sąsiedztwa przyjeżdża, płakałam, tak mi się pusto i smutnie wydało na Polesiu. Teraz już znacznie do tego życia nawykłam.

— I myślisz tu pani tak sama jedna pozostać przy tym gospodarstwie? — spytał Dobek.

— A cóż mam począć! — westchnęła Sabina. — Ja sama jeszcze dobrze nie wiem, jak się złoży. Uczynię pana sędzią, a jego łaskawej rady usłucham z wdzięcznością. Matki nie mam, rodzina moja po świecie się rozpierzchła, dokądzebym się udała?

To, co mówiła piękna wdowa, było jakby tylko mało znaczącym i podrzędnym towarzyszeniem mowie niemej jej oczu, które wciąż na nieszczęśliwym Dobku się znęcały. Stary, nie mogąc znieść jej wejrzenia, spuszczał źrenice i zakłopotany był jak panienka. Tłumaczył sobie to natręctwo wdowy tylko chęcią zyskania go sobie jako opiekuna, bo zresztą, na cóż by się miał zdać ten niedobitek człowieka?

Rozmawiali tak, gdy stary Eliasza, najpierwszy ze sług Dobka, ubrany odświętnie w długą popielatą kapotę z ogromnymi guzami, wniósł na ciężkiej tacy srebrnej kawę w imbryku

ogromnym, filiżanki i cały przybór do podwieczorku, po którym poznać było można zamożny dom stary, niegdy na pańską urządzony stołę.

Za nim weszła, jak zawsze czarno całkiem ubrana, wyprostowana i sztywna ciocia Henau, którą gospodarz domu zaprezentował pani Noskowej. Spodziewała się ona snadź przyjścia Laury, lecz nie widząc jej, nie śmiała się o to upomnieć. Panna Fryderyka i ona zmierzyły się oczyma i powitały chłodno, jak nieprzyjaciele przed bitwą. Nie wiedzieć dlaczego, ciocia Henau szła już naprzeciw tej natrętnej sąsiadki z tym uczuciem niechęci nie wytłumaczonej, które czasem samo nie znane obudza nazwisko. Świeża i krasna piękność pani Noskowej nie mogła miłego na żółtej i wyschłej cioci uczynić wrażenia, a wzajemnie, panna Fryderyka nie podobała się wdowie. Jednakże z uśmiechem obie zwróciły się ku sobie, którego ani jedna, ani druga za dobrą monetę nie brały. Noskowa, nie wiedząc spełna, jaką rolę i wpływ w domu mogła mieć Fryderyka, musiała być grzeczna i nadskakująca, tamta pozostała zimną.

Dobek tymczasem mógł nieco odetchnąć, zebrać myśli i obrachować się z tym, co uczynił. W ogóle postępowanie własne nie podobało mu się: czuł, że popełnił nierozwagę, że winien był się wytłumaczyć, bronić i od opieki wymówić. Któż wie, jak daleko przyjęcie na siebie tych obowiązków zaprowadzić go mogło? Niewiasta była śmiała, narzucająca się, a gdy taką się okazywała przy pierwszym spotkaniu, cóż mogło być potem? Przerazały go owe spojrzenia, urok głosu, piękność, sieroctwo, wszystko. Ogarnęła go trwoga dziwna. Lecz jakże się było cofnąć? Rozmyślał tak, stojąc w oknie, a panna Fryderyka rozmawiała o czymś obojętnym z Noskową, gdy usłyszał jakby ku sobie wymierzony głos.

— Łaskawy mój opiekunie — odezwała się wdowa, zwracając w istocie ku niemu — bo ja już tak pana mego nazywam od chwili, gdyś mi protekcję swą przyrzec raczył. Kiedyż będę miała szczęście widzieć go u mnie, w Smołochowie?

Dobek oniemiał na chwilę.

— Moja mościa dobrodziejko — rzekł po namyśle — sądzę, że dopiero gdy Sapieżyńscy zjadą lub ktoś z rodziny pani, a potrzeba się okaże mojej rady, i pani mnie zechcesz wezwać.

— A, tak, tak — z uśmiechem przerwała wdowa — lecz nim to nastąpi, gdybyś pan raczył przejrzeć papiery, rozpatrzeć się w stanie majątku, wejść cokolwiek w szczegóły, nieskończenie bym mu była wdzięczna.

Obawiając się jeszcze natarczywszego zaproszenia, pan Salomon się skłonił tylko, czując potrzebę namyślenia i uspokojenia, przygotowania na tę straszną wyprawę. Wdowa też tą obietnicą ogólnikową zdawała się zaspokojona i dokończywszy kawy wstała, by odejść do miasteczka, gdzie konie pozostawiła. Nie mógł się pan Salomon uwolnić od przeprowadzenia jej na dół po schodach, co dopełnił dosyć niezręcznie. Wdowa, stanąwszy w bramie, gdzie na

nią służący oczekiwał, odwróciła się jeszcze ku Dobkowi, uśmiechnęła się nader wdzięcznie, dygnęła i głosem drżącym poleciła się jego pamięci.

— Wszak to chrześcijański uczynek — rzekła — dopomóc wdowie i sierocie, a ja i wdową jestem, i sierotą razem. Mam nadzieję, że na łaskawą bytność pańską w Smołochowie długo oczekiwać nie będę.

To mówiąc schyliła się, jakby go w ramię pocałować chciała, i nie wiedzieć, jak się to stało, że Dobek, zapomniawszy się, pochwycił białą jej piękną rączkę i do ust przycisnął. Sam potem, podnosząc głowę zarumieniony, zawstydził się tego uczynku, który rumieniec radości na twarz pięknej wdowy wywołał, i gdy ona już szła drogą do miasteczka, z wolna, upokorzony, wrócił wprost do swej kancelarii na dole.

Wdowa tymczasem, zamiast iść do zajazdu, gdzie jej stały konie, udała się za wskazaniem służącego drożyną ku plebanii księdza Żagła. Miało się już ku wieczorowi, dzień był letni, bardzo piękny; w ganku probostwa pod cieniem lip i kasztanów siedział właśnie z brewiarzem w ręku kanonik. Był to siwiejący już, słusznego wzrostu mężczyzna, twarzy raczej posępnej i surowego wyrazu niż miłej i sympatycznej, znać w nim było człowieka nawykłego do panowania nad ludźmi i przejętego wielkim posłannictwem swoim. Zaczytany w księdze, zadumany nad nią, jeszcze się nie domyślał nawet nadchodzącego gościa, gdy pani Noskowa w ganku stanęła.

Zdziwiony nieco, podniósł głowę i powoli opuszczając brewiarz, zawołał:

— Pani dobrodziejka? Tu? A cóż za cud? W Borowcach obcy człowiek? Cóż się stało?!

— Pozwól mi się i odetchnąć, księżu kanoniku — poczęła Noskowa, której głos, postawa, ruchy zupełnie się teraz zmieniły. We dworze widocznie była wymuszona i baczna na wrażenie, jakie uczyni, teraz, wobec starego znajomego, twarz jej śmielszą się stała, wejrzenie poufalsze, mowa mniej wyszukana. Czuć było, że jej tu lżej i swobodniej; oglądała się dokoła, uśmiechała, poprawiała ubranie, ocierała oczy.

— A! — rzekła na koniec. — Odbyłam straszną pańszczyznę.

— Droga okropna być musi! — zawołał kanonik.

— Droga, fraszka! Ale bytność na zamku...

— Na zamku! Na zamku! — wykrzyknął kanonik, kładąc brewiarz na ławce i z rękami załamanymi postępując ku wdowie. — Jak to? Pani byłaś na zamku? U Dobków?

— Ano, byłam, byłam i miałam przecie szczęście — rzekła, uśmiechając się, wdowa — rozmawiać z panem Salomonem. Nastraszyłam jego córkę, znudziłam, jak się zdaje, jego kuzynkę i zmęczyłam starego, ale koniec końców, przyrzekł mi być opiekunem i obrońcą.

To mówiąc, wdowa uśmiechnęła się tryumfalnie, zamyślona, a kto by był umiał czytać w jej twarzy, wyczytałby może w niej nadzieję, że te zdobycze na tym się jeszcze nie skończą.

— Jejmość dobrodziejka, widzę — rzekł kanonik, wpatrując się w nią — lekce to sobie *wazyć* się zdajesz, coś dokazała. Ale to rzecz wielka, to prawie cud, kto zna tych Dobków, przeszłych i terażniejszego. Są to ludzie, jest to rodzina unikająca wszelkich styczności ze światem, nie dająca ani się dotknąć do siebie obcym, ani wejrzeć w swe życie. Nasz pan Salomon, nie wiem czy od śmierci żony rozmawiał z obcą niewiastą! Nigdy żaden z nich nikomu ręki i rady nie podał! I on, on pani przyrzekł opiekę!

— Ale tak jest, najuroczyściej! — śmiejąc się rzekła wdowa. — No, dziki jest, to prawda, ale ja go powoli przyswoję. Musi przyjechać do mnie, do Smołochowa.

Kanonik popatrzał uważnie na twarz wdowy, jakby w niej myśli jej czytał, i głową poważnie trząść zaczął, brwi ściągając.

— Cóż by to było! Co by to było, gdybyś ich waćpani mogła z tego zgubnego osamotnienia wyprowadzić! — zawołał. — Nie wyrachowane a bardzo szczęśliwe owoce przyniosłaby ta bytność jej na zamku. Winszowałbym pani tej zdobyczy i wpływu, jaki byś na ojca, na córkę, na cały ten dom wyrzucić mogła. Ja tu z dawna żyję, jak pani dobrze wiadomo, patrzę na nich, niejednokrotnie zbliżyć się starałem; nie mogą mi nic zarzucić, a mam za sobą powagę sukni duchownej i stanu kapłańskiego, przecież zimną mnie zawsze oblewali wodą i zasieki stroili przede mną, abym się nadto nie zbliżał. Dobek, człek zdziczały, o groszu tylko myślący. Laura, puste i popsute dziewczę, której woli nikt i nic pohamować nie może, a co się tycze panny Henau, tej nikt nie zrozumie. Nie wiem, czym trzy słowa z ust jej słyszał od czasu, jak tu jest.

Ruszył ramionami kanonik i mówił dalej:

— Bardzo bym jejmości dobrodziejce winszował, gdybyś do tego domu wnijsć mogła, a użyła wpływu swojego na dobre, co jest jej obowiązkiem.

Wdowa milczała i oczy wlepiwszy w kanonika, słuchała go z wielką uwagą.

— Katolicy są — mówił ciągle proboszcz — a mimo to ani do kościoła, ani dla sług jego nic nigdy na zawinięcie palca dać nie chcą; nic ich nie obchodzi, czy dach na kościele pada, czy bydło na grobach cmentarnych się pasie... prawda, że oni swoje groby zabezpieczone pod kluczem trzymają. Stary Salomon obrzydły skąpiec i jak Żyd chciwy na pieniądze.

— Czy myślisz., księże kanoniku, że w istocie tak bogaty, jak ludzie głoszą? — spytała cicho Noskowa.

Kanonik się uśmiechnął.

— Moja mościa dobrodziejko — rzekł — to, co ludzie głoszą, jest zaledwie częścią tego, co on ma. Mogę obrachować, co od czasu mojego tu pobytu wzięli za same towary leśne, przez ręce Arona. Ogromne sumy wpłynęły, grosz nie wyszedł nigdzie. Ten człowiek musi mieć skrzynie złota! A z tego, co mu po dziadach i ojcu zostało, bo wszyscy byli oszczędni, wszak także nie wydano złamanego szeląga.

Pani Noskowa z zajęciem wciąż słuchała opowiadania, oczy się jej paliły, widocznie marzenie jakieś chodziło po czole, które się ściągało i wygładzało, po ustach uśmiech błędził dziwny, zagadkowy.

— I wszystko to — dokończył ksiądz Żagiel — wszystko to spadnie na tę dziewczynę, którą tak wychowali, że tego nikt w świecie na żadnym nie utrzyma wędzidle.

— Czy tak swawolna? — spytała wdowa.

— Swawola dziecinna byłaby niczym — odparł ksiądz — tę sam wiek wystudza; lecz umysł niespokojny, niekobieca śmiałość w niej, ciekawość do wszelkiego zakazanego owocu, do ksiąg, do wiadomości kobiecie niepotrzebnych; chwili nie usiedzi, choć ją ta panna ciocia, o ile może, na uwięzi trzyma. Jeśli nie przewraca ksiąg w starej biblioteczce, gdzie więcej herezji niż czego zdrowego, to koło stajni ją znajdziesz, to w ogrodzie, to na drabinie w starym zamku, to w czólnie na rzece. A dla ojca ze wszystkiego uciecha, z tego nawet, co by dlań troską i smutkiem być powinno. Ciocię Henau, gdy ją od czego chce powstrzymać, jeśli jawnym nieposłuszeństwem nie może zmóc, to ją zdradliwymi pieściznami i pochlebstwami na swą stronę przeciągnie. Toż z ojcem, toż z innymi.

— Ale skądże ją ksiądz kanonik tak zna? — spytała wdowa. Ksiądz Żagiel westchnął i wskazał zamek.

— Wszak-ci to moja troska powszednia to zdziczałe dziecko! — rzekł cicho. — Ja się patrzę cały dzień na te wybryki, słucham o nich i boleję nad duszą zgubioną, której uratować nie mogę. Powiem asindźce tylko jedno — dodał w końcu — a poznasz ją lepiej. W kościele, gdy przyjdą, nie mogę powiedzieć, żeby mi się nieprzystojnie znajdowała; pada na kolana, zdaje się przejęta, lecz ust nie otworzy do modlitwy. Raz tedy, gdyśmy litanie odmawiali publicznie, dostrzegłszy, że nie odpowiada, będąc na zamku po nabożeństwie, jak to zwykła w dni krzyżowe, spytałem jej łagodnie o przyczynę. Spojrzała na mnie zdziwiona, a pamiętaj pani, żeć to szesnastoletnie dziecko, i wiesz pani, jaką otrzymałem odpowiedź? „Ja się nie mogę modlić na rozkaz, ale gdy czuję, że dusza moja podnosi się ku Stwórcy. Nie modlę się ustami — modlę duszą!”. Nie było co mówić więcej. To już pachnie herezją ta samowola w modlitwie, a jeszcze w takim dziecku!

Pani Noskowa ruszyła ramionami.

— Przynoszą z sobą książki do kościoła — mówił kanonik. — Trudno tam zaglądać, jakie. Raz przecież roztargniona panienka zapomniała swojej, zajrzałem, odsyłając. Cóż, pani myślisz, było w książce? Psalmi, nic, tylko psalmy... i strasznie mi podejrzone, czy nie jaki luter je tłumaczył. To rzecz wiadoma — rzekł ciszej ksiądz Żagiel — iż kalwinami, potem arianami byli i nawrócili się jeno z musu, aby dóbr nie stracić i nie uchodzić z kraju. Ano! Podejrzewam ja to nawrócenie, podejrzewam je mocno. Kanonik począł głową trząść.

— Trudno — rzekł — być inkwizytorem sumienia. Niech tam Bóg sędzi.

— Otóż w tym osoba pobożna, katoliczka gorliwa jak pani — dokończył ksiądz Żagiel — mogłaby mieć zasługę, gdyby zbliżając się do nich, innymi sentymentami natchnęła.

Pani Noskowa skromnie oczy spuściła.

— Ja jestem prosta kobieta, mój ojciec, a zresztą, wpływu na nich trudno mi się spodziewać. Bóg wie, jak mi to się uda.

— Przecież najtrudniejsze już się udało — odparł ksiądz Żagiel — bo się tym nikt nie pochłubi, żeby do nich docisnąć, a pani nawet przyrzekł, że się zajmie interesami! Widoczny cud!

Westchnął proboszcz i dodał:

— Różnymi Bóg posługuje się narzędziami, różnych dróg i środków używa, gdy ma dzieła dokonać. W jego rękach, co słabe, staje się potęgą, a co silne, kruszy się i rozpada. W każdym razie, wieszuję.

— Jakże się księdzu kanonikowi zdaje, dotrzyma mi on obietnicy? — spytała wdowa bawiąc się z chusteczką. — Ma przybyć do Smołochowa.

— Słowa on dotrzymuje zawsze — odparł proboszcz — ale rzadko je komu da.

— A nie możnaż by wiedzieć naprzód, kiedy przyjedzie? — dodała Noskowa.

— Przynajmniej nie przeze mnie — śmiejąc się dodał ksiądz Żagiel — bo ja wcale nie wiem, co się we dworze dzieje, i chyba wypadkiem ktoś mi co stamtąd nierychło przyniesie. Najprędzej by Aron mógł dać znać, dla niego Dobek nie ma pono tajemnic.

— Aron? Aron? — powtórzyła ciekawie Noskowa, wiążąc węzełek na chustce — Aron...

— Przez Arona tam robi się wszystko.

— A ten Aron jest zapewne ubogim faktorem? — spytała wdowa.

Ksiądz się rozśmiał.

— Aron Lewi? Cha! Cha! Aron Lewi ma pewnie więcej od nas obojga, a mało mniej od swojego pryncypała, handlują razem, na spółkę.

— Z Żydem? On?

— Ja sędzę, że on by z Tatarem handlował, gdyby zarobku był pewien.

— Aron ma pewnie dom w miasteczku? — wtrąciła pani Noskowa.

— Ma murowaną kamieniczkę w rynku, a inne domy, większe, w kilku miastach.

Po kilku jeszcze pytaniach i odpowiedziach zamyślona jejmość zerwała się żywo z siedzenia, jakby przebudzona, uśmiechnęła się weselej i pocałowała kanonika w rękę, wyszła do koni swoich w miasteczku.

Wkrótce potem powóz jej toczył się ku lasom w stronę Smołochowa.

III

Nie ma smutniejszego widoku nad walkę z sobą człowieka, który czuje, że z niej nie wyjdzie zwycięzcą. Są wypadki, w których ucieczka jedynym w istocie ratunkiem; ani się wstydić może ten, co z placu uchodzi przed przewyższającą siłą, jeśli żyć jeszcze chce, a ofiarą paść nie potrzebuje. W takim położeniu był pan Salomon Dobek, rozmyślając o pięknej wdowie, której niespodzianie został opiekunem. Jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że ta kobieta opanuje go, gdy zechce, i że chce go opanować. Widział jasno nieszczęśliwy, że bogactwa nagromadzone, o których ludzie nie mogli coś nie wiedzieć, ściągnąć nań gotowe chciwością wiedzioną kobietę, panią swej woli i niezależną od nikogo oprócz własnej fantazji i rachuby. Piękność tej niewiasty przerażała go i pociągała razem, czuł się wobec niej słabym. Kilkanaście lat osamotnienia czyniło go młodzieńczo wrażliwym, pierwsze spotkanie z wdową dowodziło, że chciała go ku sobie przyciągnąć.

Przywiązany do dziecka, trwożąc się o los jego, zarazem już w duszy tłumaczył się sam przed sobą, iż Laurze krzywdy nie uczyni ani da wyrządzić, że ona zawsze zostanie dlań najmilszą, najdroższą, jedyną. Lecz same te przypuszczenia już dowodziły poczucia słabości i trwogi. Wszakże widział ją ledwie raz w życiu, a wszystko, co mu na myśl przychodziło, mogło być urojeniem. Po cóż miał się dać spętać i zaprzedać wolność swoją, a może przyszłość dziecięcia?

Odpędzał te myśli — wracały. W kilka dni niepokój jakiś w duszy począł go pędzić do spełnienia obietnicy. Należało jechać do Smołochowa, zbyć co najprędzej ten obowiązek, a potem uwolnić się, oswobodzić na wieki i wrócić do pracy.

Panna Henau słyszała przy kawie przyrzeczenie dane wdowie, nie wspomniała jednak o nim Laurze, gdyż wiedziała, że to na niej przykre zrobi wrażenie. Sposób, w jaki się jej po raz pierwszy okazała pani Noskowa, był powodem, iż Lorka wstręt jakiś powzięła do niej. Mogła więc i musiała być przeciwną podróży ojcowskiej, zwłaszcza że ta była całkiem

niezwyczajnym krokiem i wyłomem w życiu spokojnym, którego porządku nic dotąd nie naruszyło.

Dobek bił się jeszcze z sobą, gdy jednego dnia Aron Lewi, gładząc brodę i uśmiechając się, przystąpił doń z cichym szeptem:

— Jasny panie, cóż to? Aron nic nie wie o tym, że się jegomość wybiera do Smołochowa? Pan Salomon aż cofnął się od Żyda z pewnym przestraczem.

— Ja? Do Smołochowa? A tyż skąd wiesz o tym?

— Przecie ja powinienem wszystko wiedzieć — spokojnie odpowiedział Aron. — Jaśnie pan znasz mnie dawno i lepszego pewnie sługi, a mogę powiedzieć przyjaciela, nie masz nade mnie. Już to źle, że jegomość się mnie dawno sam nie spytał o to. A gdybyś jaśnie pan zapytał mnie, ja bym potrząsł głową i powiedziałbym po cichu: „Niech jasny pan nie jedzie do Smołochowa”.

Dobek popatrzał nań trwożliwie.

— Zmiłuj się, kochany Aronie! — zawołał pośpiesznie głosem stłumionym, oglądając się wkoło. — Skądże wiesz i dlaczego mi to mówisz?

Stary wciąż siwą brodę w dół ciągnął i gładził.

Podniósł brwi czarne (bo mu z ciemnych włosów tylko one zostały, jak były) i cedzonym głosem począł też cicho:

— Ja to wiem tylko, że ona tam, ta jejmość, wielką wagę na to kładzie, żeby pan do niej przyjechał. A jeśli ona tego chce, ja się boję i pan się lękać powinien. Ona wie, że ja u jegomości mam łaskę, to zabiegała już aż do mnie, do Żyda, żebym ja pana do tego namawiał. To źle, to bardzo źle — dodał Aron.

— Ależ, mój Aronie — przerwał Dobek — tego nie wiesz, że ona. wdowa, sierota i potrzebuje rady i opieki.

Aron się uśmiechnął, ramionami rzucając.

— Aj! Aj! — szepnął. — To bardzo mądra kobieta, ona potrafi sobie dostać, czegokolwiek jej potrzeba. Ja krótko powiem jegomości: albo ona na pańskie pieniądze się łakomi, albo jegomości chce złapać razem, żeby się do nich dobrać.

Pan Salomon zbladł.

— Mnie złapać! — zawołał. — Ale patrzajże na mnie, mam blisko pięćdziesięciu lat... a ona...

— To najgorzej, że jegomość masz pięćdziesiąt lat — rzekł Aron. — Pan jesteś stary, a żyłeś jak pustelnik, nad panem ona będzie miała panowanie łatwe, jak tylko zechce, a że ona zechce...

Nie kończąc machnął ręką.

— A co się stanie z panną Lorką? Z tym kochanym dzieckiem, z tym ślicznym kwiatkiem? A co się stanie z tymi skarbami, które jegomość w pocie czoła zbierał? Czy to ma pójść w obce ręce?

— Aronie! Co gadasz! Co gadasz! — wybuchnął Salomon. — Gdzież do tego podobieństwo! Za kogoż mnie masz?

Żyd powoli, poważnie odparł:

— Za człowieka. Mój jegomość — dodał — ja i sam trochę, i przez swoich znam tę panią ze Smołochowa. Ja tam bywałem za życia jej męża, wiem, skąd on ją wziął, a patrzałem sę na nią często. To jest niebezpieczna kobieta.

Dobek nie odpowiadał, zmieszany, stał jak na sądzie przed starym Aronem, który mówił cicho i z wolna:

— Jej matka służyła na królewskim dworze, a ojciec... ojciec się gdzieś podział, że o nim dawno nie było słyhu. Jejmość miała sklep z czepkami przy Senatorskiej ulicy. Pan Nosko był impetyczny człek, zobaczył, że piękna... a nie można było, tylko się ożenić, wziął i ożenił się.

Dziewczyna z miasta, a gdy za męża szła, rozumniejsza była od tego, co ją brał. Od tego czasu jeszcze jej rozumu przybyło. Ona za nieboszczyka wszystkim tam rządziła, robiła, co chciała.

— Sierota i wdowa! Aj! Aj! — rzekł Aron. — Na co jej mąż? Na co opiekun? Ona więcej rozumie niż jegomość i ja. Ja u niej tylko raz drzewo kupowałem i oszukałem się.

Wrażenie, jakie opowiadanie Arona czyniło na Dobku, było widoczne: stary był wylękły; to, co słyszał, potwierdzało jego przeczucia. A jakże się było od bytności w Smołochowie uwolnić?

Po chwilce namysłu Dobek rzekł chłodno do Arona, który bacznie się w niego wpatrywał:

— Dziękuję ci bardzo za twoją troskliwość i dobre serce, mój Aronie, lecz masz mnie, widzę, za człowieka tak słabego, tak łatwego do wzięcia jak niedorosłe dziecko. Cóż ci się śni, żeby ona myślała na mnie czynić zasadzki, a ja, wiedząc o nich, miał w nie wpaść? Dałem jej słowo, to prawda, że do Smołochowa przyjadę, no to cóż? Pojadę, posiedzę, powrócę i tyle tego.

— Pan się nie boisz? — spytał Aron.

— Ja? Nie!

— To źle! — szepnął Lewi. — To bardzo źle. Ale cóż mnie do tego? — rzekł po chwili. — Ja swoje zrobiłem. Niech pan na pannę Lorkę pamięta... więcej nie powiem.

Dobek zaczął frasobliwie przechadzać się po pokoju i wkrótce rozmowę odwrócił na wańczosy i bale, które płynęły do Gdańska. Aron już nie wznowił przedmiotu drażliwego, lecz z pewnym niepokojem śledził wyraz twarzy Dobka.

Pan Salomon pożegnał go jak gdyby zawstydzony.

Postanowił co najprędzej zbyć się ciężaru wiszącego mu nad głową. Tegoż dnia wieczorem poszedł do córki.

Mieszkanie jedynaczki było złotą klatką ukochanego ptaszcica. Składały je dwa pokoje, obok których miała swoją sypialnię ciocia Henau. Okna ich, zwrócone na ogródek, zamek, rzekę i widok ku dalekim lasom, błyszcząły nowymi szyby sprowadzonymi z zagranicy. Sprzęt wszystek powoli przyplłynął z tego Gdańska, gdzie przepych kupców ściągnął z całego świata, co najwytworniejszego się gdzie znalazło.

Rzeźbione szafy, weselszej tylko barwy niż stojące w parlatorium, półki robotą tokarską, ozdobne brązami złoconymi, misterne krośna, kołowrotki z różnego drzewa, wysadzone kością słoniową i perłową macią, bursztynem wykładne sepeciki, szkatuły z mozaik florenckich, porcelany chińskie i japońskie, ogromne wazony z Delftu... czegoż tam nie było! Jedna klatka złocista dla kanarków, cudo misterstwa i gustu, kosztowało może sztukę zboża. Znać było miłość ojcowską, która nagromadziła dziecku zabawek, by mu ozłocić życie samotne.

Wśród tych świecideł i błyskotek tu i owdzie leżały książki poprzewracane, pozakładane, rozpoczęte i nie doczytane, książki różnych formatów i wieków, począwszy od foliantu aż do elzewira w pargaminowej sukience. Fantazja Laury nie dopuściła tu wielkiego zaprowadzić porządku, ręka jej stawiała i odstawiała snadź, co się jej sprzyrzyło, czego zażądała bliżej. Pęczek kwiatów leżał na książce, książka na rozpoczętym dywanie, dywan na zmiętym płaszczku. Dziesięć różnych robótek w wielkich i małych stało krosienkach. Maleńki klawicymbalik z nutami i cytrę na nim rzuconą widać było w kątku. Mimo tego pozornego nieładu pokój Laury stanowił obrazek śliczny samą różnaitością przyborów i sprzętów, którymi był zarzucony. Dziwnie miła woń, ledwie pochwycona, szła z tych różnych drzew, laków, szufladek i pudełeczek, pachnących jeszcze lasami, z których je ręka ludzka dobyła. Laura siedziała w ogromnym fotelu, z wielką książką na kolanach. Głowę miała wspartą na poręczy i włosy w nieładzie. Biała jej sukienka, potargana bieganiami, szeroka, spadała dokoła na ziemię, w bogatych fałdach połamana.

Zobaczywszy ojca w progu, rzuciła książkę bez ceremonii na ziemię, z wielkim traskiem starych jej, drewnianych okładek; zeskoczyła z fotelu, podbiegła ku niemu i uczepiła mu się na szyi. Dobek pocałował ją w czoło, pogłaskał ręką drżącą i coś zamruczał niewyraźnego.

— Otóż widzisz — rzekł, spoglądając na foliant leżący na ziemi — nie masz jeszcze pulpitu do tych ogromnych, utrapionych tomów, które ci kolana pokaleczą. Niechże Aron postara się, żeby z Gdańska piękny przywieźli, jak należy dla Lorki.

— Ale niech będzie na kółkach — dodała dziewczę — bo ja mu nie dam stać na miejscu.

To mówiąc, podbiegła do kwiatków leżących na stole i piękny holenderski gwoździak wpięła ojcu w pętlę od szarej kapoty.

— Jak to mnie staremu przy kwiatku! — rozśmiał się Dobek. — Tobie to z nim do twarzy, bo ty sama jesteś kwiatem, a ja grzybem.

Potrząsł głową.

— A wiesz, ojcze — przerwała nagle — gdybym ci pokazała śliczny jak najpiękniejszy kwiat grzybek pąsowy, aksamitny, który przyniosłam z lasu, tobyś dopiero się przekonał, że i grzyby piękne być umieją, wykwitał tak jakby z gałązki.

Dobek usiadł na krześle, obejrzawszy się, czy na nim co nie leży.

— No, moja Lorko — rzekł — przyszedłem ci jedną osobliwszą zwiastować nowinę. Wszak to ja jutro na cały dzień jadę.

— Ojciec? Dokąd?

— Do Smołochowa.

— Do Smołochowa? Po co?

— A to widzisz dla tej nieszczęśliwej wdowy, którą niegodziwi ludzie chcą pokrzywdzić; prosiła mnie ze łzami, przyrzekłem.

Lorka zmarszczyła brwi i skrzywiła usteczka.

— Przyrzekłeś? Przyrzekłeś? — odezwała się. — Mnie to przykro! Taka straszna, takem się jej przelekła. Ciągłe mi upiorem stoi przed oczyma. O, gdybyś mógł nie jechać!

— Ależ dlaczego?

— Dlaczego? — powoli poczęła Laura. — Ja sama nie umiem powiedzieć, dlaczego... a boję się o ciebie i dałabym wiele, gdybyś nie jechał. Wiesz, ojcze, Dobkowie nie jeździli nigdy nigdzie, tylko żeby się żenić. Mnie serce przeszywa śmieszna myśl. A!...

Rzuciła się ojcu na szyję, potem przyklękła przed nim, złożyła ręce, zapatrzyła się w oczy. — Nie pojedziesz, ojczuniu, drogi tatku! Nie pojedziesz? Chcesz ratować ją? A dobrze! Daj jej pieniędzy, wszak ludzi zwykle ratuje się tylko pieniędzmi, wszak dla nich wszystkim pieniądze i ona nie może żądać niczego innego, tylko jałmużny. Daj jej królewską jałmużnę, ale nie jedź ty do niej.

Na te wyrazy, wymówione z trwogą i ogniem, stary pan Salomon oniemiał prawie. Własna jego obawa, rada Arona, prośba córki, wszystko się składało na jakies przecucie

nieszczęścia; nie chciał jednak okazać po sobie, że się zawahał i że w nim ciekawość uparta walczyła zajadłe przeciw tym głosom proroczym.

Uśmiechnął się z przymusem.

— Moja Lorciu! — zawołał. — Jakżeby to było śmiesznie zląknąć się kobiety bezbronnej! Dlaczego? Cóż mi się stać może?

— A dlaczegoż ja się boję i drżę? — zapytała Laura. — Dlaczego jej głos wpadał mi aż do serca i krajał je boleśnie? Dlaczego ta piękna twarz zdała mi się obliczem kata?

— Boś ty, moje dziecko, marzycielka i dziwaczka. Wszakże czasem ci się zdaje, że kwiatek ma wyraz złośliwy, że ptacy cię łajają świergocząc...

— To prawda tатku — odparła Laura — ale ja, ja jestem przekonana, że są kwiaty, co nas nie lubią, jak my ich, że są zwierzęta, co nas kochają, i że miłość jest zawsze wzajemna. A że ja tej kobiety nienawidzę, więc i ona musi mieć wstręt do mnie. Po cóż ci szukać ludzi, co twego dziecka kochać nie mogą?

Dobek udawał, że się śmieje.

— A dziecko! Porzuć te dziwactwa! Pojadę, pokłonię się, papiery przepatrzę i powrócę.

Lorka opadła, klękając, na ziemię i rzekła:

— A to tak ty mnie kochasz? Tak? Kiedy ja proszę, kiedy ja się lękam? Mój ty drogi! Mój ty miły, po cóż ci ruszać się z domu? Czy ci w twym gniazdku nie lubo? Na co obcych szukać ludzi? Żyliśmy sami tak długo... trwoga mnie jakaś ogarnia...

— Dziecko jesteś — rzekł Dobek poważnie — i tobież przecież z tego gniazda wylecieć przyjdzie.

Lorka potrząsała głową.

— A nie, nie! Mnie tu dobrze! Nie polecę... I dodała błagając:

— Poszlej jej pieniędzy... poszlej, co zechce, mamy ich dosyć.

— Nie tak wiele, jak ci się zdaje! — zawołał żywo skapiec. Lorka pogroziła mu palcem.

— E! Ja wiem! Ja wszystko wiem! Ale niech to będzie tajemnicą.

— Wszystko co jest, to dla ciebie.

— A ja wszystkiego wyrzekłabym się, tylko żebyś ty mi został, żeby mi ciebie nie chcieli odbierać ludzie, żeby nikt obcy, nikt obcy nie wcisnął się między nas dwoje.

Smutnie zwiesiła główkę.

— Mam okropne przeczucia od tego dnia, gdy to widmo tu cicho weszło i stanęło w domu, czarne widmo.

— Moja Lorko! Ty przerażająco jesteś tymi bajkami z książek obalamucona. Śni ci się, co czytasz. Lepiej biegaj, graj, śpiewaj!

— Ale ja nie przeczytała o niej, ona mi stanęła tam (wskazała ręką drzwi) jak groźba jakiejś strasznej żałoby.

Wzdrygnęło się dziewczę.

— Wiesz co, Lorko — poważnie i sucho rzekł ojciec — na ten raz muszę ci się sprzeciwić, bom słowo dał; lecz bądźże spokojną, to będzie raz pierwszy i...

Miał domówić — ostatni, — gdy weszła ciocia Henau, która z drugiego pokoju całą słyszała rozmowę.

— Lorka ma główkę przewróconą! Po co to ojca straszyć i zniechęcać!... Moja Loro!... Cóż ci znowu?

— A, a, was dwoje na mnie jedną — szepnęła onieśmielona dziewczyna — więc milczę, więc nie powiem nic, nic, ale ciociu Fryderyko...

Wstała, wyprostowała się, oczy jej błysły.

— Ciociu Fryderyko, pamiętaj tę chwilę, proszę, i tę moją trwoję. Serce człowieka ma czasem natchnienia z nieba, ojciec, gdy o dziecko chodzi, dziecko, gdy idzie o rodzica.

Odstąpiła powoli ku oknom. Dobek spojrział na pannę Henau, ona na niego, oczyma wskazali sobie Laurę i Fryderyka szepnęła:

— Mówcie o czym innym.

Zaczęto w istocie o ogródku, o kwiatach, lecz Laura się nie rozchmurzyła, w oczach miała łzy, chodziła ponura, prawie gniewna.

Nazajutrz, unikając nowej jakiej sceny przy wyjeździe, Dobek się musiał wymknąć potajemnie ze dworu. Stary wóz węgierski czekał na niego w miasteczku. A że osobliwością było widzieć pana wyjeżdżającego poza granice Borowiec, ludzie stawali przed domami i Aron wyszedł w ganek. Pan Salomon, nie oglądając się na nikogo, wszedł do wozu i kazał ruszać do Smołochowa. Po drogach, jakie przebywać musiano, było trzy godziny dobre do dworu.

Dobra te Sapieżyńskie, w których od wieków nikt z dziedziców nie bywał, chodziły odwiecznie też dzierżawami i zastawą.

Dwór zbudowany przez jednego z poprzedników pana Noski, drewniany, obszerny, dosyć okazały, stał w pośrodku wsi ogromnej, na lewo i prawo się rozciągającej długimi chat sznurami. Już poza wzgórzem, na którym był wzniesiony, płynęła rzeka, a za nią rozłożone były łągi zielone, a za nimi lasy, wypalone i przecięte. Wiekuiście też sama Polesia fizjonomia. Tu tylko rodzaj portu, czyli bindiugi, ożywiał nieco wybrzeże. Poza dworem czyjaś ręka zasadziła była kilka świerków, które wyrosły na olbrzymy i czarnymi słupy, jakby żalobnym okryte kirem, otaczały szarą budowę. Zmiedzy nich gontowy daszek kapliczki z

krzyżykiem wyglądał. Gdy wóz pana Dobka wjechał w dziedziniec, widać było jakąś bieganię około domu, przy folwarku; coś zabielało w ganku i znikło, a wysiadającemu drzwi otworzył chłopak do izby w lewo, zapowiadając, że pani natychmiast służyć będzie.

Nim to nastąpiło, miał czas pan Salomon rozpatrzeć się w mieszkaniu, które mu się dość osobiście urządzonym zdało, po jego staroświeckich komnatach. Tu wszystko było świeże, nowe, wytworne na oko, a niewiele warte. Sprzęty, snadź sprowadzane z Warszawy, połyskiwały blaszkami brązowymi niewielkiego smaku; kanapki i sofy okrywały pstre materyjki kwieciste; pełno fraszek zapyzonych stało na gierydonikach wyglądających słabo i krucho; był i klawicymbalik, były i krosienka, ale to wszystko w ogóle, jak i kwiatki na oknach, wielce zaniedbane, dosyć zbrukane i prochem okryte.

Niedobrze się też ta, jakby pożyczana, elegancja świeża godziła z samym domem, po prostu skleconym, z pułapem, którego belki świeżo płótnem podbitym okryto, z niezgrabnym kominem i podłogą z tarcic sosnowych, którą próbowano powoskować i zaniedbano. Pokój był obszerny, a że się w nim tego dnia może nie spodziewano gościa, wśród eleganckiego sprzętu dość było rupieci porozrzucanych, które teraz dopiero służący naprędce chwytali i zabierał. Z wczorajszego dnia pozostały tu ślady jakby dosyć ożywionej zabawy: szklanki i butelki, taca z resztkami ciasta, gitara na sofie...

W ogóle mieszkanie mówiło o nieładzie domu i nierozwadze gospodyni. Godzina była spóźniona, służba powinna była mieć czas do uporządkowania. Uderzyło Dobka i to, że owa smutna wdowa i sierota musiała tu przecież nie dawniej niż wczora przyjmować jakieś ożywione towarzystwo.

Krzesła nawet stały w ten sposób jeszcze, że zdało się widzieć na nich kilka osób, które żywą musiały być zajęte rozmową. Co najwięcej wszakże zdziwiło pana Dobka, to szabelka nową fozą, z eleganckimi rapcami i czapeczka modna z piórkiem, przy rękawiczkach na stół rzucona.

Dość nierychło wbiegła najprzód młoda panienska w pośpiesznie widać narzuconym stroju, bardzo wykwintnym i jaskrawym, z kilku niepotrzebnymi muszkami na twarzycze jeszcze prawie dziecięcej a już uwiędłej, która się zwawo zaprezentowała jako kuzynka gospodyni, przeprasząc gościa, iż sama pani dotąd nie była ubrana, lecz że natychmiast służyć będzie. Oznajmiła ona też o niespodziewanym przybyciu krewnego pani Noskowej, rotmistrza kawalerii, pana Poręby, z którego powodu, ponieważ właśnie był nadjechał wczora wieczorem, taki nieporządek panował w domu. Panienska owa, ciekawymi bardzo oczkami prześwidrowawszy na wylot milczącego i zmieszanego pana Dobka, zaczęła podrygując na trzewiczkach z wysokimi korkami układać nieco rozrzucone rzeczy i ścierać fartuszkami

pyły. Ale zarazem nie zapomniała o gościu, ku któremu zwracała się sznurując usteczka, wdzięcząc się osobliwszym sposobem i łyskając oczkami. Manewra te byłyby może niebezpieczne, gdyby jejmościanka sama wdzięczniejsza była. Lecz twarzyczka bardzo młodziuchna, osobliwszym sposobem, jakby w atmosferze niezdrowej pielęgnowana, była żółta, blada i chorobliwej cery; oczka oprawne w powiekach zaczerwienionych nie miały blasku, a figurka, zręczna dosyć, wychudłą i zboląłą jakąś zdradzała istotę. Rzuciła ona słówkami ku gościowi, obracając się do niego i odbierając w zamian chłodnogrzeszne tylko uśmiechy, gdy drzwi od sieni otworzyły się z pośpiechem i trzaskiem i wszedł nimi ów, wczoraj jakoby przybyły, kuzyn jejmości, pan rotmistrz Poręba.

Po tym też poznać było łatwo, iż niedawno ze snu przedłużonego się przebudził, bo twarz miał jakby jeszcze zaspaną i obrzękłą nieco, oczy czerwone, a świeże umywanie mokra czupryna zdradzała i naprędce wyczesane wąsy. Rotmistrz wojskową miał postawę, wzrost prawie nadzwyczajny, tak że wchodząc drzwiami nieco głowę uchylić musiał, barczysty był, silny, snadź zbudowany na żołnierza. Twarz wcale nie była piękna, rozlana, czerwono-popstrzona, z oczyma małymi a zbyt szerokimi usty i gałkowatym nosem, lecz podgolona głowa, wyczupurzone ostro wąsy, ubiór bardzo złocistymi sznury oszywany i z widoczną pretensją włożony, wreszcie ruchy wyuczony oznajmowały człowieka, który się miał za pięknego, choć wcale takim nie był. Wyraz też oblicza pana rotmistrza nie pociągał ku niemu, było w nim coś szorstkiego, rubasznego i dzikiego prawie, a głos, gdy się odezwał, schryply, fałszywy, niemiły, jeszcze bardziej od niego odstręczał.

Poręba zaprezentował się jako kuzyn bliski jejmości, o której nieszczęściu zasłyszawszy, pośpieszył przybyć na ratunek.

— Alem ja tu niepotrzebny — dodał. — Jak skoro acan dobrodziej raczyłeś się zająć losem Sabiny, będziemy o nią spokojni, Tym większą winniśmy mu za to wdzięczność, iż wiemy, jak to trudno, nawykłemu do domu, wyrwać się z niego.

Onieśmielony rozgłosnym warczeniem i ruchami zamaszystymi rotmistrza, pan Dobek ledwie kilka słów mógł wycedzić. Poręba siadł przy nim bawić rozmową, tymczasem panienka, posprzątawszy i filuterne wejrzenie rzuciwszy na pana rotmistrza, znikła zostawiając ich samych. Gospodyni domu przyobiecanej jak nie było, tak nie było. Dawalo się to jednak i tym tłumaczyć, że niespodziewanego gościa obiadem przyjmować musiano, więc wszystko należało wydysponować.

Rotmistrz był gadatywus, lecz to, co mówił, nie odznaczało się ani dowcipem, ani zręcznością. Paplał, co mu ślina do ust przyniosła. Udział w tej rozmowie pana Dobka był

nader mały, mruczał, czasem słówkiem się odezwał, potakiwał i widocznie mocno był zakłopotany.

Służący wbiegł z tacą drewnianą, na której parę flaszek wódki, trochę piernika było i śliwek suszonych, kawałeczek masła i ser z kminkiem.

Na tę przekąskę, biorąc się skwapliwie do kieliszka, zaprosił rotmistrz; lecz Dobek od wódki, której nie pijał, wymówił się. Poręba więc, otworzywszy drzwi do sieni, jakby u siebie w domu był, huknął na sługę, aby wina podano. Od jedzenia po trzęskiej drodze nie wymawiał się pan Salomon, lecz co wziął w usta, znalazł tak suchym, gorzkim, popsutym i niesmacznym, iż się chlebem w końcu (a i ten był czerstwy, nieosobliwy) zadowolić musiał. Już to z pięknej Sabiny gospodyni widać była nietęga.

Rotmistrz wszakże, nie przebierając, po wódce zmiatał, co napadł, racząc się skwapliwie i na gościa niewiele zważając.

Pani domu jak nie było, tak nie było. Zegar z kukułką chrapliwym głosem, z wielkim sykiem i brzękiem wybijał już południe, *hora canonica*, gdy drzwi się nareszcie otworzyły, pan Dobek i rotmistrz wstali. Sabina z Purstłów Noskowa weszła.

Teraz odgadnąć było można, dlaczego się tak opóźniła, uznała bowiem za obowiązek do znakomitego a rzadkiego gościa wystroić się prawdziwie zbytecznie, szczególnie pomnąc, że była w żałobie.

Ubrana była wprawdzie czarno, z liliowymi tylko wstążkami i kokardami, lecz suknia podpinana, robion, stanik do gorsu, wycięty bardzo i oszyty suto koronkami, rączki po łokcie odkryte, z których jedną tylko długa okrywała rękawiczka, przepyszna na głowie konstrukcja fryzury, wszystko jak najtroskliwsze zajęcie tualetą i chęć podobania się oznajmowało. Na pięknym świeżym licu wdówki niepotrzebnie może odcień różu się okazywał i parę czarnych muszek białej płci dodawało blasku.

Wyszła z przymrużonymi, pełnymi omdlenia jakiegoś i zamyślenia oczyma, z uśmiechem wdzięcznym, rzeczywiście urocza i na podziw jaśniejąca. W blasku dnia może twarzyczka nie tak się młodziuchną wydawała Dobkowi, lecz postawę miała królewską i kształty wytoczone, a mimo rozwiniętych bujnie form w pasie szczupła była jak osa. Stukając koreczkami, podbiegła do pana Salomona obie ręce mu podając.

— A! Jakże ja pana dobrodzieja przepraszam nieskończenie za moje guzdralstwo! — zawołała, wdzięcząc się i sznurując pyszczek różowy. — Co pan dobrodziej pomyślisz o mnie? Ale gospodyni jestem i trzeba było o wszystkim pomyśleć. A najprzód, panie rotmistrzu, koniki do stajni! Niechże nie stoją! Ja na to nie pozwolę!

Dobek począł się wymawiać, że co rychlej wracać musi, lecz pani zakłęła się, że od gospodarskiego obiadku nie puści, a przy tym tyle było do pomówienia.

Rotmistrz poszedł konie odprawić, gosposia szczerze przysiadła się do nieszczęśliwego Dobka. Wprawdzie nie czyniła dziś na nim tego wrażenia, jakiego doznał po raz pierwszy, otoczenie wiele jej odejmowało; parę razy spojrzawszy jednak na nią i spotkawszy jej wzrok zbrojny w cały urok, jaki tylko nadać mu umiała, poczuł znowu jego siłę.

Rotmistrz, wyszedłszy do koni, przystał gdzieś na podwórzu, kuzynka się wymknęła jakby umyślnie, gosposia została sam na sam z panem Dobkiem i chociaż stary usiłował trzymać się od niej w pewnym oddaleniu, niby przypadkowymi ruchy umiała się tak przysuwać, iż, sam nie wiedział, jak znajdował się po chwili w niebezpiecznej odległości, z której zapach jej sukienek i pudru, niemal wonny oddech mógł uczuć. Upajało to nie nawykłego do takich pokus pana Dobka w sposób wielce miły i odurzający. Z kolei to czarnych oczu blask, to białych ząbków perły, to rączek kształty toczone, to figurkę swą zręczną umiała mu pokazać, niby bez myśli i zamiaru, tak naturalnie, iż prostoduszny pan Salomon nawet o zalotność jej nie posądził. Wszystko to przychodziło samo z siebie, przy ożywionym opowiadaniu. Dobek słuchał, a być może, iż harmonia głosu więcej go zajmowała niż sam przedmiot opowiadania.

Wdowa opisywała mu nieszczęśliwe położenie swoje. Uznała też za właściwe wytłumaczyć mu przybycie rotmistrza, który był krewnym i jedynym przyjacielem jej matki. Dodała, że ten pan Poręba zacny był, nieoszacowany i bardzo do rodziny całej przywiązany człowiek.

Wysłuchawszy dosyć długiego szczebiotania, z którego o właściwym interesie nic się dowiedzieć nie mógł, pan Salomon cichym głosem począł się nareszcie domagać papierów i przedstawienia stanu interesów.

Wdowa spojrzała nań słodko bardzo, pochwyciła za rękę.

— Mój mości dobrodzieju — zawołała z przejęciem wielkim — ileż ja winnam mu wdzięczności za tę nieskończoną dobroć jego! A, do śmierci ona nie wygaśnie! Lecz dziś nie byłam przygotowana, nie pozbierałam jeszcze papierów. A, jak mnie to zawstydz! Wnijdź pan dobrodzieju w położenie biednej wdowy; nieład od śmierci nieboszczyka we wszystkim, zaledwie przychodzę do siebie. Będę musiała błagać pana, abyś raczył mnie jeszcze odwiedzić. Znam jego zajęcia, wiem, co to za ofiara, lecz pan masz tak anielskie serce.

Dobek, zmieszany, ciągle się już tylko kłaniał, podawaną nieustannie rękę całował, a ile razy niósł ją do ust, czuł ściskanie swej dłoni, które mu aż do serca dochodziło.

W kwadrans go znowu oczarowała, a że śmielsza była daleko, uczyniła postępy nadzwyczajne. Staremu wino francuskie, którym go poczęstowano, nie tyle szło do głowy, ile urok tej niewiasty. Spojrzenie i uśmiech, których zrazu unikał, teraz go tak ciągnęły i tak mu się stały miłe, iż oczu od czarodziejki oderwać nie mógł. Jak na złość, rozmowa sam na sam przeciągała się ciągle, gdyż rotmistrz w ganku z kuzynką na ławce usiadł i do pokoju wracać nie śpieszył. Słysząc tylko było przez otwarte okno śmiech jego rubaszny a przykry, prawie do rżenia jakiegoś zwierzęcia podobny, i świszczące śmieszki bladej panienki.

Rozmowa ciągle się niby obracała około interesów wdowy, bolejącej nad swą niedolą. Dobek pocieszał i upewniał. Dano wreszcie do stołu i poszli na przeciwek do jadalni.

Wdowa podała mu rączkę, ową wytoczoną a białą, która jego drżącą a chudą cisnęła mocno do siebie. Nie on ją, ale ona jego wiodła do stołu pomaleńku, korzystając ze zbliżenia, szepcząc doń coś, aby twarz niemal przysunąć do twarzy, schylając się, słowem, obchodząc się w sposób najokropniejszy ze swoją ofiarą.

Panu Salomonowi serce biło wściekle i w oczach się mąciło, nie poznawał sam siebie. Pani Sabina coraz była weselsza. Posadziła go tuż przy sobie i zajęła się nim wyłącznie. Do stołu przybył naturalnie rotmistrz, który siadł z drugiej strony pięknej wdowy, panienka blada, która się przysunęła do Dobka, i oficjalista, człek młody, bardzo piękny, postawy męskiej, z blond wąsikami, skromnie, lecz starannie ubrany. Przy nim niemłoda już druga kuzynka jejmości, osoba lat czterdziestu kilku, okrutnie brzydka, wystrojona w żółte wstęgi, zajęła miejsce nierychło, brząkając kluczykami, które jej funkcji w domu były godłem.

Pan Salomon u siebie w domu nie był do wykwintnej kuchni przywykły; owszem, jadano, co Bóg dał i zgotowane po prostu. Tu trafił na coś wcale innego: półmiski były wyszukane, a mięso twarde, sosy obrzydliwe, węgla w potrawach pełno, słowem, ani przełknąć. Podano wino, które tak bardzo złe nie było, a rotmistrz począł dolewać i zmuszać do picia. Namawiała i gospoia. Dobek był mocno roztargniony; poczęto wznosić zdrowia: najprzód łaskawego sąsiada, potem miłej jego konsolacji, potem gospodyni, rotmistrza... Wszystkie wypić trzeba było do dna, gdyż pilnowano troskliwie, aby się komu na zdrowiu jego krzywda nie stała.

Pan Salomon, nawykły do swoich wytrawnych dwóch małych kieliszeczków maślaczku, uczył po frankońskim starym palenie policzków, w głowie myśli nader wesołe i humor cał dobry. Jadł nawet lepiej, nie zważając na węgle, a co większa, z wolna się rozgadał i parę razy rozśmiał. Był widocznie podchmielony.

Oczy całego stołu, nie ujmując nikogo, ciągle na niego były zwrócone; zdawali się wszyscy z niezmierną ciekawością każdy ruch jego śledzić i słowo. Rotmistrz śmiał się i dolewał kieliszka nieustannie, gosposia z drugiej butelki.

Gdy przyszło wstawać i prowadzić nazad jejmość do bawialni, nogi panu Dobkowi z początku się poplątały, wprędce jednak potrafił je przywieść do posłuszeństwa. Całe towarzystwo pozostało nieco w tyle, a pani Noskowa miała zręczność oprzeć się na ramieniu opiekuna i znowu przytulić do niego, zapewne przez roztargnienie.

W chwilę potem, gdy zasiedli w pokoju, zażądała jejmość ukazać opiekunowi ogródek, który urządziła sama między świerkami za domem, na wysokim brzegu nad rzeką. Niepodobna się było na tę przechadzkę nie zgodzić, w której nikt im nie towarzyszył.

Zręczna kobieta czując, iż każda chwila jest drogą, korzystała też z najmniejszej, posuwając się dalej, ośmielając, nękając na pół już podpitego i obalamuczonego pana Salomona.

Dobek, który przyrzekł był sobie jak najrychlej się stąd wynosić, zasiadł z jejmością na ławce pod świerkami i zupełnie się zapomniał.

— Mój Boże — mówiła doń wdowa, której oczu wcale nie unikał, pojąc się słodką trucizną — że też waćpan dobrodziej możesz w życiu tak samotnym smakować? Boć nie przeczę, dziecię, a zwłaszcza tak śliczna i miła córeczka, może ożywić i uprzyjemnić godzin wiele, lecz zawsze to dziecko. Miłość dla dziecka nie może serca zappełnić całego, czuć się pan musisz osieroconym. Panu należałoby, przy jego wieku jeszcze tak czerstwym...

Nie kończąc, rozśmiała się pani Noskowa, Dobek zarumienił.

— Gdzie mnie tam staremu o tym myśleć — rzekł mocno skonfundowany.

— Ale bo waćpan dobrodziej wcale starym nie jesteś, a ślicznie wcale wyglądasz i niejedna kobieta czułaby się szczęśliwą, pozyskując jego przywiązanie.

Panu Salomonowi, tak zagadnionemu gwałtownie, aż mdło się zrobiło.

— Sfiksować przyjdzie! — rzekł w duchu, zaniepokojony mocno, i odpowiedzieć już nawet nie umiał. Wdowa patrzyła nań swymi najczulszymi i najrzewniejszymi oczyma.

— To by było prawdziwie szaleństwo z mej strony — wychrząknął po chwili wstając, lecz pani Sabina nie ruszyła się z ławy i zmusiła go usiąść na powrót.

— Pan mi przebaczysz, że ja go tak poufale zagaduję — rzekła. — Wielki szacunek, jaki powzięłam dla jego osoby, i prawdziwie szczególna dlań sympatia, w pierwszej chwili tłumaczą mnie z tak zuchwałego postępowania. O tym też pan pomyśleć byś powinien, że córeczka za mąż wyjdzie, dom jeszcze bardziej opustoszeje, a toć i imię starożytne Dobków, w niedostatku płci męskiej dziedzica wygaśnie.

Westchnął mocno pan Salomon, odgadła bowiem myśl tajemną, którą się nieraz trapił.

— A to prawda! To prawda, moja mościa dobrodziejko — zawołał ręce zaciskając — lecz za późno o tym myśleć, a wyroki Opatrzności snadź tak chciały!

Noskowa się rozśmiała.

— Już to chyba dobrowolnie asindziej dasz wygasnąć imieniowi, boć daleko starsi od niego codziennie *się* żenią, cóż by to panu trudnego było! Poszłaby za niego każda z ochotą...

Dobek głowę spuścił, czuł, że dłużej już zabawić był nie powinien, nie odpowiedział nic i żegnać się począł. Jejmość nie wstrzymywała, podała mu znowu tylko rękę i zbliżywszy się, z powodu że i ścieżka była ciasna, i gałęzie bardzo zawieszono, szepnęła:

— Niechże też pan mnie odwiedza, bardzo proszę. Bardzo mu w mojej samotności wdzięczna będę. Rotmistrz pewnie długo nie zabawi, znowu zostanę bez nikogo. Kochany mój sąsiad i opiekun nie powinien opuszczać swej wdzięcznej pupili!

Ścisnęła mu rękę. Dobek pocałował ją znowu i weszli tak do domu, gdzie brzęk gitary i śpiew rotmistrza słyszeć się dawał. Oprócz niego piękny oficjalista czekał snadź na panią dla dyspozycji i rozmawiał z bladą kuzynką.

Dobek, pożegnawszy całe zgromadzenie, przeprowadzony do ganku, upojony i rozmarzony siadł na brykę i ruszył.

Nie opamiętał się, aż gdy z lasów wyjrzały mu Borowce, a z nimi przypomnienie córki, domu, spokojnego życia i postrachów nie nadaremnych, jakimi go na wyjeździe karmiono. Czuł dobrze, iż mu groziło niebezpieczeństwo, że zamach był wymierzony na jego spokój i swobodę; a jednak, widząc nawet jasno następstwa, nie mógł się oprzeć nadziei zdobycia jeszcze w życiu, już skazanym na martwe wspomnienia, chwil kilku jaśniejszych, rozkosznych, odrodzonej młodości. Wdowa była dlań cudownie piękna. Lubował się rozpamiętywaniem jej wdzięków, które ona tak umiejętnie podnieść ubiorem i oczom jego ukazać umiała.

— Ale co by to ludzie, co by to Lorka, co by to Aron powiedział! — mówił w duszy. — Jakim to uporem kupić trzeba to szczęście, które wszyscy poczytują za głupstwo!

Po długim rozbijaniu się z myślami, w końcu zbliżając się do zamku, pan Salomon powiedział sobie:

— Czy się ożenię, czy nie... a któż mi zabroni popatrzeć się na tę czarownicę? Taka gratka drugi raz w życiu mi się nie trafi, a drugi też raz żyć nie będę! Będzie co będzie!

Cieszyłaby się była pani Noskowa, gdyby w tej chwili w głąb jego duszy zajrzeć mogła.

Zsiadał z wozu pan Dobek, gdy uczył ręce córki na szyi, pocałunek dziecka na twarzy i usłyszał głos jej srebrny:

— Przecież wróciłeś, niedobry! Niedobry tatku! Ale to, pamiętaj, raz pierwszy i ostatni!

IV

Z Borowiec do Smołochowa było drogą urzędową, szkaradną i zapuszczoną, lecz opatrzoną w wizerunki jakichś mostków i podobieństwa grobelek, mil dwie drogi, które wymagały trzech godzin czasu, bo pośpieszać po wybojach i dziurach nie było sposobu. Droga ta, przed wieki jeszcze wyłożona, okrążała ogromne błota i ługi, a po lesie kręciła się fantastycznie; w istocie zaś Smołochów nie leżał tak daleko i pani Noskowa utrzymywała, iż gdy na nabożeństwo dzwoniono w Borowcach, a czas był spokojny, doskonale słyszał a dzwony z ogrodu za dworem.

Mapa też, którą rozpatrywał pan Dobek, dowodziła, że na prost przez rzekę się przewiózłszy, lasem w godzinę dostać by się można do sąsiadki.

Wabiła go ta sąsiadka! Wróciwszy do domu, pokoju nie miał, a choć się przed córką i ciocią z odwiedzin spowiadać nie chciał, choć przed Arona badawczym okiem krył się, zupełną udając obojętność, pan Dobek zajął się mocno panią Noskową.

Pierwszym skutkiem tego była ślepotą. Nie widział jej zalotności, nie z serca, ale z rachuby płynącej, niezręcznej, pośpiesznej, nie mogącej złudzić nikogo; kłamał sam przed sobą. Dom bezładny, niemiły, w którym na każdym kroku malowała się gospodyni płochość i zaniedbanie, nie wydawał mu się ani tak opuszczonym, ani tak niesmacznym, jak w pierwszej chwili. Tłumaczył wszystko gwałtownie na dobre, a dobre były w istocie tylko oczy pięknej wdowy, tylko jej twarzyczka i figurka, będąca całym wyposażeniem. Nie spytał siebie, co tam tak poufale porabiał kuzynek rotmistrz, czemu w domu rządzą się niesfornie oficjaliści i więcej było elegancji niż porządku, a wytworności zbytkowej, niż spokoju i ładu.

Poza tymi oczyma czarnymi, omdlałymi, nic widać, poza tym głosikiem dźwięcznym, nic słyhać nie było. Czuł, że szalał, a jak człowiek lecący z góry w pędzie, już się powstrzymać nie mógł. I to wszystko stało się tak prędko, nagle, w mgnieniu oka, jakby istotnie spadł z urwiska.

Przychodziły zrazu godziny chłodnego opamiętania, głos Lorki obudzał go i wytrzeźwiał; przyrzekał sobie otrząsnąć się i oswobodzić, lecz w chwilę potem głowa mu się zapalała i rwało go ku temu nieszczęśliwemu Smołochowu, do którego wybierał się ciągle, nie śmiejąc jechać, boby musiał przed Lorką kłamać, a ludziom milczeć kazać, co go upokarzało.

Ten nieszczęśliwy stan niepokoju i niepewności trwał więcej tygodnia i odbił się na twarzy pana Dobka, w jego humorze, oddziałął na zajęcia, gdyż nawet sprawy pieniężne, które go najmocniej obchodziły, teraz mu się stały znacznie obojętniejszymi.

Jednego dnia Aron, przyszedłszy, zastał go przeciw zwyczajowi siedzącym w krześle z głową podpartą na ręku, wpatzonego w okno i zadumanego dziwnie.

Nigdy, jako żywo, nie widział go Aron inaczej, tylko w rejestrach, w książkach rachunkowych lub nad handlowymi listami, a co mu zostawało czasu wolnego, z córką.

Teraz i Lorka zaniedbana była.

Żyd, który przeżył z nim na stopie poufałej lat tyle, a widywał go w najrozmaitszych okolicznościach, patrzył nań z uwagą wielką. Nietrudno mu było w nim odkryć symptomata zatrucia.

Ruszył ramionami, gładząc jak zwykle brodę.

— No, co jasny pan powiada — odezwał się — że ta jejmość, ta ze Smołochowa to jegomości wszystko jedno! No! Jak to można tego mówić! Wszak pan od tego czasu, jak tam był, i zmizerniał, i z pozwoleniem, zkiepściał ze wszystkim. To by i ślepy namacał. No! Co z tego będzie? Co z tego będzie?

— Cóż ma być i z czego? — odparł posepnie, wstając z krzesła, Dobek. — Nie ma nic i przywiduje ci się, po wszystkim. To prawda, że dałem słowo, pojechać muszę, a biedzę się z tym, że Lorce to zrobi przykrość. To cała rzecz, cały kłopot mój.

— A po co pan tam musi jechać? Po co musi? — spytał Aron.

— Dla jej interesów!

— To jest kłamstwo te jej interesy! Ona żadnych nie ma — rzekł Aron stanowczo. — Ja wszystko wiem. Ona tam ma swojego kochanka, pana rotmistrza, a to niegłupi człowiek, a ma jeszcze na zapas i więcej.

— Jak to! Kochanka? — zrywając się zawołał Dobek. — Co ty pleciesz?!

— A niech się jegomość nie gniewa, że ja jego po imieniu nazywam. To wszyscy przecie wiedzą.

— To jej krewny! — odparł pan Salomon.

— Może być krewny, ale oni się z sobą znają, proszę jegomości! At, co tu gadać długo. Niech pan napisze, że chory, że nie pojedzie, i raz temu koniec zrobić — rzekł Aron z pewnym rozdrażnieniem. — Na co tu w bawełnę obwijać? Ona na jegomości poluje, chce się wydać; jegomość jest słaby, da się złapać, a potem co? Czy panu spokój niemiły? A! Co za los dla panny Lorki! A panie!

— Ale mnie się o tym nie śni! — oburzył się Salomon. — Coś się ty uwziął mnie męczyć, Żydzie niedobry... daj mi pokój! Daj mi pokój!

Aron się skłonił, jarmułkę podniósł, głowę pogładził, palcami strzasnął.

— Aj, aj! Co mnie do tego!

Zaczęto mówić o Gdańsku, o drzewie, o smole, o fasach na potaż i na pozór skończyło się wszystko, gdy pod koniec rozmowy Dobek, obejrzawszy się wokół, przystąpił do Arona.

— Mój Aronie, ty jesteś moim przyjacielem, ja wiem to i ufam ci. Słuchaj, nie bądź dziecinny. Ja do Smołochowa parę razy dojechać muszę, a nie chcę, żeby Lorka wiedziała o tym i martwiła się, ty mnie do tego dopomożesz, dasz mi swój wózek.

Aron aż się cofnął.

— Żebym ja to zrobił! Żebym ja do rozboju dopomagał! A za żadne w świecie pieniądze! — zawołał oburzony. — Jaśnie panie — dodał gwałtownie — jeśli już do tego przyszło, pan jesteś zgubiony, ja panu mówię, pan zgubiony jesteś!

Zmieszał się pan Salomon, zaciął usta, snadź mu strasznie było przykro, że się niepotrzebnie wydał, lecz udał spokojnego.

— No, to dajmyż pokój temu, dajmy pokój — począł dumnie. — Ja nic już od was nie potrzebuję, kłaniam uniżenie.

Aron potrząsł jarmułką i z pochmurnym czołem wyniósł się powoli.

W Borowcach słudzy nawykli byli do milczenia i zastosowywania się do woli pana z niewolniczym posłuszeństwem. Żaden z nich badać nie śmiał nigdy, dlaczego pan co czynił, ani nawet rozmawiać o tym, co się działo. Najmniejszy szczebiot niepotrzebny lub ciekawość bywały powodem odprawienia łagodnego i usunięcia od obowiązków. W całym domu jednak znanym to było, iż pan czasem się w swoim pokoju na klucz zamykał razy dwa i trzy na dzień, a gdy drzwi znajdowano zamknięte wewnątrz, pukać nikt nie śmiał, dopóki on sam ich nie otworzył. W różnych porach dnia i nocy się to trafiało. Ludzie w największej tajemnicy mówili sobie, że stary pieniądze liczy. Wiadomo też było, że z mieszkania pana Salomona, z izby jego sypialnej, w której murze były wielkie zamczyste drzwi żelazne, prowadziły schodki do lochów, a w nich owe skarby złożone być miały, zebrane przez dziadów Salomona i przez niego. Nikogo tam nigdy nie wpuszczano. Co dziwniejsza, od lat niepamiętnych zawsze Salomon miewał w swej izbie przywożone rozmaite zapasy jadalne, a te, chociaż ich używać nie miał potrzeby, ginęły.

Ludzie domyślali się, że je może ubogim rozdawano.

Tego dnia też, po odejściu Arona, pan Salomon spojrzawszy na zegarek drzwi swoje zaryglował. Dobył potem, na sznurze jedwabnym wiszący, błyszczący klucz z zanadrza i

poszedł do sypialni, której drzwi, napuszczane oliwą, cicho otworzył. Przy nich wisiała latareczka mała ze stoczkiem wewnątrz; tę zapalił i z wolna po szerokich dosyć schodach kamiennych spuszczać się zaczął ku dołowi.

Szyja w grubym murze wykuta schodziła do podziemnego lochu, do którego wiodły jeszcze jedne drzwi, otwierające się bez klucza, za pociśnięciem gwoźdźcia. W tym skarbczyku dosyć szczupłym stały kufry żelazne pozamykane i para okutych szkatuł. Jedną z nich otworzywszy, pan Dobek dobył worek, który do kieszeni schował, obejrzał sklepienia, spojrzął ku wysokiemu ciasnemu okienku, przez które jak przez szparę wpadała światła odrobina, i podszedł w prawo, kędy było ciasne w murze wgłębienie. Kryło ono jeszcze jedne drzwi, otwierające się kluczem umieszczonym we framudze. Za nimi następowały ciasne schodki, a w dole widać było jakby izbę, prawie jasną w stosunku do tych, co je poprzedziły. Była sklepiona, z oknami w górze, tak umieszczonymi, iż chociaż przez nie wpadało światło i powietrze, z zewnątrz nic oprócz sklepień widzieć nie było można. Podziemie to, wyłożone flizami gładkimi, wąskie, puste, nie zawierało nic oprócz złamanych krzesel kilku i zbutwiałych drzewa kawałków. Naprzeciw drzwi wchodowych, w ścianie, widać było drzwi jeszcze, na podwyższeniu, do których po kilku się schodkach wchodziło. Dobek z wolna, ze spuszczoną głową wdrapał się na nie i do drzwi zapukał, przykładając do nich ucho. Nie było słyhać nic. Zapukał jeszcze raz, zaszleściło coś, nie czekał już i drzwi z wolna otworzył.

Izba Znowu, lecz znacznie większa, ukazała się przez nie, sklepiona, lecz jakby na mieszkanie urządzona. W lewym jej rogu był mały piecyk i kominek niezgrabny, w pośrodku stół dębowy na krzyżowych prostych nogach, jedno przy nim wysiedziane, skórzane krzesło. Z boku stała szafa prosta, szerniała i opylona, w kącie od drzwi ogromna trumna, z kłód drewnianych wyciosana, spojona żelaznymi klamrami, obok niej wieko podobne, oparte o ścianę.

W niej widać było wysłane łoże, poduszkę, pokrycie... Na półce w ścianie stały różne ubogie sprzęty, potrzebne człowiekowi niezbędnie do życia: garneczki, miski, lichtarz, dzban z wodą i szklanka. W trumnie, ze zwieszonymi z niej nogami wychudłymi, nagimi, okrytymi bujnym włosiem siwym, siedział starzec z niezmiernie długą rozpuszczoną białą brodą, która mu kolana okrywała. Na nich trzymał wsparte ręce kościste, których stawy nabrzmiałe jak węzły, żyły wydęte, skóra pomarszczona zgrzybiałości nosiły piętno. Spod odzieży grubej sukiennej wyglądało ciało wyschłe, bez koszuli, kości i skóra tylko. Z pośrodku ramion przygarbionych wystawała głowa z wierzchu łysa, po bokach długimi srebrnymi osłonięta włosami, z twarzą ascety lub derwisza, żółtym pargaminem ociągnięta.

Długie zamknięcie w tym podziemiu na wpół strawiło tego człowieka; był to żyjący trup tylko. Na czaszce i licu wszystkie kości rysowały się wyraźnie, oczy głęboko były wpadłe, a dwoje brwi rozrosłych, nasuniętych, osłaniało je niemal całkowicie. Dolna warga ust, sina, wisiała drżąca. Na obliczu nie było innego wyrazu oprócz ponurego, dzikiego, obojętnego zamyślenia.

Słyszając wchodzącego, starzec siedzący w trumnie z wolna podźwignął głowę z trudnością, rękę jedną poruszył, opadła zaraz bezsilna.

Dobek zbliżył się na palcach, ostrożnie, nic nie mówiąc.

Ponury, słaby głos dobył się z piersi siedzącego:

— Salomon?...

— Tak, ojcze.

— Dawno nie byłeś?

— Wczoraj.

Stary zamilkł, rękę podniósł.

— Daj mi kroplę, kroplę wina z wodą, siły nie mam... Koniec bliski...

Dobek w murze znalazł z łatwością butelkę; wlał do kieliszka nieco wina, trochę wody i podał je starcowi, który chwycił z trudnością szkło i podniósł do ust z widocznym wysiłkiem. Wychyliwszy napój, oddał kieliszek Dobkowi. Jakiś czas siedział jeszcze z głową spuszczoną, chwycił się za piersi, potarł, jakby się z odrętwienia chciał rozbudzić, i czoło podniósł rzeźwiej nieco.

Naówczas spod brwi nawisłych ukazało się dwoje oczu siwych, jakby zeszlonych, które starzec wlepił w Salomona.

— Co tobie, Salomonie?

— Nic, ojcze.

— Ty inny jakiś jesteś! Dobek lekko się wstrząsnął.

— Nie wiem.

— Ty przychodzisz mi coś powiedzieć — rzekł stary. — Ja wiem, wiedziałem, że przyjdiesz i że mnie będziesz pytał, ja wszystko widzę, gdy oczy zamknę.

Salomon snadź był nawykł do takich pytań, milczał.

— Ja czasem widzę was chodzących po zamku, ciebie, Lorke... Słyszę jej głos i śpiew, i latanie...

Mówiąc starzec się coraz rozgrzewał, głowę podnosił wyżej.

— Mów, Salomon, ty chcesz coś powiedzieć...

— Tak jest — odezwał się w końcu Dobek, zdobywszy się na męstwo. — Tak jest, przyszedłem po radę.

— Do trumny! Do umarłego — przerwał starzec. — A co mnie do żywych, choćby oni dziećmi byli moimi? Albo ja wiem, co się ze świata zrobiło teraz? Ja umarły! Jam skazany, jam banita i infamis... któremu kat by głowę ścinał. Po co ścinać? Sama lada chwila spadnie jak owoc dojrzały. Co mi powiesz, Salomonie?

— Ojczy — drżącym głosem począł Dobek — czy rodowi i imieniowi naszemu gasnąć na mnie?

— Gasnąć? A córka twoja? — rzekł stary.

— A imię?

— Imię? Cóż znaczy imię? Co znaczy ród? Prochu garść. A ile ich rozniosły wiatry na gościńcach? Wszyscy ludzie jeden ród, jeden człowiek, jedna nędza i jedno robactwo.

Podniósł głowę jeszcze wyżej, aż szyję opasaną sznurami żył szerniałych widać było, i zaśmiał się śmiechem zapomnianym, nieumiejętnym, podobniejszym do płaczu niż do ironicznego pośmiewiska.

— Co ci jest? — zapytał po chwili, popatrzywszy na syna. — Ażali ci mało było kobiety jednej w życiu, która ci przyniosła wiele łez, żalu i troski, a chcesz drugiej, która ci przyniesie może hańbę, srom, rozpacz?

To mówiąc starzec, otulając się sukiennym płaszczem, który mu z bark spływał, wstał na nogi drżący i rozprostował się, chudą rękę wyciągnął ku Salomonowi. Z zagasłych oczu iskry strzelały.

— Pamiętaj na mnie! — rzekł stłumionym głosem. — Pamiętaj na mnie! A nie powiem ci więcej nic. Jam musiał być zabójcą, aby plamy na tarczy białej nie było i muszę nosić na rękach krew i położyć się z nią w trumnie, aby cała spadła na mnie jednego. Ja także chciałem szczęścia i rodowi potomków, a ta, którą ja zabił, była matka twoja, a ten, którego ty więzić musisz, aby go nie kaźnili ludzie, to jest ojciec twój! Pamiętaj na mnie! Pamiętaj na mnie!

Kończąc starzec się zsunął z wolna i siadł znowu w swej trumnie.

— Czego ty chcesz? — mówił, spoczawszy, zdyszany głosem. — Żony? Tyś stary, ty masz dziecię, ty chcesz macochy w domu? Ty chcesz tu wprowadzić obcą niewiastę, szpiega, którego oko podpatrzy wszystkie tajemnice i kąty, wywlecze ci twoje złoto i zrobi z ciebie podściółkę pod nogi? Ja co dzień bałem się tego i myślałem, że nie dożyję, a dożyłem.

Salomon stał w myślach pogrążony i milczał. Nie odbierając odpowiedzi, starzec kościstą dłonią uderzył po kolanach.

— Mów!

— Nie mam nic do powiedzenia — cicho odparł syn. — Ojciec z trumny patrzysz na świat, a jam żywy, ja chcę żyć...

— Czemużeś nie opamiętał się wprzód, gdyś młodszym był?

— Bom bolał po tamtej.

— Bolał! — zawołał ojciec śmiejąc się. — A tyś Bogu powinien był dziękować, że ci ją wziął, gdyś jeszcze kochał, gdy z tego miodu serdecznego nie wyrodził się ocet! Głupi człowiecze, głupi! Pamiętaj na mnie! Mówię ci raz jeszcze, pamiętaj na mnie! Patrz na pokutę moją. Za co? Za to, że ja, pan i głowa domu, i najwyższy sędzia w rodzinie mej, osądził i ukarał. Ty słaby, ani sędzią, ani mścicielem być nie potrafisz, będziesz ofiarą, a za sobą powleczesz dziecko, i ród, i mnie.

Salomon ręce załamał, stał i drżał.

— Z trumny mówicie — powtórzył głosem dzikim prawie od namiętności, która w nim kipiała. — Dlatego, że wam życie odjęto, wy mnie je odebrać chcecie? Dlaczego ja mam być najniezwyklejszy i trafić na zło, i za miłość być zapłacony zdradą?

— Coć rzec więcej? — szepnął, jakby do siebie mówiąc, starzec. — Tyś oszalał! Do szalonego, jak do ściany, mowy nie ma... Idź, a kręć karki. Jać zemrę lada dzień, po co się oglądać na mnie? Czyń, co chcesz! Rodowi naszemu może za tę krew przelaną napisano jest zginąć, niech ginie. Ja ci nie rozkazuję nic i nie radzę nic, bo przeciw wyrokowi bożemu nie ma rady ani rozkazu. Łamiam sklepienia i druzgocą skały, a cóż człowieka? Mówisz, że mówię z trumny i patrzę z trumny. A wiesz ty, jak jasno, jak daleko widzi człowiek z takiego grobu, z takiej pustki i milczenia? Wszystko w nim gaśnie, wzrok, słuch, siła umiera, otwierają się oczy duszy i promień ich strzela, sięga przez mury i serca, w głąb pieczar, w przepaści dusz. Mnie oczu nie potrzeba cielesnych, tamtymi widzę wskroś ciebie, a nawet los twój przyszły. Zgaśnięcie wszyscy. Nie pomoże nic, a tamtą, zabita, pomści żywa.

Tchu starcowi zbrakło. Głowę zwiesił, milczał i oddychał ciężko, piersi mu całe z kośćmi poruszały się jak miech kowalski, na policzki wystąpił pomarańczowy, ceglany rumieniec. Dobek jak skazany stał i słuchał nie słysząc. Pomiedzy owym starcem, co żywego dawno nie widział świata, a nim, nie było nici, co by łączyła myśli i zbliżała pojęcia. Mówili jakby dwoma odmiennymi językami. Zrozumieć się nie mogli.

— Mów! — zawołał z wysiłkiem ojciec.

— Cóż powiem? — odparł Salomon. — Niech będzie, jak Bóg zrządzi. Ja już nie wiem sam, gdzie i jak się obrócić mam. Życie mi zbrzydło.

— I dziecko, dziecko, którego głos mnie tu, w tym grobie, gdy je posłyszę, poi i koi — zawołał stary — i to dziecko ci zbrzydło, Salomonie?! Grzeszny jesteś. To jedyna miłość na

świecie prawdziwa, ze krwi i wnętrzości płynąca, to jedyna pociecha życia, a ty odpychasz, co karmi, i chcesz tego, co truje? Tyś oszalał, Salomonie.

— Uleczże mnie z mojego szaleństwa! — zawołał Dobek. — Ulecz, wyrwij mi to z serca, co się w nie wpiło jak kleszcz.

— Kleszcza, gdy się wpił, nie wyrwiesz, czas był dawno! — rzekł stary. — Uleczyć? Jak cię leczyć? Gorzkim lekiem! Patrz, tam, na stole to lekarstwo, którym ja się leczę od żywota choroby. Weźmiej tę Biblię i czytaj ją, a czytaj nieustannie, a nędzę człowieka i marność rzeczy ludzkich pojmiesz i nie będzie ci żal rodu ani imienia, ani pożądasz niewiasty, ani ślubów powtórných.

Wnijdź cały w księgę i osłoń się nią, a przyoblecz, nie tkną cię pociski.

— Ja ją czytam co dzień! — odparł Dobek. — Przecieżem nie stał się niewiernym wierze moich dziadów anim odstępcą się stał od prawdziwego wiernych kościoła, od kościoła braci mej żywej a umarłej.

— Cóż po tym? Czytasz usta! — rzekł starzec. — Rękę mi daj! Chodź! Toć będzie lekarstwem, pójdź do tych, z którymi ja żyję i obcuję co dzień, oni ci powiedzą za mnie, co czynić masz. Chodź ze mną!

Posłuszny staremu, acz z widocznym wstrętem, Salomon rękę podał ojcu, który się zwiesił na jego ramię.

Za framugą w głębi było lekkimi drzwiami, ledwie przymkniętymi, zakryte wnijście. Poza nim ciemniej było. Okna mniejsze wpuszczały od góry tylko trochę słabego światła. Daleko w mrok ciągnęły się sklepienia oparte na grubych, niskich słupach. Tu nie było posadzki, tylko gruba warstwa piasku, w której nogi tonęły głęboko. W lewo i w prawo przy ścianach stały trumny, sarkofagi i monumenta rzeźbione z marmuru i porfiru, tablice z napisami, urny z popiołami, od małej trumienki dziecięcia aż do olbrzymiej rycerza pierwszych wieków, stały rzędami coraz inne, na pół rozsypane, całe, rozbite i kośćmi sterczące. Niektórych otwartymi boki sypały się kostki i reszty zbutwiałych sukien. Nad jednym z grobowców wykuty z białego marmuru kościotrup z kosą i klepsydrą zdawał się panować, górując ponad cmentarzem.

Szli w milczeniu. Starzec oglądał się i mruzczał imiona i pozdrawiał śpiących towarzyszków a praojców; czasem uśmiech prześliznął mu się po wargach. Doprowadził tak powoli syna aż do drugiej izby, oddzielnej, gdzie trumny nowe były. Przy jednej z nich na ziemi wyklęczane dwa doły, wytarte dwóch dłoni na aksamicie znaki wskazywały miejsce rozmyślań i pokuty.

Starzec doszedłszy do trumny padł na kolana, dłonie oparł na niej, głowę przyłożył do desek i po chwili cicho rzekł synowi:

— Idź! Idź! Dosyć dla ciebie. Idź z Bogiem!

Głos, którym to wymówił, był tak słaby, że tylko wpośród ciszy grobowej Dobek mógł go pochwycić. Przystąpił do ojca, aby mu dłoń pocałować, stary nie drgnął, nie powiedział już słowa, zatopił się we wspomnieniach.

Poczekawszy chwilę, Salomon cofnął się przez groby i drogą, którą przyszedł, do izby ojcowskiej. Tu opatrzył półki, czy mu czego nie brakło, odemknął szafę, wsunął do niej, co przyniósł w kieszeniach, i począł wracać, zamykając drzwi za sobą.

Wszedł znowu do skarbczyka, po którym wzdłuż i wszerz odbył małą przechadzkę, spróbował wiek swoich kufrów i zamknąwszy przedostatnie drzwi, po schodach dostał się do swej sypialni. Zgaszoną latarkę powiesił na miejscu, wzięty worek złota wsunął do szuflady i zamykając za sobą, powrócił wreszcie do jasnej swej izdebki, której drzwi odryglował.

Pomimo oswojenia z tymi widokami, z mową ojca, którą słyszał codziennie, dzisiejsze z nim widzenie uczyniło na Dobku wrażenie silne. Siadł zadumany w krześle. Jeszcze przed oczyma jego suwały się mary trumien i szkieletów, gdy już promienny dzień przynosił mu inne obrazy; w mrokach wyobraźni nikły grobowe, wstawały jakby we mgłach poranka wykwitłe obrazy życia i szczęścia. Piersią oddychał wolniej.

Zapukano do drzwi. Po chwilce otworzyły się one i Lorka, na pół po męsku ubrana, w stosownym kapelusiku z galonem na główce, wbiegła wesoła, aby się ojcu pokazać i uściskać go. Na białej kazimirkowej spódniczce miała fraczek, także galonami oszywany, na piersiach żaboty męskie, kamizeleczkę, na szyi chustkę koronkową; a było jej w tym, zresztą dosyć naówczas praktykowanym stroju, tak pięknie, iż się ojcu aż ponure lice uśmiechnęło.

W jej osobie występowało doń to życie, którego wołał i pragnął, pod postacią młodością kwitnącą a zdającą się na wieki panią życia i młodości. Któż by, patrząc na to zjawisko, mógł przy-' puścić istnienie starości, konieczność śmierci? Wyglądała jak nieśmiertelność żywota na ziemi, odradzającego się wiecznie w tysiącach postaci. W oku, w ustach, na czole brylantowa świeciła dziewicza wesołość.

— Patrzcie, ojczu! — zawołała — jak mi to ładnie w tym męskim stroju! Patrzałam w zwierciadło i poznać się, i nacieszyć sobą nie mogłam! Jaki ze mnie tęgi mężczyzna!

— To prawda! Ależ ty jeszcze jesteś piękniejsza jako kobieta! — rzekł uradowany ojciec.

— A nie! O, wcale nie, ojczu! — wołała potrząsając główką, na której umocowała kapelusik, aby nie spadł — co nie, to nie! Jako kobieta jestem sobie pospolita dziewczyna i, jak tatka kocham, najmłodsza córka Arona daleko ode mnie piękniejsza, wygląda jak Rebeka na obrazku, który mi darowałeś, a po męsku nikt mi nie dorówna. Ja bardzo męski strój lubię.

— I dosyć niepotrzebne a niewłaściwe masz gusta męskie — odparł ojciec — te dziewczęciu nie przystoją!

— O! O! Gderz sobie, gderz — rozśmiała się. — Ja nawet wiedziałam z góry, że ty musisz pogderać. A co to pomoże? Konie lubię, a tak mi się chce na którego sięść.

Figlarną zrobiła minkę.

— Ale ty, tatku, nie pozwolisz? — rzekła.

— Niech Bóg uchwala! A to by było ślicznie!

Lorka przechadzała się po pokoju nucąc, a z miny poznać było można, że tego pozwolenia nie czekając pono, musiała już cichaczem konia próbować. Ojciec prawie to przeczuł czy odgadł, zafrasował się jakoś.

— Coś ty mi masz minę jakbyś, jakbyś, nieposłuszne dziecko — rzekł — pozwoliła sama sobie? He?

— E, co tam! — przerwała Lora. — Nie mówmy o tym. Ale co prawda, to prawda, że na konika sięść i z chartami polecieć w pole, z wiatrem w przegony... ha! Ha! Ach! Aż się serce raduje. Czemu ja nie urodziłam się mężczyzną!

— Lorko! Na miłość Boga! Co ci jest? Do rozpaczki mnie przyprowadzasz! — zawołał ojciec. — Dość tego!

— Zatem czy mam tatka pożegnać? — spytała stając przed nim, podparłszy się w boki i naśladowując męską postawę, podała mu do uścisku rękę.

Ojciec ją czule pocałował.

— Już cię korci wylecieć? — westchnął.

— Kiedy mi mówić nie dajesz, co ja bym chciała! — zasmucona niby zawołała Lorka.

— Pleć już sobie, dziecko moje.

Dziewczyna, ośmielona, przysunęła mu się do ucha i zaczęła półgłosem:

— Prawda, że ja za mąż pójść muszę? Widzisz, wybiorę sobie pięknego mężczyznę, rycerza, myśliwca... a jak będę miała ślub z nim brać, powiem mu — inaczej nie, tylko musimy razem jeździć na polowanie! — Chłopiec będzie bardzo rozkochany, bo rozkochać go wprzódki muszę, padnie na kolana i na wszystko się zgodzi. Nazajutrz po ślubie na koń i w pole, to będę hasała!

Ojciec patrzył i zasepił się.

— Skaranie boże — rzekł — co za myśli! Gdzie się to one tam w tej ślicznej główce rodić mogą?

Lorka się śmiała; poszła do małego zwierciadła w drugim pokoju, w którym były drzwi żelazne, aby się przejrzeć.

— Tatkuniu — zawołała — a kiedyż mnie poprowadzisz do skarbcza?! Zawsze obiecujesz, przyrzekasz, a nigdy dotrzymać nie chcesz. Ja jestem strasznie ciekawa... lochy... groby... skarby. Często przez zamurowane okienko zaglądam, nic nie widać! Nic a nic... Chodzę, szukam, gdzie by co zobaczyć! Już ci tam zaprowadzisz kiedyś? Obiecałeś.

— Po co ci to? — chmurno mruknął ojciec. — Wiesz dobrze, że tam nie ma nic, tylko groby i mój tam skarbczyk na papiery.

— Papiery! A to dobre! Papiery! Przecież tam masz kupami, jak w stodole pszenica i żyto, leżące złoto, osobno holenderskie, osobno portugaly, i chodzisz szuflować, żeby to nie zatechło. Widzisz, ja wszystko wiem!

Stary już się śmiał.

— Kiedyś mi musisz to pokazać! Przecież ja bym i te groby nasze raz chciała zobaczyć. Jakie to musi być straszne! Ha!

Zamyślony już siedział pan Dobek, nie odpowiadając nic. Lorka pomiarkowała, że go tym zasmucić może, i zamilkła.

— Jeszcze bym tatkowi powiedziała — odezwała się — ale boję się mu zrobić przykrość, mówiąc o tych lochach...

— Coż takiego?

— Bo to może przewidzenie, ale raz w nocy, gdym poleciała na ogródek słuchać słowika, który w bie prześlicznie śpiewał, jak tatkę kocham, w jednym okienku od grobów świeciło się.

Trochę wylękły obejrzał się Dobek.

— Cóż? Co? Nic szczególnego, mogłem ja chodzić w nocy do skarbczyka, bo to się często zdarza, po papiery.

— O, to dobrze! Niby ja nie wiem, które okno od skarbczyka — przerwała Lorka — a świeciło się dopiero w trzecim. Ja się nic a nic nie boję umarłych — dodała dziewczę — nic a nic i nawet bym była ciekawa, z którym z nich pomówić. Więc przykradłam się do samego okna. Najwyraźniej ze środka się świeciło jakby od świecy, przyłożyłam ucho... nic, tylko głuchy szelest jakiś.

Dobek pobladł, lecz wprędce zebrał myśli i przybierając minę spokojną, rzekł:

— I nie ma nic szczególnego, że tak było. Za skarbczykiem są jeszcze dwie izby pod moim kluczem, gdzie trzymam różne papiery, klejnoty stare, rupiecie. Musiałem tego dnia pójść czegoś szukać.

— Jak drugi raz zobaczę światło, to przez okienko huknę: „Tatku, dobranoc!” A ty mi, proszę cię, odpowiedz: „dobranoc!” — Zgoda?

Pan Salomon ruszył ramionami.

— At, o tych tam lochach nie paplałabyś, z tego się niedorzeczne tylko rodzą baśni, proszę cię.

Lorka natychmiast umilkła, pocałowała ojca i wesołym kroczeniem, podparta w boki, poczęła znowu się przechadzać po pokoju.

Cała ta z nią rozmowa poruszyła Dobka i odjęła mu tę odrobinę wesołości, którą był zrazu przy niej odzyskał. Spoglądała na niego córka na próżno, badając, czy się nie rozchmurzy; wreszcie coś zobaczywszy z okna, zawinęła się nagle i pobiegła jak strzała.

Pozostawszy sam, rozmyślał stary. Ojcowskie wyrazy wracały mu na pamięć ciągle, a obok nich śmieszek wesołej wdówki i figlarne jej spojrzenia.

— Niekoniecznież dlatego się mam zaraz żenić, że tam dwa razy będę! — rzekł w sobie. — Albo to mi świeżego powietrza przy niej zaczerpnąć nie wolno? Mój Boże! Życie spędziłem jak pustelnik, trochę weselszej myśli ma mi być wzbroniono!

Ruszył ramionami.

— Aron powiada, że rotmistrz... ale Żyd bredzi! Przyjaciel jej matki, sama mi to mówiła, krewny, zaraz ludzkie języki oszczerstwo uplotą. Stare, nudne Żydzisko.

Pan Dobek począł myśleć a myśleć i w końcu wpadł na postanowienie utorowania sobie drogi na prost, przez rzekę, do Smołochowa. Do uczynienia tego tak, aby nikt we dworze o tym nie wiedział, posługiwała ta okoliczność, że ludzie do milczenia i ślepego spełniania rozkazów byli nawykli.

Któż by go miał szpiegować lub czynności jego sobie tłumaczyć? Bywało bardzo często, że się na znaczną część dnia oddalał, dla widzenia potażami, liczenia sążni łuczywa, na bindiugę itp. Mógł więc i teraz pojechać sobie do Smołochowa, bo wprost miał godzinę drogi, dwie tam i na powrót, a parę jeszcze na miłą konwersację z wdową pozostawało. Starego Eliasza zawołał.

— Słuchaj, mój stary — rzekł — trzeba, żeby mi było naprzeciw krzyża, około mogiły tatarskiej, zawsze dobre czółno lub obijanik do przewozu, dzień w dzień, bo nie wiadomo, kiedy go będę potrzebował. Przewoźnikowi policzy się za każdy dzień dwa dni. Za rzeką mieszka Fedor, leśniczy, zaraz od skraju, ma on konie?

— Dwa, dwa i dobre — rzekł Eliaz, potakując sobie starą głową, którą muskał, gdy mówił.

— Fedorowi nakazać, żeby konie miał zawsze gotowe do wózka. Rozumiesz? To mu się zapłaci. Mnie tam po lasach kradną, trzeba się pilnować. A Fedor milczeć umie?

— A jakżeby nie umiał? — odparł Eliaz. — U nas to przecie zaprowadzenie takie.

— I powinno być, język trzymać za zębami — rzekł Dobek gorączkowo jakoś. — Eliasz mi to urządzi tak, aby we dworze żywa dusza nie wiedziała... Żywa dusza! Aby się nikt nie domyślił! Ani Aron, ani panienska, ani panna Henau, nikt.

— A, jak nikt, to już nikt! — powtórzył Eliasz.

— Kiedy to może być? — zapytał Dobek.

— Od jutra, jaśnie panie.

— Pewno?

— Niezawodnie, tylko ja dziś w wieczór służyć nie będę, a proszę powiedzieć, że poszedłem do zięcia na sioło.

Eliasz wysuwał się już.

— Słuchaj, stary — cicho zapytał Dobek — czy przewożąc się czółnem naprzeciw mogiły tatarskiej, widać będzie z zamku?

Stary podumał i głową pokręcił, i głowę pogładził.

— Ot, nie wiem — rzekł — ano, popróbuję rano.

— Gdyby z zamku widać było, potrzeba — rzekł Salomon — dobrać na obijanik miejsce takie, żeby go z zamku nie widziano. A że panna czasem po brzegu biega i daleko, niechże schowają czółno w łozy, żeby widać nie było, bo ona zaraz dostrzeże i pochwycić gotowa. Czółno musi mi zawsze być. Ano, bez koni czółen nic niewart, a konie bez czółna na nic się też nie zdały.

— To się rozumie! — wtórował Eliasz. — To już się rozumie.

— Gdy pewien będziesz, iż wszystko gotowe, jak się należy, to mi nic nie mówiąc, jutro rano dasz nowy kontusz i buty, a powiesz, że się stary popruł i że go do krawca odesłałeś.

Eliasz zrozumiał, lecz zarazem posmutniał, głowę schylił; zamiast ją pogładzić, podrapał się nieboraczysko i sapnął ciężko.

— No, co ci to?

— No, nic.

— Cóż ci tam znowu?

— Et, co ma być?

— Ano, mów!

— Hm! Panisku mój! — wpół go ściskając rzekł Eliasz. — Jeśli to do Smołochowa, będę miał na sumieniu! Dobrodzieju! Ojcze! Mnie ten kontusz naprowadza... Po co ci tam? Biedy szukać...

Mówił cichusieńko. Dobek oczy trzymał spuszczone.

— No, już tam troskę o to zostaw mnie, a nie lękaj się. Poklepał po ramieniu kłaniającego się nisko sługę.

— Zrób, jak mówiłem, reszta moja rzecz. Nie ma się czego obawiać. Ja wiem, co robię. Eliasz wyszedł milczący, lecz w duszy sobie mówił: „Żebyżeś ty wiedział, co robisz!”

V

Na oko nic się przez długi czas nie zmieniło w Borowcach; jedna tylko okoliczność zwracała uwagę Lorki, panny Henau, a może i służby, że Dobek często bardzo wychodził do oglądania jakichś robót w lesie, wracał późno, czasem nadzwyczaj wesół, dobry i jakby podchmielony, niekiedy przeraźliwie chmurny i przybity. Naówczas zamykał się w swej izbie i przez dni kilka nie wychodził z domu. Potem porywał go niepokój i znowu znikał.

Nikt go nie śmiał śledzić nawet oprócz starego Arona, wiedzącego wszystko, cudownym jakimś sposobem, bo przed nim nic się ukryć nie mogło. Lecz i Aron nic nie mówił panu Dobkowi; posepny był, robił z nim rachunki, rozpytywał się o interesach, a potem żwawo odchodził. Łatwo było w nim dostrzec, że się na jegomości gniewał. Dobek też po jakimś czasie sam to zrozumiał, zarazem domyślając się powodu, i dlatego nie badał Arona.

Wycieczki te trapiły też bardzo Lorkę, bo jej ojca kradły; kilka razy mu wymawiała, że więcej handlu niż jej pilnuje i prosiła Pana Boga, żeby co prędzej przysła zima i żeby się tatko tak włóczyć nie mógł.

Pan Salomon i na chmurną twarz Arona, i na córki kaprysy nie zważał. Wreszcie nadeszła i ta pożądana zima, kry płynąć zaczęły, potem rzeka choć stanęła, lecz brzegi oparzeliste z trudnością ją przejść dozwalały, zamiecie były straszne, śnieg pozawiewał ścieżki i drogi. Wycieczki pana Dobka ustały. Co większa, sam Salomon osmutniał jakoś i nie szukał środków dostawania się potajemnie do Smołochowa, jakby stosunki te chciał gwałtownie przerwać. Co tam zaszło, nie wiadomo, lecz coś pewnie zająć musiało, gdyż pan Salomon wziął się na nowo do pracy z przymusową gorliwością, częściej począł do córki chodzić, dłużej u niej przesiadywać i wracać do dawnego trybu życia.

Kilka razy Eliasz mu z miasteczka przynosił listy jakieś i oddawał potajemnie, na które Dobek mówił gniewnie: — Powiedz, że nie ma żadnej odpowiedzi.

Jednego dnia, gdy to już kilka tygodni tak trwało, przyszedł Aron Lewi, weselszy, niż od dawna bywał. Zaczęli mówić o interesach, o tym i owym, jakoś poufniej, po staremu.

— Otóż to tak — rzekł Żyd — to ja jegomości lubię. At, trzeba było dawno porzucić!

— Co? Co porzucić?

— Ach, niby pan tego nie wiesz! Ano dość, że my się rozumiemy, to był kiepski interes.

Zmilczał pan Dobek.

— Jeszcze to nie koniec — szepnął Aron. — Oni będą szturmowali, a niech się jegomość tylko dobrze trzyma.

— Gadasz zagadkami! — zawołał Salomon. — Kto, co, po co, ma szturmować?

Aron więcej mówić nie chciał.

Dnie zimowe krótkie. Ledwie wstali od stołu, Eliasz przybiegł oznajmić, że jakiś jegomość przyjechał i że domaga się widzieć na osobności z panem Salomonem.

Dobek się spytał, jak wygląda, i trochę niespokojny na dół, do izby przy swojej kancelarii, kazał prosić. Rzadko tam kogo przyjmował. Zeszedł ze schodów chmurny bardzo, posepny, chwiejąc się na nogach, zatrzymując w pochodzie, zdając namyślać, rozmyślać, lecz zwłoki te na nic się nie przydały, trzeba było stawić czoło natrętowi. Dobek wszedł.

Naprzeciwko drzwi stał niezmiernie wyszamerowany i cały przybrany w kutasy i sznury pan rotmistrz Poręba, oparty na pałaszu, z miną uśmiechniętą i złośliwą.

— Pan dobrodziej pewnie się mnie tu nie spodziewał — rzekł kłaniając się — i nie byłbym go inkomodował w tym ustroniu, gdyby nie rodzinny obowiązek.

Pan Salomon, nie mówiąc nic, prosił siedzieć; blady był bardzo i widocznie pomięszany.

— Oto tak, kochane panisko moje — kończył Poręba — trzeba, żebyś się raz decydował, dłużej tak trwać nie może. Rozumiesz mnie pan. Bywało się sobie, bywało ukradkiem u młodej wdówki... bardzo to miła rzecz, ale na kobiercu się skończyć musi. Na to nie ma rady! Ludzie bębnią o tym, kobieta na sławie i reputacji zgubiona! Ja, jako najbliższy krewny, wzywam acana dobrodzieja: albo mi się żeń, i to zaraz, a nie, to się bij, bo w łeb strzele!

Porwał się z siedzenia przy ostatnich słowach rotmistrz i furię okrutną udał, jak się zdaje. Bystrzejsze oko byłoby dostrzegło, że komedię grał, i to jeszcze dosyć niezgrabnie. Widocznie przybył z lekcją wyuczoną, pewien skutku.

Pan Salomon podniósł głowę, dosyć strwożony.

— Panie rotmistrzu — rzekł — ciszej, proszę, i powoli... rozmówimy się... tylko... spokojnie.

Poręba siadł, obie ręce na kolanach położył.

— Słucham jegomości — rzekł — słucham. Dobek namyślał się czas jakiś.

— Właściwie — zagadnął — o cóż to chodzi? Ja dobrze nie rozumiem.

— Jak to asińdziej nie rozumiesz? Nie rozumiesz? A, to coś paradnego! — krzyknął rotmistrz. — Bywasz waćpan w Smołochowie u Sabinki, bywasz, jeździsz, wtem nagle, ani z tego, ani z owego, przestajesz.

— Za pozwoleniem — rzekł Dobek — są pewne okoliczności...

— Rozumiem, nagadano waćpanu trzy po trzy.

— Z nikim o tym nie gadam.

— Dlaczegożeż asindziej bywać przestał? — zagadnął rotmistrz.

— Lecz czyżem się terminalnie do bywania zobowiązał? Poręba oczy wytrzeszczył.

— Aleś się waćpan widocznie rozpoczął starać o Sabinę.

— Za pozwoleniem — rzekł Dobek — o tym staraniu oficjalnie mowy nie było.

— E, to ty mi tak po jurystowsku myślisz się wykręcać! Fiu! Fiu! — przerwał rotmistrz.

— Siedziałeś godzinami przy kobiecie, prawileś jej słodycze na ucho, ścisłałeś za rączki, niewiasta nieszczęśliwa przyłgnęła sercem do jegomości, a ty chcesz młynka wywinąć?

— Za stary ja jestem — mruknął Salomon — żebym wywijał młynki. Jejmość pani Noskowej formalniem się nie oświadczał, żadnego zobowiązania nie ma, po cóż się asińdziej między nas mieszasz?

— Z obowiązku najbliższego krewnego! — zawołał Poręba. — A daję szyję, że mi się tu asińdziej nie wywiniesz tak sianem.

Dobek ramionami ruszył.

— A któż się tu myśli wywijać? — rzekł. — I po co asińdziej nie proszony grasz rolę pośrednika?

Odetchnął nieco.

— Waćpaństwo mnie nie rozumiecie — mówił ciszej. — Ja mam wiele domowych okoliczności, na które wzgląd mieć muszę. Wszystko się wyjaśni, ale ja potrzebuję czasu, potrzebuję czasu. Mam dziecię w domu... interesa... okoliczności.

Rotmistrz słuchał i coś mu to snadź nie było jasne.

— Ale my, mości dobrodzieju — zawołał — my znowu tak w niepewności na łaskę i zmiłowanie wasze czekać nie możemy. Sabinka sobie innego przecie wynaleźć by potrafiła, znalazłby się niejeden. Ja się tymi obietnicami jakimiś, ogólnikami kontentować nie mogę.

Ja tu po to przyjechałem, abym ostatecznie z waszmością skończył. Żenisz się? To gadajmy, kiedy i jak! Nie, to się bij. Nie chcesz? W łeb palę, jak mi Bóg miły! Dobek ścisnął plecami i potarł łysinę niecierpliwie.

— A to skaranie boże, taka gorączka! — zawołał. — Dlaczegoż mi nóż na gardło kładziecie, kiedy to i bez niego by się zrobiło.

— Kiedyż? No? Naznaczcie termin, będziemy czekali. Pan Salomon przeszedł się po izbie niespokojnie.

— Ja, ja terminu oznaczyć nie mogę, ja kocham moje dziecko i chcę mu oszczędzić przykrości, bo wiem, że na tym będzie cierpiało. Muszę czekać.

— A zatem — podchwycił żywo Poręba — słowo dajesz i idzie tylko o poczekanie.

— Jakie słowo? — przelekły oburzył się Dobek. — Nigdy nikomu słowa żadnego nie dawałem.

— Jak to? Wymawiasz się tylko córką? Zatem...

— Daj mi asindziej pokój — rzekł Dobek chmurno. — Kto was prosił, żebyś się w to wdawał?

— Kto? Pani Noskowa! Przestałeś waćpan bywać, nie napisałeś ani razu, to daje do myślenia, my z siebie żartować nie pozwolimy.

— Pani Noskowa? — spytał Dobek. — Ona mi nie wierzy i was prosiła?

— Prosiła czy nie, to moja powinność i kwita! — przerwał Poręba. — Ja się wam tłumaczyć z tego nie mam obowiązku. Ja stąd nie ruszę krokiem, dopóki rzecz się nie wyjaśni i nie skończy. Asindziej determinacji nie masz, babom ulegasz, panem w domu nie jesteś, nie umiesz się sam ratować, więc ja ci przyjdę w pomoc.

Pan Salomon zbladł jak ściana i pochwycił rotmistrza za rękę.

— Cichoż! Cicho! Co to za gadanie! Na miłość bożą, cicho!

Rzucił wnet Porębę zdziwionego nieco i mocno poruszony począł znowu szybkimi krokami chodzić po izbie, namyślając się. Poręba patrzył nań, ścigał go wzrokiem i w końcu milczeniem zniecierpliwiony zawołał:

— Co asindziej tak medytujesz? Posłuchaj oto dobrej rady, skończymy wszystko. Idzie ci o to, ażebyś córkę przygotował? Czasu ci trzeba? Nie śmiesz się odezwać? Mniejsza o to, daj na piśmie cyrograf, że żenić się przyrzekasz. Sabinka poczeka, ale termin naznaczyć potrzeba. Chcesz jeszcze lepiej zrobić? Hę? Ja ci księdza sprowadzę, indult dostanę, kaplicę ubiorę, przygotuję tak, że o nic cię głowa nie zaboli. Weźmiecie ślub sekretnie, nikt o tym wiedzieć nie będzie. Przyjedziesz sobie do Smołochowa, do żonki, gdy ci się podoba, a jak twoja godzina wybije, to ją do domu własnego sprowadzisz. Hm? Cóż?

Rotmistrz mówił i patrzył, jakie uczyni wrażenie. Dobek stawał, słuchał i chodził znowu, a był wzburzony i nie wiedział, co począć. Widać na nim było ciężką walkę, którą sam z sobą odbywał.

Machnął w końcu ręką i rzekł:

— Wracaj asindziej, skądeś przybył, ja tam jutro przyjadę, pogadamy z jejmością.

— E nie, kochanku! Nie! — trzęsąc głową rzekł Poręba. — Z tego nic nie będzie! Ty mi jutro możesz dmuchnąć albo się gdzie skryć, albo jakiego figla uciąć. Nie! Powiedziałem raz: nie ruszam stąd, aż targu dobijemy.

— Więc mnie acaństwo zmuszać myślicie? He! — krzyknął prawie gniewnie Dobek, odwracając się.

— To asindziej nas zmusiłeś, że my go zmuszać musimy! — śmiejąc się zawołał rotmistrz. — Rzeczy stoją tak, że żenić się albo bić, jedno z dwojga.

— Zostawcież mnie przecie, jak i kiedy... Poręba trząśł głową.

— Odłożysz ślubowiny do Józefatowej doliny — rzekł. — Asindziej sam mi będziesz dziękował, że ja tak postępuję, to dla jego własnego dobra. Od tego, com powiedział, nie odstępuję.

— Przyjedź jutro — szepnął posepnie Dobek — jutro... ja potrzebuję czasu...

— O co chodzi? Ja sobie u was przenocuję i pofolguję do jutra, ale z załogi na zamku nie ustąpię.

Przestraszone oczy zwrócił nań Salomon. Nie było ratunku.

Co się w tej chwili działo w jego duszy, nie wiem, czy on sam jasno mógł wyczytać. Chciał i nie chciał, pragnął i lękał się; ogrom kłopotów, jakich miał sobie przysporzyć stawał mu przed oczyma.

Szczęście, o które się dobijał, za drogie dlań było, lecz szczęście to i dola trzymały go za gardło! Cofnąć się nie było dokąd. Rotmistrz, snadź że mu się nic napić nie dano, bębnił palcami po stole, obejrzał się wkoło i przebąknął:

— Wszystko tu u asindzieja bardzo dobre, ale czy wina ani miodu nawet dla gości nie ma? He?

Ocknął się dopiero pan Salomon, pobiegł do szafki, dobył butelkę omszoną, kieliszek i postawił je roztargniony przed rotmistrzem, a sam znowu chodzić począł.

Poręba popatrzył na butelczynę, na szkło, pokiwał głową, ale ich nie tknął.

— Cóż to jest? — spytał. — Przyjmujesz mnie jak posłańca? Co? Myślisz, że ja sam będę pił? Cóż to za obyczaj, u kroćset tysięcy...

Salomon zwrócił się ku szafie, posłuszny, wydobyl kieliszek drugi, nalał milcząc oba, stuknął swoim o kieliszek rotmistrza, kiwnął głową i wino, przyłożywszy zaledwie do ust, postawił go na stole. Nagle oczy mu pojaśniały, twarz się nieco rozchmurzyła, wziął stołek i przysunął się do Poręby, kładnąc mu rękę na kolanach. Głos, który mu się z piersi dobył, słaby i wąty był a drżący.

— Posłuchaj mnie, panie rotmistrzu Porębo, posłuchaj, żałować tego nie będziesz, ale cierpliwie, do końca. Zostaw asindziej moje interesa mnie i pani Noskowej, proszę, jedź sobie do domu, a... na drogę...

Tu schylił mu się do ucha i dokończył tak cicho, że dosłyszeć nie było można. Poręba się nie obraził wcale, owszem, jakoś mu to dobry uczyniło skutek; napił się wina kieliszek, postawił i ton zmienił.

— Mówisz rozumnie — odpowiedział — dalibóg, rozumnie. Niechby sobie i tak było... ale, braciszku! *verbum nobile*, o tym ani słowa nikomu, pani Noskowej też... Boć ona mi do zrozumienia dała, abym nalegał. Powiem jej *simpliciter*, że mi się nie udało.

Nalał sobie drugi wina kieliszek.

— Ręka rękę myje. Ja cię kocham, mój panie Salomonie, a ty masz rozum i pieniądze... Dalipan! Zatem *dictum, factum*, a coś przyrzekł... na stół, i *motus!*

Dobek dobył z kieszeni woreczka, już snadź gotowego, i na dłoni go Porębie położył. Ten zważył go tylko, spojrzał Salomonowi w oczy.

— Widzisz, liczyć nie będę, spuszczam się na ciebie, biorę, jak dajesz, Bóg ci zapłać. Pojutrze ruszam do domu, ale... *motus! Sza!*

Trzeci wina kieliszek nalawszy, wychylił go szybko, wdział łośiowe rękawiczki, rozprostował się i przyszedł pana Salomona ścisnąć, co tamtemu niezbyt przyjemnym być musiało, lecz zniósł cierpliwie dowody afektu.

— Masz rozum, bracie, ja ci rady nie potrzebuję dawać. Bywajże mi zdrów i szczęśliwy!

Całował jeszcze aż do progu, a Dobek go i za próg wyprowadził i oczyma ścigał odchodzącego, a wróciwszy do izby, padł na krzesło, czoło w dłoń kryjąc zafrasowany.

Gdy wieczorem potem poszedł na górę do córki, i ona, i ciocia Henau poznały, iż go coś zgryźć musiało; stary złożył to na ból głowy i trochę niezdrovia. Późno w noc przywołał do siebie Eliasza i kazał mu wysłać pewnego do Smołochowa, który by dał potajemnie znać, gdy rotmistrz wyjedzie. Czekał na tę wiadomość niecierpliwie do trzeciego dnia, aż Eliasz oznajmił, że Poręba istotnie, zebrawszy pakunki swe, do domu wyruszył.

Stary wolniej odetchnął.

Zima w tym roku była śnieżna i sanna kopna, a w tych lasach, gdzie rzadko się kto lekkimi płozami przesunął, po drwa chyba, dróg prawie nie widać było. Do Borowiec nikt a nikt nie przybywał, nikt też stąd, oprócz Aronowych posłańców, do miasta nie wyjeżdżał. Dobek powrócił do swych regestrów i swojego życia trybu, gdy jednego dnia przechodząc mimo okna, spojrzawszy w nie wypadkiem, spostrzegł sanie porządne, zaprzężone trzema

końmi w szpice jeden za drugim, wprost do zamku dążące. Staął jak wryty, na saniach siedziała kobieta... domyślił się swej wdowy.

Wiedział, jak jej Lorka nie lubiła i co za kłopot gotował mu się w domu, lecz jakże jej było nie przyjąć lub odprawić? Eliasza, stojący w bramie, wbiegł natychmiast z oznajmieniem do pana, który poruszony bardzo, nie na górę, do parlatorium, ale pod pozorem, że tu było cieplej, do swoich pokojów prosić kazał. Już w przedpokoju słychać było otrzepywanie ze śniegu i głosek żwawy pani Noskowej.

Salomon sam drzwi zapraszając, otworzył. Wdówka, choć po podróznemu, przystrojona była, jak się to na łowy jedzie. Twarzyczce wiatr ostry w drodze dodał różu, oczka błyszczały, usta się uśmiechały. Suknia leżała jak ulana, nawet czarny wutowany kwefik na głowie z sobolową czapeczką był jej cudnie do twarzy.

Wskoczyła do smętnej izby pana Salomona, oglądając się śmiało, i podała mu rękę do pocałowania.

— Cóż to? Asindziej mnie tu, na dole, jak ekonoma myślisz przyjmować? — zapytała i główką kręcić dziwnie poczęła.

— Wszakże my się tu wygodnie, bo tu cieplej i zaciszniej, rozmówić możemy — rzekł cicho Dobek.

Eliasz już był wyszedł, zostali sami; pan Salomon się obejrzał, zarumienił, rękę cofniętą zbliżył do ust znowu i dość bezwstydnie całować i smoktać ją zaczął, aż pani Noskowa wyrwała.

— Dość już tych fałszywych karesów — rzekła. — Mamy się rozmówić. Asindziej nie raczyłeś do mnie, musiałam ja do niego...

Stanęła w środku pokoju, wzięła się w boki i zawołała:

— Słuchajże, Dobku, ty niepocziwy, dopóki ty mnie tak wodzić i zwodzić będziesz? Rotmistrza namówiłeś pono, żeby precz jechał, a ja tam na pustyni mam siedzieć i czekać, aż jegomość się na ostatek zdecyduje i raczy mnie uszczęśliwić!

Wielce zmieszany, gospodarz kręcił się to włosy trąc, to ręce, to nogami szastając... wdowa patrzyła nań z góry.

— Kochanie moje, królowo — odezwał się ręce składając — ano, posłuchaj i miej trochę cierpliwości. O cóż to idzie?

— Żebyś mnie nie zwodził — odparła Noskowa. — To bałamuctwo jest! Córki się boisz, ludzkiego gadania się boisz, licho tam wie, czego się boisz jeszcze, a nie lękasz się mnie... Dobra ja jestem — mówiła, chodząc po pokoju i w zwierciadle poprawiając włosy — ale

wreszcie nie tak głupia, jak się asindziej owi zdaje. Było na wszystko czasu dosyć. Cóż się tam tej dziewczynie stanie? Nie zjem ci jej przecie, domu do góry nogami nie wywrócę.

— Moja królówko, cicho! Cicho! — składając ręce, odezwał się Dobek. — Jak mi Pan Bóg miły, głowę stracę.

— Ty jej nie masz i tak! — impetycznie przerwała wdowa. — Czego będziesz ceremonie robił? Cóż to ty wyrostek jesteś na opiece, nie masz swej woli? Córka tobą rządzi, nie ty nią?

Salomon padł na krzesło i oczy zakrył z wyrazem rozpaczliwym.

— Przybyłam to raz skończyć. Nie umiesz sam, to moja rzecz. Gdzie dla mnie pokój gościnny?

Na to zapytanie stary struchlał i tak się zmieszał, że odpowiedzi wyjęknąć nie mógł.

— Jak się na sługę dzwoni? — spytała.

Dobek nie umiał nic odrzec. Noskowa spojrzała nań pogardliwie, poszła śmiało do progu, otworzyła drzwi, wyjrzała. Eliasz stał, na szczęście, o parę kroków, ale jak z krzyża zdjęty.

— Słuchaj! no, ty stary! — zawołała. — Chodź no tu, proszę! Powłókł się mrużąc biedny.

— Macie pokoje dla gości? Opalone? — zapytał?

— Ja bez jegomości samego i jego rozkazu nic nie wiem — mruknął posepnie Eliasz.

Wdowa popatrzała na niego, ruszyła pogardliwie głową.

— Chodź aspan tu — rzekła. Poprowadziła przed Dobka.

— Pytam się, czy jest pokój gościnny i czy opalany? Odpowiadajcież we dwóch, kiedy pojedynczo gadać nie umiecie.

Dobek i Eliasz popatrzaali się smutnie na siebie, a z oczu ostatniego znać było, jakby się w nim z gniewu zagotowało.

— Pokój gościnny, pokój gościnny! — mruknął Salomon. — Ale u nas goście nie bywali nigdy, gdzież pokój gościnny?

— Nie ma! No, to niech się kto z domowych wyniesie, a przecież ja tu przenocować gdzie znajdę.

Ręką odprawiła służącego.

— Proszę, żeby mi było ciepło!

Na zegar spojrzawszy, zobaczyła jejmość dochodzącą godzinę trzecią z południa.

— Pójdziemy na górę — rzekła. — Muszę przecie tego waszego gagacika poznać i przybliżyć się do niego, kiedy z sobą pod jednym dachem żyć mamy.

Drzał nieszczęśliwy Dobek, nie mógł otworzyć ust, ręce łamał, rzucał się, na co bynajmniej piękna wdowa zważać się nie zdawała. Uśmiechała się raźnie.

— No, raz przecie trzeba te lody przebić — rzekła. — Nic nie pomoże zwlekanie. Acan się ze mną żenić przyrzekłeś, a ja na łaskę córki czekać nie będę. Chodź na górę.

Podawała mu rękę; jak skazany na śmierć poszedł pan Salomon.

Zaprowadził ją do parlatorium najprzód; tu zaś zimą, gdy nikt nie bywał z gości, a z domowych siedzieć nie lubił nikt w ponurej izbie, nie opalano przez oszczędność, zimno więc było jak na dworze i innego schronienia znaleźć nie mogli, tylko w pokoikach Laury. Wdowa musiała wcześniej znać rozporządzenie domu, bo prosto zwróciła się ku drzwiom do nich wiodącym. Szedł z nią nieszczęśliwy ojciec, blady i pomieszany jak na ścieście. Zza drzwi dolatywał dźwięk fortepianu. Laura śpiewała Mozarta piosnkę o Fiołku i przygrywała sobie na klawicymbale.

Gdy się drzwi otworzyły, odwróciła głowę, zobaczyła najprzód tę twarz, która się jej śniła ciągle upiorem, i przeraźliwie krzyknęła. Ręce jej opadły na klawisze, przechyliła się na poręcz krzesła, oczy skierowała ku przychodzącej i została w tej postawie, nieporuszona.

Wdowa się tym nie mieszała wcale, przestąpiła próg z ironicznym uśmiechem, obejrzała się ciekawie, skinęła głową siedzącej na przywitanie i zawołała tylko:

— A! Jak to tu u panienki ładnie! Co to tu różnych drogocennych zabawek!

Dostrzegłszy ojca, który sunął się za panią Noskową, Lorka to na niego z zapytaniem, z wymówką, to na natrętnego gościa poczęła z dumą się oglądać. Nareszcie wstała.

Wdowa oczyma już krzesła sobie szukała.

— Dziwisz się, moja panienko, zapewne — rzekła spokojnie — że ja tu tak poufale wchodzę. Niechże to asindźce ojciec wytłumaczy, jeśli do tej pory nie mówił jej o tym.

Lorka oglądała się, coraz bardziej strwożona.

— Nie mówił? — zapytała. — Widzę, że nie śmiał, wstydził się nieboraczek... Cha! Cha! Pan Salomon Dobek ma się ze mną żenić, moja panienko, jestem jego narzeczoną.

Dygnęła nisko, śmiejąc się.

— No tak, tak, nie ma co z tego czynić tajemnicy, bo czy to się jejmościance podoba, czy nie, a trudno, żeby się podobało, to się stać musi. Mam jegomości słowo, tego się nie zaprze.

Dygnęła jeszcze raz i wzięwszy krzesło, zabierała się usiąść. Dobek milczał.

Na twarzy córki to trupia występowała bladość, to rumieńce płomieniste, brwi się zmarszczyły, wargi zadrgały. Spojrzała na strwożonego ojca i nie mogła wątpić, że to, co ta kobieta mówiła, było prawdą. Długo zdumiona, oburzona, przelekła, słowa znaleźć nie mogła; lecz energiczna jej natura z wolna zaczynała odzyskiwać władzę nad sobą. Drżała jeszcze cała, a myśl oswoiła się z tym nieszczęściem, którego miała jakby sen i przecucie. Od pierwszego niemal słowa wyzywająco i nieprzyjacielsko stawiała jej się kobieta, która

święte, słodkie imię matki przybrać miała. Pierwsze słowo Lorki stanowiło o stosunku ich do siebie, o całej może przyszłości spokoju domowego. Dziewczę zrozumiało to, zawahało się. Oczy czarne pani Noskowej badały ją i zdawały się wyzywać. Milczała długo, nareszcie z piersi dobyło się westchnienie ciężkie, pohamowała się Lorka.

— W istocie — odezwała się chłodno Lorka, patrząc na ojca — od kochanego mego tatka mogłam się spodziewać pierwszej wiadomości o tym jego postanowieniu, lecz... gdy się to tak dziwnie złożyło...

Wtem łzy, które rzuciły się jej do powiek nagle i z wezbranych wytrysły, nie dały dokończyć, z krzykiem i jękiem cofnęła się Laura ku swojemu krzesłu. Ojciec, zapomniawszy o wdowie, pobiegł za nią, obejmując, ściskając i pieszczotliwymi kojąc słowy.

— Dziecię moje drogie! Lorko kochana, uspokój się! Zaklinam! Tyś u mnie zawsze najdroższa, ty masz całe serce moje... Przestań płakać, rozdzierasz mnie tym jękiem, uspokój się!

— Ale dałbyś asindziej pokój — przerwała głośno i gniewnie trochę Noskowa. — Cóż to znowu? Czy tak wielkie nieszczęście dla jejmościanki, że się ze mną żenisz?. Mogłabym się obrazić tymi łzami. Waćpanna byś mi dziękować powinna, że ojcu jej szczęście przynoszę i młode lata moje dla niego poświęcam. Otóż to wdzięczność!

A po chwili dodała niecierpliwie:

— A dosyćże już tych czułości! Co się wam stanie? Przecie was nie pozjadam!

Wyrazy te, zamiast ukoić Laure, zdawały się ją drażnić więcej jeszcze i nie słuchając dłużej, wybiegła do drugiego pokoju, drzwi zatraskując za sobą. Dobek został jak winowajca, upokorzony i nieszczęśliwy; jemu także łzy się kręciły w oczach, a wdowa sucho się śmiała.

Oczy jej korzystały z czasu i rozpatrywały się w miłym pokoju Laury.

— Jak tu u niej ślicznie! — zawołała. — Co to za gniazdeczko jej usłałeś! Ano, spodziewam się, że mnie też gorzej nie będzie, ani mniej ładnie.

Zaczęła się przechadzać, z kolei chwytając i rzucając, co napadła, zaglądnąc po kątach, rozpatrując się w nie znanych sprzętach i kosztownych gracikach. Na jej twarzy najmniejszego nie znać było wzruszenia; czuła się już panią tego domu samowładną; gospodarz nie śmiał jej nic powiedzieć.

Laura, wybiegłszy zapłakana, rzuciła się wprost do sypialni cioci Henau i padła szlochając na jej ramiona, za łzami nic nie mogąc wymówić. Panna Fryderyka, która o niczym nie wiedziała, przestraszyła się tak prawie jak ona, gdyż nieszczęście jakieś było widoczne, a domyśleć się nie umiała, czym w istocie groziło. Lorka często rozplakiwała się dla

najmniejszej rzeczy, ale tym razem płacz jej i lęk był przerażający. Na próżno panna Henau pytała; Laura leżąc na ramieniu, ściskając ją, słowa wyrzec nie mogła, powtarzała tylko jedno:

— Ona! Ona!

Ukoła się wreszcie i podniosła z namarszczonymi groźnie brwiami.

— Nie wiecie nic — odezwała się, na drzwi swego mieszkania wskazując. — Tam, tam jest ta kobieta, z którą ojciec się żeni! Sama mi to powiedziała przy nim. Więc to jest prawda! A, gdybyś widziała ten wzrok upióra, gdybyś słyszała ten głos, już rozkazujący...

— Na Boga! Któż to jest? Kto taki? — zapytała panna Henau.

— Ta, ta, ten upiór, co mi się ukazała w salce przed kilku miesiącami! A, wiem teraz, dlaczego wydała mi się tak straszną.

— I pan Salomon jest z nią?

— Tam, u mnie! Ale ja tam nie pójde! Niech się dzieje, co chce. Ja tej kobiety cierpieć nie mogę.

Ciocia Henau, usiłując uspokoić nieszczęśliwą Laure, sama przelęknęła się i rozplakała. Widziała raz tylko krótko tę kobietę, i na niej ona uczyniła przykre jakieś wrażenie. — Kiedyż — pomyślała — jakim sposobem stać się to mogło, tak potajemnie i skrycie? Jakie z tego następstwa? Co się z Lorką stanie?

Znając wychowankę swoją od dzieciństwa, charakter jej gwałtowny i rozpieszczenie ojcowskie, domyślać się mogła łatwo, iż od chwili przybycia tej kobiety pod dach Borowiec rozpocząć się musi walka i męka straszliwa.

Piorun więc uderzył nagle i zburzył spokojne ich gniazdo.

Dwie kobiety płakały w kątku przytulone do siebie, lecz już zza łez Lorki gniew i oburzenie tryskało. Zacięte jej usta i iskrzące się oczy zdały się wywoływać wojnę.

Ciocia Henau, znając przywiązanie do córki pana Salomona, spodziewała się jego przyjscia, omyliła się jednak na tym. Dobek chciał iść, nie puściła go Sabina.

— Niech się sobie wypłacze pieszczotka — rzekła — niech wydaś! Dać jej pokój! Asindziej myśl, gdzie mnie ulokujesz, bo ja stąd nie pojedę. A proszę zaraz posłać po księdza kanonika. Pogadamy z nim, żeby mi ze ślubem nie zwłóczył.

Zobaczywszy strapioną twarz pana Salomona i jakieś namysły, pomiarkowała piękna pani, że się może za gorąco wzięła i że jeszcze go nieco przed ślubem potrzebowała przynęcić i ułagodzić. Zbliżyła się więc ze słodkim wejrzeniem i atłasową rączką poczęła głaskać pod brodę.

— Niech no się jegomość nie frasuje, będzie wszystko dobrze — odezwała się — będziesz asindziej szczęśliwy jak w raj. A cóż w świecie bez trudności przychodzi? Nie lękaj się, ja dla dziecka będę dobrą. Pieścić do zbytku niezdrowo, ale krzywdzić jej nie trzeba.

To mówiąc, słodki znowu przybrała głosik i tak się potrafiła przymilić staremu, że go wreszcie ukołysała.

— Przecież gościem jestem — rzekła — zakrzătnijże się, abym miała gdzie spocząć i co zjeść, a poszlij po księdza kanonika, bardzo proszę...

Dobek musiał być posłuszny. Skoczył zaraz chłopak z prośbą do księdza Żagła, aby przybył do dworu. Nigdy się to nie tafiało, by go tu zapraszano, zdziwił się więc niezmiernie usłyszawszy wezwanie.

— A to tam co się stało? — zapytał, składając brewiarz. Chłopak nie umiał nic więcej odpowiedzieć, prócz że pani jakaś przyjechała.

— Ze Smołochowa? — zapytał kanonik.

— A tak.

Rzeczy były jasne. Dostyc rad tej nowej koniunkturze, ksiądz Żagiel włożył kożuszek i poszedł do zamku.

Jejmość była ciągle jeszcze w pokoju Lorki, bo dwa dla niej, z drugiej strony salki mieszczące się, dopiero urządzano.

Dobek siedział na posługach i rozkazach u jejmości. Ksiądz Żagiel, wchodząc, zaraz objął i zrozumiał, jak tu rzeczy stały. Przywitał się grzecznie i usiadł. Gospodarz milczał.

— Myśmy tu księdza kanonika z panem Dobkiem razem wezwali — odezwała się Noskowa — abyś jegomość dobrodziej radził nam. Pan Salomon chce się żenić ze mną, kiedyż nam ksiądz kanonik ślub da, żeby nie nudzić?

Ksiądz Żagiel rozpatrywał twarze. Spojrzał na Salomona, potem na nią; nie uległo wątpliwości, że ster rządów już był w rękach pani.

— Wątpię, żeby to tak prędko się zrobić dało — odezwał się cedząc wyrazy. — Wedle formy, trzeba ogłosić zapowiedzi... W każdym razie ze trzy tygodnie.

— A niech Bóg uchwala! — przerwała jejmość. — Pan Dobek rad by to jak najrychlej ułatwić, żeby raz ludziom złośliwe zamknąć gęby, ja także. Toć to przecie sposoby są na to, choćby prawo było, aby prawo wyminąć! Dla kolatora, dla ludzi znajomych, gdzie pokrewieństwa supozycyj być nie może. Choćbyś jegomość trochę zwolnił z surowości, wielkiego nie popełnisz grzechu...

Dobek tylko patrzył.

— A kiedyżbyście państwo chcieli ten ślub wziąć? — zapytał ksiądz Żagiel.

— Kiedy? Mój ojciec — śmiejąc się dodała wdowa — żeby się tą niepewnością sytuacji pan Dobek nie męczył, mnie się zdaje, co najrychlej, to najlepiej. Po co tu zapowiedzi? A gdyby kto z nas zachorował i zażądał ślubu, toćbyście musieli dać. Cóż my to dziś mamy?

— Piątek — rzekł kanonik.

— Więc w niedzielę — odezwała się pani Noskowa. — W niedzielę! Tak, mój księżuniu, zapowiedzi sobie później wyjdą.

Ksiądz się uśmiechnął tylko.

— Wiesz asindziej co? — dodała Noskowa. — Na kościele dach popsuty, pan Dobek mi mówił, że gdybyście mu ślub przyspieszyli, gotów by pokryć swym kosztem. Toż dla dobra kościoła rozgrzeszyć się możecie. W tym kącie zapadłym, kto tam o zapowiedziach ma wiedzieć!

— Wszelako... — rzekł ksiądz Żagiel.

— Ale dach na kościele! — wołała wdowa. — Dach na kościele... Pan Dobek da gonty, gwoździe i robotnika, grosza was kosztować nie będzie.

— Chcecie mnie państwo przekupić — począł ksiądz Żagiel uśmiechając się — to źle. Prawda, że dach Panu Bogu dacie, nie mnie. Nie dla dachu też, ale dlatego, bym dowiódł państwu mej życzliwości, choć się może na cenzury narażę, dam państwu ślub w niedzielę. Są wypadki, w których Kościół od surowości przepisów odstępuje, szczególnie dla osób znanych a ku sprawie jego gorliwych.

Wdowa podbiegła aż pocałowała księdza w rękę. Dobek, który dając jej mówić za siebie, nie odzywał się wcale, podniósł się także, mrużąc coś niewyraźnego, i pokłonił się.

— Ksiądz kanonik wielką nam czynisz łaskę — odezwała się Noskowa — za którą będziemy się starali wywdzięczyc. Przynajmniej ja tu już w fałszywej pozycji nie będę i raz się wszystko skończy. Wesela wyprawiać nie potrzebujemy, wdowiec z wdową. Pobierzemy się za ręce, pójdziemy po błogosławieństwo i... koniec.

Klasnęła w ręce.

— Tylko się państwo jutro wyspowiadacie — dorzucił kanonik dobitnie, obracając się ku Dobkowi, milczącemu ciągle. — Potem ja mogę nawet przyjść tu sam z błogosławieństwem. W kościele zimno i wieje, odbędziemy tu w izbie.

Tak w krótkich słowach skończyły się układy szczęśliwie. Dobek do końca wytrwał nic wyraźnego nie rzekłszy, a gdy ksiądz się pożegnał, wyprowadził go do schodów.

Kanonik uściskał kolatora.

— Dobrze waćpan czynisz — rzekł. — Słuszna jest rzecz ślubować, komu Pan Bóg nie dał w naszym kapłańskim stanie żyć. Jejmość pracowita, rozsądna, bogobojna, dla kościoła

gorliwa, przyniesie panu pociechę i błogosławieństwo. Zbliżycie się do ludzi, którym pożyteczni być możecie.

Wysłuchał tego kazania pan Salomon, skłonił się i powrócił do jejmości, która w mieszkaniu Lory pod jej nieobecności jak w swoim gospodarowała.

Laura, ukrywszy się w pokoju cioci Henau, nie myślała wracać tam, gdzie by się z tą kobietą spotkać mogła. Najprzykrzejsze było położenie Dobka, który, między tą przyszłą żoną a kochanym dziećciem rozdarty na dwoje, nie wiedział, do której iść, której z nich służyć i jak sobie postąpić, ażeby doprowadzić je do porozumienia i zgody. Znał nadto Lorke, żeby się mógł spodziewać łatwego przejednania. Co się tycze przyszłej żony, najdziwniej sprzeczne znajdował uczucia w sercu: gwałtowną ku niej namiętność a zarazem postrach jakiś i przeczucie złowrogie. Wiedział, że czynił źle zaślubiając ją, a powstrzymać się nie mógł, oprzeć się nie miał mocy. Kierowała nim, rzucała, zżymał się na ten despotyzm, który go zawstydział, upokarzał, oburzał chwilami, cofnąć się jednak było za późno. Aż dopóki izby dla pani Noskowej przygotowane nie zostały, przesiedziała ona w mieszkaniu Laury i późno dosyć kazała się dopiero panu Salomonowi odprowadzić do przeznaczonych pokoiów. Mimo starań o wygodne ich urządzenie, nie podobały się one od pierwszego wejrzenia Sabinie. Pomruczawszy coś, zapowiedziała, że nazajutrz dom musi obejść i inaczej się w nim rozgospodarować. Dobek jeszcze i na to nie odpowiedział ani słowa. Dosyć późną godziną puściła go wreszcie od siebie. Rozmyśliwszy się w prog, stary nie chciał odkładać do jutra widzenia z córką. Poszedł więc do niej, ale w tych miłych jej pokojach nie znalazł Lorki. Siedziała dotąd u cioci Henau, w obawie spotkania się z widmem, bo tak nazywała przyszłą macochę.

Do drzwi cioci zasztukać musiał nieśmiało Dobek, prosząc, aby go wpuszczono. Obie kobiety nie spały; Laura siedziała nad rozłożoną Biblią, z rozpuszczonymi włosami, obiema rękami podpartszy śliczną główkę; z oczu jej ciche łzy spadały.

Zobaczywszy ojca wstała spokojna i poważna, lecz nie tak czuła i pieszczotliwa, jak niegdyś, prawie onieśmielona.

Salomon zbliżył się ku niej, drżący.

— Moje dziecko, uspokoiłaż się?

— Jestem spokojna — odezwała się Laura.

— Gniewasz się na mnie?

— Na ciebie, kochany ojcze? O nie! Gniewam się na tę kobietę, która szczęście nasze, moje, porywa nam, gwałtem się cisnąć w rodzinę, chcąc kosztem naszym żyć, krwią i łzami naszymi.

— Lorko, cicho! Co mówisz...

— O, tej nigdy nie daruję! — dokończyła porywczco Laura.

— Przekonasz się, gdy ochłoniesz — rzekł Dobek. — Ona zła nie jest, ona ci będzie matką!

— Nigdy! — krzyknęła Laura. — Niech mi tylko pozostanie obcą i nie mięsza się do mnie, o to jedno ją proszę.

— Dla mnie to uczyn! Uspokój się! — błagał Salomon.

— Jestem spokojna, będę spokojna, lecz proszę nie wymagać ode mnie dla niej imienia matki ani serca. Podstępnie pochwyciła mi, com miała najdroższego, jedyny skarb mój, ojca! Tego jej nie przebaczę.

— Córko moja...

— Milczę — odezwała się Laura.

— Wracaj do siebie, połóż się, spocznij.

Na to nie było odpowiedzi. Ojciec zbliżył się do niej; pochwyciła go ściskając i płacząc, a powtarzając:

— Biedny ojciec, biedny ojciec!

Panna Henau i pan Salomon popłakali się w końcu wszyscy i tak w smutku rozstali.

VI

Rachował na to pan Salomon, że żal i niechęć Laury powoli przejdą, że ze swej strony uczyni coś pani Sabina dla pozyskania serca dziecięcia. Zostawało mu oprócz tej troski innych wiele.

Nazajutrz do dnia zjawił się Aron z wyrazem troski i niepokoju na twarzy. Wiedział o wszystkim, ale i o tym zarazem, że chcieć starego odwodzić i odradzać mu byłoby próżno. Staął u drzwi, pokłonił się i odezwał:

— Spodziewam się, że jasny pan nie masz mi dotąd nic do zarzucenia; ja także wiele panu winienem i zachowam dla niego wdzięczność. Dopóki jeszcze jesteśmy z sobą dobrze, należy się rozstać, żeby się serce całe zachowało; ono się jeszcze kiedyś przydać może. Ja już jestem stary, kawałek chleba mam dostateczny, handel chcę zdać na syna; przyszedłem podziękować jegomości i pożegnać.

Pan Dobek za rękę go chwycił.

— Cóż? I ty mnie chcesz porzucić?

— Uchowaj Boże, ano, już do handlu pomocnym i do interesów być nie mogę. To dla mnie za ciężko.

Spojrzeni na siebie.

— I ty Aronie, i ty! — rzekł z wymówką pan Dobek.

— Nie może być inaczej — odezwał się lakonicznie Żyd.

— Wszyscyście przeciw niej uprzedzeni.

— Co nam do tego, jaśnie panie! — rzekł Aron. — Ale wszystko ma swój koniec.

Pokłonił się. Salomon ujął rękę Żyda.

— Nie opuszczaj mnie — odezwał się — bądź mi, jak byłeś, przyjacielem. Nie chcesz interesów, do tego zmuszać cię nie mogę, ale dlaczego byśmy się rozstawać mieli?

— Dlaczego? — podchwycił Aron. — A bo tu przyjdą nowi ludzie i nowe rządy!

To mówiąc, dobył pieniędzy zza pasa, odliczył należne na stole, prosił o pokwitowanie ogólne i mimo domagań się pana Dobka, niewzruszony w postanowieniu, pożegnawszy się, odszedł.

To rozstanie z powiernikiem przykre na panu Salomonie zrobiło wrażenie. Nie miał jednak czasu stękać, gdyż jejmość przysłała go prosić na górę. Była już ubrana i strojna, bo po swoją garderobę i pannę służącą posłała wczoraj jeszcze i z rana oboje przybyli.

— Dzień dobry ci, panie Salomonie — odezwała się, rękę mu dając do pocałowania. — Źle spałam; swąd był z pieca a zimno. To dom do niczego, stary grat, potrzeba będzie zrzucić, a nowy sobie pobudować. Lecz nim to nastąpi, ja muszę mieć ludzkie mieszkanie; proszę mnie oprowadzić po domu, abym sobie wybrać mogła.

— Ale to nie ma nic tak pilnego! — szepnął Dobek.

— Jak to? Jutro przecież niedziela i ślub nasz, a ja, pani domu, w tym więzieniu miałabym pozostać?

Poszli więc, bo jejmości na żaden sposób sprzeciwić się nie było można. Dobek był tak obalamucony, iż sobie obiecywał, iż później, później potrafi ją wziąć w kluby i tę samowolę zbyteczną ograniczyć. Tymczasem w niczym opierać się jej nie śmiał. Poszli. Na górze, oprócz trzech pokoi danych pani Noskowej, które trochę były przyciemne i niezbyt wesołe, znajdowało się parlatorium, jadalnia niewielka, pokoje Laury i sypialnia panny Henau. Reszta służyła na składy i mieszkanie kobiet i posługi. Raz i drugi opatrzywszy wszystkie zakątki, jejmość do parlatorium wróciwszy oświadczyła, że najmilej by jej było zająć pokoje Laury i cioci Henau, a obie przenieść tam, gdzie ona nocowała.

Na to żądanie pan Salomon poruszył się mocno i pierwszy raz potrząsnął głową.

— Mościa dobrodziejko — rzekł — córki wypędzać nie mogę, nie mogę. To by jeszcze jej uprzedzenie względem niej powiększyło.

— A co mnie jej uprzedzenie szkodzi? — odparła Sabina. — Niech się przy nim zostanie. Tymczasem ja, pani domu, mam gdzieś mieścić się w kącie?

— Chodźmy na dół — przerwał Dobek.

Zeszli tedy do dalszych pokoi, lecz tu, oprócz tych, które on zajmował, były tylko trzy izby sklepione, wprawdzie mogące się dla jejmości przerobić, bo odpowiadały właśnie tym, jakich sobie życzyła, lecz czekać na to nie chciała.

Ciągle głową potrząsając, mrużąc i kwasząc się weszli w końcu do mieszkania starego. Obejrzała się uważnie pani. Drzwi od sypialni były zamknięte. Kazała je sobie otworzyć. Tu spostrzegła żelazne do lochów wejście.

— A to co jest? — spytała. Salomon się zamyślił.

— Tędy — rzekł — idzie się do lochów.

— Z winem?

— Nie, nie. Są tam różne schowania i.. — dodał — no... i groby.

— Jak to? Groby?! — zawołała przestraszona, żegnając się. — Groby? Pod domem?!

— Nie pod domem — chmurno odparł Dobek — pod zamkiem i dziedzińcem są groby; ale o tym dość, to do pani nie należy.

— Przepraszam cię, kochany Salomonku — uśmiechając się przerwała jejmość — do mnie, jako do pani domu, będzie należało wszystko.

— Tak! Tak! — stanowczo odparł stary. — Oprócz lochów i co w nich jest. To familijne nasze pamiątki.

— I kuferki z pieniędzmi? — spytała pani.

Stary nic nie odpowiedział i wskazał wyjście prosząc, by do pierwszej izby wróciła. Pani Noskowa na ten raz była posłuszna, lecz uśmiechnęła się złośliwie, jakby mówiła w duchu: „Zobaczmy! O tym potem.”

Po tych oględzinach spoczywając, wróciła jejmość do kwestii pomieszczenia swego.

— A cóż ze mną asindziej zrobić chcesz?

— Mam nadzieję, że asindzka ze mną razem zamieszkaż, dopóki pokoje jej na dole nie będą wyporządzone.

Noskowa spojrzała nań.

— Ty się boisz córki! No to ja się sama z nią rozmówię.

— Na miłość boską!

— Daj pokój, ty mnie rozumu uczyć nie będziesz.

Na tym przerwała. Dobek w niepokoju największym dotrwał do obiadu. Do stołu dano i na górę do jadalni poszli razem. Zastali tu pannę Henau. Lorki nie było. Na ciche zapytanie

ojca, ciotka odpowiedziała, że Laura nie przyjdzie do obiadu. Dotknęło to snadź i ojca, i jejmość, udała jednak, że na to nie zważa. Przez cały ciąg obiadu w głos przy ludziach nie przestawała mówić o tym, jakie chce poczynić zmiany.

Zwróciła się w końcu do cioci Henau.

— Kiedy panna Laura nie raczyła nas zaszczycić obecnością swoją — rzekła — to waćpanna z nią pomów ode mnie. Ja tu nie mam gdzie mieszkać; panny mi ustąpicie, a przejdziecie do tych izb, w których mnie tymczasem ulokowano.

Jakby nie dosłyszawszy, ciocia Henau zwróciła oczy na Dobka, który spojrział także i dał znać mrugnięciem, żeby się tym nie frasować, że to do skutku nie przyjdzie.

Nie odebrawszy odpowiedzi, jejmość z kolei na męża i ciocię spojrzawszy, jadła dalej.

Zresztą dnia tego nic ważniejszego nie zaszło. Rozpakowywano rzeczy przywiezione ze Smołochowa, przybyła blada owa panienka, przyjechał młody oficjalista dla odebrania dyspozycji i poszedł do pokojów pani na konferencję. Noskowa rządziła, przyjmowała, dysponowała, czym się jej podobało, jak gdyby już było po ślubie. Pan Salomon na dole chodził osamotniony i niespokojny. Ku wieczorowi już zarygłował drzwi swoje, zapalił latarkę, dobył klucza i po cichu dostał się do swego skarbcza. Z uśmiechem jakimś gorzkim nań popatrzał i posunął się ku izbie ojcowskiej. Mrok zaczynał wczesny padać na dworze.

Zapukał raz i drugi, wejrzał... cicho było. Starca nie widział w trumnie. W izbie wszystko stało na swym miejscu. Snadź pokutnik poszedł tam, gdzie zwykł był całe dni przesiadywać: do grobu żony. Jakkolwiek nawykły do zwiedzania tych podziemi o różnych dnia i nocy godzinach, Salomon uczuł jakiś wstręt do zapuszczania się dalej. Na pół poroztwieranymi luftami wiatr wiał w podziemiu i jękliwie świszcząc przebiegał je. Ciemno było zupełnie. Latarka świeciła o kilka kroków tylko. Zawahał się w progu, lecz dnia tego jeszcze chciał ojca widzieć koniecznie. Wolnym więc krokiem zapuścił się znaną ścieżyną pomiędzy pomniki i trumny. Na progu drugiej izby zatrzymał się, podniósł światło i starał się dojrzeć, czy nie zobaczy ojca, który tam zwykle klęczał oparty o trumnę żony. W miejscu gdzie starca zawsze znajdował, dostrzegł tylko czarny cień jakiś, rozciągnięty na płowym piasku, którym podziemiu było wysłane. Bywało, że znużony i zesłabły kładł się tam pokutnik i usypiał, Zbliżył się więc przyświecając sobie latarką Salomon i dostrzegł ojca rozciągniętego na ziemi. Głowa jego, z otwartymi ustami i oczyma już mgłą śmierci zasłoniętymi, w tył odrzucona leżała, w ręce ściśniętej konwulsyjnie trzymał kawał aksamitu zerwanego z trumny żony. Starzec nie żył, lecz zdawał się w boleściach uspiiony. Wychudłe ciało jego, na pół osłonięte sukienym płaszczem, zalegało wielką część ciasnego przejścia. Salomon stanął z założonymi rękami u trupa, do którego szedł po błogosławieństwo.

Pierwszą myślą jego było złożenie tych zwłok w trumnie i postawienie obok innych na wieczny spoczynek, lecz ani trupa do niej, ani ciężkiego tego łoża tutaj sam jeden przenieść nie był mocen. Jakieś bolesne uczucie ścisnęło mu serce na widok tych zwłok w przededniu wesela, zdających mu się grozić pięścią ściśniętą, zamiast błogosławieństwa. Czas było, żeby nieszczęśliwy dokonał ciężkich dni swoich, lecz daczegoż los zsyłał mu to właśnie w takiej chwili, jakby nową przepowiednię szeregu nieszczęść i cierpień, które od tej chwili rozpocząć się miały?

Stał biedny Salomon osłupiały, nie chcąc tym zwłokom tak mizernie bez pogrzebu rzuconym dać leżeć w piasku. Co począć było? Nikt o pobycie starca w tych podziemiach nie wiedział. Komu się zwierzyć? Zimny pot wystąpił mu na czoło. Winien był nieszczęśliwemu choćby złożenie do tej trumny, w której sypiał tak długo.

Każda chwila upływająca ciążyła mu, bo rad był co najprędzej i od bolesnego uwolnić się widoku, i obowiązku dopełnić. Lecz wezwanie choćby jednego pomocnika mogło dać powód do nowych jakichś baśni i gadania, które i tak ich prześladowały.

W tych namysłach Salomon przetrwał, nie wiedząc jak długo. Nie miał nikogo, komu by mógł zaufać, oprócz starego Eliasza. Ten jeden znał ojca jego i do rodziny był przywiązany, a milczeć umiał.

Nie tracąc chwili, wrócił szybkimi krokami na górę, nie zamykając nawet drzwi za sobą. Odemknął tylko ostatnie zaryglowanie od sieni i słabym głosem począł wołać sługę, który stał zawsze na straży. Eliasz, posępny i przybity, wszedł. Dobek pośpiesznie drzwi za nim zaryglował.

— Chodź — rzekł — i milcz... na miłość bożą, pomóż mi. Nie pytaj o nic, nie mów słowa, idź za mną.

Stary popatrzał nań nie rozumiejąc, lecz za danym znakiem, posłuszny, postąpił za panem. Pierwszy to raz w życiu Eliasz miał przestąpić próg tych drzwi żelaznych, na które patrzył przez życie całe. Pobladł biedny. Nie oglądając się nań nawet, tak pewien był posłuszeństwa starca, Salomon przeprowadził go przez skarbiec.

— Dokądże? Do grobów? — stłumionym głosem spytał sługa. — O tej porze?

— Idź, musimy! — odparł krótko Dobek.

Zdziwienie sługi było wielkie, gdy weszli do izby zajmowanej przez pokutnika. Ślady w niej czyjś pobytu, o którym nikt w zamku nie wiedział, przeraziły go. Stojąca trumna z opartym o ścianę wiekiem, wyleżany w niej barłóg napełniły go strachem.

— Słuchaj mnie, stary — zawołał stłumionym głosem Dobek — Widzisz... tu żył... mój ojciec. Wczoraj, dziś, nie wiem... zerwał się, by pójść pod trumnę matki... i leży tam... My go pogrzebać musimy, choćby złożyć do tej trumny...

Wszystko to tak dziwnie brzmiało w uszach Eliasza, który pytać nie śmiał, drżał i ręce łamał, że Dobek nie odbierając odpowiedzi, nie widząc po nim, czy się zgodzi, stał długo jak wryty. Sam wreszcie, dając przykład, poszedł do trumny, aby ją dźwignąć i unieść. Widząc to Eliaz machinalnie zbliżył się pomagać. Stojąca tu od lat kilkudziesięciu, niemal była wrosła do podłogi i z wielką siłą odrywać ją od niej musieli. Na ostatek z wysiłkiem dźwignęli i powlekli. Obaj starzy, przestraszeni, słabi, z ciężarem tym co chwila w drodze stawać musieli potem oblani; zbita z grubych kłoców, okuta żelazem, nadzwyczaj była ciężka. Po półgodzinnej męce złożyli ją wreszcie obok zwłok starca, na które Eliaz z płaczem spoglądał. W tych rysach, jakby pleśnią grubo za życia pokrytych, ledwie mógł już rozpoznać dawnego pana, który mu znikł z oczu w pełni męskiego wieku. Ciało już było stężałe i ostygłe, i z wielką trudnością dało się w szczupłej pomieszczeniu trumnie, z której wyrzucając mchy i siano Dobek ujrzał wypadające zwitki papierów i różnych pamiątek, zagrzebanych w niej w pierwszych dniach pokuty. Poszli jeszcze z Eliazem po wieko, które znowu nieść musieli, a wieczór był późny, gdy jako tako zabiwszy je i pożegnawszy po raz ostatni zwłoki, wrócili milczący na górę. Dobek objął sługę i pocałował go. Chciał mu wcisnąć jakiś datek, lecz Eliaz rękę jego przyłożywszy tylko do ust, odepchnął dar.

— Milcz!

Odryglowali drzwi. Godzina była tak spóźniona, a zapomnienie o niej tak nadzwyczajne, zamknięcie drzwi, zniknięcie Eliasza — tak dziwnym niepokojem nappełniły wszystkich o pana Salomona, iż w chwili otwarcia za progiem znaleźli się wszyscy: pani Noskowa, panna Fryderyka i z gniewnym, ponurym na twarzy wyrazem nawet Laura.

Gdy Eliaz ukazał się w progu, oskoczyli go wszyscy; chciała zaraz wbiec jejmość, strwożona więcej może niż inni. Stary sługa ręką zapał drogę.

— Nie można! — rzekł. — Pan był trochę niezdrów, potrzebuje spoczynku, potem wyjdzie, teraz wchodzić nie można! Nie można!

Wdowa odsunęła się nieco, ale gniewna. Laura, korzystając z tej chwili i pobłażania Eliasza, minęła ją i sługę, i wbiegła do ojca, który dyszał ze spuszczoną głową w krzeselku.

Eliasz wstrzymał panią Noskową, nie śmiejącą się z nim ucierać a coraz tym niespodzianym wypadkiem więcej przerażoną.

Salomon nie słyszał nawet wniścicia dziecka i ujrzał je dopiero, gdy u jego kolan uklękło.

— Ojczy, co ci to jest? Podniósł głowę.

— Nic... nic... trochę zmęczenia... osłabienie, ale to przejdzie...

— Myśmy wszyscy byli przełękli...

— O! Czegóż? Był Eliasz ze mną... Nic mi nie jest... Która godzina?

Zdziwiony był niezmiernie, gdy Laura powiedziała mu, że ósma miała wkrótce uderzyć. Podniósł się niespokojny, nie chcąc dać poznać po sobie zbytku znużenia ani choroby, lecz bezsilny upadł na krzesło.

Po chwili jednak zażądał służki i zapowiedział, że przyjdzie na wieczerzę, a korzystając z usposobienia Laury, pocałował ją w czoło.

— Wyjdź — rzekł — przewycięż się, nie drażnij kobiety, która złą nie jest, a stać się nią może dla ciebie, ja cię proszę.

Nic nie odpowiadając, wyszła Lorka, a w progu głośno odezwała się do ciotki, że miała ojca czekać na gorze i że wkrótce nadejdzie na wieczerzę.

Pani Noskowa, usłyszawszy to, nie mówiąc nic, pociągnęła za nimi.

Stół od dawna był przygotowany. Laura po raz pierwszy na prośbę ojca zasiąść przy nim miała obok tej niewiasty, obudzającej w niej wstręt niewysłowiony. Dawniej u tego samego stołu ona pierwsze zajmowała miejsce; dziś chciała mieć ostatnie, ażeby być od niej jak najdalej.

Piękna wdowa, która zwykle miała aż nadto odwagi i zuchwalstwa, teraz się przełękła, aby w chwili, gdy dosięgła zamierzonego celu, starzec się jej nie wyrwał lub los nie odwlekl upragnionego ślubu; stała zmieszana widocznie i onieśmielona. Czuła, że wszystko, co ją tu otaczało, nieprzyjazne jej było. Po krótkim oczekiwaniu wszedł pan Salomon z Eliaszem. Błady był, a na twarzy jego malował się przestach i smutek. Właśnie tego dnia ksiądz kanonik Żagiel, który przyszedł dla zapisania metryki i potrzebnych informacji do wdowy, siedząc u niej przeszło godzinę, opowiedział o wszystkim, co tu wokoło ruin tego zamku krążyło: o dziwnych grobach, o zniknięciu ojca pana Salomona, tajemniczej śmierci jego żony. Mimo energii i odwagi, pani Noskowa nieco się złękła tych legend.

Według jednej z nich, tak samo, jak znikł ojciec, znikły tu czasem dawniej żony Dobków, a lud prawił, że je po lochach zamykano i głodną morzono śmiercią. Ksiądz kanonik opowiadał o tym jak o dziecinnych bajkach, do których żadnej nie przywiązywał wagi; na pani Sabinie jednak zrobiło to dziwne wrażenie obawy. Wstydziła się przed sobą sama, lecz prawie żałowała, że ją bogactwa starca skusiły. Drzwi zamknięte na rygle przez godzin kilka, stary schowany gdzieś z Eliaszem, potem pokazujący się jakby złamany i spracowany, coś tajemniczego w jego postępowaniu, dom ten, pełny zakątów, potajemnych wnijść, ciemnych

framug, zabitych drzwi, podkopany lochami — przestraszał i onieśmielał. Stała się łagodniejszą znacznie.

Na zapytanie o zdrowie Dobek odpowiedział, że było mu nieco słabo, że miewał czasem takie omdlenie, że Eliasz jednak był z nim i że skutki słabości prędko przejdą. Sabina nie pytała więcej. U stołu panowało milczenie. Laura nie jadła nic; podparta na rękę patrzyła na ojca, a ile razy padło na nią oko wdowy, odpowiadała jej zimnym, lecz wcale nie złęknionym wejrzeniem.

Wieczera zeszła ze stołu prawie nietknięta; po niej wdowa podała rękę Dobkowi, prosząc, by ją do jej mieszkania odprowadził. Skinieniem głowy pożegnała Laurę i Fryderykę i wyszła. Spodziewała się sam na sam coś ze starca wyciągnąć.

Eliasz, który na niego czekał prawie do północy u wschodów, ujrzał go schodzącego z czołem rozjaśnionym i spokojniejszego znacznie.

Tak się skończył ten dzień, wigilia ślubu naznaczonego nazajutrz. Laura wiedziała o tym. Jak tylko ojciec wstał, przyszła niosąc mu: „Dzień dobry.” Pergaminowa, pomarszczona, zestarzała nagle twarz Dobka przestraszyła ją znowu, lecz Salomon, jeżeli nie był wesoły, udawał przynajmniej spokojnego i zaręczał, że jest zdrów zupełnie.

— Tatku — rzekła Lorka, chodząc po izbie — mam do ciebie słowo. Dziś ostatni dzień, w którym ty jeszcze jesteś panem siebie i wszystkiego, co masz, w którym dla mnie jesteś, jak byłeś, ojcem przywiązany. Jutro... któż zaręczy za nie? Ty sam nie wiesz, w co się zmieni serce twoje. Ja nie będę mogła może dostąpić do ciebie z prośbą, a najmniejsze życzenie moje okupywać mi każecie może upokorzeniem.

— Lorko, nie mów tego! — zawołał Dobek.

— Słuchaj mnie do końca — śmiejąc się, smutnie dodało dziewczę — ani się spodziewasz, jak skończę. Ot, po prostu przyszłam do ciebie jak żebrak po jałmużnę. Potem... Bóg wie! Ja cię o nic nie będę śmiała prosić, a dziś...

— Czegóż ty chcesz?

— Zgadnij!... Ja chcę dużo pieniędzy! Dużo pieniędzy! Jestem, jak widzisz, ostrożna. Jutro... kto tam wie, co będzie! Przyjść do ciebie nie będzie można... Będziesz się musiał rachować przed twoją panią...

— Na cóż ci pieniądze?

— Ach! Mam swoje fantazje! Chcę coś mieć swojego, lubię się patrzeć na złoto... Ostatnia prośba moja do ciebie.

Rzuciła mu się na szyję.

— Proszę ja ciebie, jeśli ty kochasz jeszcze Lorke twoją, jeśliś kochał jej matkę, której pamięć zginie na wieki i chyba tylko w sercu córki pozostanie... mój drogi, mój miły ojcie! Daj mi! Daj mi jak najwięcej pieniędzy!

— A cóż ty myślisz robić z nimi?

— Robić? Nic, schować na czarną godzinę. Niech ja mam co swojego.

Pan Salomon wpatrzył się w nią, chcąc odgadnąć, co myślała. Oczy jej śmiały się we łzach. Śmiech mieszał się z płaczem; była wzburzona i gniewna razem, i smutna, a śmiała się, żeby ukryć, co czuła, i znowu rzuciła mu się na szyję.

— Ojcie! To mój dzień ostatni. Wykołysana na twoich rękach, wypieszczona pocałunkami, jedyna... od dziś będę ostatnią... zawadą, wspomnieniem, dla tej kobiety przeszkodą... w domu niepotrzebnym sprzętem. Serce to nawykło bić dla mnie... jeszcze się porusza, jeszcze mi odpowiada... a jutro... ja będę sierotą... ty obcym dla mnie... Między nami stanie nieprzyjaciel z uśmiechem dla ciebie, z pogardą dla mnie!

Ostatnie wyrazy łkała z płaczem, uwiesiła się na ramionach ojca i łzom dała płynąć. Dobek był tak poruszony, iż zawołał:

— Boże mój! Czemu tego odwrócić nie można!

— Za późno! Tak! Za późno — szepnęło dziecko. — A gdybyś chciał to uczynić, nie potrafisz... Dałeś mnie na ofiarę. Stało się. Miała twoja Lorke szesnaście lat szczęścia! Czyż na życie nie dosyć?

Nagle otarła łzy, usunęła się.

— Ojcie... moja jałmużna! Nie każ mi jej zebrać u obcych.

— Na cóż ci to? Nie wierzysz mi?

— Tobie? A, wierzę, jej nie, a ty od dziś do niej należysz. Ojcie! Jałmużna!

— Bierz! Bierz, co chcesz. Bierz, ile chcesz! Bierz wszystko, co mam!

— Nie! Trochę... trochę...

I wyciągniętą białą rączkę jak żebracy przy kościele podniosła ku niemu. Dobek otworzył kufer stojący w sypialni.

— Zawołaj Eliasza — rzekł do córki. Stary był zawsze u drzwi; wszedł zaraz.

— Mój dobry stary — zawołała Lorke — bierz z tego kufra, ile podzwigniesz, i nieś do mnie! Ojciec mi dał jałmużnę, o którą prosiłam, to dla mnie...

To mówiąc, padła mu do nóg, całując je, i ścisnęła starego, i siwą jego głowę tuliła do serca, a rozstać się z nim nie mogła.

Już Eliasza cały przyszyły skarb Lory przeniósł do niej na górę, wyczerpawszy, co tylko było, jeszcze dziewczę zęgnęło się z ojcem, gdy u bramy zadzwoniły sanki. Dobek ciekawie

wyjrzał i z nadzwyczajnym podziwieniem poznał przybywającego, niespodziewanego wcale, rotmistrza Porębę, który miał być na drodze do Warszawy.

Lorka natychmiast uciekła, szepnąwszy tylko na ucho ojcu:

— Ja na ślubie nie będę.

Ledwie się drzwi za nią zamknęły, gdy rotmistrz ukazał się na progu.

— Kochanego pana Salomona! — zawołał. — A prawda, że dziwisz się! Lecz jakże miałem postąpić? W drodze dowiaduję się, że dziś ślub i miałem nie być przy tym szczęśliwym obrzędzie? I nie złożyć nowożeńcom życzeń moich? Widzisz, kochany panie Salomonie, ja słowa dotrzymałem, nie mieszałem się do niczego! Wyjechałem nawet. Tymczasem, co się dzieje. Byłem już na pół drogi, patrzę, aż ja mojej drogiej szabelki, bez której jak bez duszy żyć nie mogę, zapomniałem! Zawracaj! Dokąd? Do Smołochowa, a choćby i na koniec świata. Waćpan nie znasz mojej kochanki? Zowie się Miranda, tnie stał jak wióry! Powiadam ci! Jak wióry. Więc zawracaj! W Smołochowie mi mówią: — Ślub jejmości w niedzielę. — Co gadacie? Istotnie. A już bym też i psa nie był wart, gdybym nie przyjechał. I oto mnie masz, oto mnie masz!

Słuchał Dobek, lecz żeby się gościem zbyt uradował, trudno było z jego twarzy wnosić, nadrabiał miną, krzywił się, a Poręba mógł to sobie uśmiechem tłumaczyć. Uściskali się serdecznie, rotmistrz siadł i przymówił się do wódki, bo słyszał, że w Borowcach starka była przedziwna. Kazano podać śniadanie. Po nim poszedł gość do kuzynki, gdzie już sobie do obiadu przesiedział na poufnej rozmowie.

Ciekawych mógłby się dowiedzieć rzeczy, kto by jej tam podsłuchał, ale nikogo nie było; wdowa się wcześniej zabezpieczyła, sadzając u drugich drzwi służę na straży.

Obiad miał być wcześniej, bo zaraz po nim następował obrzęd weselny, mający się odbyć w parlatorium. Tu już nawet przez księdza Żągła przysłane lichtarze, agenda, obrusy, krzyż leżały wcześniej gotowe. Na obiad też po raz pierwszy od dawna księdza kanonika proszono.

W chwili gdy już podawano do stołu, Laura, czarno ubrana cała, cudnie piękna, dumna, z oschłymi już, lecz zaczerwienionymi powiekami, weszła do panny Henau.

— Ja nie idę na obiad.

— Dziecię moje, są obcy, jest ksiądz... Prędzej się to wytłumaczy, gdy na ślubie nie będziesz, ale na obiad wyjdź, proszę. Ojcu uczynisz przykrość.

— A ta, której ja doznam, nic nie znaczy? — odpowiedziała cicho Laura.

Po namyśle jednak rzekła:

— Co mi tam, wyjdę.

Już wszyscy byli w jadalni, gdy z ciotką Henau razem Laura weszła, w czerni cała, pewna siebie, z podniesioną w górę główką. Oczy kanonika, Sabiny, a nade wszystko zapuchłe źrenice rotmistrza zwróciły się na nią. Poręba patrzył i zdawał się osłupiały z podziwu nad tą pięknnością.

Okiem rzuciwszy po krzesłach, Lorka obrała ostatnie w szarym końcu i usiadła. O dwa miejsca tylko dalej naznaczono krzesło Porębie, z oka nie spuszczającemu Laury. Błada kuzynka, która ją także po raz pierwszy widziała, gryzła usta, przyglądając się tej królowej.

Oprócz ojca Lorka nie zdawała się widzieć nikogo.

Rotmistrz, wiekuisty *turbator chori*, nie mógł się powstrzymać zaraz od wykrzykniku nad pięknnością panny Laury.

— Można panu dobrodziejowi tego cudnego leśnego kwiatka powinszować — zawołał — bo i w oranżeriach stolicy nic się piękniejszego znaleźć nie może!

Dobek skłonił się. Sabina uśmiechnęła złośliwie, Laura, ze spuszczoną głową, udawa, że nie słyszy.

Rozmowa się zawiązała jako tako, lecz ona wcale się do niej mieszać nie myślała. Nie odpowiadała na pytania, nie podniosła oczu, szepnęła parę razy coś do panny Henau, siedziała jak niema i głucha. Czarna jej sukienka wśród pstrych strojów innych osób odbijała jak protest przeciw weselu. Poręba od sztuki mięsa rozpoczął wiwaty: państwa młodych, księdza kanonika, przyszyłych dni szczęśliwych, wreszcie, chcąc się snadź pannie Laurze przypodchlebić, na cześć jej też podniósł kielich. Dziewczę zarumieniło się gniewem, spojrzało groźnie i na tym się skończyło. Nie zrażony wszakże rotmistrz, gdy od stołu wstali, posunął się zaraz do panny. W chwili gdy szła do drzwi, ażeby się wysunąć, ze śmiechem poufalułkim zastąpił jej drogę.

— Mości panie! — zawołała groźnie Laura. — Nie mam przyjemności pana znać, a nowych znajomości zabierać nie lubię! Proszę mi ustąpić z drogi, natychmiast!

Spojrzenie straszne zmusiło Porębę spuścić z tonu; skłonił się, bełkocząc coś, i uszedł. Laura powoli skierowała się ku drzwiom i znikła. Niechętny rotmistrz, trzymając kieliszek w rękę, zbliżył się do bladej kuzynki.

— Patrząc, Róziu — szepnęła — ot, to diabełek! Ha! Strasznie z góry patrzy na nas... a jednak, chce czy nie chce, będzie musiała iść za mnie.

Panna Rózia zaczęła się śmiać.

— He! Śmieć się, nie śmieć, to rzecz jest ułożona, ja ci powiadam. A ty wiesz, że jak ja co sobie powiem z Sabinką, to we dwoje musimy zrobić. Niech ona sobie fanaberie teraz stroi, to

darmo. Pająk snuje pajęczynę, a mucha lata śpiewając, tymczasem bzyk... i siedzi w siatce! Otóż i tu tak będzie.

— Coś mi się nie zdaje! Nie zdaje mi się, panie rotmistrzu — rozśmiała się kuzynka — ani wiek pański...

— Jaki wiek! W sile zdrowia... ledwie czterdzieści! Sam czas do ożenku.

— Przepraszam pana... nie wierzę.

— Zobaczysz... to rzecz postanowiona!

Rotmistrz kielicha dopił i wesoły podszedł do pana Dobka.

Uroczysta godzina zbliżała się. W parlatorium stół okrywano, zapalono świece, ksiądz kanonik poszedł się ubrać, wszystko było w gotowości, pani młoda tylko poszła się przebrać i ukwiecić, gdy — co się nigdy nie trafiło, bo któż kiedy do Borowiec przyjeżdżał, dano znać panu Dobkowi, iż podróżny jakiś z daleka przybyły o gościnę prosił.

Przychodzący z tym poselstwem Eliasz dziwną bardzo miał twarz, niby wesołą, niby przerażoną. Spodziewał się może, iż ten gość ślubowi przeszkodzi. W istocie, zamieszanie pewne powstało. Rotmistrz się szczególnie nasrożył i wchodząca pani młoda; posądzano snadź miejscowych o jakąś intrygę. Poręba się miał do swej Mirandy.

— Na miłość bożą! Cóż to! Kto to jest? A było mu powiedzieć, co się dzieje — rzekł Dobek do sługi.

— Pan nie wie, kto to. Jakże ja go mam odprawić, toć z Litwy Dobek młody, krewny, o których państwo ledwo zasłyszeli. Sto mil może zrobił, żeby swoich poznać, a ja go mam od wrót odprawić?

— Jak to? Dobek?! — załamując ręce zakrzyknął pan Salomon. Z dala patrząca i oczekująca pani młoda aż zbladła, szepnęła coś do rotmistrza, ten zbliżył się do starego.

— Kto tam jest, to jest! Gość nie w porę gorszy od Tatara! Niech sobie czeka, a tu księdzu i jejmości nie można tak dać stać i wyglądać, aż się ichmość sobą nacieszycie.

Dobek odwrócił się, nic nie uważając na groźną twarz Poręby, poszedł do drzwi.

— Zaraz powrócę!

Pani Noskowa sięść musiała, gdyż ta zwłoka i gniew o mało ją o mdłości nie przyprawiły.

Salomon, wzruszony dziwnie tym jakby opatrnościowym przybyciem jedynego może krewnego na świecie, wybiegł aż pod schody. Krewniak, który snadź miał czas się przebrać w miasteczku, cale nie po podróżnemu wyglądał.

Był to piękny młodzieniec, słusznego wzrostu, brunet, w wytwornym stroju, wyświeżony bez pstrocizny i błyskotek. Suknie na nim leżały jak ulane, postawa była męska i zręczna. Czarny wąsik podkręcony do góry, różowe śmiejące się usta, wyniosłe czoło, nos rzymski,

suchy i drobny, piękny owal twarzy składały się na fizjonomię szlachetną i miłą. Wyraz twarzy był nieco figlarny, wesołość młodzieńcza grała na niej.

— Honory Dobek Cholewa Konopnicki, do usług szanownego kuzyna, a jeśli tablice genealogiczne nie mylą, od stryjecznych stryjecznych stryjaszka!

Rzucił się na szyję panu Salomonowi.

— O sto mil umyślniem się przywłókl, żeby raz rodzinę poznać!

— Bóg ci zapłać, trafiłeś na taką chwilę...

— Cóż? Wesele, słyszysz? Stryj się żeni? A, to śliczna rzecz, jak Bóg miły, już ciż nie będę zawalidrogą.

— Chodź! Chodź! Mój miły — z pewnym rozczeniem rzekł Salomon — nie dziwuj się niczemu, a bądź mi dobrym druhem.

Pobrawszy się tak za ręce, weszli do parlatorium.

Chłopak wszędzie i zawsze byłby się nie dał pominąć ludzkim oczom, a w tej chwili zjawiający się niespodzianie, z tą postawą rycerską, pięknnością, weselem w twarzy, młodzieńczą butą i uśmiechem obudzał ciekawość i trwogę.

Było w tym przyjeździe coś istotnie niesłychanego, cudownego prawie, i nie dziw, że rotmistrz kręcił węża i gryzł zły, bo mu się zrazu zdawało, że to uknuta podstępna intryga, aby wesele przeciągnąć, odłożyć, szablą tego jegomości się podeprzeć i zerwać. Też same myśli przychodziły pani Noskovej. Na złodzieju czapka gore. Pan Salomon z widoczną radością prezentował go jejności.

— Honory Dobek, krewny mój.

Kłaniał się i oglądał chłopak, nic nie zmieszany.

— Ale to nie przeszkadza, byśmy do ślubu przystąpili — mruknął rotmistrz.

W istocie, kanonik stał w gotowości z agendą w ręku. Państwo młodzi zbliżyli się. Honory cofnął się nieco, oparłszy na szabelce. Patrzył, przyglądał się i zaprawdę, ślub tego wylekłego krewniaka, niezbyt młodego, z piękną i młodą kobieciną, musiał mu się wydać nieco dziwnym.

Rotmistrz także, ze swym strojem suto szamerowanym, z twarzą noszącą ślady mnogich zapasów ze dzbankami i flaszami, blada jejnościanka, która, nie mając co robić, całe życie się do wszystkich i sama do siebie uśmiechała, sztywna i wyprostowana ciocia Henau, całe towarzystwo równie osobliwszym wydać mu się mogło, jak dom, sala i wszystko, co tu spotykał.

Laury nie było; ona w czarnej sukni w najdalszym pokoju, zamknięta, nad Biblią siedziała i płakała. Ślub odbył się tak szybko, jak tylko było można, bo ksiądz kanonik obawiał się

także, aby coś znowu nie przeszkodziło. Gdy młodzi odebrali błogosławieństwo, oblicze pani Dobkowej, zrazu blade i pełne niepokoju, zaczęło przybierać wyraz nowy, rozjaśniło się, wypogodziło, śmieiej strzeliły oczy, rumieniec wystąpił na twarz, była tu panią!

Salomon postrzegł od razu córki niebytność i nie nalegał o przybycie; jejmość dobrze też uważała to, a nie mówiła nic, odkładając zemstę do przyszłości.

Gdy się ślub dokonał, a wszyscy zasiedli w parlatorium przy rozpalonym olchowym ogniu na kominie, przy stole zastawionym cukrami i butelkami, który ołtarz, natychmiast uprzątnięty, zastąpił — panna Henau pośpieszyła zobaczyć, co się dzieje z Laurą.

Na wchodzącą spojrzała tylko, podnosząc głowę, dziewczyna i nie spytała o nic.

— Wiesz, że właśnie w tej chwili, dziwnie, gość przybył — rzekła Henau.

— Gość jeszcze? Drugi rotmistrz zapewne... z przyjaciół tej... tej pani? — szydersko śmiejąc się, odezwało dziewczę.

— A nie! O sto mil, na tę właśnie godzinę, z daleka, o niczym nie wiedząc, trafił tu jedyny może krewny, jakiego macie, Honory Dobek.

Laura uderzyła w dłonie.

— Dobek! Krewny! Cóż to? Modliłam się o opiekę, czy Bóg mnie wysłuchał?

Smutnie uśmiechnęła się panna Henau i zarumieniła.

— Nie wygląda wcale na opiekuna — rzekła — bo tak młody lub niewiele starszy od ciebie.

Laura już nie pytała; zamyśliła się, złożyła Biblię, widocznie ciekawość jej rozbudzona nagliła, by wyjść i zobaczyć gościa tego, a czuła, że się tam ukazać nie może.

— Jak wygląda? — spytała po chwili.

— Jak malowany! — odparła Henau. — śliczny i miły mi się wydał.

— A jak my się tam jemu wydali... — westchnęło dziewczę. — Mój Boże... i nie mógł przybyć ani wczora, ani jutro, tylko właśnie w tym dniu i o tej godzinie, gdy się nieszczęście nasze dokonało, jak gdyby Dobek po Dobkach przyjechał brać spadek wymarłych. Bo my, jeśliśmy nie wymarli, tośmy na drodze do grobu. Ojciec, ach! Biedny ojciec z tym upiorem... Ten upiór moją matką... Ten jej dwór, czyhający na wyssanie z nas życia, spokoju, mienia.

Padła Laura na krzesło.

— Dobek, więc są jeszcze inni Dobkowie? I w porę, zaprawdę, zjawiają się nam po kilkuset latach... może to przyszły obrońca...

VII

Nazajutrz pan Honory Dobek, spędziwszy noc w dolnej izbie gospodarza, bo go nie było gdzie indziej postawić, zbudził się wśród tych murów rozpamiętywając wieczór wczorajszy, nic a nic niepodobny do wesela. Jakoś naówczas na szerszym świecie szlacheckim, między ludźmi, nawet wdowie gody inaczej wyglądały, śmiały się lepszą nadzieją. Tu, mimo pięknej twarzy jejmości, straszyla jej śmiała mowa przy ponurej nieśmiałości męża. Rotmistrz był dziwnie śmieszny ze swą rubasnością, inne postacie tak się jakoś oryginalnie wydawały, a sam zamek, mieszkanie, służba!

Honory Dobek mieszkał w bardzo ludnym kącie, gdzie wszyscy jakoś więcej do siebie przystawali i podobniejsze mieli twarze, i jednostajniej urządzone domy...

Tu mu to, co widział, zakrawało na bajkę lub starodawne dzieje. Salomon Dobek przyjął go serdecznie jak krewniaka, to prawda, a jakoś mu było w tej ruderze nieraźnie.

Sam Eliasz mu posługiwał i przyniósł kawę z rana, przypatrywał mu się ciekawie, czule, jakby swojego rodu potomka oglądał; ciekawił go ten nowy Dobek z taką poczciwą, wesołą twarzą, pokochał go. Jemu też Eliasz się wydał onym patriarchalnych czasów sługą, kiedy czeladź stanowiła rodzinę. Począł się rozpytywać ostrożnie.

— Ano, jegomość pan Salomon był dawniej żonaty?

— A był, ale temu lat piętnaście, jak jejmość umarła.

— Bezdziennie!

— Jakże bezdziennie! Przecież córka jest.

— Zameżna?

— Chowaj Boże! A prawda, pan chorążyc jej nie widział?

— Anim wiedział o niej.

— To dopiero się pan zdziwi, gdy zobaczy, bo to nasz kwiatek, różyczka nasza, anioł panienka! Śliczności, jakich oko nie widziało, a dobroci! A, panie! Gdy człek o niej myśli, gdy o niej mówi, to się na łzy zbiera.

Otarł oczy rękawem.

— A gdzież jest? — spytał Honory.

— A tu, panie, tu, ale niech się pan nie dziwuje, że na ślubie panienka nie była. Jej tam serce bolało. I jak boleć nie miało? At!

Machnął ręką.

— Mów, mój dobry stary, przeciwnie wasz.

— Toć powiem wszystko, przynajmniej człowiek ten ciężar z serca zrzuci.

Zbliżył się do łóżka.

— Nic do rzeczy się nasz stary pocziwy ożenił! Nic do rzeczy! Po co mu było młoda, fertyczną taką było brać? Po co? A jeszcze, prawdę rzekłszy, sama mu, z pozwoleniem, na kolana siadła.

Zamilkł na chwilę Eliaz.

— Co to teraz czeka naszego anioła, mój ty miły Boże! A pan ją tak kochał, jedno oko w głowie... Wszystko popsukała ta baba... Reszty się pan i sam domyślisz — dokończył Eliaz.

Nie było się już tak dalece czego domyślać. Honory wstał, ubrał się i czekał, rychło mu gdzie wyjść będzie wolno. Ano, tego dnia już młoda jejmość objęła była gospodarstwo, a chcąc zaraz pokazać, co umie, wszystko przewróciła do góry nogami. Krętanina, bieganie, zamęt był w całym dworze, na który z trwogą poglądał małżonek, a ile razy się z refleksją jaką odezwał, odpowiadano mu: — Daj no asindziej pokój, ja sobie rady dam.

Prawdziwy sądny dzień nastał, ludzie głowy potracili. Jejmość się gniewała już i fukała, sam Dobek biegał, żeby ład jakiś wprowadzić. Rotmistrz jeszcze spał, nikogo widać nie było, ranek zimowy bardzo piękny się trafił, myślał Honory, że nie zgrzeszy, gdy się po ruinach zamkowych obejrzy i trochę przejdzie około dworu. Narzuciwszy więc krótki kożuszek czarny, z węgierska skrojony, na plecy, czapkę z piórkiem wetknąwszy na głowę, poszedł naprzód konie swoje zobaczyć. Stajnie w Borowcach były nie opodał od bramy, przyparte do samego wału, a że gości nie miewano, więc też gościnnych osobnych nie było. Budynek był, jak się mało podobnych naówczas trafiało, ze starych murów przerobiony, bardzo wygodny, bo Lorka lubiła konie, a co kochane dziecko mieć chciało, spełniano ochotnie. Ona tych swoich faworytów umieścić pragnęła po pańsku i stało się po jej woli. Szczególniej siwa klaczka, którą ojciec sprowadził z Radziwiłłowskiego stada, nazwana Munia, w łaskach była u panienki. O tym nikt nie wiedział, nawet ojciec, że Lorka nieraz jej już dosiadła, było to wielką tajemnicą. Co dzień rano przynosiła jej chleb i cukier, a słysząc ją z dala biegnącą, Munia nastawiała drobne uszki, odwracała głowę i rżała wesoło. Rozmawiały z sobą jak najlepsze przyjaciółki, całowały się, pieściły.

Munia miała kołderkę szytą rękami Lory, najczystszy owies, najświeższą wodę, a była tak rozpieszczona, że za swą panią jak pies chodziła.

W największe mrozy, w najszkaradniejszą pluchę Laura odwiedzić musiała Mimie i tego dnia właśnie gładziła jej główkę, patrząc w oczy czarne i rozumne, gdy Honory wpadł, świszcząc, do stajni. Szukał swoich koni, zobaczywszy Lorke, stanął wryty. Laura się domyśliła, kto był, zawstydzila się niezmiernie, że ją w stajni znalazł, zarumieniła, chciała odwrócić i uciekać, gdy Honory, namyśliwszy się, zdjął czapeczkę i grzecznie się uklonił.

Nie było co robić, jakkolwiek znalazł ją w miejscu tak nieprzyzwoitym kuzynek, musiała mu się Lorka zaprezentować, aby ją nie wziął za nie wiedzieć kogo.

— Wszak pan Honory Dobek? — odezwała się, krok podchodząc.

— Tak jest, pani.

— Dziwnie trochę się spotykamy, lecz nie miej mi pan za złe, że mu się w stajni prezentuję, jestem córką pana Salomona.

— Gdybyś mi pani nie powiedziała, domyśliłbym się — odparł Honory — bo chyba by jaka mitologiczna postać mogła jej zrównać, i musiałem najwyżej sięgać myślą, by odgadnąć, co to zjawisko tutaj znaczyć może.

Grzeczność trochę była wysmażona, ale i pan Honory, zmieszany, jąkał się, tak go Lora zachwycała. Ubrana była czarno, jak wczora, dała sobie bowiem słowo nie nosić barw innych, na głowie miała lekką chusteczkę zawiązaną pod brodą, na nogach buciki węgierskie, a taka szykowna była i piękna, choć smutna, a tak ta piękność szlachetna była i niepospolita, że w niej starą krew i ród łatwo było poznać. Skłonił się Honory.

— Szanowny kuzynie — odpowiedziała Lora, ośmielona — zmiłuj się, słodyczami mnie nie karm. Jestem prosta dziewczyna, Poleszka, i do razowego chleba nawykłam. Ten najzdrowszy.

Honory się zarumienił.

— Proszę mi pozwolić swoją faworytę zobaczyć — odezwał się wesoło. — Ja konie namiętnie lubię, a to śliczna istota.

— Prezentuję, nazywa się Munia Radziwiłłówka! — zawołało dziewczę. — Czyż nie piękna? Patrz pan, jak mu się przygląda i wacha, czy nie obcy. Nie bardzo się pan zbliżaj, mnie ona całuje, ale nieznajomych kąsa.

— Ręczę kuzynce, że ona mi się da pogłaskać! — rozśmiał się Honory i wołając: „Munia! Munia!” — do strzygącej uszkami, powoli, z wyciągniętą ręką przystąpił. Miała się faworytka na baczności, srożyła nieco zrazu, chrapnęła, potem wyciągnęła szyję, poczęła wachać przybysza i położyła mu głowę na ramieniu. Był to najwyższy dowód łaski. Zazdrosna trochę Laura zdziwiła się i zarumieniła.

— Widzisz pani! Poznała we mnie przyjaciela koni, a przeczuła może przyjaciela domu — rzekł Honory, gładząc piękne stworzenie. — Teraz już, spodziewam się, będziemy i my dobrymi przyjaciółmi.

Lorka popatrzyła ciekawymi oczyma na swoją faworytę i pięknego chłopaka, który z równym zajęciem przypatrywał się kuzynce.

— Wpadłem tu — rzekł — trochę nie w porę, alem temu nie winien. Ojciec i ja wybieraliśmy się od lat dziesięciu do Borowiec, trzebaż było wypadku, żebym na dzień trafił, w którym gość pono aniby był spodziewany, ani potrzebny. Trudno o kilkadziesiąt mil powracać...

— Dla nas jesteście zawsze gościem bardzo miłym — odezwała się Lorka. — My żyjemy tak samotni, a z rodziny nie mamy nikogo... Ojciec serdecznie wam rad, za to ręczę, a co do mnie, możecie być pewni...

Spuściła oczy.

— Tylko — dodała po chwili — pamiętajcie zawsze, żeście na poleskiej pustyni. Tu się i nie zabawicie, i nic nie zobaczycie ciekawego. Lasy i lasy, i błota, i cisza wiekuista, a nas ludzi garsteczka, dosyć smutnych. Wiecie co — rzekła po namyśle — błąkacie się po zamku, widzę, będziecie się nudzili, gdybym was bez ceremonii zaprosiła do siebie? Może to nieprzyzwoicie? Ja nic nie wiem.

— Wszakże tak bliscy jesteśmy krewni — podchwycił Honory — prawie jak brat i siostra!

— A to prawda! — odpowiedziała Lorka. — Więc dlaczegoż nie poszedłbyś pan do mnie, dopóki ojciec nie będzie wolniejszy?

To mówiąc i pogłodziwszy Munię, która się za nią wrywała, Lorka poszła przodem ku zamkowi, prowadząc za sobą bardzo ucieszonego tym spotkaniem Honorego.

Wprost ze schodów korytarzyk prowadził do pokoju Lorki, przystrojonego jeszcze, jak był, gdy pieszczona jedynaczka królowała w tym domu. Gość zdziwiony być musiał przepychem, którego po zewnętrznej zamku fizjonomii spodziewać się nie mógł. Piękność Laury, oryginalna jej mowa i obejście, śmiałość, smak, który w tym, co ją otaczało, uderzał, widocznie zdumiewały Honorego, rozglądał się, bawił, chwalił.

— Jakie to ślicznieście sobie gniazdko usłali! — zawołał.

— I w tak spokojnym kątku — przerwała — że go żadna burza rozerwać, zda się, nie była powinna, a jednak...

Spuściła oczy smutnie, Honory się domyślił przyczyny westchnienia i zamilkł.

— Powiedzcież mi co o sobie, o rodzinie, o tej okolicy, w której mieszkacie — spytało dziewczę, chcąc zmienić rozmowę.

— Z rodziny mojej został tylko stary mój ojciec i ja — rzekł, wahając się nieco, Honory. — Ze znacznych naszych majątności niewiele też dotąd jest przy nas, mamy dwie wioski. Matka nie żyje od lat kilku, siostrę straciłem, a po niej sierotki nam tylko zostały, przy ojcu

starym i już niezbyt silnym ja jeden jestem. Dlatego — dodał ciszej — życzył sobie chorąży, ażebym się ożenił, i na wiosnę się żenię.

— A! — zawołała Lorka, zdziwiona nieco. — Więc macie narzeczoną?

— Tak, pani, jesteśmy zaręczeni z panną Zofią Bułhakówną.

Dlaczego on to powiedział prawie smutnie, a ona słuchała jakby niemile i niedowierzająco, któż to zrozumie? Zamilkli potem chwilę i on patrzył na stojące przed nim kwiatki, ona na krosienka, o które była oparta.

— Więc porzuciliście narzeczoną waszą, aby nas odwiedzić, starego ojca! Ach! To doprawdy na wielką wdzięczność od nas zasługuje.

— Zrobiłem to dla własnego serca i przyjemności — rzekł Honory — później, któż wie, czybym się mógł ruszyć od gospodarstwa. Spadną na mnie kłopoty i ojcowskie, i żony, która ma znaczny majątek w ziemi, z naszym sąsiadujący. Zналиśmy się od dzieciństwa.

— I kochali od dzieci? — spytała cicho Lorka.

— Jak brat i siostra, bośmy nawet krewni trochę — rzekł Dobek. — Ona była sierotą, ojciec mój opiekunem, przyszło to tak jakoś naturalnie.

— Opiszcież mi waszą narzeczoną! — zawołała, śmiejąc się, Laura. — Chciałabym ją, nie znając, pokochać z daleka.

— Kochana kuzynko, moja narzeczona dobra i łagodna istota, wcale nie celuje nadzwyczajnymi wdziękami, lecz mimo to nie wątpię, że poznawszy, kochać byś ją musiała.

Honory zamilkł.

To przyznanie się do narzeczonej bądź co bądź uczyniło Laurę śmielszą, a oboje zbliżyło. Mimowolnie każda młoda paniątka musi się w nowo przybyłym obawiać pretendenta i z niepokojem spoglądać na niego. Lorka była już z tej strony spokojna i swobodna. Rozprawiali więc o Polesiu i o stronach, w których mieszkał chorąży, o odbytej przez młodego Dobka podróży i dobra znajomość zawiązywała się coraz poufalej. Przybyła do nich panna Henau wmieszała się także do rozmowy i nadała jej więcej życia jeszcze. Zapomnieć mogli na chwilę o tym, co się w domu działo.

Młoda pani, jakkolwiek śpieszno jej było się rządzić, wstrzymywała się nieco w zapędach swych w obawie obcego i odkładała resztę na ten czas, gdy odjedzie. Rotmistrz, przebudzony późno, ubrał się i, nierad z noclegu, poszedł rozmówić się z Dobkiem, który, wzięty w rekwizycję od rana, nawet z córką i gościem przywitać się nie miał czasu. Wszystko w ogóle nowej gosposi wydawało się tu niedobrym, a najgorsi słudzy, ociągający się ze spełnieniem jej rozkazów. Mruczała już, że wszystką tę hałastę, z niedołęgów złożoną, porozpędzać musi. Pan Salomon ledwie nierychło z góry urlop dostał parogodzinny na dół, dla zajęcia się swoimi

interesami. Piękna pani, która koniecznie bardzo być piękną chciała, siadła się nareszcie ubierać z pomocą bladej Rózi, jednej służącej i dziewczeczki, którą przywieziono ze Smołochowa, rozpuściła obfite włosy, aby je fryzowano, gdy rotmistrz gwałtem się prawie wcisnął. Nie chciano go puszczać, lecz nie posłuchał.

— Co znowu za ceregiele?! — zawołał. — Zawsze przecie miałem prawo na ten pudermantel patrzeć, a dziś nie?

To mówiąc, siadł na kanapce, stękając.

— Słuchaj no, Sabka! — zawołał. — Wszystko to, co się stało, dobrze, ale myśleć o tym trzeba, żebym ja miał porządne pomieszczenie, konie moje dobrą stajnię i obrok, i żeby tu ład zaprowadzić. Taż to Sodomia i Gomora! Nikt nie słucha, nikt nie troska się, nikt nie służy.

— Czekajże i bądź cierpliwy! Nie razem Kraków zbudowany — odparła, przystępując do czesania, Sabina. — Niech no gość pojedzie, wezmę się do nich inaczej. I ja też zapowiedziałam, że tu w ciemnej dziurze stać nie myślę. Panna Laura dla siebie zajmuje najlepsze pokoje, najpiękniejsze przywłaszcza sprzęty, a ja, niby pani, będę się wędziła w tym kącie? To nie może być!

— Słusznie mówisz — rzekł rotmistrz — toż samo ze mną. Po co ja będę jechał do domu? Zima ostra i sanna kopna, posiedzę tu, przecie was nie objem. Ano, w zimnej izbie o jednym oknie, i to z kratami, mieszkać nie myślę. A uczyniże też ład, żebym ja za lada butelczyną nie potrzebował się kłaniać i prosić, powinienem mieć swój zapasik.

— Wszystko przyjdzie z czasem — dodała pani Dobkowa.

— A co się tycze naszego projektu względem Lorki — rzekł Poręba — także zawczasu należy przedsięwziąć środki. Panna ma muchy w nosie.

— Wybijemy jej z głowy fanaberie — odpowiedziała Sabina — tylko nie trzeba zbyt na mego starego zewsząd razem nacierać, ażeby nazbyt nie piszczął.

— Tak, ale jejmość i to pamiętaj, że kto od razu nie robi, ten nigdy potem nie potrafi.

— Ależ gość!

— Dać mu do zrozumienia wprędce, żeby sobie jechał. Mamy Dobków dosyć, nie trzeba nam więcej! — rozśmiał się rotmistrz.

Panna Rózia, która w tej chwili obficie rozrzucone włosy pani Dobkowej poczyniała układać, zwróciła się, śmiejąc, ku rotmistrzowi.

— A zwłaszcza — szepnęła z ironicznym śmieszkiem — że taki śliczny chłopak, toby się w nim panna Laura pokochać mogła!

— Co za chłopiec! — krzyknął rotmistrz. — Dla acanny śliczny, a to smyk, smyk!

— Przecie tu załogą siedzieć nie będzie — dodała jejmość.

— Ja wprawdzie powiedziałem panu Salomonowi — mruknął rotmistrz — że do domu jadę i przybyłem tylko na wesele, ale jejmość to sama urządzi tak, bym został. Poproś mnie dla pomocy twemu staremu, on tu oczywiście sam wydołać wszystkiemu nie potrafi.

Różia znowu się odwróciła ze śmiechem.

Rotmistrz się groźnie zmarszczył.

— Salomon, zdaje mi się, łagodny będzie i posłuszny — rzekł — wszelako tresować potrzeba.

Gdy ta rozmowa na górze się po cichu odbywała, w dole Dobek chodził jakby przerażony po swej izdebce. W progu stał Eliasz i rozповідаł mu coś po cichu. Pokłonił mu się do kolan, gładząc głowę.

— Służyłem jegomości, panu memu, wiernie do siwego włosa — odezwał się, łzy mając na oczach — nadszedł ten wiek, że mi się chleb łaskawy od was należy. Nie podołam, drogi panie, a szczególnie przy nowej pani, która młodą jest i inny rząd zaprowadzi w domu. My tu byli do starego porządku nawykli, to się wlokło jako tako, dalej, dalej... człek nie wydoła, a i siebie gryźć będzie, i drugim niedogodnym się stanie mimo woli.

Skłonił się do kolan.

— Łaski jaśnie wielmożnego pana proszę, puśćcie mnie. Dobek przystąpił doń żywo, obie ręce kładnąc mu na ramionach.

— Na miłość bożą! To i ty mnie, stary, chcesz opuścić! A toć mi zginąć przyjdzie.

Eliasz ruszył ramionami, głowę spuścił, oczy w podłogę wlepił.

— To nie może być — dodał Dobek — my się nie rozstaniemy.

— Niech no się pan nie gniewa, a posłucha — ozwał się stary — jest o czym radzić. Od wczorajszego dnia domu poznać nie można. Rządzą się jak szare gęsi, a toć przecie nie my do nich, tylko oni do nas przybyli i do naszego obyczaju zastosować się powinni. Rotmistrza nam tu nie trzeba, on tu, słyszę, zabiera się całą zimę siedzieć. Jejmość co każe, jegomość zaraz spełniać poleca, oni w tydzień wszystkich nas przepędzą. Nie może tak być! Nie może!

— Ależ powoli! — syknął Dobek — Pierwsze dni...

— Tak, a potem nie czas będzie. Pan chyba nie wiesz, co tu się gotuje. Ano, głośno mówią, że jejmość chce panienkę z jej pokojów przepędzić i sprzęt zabrać, przecież pana stało na drugi. Rotmistrz domaga się dwóch pokojów w zamku. Dalej i dla was, stary panie, miejsca nie stanie. O toż to dopiero trzeci dzień!

Zmilczał pan Dobek, bo czuł, że Eliasz miał może słuszość.

— Czekaj — rzekł cicho — wyczekawszy, cierpliwości, to się złagodzi.

Stary machnął ręką, pogładził głowę, zmilczał.

— Ani mi myśl odchodzić — rzekł Dobek — nie puszcę.

Dopiero sobie przypomniawszy gościa, począł o niego rozpytywać gospodarz i okazało się, że był wyszedł do stajni, a potem do Lorki, zaproszony, tam pozostał. Zamyślił się ojciec nieco, posłyszawszy o tym, a nie rzekł nic.

Więc już i ku obiadowi się zbierało; ano, o zwykłej godzinie gotowa nie była jejmość, bo dopiero pudermantel zrzuciła, musiano więc czekać.

Stary poszedł do córki. Zobaczywszy go samego, Lorka pobiegła uścisnąć i popieścić. W istocie, smutna jego twarz dopraszała się trochę pociechy. Rad też był zobaczyć Honorego, z którym już Lorka była w doskonałej komitywie. Żeby jednak to w błąd ojca nie wprowadzało, zaraz na Wstępie opowiedziała mu historię Dobków Konopnickich, chorążego i Honorego, i narzeczonej, panny Bułhakówny. Stary, któremu co innego się już może śniło, widocznie zafrasował się, posłyszawszy o tym, i niewyraźnymi słowy począł winszować Honoremu i składać życzenia.

W godzinę może po zwykłej obiadowej dano znać, że pani była gotowa i że zupa na stole. Lorka zawahała się, lecz po namyśle poszła razem z ojcem i kuzynem.

Rotmistrz i reszta towarzystwa czekali już w jadalni. Porębie nie podobało się owo towarzystwo kuzynka, którego przyjął kwaśnym ukłonem. Chciał był przysiąść się do Laury, lecz mu zabieżono i Honory zajął przy niej miejsce, a z drugiej strony ciocia Henau. Rotmistrz skazany został na towarzystwo Rózi, lecz pił za to za dwóch.

Pani Dobkowa, wystrojona bardzo świetnie, próbowała w czasie obiadu zachwycić przybyłego młodzieńca, zaczęła go oczyma i słowy, spęzło to wszakże na niczym; odpowiedział krótko, grzecznie, sucho, ale wziąć się nie dawał. Pod koniec więc zwróciła się ku mężowi i kilku słowy biednego znowu położyła trupem u nóg swoich. Gotów był w ogień i w wodę.

W tym usposobieniu przygotowawczym odprowadziła go na bok po obiedzie do parlatorium.

— Mój Salomonku — rzekła — rotmistrz chciał nam uciekać, alem go uprosiła, żeby sobie u nas posiedział. Nie uwierzysz, jaki to doskonały człowiek do pomocy w gospodarstwie, tylko go popróbuj. U ciebie nieład być musi, ale, serce moje, on przywykł do wygod, dać mu trzeba dobre mieszkanie.

— To się zrobi, ale... tego... — chrząknął Dobek — ale... rotmistrz miał pilno do domu.

— Ja go uprosiłam! Widzisz, mój drogi, oprócz ciebie, jam tu samymi otoczona nieprzyjaciółmi. Słaba kobieta, rady sobie bym nie dała.

Pogładziwszy go pod brodę, na co stary odpowiedział przyklepieniem się serdecznym do białej rączki, jejmość mówiła dalej:

— I dla mnie też o mieszkaniu, duszko, myśleć trzeba. Ja nie mogę tak długo zostać. Powiem ci szczerze, dla jej własnego dobra, Laury tak pieścić się nie godzi, trochę jej cugielków przykrócić potrzeba, bo pozwala sobie! Na ślubie jejmościanka być nie chciała, kogóż to dotyka, jeśli nie was? Mnie to nic, a do was pito. Nie szanuje ojca, a cóż dopiero będzie z macochą? Na to trzeba radzić przez miłość dla niej. Najprzód tedy pokazać jej, że ona tu pierwszą być nie może, bo jest ktoś starszy. Jak tylko ten nudny gość wyjedzie, trzeba jejmościankę z jej pokojów wynieść. Trochę potrzebniejszego sprzętu niech sobie zabierze, ale ja też między czterema gołymi ścianami mieszkać nie mogę. Młoda się nie powinna przyzwyczajać do zbytków.

Słyszając to, pan Salomon tak zbladł, iż jejmość się przelękła, uczuła, że może za śmiało postąpiła, nie cofnęła się jednak, dała po cichu wysapać się Dobkowi i dodała stanowczo:

— To dla jej własnego dobra. Jegomość musisz wybierać pomiędzy nią a mną. Ja nie mogę pasierbicy ulegać i jej się akomodować, trzeba, żeby ona mnie uległa. Tego Dobka młodego odprawić co rychlej, a w domu porządek być musi.

Spodziewała się jejmość jakiegokolwiek odpowiedzi, na próżno, gdyż stary był tak przybity, iż słowa wyrzec nie mógł. Wymagania te przychodziły nagle, tak natarczywie, prawie niespodziane a stanowcze, że Dobek nie widział ratunku, tylko w zwłoce i Opatrzności. Dowodzenia przeciwko córce wcale go nie przekonywały, a ścisnęły mu serce. Wiedział, jak to kochane dziecię cierpieć miało, od pieszczot przechodząc do surowości nielitościwej.

— Waćpan bo tak milczysz, mój panie Salomonie, jakbym ja nie miała racji — rzekła jejmość — a to trzeba, żebyś sobie raz na zawsze powiedział, moje kochanie, że ja rację mam, kiedy co mówię!

Nie wydobyła z niego i tym żadnej odpowiedzi, lecz biorąc milczenie za zgodę, zaspokoila się tym tymczasowo. Dobek w duchu Pana Boga prosił, ażeby gość przynajmniej jak najdłużej pozostał. I ten dzień, i parę następnych przeszło prawie jednostajnie; Honory tylko z poufałością brata zbliżył się do Laury. Oboje wiedzieli, że jedno z nich wolnym nie jest, że o przyszłości żadnej marzyć nawet nie mogli, a to właśnie zamiast ich oddalić od siebie, zbliżało ich i spoufalalo. Już drugiego dnia byli z sobą jak brat z siostrą i Laura, potrzebując się wypowiadać z bolesnego położenia, opowiedziała Honoremu całe swe życie, całą przeszłość szczęśliwą, wszystkie marzenia i trwogi. Tak samo on odmalował jej konopnicki dwór, starego ojca, chodzącego o kiju i kuli, Zosię Bułhakównę, proste, dobre

dziewczę wiejskie, swe troski gospodarskie, swoje plany przyszłości, sąsiedztwo, życie, zajęcia i kółko, w którym się obracał.

Pomimo że Konopnica leżała na ustroniu stosunkowo do innych okolic tej prowincji, do której się liczyła, jeszcze tam stokroć było życia i ruchu więcej niż w obumarłych Borowcach, więcej stosunków, częstszy goście, szumne zabawy a coraz nowi ludzie.

Lorka słuchała opowiadań tych z zajęciem, jak rzeczy zupełnie nowych, których się zaledwie domyślała.

Po całych tak dniach gwarzyli przy pannie Henau, robiącej pończoszkę i przysłuchującej się także opowiadaniom. Niewinne to były rozmowy, żadne z nich nie pomyślało nawet o zalotnym przypodobaniu się jedno drugiemu, a w końcu jednak Laura uczuła, że bardzo pokochała tego brata i wiecznie po nim tęsknić będzie, a Honory westchnął potajemnie, dlaczego jego poczciwa Zośka Bułhakówna do Lorki nie jest podobna.

Żadne z nich nie dało poznać drugiemu powziętego przywiązania, a po kilku dniach rozdzielić się prawie nie mogli. Lorka, zostawszy się sama, tęskniła dopytując, co Honory robi, gdzie się podział, czemu nie przychodzi, a Honory, odciągnięty od niej, śpieszył, by wrócić co najprędzej.

Tak się jakoś te dwie ich pokrewne duszami natury doskonale z sobą godziły. Laura przyznała się nawet przed nim jednym ze swą pasją do koni i ochotą latania po polach na rumaku, ubrała się raz do niego w mundurek, stosowany kapelusz, a chłopak, korzystając z tej maskarady, chciał braciszka pocałować, od czego się ten ledwie obronił.

Mało jednak było takich chwil pustych; częściej smutnie jakoś gwarzyli, czy się i kiedy jeszcze zobaczą na świecie, czy się poznają, starzy, po jakich latach trzydziestu. Lorka przynajmniej przy nim trochę o trosce macochy zapomnieć mogła, z czego ojciec był bardzo szczęśliwy, a po cichu sam i przez Eliasza zaklinał i prosił Honorka, ażeby jak najdłużej bawił. Nie domyślał się tego, że jak z jednej strony pobyt gościa trochę go ubezpieczał od napaści żony na Lorkę i zbytniego gospodarstwa, tak z drugiej stawał się niebezpieczeństwem.

Z każdym dniem skłonność Laury do brata tego rosła, a któż nie wie, jak uczucie w młodym wieku niewiele czasu potrzebuje, ażeby się stać niezwyciężonym i zapisać na całego życia karcie? Jak pierwsze rośliny na wiosnę pędzą z ziemi, w oczach prawie oblekając się liśćmi i kwiatem, tak i miłość dwudziestoletnia w jednym dniu czasem wyrasta, a w kilku całe swe przebywa dzieje.

Laura, zamyślona, pytała się już siebie, co się w jej sercu działo, i chwyciła się na zazdrości, i powtarzała mimo woli: — A czemuż ja nie jestem tą Zosią! Tak by nam z sobą dobrze było na świecie!

Honory, zapraszany, choć mu pani macocha kwaśną robiła minę, a rotmistrz co dzień przypominał, że sanna teraz dobra, a potem nagle przepaść może, siedział, zapominał o domu i wyrzucał to sobie. Zrazu nie myślał wcale o kochaniu ani się obawiał rozmiłowania w tej siostrzyczce, dopiero po kilku dniach postrzegł się, że siedzieć dłużej byłoby niebezpieczeństwem. Sumienie kazało mu uciekać od patrzących oczu i serdecznego wejrzenia dziewczęcia, które żadnego uczucia utaić nie umiało.

Nawet panna Henau, nigdy nic złego nie przypuszczająca, dopóki dowodów jawnych nie było, zaczynała się trwożyć zbytkiem czułości Laury dla pana Honorego. Było to tak bijące w oczy, acz niewinne, że panna Fryderyka uznała za obowiązek swój rozmówić się z wychowanką.

Jednego dnia rano, nim jeszcze Honorek, który tu na kawę przychodził, został powołany, panna Henau zbliżyła się do Laury, objęła ją, popatrzywszy długo w czyste jej niebieskie oczy, szepnęła:

— Droga moja, ja bym ci coś powiedziała.

— Śmiało, cioteczko! Cóż takiego?

— Mnie się zdaje... tylko mi się nie burz na to, co ci powiem, że ty jakoś dziwnie zajęłaś się tym bratem i możesz mu mimowolnie zawrócić głowę.

— Ja? Jemu? Głowę zawrócić? — z wybuchem radości przerwała Laura. — Ciociu! Mogłoby to być? Ot! To bym była szczęśliwa!

— Jak to? Ależ zaręczony!

— To co? — zawołała Lorka. — To niech się żeni, ale całe swoje życie niech o mnie myśli, kocha, marzy i oddycha!

— Ale, droga Lorko! Pleciesz jak dziecko, na cóż ma cierpieć?

— Alboż to cierpienie? — podchwyciło dziewczę. — Ręczę cioci, że ja o nim do zgonu myśleć i kochać go będę. Czemuż on nie ma mi się wypłacić wzajemnością!

Ciocia Henau, osoba nader surowych zasad, usłyszawszy to, ręce załamała, oczy spuściła, struchlała.

— Cicho! Lorko! Jakże ty możesz mówić coś podobnego!

— A dlaczegoż miałabym się z tym przed ciocią taić? Samo tak jakoś przyszło! Pan Bóg dał! On o niczym nie myślał, mnie w głowie kochać nie powstało, cóż my temu winni, że

mimowolnie przywiązaliśmy się do siebie? Ale, co ja plotę? — przerwała Laura. — On... pewno nie, a ja niezawodnie, na całe życie!

— Na Boga! Lorko, cicho!

— Sama ciocia wywołała.

— Proszę cię, kiedy się już przyznajesz do tego, starajże się zapobiec.

— Czemu zapobiec? Na co zapobiegać? — ofuknęła się Lorka. — Niechże mnie ciocia posłucha! Ja mu się przecież żenić z Zośką Bułhakówną nie bronię, niech się żeni, byle mnie kochał, a ja za mąż iść nie myślę i będę go sobie jednego kochała! Alboż to grzech? Moja ciociu, czyż to grzech być może?

Ciocia, ze spuszczoneymi ciągle oczyma, stała drżąca, jakby się już tylko modliła do Boga o odwrócenie grożącego nieszczęścia.

Lorka z tego przerażenia dopiero zaczęła wnosić, że to uczucie, do którego się przyznawała tak naiwnie, w oczach obcych ludzi mogło groźniejszym się wydawać, niżeli dla niej było. Uścisnęła ciocię dla uspokojenia.

— Niechże ciocia znowu nie lęka się o mnie, bo ja się nie wydam nigdy z tym, że go tak kocham! Musi sobie sam to odgadnąć, bo mu tego pewno nie powiem nigdy. O! Już o to proszę bardzo być spokojną. Nam przecie, jako bratu i siostrze, choć to takie dalekie, dalekie pokrewieństwo, że nam by nawet ślub dać mogli. Ale co ja plotę! Jako bratu i siostrze, bardzo serdecznie kochać się wolno.

— Moja Lorko, już dosyć tego!

— Więc dosyć, ale przysięgam cioci, że ja go do śmierci kochać będę.

Na te słowa szelest się stał u progu i wszedł właśnie Honorek, który, nieszczęściem nie słyszał, a skutkiem rachunków z własnym sumieniem smutny był i niespokojny. Laura, zobaczywszy go, zarumieniła się nieco, lecz wesoło ku niemu podeszła. Ciocia, zmieszana, musiała trochę się usunąć na stronę, by nie dać poznać tego po sobie. Chmurka na czole gościa nie uszła żywego wzroku Laury, która spytała się cicho, głosem pełnym uczucia:

— Co ci to jest?

Zwali się już siostrą i bratem.

— A nic, a nic... trochę mi tylko ojciec stary śni się i przypomina (nic już nie wspomniał o narzeczonej), trzeba by powracać do niego...

— Jak to? Już? Już wracać? To ci tak źle u nas?

— Dobrze mi, aż nadto dobrze... ale...

— Wszak wrócisz tam na zawsze, a dla nas tylko tych kilku chwil odkradzionych z życia twójego zostało. Wrócisz tam do ojca, do narzeczonej, a ja zostanę sama, bo mi i ojca odebrano, z macochą! Nie liczę się tak ściśle z tymi dniami!

Wyciągnęła rączkę białą. Honorek schylił ku niej usta, pocałował i zatrzymał w dłoni, patrząc na nią z takim uczuciem miłości i bólu, że Laura z radości się zarumieniła. W tym spojrzeniu pozeżyły się milcząco ich dusze, mówić nie potrzebowali.

— Nie jedź jeszcze — rzekła Laura — ojciec cię prosi, a ja każę.

Ostatnie słowo ciche poparła spojrzeniem wymownym i w chwili gdy oczy jej wracały z tej wędrówki, spotkały źrenice ciotki przerażone, spoglądające na nią z wymówką i przestroga.

Pobiegła Laura do swoich ptaszków dla ukrycia, co się z nią działo, i zaczęła trzpiotać się i szczebiotać jak one. Dzień zimowy był piękny, słońce już wiosenne mu przyświecało, szron okrywał drzewa i drobne gałązki, i trawy zeschnię na murach zamku postroił w brylanty. Na płowym tle nieba ta świeża biel i kryształowy rysowały się z takim wdziękiem, z jakim czasem srebrny włos starca podnosi się nad rumianą jego twarzą. W tym obumarłym krajobrazie zimowym już czuć było zapowiedź wiosny. Laura spojrzała na zamek i krzewy otaczające go, na ten ubrylantowany poranek i zwracając się do Honorego, spytała:

— Ręczę, żeś pan brat jeszcze ani razu nie obszedł naszego zamczyska i nie poznał się z nim, i jego tajemnicami. Dziś ono tak ślicznie wygląda, że bym oprowadzić chciała po naszych ruinach. Gdyby ciocia poszła z nami, byłoby nam bardzo przyjemnie, a jeśli nie może...

— Idę, moja Lorko, idę — przerwała nastraszona panna Henau. Nie wiem, czy to w smak było Laurze, lecz przyjąwszy ofiarę, poszła się sama trochę przybrać i wprędce wróciła w sobolowej czapeczce i aksamitnej jubce, takimże futerkiem obłożonej. Ciocia musiała się trochę cieplej ubrać, bo do powietrza nie bardzo była przywykła. Honory nie potrzebował dla małego przymrozku nic brać na siebie, bo na zimno był wytrwały. Wszyscy troje tedy wyszli z baszty, najprzód na ogródek Laury, który bramę starą od ruin oddzielał. Poschłe kwiaty i krzewy w szronie tym nabrały szczególnego wdzięku, ogródek był jakby skamieniały a wczorajszego życia pełen, brakło mu tylko barwy. Gałązki, obciążone kryształami, zginały się, jakby liście dźwigały, i kształtne tworzyły łuki; najdrobniejsze źdźbło, niewidzialne prawie, oblane białym puszkim, stawało się na chwilę znowu jakby młodą latoroślą. Ginące w lecie na szarym tle murów wątle trawy i mchy występowały na tę uroczystość zimową, tworząc jakby kaskady, wieńce i długie sploty. Lecz najśliczniejsze były drzewa, którym stracone wróciły formy, a w oddali wierzby, krzaki, łożyny, uschnię topole zaokrąglały się

wdzięcznymi liniami, jakby chciały lato przypomnieć. Z sosen i jodeł gdzieniegdzie wietrzyk i słońce spędziły ten strój chwilowy, posępnej ich barwie za świeży i płochy, i zieleń ciemna przeglądała smutna, wstydząc się, że tak brudną była przy tym śmierci całunie.

Lorka z Honorym tak się zagadała zaraz na wstępie, wchodząc do ogródka, że poleciawszy przodem, o nadążającej z ciężkością ciotki Henau zapomnieli. Ona też, z obowiązku idąc za nimi, po pierwszych kilkudziesięciu krokach próby zwątpiła, ażeby w ślad pójść mogła, było to nad jej siły.

— Proszę cię, bracie — zawołała Lorka, wskazując mu oddalone bory i smugi okryte śniegiem — nie jestże u nas w tej pustyni tak pięknie, że tu i żyć, i nie tęsknić można do reszty świata? Tu człowiek czuje się panem, nie ocierając o nikogo, co by mu szeroką pierśią tchnąć przeszkadzało. Pustynia, lecz jakby tu szczęśliwym być można!

— Szczęśliwym — śmiejąc się smutnie, rzekł Honory — mnie się zdaje, można być wszędzie, gdy się jest z tymi, których się kocha.

— To prawda, mój bracie, ale gdy ludzie jak muchy i osy brzęczą, latają i przeszkadzają, nawet tego szczęścia napić się, uczuć nie można. Gdy tam powrócisz do Konopnicy, przypomnij sobie piękny ten poranek i nas, i smutne Borowce, i mnie! Pamiętaj!

— Gdybym chciał i powinien, nie potrafię zapomnieć Borowiec — rzekł wzruszony Honory — a gdybym o Borowcach zapomniał, będę o tobie pamiętał.

— Pewnie? — spytała Laura poważnie.

— Czyż o to pytać potrzeba i odpowiadać, i — przysięgać?

— Boby to bardzo smutnym było — dokończyła Laura — gdybyś, przyniosłszy nam, mnie trochę pociechy, rzuciwszy ją jak jałmużnę, o żebrakach zapomniał...

— Zbyt żywo się wraziło w pamięć to, co tu spotkałem — nieśmiało odpowiedział Honory. — Wy o to mieć nie możecie obawy, bym ja zapomniał o was... ale ja?

Laura popatrzała z uśmiechem.

— Czy żądasz na to przysięgi? Bo ja... tom nawet przysięgę gotowa! W tej smutnej życia mojego godzinie splotło się wszystko, co najboleńszego i najszcześliwszego mógł mi dać los, jednego od drugiego oderwać niepodobna. Są to godziny wiekuiście niezapomniane, a wy w nich, kochany bracie, promieniejecie mi jasno. Któż wie — mówiła idąc ciągle — kto wie, co życie przyniesie, co zgotuje dola moja?

Rada bym mieć kogoś w świecie, do kogo bym o ratunek, o obronę, o pociechę zawołać mogła. Wy pojedziecie, ja wiem, co mnie tu czeka, odbiorą mi jedyny skarb, serce ojca... on słaby jest i upojony, oczarował go ten upiór, który z nas krew i życie wysysa. Gdy serce to

stracę, zostanie mi może tylko jedno wasze, braterskie... na które prawda, że zawsze rachować mogę?

Honory ze współczuciem patrzył na nią.

— Tak na mnie rachuj — zawołał — jak tylko na człowieka, na sługę, na niewolnika liczyć można! Wstydzilibym ci się przysięgać, jeżeli nie czujesz, że w tym słowie daję ci życie moje.

Podali sobie ręce, a oto i ciocia Henau nadażyła właśnie, wielce skłopotana tym uściskiem. Lecz gdy nadeszła, Laura już opowiadała Honoremu historię baszty i białej niewiasty, która się tu miała okazywać w każdy dzień zaduszny. Nie było w tym nic zdrożnego i ciocia się uspokoiła.

VIII

Z wielką niecierpliwością oczekiwany przez jednych Borowiec mieszkańców, przez drugich z trwogą niemniejszą, dzień wyjazdu Honorego Dobka nadszedł wreszcie. Pobytu swojego dłużej już nie mógł przeciągnąć chłopak, choć odjeżdżał z sercem rozdartym. W kilku ostatnich dniach, zdawało się, że niebaczna Laura zapragnęła go na wieki do siebie przywiązać i sama w sobie uczucie rozżarzyć tak, by na życie go stało. Z dziecinną naiwnością igrała sobie z tym płomieniem, którego tylko blask знаła. Honory nie mógł się jej oprzeć; nie mówili sobie nic więcej nad to, co powiadały oczy, lecz rozumieli się nimi i słów nie było potrzeba.

Młody Dobek powstrzymywał siebie i ją, udając wesołość, często w żart obracając słowo poważne; ona tym silniej starała się go przekonać, iż do wyrazu tego przywiązywała wagę przysięgi. Ostatniego wieczoru, nie śmiejąc mu dać obrączki na te ducha zaręczyny, bo wiedziała, że duszą tylko do niej należeć może, zmusiła Dobka, by przyjął od niej stary medalik, który po pradziadku jej został. Kazała mu go nosić zawsze, nie zrzucić nigdy, a patrzeć nań co wieczór, o tej godzinie, w której zegnali się z sobą.

Nazajutrz do dnia Honory wyjeżdżać musiał.

W miarę jak się ta godzina rozstania zbliżała Laura nabierała męstwa i zdawała do walki gotować, która ją czekała. Z rana spytała o Honorka, czy pojechał. Odpowiedziano, że ruszył do dnia.

— Ciociu — rzekła — dziś się wojna rozpocznie...

— Jaka wojna?

— Z upiorem, z macochą, wiem doskonale, bo się z tym nie tai, że mnie ma stąd wypędzić i zabrać nawet sprzęty. Com miała droższego dla siebie, to wcześniej pochowane, czekam rozkazu, ustąpię. Nie zniżę się do łez i walki, ojca mi żal, oszczędzę go.

— Ale to ci się śni! — odpowiedziała, uspokajając ją, ciotka. Tymczasem nie było to przywidzenie. Laura, ukochane dziecko, w całym dworze miała przyjaciół i sprzymierzeńców; choć słuchać nie chciała, donoszono jej o wszystkim, cokolwiek pochwytać się dało, każde słówko macochy, groźba, nieostrożne wyaplanie się rotmistrza dochodziło tu, przynoszone z trwogą. Słudzy gotowi byli do największych dla niej poświęceń. Mogła rozkazać, co chciała, będąc pewną, że w jakikolwiek sposób żądanie każde będzie spełnione. O ile Laura była ukochaną, o tyle od pierwszych dni wszyscy znienawidzili tę narzuconą panią, której posługiwano niechętnie, a nieszczęśliwy rotmistrz, choć na pozór krzywda mu się żadna nie działa, czuł, że był w nieprzyjacielskim obozie. Wszystko jednak odbywało się tak zręcznie, iż na nic poskarżyć się nawet nie było można. Począwszy od starego Eliasza, słudzy zdawali się głusi i niemi dla tych przybyszów; nikt nie wdał się w rozmowę, na pytania odpowiedzi były skąpe i niechętne. W miasteczku spotykali tę samą niechęć i opór bierny ku sobie, który rotmistrza i Sabinę do wściekłości doprowadzał.

Wzywany na ratunek, pan Salomon biegł, rozkazywał, pozywał, i zawsze ludzi znajdował niewinnymi, a sam za wszystko cierpiał.

Pani Dobkowa znosiła swe położenie, zzymając się, lecz odkładając ostateczną naprawę do wyjazdu gościa, którego świadkiem burzy mieć nie chciała. Wstawszy tego dnia z rana i ona najpierwsza pannie Róży zadała pytanie, czy ten utrapiony Litwin wyjechał.

Różia, która była zakochana w jego pięknej twarzy, odpowiedziała z westchnieniem, iż go już nie było. Powołano natychmiast pana Salomona.

Stary wiedział już, co to znaczy, i szedł powoli, jak na ścięcie. Niecierpliwa jejmość czekała nań w progu, wpuściła do pokoju i zamknąwszy drzwi, poczęła od pogłaskania pod brodę. Był to cukier, którym każdą gorzką dlań osładzała pigułkę. W odwodzie za jejmością stał już milczący, ale w gotowości do boju, szanowny rotmistrz.

— No, Salomonku, tego natrętaśmy zbyli, trzeba przystąpić raz do uczynienia tu porządku.

— Jakiego porządku?

— Proszę cię, nie udawaj, że nie wiesz — mówiła pani. — Sto razy zapowiadałam i jeszcze raz powtarzam, że tego wstydu nie zniosę dłużej, ażeby mi twoja dziewczyna zabierała najlepsze pokoje i sprzęty. Dziś mi się wynieść musi!

— Ale moje życie! Moje życie! — krzyknął Dobek. — Zlituj się... to dla niej będzie...

— Dość tych pieśczoć! Psujesz ją, powiadam ci! A już popsuta jest, jak nie może być gorzej! Na nic oczu nie miałeś i pociechy z niej mieć nie będziesz — gwałtownie poczęła krzyczeć Dobkowa. — Po całych dniach i wieczorach wysiadywali tam z tym niby kuzynkiem na romansach, ty i na to byłeś ślepy. Ale ja się w to nie wdaję, jak sobie pościele, tak się wyśpi, niech tylko mnie w drogę nie włazi. Chodź waćpan ze mną!

— Dokąd? — zapytał Dobek.

— Dokądże? Do niej.

Pan Salomon porwał ją za rękę, całował, szeptał, ukląkł, składając dłonie i błagając:

— Pokoje dla ciebie, Bisiu moja, będą gotowe za parę tygodni! Ubiorę je daleko paradniej... Klnę ci się na wszystko najświętsze... ty mi Lorki nie tykaj!

Oburzyła się strasznie jejmość.

— A ja właśnie jegomości z tego zaślepienia, z tego bałwochwalstwa muszę raz wyleczyć. Ją trzeba upokorzyć! Będzie myślała, że i ja się jej lękam. Waćpan wiesz, że ona mi nigdy głową nie kiwnie, słowa nie przemówi...

Odepchnąwszy klęczącego Dobka, jejmość otworzyła drzwi, przeszła korytarz, wlokąc za sobą męża.

Rotmistrz przez jakąś rachubę czy strach pozostał w pokoju. Przebiegła szybko parlatorium, stukając za sobą drzwiami, i wpadła już rozhukana i gniewna do mieszkania Laury. Dziewczkę uspokojone, o ile tylko umiało i mogło się uspokoić, siedziało, czekając zdaje się wtargnięcia macochy, nad Biblią. Wypogodzenie jej twarzy, powaga, uczucie jakiegoś mężnego, malujące się w spojrzeniu, rozgniewaną Dobkową więcej jeszcze rozdrażniło.

— Mościa panno — zawołała, stając przed nią — nie przystoi, abyś mi najlepsze izby w domu zajmowała i rozlegała się w nich, gdy ja w ciemnym kącie cisnąć się muszę. Dość już tego, od dziś zajmuję to mieszkanie, a waćpanna wynosisz się, gdzie się jej podoba, to mi wszystko jedno...!

Laura potrafiła się powstrzymać od wszelkiej oznaki niecierpliwości, zwróciła się powoli ku stojącemu za macochą ojcu i zdawała się jego pytać wejrzeniem o potwierdzenie rozkazu. Dobek stał niemy.

— Czy waćpanna nie słyszysz? — powtórzyła z największą furią Dobkowa.

— Owszem, słyszę — cicho, łagodnie i spokojnie odezwała się Laura — lecz czekam rozkazu mojego ojca.

— Mój waćpannie nie starczy?

Na to pytanie odpowiedzi nie było.

— Moja droga Lorko — rzekł w końcu Dobek, naglony groźnym wzrokiem żony — moja Lorko, dla świętej spokojności, uczyn to, proszę... ja ci...

Dobkowa nie dała dokończyć, tupiąc nogą. Laura popatrzała długo na biednego ojca, wstała z krzesła, podeszła ku niemu, ucałowała go i zabrawszy Biblię, odpowiedziała łagodnie, uśmiechając się:

— Mój drogi ojcze, najchętniej uczynię, co ci tylko miłym być może. Uspokój się...

I nie spojrzawszy nawet na coraz bardziej rozzłoszczoną macochę, która na krzesło padła, cała trzęsąc się od bezsilnego gniewu, Laura powoli wyszła.

Dobkowa została wprawdzie panią placu bitwy, ale w tejże chwili stary Salomon, mimo jej nawoływania, zdezerterował i pobiegł, nie słuchając głosu jej, za córką. To dopełniło kielicha goryczy i namiętności, podburzyło do najwyższego stopnia. Z gniewu poczęła Sabina płakać, została sama. zwyciężyła, lecz nie był to tryumf, jakiego pragnęła.

Czuła, że cierpliwością i łagodnością, których się nie spodziewała, została pobita. Salomon nie powracał, żywej duszy dokoła, wszystko się nawet z kobiecych pokojów rozbiegło za Laurą, która zstępowała po schodach do pokojów przy mieszkaniu ojca. Szło jej tylko o wyratowanie także cioci Henau, która oczywiście w sąsiedztwie pani Dobkowej pozostać nie mogła. Ojciec, całując ją po rękach, szeptał zapewniając, iż jej nowe mieszkanie uczyni takim, jakim ona sama zechce.

— Tatku kochany, proszę cię, nie frasuj się tym, nie jestem dziecko! Przy tobie, z tobą będzie mi dobrze! Prawda, te moje izdebki kochane, pieszczone, które lata szczęśliwe przypominają, są mi drogie... każdy tam kątek ubrany w pamiątkę... lecz... bylebyś był spokojny...

Salomon odetchnął lżej. Znakiem jednak żalu, jaki miał do żony, było, że się na górze już nie pokazał. Pozostała tam sama z rotmistrzem, Rózią i służącą, bo ze służby dworu, która się bodaj umyślnie rozbiegła, nikogo dowołać się nie było podobna. Rózia i rotmistrz rozpatrywali się w sprzętach, podziwiali elegancję, a jejmość chodziła zaszępią jak noc.

Chciała rozmówić się z mężem, lecz mieszkanie jego znalazła zaryglowane, a wiedziała już o tym, że w takim razie próżno się było do niego dobijać. Błądziła więc po domu sama, nie mogąc ludzi znaleźć nigdzie, aż do obiadu.

Rotmistrz widząc, jaki rzeczy obrót biorą, choć nie był zbyt przenikliwy, zamyślił się bardzo.

— Wiesz co, Sabciu — rzekł po cichu — niech ich licho porwie! Jakoś ty nadto prędko i gwałtownie idziesz, żeby biedy nie było. Mnie się coś tu nie podoba. Ci ludzie i ten Dobek... i

takie tu rzeczy gadają po mieście o zamku i o dawnych sprawach tej familii, dalipan! Coś mi się nie podoba.

— Boś tchórz — zawołała rozgniewana pani Sabina — powolnością z nimi nic nie dokazać, ja wiem, co robię!

Rotmistrz zmilczał. Godzina obiadowa nadeszła, wszyscy się według zwyczaju zgromadzili. Laura była blada, ale spokojna i jakby na przekór uśmiechająca się. Dobek, milczący zawsze, teraz zdawał się tak ponury, że na ponowione pytania ledwie mrużeniem odpowiadał. Atmosfera ciężka jakaś była i zapowiadająca nową burzę. Kilka razy chciała wznowić rozmowę o mieszkaniu pani Dobkowa, lecz nikt nie podniósł, co mówiła, i nikt się nie sprzeciwiał.

Musiła umilknąć. Na wieczór już królowała w nowych pokojach, z których w istocie mniej miała pociechy, niż sądziła. Zwycięstwo wszakże radowało ją mocno, przed rotmistrzem przynajmniej chwaliła się nim, szydząc z Laury, która jak niepyszna ustąpić musiała.

Wieczorem późnym spotkała ją druga nieprzyjemność. Miała niezmiennie postanowienie odebrać rządy majątku i kasę, i klucze do siebie. Zdało się jej, że wypadnie zacząć od tego tajemniczego wielkiego klucza, który jegomość nosił zawsze na szyi, a wieczorem składał pod swoją poduszkę. Zaczęła więc domagać się powierzenia go w sposób łagodny, perswadując, że mu to ulży kłopotu, że ona będzie jego najwierniejszym podskarbigim itp. Nie szczędziła przy tym pieśczoł, a nawet pocałowała go parę razy. Dobek był bardzo z tego szczęśliwy, jednakże gdy mowa tylko zwracała się do klucza, oczy mu się iskrzyły dziwnie, usta zacinał i wyraz twarzy zaczynał być groźnym. Trwało to ucieranie się i próby z godzinę, nie doprowadzając do niczego; na ostatek, przywiedziony do ostateczności, pan Salomon zerwał się z łóżka i zawołał:

— Chcesz wiedzieć, co jest pod tym kluczem? Nie mam żadnych pieniędzy, to klucz od grobów. Chcesz waćpani klucza do grobu? Chcesz ze mną iść do grobów? Proszę, chodźmy!

Trzęsący się głos, w którym po raz pierwszy gniew tłumiony się przebijał, te zaprosiny do grobu, ten gorączkowy pośpiech Dobka, który klucz już trzymał w rękach, przstraszyły naprawdę nieulekłą dotąd kobietę. W tym człowieku posłusznym aż do zdziecinnienia dla siebie postrzegła jakby drugiego, skrytego, nie znanego sobie dotąd, potomka tych ludzi, o których krwawych historiach rozpowiadano.

Uśmiechnęła się blado.

— No, a gdzież pieniądze trzymasz? — zapytała.

— Jakie pieniądze? — odparł chmurno jeszcze pan Salomon.

— A te skarby wasze?

— Jakie skarby? — powtórzył dziwnym głosem stary. — Ja nie mam żadnych skarbów. Mamy tyle, ile nam potrzeba, ale zapasy te w głowie chyba wariatów siedzą! Ja nie mam żadnych skarbów i pieniędzy. Co się waćpani śni? Dość tego!

Jejmość zamilkła. Dobek był widocznie bliski wybuchnięcia gniewem. Zamyśliła się i odroczyła resztę na później. Widziała już, że tu siłą nic nie dokaże, sądziła, iż znajdzie na to inne środki. Nie wyrzekła się tego co w plany jej wchodziło, musiała jednak wykonanie odroczyć.

O tym wypadku nie wspominała nic rotmistrzowi nawet, wstydziła się omyłki. Potrzeba jej było jak najrychlej teraz pozbyć się z domu Laury, odprawić ciotkę, sam na sam zostać ze starym, na którego one wpływ mieć mogły, i z wolna dostać się do klucza od skarbcza, o którego istnieniu była jak najmocniej przekonana. W tym, nie mając nikogo innego pod ręką, zamierzała się posłużyć rotmistrem, który ożenienie z panną Laurą uważał za możliwe i sądził, że je potrafi doprowadzić do skutku z pomocą wszechmocnej pani. Wola córki nie wchodziła tu w żadną rachubę, ojciec powinien był ją zmusić do tego. Zresztą, Poręba miał odegrać rolę obrońcy i stanąć nawet w pozornej opozycji ze swą protektorką, ażeby serce, jeśli było można, pozyskać. Plan tak ukartowany miał się tedy przyprowadzić do skutku.

Jejmość zagadnęła najprzód Dobka, czyby nie najlepiej było wyszukać dla panny Laury męża takiego statecznego, w wieku dojrzałszym, który by ją mógł poprowadzić, gdyż inaczej groziło jej w życiu niemałe niebezpieczeństwo. Słuchał Dobek jednym uchem. Gdy wymówiła nazwisko rotmistrza, rozśmiał się.

— Cóż to śmiesznego? — spytała. Pokiwał głową.

— Co to śmiesznego? — powtórzyła.

— Lorki przeciwko jej woli za mąż nie wydam — rzekł stary — to pewna.

Znowu jakoś zbyt to orzeczenie było stanowcze, żeby jejmość ważyła się wbrew sprzeciwić. Odłożono.

Rotmistrz, około dolnych mieszkań błądząc, kilka razy miał ochotę wielką odwiedzić pannę Laurę, drzwi dla niego były zamknięte, a służąca odprawiała go tym, że panna nikogo u siebie nie przyjmuje. U stołu na zapytania pana Poręby nie było nigdy odpowiedzi. Na przechadzkach i w stajni, kędy na nią czatował, nie doprosił się ani wejrzenia, ani słowa.

Jednego dnia, gdy za nią nadażał, spotkawszy na przechadzce, Laura obróciła się wreszcie i stanęła oko w oko.

— Czego pan chcesz? — spytała.

— Nad wszystko towarzystwa pani i pozwolenia, bym jej mógł służyć.

— Gdyby to towarzystwo było dla mnie właściwe i miłe, mój panie rotmistrzu — odezwała się Laura z szyderstwem nielitościwym — od czasu, jak pan tu bawisz, byłabym z niego korzystała. Wybijże pan sobie z głowy to natręctwo i proszę, daj mi pokój!

— Ale, królowo moja, tylko dwa słówka — rzekł rotmistrz. — Pani mnie masz za nieprzyjaciela dlatego, że ja tu z moją kuzynką przywędrowałem, która pani dosyć dokuczyła. Otóż, słowo daję, ja potępiam jej postępowanie, gotów jestem stanąć w obronie pani, zwrócę się przeciwko niej, wystąpię jawnie...

Laura zaczęła się śmiać, zmierzyła go od stóp do głowy oczyma, ruszyła ramionami i poszła, nie odpowiedziawszy słowa. Odprawiony w ten sposób, jakoś nie wiedział, co dalej ma robić, i pozostał. Tegoż samego wieczoru wypowiadał się przed Sabiną i odebrał radę i rozkaz, żeby dalej grał rolę zakochanego obrońcy, nawet przeciw samej pani, żeby przestał bywać u niej, słowem, by stanął po stronie Laury i całego dworu.

— Nie wiem, co bym dała — rzekła Sabina — żeby mnie kto raz od niej uwolnił!

— Byłby na to jeszcze jeden sposób — bąknął zamyślony Poręba — ale trochę ryzykowny...

— A, z kim innym, zręczniejszym — wtrąciła Dobkowa — byłoby tysiąc sposobów, ale ty jesteś ociężały i niezręczny.

— He? Ja? — rozśmiał się rotmistrz. — Ot, to dobre, ja ociężały!

— Jakież sposob? — spytała.

Poręba zbliżył się do ucha.

— Ano, bardzo prosty. Ona lata i chodzi sama albo z tą ciocią, gdzie się jej podoba. Dwóch ludzi, cztery dobre konie, porwać ją i uwięzić, to się sama potem prosić będzie do ślubu. He? — rozśmiał się Poręba. — A co? Ociężały jestem? Ociężały?

— Bardzo dobry sposób, tylko mi się coś zdaje, nie dla ciebie, bo ty tego nie dokazesz.

— A gdyby? — spytał rotmistrz.

— Cóż ty się mnie pytać potrzebujesz? — odparła Dobkowa. — Jam o tym wiedzieć nie powinna, ja o tym wiedzieć nie chcę, lecz gdyby się co podobnego zdarzyło... hm! Toć wiesz, że bym się nie gniewała.

Poręba myślał, mrucał, chodził.

— Ano, to zobaczymy — rzekł. — Kiedy inaczej nie można, w ostatku trzeba coś ryzykować, choć to diabła sprawa, boć za porwanie szlachcianki gardłem pono karzą, banicją, infamią.

— Otóż to — dokończyła Dobkowa — a ty pewnie dla wilka nie pójdziesz do lasu.

Pierwsza w tym przedmiocie rozmowa została przerwana, obojgu państwu jednak utkwiała w pamięci. Szczególniej rotmistrz sobie myśl swą szczęśliwą zapisał, ażeby dobrze rozważyć, czy ją mógł bezpiecznie wykonać. Podobała mu się Laura wielce, choć od niej doznawał pogardy; może właśnie pewna chęć pomszczenia się za nią była bodźcem dla Poręby. Nie był to tak bardzo zły człowiek, lecz głowa nietęga, serce zastygłe, a rozpróżnowany służbą wojskową i popsuty, często nie najlepszym towarzystwem, życia nigdy z poważnej strony nie widział. Od najpierwszej młodości, ubogi, zaciągnął się do wojska i na leżach a po stacjach i obozach, bezczynny, strawił lata najdroższe w życiu hulackim, żołnierskim a bezmyślnym. Później spadło na niego szczupłe dziedzictwo w Mazowszu, na które pośpieszył, aby je wprędce nadwereżyć, bo gospodarzem nie był wcale, a zdało mu się, że z kawałka ziemi można ciągnąć bez miary. Dopóki towarzystwa stało i piwnicy, siedział, ziewając, na wsi, gdy przysły cięższe czasy, począł do Warszawy jeździć, żeby się tam z dawnymi znajomymi rozerwać i pobalamucić. Innego życia nie znał.

Tam to poznał piękną Sabinę, jeszcze naówczas niezamężną, i byłby się z nią ożenił, gdyby nie Nosko, który był majątniejszy i został przyjęty. Zachował jednak, najmniejszej nie mając urazy do rywala, dawne zapały ku pięknej Sabinie i stosunki najczulsze po wyjściu jej za mąż. Nosko był trochę zazdrosny, musiał więc wielce ostrożnie postępować, i z tego powodu wynalazł sobie niebywałe pokrewieństwo z jejmością. Po śmierci męża pierwszy przybiegł na posługi, nie sprzeciwiał się wszakże projektom względem bogatego pana Dobka, gdyż pieniądź, którego znaczenie w życiu dobrze znał, szanował wielce. Jejmość miała w nim potulnego służkę i wiernego przyjaciela, choć w dłuższych stosunkach na wartości jego dobrze się poznać umiała.

Z nią to razem osnuł wyborny plan wydania Laury za niego, do czego ten tylko był przywiązany warunek, aby sobie, posag odebrawszy, na Mazury jechał i więcej z nią nie wracał. Posag, który musiał być znaczny, nęcił niezmiernie rotmistrza, mającego nadzieję, że może później, gdy się okoliczności złożą, i Borowce zagarnie. Inne w tym względzie były widoki jejmości, która majątność tę spodziewała się odziedziczyć sama. Nie mieli ani potrzeby, ani zręczności obszerniej o tym mówić z sobą.

Rotmistrz, gdy raz myśl dojrzewać zaczęła, rozważał środki wykonania. Szło mu najwięcej o ludzi pewnych, gdyż w Borowcach nie mógł ani pomyśleć o znalezieniu pomocników. Tu wszyscy byli ciałem i duszą oddani Dobkom, a rotmistrzowi nieprzychylni; nie było co i próbować. Drugiego dnia zaraz pojechał do Smołochowa na wywiady, choć nikogo na myśli nie miał. Ale tu także lud bojaźliwy, spokojny, do tego rodzaju przedsięwzięciom się nie nadawał. Rotmistrz, przeszedłszy się po dworze, zajrzawszy jednemu,

drugiemu w oczy, pomówiwszy z młodszymi oficjalistami, przekonał się, że nie znajdzie pomocnika. Potrzeba mu było determinowanych ze dwu ludzi, którzy by się nie zlekli krzyku, nie obawiali zbyt odpowiedzialności i nie brali całej sprawy zbyt skrupulatnie. Dowiózłszy bodaj tylko do Smołochowa porwaną dziewczynę, i ukrywszy ją tu jakiś tydzień, pewien był, że się potem na małżeństwo, *volens nolens*, i ojciec, i ona zgodzić muszą. Sam bez pomocników ważyć się nie śmiał, bo czuł, że opór będzie silny, i siłą tylko, a nie postrachem potrafi zmusić do tej podróży. Żał mu było, iż z dawnych swych wojskowych dobrych towarzyszków nie miał nikogo pod ręką.

Z wycieczki tej powróciwszy bez skutku, zameldował tylko pani Dobkowej, że gospodarstwo idzie dobrze, i znowu siadł w Borowcach, myśląc, co pocznie. Utrapiąca myśl owego raptu chodziła mu nieustannie po głowie.

— Cóż tam w Smołochowie robił? — spytała go Dobkowa, gdy powrócił.

— Cóż miałem robić? Obszedłem gospodarstwo, napiłem się wódki, pogadałem z Będziewiczem i trzeba było nawracać, bo tam strasznie nudno, od czasu jak Sabki nie ma.

— Ale po cóżeś jeździł?

— Mam się przyznać? — zniżając głos rzekł rotmistrz. — Szukałem sobie ludzi do pewnej roboty, alem ich nie znalazł. Potrzebuję dwóch rezolutnych jak ja i determinowanych, a o takich to trudno.

— O takich jak wy? — zawołała Dobkowa i rozśmiała się. — O takich jak wy! Dobrze, że choć sami o sobie niezłą opinię macie! A do czegoż wy jesteście zdadni? Jeść, pić... i czasem na gitarze pobrzdakać?

— Da się to widzieć, do czego ja się przydać mogę, mościa dobrodziejko — rzekł Poręba.

— Nawet do uwolnienia mnie od tej nieznośnej dziewczyny się nie przydałeś — dodała cicho. — Trzeba, żeby ci jeszcze kto i to gotowe dał, bo sam ani wymyślić, ani dokonać.

— Da się to widzieć — powtórzył rotmistrz.

Ubodnięty tą wymówką, nazajutrz przybył w podróżnym stroju.

— A co? Czy znowu do Smołochowa? — zapytała, śmiejąc się, jejmość. — Po co się waszmość włączysz darmo?

— Da się widzieć, czy darmo — zawołał Poręba — tylko jejmość na drogę musisz dać, bo nie mam!

— A to, co ci mój mąż dał? — spytała, kręcąc głową, Dobkowa.

— Już waćpani wiesz i o tym? No — tak, tak... ale to idzie na kapitalik, ja tego ruszyć nie mogę — mruknął Poręba — a w drodze strasznie się pieniądze szastają. Toć tu nie o moją tylko sprawę idzie, a razem i o waszą.

Jejmość zgodziła się w końcu, rozmówiwszy, przyjść w pomoc przyjacielowi, który tegoż dnia, nie bez obfitego śniadania, wyjechał. Drogi były piekielne, bo po przedłużonej zimie nagle wiosna się robić zaczęła, puściły śniegi i lody, rozlały szeroko rzeki, a błoto po wsiach i groblach było nie do przebycia. Ruszył jednak Poręba, nie żałując ani koni, ani siebie.

Tymczasem w Borowcach ciężko dla wszystkich wlokło się życie; stękali na nie począwszy od Dobka do Eliasza i ostatniego z czeladzi, a jejmość i jej mały dwór nie mniej. Wojna, acz głucha i niewidoczna, trwała ciągle. Strony bojujące poglądały na siebie z obawą nieustanną. Pomiędzy nimi dwoma nieszczęśliwy Dobek w pośrodku stał, zgnieciony i cierpiący za obie.

Sabina nieco się była powstrzymała, otrzymawszy pierwsze zwycięstwo i zdobywszy upragnione owo mieszkanie, lecz całą przyjemność jego odebrało jej to, iż z pomocą Arona, który ze wszystkimi stolicami i kupcami miał stosunki, pan Dobek wielkim kosztem natychmiast przybrał mieszkanie Laury, które wspanialej jeszcze i piękniej wyglądało niż to, które jej odebrano. Nie widziała go jejmość, ale słysząc o nim, zżymała się z gniewu i milczącemu mężowi długo tego przebaczyć nie mogła. Laura nie tyle była rada sprzętom, ile sercu ojcowskiemu, którego to było dowodem. Wiedziała, że stary ucierpi za to.

Jejmość, która tak impetycznie rozpoczęła rządy w domu, biorąc zrazu wszystko w swoje ręce, wprędce się znudziła tym, co wymagało pracy i dozoru, posyłała więc Rózię, sama siedząc w oknie, gryząc orzechy lub na czczej rozmowie ze służącą czas spędzając, niezmiernie długi. Ani ciotka, ani Laura nie przychodziły do niej, ona też nie zbliżała się do nich. Dobek zajęty przez pół dnia, rotmistrz wyjechał, całe więc jej towarzystwo ograniczało się na tych, których z sobą ze Smołochowa przywiozła. Dni ciągnęły się długo, życie było nieznośne. Pani Dobkowa poczyniała myśleć, że na tej pustyni nie wytrzyma; stary, gdy mu o tym napomykała, mrucał coś tylko niewyraźnie. Całą rozrywką jejmości, mimo że się powstrzymała od otwartego występowania przeciwko Laurze, było dokuczanie jej ukradkowe, uboczne, niezręczne często, zawsze bojące. Jak tylko wiosna się rozpoczęła, Lorka dawnym zwyczajem zaprzątnęła się swoim ogródkiem; na drugi dzień jejmość zesłała i objęła go w swoje władanie, dlatego tylko, aby Laurze odebrać i tę przyjemność. Obawiając się spotkania z nią, a postanowiwszy unikać otwartej kłótni, dziewczę wyrzekło się swych kwiatków i wybrało sobie w pośrodku murów samych zrujnowanego zamczyska mały kątek, który zaczęła sama zasadzać. Nie podobało się to Dobkowej, która przy stole zapowiedziała, że żadnych osobnych sadzeń nie ścierpi, bo tu jest wszędzie panią.

Nic na to nie odpowiedziawszy, Lorka porzuciła i drugi ogródek.

To były najmniejsze jeszcze przygody powszednie, większe daleko znaczenie miało nieustanne, powolne podszczuwanie ojca, zniechęcanie go do córki. Nie było jednego wieczoru, żeby coś o Lorce przed panem Salomonem nie powiedziała, żeby jej o coś nie oskarżyła.

— Ona nie mnie uchybia, ale acanu — powtarzała Dobkowi. — Cóż to jest to unikanie, odsuwanie się, uciekanie ode mnie? Nawet przemówić nie raczy.

— Moja królowo — szeptał Salomon — to przejdzie, nie zapominaj, ona tu była długo sama i nawykła czynić po swej myśli, więc ucierpieć musi, a cierpiąc trudno, żeby żalu do asindzki nie miała; ale to przejdzie, to przejdzie.

— Jak ma przejść, jeśli asan, panie Salomonie, w niczym się nie przyczyniasz do opamiętania jej i ślepo jesteś pobłażającym?

— A jejmość też tylko ją drażnisz...

— Ja jestem za powolna! Inna w moim miejscu tego by nie ścierpiała, co ja. Ano, do czasu dzban wodę nosi. Ja też nie zawsze taka będę.

Powtarzało się to tak często, iż pan Dobek, pod wpływem ciągłych uzaleń, zaczął na córkę nastawać, żeby się starała zbliżyć do macochy.

Laura wysłuchiwała cierpliwie ojcowskiej prośby.

— Mój drogi tatusiu — rzekła — ja nie umiem kłamać, a gdy do kogo wstręt czuję, muszę mu to okazać. Od pierwszego wejrzenia na tę kobietę nie mogłam jej znieść, nie znoszę. Unikam, złego nic nie czynię, a do kochania nikt w świecie zmusić mnie nie może, nawet ty, ojcze. Nie potrafię przymilać się, gdy wstręt czuję. Schodzę jej z oczu, nie narzucam się, czegoż więcej żądać może?

Pozostawało wszystko w tym stanie, przeciągając się z dnia na dzień.

Z wiosną nadchodzącą panna Henau, która ciągle kaszlała od lat kilku, zapadła mocniej na zdrowiu. Laura miała powód, siedząc ciągle przy niej, nie przychodzić do stołu i mniej widywać macochę, która nie mogąc jej dokuczyć, coraz była kwaśniejszą i gorszą. Stan panny Fryderyki tak dalece się pogorszył, iż wkrótce i przechadzać się po pokoju było jej trudno; doktora o mil dziesięć żadnego wówczas nie znaleźć było, a nikomu też na myśl nie przyszło ślać po niego. Dawano różne ziółka, które stare kobiety radziły, smarowano rozmaitymi tłustościami, zresztą zostawiano ratunek naturze, która już pannie Henau nic pomóc nie mogła. Zmartwienie doznane w ostatnich czasach przyspieszyło rozwinięcie się zarodu suchot; miesięcy parę kaszlała, chudła, leki zwiększały gorączkę, i jednego wieczoru w paroksyzmie kaszlu na rękach Lorki skonała.

Z wielką mocą młode dziewczę zniosło ten nowy cios, do którego przygotowane nie było. Od niejakiego czasu wystawione na ciągłe próby, nabierało siły i gotować się zdało do wszystkiego, czym. los mógł grozić jej jeszcze.

Dano znać panu Dobkowi, który córkę chciał od smutnego odciągnąć widoku. Laura pocałowała go w rękę płacząc i prosiła, aby ustąpił, a jej dozwolił zająć się samej wszystkim. Była to jej niańka, nauczycielka, przyjaciółka pierwsza, przywiązana do niej, cicha i dobra istota. Laura sama ją ubrała do trumny, którą osypała zielenią, jaką tylko znaleźć mogła, czytała przy zwłokach modlitwy, odprowadziła do kościołka i na mogiłki, gdzie naprędce grób wymurować kazała. Płakała, lecz łzy cichymi, przy których całe swe zachowała męstwo. Pani Dobkowa nie chciała ani widzieć nieboszczki, ani pójść za trumną, bo w ogóle nieboszczyków i śmierci obawiała się bardzo.

Została więc Laura jeszcze samotniejszą, niż była kiedykolwiek, nie mając już, oprócz ojca i starego Eliasza, ani się przed kim użalać, ani od kogo usłyszeć słowo pociechy. Dobek drugiego dnia zaraz zakłopotał się o jakieś towarzystwo dla córki. Laura prosiła go, aby ją zostawił samą. Na to wszakże Sabina dozwolić nie mogła i śmierć panny Henau nadto dla niej była pomyslnym wypadkiem, ażeby z niego nie korzystała. W parę dni potem, gdy sam na sam pozostała z jegomością, przypuściła obmyślany atak.

— Chociaż mi nawet żal — rzekła — tej starej nudziarki, ale Pan Bóg wie, co robi. Jeśli acan nie skorzystasz z tego dla Laury, to powiem, że jej kochać nie umiesz. Właśnie pora dać jej kogo rozsądnego a z charakterem, to by jejmościankę trochę lepiej poprowadził niż dotąd.

— Kiedy ona sobie nie życzy nikogo!

— A to racja! Właśnie najdowodniej to o jej uporze przekonywa, żeby się nie ugiąć, żeby nikogo nie słuchać, Acan jej śliczną przyszłość gotujesz. Czy chce, czy nie chce, jej trzeba dać osobę stateczną.

— Ale kogóż?

— Spuść się na mnie, to do mnie należy, ja już mam napatrzoną, utalentowaną, mówiącą wszystkimi językami, już niemłodą, za którą ręczę.

— Łagodna? — spytał niespokojny Dobek.

— Łagodna ona jest, ale sobie znów po nosie jeździć nie da. Wiek stateczny i doświadczenia wiele. To moja przyjaciółka, a nawet nauczycielka, ja do niej już pisałam.

— Jak to? Nie mówiąc ze mną?! — zawołał mąż.

— Otóż wielki grzech! Jak ci się nie podoba, to... zobaczymy. Ja się przecie na tym lepiej znam niż ty. Już to mnie zostawcie, bardzo proszę mi się do tego nie mieszać.

— Gdzież ta panna jest?

— Nie panna, ale wdowa! Osoba stateczna — kończyła Dobkowa. — Jest dotąd w Warszawie, gdzie podobno daje lekcje muzyki, ale mi ją wyszukają i przyjedzie. Napisałam jej marszrutę aż do najbliższego miasta, a tam się po nią konie poszlą.

Wszystko to było już tak bez wiadomości pana Dobka urządzone, iż za późno się było sprzeciwiać. Zgryzł się jednak nieborak, a że nie chciał, aby go córka posądzała, iż w to wchodził, poszedł jej zaraz opowiedzieć całą rozmowę z macochą. Lorka wysłuchała cierpliwie, zarumieniła się nieco, westchnęła, lecz ojca pocieszać zaczęła sama.

— Nic się tak złego nie stało — rzekła. — Z ręki jejmości miłego spodziewać się nie mogę podarunku, a cóż nam szkodzi zobaczyć? Może się to da znieść. Zresztą, jam na wszystko przygotowana, a ścierpię też do ostatka tyle, ile tylko sił stanie.

Ojciec ją uściskał, poszeptali z sobą i rozeszli się smutni oboje. Przybycie zapowiedzianej przyjaciółki nie zdawało się być tak bliskim, bo i wybór w drogę, i podróż dosyć mogła zająć czasu.

Rotmistrza jak nie było, tak nie było z powrotem. Dosyć niecierpliwie wyglądała go jejmość, lecz i znać o sobie ani tu, ani do Smołochowa nie dawał. Wprzód jeszcze nim on, oznajmiła się listem, z zadziwiającym pośpiechem, pani Herminia Lassy, przyjaciółka wyznaczona za towarzyszkę przyszłą dla Laury. Wypadkiem jednak zamiast do Borowiec dostała się, śpiesząc widocznie, by kto inny miejsca nie zajął, do Smołochowa, skąd posłaniec przyniósł wiadomość, iż nieco chora, wypoczywała po trudach podróży. Pani Dobkowa, rada może z tego, natychmiast wybrała się sama do niej, chcąc ją zapewne uprzedzić i opatryć we właściwe instrukcje, których by równie dogodnie w Borowcach jej udzielić nie mogła.

Eliasz natychmiast przybiegł oznajmić Laurze, iż zastępczyni biednej panny Henau przybyła. Nieulekłe dziewczę uśmiechnęło się tylko.

— A gdzież jest? Tu? — zapytała.

— Nie, podobno w Smołochowie, pewnie dziś na noc lub jutro rano z jejmością tu nadaży. Co nam tam za nowe nasłanie przyjdzie! — dodał wzdychając. — Jejmościna dwór się powiększa, nasz uszczupła. Darmo, ona tu będzie wkrótce panią.

— A czyż to my koniecznie tu siedzieć mamy? — odezwała się cicho Laura. — Czy to świata tyle, co w oknie?

Eliasz z przestrawieniem spojrzął na nią.

— Toć nasz dom! — rzekł. — Gdzież się podziać, co począć? Trzeba znosić karanie Boże i zdać się na wolę Tego, który zsyła próby i kary, ale w którego łonie i miłosierdzie bez granic.

Stary Eliasz, jak Laura, jak oni wszyscy, czytywał Biblię często i był po swojemu pobożny, choć do kościoła chodził tylko w dni uroczyste.

— Dopóki Bóg chce, byśmy wytrzymali, i sił nam też dostarczy — zakończyła Laura. — Każ, dobry Eliasz, oczyścić pokój mojej zacnej Henau, ona go pewnie zajmie. Nie będę więc już mogła ani tchnąć, ani stąpić, ani westchnąć, ani zapłakać nie będąc szpiegowaną! Każdy mój krok jej doniosą!

— Moja droga panienczko — szepnął stary, całując rąbek jej płaszczyka — tylko wy się nie smućcie, nie straszcie. Wszyscy my z wami, cierpimy razem. Znosiliście anielsko dopust boży, dotrwajcie tak do końca.

Laura pocałowała go w ramię.

— Tak, do końca — powtórzyła — jakiś przecie koniec kiedyś być musi.

Tego wieczoru nie przybyła pani Dobkowa, a Salomon korzystając ze swobody, spędził go po dawnemu u córki, tak wesół i szczęśliwy, jak dawno nie bywał. Cieszył się stary, że Lorka, która do niego żal taki mieć mogła, ani serce straciła, ani mu okazała, że go o przykrą zmianę położenia swego obwinia. Zaklął ją na wszystko, aby dla świętego spokoju jak najlepiej przyjęła panią Lassy.

TOM DRUGI

I

We dworze, kto żył, zajmował się najgoręcej losami Laury i domu Dobków, który się stał pastwą zręcznej awanturnicy. Nazajutrz więc, gdy z daleka pokazał się powóz jejmości, w którym domyślano się nowej towarzyszki dla nieszczęśliwej jedynaczki, we wszystkich oknach pełno było głów; kto mógł, wybiegał na próg; ciekawość nadzwyczajna wypędziła nawet Dobka starego z jego izdebki pod bramę. W powozie z dała już dwie kobiety widać było, jechała więc owa pani. Gdy się zatrzymał u bramy i jejmość najprzód wysiadła, za nią pokazał się dosyć śmiesznie przystrojony mały koczokodanik: figurka zwinna, sucha, ruchliwa, z twarzą starą, pomarszczoną, żółtą, z oczkami czarnymi, biegającymi niespokojnie.

Wykryzowana, jakimś tancmistrzowskim kroczkiem podstąpiła do pana Dobka, któremu dygnęła z wielką pretensją, na krok cofając się w tył, i szybko, dość niewyraźnym głosem, jakby na pamięć wyuczony wypaliła komplement:

— Zaszczycona zaufaniem tak dostojnej familii, racz jaśnie wielmożny pan dobrodziej wierzyć, iż starać się będę ze wszystkich sił moich ten wybór jego usprawiedliwić, poświęcając się cała mojej elewce.

Obejrzała się; elewki tej nie było.

Prawdę rzekłszy, owa jejmość, przypominająca starą miotłę, z twarzy, ruchów i min, którymi nieustannie przyozdabiała fizjonomię niepiękną, nie podobała się panu Salomonowi. Niepokój i pośpiech, który się malował we wszystkich ruchach jej i wejrzeniu, w wykrzywianiu ust i lataninie oczu, niecierpliwiały był i przykry. Z powozu porwała swój worek i już pytała, oglądała się, chciała biec ku przyszłej wychowance. Pani Dobkowa umyśliła udowodnić swą władzę, wprowadzając ją i instalując osobiście.

Salomon niespokojny kroczył za nimi. Laura, przygotowana już na przybycie obiecaniej towarzyszki, stała w swoim pokoju z rezygnacją na twarzy. Wymuszenie poważnym krokiem weszła macocha, wiodąc za sobą panią Lassy, której oczy już najprzód biegały, szukając w pokoju owej panny, którą jej tak straszliwie opisano.

— Prezentuję waćpannie panie Lassy, która tu przy niej pozostanie dla nauki i towarzystwa, z woli mojej i ojca. Prosiłabym bardzo o posłuszeństwo i grzeczność, gdyż buntów żadnych nie zniosę, dosyć już tego i tak było. Pani Lassy potrafi być dobrą dla dobrej, ale surową dla krnąbrnej panienki.

W czasie tej przemowy Laura patrzyła, jakby nie słuchając wcale, na ojca tylko, który błagającym wejrzeniem starał się ją rozbroić. Nie myślała odpowiadać, a nie miałyby też czasu, bo niecierpliwa pani Lassy rzuciła się ku niej najprzód z rękami, jakby do uścisku, spostrzegłszy jednak, że Laura dumnie się cofała, wyrzekła się tej oznaki czułości przedwczesnej i spytlowała tylko, jak mogła najszybciej, komplement:

— Niech droga moja uczennica będzie pewną, iż jej całe me serce, staranie, wszystkie me władze poświęcę, a mam nadzieję, że na jej miłość zasłużyć potrafię.

Laura powitała ją bez uprzedzenia, łagodnie, ale milcząco. Nie było już tu co robić; pani Dobkowa zakręciła się, popatrzyła z gniewem na przepychy mieszkania Laury i rozjątrzona tym, że pasierbicy do niecierpliwości przyprowadzić nie mogła, wyszła trzaskając drzwiami. Dobek wybiegł za nią. Laura została sam na sam przypatrując się koczodanikowi, który jej zostawiono, a nie czując doń takiego wstępu i odrazy, jakiej się spodziewała, postanowiła sobie z góry być grzeczną, chłodną, nie rozpoczynając wojny, dopóki by do niej nie była zmuszona.

Zdaje się, że pani Lassy też w tej chwili o żadnych krokach zaczepnych nie myślała, tak była zajęta swoimi tłomoczkami, reumatyzmem, dla którego się wilgotnych obawiała murów, i kotem faworytem, który w koszyku przyjechał potajemnie. Prosiła dłań o pobłażanie.

— On mi poje wszystkie moje ptaszki — śmiejąc się zawołała Laura.

— Nigdy w świecie! Jak żyje, żadnego jeszcze nie zamordował!

A to by było okropnie! On tylko śpi i pije mleko z bułką, kochany Mrumru, drogi! Pani nie wiesz, jak jestem do niego przywiązana.

Ostatni przyjaciel! Laura mimowolnie się śmiała.

Pod tym dobrej wróżby uśmiechem rozpoczęła się znajomość.

W pierwszej chwili jeden tylko niedogodny wielce przymiot objawiła przybywająca towarzyszka, to gadatliwość nieuśmierzoną, niepohamowaną, która zdawała się potrzebą temperamentu, nałogiem, naturą. Rozpakowując się, opowiadała Laurze całą swą podróż ze szczegółami, z wypadkami, jakich kot doznawał, którego o mało duński tarantowaty pies jenerała na drodze nie zjadł, ze wszystkimi popasami, noclegami, bólami głowy, strzykaniem w nogach, strachami o zbójców i złodziei.

Szczebiotanie to dla Laury, nawykłej do ciszy, z początku było przykre, potem zabawne, w końcu się stało nużące. Odpowiadała nań milczeniem. To bynajmniej nie zrażało pani Lassy, która byle mówić mogła, a miała przed sobą żywą istotę, nie zdawała się troszczyć o to, jak jej paplanina będzie przyjęta.

Przed obiadem zaledwie podolałszy umieszczeniu wszystkich swych węzełków i czcigodnego owego starego Mrumru, pani Lassy zamknęła się nareszcie dla ubrania, do którego zdawała się przywiązywać przynajmniej tyle wagi, co do reumatyzmu.

Dobłą godzinę trwała toaleta, w ciągu której słycać było bieganinę służącej po różne rodzaje wody: miękkiej, twardej, zimnej, ciepłej, gorącej, po mleko... potem z żelazkiem od włosów, potem jeszcze po jakieś świeże masło, które też kosmetyczne miało przeznaczenie. W ostatku otwały się drzwi i wskoczyła raczej, niż weszła pani Lassy, tak śmieszna, jak tylko bardzo brzydka osoba, chcąca młodą i piękną udawać, być może. Warszawski jej strój, peruczka, sukienka w żywe barwy, trzewiczki na korkach, przesadne wysznurowanie, muszki, wszystko to najdziwaczniejszą tworzyło całość. Gdy tak przystrojona a zadowolona z siebie dygnęła Laurze, dziewczę ledwie od śmiechu powstrzymać się mogło. Zdaje się, iż przybyła warszawianka rachowała na ogromne wrażenie, jakie uczynić musi na wieśniakach, nie przewidując, ażeby się im śmiesznym straszidłem wydać mogła. Zresztą była jakaś nawet dobra, a względem Laury najmniejszej powagi i surowości utrzymywać nie myślała i grozną się jej nie wydała.

— Miałażby się macocha omylić? — myślało w duchu dziewczę.

Przy stole okazała się pani Lassy nadzwyczaj użyteczną przyprawą. Zwykle panowało milczenie, kwaśnymi przerywane półśłówkami. Przy niej milczeć nie było podobna; zarzucała pytaniami, na które po większej części sama odpowiadała, oglądała się, szeptała, śmiała, miała tysiące wiadomości, historyjek, wspomnień, a że rok czy dwa zostawała na dworze hetmana — w czasach szczęśliwych młodości, i te lata były dla niej najmiłszą dobą żywota — zwracała się nieustannie do opowiadań poczynających się od: — Gdym była u pani hetmanowej!

W tych to latach zdecydował się jej los, gdyż z sześciu konkurentów wybrała po długim wahaniu porucznika cudzoziemskiego autoramentu, pana Lassyego, który — niewdzięcznik, w niespełna lat dwa, ofiarę nieszczęśliwą... porzucił. Odtąd poprzysięgła, jak powiadała, nienawiść wiekuiłą całemu rodzajowi męskiemu, jako pełnemu zdrady i przewrotności. Wszystko to i wiele innych rzeczy opowiedziała przy tym pierwszym obiedzie.

Pan Salomon raz oswoiwszy się z turkotaniem tego młyna, nie uważając już na to, co miele, siedział spokojnie i myślał o czym innym. Tak samo też czyniła może Laura. Jedna pani Dobkowa bawiła się, śmiała i prawdziwie była szczęśliwa, że jej protegowana występowała tak świetnie, z taką wymową, znajomością świata, ludzi, z takim dowcipem i przytomnością.

Tegoż wieczoru pani Lassy, która miała już czas i ze służącymi się rozmówić i rozpatrzyć, i coś wyrozumieć, przysła w dezabilku dać dobranoc swej uczennicy, dygnęła jej i zbliżywszy się z uśmiechem, który podobny był do najstraszniejszego grymasu, odezwała się cicho:

— Niech się panna Laura nie mną nie frasuje, słowo daję, nie będę w niczym na zawadzie, słowo daję. Co mnie tam mieszać się w jakieś spory i kłaść palce między drzwi. Byle mnie ciepło było a wygodnie, niech panienka wierzy, ja wody nie zamączę. Niech panna Laura będzie na mnie łaskawą, proszę bardzo. Ja się nawet mogę czasem przydać na co.

Laura nie życzyła sobie brać jej za powiernicę swego położenia i utrapień, udała więc, że nie rozumiała, a wzięła to za prosty wyraz życzliwości. Zapewniła ją ze swej strony, że się będzie starała, aby jej było dobrze. Pani Lassy uścisnęła ją.

— Trochę dawniej śpiewałam — rzekła — mówiono nawet... hetman sam znajdował, że głos miałam rzadki. Hetman był bardzo muzykalny. Teraz, po bólu gardła jakoś straciłam głos, ale grywam, czasem mogę w czym pomóc. Mam z sobą sonaty Haydna i Mozarta...

Rozstały się więc nadspodziewanie w najlepszym usposobieniu. Wprawdzie pani Lassy, nie chcąc nikomu uchybić, poszła jeszcze wieczorną gawędką obdarzyć panią Dobkową i tam się jej z odebranych wrażeń wypowiadać, lecz na Laurę nie powiedziała nic, prócz że dziewczę bardzo dumne.

Tak przeszedł ten pierwszy dzień, który groził daleko straszniejszym wypadkiem, gdyby na miejscu szczebiotliwej Lassy zjawiała się jaka złośliwsza istota. Nazajutrz, ponieważ dzień był już ciepły, wiosenny, warszawianka obiegła wszystkie kąty, poszła na probostwo, pozasięgała najrozmaitszych wiadomości ze źródeł różnych i zbogacona nimi a wielce zamyślona wróciła do swego pokoju. Układała snadź przyszłe postępowanie swoje.

Tegoż dnia oświadczyła jej pani Dobkowa, że wymaga jak najsurowszego obejścia się z krnąbrną panną i donoszenia o najmniejszym jej słowie i kroku, co pani Lassy dało wielce do myślenia. Chciała wyważyć i przeniknąć, na którą stronę padnie zwycięstwo, aby się wcześniej ku niej przechylić, a właśnie odgadnięcie było niepodobieństwem. Musiała na wszelki wypadek zająć trudne, neutralne stanowisko.

Tak stały sprawy w Borowcach, gdy po długiej niebytności i rotmistrz wreszcie nadciągnął, wprost do dawnego swojego mieszkania. Dobek, który w oknie stał i po koniach go poznał, prychnął dziwnie nieukontentowany. Nikt też mu rad nie był oprócz gospodyni domu, a pani Lassy dowiedziawszy się, iż jakiś mężczyzna obcy będzie na obiedzie, nadzwyczaj staranną przedsięwzięła toaletę; nie była bowiem całkiem wyleczona ze złudzeń i

nadziei młodości i sama o sobie powiedziała, iż z nóżką jej i talią żadna kobieta o pierwszeństwo walczyć nie mogła.

Rotmistrz wprzód jeszcze niż do stołu poszedł z raportem do pani. Odprawiono Rózię, która niepotrzebnie stała w kątku.

— Cóż się to tak długo bawił? — poczęła Dobkowa.

— Bo miałem wiele do czynienia — rzekł Poręba.

— W domu?

— Nie, jako żywom tam nie był. A po co? Nie mam nic do wzięcia, wytrzymują wierzyciele i ledwie we dworze kąt wolny... Ale co tam o tym gadać!

— Gdzieżś przecie bywał? — ciekawie badała pani.

— Po świecie! — tajemniczo odparł Poręba.

— I cóż? Wróciłeś, widzę, z kwaśną miną, tak samo, jak wyjeżdżałeś.

— Niekoniecznie — odparł rotmistrz kręcąc wąsa.

— Mówże przecie, abym się czegoś z twojej mowy dowiedziała — niecierpliwie przerwała jejmość — coś zrobił?

— Co ja się mam spowiadać! Zrobiłem, com chciał i jak było potrzeba.

— Powieszże mi raz przecie?...

Rotmistrz się obejrzał dokoła ostrożnie i szepnął:

— Ludzi mam! Ale uważajże, to od jejmości zależy wszystko. Przybędzie tu jeden szukać służby. My się z nim niby nie znamy. Nazywa się Jerzy Siwiński, niby to, bo nazwiska istotnego mówić nie potrzeba. Trzeba mu jakiegokolwiek miejsce dać. We dworze i jejmości się zda mieć swojego człowieka, czy tak, czy owak, a za tego ja ręczę. Drugiego, który się zowie Parawęsowski, trzeba chyba albo na plebanii umieścić, godziłby się na zakrystiana, choć tęgi chłop, a jak nie można, trzeba go będzie w miasteczku trzymać. To dwóch... gdyby potrzebny był trzeci, znajdzie się... gdy co do czego przyjdzie...

Sabina słuchała z uśmiechem i dała końce palców do pocałowania Porębie, który się tryumfalnie rozśmiał.

— A co? Nie tego? — rzekł. — Tylko mi jejmość czy przy gospodarstwie, czy przy stajni, czy przy dworze umieść koniecznie Siwińskiego, bo bez tego ja sobie rady nie dam. To moja prawa ręka. Był u mnie niegdyś kapralem, a choć stary, zuch, wiem, że na niego rachować mogę.

— Dobek wprawdzie nie lubi nowych ludzi przyjmować, ale będzie musiał — odezwała się Sabina — ja w tym.

— A ja w tym, że z Siwińskim i Parawęsowskim, choćby nie pannę, ale fortecę przyszło brać, damy sobie rady.

Powrót rotmistrza ożywił jeszcze bardziej Borowce; nie mógł tylko dobrego nadać humoru panu Salomonowi, który milczący ręby rozruszać go nie potrafiły. Czasem uśmiechał się z obowiązku męża do jejmości, ale wprędce przelotny ten wyraz ust znikał.

Następnego dnia około dwunastej zjawił się około zamku mężczyzna wzrostu słusznego, wojskowo wyglądający, z siwiejącym wąsem, zdrow jeszcze i krzepki, który chciał mówić z panem. Eliasz go przyjął grzecznie; rzadko się tu podobni goście trafiali, nie odmawiał mu audiencji, lecz począł pytać, czego by potrzebował. Stary żołnierz, gdyż przyznał się, że w wojsku służył, opowiedział nie tając, że szuka pracy i chleba, że rad by jakiegokolwiek miejsce otrzymać: leśniczego, włodarza lub przy dworze, póki mu siły starczą i na utrzymanie zarobić może. Na to Eliasz mu odpowiedział bez ogródki, iż w Borowcach żadnego nie ma wakansu, a prócz tego i zwyczaju przyjmowania nieznajomych, choćby w najlepsze opatrzonych świadectwa; panu jednak donieść o tym obiecał.

Wkrótce potem pan Dobek sam przyjął szukającego służby i chcąc się go grzecznie pozbyć, ofiarował mu talarka z tym, iż miejsca żadnego nie ma. Na to nadeszła wypadkiem sama pani i rozpoczęła rozmowę z przybyszem. Żołnierz odpowiadał bardzo roztropnie i przytomnie. Odesłano go tymczasowo, aby spoczął i posilił się u ekonoma.

— Już to, jeżeli mam prawdę powiedzieć — odezwała się po jego wyjściu sama pani — nie zaszkodziłoby, ażeby jegomość trochę służbę odświeżył. Wszystko to stare graty i niewiele warte, a za ręce się trzymają, aby was okradać. Człowiek ten wygląda na bardzo uczciwego, a wojskowy, to do porządku nawykły. Moja rada, żeby go choć na próbę przyjąć.

— U nas tego nie ma zwyczaju, żeby brać obcych ludzi — rzekł Dobek — są swoi.

— Aleby warto ten zwyczaj wprowadzić — dodała Dobkowa. Salomon spojrział z ukosa.

— Hę? — spytał.

— Nie zawadziłoby innych ludzi spróbować.

— Ja z moich jestem kontent — rzekł sucho Dobek.

— Boś waćpan ślepy! — zawołała jejmość. — A czas by oczy otworzyć.

Dobek w istocie otworzył oczy, popatrzał, ramionami ruszył i łagodnie się odezwał:

— Niech się jejmość do tego nie miesza!

Pierwszy to raz tak wyraźną odprawę dostała pani Dobkowa i zarumieniła się z gniewu.

— Co? Co? A dlaczegoż to ja nie miałabym mieszać się do wszystkiego, co nasze a wspólne? A to mi się podoba! Otóż jeśli tak, obstaję przy tym, ażebyś mi go wziął koniecznie, bo tu już nie o niego, ale o mnie idzie...

Dobek spuścił wzrok, ręce złożył na pasie i zamilkł. Dobkowa biegła po pokoju, nie ruszał się.

— Weźmiesz go?

— Nie — rzekł sucho.

— A kiedy ja tego żądam?

— Będę musiał odmówić, bo ja tego nie lubię.

— Więc cóż to! Otwarta wojna?

— Czegóż ma być wojna? — odezwał się Salomon. — Ja nie mogę tego uczynić.

— No, to ja go wezmę do moich usług — przerwała kobieta — ja go wezmę.

— Do Smołochowa? — spytał Salomon.

— A choćby i tu go trzymać przyszło, przecież mi nie będzie zabroniono przywiązać go do osoby mojej. Nie mam Wcale usługi.

Na to pan Dobek nie odpowiedział słowa, znać tylko po nim było humor nienajlepszy. Po obiedzie cichą konferencję odbył z Eliaszem. Jejmość tymczasem kazała owego przybyłego, który się nazywał Jerzym Siwińskim, zawołać do swojego pokoju, ugodziła go do swej służby jako totumfackiego, umówiła się z nim i posłała, ażeby sobie wyszukał mieszkanie i rozgościł się.

Nazajutrz rano, gdy rotmistrz był właśnie u jejmości, wszedł Siwiński, lecz widocznie zafrasowany i zmieniony.

— Proszę jaśnie pani — rzekł — ja wczoraj przystałem na jej usługi, ale dziś, bodaj żebym o abszyt prosić nie był zmuszony.

— A to dlaczego?

— Ja tu nie wybędę...

Rotmistrz, który udawał, że go nie zna, odwrócił się ciekawie.

— Cóż się stało? — zapytała wdowa.

— Niby to nic — rzekł Siwiński — a jednak, jeśli tu przyjdzie żyć, choć do wszystkiego człek nawykł, nie wytrzymam.

Poszedłem zaraz dowiadywać się sobie o jaki taki kął. Powiedzieli mi najprzód, że we dworze nie było gdzie pomieścić, odesłano na folwark, na folwarku ledwie gadać ze mną chcieli i odprawili z niczym. Wróciłem do dworu, co do kogo podejść, ramionami ruszy i odchodzi precz, nikt nie odpowiada... jakby się zmówili... Zdawałoby się, że mnie i nie widzą. Gadam, zachodzę, proszę, nie sposób słowa dobyć z nich. Próbowałem tak z kolei wszystkich, aż do kuchtów. Każdy mnie zbył, nie znając i znać nie chcąc. Wieczerzy na próżnom się prosił. Pochodziłem po zamku, gdzie o małym nogi nie złamał, bom wpadł przez

wyłom jakiegoś lochu, a na noc musiałem do miasteczka, bo drzwi wszędzie pozamykano i nikt mnie nigdzie puścić nie chciał.

Dobkowa zarumieniła się, nie dokończyła nawet ubrania i w furii pobiegła do męża, który z flegmą grzebał się w papierach. Napadła nań z takim fukiem i grozą, że się stary zląkł i złagodniał.

— No, to mu każę dać mieszkanie — rzekł — ale to darmo, ludzie nasi obcego tu nie zniosą.

— A tyż malowany jesteś, czy co? Dobek nic nie odpowiedział.

Na próżno się nagniewawszy, wyprawiała jejmość Śliwińskiego, który poszedł próbować lepszego szczęścia. Ponieważ Eliaz miał nade dworem nadzór, odesłano go do Eliasza. Ten wziął klucze i poprowadził nowego sługę na stary zamek. W ruinach, w samym końcu ich, utrzymała się była izdebka, której sklepienie całe jeszcze wisiało; był w niej piecyk, kamienna ława pokryta deską, służąca za łóżko, stół chwiejący się i rodzaj kominka. Do pustki tej po nocy, wśród stosów kamieni i gruzu, trudno było nawet trafić. Eliaz ubolewał, że na całym zamku innego schronienia dać mu nie może. Nie okazywał mu żadnej niechęci, ale z zimną obojętnością się obchodził.

— Mój dobry panie — odezwał się Siwiński — wprawdzie człek nie z jednego pieca chleb jadł i do wszystkiego nawykł, i niczego się nie lęka, lecz toć już ostatnia chyba bieda zmusi w takiej budzie siedzieć.

— I dlaczegóż? — rzekł Eliaz spokojnie. — My tu wszyscy nie lepsze mamy mieszkania. To stare zamczysko, widzi pan. Trzeba tylko, chodząc, pod nogi patrzeć z powodu tych dziur do lochów, bo tu lochy wszędzie.

— Puste znać! — rzekł Siwiński.

— W części puste, a tu zaraz oto są stare groby panów Dobków, to się ciągną wskroś i pod tą basztą — rzekł Eliaz.

Żołnierzowi, który tylko z żywymi zwykł był wojować, to sąsiedztwo umarłych wcale się nie podobało. Siennik i inne sprzęty stary przysłać mu przyobiecał.

— A co do jadła — dodał gładząc się po głowie — pono najdogodniej będzie, że tu chłopak panu przyniesie. Nasi ludzie nawykli do swoich, obcemu z nimi niełatwo. Cóż na to począć? U nas takie odwieczne zaprowadzenie.

Siwiński, rachując na to, że cierpliwością ich zmoże, pozostał w przeznaczonej mu ciupie. Nadeszła noc, zamknął się i położył. Lecz ze snem było trudno. Jak tylko się na zamku uciszyło, w lochach, nie wiadomo, czy kuny, czy szczury, czy duchy rozpoczęły harce, stukanie i szabas, który nie ucichał na chwilę; kilka razy palnęło coś w okno. Siwiński zrywał

się, pocił i ledwie żyw rana doczekał. Drugiej nocy wiatr czy nie wiatr wyrwał mu drzwi, tak że o brzasku dopiero zasnął i rozchorował się. Wstydział się skarżyć, a na trzecią noc poszedł do miasteczka. Tu potajemnie naradzili się z rotmistrzem, który był oburzony wielce. Doniosło się to do jejmości, poszły skargi do Dobka; powiedział, że nie umie na to radzić. Następných dni, równie jak pierwszego, nikt do przybysza gadać nie chciał. Błądził z nudy po miasteczku.

Spróbowałszy umieścić Siwińskiego, Parawęsowskiego już nawet do dworu nie prowadzono i osadzono w miasteczku, u Żyda.

Tymczasem pani Lassy, zapewne za wiedzą macochy, namawiała na przechadzki, w których się towarzyszyć ofiarowała. Laura, dawniej bardzo lubiąca je, teraz odmawiała. Chodziła tylko z rana do Muni, najczęściej w towarzystwie Eliasza, i rozpamiętywała dni, gdy razem z Honorym ją karmili.

Lassy siadywała po całych dniach usiłując rozbawić elewkę, nakłonić ją do muzyki, odciągnąć od Biblii, zwyczajem owoczesnym — uważała za książkę nie bardzo przyzwoitą.

Wszystko to było próżne; im ona była trzpiotowszą i weselszą, tym Lorka stawiała się bardziej milczącą, a w nocy, przez dziurkę od klucza wyszpiegowała ją zajmującą się w swoim pokoju bardzo czynnie. Nie mogła tylko odkryć, czym. Donosiła tym gorliwiej pani Dobkowej o Lorce, iż urażona była nieco, że wszystkie jej usiłowania przygłaskania jej na niczym spęzły. Pierwszych dni uśmiechała się jej dziewczyna, potem tylko ziewała. Jejmość postrzegła, że ta guwernantka i jej, i pasierbicy nie na wiele się przyda.

Rotmistrz jeden znajdował ją bardzo rozumną i dowcipną. — To kobieta z głową! — powtarzał ciągle. Oprócz innych wielu przymiotów, pani Lassy próżną była i mściwą, choć tego po sobie poznać nie dawała. Z każdym dniem obojętność Laury dolegała ją mocniej, stawiała się też ze swej strony zimniejszą i wymagającą. Do sporów nie przychodziło, Lorce już jednak ciążyła. Biedne dziewczę nie miało od niej spokoju; siedziała cały dzień na karku, nie dawała czytać, myśleć, tchnąć, spocząć. Grała godzinami — dopominając się pochwał, opowiadała niestworzone rzeczy, wymagając, by jej słuchano, sama pozostać nie umiała na chwilę. Laura ze swą milczącą powagą była dla niej zagadką niecierpliwą. Lecz i dla Laury owa towarzyszka niestrudzona ciężarem się stała nie do zniesienia, nawet grzeczność jej była mordująca.

Zaszły też okoliczności, które nieszczęśliwe położenie Laury pogorszyły jeszcze. Nieustanne wmawianie ojcu, iż córka winą jego wychowania była krnąbrną i nieposłuszną, opór Laury nie chcącej się zbliżyć ani przemówić do macochy, która mimo chwilowych buntów Dobka coraz większą nad nim uzyskiwała władzę, były powodem, że Salomon

zimniejszy coraz począł się stawać dla córki. Kilka razy najprzód prosił, potem nakazywać zaczął, aby się zwyciężyła i z Sabiną starała być przyjaźniej. Umiejętnie bardzo wszelkiego rodzaju pieścizotami i pochlebstwy starała się sprawę swą popierać pani Dobkowa i serce ojca dziecku odebrać. Codziennie prawie opowiadała rys jakiś pochwycony przez Lassy, dowodzący chłodu, uporu i niechęci Laury, a często nawet winy nieposłuszeństwa przeciw tak kochającemu ją rodzicowi.

Dobek powoli rzadziej zaczął bywać u niej, obchodzić się też obojętniej, i choć nie czynił wymówek, znać było, że coś miał na sercu. Laura patrzała nań, jakby śledziła postępy przewidywanej choroby, nie czyniąc nic dla zapobieżenia jej skutkom. Z litością poglądała na biednego starca, słabnącego z każdym dniem i niedołężniejszego, który zaledwie miał dość siły, by klucz od kochanego skarbcza obronić. Dobkowi przychodziły jeszcze porywy czułości dla córki i dawnej miłości wspomnienia, ale te trwały krótko, a nazajutrz starano się go za nie jakąś gorzką plotką ukarać.

Słowem, położenie Laury z każdym dniem stawało się nieznośniejszym.

Pierwszych dni maja nadchodziła rocznica urodzin Sabiny, która wcześniej o niej podała do publicznej wiadomości, wymagając, ażeby uroczyscie była obchodzona. Na parę dni przedtem Dobek przyszedł do córki; pani Lassy nie było lub chyba słuchała pode drzwiami.

— Moja Lorciu — rzekł cicho — od tak dawna cię proszę, zbliż się do jejmości... Czyż to podobna żyć pod jednym dachem i nie gadać do siebie? Jeśli ona nie jest dla ciebie, jakby być mogła, czyż nie twoja wina, żeś pierwszego kroku uczynić nie chciała?

— Nie mogłam! Nie mogłam, mój drogi tatusiu — uciskając rękami serce, odparła Laura. — Alboż ja nie mogę tak pozostać spokojnie na uboczu?

— Moja Lorka, trzeba z tego wyjść! Przewycięż się, ja proszę, ja wymagam, ja rozkazuję.

Ten ostatni wyraz wymówił Dobek jakby wyuczony, popatrzał na córkę, która smutnie poglądała nań także.

— Czegoż, ojciec kochany, chcesz więcej ode mnie? — rzekła spokojnie. — Schodzę z oczu, milczę, siedzę w moim kątku... a Bóg widzi, unikam spotkania, sporu i ustępuję we wszystkich.

— Bo ty jesteś dobre, kochane dziecko — odezwał się Dobek — i ty wreszcie zrobisz to dla mnie, dla twego ojca, że na jej urodziny pójdziesz do niej, przyniesiesz bukiet czy co tam chcesz, przemówisz...

Nie dokończył jeszcze, gdy Laura zawołała:

— Nigdy w świecie tego nie zrobię... za nic! Nie mogę! Skalałabym usta kłamstwem... Ojczy! Nie wymagaj tego!

— Ja proszę, ja chcę, ja każę! — powtórzył Dobek. — Krok ten z twojej strony przyniesie nam spokój, pogodzi was i wszystkie domowe smutki precz pójda. Ona dobra jest w gruncie.

Laura z politowaniem się uśmiechnęła.

— Zróbże to dla mnie! — mówił Salomon.

— Nie mogę, nawet dla ciebie — surowo odezwała się córka.

— Chcesz, bym w końcu... — przerwał Dobek — chcesz, bym ja... Lorka rzuciła mu się na szyję z płaczem prawie i cała drżąca.

— Nie domawiaj straszego słowa! — zawołała. — Kochałeś mnie niegdyś jak jedyne dziecko, dziś stałam ci się ciężarem i zawadą... biedny ojczy. Ale serce twe jeszcze ma trochę miłości dla mnie; ja wiem, ja czuję. Tobie kazano to powiedzieć, a tyś słaby i posłuszny... a ja ci tego nawet za złe mieć nie mogę.

Laura rzuciła mu się do nóg.

— Przebac mi, daruj, jeśli krwawię serce i pokój ci zatruwam... nie mogę siebie zwyciężyć, to nad siły... mój drogi ojczy... lecz... lecz — dodała, podnosząc się z łkaniem i całując go po ramionach — znajdę sposób, by ciebie od nieustannej troski uwolnić i pokój przywrócić domowi... Daj mi tylko słowo, że bądź co bądź, nie potępisz biednego twojego dziecięcia.

— Ale cóż to znaczy? Co mówisz? — począł Salomon.

— Nic! Nic! Bądź spokojny! Wszystko się stanie wedle życzeń twoich... wrócę ci spokój... i ona... ona będzie zadowolona... biedny ojczy! Biedny ojczy! Gdybym twe szczęście okupić mogła! Niestety!

Zamilkła nagle. Ojczy sam nie wiedząc, jak ma sobie tłumaczyć jej słowa, stał zadumany i niespokojny. Że jednak przyrzekł był żonie, iż córce nakaże się upokorzyć, jeszcze raz to powtórzył:

— Więc, Lorko moja, zrozumiałaś mnie, uczynisz krok... przejednasz się z nią...

— Ustąpię! Ustąpię jej! — przerwała Laura, jakby pomieszana. — Cobykolwiek mnie to kosztować miało... stanie się.

Zdawało się już panu Salomonowi, że nareszcie przełamał upór córki, i nie wchodząc w tłumaczenie tego, co powiedziała, począł ją ścisnąć i dziękować. Laura płakała i milczała.

Gdy Dobek wyszedł, jeszcze ochłonać nie miała czasu Laura, a już wcisnęła się pani Lassy, aby coś z niej wybadać; znalazła jednak usta zamknięte i twarz już wypogadzającą się. Na próżno chciała zwrócić rozmowę ku bytności ojczy, aby się o czymś dowiedzieć. Laura

zbyła ją milczeniem; spostrzegła tylko niezwykle namysły w jej oczach i czole, gorączkowe jakieś ruchy, zajęcie, znamionujące wielką walkę wewnętrzną. Gdy po godzinie próżnego zabiegania ze stron wszystkich nie dopytała ani słowa, wymknęła się zdać sprawę pani, iż Lorka bardzo uczuła rozmowę z ojcem i zdaje się mocno poruszona.

Wieczorem w tej godzinie, gdy pani Lassy zwykle odchodziła do swojego pokoju, aby przez szparę i otwór od klucza śledzić czynności Laury, znalazła nadspodziewanie owe szpary pozatykane i klucz tak umieszczony, iż oka nie dopuszczał. Słyszała tylko, bacznie nastawiając ucho, iż się tam za drzwiami krzątano.

Z rana zdawało się, iż ślad nie pozostał po wczorajszym z ojcem spotkaniu; pobiegła do ojca dać mu dzień dobry, potem do swojej Muni, do ogródka, na zamek...

Bywały dni dawniej, w których Dobek, córka i część domowników przypuszczona do familijnych tajemnic, zwiedzali groby stare w podziemiu. Drugie do nich wniście od ruin zamkowych wiodło wprost do pierwszej izby, gdzie były złożone trumny ostatnich zmarłych z rodziny. Klucz od tych drzwi znajdował się zawsze pod strażą pana Salomona, który go tylko jednemu czasem Eliaszowi powierzał. Tego dnia Laura, wychodząc od ojca, szepnęła staremu, iż chce koniecznie odwiedzić groby.

Eliasz się jakoś zaturbował.

— A jegomość-że wie o tym? — spytał.

— Wie, tylko życzy sobie, ażeby o tym po zamku nie rozgłaszać; pójdiesz ty sam ze mną, nikogo więcej nie potrzeba... chciałam pomodlić się u trumny matki.

Eliasz gładził włosy, niespokojny był trochę o tę nową trumnę pokutnika, która stała pod murem, bo Laura musiała ją dostrzec, a pamiętała nadto dobrze, jak stały dawne, żeby nie rozpoznała, iż jej tam wprzód nie było. Nie mógł się jednak oprzeć usilnemu naleganiu Laury, której wszystkim życzeniom zwykł był ulegać; poszedł po klucz i w chwili gdy ona niby ogródkiem zajęta była, od którego o kilka kroków znajdowało się wniście do podziemia, poszedł je dla niej otworzyć.

Narwawszy pierwszych wiosennych kwiatów, ile ich unieść mogła, Lorka obejrzała się tylko, czy jej kto nie szpieguje, i nim pani Lassy, ukryta za węglem, nadbiec mogła, spuściła się do podziemia. Ostrożny Eliasz natychmiast je za sobą zatrzasnął. Dziewczę z jakimś uczuciem niezwykłym śpieszyło tu z tymi kwiatami, z oczyma we łzach a marszczkami na czole. W południe trochę światła z góry wpadało przez wąskie okienka i cały szereg trumien widać było w półmroku. Najbliżej wniścia stała matczyna, przy której Laura przyklękła, objęła ją, milcząca, rękami, oparła o nią głowę i tak przez chwilę nieruchoma zdawała się modlić. Wszystkie kwiaty, które niosła, posypały się pod zwłoki matki.

Gdy wstała z zarumienionym czołem, aby po gałązce rzucić na inne trumny, i podniosła oczy ku nim, uderzył ją najprzód odarty aksamit na tej, w której złożona była babka, a oglądając się dostrzegła poza nią, przy murze, nową, nie znaną trumnę dziada. Przybite słabo, wieko jej odstało i zsunęło się; z przerażeniem Eliasza i ona ujrzeli ciało starca z jego siwą brodą i nagą czaszką jakby zwiędłe i zaschłe, nie okryte niczym; jedna jego ręka wysunęła się i w ściśniętych palcach trzymała jeszcze ów odarty płat z wieka obnażonego babczynej trumny. Laura stanęła jak wryta nad tym przerażającym obrazem, nie zrozumiała dramatu śmierci.

— Co to jest? — spytała słabym głosem Eliasza. — Kto to jest? Co znaczy ta ręka? O mój Boże!

— Na Boga! Panienko! Cicho! Chodźmy! Nic, nie ma nic... z trumny wieko opadło...

— Ale w ręku... ten odarty aksamit, którego brak tutaj! — wskazała z przerażeniem. Eliasz ujął ją za rękę.

— Panienko! Nie trwóż się... W tym cudu nie ma, ale jest tajemnica... ja ci jej wyjawić nie mogę, posłyszysz ją kiedyś z ust ojca... Lecz nie zdradz mnie... chodźmy... chodźmy...

— A któż jest ten starzec jakby wczoraj uśpiony? — spytała.

— Dziad twój — szepnął Eliasz.

— Kiedyż zmarł? Gdzie?

Eliasz wskazał na usta, że mu je zamknęła przysięga, i pośpiesznie ciągnął ją do wyjścia. Obląkanym trwogą wzrokiem obejrzała się dokoła Laura, przyklękła jeszcze raz u trumny matki, zapłakała i wyszła.

Stary jej przewodnik obejrzał wprzód, czy ich wysuwających się z lochów nie dostrzeże kto, ale pani Lassy pobiegła była dalej. Lorka mogła bez niebezpieczeństwa wyjść nie widziana. Wyszła upojona widokiem, zadumana o tym, co widziała, ani się postrzegła, gdy ją napędziła nieunikniona towarzysza. Co gorsza, znalazł się zaraz natrętny rotmistrz, który z każdego wyjścia Laury korzystał, aby ją witać nieznośnymi komplementami swoimi. Unikając obojga pobiegła, jak mogła najprędzej, ukryć się w swoim pokoju.

Za dwa dni nadchodziły urodziny pani Sabiny. Dobek chciał je w istocie obchodzić tak świetnie, jak tylko na tej pustyni było można. Zaproszono zawczasu wikarego, proboszcza, jednego czy dwu sąsiadów Smołochowa, mimo to nie obiecywało się wcale liczne towarzystwo. Z obiadem miano wystąpić wspaniale, a pan Salomon nagotował kosztowny od siebie podarek. Oprócz tego gromady z wiosek miały przyjść młodej pani składać życzenia i powinszowania. Rotmistrz krzątał się także około uświetnienia dnia tego, pani Lassy miała wiersze francuskie, przepisane ręką własną, a ponad nimi tuszem narysowała misternie ołtarz

przyjaźni i potężną cyfrę solenizantki. To arcydzieło kaligraficzne pokazała Laurze, wielce zdziwiona, że ona go tak pięknym nie znajdowała, jak się artystce zdawało.

Ruch we dworze był wielki.

Rotmistrz, też korzystając z zamętu, pono swoją komendę także chciał mieć w gotowości do czynu. Rachował na to, że panna Laura zechce się może wymknąć, aby niekoniecznie być przytomną całej uroczystości. Parawęsowski miał oczekiwać z końmi niedaleko ode dworu na drodze, Siwiński zaś i on, korzystając z zajęcia sług i zabawy, spodziewali się móc porwać i unieść Laurę do powozu.

Poręba nie był całkiem pewien, czy mu się to uda, na wszelki jednak wypadek przysposabiał się. Nie jesteśmy pewni, czy pani Lassy wtajemniczona była w ten spisek lub nieświadoma go pomocą doń być miała; to pewna, iż zalecono jej wieczorem namawiać na przechadzkę.

Rotmistrz mimo wszelkich ku temu przedsięwziętych środków niespokojny był trochę. Siwiński mu odwagi nie dodawał, bo ją sam, bliżej się przypatrzywszy dworowi, utracił. Parawęsowski tylko, po wódce szczególnie, zaklinał się, że wszystko pójdzie jak z płatka.

W wigilię dnia, wieczorem, wszyscy niemal, znużeni, wcześniej się porozchodzili. Rotmistrz brząkał na gitarze siedząc u jejmości, pani Lassy związywała wstążeczką różową jutrzejsze powinszowanie, Dobek naradzał się z Eliaszem, Siwiński zawczasu poszedł się położyć i wyspać, przewidując, że jutro pewnie oka nie zmruży. W całym dworze panowała cisza przedwczesna, jakby dachy jego osłaniały pokój i szczęście, których tu już nie było.

Śliczna majowa noc z tysiącem gwiazd na niebie, z zapachem czeremch rozkwitłych, ze śpiewem słowików w zaroślach zamkowych, weszła ponad usypiające Borowce.

II

Była godzina siódma rano i rosa jeszcze nie oschła, perliła się na liściach i trawie, gdy na pół rozebrana i bez jednego trzewika na nodze, z włosami rozpuszczonymi, które straszliwą zdradzały w pośrodku głowy łysinę, pani Lassy wbiegła do pokoju Dobkowej, zaledwie przebudzonej i jeszcze w łóżku leżącej, i padła rozkrzyżowana na podłodze, krzycząc:

— Nie ma jej! Uciekła! Znikła!

— Kogo? — zrywając się podchwyciła Dobkowa.

— Laury!

— Cicho! Milcz! — krzyknęła natychmiast Sabina, w najmocniejszym przekonaniu, iż rotmistrzowi z jego akolitami udało się porwać dziewczynę. Cicho! Milcz, nie wrzeszcz... idź do łóżka i nie mieszaj się do niczego...

— Ale cały dwór już wie! Wszyscy na nogach, sądny dzień! Nieszczęście!

Dobkowa co najprędzej odziewać się zaczęła, dosyć niespokojna, lecz zawsze pewna tego, iż zniknięcie musiało być sprawą rotmistrza.

— Ojciec wie?

— A wie, wie! Na wszystkie strony rozbiegli się ludzie konni, ze stajni pozabierano do ostatniego, od kanonika, od Żydów... Z miasteczka, kto tylko mógł, siadł także... polecili w pogoń.

— Nieszczęście! — szepnęła w duchu Sabina. — Jeszcze ich napędzić i złapać gotowi.

— Ale kiedyż się to stało? — odezwała się głośno.

— Któż to może wiedzieć! Ani jak, ani kiedy! Ale ja, zaklinam się pani, na co mam najświętszego... żem niewinna...

— Dajże mi jejmość pokój! Ja cię nie obwiniam!. Gdzie stary?

— Stoi tam lamentując przed domem, jak trup... straszny! Okropny!

Dobkowa, zawsze najpewniejsza, że rotmistrz tak się dzielnie spisał, wypadła przyodziana jako tako na schody a z nich na dół i z największym podziwieniem swym ujrzała pana Porębę w kożuszk narzuconym na ramiona, w butach rannych, zaspanego, z rozczochną czupryną, stojącego nie opodal jak słup, z usty otwartymi. Obok niego Siwiński, a dalej snuł się Parawęsowski. Cały dwór był przy jegomości.

Dobkowa, zobaczywszy ich, osłupiała. Zdało jej się najprzód, że złapani zostali, lecz mieli miny niewinnych baranków, ręce pozakładane w tył i miny skwaszone.

Gdzież więc i z kim mogła uciec Laura?

Dobkowa przypadła do męża i uderzyła go po ramieniu.

— Co to jest? Co się z dziewczyną stało? — zapytała. Chmurny jak noc odwrócił się stary, popatrzał na nią i mruknął:

— To wasza sprawa.

— Moja sprawa! Moja! A cóżem ja winna!

— Winnaś, żeś się na próg tego domu dostała, do którego wniosłaś niepokój, walkę, wszystkie nieszczęścia z sobą — rzekł zrozpaczony ojciec, ręce łamiąc nad głową — winnaś ty, winniem ja! Ona jedna niewinna a zgubiona... Biedna Lorka moja! Córka moja! Moje dziecko!

I ryczał tak z bólu i trwogi, odpychając żonę, która z gniewu pobladła. Czuła, że do niego przystąpić nawet nie było bezpiecznie.

Człowiek ten, tak zwykle powolny, był roznamiętniony i dziki. Poznać w nim nie było można owego pana Salomona dni powszednich, z którego słowo było dobrać trudno i wejrzeć. Obok niego stał płaczący Eliasz, a poza nimi, co żyło we dworze, a co w pogoń pojechać nie mogło, zasmucone, zrozpaczone, z jękiem i żalnością.

Stary Aron z synem przybiegł też na pół ubrany z miasteczka i całując po rękach Dobka, niezrozumiałymi wyrazy go pocieszał. On już ze swojego domu wysłał wszystkie konie na gościniec, w las, na ścieżynki najmniejsze.

Gwarno opowiadali ludzie, co kto wiedział, ale więcej się domyślano, niżeli wiadano. Nikt z dworskich nie zniknął, uszła więc sama jedna. W pokoju jej sypialnym łóżko było nietknięte, nie brakło sukni, oprócz jednego męskiego ubrania skromnego, które sobie potajemnie niedawno zrobić kazała. Parę pamiątek po matce snadź zabrała z sobą. W stajni nie było Muni, siodła i troków; jawnym więc się zdawało, że musiała ujechać na swej ulubionej klaczy sama jedna. Szukano śladów po rosie i piaszczystym gruncie, ale te w miasteczku nikły. Z wieczoru jeszcze pani Lassy słyszała ją chodzącą po pokoju; uderzyła nawet parę razy po klawiszach fortepianiku. Wielka jej Biblia leżała otwarta na księdze Hioba; ani kartki, ani pisma, ani znaku żadnego nie zostawiła po sobie.

W stajni śpiący furmani opowiadali, że słyszeli wprawdzie około północy tupanie kopyt końskich, ale przekonani, iż zmora konie dusiła, nie śmieli wyjść zobaczyć. Stary Paweł powiedział, iż jakby skrzypnięciem wrót został przebudzony i że wkrótce potem, usnąć już nie mogąc, słyszał pianie pierwszych kogutów na folwarku, a niebawem i dzień w okienku maszarni zaczęło.

Eliasz przypomniał sobie teraz, że mu w wigilię Laura dała znaczny podarek pieniężny (który on wziął w przekonaniu, iż mu chciała otwarcie grobów nagrodzić) i że powierzyła mu zamkniętą szkatułkę, prosząc, aby jej w żadnym razie nikomu nie oddawał, nic o niej nie wspominał, dopóki by ona sama się o nią lub przez pismo nie zgłosiła. Eliasz niedobrze zrozumiawszy, o co chodziło, przyjął ten depozyt; teraz wyjaśniło mu się jego znaczenie, lecz zmilczał o nim nawet przed ojcem. Pani Dobkowa stała wpośród tego gwaru i zamętu zapomniana przez wszystkich, prawie odepchnięta przez męża, rozgniewana do najwyższego stopnia.

Splunęła wreszcie pogardliwie i skinąwszy na rotmistrza, poszła nazad na schody. Poręba, jak stał w rannym stroju, powłókł się za nią.

— Niedołęgo! Bałamucie jakiś! — tupiąc nogą zakrzyczała pani Sabina. — A cóż? Co? Ślicznie ci się udało?

— Diabliż ją mogli posądzić o to, że sama jedna stąd szmirgnie...

— Gdzie? Co? Sama jedna? Pewno nie sama, musiał kuzynek Honory podjechać i pomóc, albo nie wiem tam już kto, a pewnie nie sama uciekła, boby się bała. I asan tu siedziałeś, chodziłeś, bałamucileś, durzyłeś siebie i mnie... a byłeś jak w rogu! Otóż mi śliczny człek do roboty! Do półmiska i kieliszka...

Rotmistrz się na serio rozjątrzył.

— E, milczałabyś też... sekutnico! — zawołał, nogą tupiąc. — Jeszcze mi będziesz oczy wykalać swoją własną winą. Niech cię tam z twoją pasierbicą razem...

Machnął ręką i zszedł ze schodów na prost do stajni.

— Grześ! — zawołał. — Konie zaprzęgaj, bryczkę ładuj i zajeżdżaj duchem. Pal ich diabli, nie ma tu co robić...

Wśród zgiełku nikt nawet ani zważał na wybieranie się Poręby, które zresztą mogło się za pogoń uważać. Pani Lassy dostała w swoim pokoju okrutnych spazmów, na które tak dalece nikt nie uważał, iż sama się z nich wyleczyć musiała, nikogo do pomocy znaleźć nie mogąc. Odłożyła je na tę chwilę, w której zwrócić będą mogły uwagę i dowieść jej uczucia. Szkoda było tak umiejętnie odegrywaną komedię przedstawiać przed próżnymi ławkami. Wzruszona była też istotnie, bo wypadek ten zdawał się zapowiadać odprawę z Borowiec, w których jej było doskonale. Nawet gdyby się tę nieszczęsną Laurę udało pochwycić, nader wątpliwym było, czy się pani Lassy obwiniona o taki niedozór utrzymać przy niej potrafi.

Dobkowa chodziła wzburzona i nie obeszło ją nawet, gdy Rózia przyszła oznajmić, że rotmistrz wyjechał.

— Niech sobie jedzie na złamanie karku! — odpowiedziała. — A co mi po nim? Niezdara!

O Laurę wcale jej nie szło, rada była nawet, że się pozbyła z domu, bo tego sobie życzyła; sposób wszakże, w jaki uszła, opór stawiony przez nią i gniew Dobka poruszały ją niezmiernie.

Znalazła pana Salomona tak zmienionym, że się go przelękła. Był to inny a straszny człowiek. A nuż tym drugim miał nadal pozostać, on, którego jejmość nigdy o tyle energii i uczucia nie posądzała?

Tak tedy ów dzień urodzin, który miano obchodzić uroczyście, dzień tryumfu i radości, zmienił się w najokropniejszą chwilę z przeżytych dotąd w Borowcach. A że parę osób

obcych zaproszono, wstyd, zawód, rozgłos wypadku nieunikniony miał się jeszcze powiększyć.

Nikt w tej chwili w całym domu o urodzinach jejmości a bodaj i o niej samej nie myślał; wszyscy zajęci byli losem biednej dziewczyny, zmuszonej prześladowaniem i złym obejściem macochy do ucieczki z rodzicielskiego domu. Szemranie przeciw niezręcznemu jej od początku postępowaniu było powszechne, jej przypisywano winę całą. Musiała to czuć pewnie, a osamotnienie zupełne, bo Rózia i służąca, strwożone obie, zostały same przy niej, dawało jej poznać, co się dziać musiało.

Ubrała się pośpiesznie i nie myśląc o stroju, zbiegła jeszcze raz ze schodów, próbując, czy się nie uda przystąpić do Dobka; ten jej nie odpowiedział nic i wskazał tylko schody, aby wróciła, skąd przyszła. Służba, którą mijala, nie okazywała już żadnego uszanowania.

Dla kobiety tak gwałtownego i energicznego charakteru dość było tych oznak, by ją do łez ze złości bezsilnej pobudzić. Nie wiedziała, co począć, zrywała się, biegła do okien, siadała, wstawała, chciała odjeżdżać do Smołochowa i dopiero po pewnym przeciągu czasu lepiej się namyśliwszy, uspokojona nieco, pozostała w nadziei, iż gdy pierwsze wrażenie minie, potrafi się i pomścić za to, i skorzystać z nieszczęścia.

Około południa nic nie wiedzący o wypadku panowie sąsiedzi: Ignacy Radwan i Jeremiasz Buczyński, w paradnych strojach *propter solemnitatem*, stawili się w Borowcach. Już w miasteczku, gdzie się oba przebierali z podróżnych kubraków w paradne kontusze, powiedziano im, co we dworze zastaną. Niemniej jednak musieli przybyć choćby z kondolencją, a Buczyński, który był straszliwie głodny, utrzymywał, że bądź co bądź choć kieliszek wódki i kawał wędzonej kielbasy dostanie. Oba jednak zapomnieli o wódce i zakąsce, zobaczywszy biednego splakanego Dobka, łamiącego ręce, chodzącego po podwórzu i powtarzającego z wyrazem boleści:

— Dziecko moje! Nieszczęśliwe dziecko moje!

— Mój mości dobrodzieju — odezwał się Radwan, który był człek otyły, poważny i szanowany dla nader pięknej prezencji i pysznej łysiny — niech pan się nie oddaje rozpaczy, nie pomoże to nic. Wszystko się to, da Bóg, naprawi.

— Ale tak — dodał Buczyński. — Opatrzność boska, tak! Jakoś to będzie! Trzeba mieć nadzieję.

Najrzawszy ich obu, pani Dobkowa korzystać chciała z przybycia i posłała Rózię prosić na górę.

Buczyński utwierdził się w przekonaniu, iż wódki i zakąski dostaną; pożegnawszy tedy Dobka, którego do domu wprowadzić nie było można, posunęli się do gospodyni, by jej

złożyć swe *vota* razem i uzalenie nad smutną rzeczy koniunkturą. Przyjęła ich jejmość nie ubrana, zapłakana a gniewna.

— Otóż mi śliczne urodziny! — zawołała sadzając pana pisarza i mostowniczego — ale ja przewidywałam zawsze, iż rozpieszczona jedynaczka źle skończy. Nie podobało się jejmościance, że nie sama tu królowała. Przecież jej ustępowałam z drogi, a wszyscy poświadczą, że żadnej krzywdy nie miała. Co się tyczy ojca, ten pieścił, a zapieszczał. Otóż to ma skutki.

— Mnie się zdaje — dodał poważny pisarz — iż *scrutinium* ściślejsze okaże, jako nie konno przecie i nie w męskim habicie uszła. To być nie może.

— Ja się domyślam, że pewny kuzynek, młody chłopak, który tu był niedawno w odwiedzinach, nie jest temu obcy — cicho dodała gospodyni.

— A pan rotmistrz kędy się obraca? — zapytał mostowniczy, który na niego *ex re* przekąski rachował.

— Wyjechał, myślę, że w pogoń — rzekła jejmość.

— Tośmy tedy wpadli nie w porę, istotnie jak Piłat w Credo — westchnął Radwan.

— Radzi byśmy choć słowem pociechy służyć, ale...

— Ale w gębie zasycha i w żołądku wierci! — sam do siebie, wzdychając także, rzekł Buczyński — a jejmość ani myśli o podtrzymaniu naszych sił zwątlonych. Prawda, żeśmy trafili ślicznie.

Nie tak jednak nieopatrzna była gospodyni, jak sądził Buczyński, po chwili bowiem wysłała Rózię, ażeby coś podano gościom, którzy dobry kawał drogi zrobiwszy po poleskiej trzęsawicy, mogli rekonfortacji potrzebować. Stało się, iż Rózia obiegła dom, kredens, kuchnię, apteczkę i wszystko znalazła pozamykane, a wszelkie ucho ogłuchłe na głos swój. Nikt nie zważał na jej domagania się i upominania. Nadzwyczaj zmieszana przybiegła na ucho dać pani znać, iż nic dostać, niczego się doprosić nie było można. Doniesienie to, acz ciche, doszło słuchu i wnętrzości pana mostowniczego, tak że całkowicie zwątpił o tym, by tu co dziś ludzie jeść mogli, myśląc już o rybie i jajecznicy u Arona.

Gdy tak smutnie opuszczona gospodyni bez dworu przyjmuje swych gości, na dole wszyscy zajęci jeszcze to pogonią, to opowiadaniem i domysłami o ucieczce. Dobek nie tracił nadziei, iż Laura wrócić będzie zmuszona, lękał się tylko, by obłąkawszy się w lesie nie ucierpiała od głodu lub od zwierza nie była w niebezpieczeństwie.

Mówiliśmy już o położeniu Borowiec, ze wszech stron okrążonych szerokim pasem lasów i trzęsawisk. Granicy tej nie wszędzie z łatwością, gdzieniegdzie całkiem przejechać nie było

można. Laura nie udała się wielkim, jedynym traktem, jaki stąd na świat prowadził, gdyż tu by łatwo dościgniona być mogła, a pogoni musiała się lękać i spodziewać.

Wedle wszelkiego podobieństwa, dosyć dobrze znając lasy okoliczne, skierowała się jedną z drożyn w bór, mając nadzieję w Muni przebrnąć grzędawice tam, gdzie były dostępne i hrudami poprzecinane. Takich ścieżek po lasach wijących się w różnych kierunkach było wiele; wyrób klepki, łuczywa, balów pomnożył je, ale razem poplątał tak, iż na nich i najwprawniejszy leśniczy w głębinach puszczy by się zabłąkał. Bywały dawniej przykłady ludzi, którzy nieopatrznie wybrawszy się na jagody lub grzyby, po dni kilka głodem marli i osłabli do domów wracali. Opowiadano o kobiecie, która znikła, a drugiego roku znaleziono po niej kości tylko i reszty odzieży. Wszystko to rozpowiadali sobie ludzie po cichu, a Dobka dopiero z południa potrafił Eliasza skłonić, by poszedł nieco spocząć do izby, albo się nawet położył.

O jejmości nie pomyślał nikt i w kuchni dopiero coś nastawiono, gdy się ludzie sami głodnymi poczuli.

Dobrze z południa już powrócił jeden ze stajennych, któremu koń zakulał, i opowiadał, że ludzie w lesie nade dniem widzieli konno jadącego młodego nieznajomego panicza, który ich o drogę rozpytywał mówiąc, że na polowaniu zbłądził. Wedle opisu konia i ubioru musiała to być Laura. Ludzie się jednak w opowiadaniach różnili, gdyż młodzi, przestraszeni tak niezwykłym widokiem jeźdźca w lesie o tej porze rannej, puciekali od niego jak od widma i jeden tylko, starszy, na pytania mu odpowiadał. W tym kierunku pojechało właśnie dwóch ludzi i spodziewano się, że mogli doścignąć uciekającą, gdyż mieli najlepsze konie. Mała to była pociecha dla nieszczęśliwego Dobka.

Panowie Radwan i Buczyński doczekali się flaszki wódki, piernika toruńskiego i suszonych śliwek na rożenkach, po których ani prószynki nie pozostało; wynieśli się wreszcie, złożywszy uszanowanie pani, do Arona na szczupaka. Dobek leżał i widzieć się z nim już nie mogli.

Ku wieczorowi żałobny dom począł przybierać spokojniejszą postać; ludzie się porozchodzili, reszta płakała po kątach. Eliasz siedział przy panu.

Już pod noc po jednym powracać coraz gęściej zaczęli pogońce. Żaden z nich nie przynosił nic pocieszającego. Niektórzy zapuścili się byli za granicę Borowiec, na różne trakta, wstępowali do wsi i karczem, nigdzie języka nie dostali. Ci, którzy pojechali wskazaną drożyną, gdzie się Laura rozpytywała, śladu najmniejszego nie natrafili. Inni tego dnia nie wrócili wcale, docierając, jak mogli najdalej.

Wieczorem przyszła jejmość jeszcze raz do pana Salomona. Leżał on na łóżku blady, z widoczną gorączką, z oddechem krótkim, z oczyma osłupiałymi. Na kilka jej pytań nie odpowiedział nic, odwrócił głowę i Sabina wyjść musiała przemyśliwając, iż nawet testamentu uczynić nie miał czasu... a nużby, broń Boże, poszedł na tamten świat?

Całą noc paliła się lampka w izbie, a że ludzie przybywali i z miasta przychodzili z różnymi bałamutnymi wieściami, Eliaz się nie kładł spać, bo Dobek, najmniejszy szmer chwytając, ciągle go wołał, czy nie ma jakiej wiadomości.

Wiadomości pewnej brakło, a nawet pokrzyżowały się one tak, że nie wiedzieć było, którą wziąć za prawdziwą.

O brzasku bowiem miano ją widzieć na jednej drodze, a o wschodzie słońca z przeciwnej strony; Żyd w małej karczemce leśnej opowiadał o młodym paniczu na siwym koniu, który zsiadł tu z niego, coś koło siodła poprawiał, wody się napił, siana wiązkę wziął i Z dobry kwadrans wypocząwszy, wcale nie pytając o dalszą drogę, pojechał. Koń był trochę zmęczony i bokami robił, a panicz bardzo rumiany, ze znużenia snadź, i niespokojny. Wódki, którą go chciał arendarz częstować, odmówił.

Szczegóły te, które zmyślonymi być nie mogły, wskazywały, że Laura udała się w stronę najbliższego znaczniejszego miasteczka, którego z powodu rzeki i przewozu jedyne na niej w okolicy pominąć by nie była w możności.

Równie niespokojną noc spędziła i pani Dobkowa, żalując, że niewinnego rotmistrza w gniewie odpędziła i pozbawiła się jedynej opieki, jaką w nim mieć mogła. Spadli na nią Siwiński i Parawęsowski pozostawieni bez wynadgrożenia, dokuczliwi, odgrażający się, których się zbyć trzeba było co najprędzej, ażeby się z czym nie wygadali. Nie mogąc tego zrobić z wieczoru, pani Dobkowa zabierała się nazajutrz rano pozbyć natrętów, gdy Parawęsowski nie doczekawszy się tego, na miód poszedłszy do Arona, wszystko wyśpiewał. Powiedział, po co tu ich obu sprowadzono i że jejmość pewnie była w spisku z rotmistrem.

Aron, dobywszy z niego zeznania, nazajutrz rano pośpieszył do Dobka, a Parawęsowskiego podchmielonego w alkierzu zamknął i stróża mu dodał.

Pomimo znękania i osłabienia pan Salomon chciał wiedzieć wszystko. Uderzyło go to, że rotmistrz wkrótce po zniknięciu Laury odjechał i mógł ją napędzić, a gorzej jeszcze zgryzła ta myśl, iż pani Sabina, choć niedoszły, ohydny spisek knowała. Jawnym jednak było, że Lorka wyrwała się sama, o niczym nie wiedząc. Kazano Parawęsowskiego wypuścić, bo nie było z nim co robić. Nieudane knowanie łyzy z powiek wyrwało Dobkowi, bo wszystko teraz sobie przypisywał. Gdy z rana przyszła do męża dowiedzieć się, co się z nim dzieje, jejmość, stary odezwał się:

— A toż to jejmość Siwińskiego tak koniecznie przyjąć chciała pono, żeby panu rotmistrzowi do napaści pomagał?

— Do jakiej?

— A mieli to nieszczęśliwe dziecko porywać i na wczorajszy wieczór naznaczony był termin, czemuś pani pewnie obcą nie była. Buchnęła wielkim gniewem Dobkowa.

— Coś ty oszalał czy co, że takie rzeczy pleciesz?

— Przecież siedział uwięziony jeden z tych zbójów, a Siwiński, co z nim miał do tego należeć, był w usługach jejmości.

— Ale ja o bożym świecie nie wiem — ofuknęła Sabina — co ci się śni? Przecież rotmistrza wyłajawszy przepędziłam precz, a jeśli sobie jakie łajdactwo wymyślił, pewnie się z niego przede mną nie spowiadał! Za kogoż ty mnie masz? — dodała. — Czy to się godzi kobietę, która ci młodość swą poświęciła, posądzać tak ohydnie?

Tu się rozplakała, siadła naprzeciw pana Dobka i jęczała, a szlochała ocierając oczy, dopóki starego w tych łzach gorących nie ugotowała na miękko. Pomiarkował wreszcie, że może do zbytku był ostry dla nieszczęśliwej niewiasty, a sam więcej winien niż ona.

Nastąpiło zbliżenie się małżonków, chociaż dawna czułość pana Dobka nie powróciła jeszcze. Jejmość tylko, nie sprzeciwiając mu się i potakując w ubolewaniach, usiłowała z wolna mu wpoić to przekonanie, że Laura ucieczką swą głównie przeciwko niemu, jego władzy ojcowskiej i sercu rodzicielskiemu zawiniła.

Stary jednak, ilekroć wspomniał o niej i pomyślał o losach, jakie nieszczęśliwą na tym szerokim świecie spotkać mogły, drżał i płakał, a rozpaczał.

Użyto też wszelkich środków, jakie się nastęrczały, by zbiegłą odszukać. Gdzie się podział i co z sobą uczynić mogła nie znając świata, nie mając stosunków, nie wiedząc nawet, dokąd się udać? Pani Dobkowa poddawała tę myśl, że mogła się schronić do Dobków w Konopnicy mieszkających, gdyż czule bardzo była z Honorym. Wyprawiono z listem zaufanego człowieka, by się o tym przekonać.

Pierwsi posłańcy, którzy byli wyruszyli naprędce, sądząc, że dognają Laurę niedaleko, wszyscy drugiego i trzeciego dnia popowracali bez skutku. Niektórym z nich zdawało się, że coś potrafili dośledzić, lecz fakta zebrane razem tak były sprzeczne, iż nie wiedzieć, którego trzymać się należało. Młodego człowieka na siwym koniu widziano przejeżdżającego tu i tam, a z porównania danych okazywało się, iż razem w miejscach tych być nie mógł.

Trzeciego poranku po tym wypadku żebrak z odpustu na odpust chodzący po okolicy przyniósł list, który oddał Eliaszowi. Zapisany on był do samego Dobka i brzmiał dosłownie: „Kochany Ojcze! Walczyłam długo, starając się cierpliwością przewyciężyć niechęć

macochy ku mnie, z każdym dniem życie się cięższym stawało. Najdroższy skarb, serce twoje mi odebrano! Wymagałeś ode mnie, bym dla niej kłamała miłość i uszanowanie, tego uczynić nie mogłam. Dusza się oburzała, w domu własnym stawałam się obcą, bo i ty mi przestałeś być po dawnemu ojcem, i dom stał się szpiegowanym więzieniem. Przyszłość i dla mnie, i dla ciebie gotowała się straszna; lepiej jej było jedną boleścią uniknąć i rozstać się na zawsze. Nie przeklinaj, drogi ojczy, twej dawnej kochanej córki; uszłam, bom musiała, bo dłużej wytrwać było mi niepodobna; chciałam ci oszczędzić zmartwień a sobie męczarni. Idę więc w świat szeroki bez obawy, ufając w opiekę Opatrzności. Między obcymi źle mi być może, ale to będą obcy, do których miłości ja nie mam prawa. Nie lękaj się mnie, nie splamię imienia naszego, nie przestanę być godną imienia córki twojej. Na próżno byście mnie szukać chcieli, nie wrócę, skryję się, potrafię osłonić od oczu. Nie byłam tobie potrzebna ani ja, ani serce moje. Może kiedyś, Bóg wie, wrócę do stóp twoich i do mojego drogiego kątk... Pamiętaj o mnie, ja ściskam nogi twe i całuję, pobłogosław sierocie na drogę! Pobłogosław... Niech ci Bóg da szczęście, tatku mój... moje serce nigdy się nie zmieni. Twoja Laura.”

Rzewnymi łzami stary oblał list. Kazał przywołać żebraka i sam chciał rozpytać, kto i gdzie mu go oddał. Żebrak znany dobrze po kościołach sąsiednich, pijaczyna stary, włóczący się o kuli, chociaż mówiono, że nosił ją tylko dla obudzenia miłosierdzia u ludzi, przelekły, spowiadał się z najmniejszych okoliczności, które wręczeniu karty towarzyszyły.

Trzy dni temu znajdował się on na odpuszcisku o mil kilka odległego kościoła i już po rozejściu się ludzi odpoczywał w gospodzie, gdy nadjechał młody mężczyzna konno, dał mu jałmużnę i począł go rozpytywać, skąd i dokąd idzie. Kazał mu się potem zatrzymać, dowiedziawszy się, że będzie w okolicy Borowiec, napisał list i dał mu go, płacąc za fatygę, byle kartę do rąk własnych Dobka oddał.

Rozpytywany żebrak opowiadał, że młody chłopak wyglądał smutnym, ale zdrowym i nie strwożonym, że wybierał się zaraz w dalszą drogę i nim jeszcze on wyszedł z gospody, odjechał konno w dalszą podróż wielkim traktem, sam jeden. Niewiele zresztą dobyć się dało z włóczęgi, który już od czasu, jak list dostał, parę razy sobie podchmielił i w opowiadaniu bałamucił. W miejscu, w którym list ten miał otrzymać, gościniec wielki rozchodził się właśnie jeden ku Litwie, drugi ku Warszawie, tak że odgadnąć było trudno, którym się udał podróżny, a żebrak sprzecznie opowiadał, że w tę, to że w inną stronę widział go odjeżdżającymi. Pan Salomon miał przynajmniej tę pociechę, iż wiedział, że Laura w lasach otaczających Borowce nie zbłąkała się, co by życiem przypłacić mogła.

Jakkolwiek posłanemu do Konopnicy pośpieszać kazano, upłynęło dni dziesięć, nim się go z powrotem doczekano. Z listu pana Honorego, wyrażającego przestrach i boleść

niezmierną, łatwo się było przekonać, iż tam nic o Laurze nie wiedziano. Chorąży i jego syn pisali z ubolewaniem największym nad tym nieszczęśliwym wypadkiem, zaręczając panu Dobkowi, że gdyby się tam Laura ukazała, najtroskliwszą nad nią mieć będą opiekę.

Posłaniec tam i nazad wywiadywał się wszędzie po drodze, lecz na żaden też ślad trafić nie mógł.

Tak spełzły ostatnie nadzieje nieszczęśliwego ojca, który co dzień chodził do mieszkania córki i spędzał tam smutny godzinę, jaką był zwykł dawniej z nią przebywać. Rozkazał też, aby pokoje jej w porządku nie naruszonym nie tknięte pozostały, zawsze się jeszcze spodziewając powrotu.

Dla pani Lassy nie pozostawało nic oprócz proszenia o dymisję lub oczekiwania na nią. Wybrała ostatnie, gdyż szczerze nie chciało jej się opuszczać Borowiec i trzymała się umowy rocznej z Dobkami, którzy ją do tego czasu utrzymywać byli obowiązani. Nie gniewała się też za to znudzona samotnością Sabina, której tęskno było samej jednej z Dobkiem po wyjeździe rotmistrza. Wolałaby była inne towarzystwo, lecz na męskim zbywało zupełnie.

Już o Porębie mowy nawet nie było i nie zdawało się, ażeby kiedy mógł się znowu na horyzoncie Borowiec pokazać, gdy jednego poranku zjawił się niespodzianie. Szczęściem, właśnie w chwili przyjazdu jejmość była przed domem i gdy wysiadł, pośpieszyła uwiadomić, że Parawęsowski i Siwiński go zdradzili i że się tu już pokazać więcej nie może.

— Ale ja właśnie dlatego przybywam — zawołał mrugając oczyma — ażeby się z potwarzy tych infamisów oczyścić! To byli złodzieje i łajdaki, ja ich nie znam, a czy mi wolno będzie zostać w Borowcach, czy nie, idę do pana Salomona i muszę się z nim rozmówić, ażeby ta potwarz do mnie nie przyłgnęła.

Śmiało tedy udał się do gospodarza i tak przez pół godziny krzyczał, bił się w piersi, dowodził, tupał, odgrażał się, iż pan Dobek dał mu pokój i skończył rozmowę.

— Ano, już dość, niech i tak będzie.

— Wyjechałem natychmiast — dodał Poręba — bo chciałem być pomocą w odzyskaniu panny Laury i do grosza się na tę pogoń wyekspensowałem. Jeździłem od karczmy do karczmy, po dworach, po wsiach, szukając śladu, i mam to przekonanie a nawet poszlaki, iż się schroniła do klasztoru.

— Gdzie? — spytał Dobek.

— Otóż w tym sęk, że jeszcze nie wiem, do którego... ale tego z czasem dojdziemy — rzekł niezmiyszany rotmistrz. — Tymczasem muszę tu spocząć, bo już kości nie czuję, takem się potłukł.

W ten sposób wkręcił się znowu do Borowiec, a powracającemu z gitarą na urozmaicenie długich poobiednych godzin i Rózia, i pani Dobkowa były rade. Przez dni kilka okazywała mu wprawdzie trochę żalu i gniewu, ale te chmury przeszły i horyzont się wyjaśnił. On, pani Lassy, która dla niego znowu do nader starannego wróciła stroju, jejmość i Rózia zbierali się w kółko na wesołe pogadanki, wśród których najmiłsza panowała poufałość, a rotmistrz królując między niewiastami sam jeden, bez rywala, czuł się nader szczęśliwym.

— Słuchaj no, Sabku — rzekł w tydzień może po nowej instalacji — prawdę rzekłszy, ja miałem o jejmości daleko lepsze wyobrażenie.

Sabina spojrzała pytająco.

— Myślałem, że jejmość, raz zdobywszy ten zamek na nieprzyjaciołach, obejmiesz go w posiadanie, starego ostawisz w kątku poduszkami, żeby sobie spoczywał, a sama będziesz tu gospodarowała. Tymczasem asindzki rządy są pozorne tylko, rzeczywiście jesteś tu jak na łasce. Kluczyków od skarbcza ani powąchać, stary pieniądze swe dusi, a my tu z nudy na tym wygnaniu poumieramy. Ruszyła ramionami Dobkowa.

— To gorzej, że pono tych pieniędzy i skarbów wcale nie ma! — odezwała się.

— Jak to nie ma! Są! Tylko niedostępne dla nas... klucz kładzie pod poduszkę...

— Bredzisz nic nie wiedząc, to od grobów!

— A Bóg wie, może pod strażą nieboszczyków pieniądze chowa, lecz że je trzyma pod tym kluczem, to pewna. Ile razy ma co wypłacać, kupuje zboże albo smołę, zamyka się, odryglowuje, słyszę, drzwi żelazne, zapala latarkę i schodzi do skarbcza. Ludzie to podpatrzyli i wiedzą o tym dobrze.

Sabinie, słuchając, oczy się paliły.

— Ale mi się zaklinał, że...

— Bo nie chce grosza puścić z rąk, a wy mu wierzycie. Och! Och! Czy ja bym go na miejscu jejmości od dawna nie wypatroszył?... A pieniądze wzięwszy pod opiekę, czy ja bym tu na tej pustyni siedział? Czy nie moglibyśmy pojechać sobie do miasta i dom prowadzić jak się należy? Jejmość byś jeszcze brylowała i grała taką rolę, jaką byś chciała... ja bym u niej marszałkował... I kiedyż używać, jeśli nie póki służą lata? Że pieniądze są, to są, tylko jejmość koło starego chodzić nie umiesz.

Szepnął jej coś na ucho i śmiać się zaczęli. Dobkowa cały ten dzień chodziła rozmyślając i podpatrując dobrze, gdzie jejmość klucze chowa. Trwożyło ją tylko, a nuż się do grobów dostanie?

Przez kilka dni narady były rozmaite z rotmistrzem, chodzenia, konszachty. Powoływano go po razy kilka i odsyłano precz. Sabina zamyślona krążyła po domu. Plan jakiś musiał być

osnuty, gdyż panu Dobkowi dla wilgoci doradzono się przenieść do pokojów jejmości, co on spełnił; potem posługując mężowi i oszczędzając mu fatygi, pani obowiązała się po papiery i rachunki sama schodzić na dół i klucz sobie do mieszkania po kilkakroć powierzyć kazała.

W tych krótkich wycieczkach zajrzała i do sypialni, gdzie były żelazne drzwi, przy których wisiała zakopcona latarka. Od nich to klucz nigdy pana Salomona nie opuszczał.

Stary tak był żalem po córce przejęty, że mniej, niż należało, pilnował się i miał na ostrożności. Po kilkunastu dniach przy wieczerzy jednej dziwne jakieś wejrzenia i znaki między rotmistrzem a jejmością dostrzegła pani Lassy, lecz była „dyskrecją samą”, jak się wyrażała, spuściła oczy... nie chciała szpiegować. Zaraz po wieczerzy Poręba poszedł do siebie; Dobek, który się czuł ociężałym i sennym, najprzód w fotelu drzemał, potem za radą jejmości, napiwszy się jeszcze ziółek jakichś, spać się położył. W zamku wszyscy zwykle bardzo wczesnie na spoczynek się udawali. Jak tylko Dobek usnął, jejmość wydobyła klucz spod poduszki i na palcach, z bijącym sercem wymknęła się z pokoju zamykając go za sobą. U dołu schodów czekał na nią Poręba. Oboje razem weszli do mieszkania pana Dobka na dole, bez światła, i tu dopiero pan rotmistrz stoczek zapalił, ognia skrzesawszy.

Jakkolwiek odważna, jejmość trochę drżała i przeżegnała się kilka razy, chociaż nie miała żadnych złych zamiarów i chciała się tylko przekonać, czy w istocie skarby te, o których tyle mówiono, znajdują się w Borowcach. Gdy przyszli do wielkich drzwi żelaznych, Poręba musiał z kluczem dobrze majstrować, nim je otworzył. Byli przekonani, iż trafią na izbę sklepioną podobną do poprzedzających. Pani Dobkowa, zobaczywszy schody prowadzące w głąb, zatrwożyła się; Poręba też stał wąsa kręcąc.

— Niech jejmość... idzie...

— Ciemno, idź no ty przodem, z latarką.

Rotmistrzowi zrobiło się mdło jakoś około serca, lecz nie mógł się wymówić, z wolna począł zstępować po wschodach, a Sabina szła za nim, trzymając się ściany. Tak przybyli do drugich drzwi w dole, które choć były zamknięte, klucz sterczał w zamku. Poręba je otworzył z wolna i przyświecając sobie latarką, dostrzegł mały loszek ze stojącymi wokoło kuframi.

Zza ramienia przyglądająca mu się Dobkowa zawołała z nadzwyczajnym wzruszeniem:

— Otóż jest! To skarbiec! To skarbiec!

Tak zajęci byli tym widokiem pełnym uroku, że rotmistrz nie zważał wcale, jak otwarte drzwi drugie nagle ciąg powietrza gwałtowny wzbudziły i górne żelazne podwoje z hałasem się wielkim zatrasały.

Wchodzili właśnie do tego rozkosznego ustronia, które zamykało w sobie owoc prac wieloletnich i oszczędności, popioły popalonych puszczy, niebotycznych sosen bale,

olbrzymich dębów wnętrzości. Wszystko to w postaci maluczkich krążków spoczywało w okutych kufrach, uporządkowanych dokoła, lecz niestety, szczelnie pozamykanych. Sam jeden widok zewnętrzny tych sepetów zamczystych bardzo miłe sprawiał wrażenie.

Dobek, człowiek lubiący porządek, polepił na każdym z nich karteczki zawierające notatki, z którego roku, w jakiej ilości i jaka w skrzyniach znajdowała się moneta. Z ciekawością i gorączkowym zajęciem czytała pani Sabina: „Z roku 1760 złotem holenderskim”. Dalej talary cesarskie, portugaly, dukaty węgierskie, dublony hiszpańskie itp. Rotmistrz z należnym poszanowaniem patrzył na te monumenta i łzy rozczulenia stawały mu w oczach. Załamał ręce.

— Mój Boże! — zawołał. — Co ten tu człowiek nazbierał! Co nazbierał! Otóż to sprawiedliwość! Jeden opływa, a drugi... drugi...

Kiwał głową, przechodząc tak z wolna od kufra do kufra. Zapomnieli się oboje, gdzie są, strach odbiegł ich.

— Ale to sumy neapolitańskie! — mówił rotmistrz. — Można kupować dobra, pałace i żyć, żyć popuściwszy pasa... To magnat... jak mi Pan Bóg miły!

Dobkowa ognistymi też oczyma mierzyła kufry i w myśli rachowała, ile w nich było. Kilka razy Poręba popróbował wieka, ciekaw był koloru złotych czerwonymi zwanych, czy też w ciemnościach i wilgoci nie popleśniały; wszystkie były mocno pozamykane. Obeszli tak dokoła skarbczyk raz i drugi, gdy rotmistrz zobaczył drzwi skryte w murze, wiodące do dalszych lochów. Były wprawdzie wewnątrz na klucz zamknięte, ale i ten klucz zostawiony był w zamku. Żelazne dwa pręty, które je zabezpieczały, łatwo też z tej strony odjąć było można.

— Gdzie to one prowadzić mogą? — rzekł Poręba. — Może on tam ma jeszcze drugi i trzeci loszek taki przyjemny? Warto by zajrzeć, he?

Pani Dobkowa, ośmielona tą pierwszą próbą, nie sprzeciwiała się wcale, a rotmistrz wziął się do odryglowania. Wąskie przejście to wychodziło na loszek prowadzący do izby, w której dawniej mieszkał pokutnik, drzwi od niej nawet zamknięte nie były.

Niezmierna ciekawość brała dalej jejmość i jej towarzysza. Weszli do pustego podziemia, w którym jeszcze ślady niedawnego życia i zamieszkania były widoczne; suknie wyszarzane wisiały na kołku, garnki wystygłe stały w kominie, stwardniałego chleba kawał myszy ogryzły na stole, Biblia otwarta, pyłem okryta, nie tknięta od zgonu starego, spoczywała na rogu stolika. Było coś strasznego w opuszczonej tej izbie tajemniczej, w której ktoś żył i jakby niedawno z niej uszedł.

Rotmistrz się trwożliwie obejrzał wkoło, lecz trzeba było już dotrzeć do końca i zaspokoić ciekawość. Rozpatrzywszy się, iż nie było nikogo, wsunęli się milczący potrząsając głowami. Od miejsca, gdzie stała wrosła prawie w podłogę trumna, do drzwi drugich, wiodących ku grobom, po posadzce kamiennej widoczny był ślad przesuwania jakiegoś ciężaru. Obudziło to uwagę rotmistrza marzącego o skarbach i świecąc sobie, posunął się z przerażoną już panią Dobkową, na próżno usiłującą go odwieść od dalszego pochodu, ku ostatnim drzwiom. Gdy je otwierali i podniósł w górę latarkę, jejmość w promieniu jej ujrzała stos trumien stojących jedna nad drugą i krzyknęła przeraźliwie:

— Groby!

Rotmistrz natychmiast drzwi na powrót zatrzasnął i sam nieprzyjemnie tym widowiskiem dotknięty, co najrychlej począł zabierać się do odwrotu. Słyszeli tylko świst wiatru, który wciskając się do lochu szumiał w tej pustce, śpiewając dziwnymi głosami, wybiegli, coraz szybciej dążąc, do jednego loszku, potem do skarbczyka i rotmistrz ustawivszy latarkę, dla ogrodzenia się od nieboszczyków, co prędzej jął drzwiczki ryglować i zamykać. Odetchnęli tu dopiero. Jejmość zimny pot otarła z czoła, Poręba sapał, nie mogli oboje ust otworzyć, tak wargi drżały im ze strachu. Popatrzeni na kufry z uczuciem, drzwi żelazne uchylono i zaczęli wstępować na górę. Dobkowa, mimo iż była bardzo szczęśliwa z wykrycia tajemnicy męża, cała jeszcze sąsiedztwem tych grobów była przejęta i rada, że się znowu na powietrze i świat wydobędzie. Doszła właśnie do drzwi żelaznych, popchnęła je... nie ustępowały.

— Co to jest, rotmistrzu? Drzwi zaciśnięte, nie mogą otworzyć.

— Trzeba mocniej popchnąć! — zawołał Poręba. — Niech no jejmość mnie puści...

Rotmistrz zaważył całą siłą ramienia, ani drgnęły żelazne wrota. Popchnął raz i drugi, spojrzął, czy nie ma klamki. Nie było z tej strony nic, nawet otwór klucza nie wychodził na zewnątrz. Poręba zbladł i trząść się zaczął, pani Dobkowa upadła na wschody łamiąc ręce.

Byli zamknięci w skarbcu pana Dobka, jeśli nie na wieki i głodną śmierć, to przynajmniej na długą pokutę obok nieboszczyków. A w tej chwili też dopalony w latarce stoczek zagasnął.

III

Dwór pana hetmana sływał podówczas z najwykwintniejszego urzędzenia na wzór cudzoziemski, jakiemu równego trudno było nawet w stolicy. Była to wyrocznia delficka gustu, gdzie najpierw przybywały nowomodne materie z Paryża, najświeższe sztuki grane na francuskich teatrach, gdzie się rozlegała najnowsza muzyka, gdzie z całego świata wędrowcy przybywali krzewić wśród barbarzyńskiego narodu smak w kunsztach, zamiłowanie

dowcipnego słowa i rajskiego życia wśród zbytku. Sam pan hetman jako żywo nigdy pono na koniu nie siedział, nosił mundur jeneralski przy jedwabnych pończochach i trzewikach, grał prześlicznie na flecie, pisywał komedie po francusku, kochał się w kwiatkach i był najlepszym w świecie człowiekiem, ale jak najmniej rycerzem i żołnierzem.

Tytuł ten i dostojność dostało mu się ze składu okoliczności szczególnych, które rozpowiadać tu byłoby zbyt wiele; wypadło zostać hetmanem i został nim.

Siedział jednak po większej części na wsi w pięknej rezydencji, w której sobie miły raik urządził, niekiedy w stolicy, gdy wymagała konieczność, często za granicą dla pokrzepienia wątpliwych sił, był bowiem zdrowia nader delikatnego.

Pomimo że dochodził lat pięćdziesięciu, dotąd się nie ożenił i ludzie przepowiadali, iż go już najczulsze kuzynek starania nie potrafią zaprowadzić na kobierzec.

Było mu tak swobodnie na świecie, tak dobrze i wesoło, iż nie chciał sobie, jak się wyrażał czasem cicho: „komplikować egzystencji”.

Już sama powierzchowność pociągała ku niemu. Nosił się po francusku, z niezmierną zawsze elegancją i smakiem. Peruki sprowadzano z Paryża, batystową bieliznę szyto tam i prano, bo u nas by jej nikt wyprać nie potrafił i próby okazały się tak nieszczęśliwe, iż wyrzeczono się raz na zawsze krajowego mydła, rąk i wody. Rozumie się samo przez się, że reszta garderoby dobrana być musiała do fryzury i bielizny. Nikt troskliwiej nad niego nie pilnował, ażeby guziki fraka, kamizelki, sprzączki od trzewików i szpada dobrane były zawsze i do jednego garnituru należące, nikt z równą mu logiką, ścisłą a nieubłąganą, nie ubierał się u nas. Był też i sędzią nader surowym dla drugich, a człowiek, który przed nim stanął z porcelanowymi guzikami przy sprzączkach stalowych, był od razu osądzony.

Natura obdarzyła go fizjonomią tak przyjemną, z pomocą sztuki i wychowania wykształconą na tak miłą maseczkę, że przepędzić z nim godzin kilka a nie pokochać go — mógł chyba człowiek bez czucia i smaku. Rysy twarzy nie były klasyczne, lecz składały całość pełną harmonii łagodnej, wdzięcznej, słodkiej, uśmiechającej się najczystsza filantropią. Niebieskie jego oczy pływały jakby we łzach, wargi okalał dobrotliwy uśmiezek, na czole żadna marszczka marmuru jego nie zarysowała. Ludzie mówili, że trochę niewieście i nie po hetmańsku wyglądał; on się chlubił tym szczególnie, że w pośrodku Paryża brano go za Francuza czystej krwi i za dworaka.

Rączki niezwyklej białości, pulchne, tylko przed słynnymi z piękności rękami Stanisława Augusta ustępowały. Gdy na flecie grał, wdzięk, z jakim piąty palec odstawiał zaokrąglony, jednał mu serca wszystkich. Noga pana hetmana była skulpturalnie doskonała, a zakończenie

jej, stopa, oznaczała małością i wypukłością na podbiciu szlachetną starą krew, z której pochodził.

Trzeba go było widzieć, gdy się przechadzał, gdy ze złotej tabakiereczki odrobinę tabaczki czerpał końcem paluszków, gdy siedział w krześle z ręką za żabot i kamizelkę założoną z układnością i wdziękiem niezrównanym, na ostatek gdy tańczył menueta.

W menuecie był tryumf jego. Uczył się w Paryżu i u najlepszych mistrzów.

W rzeczach też dotyczących sztuki w ogóle był znawcą pierwszego rzędu. Sam się Zajmując muzyką, a nawet będąc kompozytorem, sądził o muzycznych utworach bez apelacji, a że był we Włoszech, widział wszystkie muzea i kochał się w rzeźbach, kameach a obrazach, których miał bardzo piękne zbiory, gdy przyszło wyrokować o sprowadzonym z Włoch posągu, o nowo występującym artyście, hetmana zdanie ważyło na szali za wiele innych. W teatrze panował, bo teatr namiętnie lubił i miał go u siebie, równie jak doborną a małą wprawdzie, ale doskonałą kapele.

Dowcipny, smakował nade wszystko w towarzystwie ludzi słynących z dowcipu, jak dwaj książęta de Ligne, a do charakteru jego najlepiej pono przypadali Francuzi, chociaż Włochami, uczonymi niemieckimi i niektórymi Anglikami nie gardził.

Z systemu jego wypadało być eklektykiem i sprowadzać, co jaki kraj wydawał najlepszego, aby tym własny ubogacić. W przekonaniu bowiem hetmana nie było pod słońcem bardziej zacofanego świata nad ten, który go otaczał. Ilekroć odbywał podróże lub nawet przejeżdżał się tylko po swych dobrach, widok tych chat wklęsłych w ziemię, siermiąg grubych, wozów nie kutych, wołów drobnych — wywoływał z piersi jego westchnienia. Czuł jednak, że sam jeden nic by na to nie poradził, i nie robił nic. Trzeba to było zostawić przyszłości.

Dwór wszakże i rezydencja hetmana służyć mogły za rodzaj wzoru dla innych. W spadku otrzymawszy majątności ogromne, z nich jedną obrał sobie, by na niej okazać, co uczynić można, gdy kto ma smak wytworny i wychowanie znakomite. Położenie Emilopola, tak zwanego od imienia założyciela, było zachwycające. Na wzgórzu nad brzegiem spławnej rzeki, wśród gajów, które tylko poprzecinać i dosadzić potrzebowano, założono park rozległy, „dzikie promenady”, chińskie ogrody, wszystko, czego ówczesny gust wymagał. Przodem zwrócony ku rzece stał pałac, budowa o kolumnadzie i portyku wspaniałym z dwoma skrzydłami, w pośrodku okryta kopułą oszkloną. Przed nim bić miała fontanna, do której jednak dotąd wody sprowadzić nie było można.

W prawo i w lewo wysadzone ulice prowadziły do licznych dworków z ogródkami, przeznaczonych dla hetmańskiego dworu, a w lewo dalej szeroki gościniec wiódł do

miasteczka, w którym kościół, cerkiew i synagoga, nowe zupełnie, z wielkim też architektury wysiłkiem i różnorodnością stylów wzniesione były kosztem pana hetmana. Starano się o to, aby każda z tych budowli, z parku widziana, tworzyła wdzięczny wśród drzew motyw i krajobraz upiękniała. Synagoga przypominała Alhambrę, kościół — świątynię grecką, cerkiew — gotycki tum. Wszystko to w miniaturze wprawdzie, lecz z wielką troskliwością było narysowane, a plany architektów sam hetman poprawiał. Austeria kształtu starej twierdzy średniowiecznej jeszcze nie była skończona.

W parku także dziwów napatrzeć się było można. Był tam zmniejszony amfiteatr rzymski, chińska wieża porcelanowa, rodzaj meczetu i pagody; w parowie świątynia przyjaźni odznaczała się nader szczęśliwymi liniami. Przed nią na kamieniu wyryty był czterowiersz francuski, o którego autorstwo posądzano samego hetmana. Lecz któż tam te cuda zliczy i opisz! Kto wyliczy, ile skarbów zamykał w sobie pałac, który miliony kosztował i pochłoniął na przybranie miliony! Jakiś dowcipniś bardzo niewłaściwie szukał w nim zbrojowni, a nie znalazłszy, dziwił się, że u hetmana nie było oręża; lecz koncept ten czuć było średniowiecznym barbarzyństwem. Jednej może tylko jej nie dostawało w pałacu, mającym przepyszną francuską bibliotekę, gabinet rzeźb i starożytności grecko-rzymskich, bardzo ładniuchny teatrzyk, salę koncertową, jadalną, audiencjonalną i mnóstwo rozkosznych gabinecików z lampy alabastrowymi, kwieciami i zwierciadłami.

Dwór pana hetmana, nie mówiąc już o jego kancelarii, którą się jak najmniej zajmował, składał się z bajecznej prawie liczby osób, ale ani jedną mniej liczyć nie mógł. Sama muzyka z dyrektorem jej, maestrem Ciprianim, dochodziła do dwudziestu osób; bez tej zaś hetmanowi się obejść było niepodobna, gdy sam był znakomitym wirtuozem. Teatr francuski wymagał kilku pań i kilku panów, którzy, jakkolwiek inne też funkcje spełniali na dworze, osobno za scenę pensjonowani byli. Nad parkiem dozór zwierzchni miał z Wiednia sprowadzony, w Schönbrunnie i Luksemburgu wykształcony, znakomity hortykultór, pan Risius osiadły tu z całą rodziną, którego zastępował czasem i wikariuszował mu młody, wielkich nadziei Hermann Berger.

Tak było i w innych dworze oddziałach, powierzonych zwierzchnictwu wytrawnych i wykształconych fachowo mistrzów. Pochłaniało to sumy ogromne, lecz hetman był przekonany, że w ten sposób kraj cywilizował.

Jakkolwiek konno nie jeździł nigdy, lubił hetman piękne konie, sprowadzał je z różnych krajów i w stajni też miał Duńczyka, który był wydał dzieło o hippice. Wszystko to razem stanowiło amalgam osobliwszy a nie zawsze harmonijny, bo kosmopolityczne to zbiorowisko niekiedy występowało zbrojnie przeciw sobie i wojny domowe nie były tu rzadkością; powaga

jednak marszałka dworu umiała je uśmierzać, łagodzić, rozpoczęte koić, nasrożone rozbrajać, walczące już do upamiętania przywozić.

Marszałkiem dworu był pan starosta Pobożanin, mąż stworzony do tego urzędu, któremu hetman wiele był winien, i Bogu dziękował, że własny majątek częścią na podróże, w części na różne wybryki straciwszy, zmuszony był Pobożanin marszałkować u kuzyna. Istniało bowiem jakieś między nimi pokrewieństwo. Marszałek dworu służył taktem jak hetman dobrocią, znał ludzi, penetrował serca jednym wejrzeniem, oceniał charaktery i do każdego umiał się tak wziąć, iż najdrapieżniejszego uchodził.

Pobożanin był w innym rodzaju od pryncypała bardzo pięknym mężczyzną, chociaż życie bujne, żwawe, nieoszczędne, i włosy mu z głowy zdjęło, i na twarzy wypiętnowało przeszłość. Hetman do kielicha nie był wcale tęgi, za to marszałek, gdy z jego obowiązków płynęło przyjmowanie gości starym obyczajem, dopełniał tego z całym tradycyjnym kunsztem saskich czasów. Mówił z łatwością, wyrażał się pięknie, językami pięciu władał doskonale, na koniach się znał, muzykę lubił, tylko miał nieszczęśliwą pasyjkę do kart i utracjusz był niepohamowany. Mógł nie mieć butów, a gdy mu się brylant niepotrzebny podobał, musiał go mieć. Złośliwi ludzie mówili, że i z żywymi brylanty podobnie dawniej bywało.

Do dworu, którego tylko głównejsze postacie zarysować możemy w ogólnym obrazku, należał jeszcze nadworny doktor, Holender Van Spis, i kapelan ksiądz, który nosił pono tylko suknię duchowną, a głównie poezję francuską uprawiał, abbe Moui w spory teologiczne wcale się nie wdawał, a kuplety do Doris składał z niezmierną łatwością.

Myliliby się jednak, kto by z tego wnosząc sądził, iż abbe Mourion był młody. Miał lat około sześćdziesięciu, peruczkę ryżą, twarz czerwoną, ręce łopatowate i nogi niepomiernej wielkości, a choć sam był chudy, zaokrąglony brzusek czynił go do pająka podobnym. Talent poetycki księdza Mouriona pan hetman cenił wysoko i nie mógł się wydziwić swemu szczęściu, iż tę perłę posiada, o którą by się Akademia Czterdziestu dobijać była powinna.

Oprócz tych wybitniejszych osobistości hetman był zmuszony gwoli dawnemu obyczajowi mieć dworzan kilkunastu, a służbę prawie nieobliczoną, gdyż hierarchia dworu, od hetmana do stróża, który w piecach palił, wymagała wielu stopniowań i mnóstwa wyręczycieli a pomocników. Życie na tym dworze, przy tylu środkach uprzyjemniania go, płynęło nader mile, a choć sam hetman uskarżał się na nawał pracy i korespondencji, miał jednak dosyć czasu na dogadzanie pańskim fantazjom swoim.

Na gościach też nigdy nie zbywało; słynny ze swej wykwintności i życia pańskiego hetman ściągał nieraz nawet ze stolicy ciekawych, a przy każdej uroczystości nie obeszło się

bez zastawnych stołów, koncertu, teatru, fajerwerku i innych kunsztownych niespodzianek. Szlachta dworowała chętnie, bawiono się wyśmienicie, a jeśli którego roku dochody nie dopisały, plenipotenci umieli na zastawy, skrypta, dzierżawy dostać zawsze kilkanaście tysięcy czerwonych złotych, aby kasa nie była bez zapasu. Dwa razy doświadczył też pan hetman prawdziwej łaski Opatrzności, bo w najtrudniejszych latach spadły nań dwie znaczne sukcesje, którymi dobra oczyścił i dalej życie, do którego był nawykły, ciągnął. O oszczędności nie mogło być mowy; to, co hetmana otaczało i co mu służyło, było, jak się wyrażał często, *le strict necessaire*. Nie miał też obowiązków nie będąc dotąd żonatym i wedle wszelkiego podobieństwa, żenić się już nie pragnąc.

Niemal co rok gorliwie kuzynki i przyjaciółki tego kochanego hetmana usiłowały go wpędzić w jakieś nastawione sidła; nigdy się to jednak nie udawało. Hetman miał nadzwyczajnie trafne przeczucie niebezpieczeństwa, składał hołdy, przynosił bukiety, adorował lica i oczy, unosił się nad anielskimi postaciami, lecz jak tylko przychodziło do pogadanek matrymonialnych, zachorowywał i wyjeżdżał za granicę.

Nawet zamężne panie, z którymi daleko był śmielszy, bezpieczniejszym się czując, ilekroć rachowały nań w myśli rozwodu, a rozwody naówczas były chlebem powszednim, zawsze się na nim zawiodły. Ten wstręt ku małżeństwu przypisywano nieszczęśliwej jakiejś pasji dla księżny X, której chciał wiernym pozostać do grobu, choć ona mu się wcale równym przywiązaniem nie wywdzięczała, będąc jedną z najpłochszych kobiet swego czasu. Hetman kochał ją prawdziwie bezprzykładną miłością.

Mówiono też, że część serca wziął mu jego wychowaniec, którego kochał jak syna, zajmował się nim, kształcił go, pieścił i lubował ślicznym chłopakiem, który dziwnym jakimś zrządzeniem z twarzy podobniuteńki był do hetmana, choć mówiono, że rodem był Francuz i że go sierotką wziął z Paryża przez litość ojciec przybrany. We dworze znano go pod nazwiskiem *chevalier Georges*, chociaż musiał mieć jeszcze jakieś inne.

Zwykły tryb życia w rezydencji, z wyjątkiem dni uroczystych i nadzwyczajnych zjazdów gości, był następujący: hetman wstawał o ósmej godzinie, niekiedy w łóżku przyjmował osoby swojego dworu i klientów, częściej już w szlafroku, pijąc czekoladę. Następnie z urzędowej kancelarii przynoszono mu papiery, które podpisując rad się ich był pozbyć jak najprędzej. Jeśli kto z oficerów przybywał za interesami, proszony bywał na obiad. Około godziny dziesiątej bywała msza w kaplicy, którą odprawiał nie tytułowy kapelan, ale wikary z miasteczka lub bernardyn z okolicy. Hetman, jeśli mu zajęcia dozwalały, bywał jej przytomny. Potem w piękny czas jeździł na spacer albo przechadzał się po parku, a w czasie tym oficjaliści przystęp niekiedy miewali. W ogóle jednak nie lubił, ażeby mu głowę

kłopotano interesami, i mawiał, że na to trzyma tych panów, ażeby go wyręczali. Przed obiadem jeszcze parę godzin czasem z wielką pilnością egzercytował się na flecie, sam lub w towarzystwie Ciprianiego; jeśli zaś miał wieczorem grać publicznie ze swą kapelą, robiono próbę w tym czasie.

Następował obiad, a kuchnia hetmańska była jedną z najprzedziwniejszych w kraju całym. Sławny Tremo, człek skromny i umiejący talent oceniać, sam wyznawał, że z kuchmistrem hetmana, niejakim Joli, paryżaninem, nierad się był mierzyć w urządzaniu wielkich obiadów.

Trzymano też osobnego pasztetnika, który był pochwycony niemal gwałtem ze Strasburga, i cukiernika. Kuchnia była czysto francuska, rozumowana, oparta na pewnych zasadach, do niezmiernej różnorodności łącząca klasycyzm pomysłów i głębokie pojęcie całości.

Każdy obiad hetmański był, można powiedzieć, poematem wielkiego stylu, w którym prolog, wszystkie akta, aż do słodkiego epilogu, spletały się w całość tak zajmującą, iż dopiero wstając od stołu czuł biesiadnik, jak nieznacznie nad miarę i siły się przeładował. Następstwo potraw, prawo kontrastów i prawo sympatii, środki obudzające, wypoczynki, wszystko to z umiętą było obmyślane rachubą i nikt też panu Jolemu sławy wielkiego mistrza nie zaprzeczał. W sosach celował.

Jeżeli okoliczności przedsejmikowe wymagały, ażeby stół, zastosowany do barbarzyńskich podniebień, wrócił do tradycyjnych mocnych przypraw, kapust, kiełbas, bigosów, flaków i barszczu, pan Joli nie zmazał rąk nigdy, zajmując się nim, i otrząsając pył z nóg, wychodził ze sprofanowanej kuchni, oddając ją w zarząd niejakiemu Pampolińskiemu, który na to tylko był trzymany, aby dla szlachty gotował. Zwyczajna kuchnia hetmana, do której on wielką przywiązywał wagę, słynęła wykończeniem swym i delikatnością. Sprowadzano niektóre niezbędne materiały zza granicy kurierami, jeśli przedmiot mógł ulec zepsuciu.

Obiad trwał zwykle dwie a nawet więcej godzin, gdyż hetman pośpiechu nie cierpiał i lubił czuć a wiedzieć, co je. Niekiedy zachodził spór między nim a panem Jolim, który przychodził się tłumaczyć; zawiązywała się dyskusja kulinarna i hetman z wielką pociechą swą uznawał zawsze Jolego zwycięzcą. *C'est un homme rare* powiadał o nim, Joli brał pięćdziesiąt dukatów miesięcznie oprócz prezentów, ale takiego artysty dość drogo nie można było opłacić.

Po obiedzie, czarnej kawie, wypoczynku, ku wieczorowi, zawsze grywała muzyka pod dyrekcją Ciprianiego. Niekiedy hetman wirtuozował na flecie i wzbudzał entuzjazm nadzwyczajny. Miał też solistę skrzypka, a niekiedy jedna z pań należących do teatru

mniejszą jaką aryjkę odśpiewała. W inne dni koncerta zastępował teatr, trwający do wieczery.

Ta była lekka, ale złożona z potraw, które snu nie odbierając, przyjemnymi marzeniami kołysać mogły. Przy lub po wieczery czytywano coś po francusku, zawiązywały się rozprawy, dzienniki przynosiły wiadomości; towarzystwo zabawiało się do późna, a choćby hetman wcześniej zniknął, nie przeszkadzało to gościom kończyć dzień przyjemnie.

W ogóle swoboda panowała tu wielka i przybyli mogli dzień spędzać, jak im się podobało, mając się i czym, i z kim zabawiać. Niektórzy z nich odwiedzali dworki, często marszałek dworu u siebie szlachtę przyjmował, młodzież ugaszczał chevalier Georges, a przyjęcia szły naturalnie na koszt pański. Wydatki też były ogromne; hetman nieraz na nie utyskiwał, a zmniejszyć i na złamany szeląg nie było podobna, jak dowodził plenipotent, pan Zygmunt Borawski, człek bardzo zacny, powszechnie lubiony, nieposzlakowanej uczciwości, przywiązany bałwochwalczo do hetmana. Na jego to głowie i barkach cała dóbr administracja, skomplikowane interesa pieniężne i prawne spoczywały. Borawski był człek co się zowie z głową; nie dość bowiem, że mu czasu na olbrzymią tę pracę starczyło, zarządzał jeszcze znacznymi dobrami własnymi, które przed kilku laty zakupił, a na nich miał gospodarstwo wzorowe. Ubolewał on nad stanem często bardzo trudnych interesów pryncypała swojego, lecz cóż miał począć? Nie był winien, nie mogąc szafunku grosza powstrzymać. Czasem przedstawiał hetmanowi, że czasy są ciężkie, że wydatki ogromne, że pieniędzy nie ma; hetman go ścisnął, całował i odpowiadał:

— Borasiu, pożycz! A zresztą masz głowę i sumienie, spuszczam się na ciebie, nic i o niczym wiedzieć nie chcę.

To rzekłszy, najczęściej wcale nie patrząc, podpisywał hetman i spał spokojny, a Borawski wzdychał, narzekał na niego, tył, majątki kupował i prorokował, że to się źle skończy. Nie było dla takiego człowieka jak hetman, rozmiłowanego w sztukach, delikatnego smaku, wyższych zdolności umysłu, nic przykrzejszego nad stykanie się ze sprawami pieniężnymi, z rachunkami, papierami urzędowymi i wszystkim, co realizmem grubym trąciło. Starał się to usuwać od siebie, mając wyższe posłannictwo. Żył sztuką i duchem, a rodzaj ten życia wymaga, aby mu nie przeszkadzano nieustannym powszednich, ordynaryjnych przedmiotów narzucaniem.

Sam to zwykł był mówić, iż nie był do nich stworzony. Unikał też wszystkiego, co mogło martwić i pogodę umysłu, tak potrzebną miłośnikom rzeczy wyższych, zakłócać. Gotów był największymi ofiary pokój okupić i być może bardzo, iż ze słabości tej, znając ją, korzystano;

a choć się nie godzi posądzać czcigodnego Borawskiego, ten także przychodził czasem męczyć hetmana w ten sposób, iż dla odkupienia się od niego dawał mu, czego zażądał.

Znakomite wykształcenie, talenta, dobroć serca, słodycz charakteru zjednały panu hetmanowi sławę nie tylko w kraju, ale daleko poza nim, w najlepszym towarzystwie europejskim. Wszędzie, gdziekolwiek się pokazał, przyjmowano go z oznakami sympatii i szacunku. Muzycy przypisywali mu swe utwory, literaci przysyłali w safian czerwony oprawne dzieła, pod światły je sąd jego poddając; miał kilku we Włoszech agentów, którzy dlań na arcydzieła i rzadkości czyhali, pakami całymi mu je nasyłając.

W galerii jego były Rafaele i Tycjany, jakich nie miał król Stanisław, a nad zbiór jego kamei i intaglij bogatszego nie znano. Słowem, byłby to i sławny, i najszcześliwszy z ludzi, gdyby mu we wszystkim ten nędzny pieniądz nie stawał na przeszkodzie do spełnienia najpiękniejszych pomysłów.

Nie dziw też, że sam widok twarzy poczciwego Borawskiego, zwłaszcza jeśli obok niej ukazywały się zza kontusza wyglądające papiery, wprawiał hetmana w najgorszy humor, w rodzaj niecierpliwości, z której nie wychodził, dopóki popodpisywawszy, co chciał, nie pozbył się natręta, posuwającego nudziarską regularność i drobnostkowość do ostatecznych granic. Słyszał z tego Borawski, że u niego rejestra były utrzymywane jak nigdzie, ale co po tym, kiedy we wszystkich w końcu okazywał się deficyt. Hetman nigdy w nie nawet nie zaglądał.

W tym roku jednak pieniężne sprawy emilopolskie poszły były dosyć szczęśliwie, piętnaście tysięcy czerwonych złotych wpłynęło z odzyskanego spadku. Borawski chciał nimi oczyścić długi, na co jednak hetman nie dozwolił, słusznie reklamując je jako swą osobistą, kieszonkową własność, którą chciał raz wedle fantazji swej rozporządzić.

Przyptyw ten, bardzo pożądanym, ożywił nie tylko zacnego pana, dając mu rzadki humor i pogodę umysłu, która dozwoliła napisać dwie komedie i jedną wariację na flet z towarzyszeniem orkiestry, w czym mu nieco pomógł Cipriani, lecz cały dwór hetmański rozpromieniał. Każdy prawie z cudzoziemców dostał jakiś dar w pieniądzech lub kosztowności. Borawskiemu, aby nie dokuczał, dostało się pięćset dukatów tytułem gratyfikacji, Hetman w tym roku przedsięwziął kilka pięknych budowli i sprowadził architekta Włocha, San Lukkę, z którego nadzwyczaj był zadowolony. O dobre pół mili od Emilopola, w stronie gdzie się park kończył, na gościńcu do Warszawy wiodącym stało obrzydliwe stare karczmisko, z wysokim dachem, odrapane, szare, o jednym kominie sterczącym nad nim, na które patrząc z wystawionego belwederu w końcu ogrodu hetman wzdychał zawsze, niesłychanie się martwiąc nim, chociaż mu piękny dochód przynosiło. Park

wymagał niezbędnie w tym miejscu budowli okazałej i oryginalnej dla widoku. Hetman chciał tu mieć angielski kastel z wieżami, jakie w podróży swej po Szkocji oglądał. W tym roku z pomocą San Lukki, wedle rysunku samego hetmana, przedsięwzięto na koniec wzniesienie austerii w kształcie kastelu.

Żyd, który karczmę utrzymywał, niezmiernie nad tym utyskiwał; musiano jednak piękną myśl pańską wykonać; w części mury dźwigać się zaczęły. Hetman był tak niecierpliwy oglądania efektu, jaki sprawi owa budowa widziana w parku, iż niemal co dzień w towarzystwie San Lukki i chevaliera Georges'a jeździł tam dla śledzenia postępu robót.

Do takich bliskich przejazdów miał niziuchno zawieszony mały powozik odkryty, do którego zaprzęgano dwa wielkie konie w srebrem kutych chomątach. Siadało w nim osób dwie, reszta konno lub na wózkach towarzyszyła. Rzadko bowiem bez kilku najmniej osób mógł się dostojny pan obejść i wszędzie mniej więcej liczny dwór ciągnął za sobą.

Wiosennego dnia właśnie był po dobrym obiedzie, za który szczególną pochwałę odebrał Joli, gdy się w nim obudziła chęć przejechania się do fabryki, jak pospolicie tam zwano. Karczma właściwie od niepamiętnych czasów nazywała się Zastójka, lecz razem z murami musiano jej dać imię nowe, które było przedmiotem długich rozpraw przez parę wieczorów. Różne wnoszono: Włoch utrzymał się przy wdzięcznie i pięknie brzmiącymi Castel Bianco.

Na nieszczęście, w kraju barbarzyńskim zaraz to ludzie po swojemu grubiańsko przerobili na nie wiedzieć już jaką Kościurbinkę. Niepodobna ich było odzwyczaić. Castel Bianco zwał się u ludu Kościurbinka. Hetman sam nieraz w przejazdach swych (bo był niezmiernie popularnym i do prostych wieśniaków mówił tak chętnie, że się jego otoczenie tej dobroci wydziwić nie mogło), sam hetman zatrzymywał faetonik, pytał o nowe nazwisko i troskliwie wymawiania go uczył, nieokrzesany lud upierał się albo przy Zastójce, albo przy Kościurbince. Z czasem spodziewano się jednak pomyślniejszych wytrwałości owoców, bo dworscy mieli surowe rozkazy, aby prawdziwe wymawianie imienia wpajali nieoświeconemu ludowi. Trafiało się nawet, że hajducy hetmana, źle zrozumiałwszy polecenie, naukę popierali boćkowskim instrumentem, z czego się nieraz śmiano na wieczorach.

Tego dnia hetman był w usposobieniu nader błogim, twarz mu się uśmiechała wdzięcznie, obiad ozdobił ją świeżym rumieńcem, maleńki ruch miał posiłkować dygestii i uwolnić od mozołnych jej trudów przed wieczerzą. Na wieczerzę zapowiedziane były raki tuczony, olbrzymie.

Wyjechał pan hetman parą swych karych koni, tym razem sam jeden, w towarzystwie tylko kamerdynera Francuza, niejakiego Saint-Alona, człowieka, który miał całe jego zaufanie, i kawalera Georges'a towarzyszącego konno. Zaraz za miasteczkiem droga szeroka,

wysadzana, prowadziła do niezbyt oddalonego Castel Bianco. Fabryka około nowej budowy prowadzona była w ten sposób, iż stara karczma w Zastójce do czasu była pozostawiona i Żyd mógł przejeżdżać w obszernej szopie i parze izb mieścić, nimby mu zamek dokończono. Zwykle powóz: hetmana zatrzymywał się przed starą karczmą, pan wysiadał z niego i o lasce, którą dlań miał przygotowaną Saint-Alon, powoli szedł ku fabryce. Tu rozpatrywał się w robotach, czynił uwagi, naglił o pośpiech, obchodził mury dokoła, zasznurowany wykupywał się dukatem mularzom i używszy świeżego powietrza powracał.

Wieczór był tak piękny dnia tego, po porannym deszczyku brzozy tak sielankowo pachniały, iż hetman, nie dojeżdżając do Zastójki, objawił życzenie odbycia kawałka drogi pieszo. Saint-Alon podał laskę, kawaler Georges zsiadł z konia i powoli tak, hetman przodem, za nim młodzieniec i kamerdyner poszli ku karczmie.

W tej samej chwili z przeciwnej strony nadjechał młody człowiek na siwym koniu, tak pięknej postawy i lica, tak szykowny i zręczny, iż pan hetman stanął niezmiernie zdziwiony, skąd takie zjawisko w okolicy mu znanej a kraju barbarzyńskim mogło się wśród gościńca znaleźć.

Po trokach u konika łatwo było poznać, iż młodzieniec przybywał ze stron dalszych; na koniu też, zresztą ładnym, znać było znużenie. Młodzieniec, zsiadłszy z niego, ocierał go starannie, gładził i pieścił z dziwną czułością, co także ujęło za serce pana hetmana. Twarzyczka też wędrowca bujnymi otoczona włosami, jakie mało kto nosił naówczas, strój piękny, choć skromny, a nade wszystko wyraz oblicza roztropny, energiczny, życia pełny i ognia, niezmiernie się podobały panu hetmanowi. Podobały się i zastanowiły tak dalece, iż oprzeć się nie mógł chęci dowiedzenia się, kto by był tak nieznajomy a tak dystygowany młodzieniec.

Saint-Alon chciał się zaraz pójść sam dowiedzieć, lecz hetman stosowniejszym znajdował wyprawić kawalera Georges'a ku niemu, zalecając mu wielką delikatność, gdyż z powierzchowności wnosił, iż podróżny nie był pospolitym człowiekiem, a nawet mógł być cudzoziemcem. U nas cześć dla obcych i gościnność dla nich była zawsze aż do przesady posuwanym obowiązkiem, za co zapewne ci sami cudzoziemcy u siebie w domu nieraz traktowali nas później lekceważeniem i pogardą. Kawaler Georges, wychowany częścią w Paryżu, częścią w kraju, chłopak miły, uprzejmy, grzeczny, najpiękniejszej manieri w świecie, a dość na jego pochwałę przypomnieć, że do pana hetmana podobny, zbliżył się niby od niechcienia do podróżnego, pozdrowił go i grzeczny ukłon w zamian otrzymał. Na nieszczęście, nie dosyć dobrze mówił po polsku, do rozmowy więc w tym języku nie był zbyt skłonnym.

— Cóż to za ładnego ma pan konia! — rzekł, obchodząc go, Georges.

— Ładnego, to nic, ale jak dobrego i poczciwego! — harmonijnym, miłym głosem odpowiedział młody podróżny.

— Z daleka pan jedzie? — podchwycił wychowaniec hetmana.

— Ja? A, tak... o z daleka! — rumieniąc się i poprawiając coś około konia, odpowiedział podróżny. — Dosyć z daleka.

— Tak sam jeden?

— Chłopak mi... zachorował w drodze i pozostał, co mnie w niemały wprawia ambaras — rzekł podróżny, spoglądając nieśmiało na pytającego.

Chevalier Georges spojrział też ciekawie na niego i zdziwił się sam sobie, że twarzyczka nieznanego dziwne na nim robiła wrażenie. Rzucił okiem badawczym i zdumiał się niezmiernie, postrzegłszy rękę, z której tylko co zrzucił rękawiczkę wędrowiec, nadzwyczaj białą i dziwnie kształtną. Nóżka też w buciku wyglądała cudownie.

— Coś tak szlachetnego jest w tym chłopaku — rzekł sam do siebie Georges — taki wdzięk! Jakież on ładny, mój Boże! Jaki ładny!

Z podbudzoną ciekawością i szczerze zajęty tym zjawiskiem, zwrócił się ku niemu Georges.

— Jest to z mej strony niedyskrecją — rzekł — że badam tak natrętnie; lecz... czy droga daleka? A jeśli służący jego chory i sam jeden masz ruszać dalej, czybyśmy mu pomocą być nie mogli?

Chłopiec zarumienił się mocno.

— O, bardzo dziękuję! — odpowiedział cicho i nieśmiało. — Jestem w istocie w położeniu niezwykłym i nadzwyczaj drażliwym, lecz nie śmiałbym niczyjej pomocy prosić... właśnie z powodu, że nawet istotnego mojego nazwiska wyjawić nie mogę.

Na te słowa dosłyszane nadsunął się sam hetman, mocno zaintrygowany i uradowany razem romansową przygodą, po raz pierwszy w dzikim tym kraju przytrafiającą mu się. Poetyczna jego wyobraźnia uderzona była i twarzą, i postawą, i ostatnimi słowami młodego chłopaka. Bał się, żeby mu nie uciekł, żeby Emilopola nie pominął.

Żywo więc zbliżył się pan hetman, uchylając nieco kapelusza przed stojącym przy koniu chłopcem.

— Muszę się panu zaprezentować sam — odezwał się. — Jestem dziedzicem tego kawałeczka kraju, stoisz pan na mojej ziemi. Słyszę, żeś zakłopotany, widzę z twarzy i postawy, że należysz do dystyngowanej rodziny, kładnę na waćpana areszt, nie puszczę go

dalej, prosząc najusilniej, ażebyś przyjął u mnie gościnę, wypoczynek, a jeśli w czym mogę być mu użytecznym... Jestem hetman...

Chłopak, jak wiśnia zarumieniony, uklonił się bardzo grzecznie i zbliżył do pana hetmana z uszanowaniem.

— Nie umiem wyrazić — rzekł — jak mnie państwa dobroć porusza, lecz byłoby nadużyciem...

— Mój kawalerze, kiedy ja was proszę i obliguję. Widzę, że znajdujesz się w jakimś wypadku.

— W istocie — podchwycił w ciągłych rumieńcach nieznajomy — wyznam panu hetmanowi, że uciekam, uciekam zmuszony...

Lica hetmana rozjaśniły się z radości.

— Nie pytam! Nie badam! — przerwał. — Nie chcę wiedzieć, co niemiłym by mu było wyznawać, ale usilnie pana proszę spocząć u mnie. — Kawalerze Georges! — dodał. — Prezentuję panu mego wychowanka. Jesteście prawie jednego wieku, on będzie dlań przewodnikiem i wyręczy gospodarza. Kawalerze Georges, weźże tak szczęśliwie schwytanego pana.

— Nazywam się Wawrek Dobek Borowiecki — odezwał się nieznajomy żywo.

— *Nom de guerre* — szeptał z uśmiechem hetman — *cela suffit*. Kawaler Georges weźmie pana z sobą i postara się o wygodne umieszczenie go.

— Pan hetman daruje — przerwał Dobek — ale służący mój z pakunkiem pozostał, nie mam się nawet w co przebrać, aby się przedstawić panu, jakby przystało.

— O, panowie jesteście jednego wzrostu prawie z Georges'em, garderoba jego na usługi, a ma świeżo z Paryża sprowadzone i nietknięte suknie.

Wawrek się kłaniał, hetman uśmiechał się, patrząc mu w oczy.

— Prawdziwie — zawołał — w naszym kraju po raz pierwszy w życiu spotykam się z tak zajmującą, zagadkową przygodą! Proszę, bardzo proszę dom mój uważać za własny.

Wawrek kłaniał się ciągle.

— Ja tu — dodał hetman — obejrzę moją fabrykę. Jeśli łaska, proszę z Georges'em zaraz do pałacu, ażebyś pan mógł odpocząć po podróży. Będę miał przyjemność przywitać go u wieczery.

I niezmiernie uradowany a przejęty pan hetman poszedł w towarzystwie swego Saint-Alona na zwykłe oględziny Castel Bianco, oglądając się jeszcze za Dobkiem, który skoczył lekko na siodło i razem ze swym towarzyszem udał się z wolna drogą ku pałacowi.

Chevalier Georges nie mógł się wydziwić wdzięcznym i łatwym ruchom pana Dobka, który siedział na koniu i kierował nim tak zręcznie, jakby to było jego rzemiosłem. Prawda, że siwy rumak łagodny był, dobry i zdawał się też pięknością swą dobrany do jeźdźca. Nie trzeba było nim kierować, zgadywał myśli, a choć zmęczony, szedł z dziwną fantazją, którą konie dobrej krwi dochowują do ostatniego tchu. Chevalier Georges zawiązał rozmowę z panem Dobkiem, nie mogąc sam zrozumieć, jak na nim, z natury dosyć dumnym i do stosunków niełatwym, tak korzystnie ktoś od razu mógł uczynić wrażenie. Oczy, uśmiech, głos tego nieznanego czarowały go.

— Nie czyń pan w Emilopolu niepotrzebnej ceremonii — rzekł po chwili rozmowy Georges. — Hetman lubi gości, młodzieżą się zajmuje po ojcowsku, dom zawsze pełny daleko mniej mu od pana miłych osób; przynosisz nam z sobą upragnioną rozrywkę, bośmy się nieco monotonią wiejską nudzili, jesteś więc *le bien-venu*, i możesz siedzieć tu, ile się mu podoba. Idzie tylko o to, by służący, wyzdrowiawszy, wiedział, gdzie go szukać.

Dobek się zmieszał.

— A na to — zawołał — już ja będę szukał rady!

Mówiąc tak, zajechali przed ganek i na znak dany przez Georges'a nadbiegła służba, aby konie od przybyłych odebrać. Zniesiono mały tłumoczek gościa do jego mieszkania, które było wyznaczone w pałacu, w antresolu bardzo przyjemnie urządzone.

Georges po kilku zapytaniach co do ubioru oświadczył, iż mu do wyboru przyszłe cały garnitur, aby mógł na pokoje wyjść, gdy wypocznie.

Hetman miał tego dnia grać sam na flecie i koncert rozpoczął się za półtorej godziny.

IV

Nim się nowy gość ukazał na pokojach, w całym już dworze wiedziano o nim. Hetman, niezmiernie uradowany tym, iż żywą awanturę jakąś na gościńcu pochwycił, osobę tajemniczą, młodzieńca tak pięknego jeszcze i dystygowanej powierzchowności, odgadywał już naprzód, co go w świat pchnąć mogło, tworzył sobie z tego dramat cały. Georges, zachwycony nim, opowiadał też o nieznanym Dobku, w którego nazwisko nie wierzono, jako o prawdziwie cudownej postaci, której wdzięk dawał się domyślać pochodzenia nader arystokratycznego i wychowania znakomitego. Dorozumiewano się w nim ukrytego kogoś z najpierwszych rodzin kraju.

Nic nie mogło dorównać gorączkowemu zajęciu tą zagadką samego hetmana; pragnął on przed nieznanym wystąpić co się zowie i przyjąć go z całą gościnnością, na jaką się mógł zdobyć.

Po przechadzce powróciwszy przywołał do siebie Pobożanina.

— *Cher ami!* Wiesz, co mi się trafiło? — zapytał.

— Słyszałem już.

— Wystaw sobie, na gościńcu, na drodze, koło Castel Bianco trafiliśmy na jakiegoś nadzwyczaj, ale to ci powiadam, nadzwyczaj dystygowanego młodzieńca, jak się zdaje, uciekającego lub goniącego za czymś. Ukrywa się pod przybranym imieniem Dobka, lecz dosyć spojrzeć nań, by się domyślić, że to jest młodzian *de qualite*. Przy tym miły i wdzięczny nad podziw. Oczarował nas kilku słowami. Proszę cię, żeby go przyjąć *comme il faut*.

— A proszę hetmana, kogo u nas się źle przyjmuje! — odparł Pobożanin. — Chyba mu tu ptasiego mleka zabraknie.

— Bo proszę cię, *cher ami!* Mnie to tak animuje i bawi!... Ta tajemnica! Ta ucieczka... ta twarz... coś tak w naszym kraju i pod nasze czasy niesłychanego. Prawdziwe szczęście... *Cher ami!* — dorzucił hetman. — Dajże mu jak najlepszą usługę, wygodę, czego tylko zapragnie... nakaż, żeby o jego ładnym koniku miano staranie.

— Ale to klacz, proszę pana hetmana — przerwał Pobożanin.

— To wszystko jedno! Polecam gościa twej opiece, proszę cię.

— Ja nawet byłem już u niego, ale się właśnie ubierał i taki ceremoniant, że mnie wpuścić nie chciał!.

— Skromny! To ładnie! *Tres delicat!* — rzekł pan hetman. — I proszę jeszcze, żeby dwór wystąpił tak, aby mi wstydu nie zrobili. *Et ces dames aussi...*

Te damy, o których nie mieliśmy jeszcze zręczności wspominać, należały też do dworu pana hetmana.

Żeńskie kółko składało się z dwóch Francuzek artystek, panny Maison, zwanej Babetą, i panny Voisin, imieniem Eliza, z żony dyrektora kapeli, Włoszki, słynnej z piękności i głosu signory Angioliny Cipriani, z pani Berger, młodej żony ogrodnika, Niemki, niegdyś nauczycielki, osoby pięknej także i wykształconej, na ostatek z pani St. L. Georges, Francuzki, osoby niemłodej a w pretensjach, która niegdyś pono zajmowała się wychowaniem kawalera tego imienia, a teraz miała odrębne i bardzo zaszczytne stanowisko na dworze hetmana, i córki jej, młodziuteńkiej jeszcze, mocno nieładnej, choć dowcipnej, złośliwej i

zabawnej, małej Ninon St.-Georges. O każdej z tych pań wiele by napisać można, gdyby wszystko zapisywać było warto.

Panna Maison miała lat około trzydziestu, talent dramatyczny znakomity, resztki wdzięków nieco wybujałych i obejście się bardzo śmiało. Panna Eliza, o wiele młodsza, przystojna tylko, bystra bardzo, intrygantka wielka, była mimo twarzyczki dosyć pospolitej wiecznym powodem waśni i śmiertelnych zająć pomiędzy dworakami hetmana. Bałamuciała wszystkich i obalamuciała, kogo chciała; mówiono, że ostatecznym jej celem było konieczne wyjście za mąż, a tego dotąd dopiąć nie mogła. Hetman się jej lękał, ale ją oszczędzał i bronił.

Dla pięknej Angiolini Cipriani, która miała znakomite *mezzosoprano* i śpiewała z wielką brawurą, z niesłychanym był uwielbieniem gospodarz. Małżonek nie okazywał najmniejszej zazdrości, gdyż w istocie admiracja ta stosowała się do głosu raczej niż do osoby, choć głosowi postać dodawała uroku. Angiolina była dość jeszcze młoda, wspaniała, miała przepyszne włosy, prześliczne oczy, ale zachowana dobrze piękność już uchodziła. Czarny puszek wysypywał się na wierzchniej wardze i figura przybierała kolosalne rozmiary. Lubiała się stroić szczególnie w klejnoty i na dni uroczyste cała była nimi okryta.

Pani Berger, surowszej powierzchowności, słuszna, płaska, sztywna, o szafirowych oczach, blondynka, nie była też bez wdzięku. Hetman znajdował ją bardzo czytana i rozumną. Niemniej jednak, pełen będąc szacunku dla niej, uważał, że ręce miała brzydkie, nogi płaskie, włosy niemilej barwy i wyraz twarzy przystry. Zapraszano ją na wieczory, gdyż była muzykalną i nieźle wcale śpiewała.

Pani St.Georges, jak to było dziś widać jeszcze, musiała być niegdyś bardzo piękną; rysy twarzy świadczyły o tym i zachowywały znakomite ślady wspaniałego profilu. Nos rzymski, czarne oczy, oprawne jak klejnoty bogato i wypukło, usta drobne ginęły w szerokich policzkach i podbródkach, a dotąd przepaść w nich całkowicie nie mogły. Rączkę miała zbyt teraz pulchną, ale małością zadziwiającą. Zdawało się, iż niegdyś należeć musiała do teatru, gdyż doskonale o nim sądziła. Róż, bielidło, kosmetyki utrzymywały jeszcze płci reszty, a ubranie wykwiłtne ludziło przypomnieniami lepszych czasów. Córeczka jej Nina czy Ninon, bo ją tak i tak nazywano, był to czysty diabełek, nieładny, zły, dowcipny, za wcześnie dojrzały, mający wszystkie wady, jakie w późniejszym dopiero wieku przychodzić zwykły, poczynając od zalotności. Ale z nią było zabawnie i hetman psuł ją, i pieścił.

W dni powszednie, gdy nie było gości urzędowych, wszystkie te panie, czasem i kilka innych, których nie wymieniamy, przychodziły na koncerty, bywały na wieczerzy. Pani St.-Georges naówczas grała rolę wicegospodyni i pierwsze między nimi zajmowała miejsce; pani Cipriani była jakby pierwszym gościem, a diabełek Ninon udawała dziecię domu. Bawiono

się czasem bardzo wesoło, jeśli jaka intryżka panny Elizy Voisin nie nadwreżyła harmonii. Pobożanin protegował szczególnie Babetę Maison, ale i jemu się trafiało ulec piekielnym figlom Elizy, gdy chciała go przeprowadzić na swą stronę. Wracił wszakże potem ze skruchą do milej i dobrej, ale płochej i roztargnionej Babetty.

Chociaż w powszednie dni koncerta grywano w małej salce okrągłej, nie zajmując na nie wielkiej koncertowej, z galeriami, na ten raz hetman wcześniej posłał dać wiedzieć, by kapela udała się do niej, a służba oświeciła ją stosownie. Sala ta, akustycznie zbudowana, z dwiema po końcach galeriami, służyła też do balów i tańców. W czasie koncertu ustawiano pulpity w półkole, w środku mały fortepianik dla dyrygującego kapelą Ciprianiego, a z boku, przy nim, piękny z różowego drzewa pulpit ozdobny, przeznaczony był dla hetmana. Tu na aksamitnym taborecie składano w pudle z safianu, wyłaczanym, drogocenny flet czarowny wielkiego wirtuoza. W prawo i lewo na krzesłach i ławach obitych aksamitem zasiadała publiczność.

Była ona zawsze dosyć liczna, gdyż czy kto muzykę lubił, czy nie, znał się na niej albo wcale nie rozumiał, wiedziano, że u hetmana zyskiwał *malam notam*, jeśli na koncerta nie chodził, gdy natomiast uczęszczający na nie i dający oznaki zadowolenia w łaski się wkradali. A miał to do siebie pełen łagodności i dobroci hetman, że gdy do kogo zawział niechęć, choć jej nie okazywał jawnie, zachowywał w głębi serca na wieki. Dawalo się to czuć później zawsze. Na koncertach więc pełno było i na oznakach zadowolenia nie zbywało.

Ażeby osoby przychodzące szmerem wnijścia nie przeszkadzały muzyce, zwyczaj był, iż wszyscy się schodzili wprzód, zajmowali swe miejsca, a gdy kapela wystroila się i wysztyftowała, dopiero ukazywał się pan hetman. Witano go powstaniem, on szedł, przemawiając po kilka słów do swych gości, zajmował miejsce osobne na fotelu odmiennym od innych, z frędzlami złotymi, jeśli nie grał albo zataczając rękawy, do pulpitu stawał. Tego też dnia, wedle oznaczonego programu, goście zaciekawieni jeszcze przybyciem owego nieznajomego, o którym tyle mówiono, zebrali się zawczasu w wielkim komplecie. Zjawił się nawet pan Borawski, l'abbe Mourion, stary ogrodnik, Francuzi, Włosi, Duńczyk, Holender, stając hierarchicznie: jedni trochę na przodzie, drudzy z tyłu, inni w ciemnych zakątkach pod galeriami.

Kawaler Georges, który miał sobie poruczoną szczególną opiekę nad młodym podróżnym, wprowadził go na salę w chwili, gdy wszyscy już byli zebrani, i szmer jakiegoś podziwienia, jakby oklask cichy, powitał pięknego młodzieńca. Trzeba też przyznać, że był zadziwiająco piękny, a piękność ta tak była szlachetna, pociągająca, oryginalna, iż kobiety szczególnie oderwać od niej oczu nie mogły. Suknie kawalera Georges'a przypadły doskonale do figury pana Dobka, a że były od najlepszego krawca i z wielkim wykonane smakiem, było mu w

nich na podziw ładnie. Ubranie z fiołkowego aksamitu, z guzikami srebrnymi, także sprzączki u trzewików, kamizelka srebrem przetykana, piękne koronkowe mankiety i żabot przystrajały młodzieńczą figurkę tę, której główka rysami delikatnymi i przepyszną naturalną fryzurą obfitych włosów nadawała się choćby do obrazka Greuze'a. W jej wyrazie energia razem i słodycz, czułość i siła charakteru połączone były w ten sposób, jak się to rzadko męskim trafia twarzom.

Wchodząc młody Wawrek był nieco pomieszany zrazu, zwłaszcza zobaczywszy wszystkie oczy ciekawych skierowane ku sobie, lecz wprędce odzyskał tak potrzebny mu spokój i panowanie nad sobą. Do przechadzających się po salonie wnet zaczęli się przyłączać ciekawi. Pobożanin, który był w istnej admiracji dla pięknego młodzieńca, l'abbe Mourion, Cipriani i Francuzi przypatrywali mu się wszyscy z rozbudzonym zajęciem, egzaminując go od stóp do głowy. W początkach Georges był w obawie, by rozmowa dłuższa, którą tu dla cudzoziemców samych już musiano prowadzić po francusku, nie była trudna dla przybyłego, lecz się okazało, że ten, acz nie z wielką wprawą, mówił dobrze po francusku, a po niemiecku wybornie. Z kilku słów poznał też w nim Cipriani nieobcego muzyce dyletanta, który snadź i sam fortepianu próbował. Wszystko to zwiększyło jeszcze współczucie dlań i przyjazne usposobienie. Piękna pani Angiolina przyszła mu się przypatrzeć z bliska, za nią pani St.-Georges, diabełek, Babetta i Eliza. W tym oblężeniu ze wszech stron gość nieco znowu się zmieszał; szczęściem, niedługo to trwało, gdyż w tej chwili syknął ktoś, cisza nastąpiła, wszyscy się ku swoim miejscom wymykać zaczęli.

Hetman wchodził. Tego dnia, jakby dla uczczenia gościa, był ubrany z największym staraniem i wyglądał tak, że byłby mógł na pokojach królewskich w Wersalu się pokazać. Ubranie jego, barwy ciemnokarmazynowej ze złotem, było przepyszne, peruka nie zostawiała nic do życzenia, mankiety z najpiękniejszych brabanckich koronek, pończochy do barwy sukni stosowne, najmniejsze szczegóły zachwyciły znawców i znawczynie. Gwiazda Orła Białego przyozdabiała sama jedna frak, chociaż hetman miał też francuski Order Św. Ducha i należał do zakonu i znaku św. Huberta.

Wszedłszy hetman z tym wdziękiem, który towarzyszył najmniejszym jego ruchom, z powagą razem i pewną uroczystością zbliżył się do młodego chłopaka, witając go raz jeszcze. Okiem znawcy popatrzał nań długo, z uwielbieniem artysty. Ukochany jego wychowaniec, chevalier Georges, wydał mu się przy tym przybyszu pospolitym i prawie brzydkim.

Ale też z pewnością i Dobek musiał z zachwyceniem przypatrywać się hetmanowi, który rozmawiając z nim dobył z kamizelki złotą emaliowaną tabakiereczkę z miniaturą jakąś na wierzchu, aby mu dała zręczność pochwalenia się ze śliczną białą ręką, która w koronkowej

swej spódniczce jak cacko wyglądała. Z jakim wdziękiem dobył szczyptę tabaczki hetman i poniósł ją do nosa, każdy palec ukazując oddzielnie wygięty z naturalnością i gracją wyszukaną razem, tego opisać niepodobna. Wielki ten mąż i w tym nawet był wielkim artystą.

— Młody przyjacielu — odezwał się głosem muzykalnym i rytmicznym — *soyez le bien venu!* Proszę o to tylko, byś się uważał jak w domu i dozwolił mi spełniać każde tve żądanie. Będę szczęśliwym, jeżeli w mym domu znajdziesz spoczynek i odetchnienie!

To mówiąc, nogę jedną cofnął w tył, jak tancerz, który ma podskoczyć naprzód, uśmiechnął się i całą postacią zwinął ku muzyce, okazując gibkość i zręczność swoją, w człowieku tego wieku, jadającym obiady pana Jolego, istotnie zdumiewającą.

W tejże chwili kapela zaczęła się ustawiać przy pulpitych dla wykonania uwertury Haydna i cisza roztoczyła się po sali. Hetman zajął krzesło z frędzlami złotymi, zasiadając w nim jakby do portretu dla malarza, każdy bowiem ruch jego i poza, gdy się przed ludźmi ukazywał, były wystudiowane; hetman czuł, że to było obowiązkiem jego stanu, krwi i dostojęstwa.

Wawrek i Georges z tyłu za nim zasiedli razem z l'abbe Mourionem, panem Borawskim, Pobożaninem i innymi dostojniejszymi.

Wykonanie wstępnej sztuki nic nie pozostawiło do życzenia, chociaż muzycy wyuczeni przez Ciprianiego byli po większej części poddanymi z dóbr obszernych hetmana, wyszukani między parobczakami, kuchtami, różną drużyną, w której się jakiegokolwiek okazało usposobienie. W czasie uwertury hetman bawił się żabotami i uśmiechał; niekiedy jedna z dwóch dostojnych nóg jego, spoczywająca na wierzchu, wydrygiwała takt i dyrygować się zdawała kapelą.

Zaraz po tym wstępie hetman z wolna podniósł się z krzesła i od niechcienia zaczął przybliżać się ku swemu pulpitowi. Cipriani otworzył szkatułkę, ale hetman sam wyjął z niej hebanowy flet, arcydzieło kunsztu, który naprzód otarł starannie batystową chusteczką.

Cipriani rozłożył nuty na pulpicie, muzyka stanęła przy swoich, *maestro di capella* ujął laseczką, hetman strząsnął koronkowe mankiety, by mu nie zawadzały, i stanął.

W tej pozie z fletem przy ustach Okazał się znowu niezrównanym artystą. Każdy inny byłby wymuszoną, przesadną gracją starał się wywołać wrażenie; jego poza była pełna swobody, a tak wdzięczna, tak pasterska, tak rzewna! Muzyka rozpoczęła się od pięknego *tutti*, po którym następowały *adagio appassionato*, temat. Tu flet rozpoczął śpiew pełen słodczy, melancholii, tęsknoty i bólu razem. Hetman grał istotnie mistrzowsko, z uczuciem, z wprawą, z życiem wielkim, a kapela wtórowała mu dzielnie. Lecz proste owo założenie

było tylko popisem uczucia; po nim popis zręczności nadzwyczajnej, szybkie trójki, spływające się w jeden sznur pereł równiuteńkich, trele słowicze, przeskoki nadzwyczajne... Wszystko to jak wieńce zielone, jak kwiatów wiązanki czepiało się na głównym temacie, ubierało go, a temat, jak narzeczona do ślubu strojna, coraz się śliczniej wydawał. Hetman, ogarnięty sam zapałem, zapomniał w końcu o pozie, o mankietach, o peruce, o nogach i jak prosty śmiertelnik, jak Marcjasz pasujący się z Apollinem, leciał po laury artysty. Każdy też chętnie by mu go był włożył na paryską perukę, gdyby się godziło w ten sposób wieńczyć tak dostojnego męża.

Oklask, który dał się słyszeć po odegraniu ostatniego *allegro vivace*, był szczery, a zachwycony Wawrek zapomniawszy się, bo pierwszy raz w życiu słyszał coś tak pięknego i przemawiającego do duszy, wyskoczył z krzesła, przybiegł do hetmana i w rękę go pocałował. Była to widocznie tak szczera dań uwielbienia (bo to się z twarzy Dobka czytać dało), że hetman oburącz go z nadzwyczajnym afektem do piersi przycisnął za to i w głowę pocałował. Wszystko to stało się *insperate*, w jednej chwili i zmieszało nieco program koncertu, gdyż podobne objawy admiracji nie były we zwyczaju. Obcemu ich wszakże za złe hetman wziąć nie mógł, a do łez się owszem rozczulił, powtarzając:

— Prawdziwie... bardzo szczęśliwy!

W tej chwili czuł się bardziej artystą niż hetmanem.

Naiwny ten objaw uwielbienia nadzwyczaj ujął dwór hetmana dla młodego chłopca, któremu nawet nie zazdrozczono, że sobie w ten sposób łaski pana domu pozyskał.

— *Mais il est charmant* — szeptały kobiety.

Lecz jak w najjednolitszym chórze zawsze się znaleźć musi jakieś ćwierć nutki dysonującej gdzieś *incognito*, tak i w tym *unisono* przyklaskującym młodemu Dobkowi był cichy głosik przeczący a kwaśny. Piękna niegdyś Babetta kiwała głową, przekreślała ustami i mówiła do pani St.-Georges po francusku:

— Nie znajduje pani, że ten chłopiec ma w sobie coś jakby niewieściego (*quelque chose d'effemine*)?

— Nie, ja tego nie znajduję — odpowiedziała pani Georges. — Wszyscy młodzi mają ten wdzięk kobiecy trochę, który się ściera później życiem... a bardzo ładny chłopak...

— Tak, ładny, lecz... lecz zbyt wie może o tym, że piękny jest. Zdaje się aż wstydić tego, tak o tym przekonany.

— Dziwaczysz, Babetto! — zawołała pani Georges i Francuzka zamilkła.

Pomiędzy mężczyznami Dobek znajdował równie wielu admiratorów jak wśród kobiet. L'abbe Mourion patrzył nań z ciekawością, która biednego młodzieńca aż niepokoiła.

Hetman po odegraniu wariacji musiał zająć swe krzesło, otrzeć pot z uznojonego czoła i na laurach odpocząć. Był zmęczony, lecz nigdy może nie grał od dawna z takim zapalem, werwą i ogniem, a Cipriani, który mu przyszedł wieszować, zaklinał się, iż najpierwszy flecista wieku, pewny florentczyk na — ani, nie dotrzymałby mu placu. Było to co najwyższego na flecie osiągnąć się daje. Mourion ułożył sobie nawet kuplety, które jutro miał hetmanowi podać przy czekoladzie z okazji tego występu.

Po hetmanie żaden solista nie mógł wystąpić już z niczym; pani Angiolina przyszła z uśmiechem przyznać się do tego, iż ze swym głosem po jego flecie popisować się nie może. Grała więc kapela różne kawałki dawnych i nowszych mistrzów i część wieczoru przeszła bardzo przyjemnie. Zaczepiano rozmową gościa, chcąc się dowiedzieć, skąd by był, i odgadnąć, co się kryło pod jego skromnym, przybranym nazwiskiem, lecz zręczny chłopiec potrafił odpowiadając na wszystko, nic nie powiedzieć.

Następowała wieczerza. Chociaż zwykle bywała ona bardzo starannie przygotowana, na ten raz nader domyślny Joli zrozumiał, iż należało wystąpić. Z salonów przeszła jakaś wieść do kuchni.

Sala jadalna oświetlona była jarzącym światłem, jak zwykle, w pysznych kandelabrach brązowych; stół zastawiony przez kredencera, który także zasługiwał na miano artysty. Hetman sam przyznawał mu wielki instynkt, nie mogąc tego nazwać inaczej, gdyż był rodowitym miejscowym chłopakiem i zwał się po prostu Perebendą.

Brązy, kryształ, kwiaty, światła ubierały wytwornie stół herbową okryty bielizną, umyślnie robioną w Saksonii. Wielkie tafle zwierciadlane w środku stołu kładzione, na których stawiano naczynia, odbijały je, zwiększając blask także. Gdzieniedzie grupy i figurki z saskiej porcelany bawiły oko przyjemnie. Z wyjątkiem wielu osób, które do pierwszego stołu prawa ani pretensji nie miały, wszyscy zasiedli do wieczerzy.

Hetman gościa po prawej ręce posadził z wielką przyjemnością, poczynając z nim rozmowę amalgamowaną francusko-polską, w której młodzieniec skromny brał udział.

W tak dobrym humorze jak dziś bywał gospodarz rzadko, dzień to był bowiem szczęśliwy ze wszech miar, gdyż ani Borawski interesami, ani kancelaria wojskowa podpisami, ani żaden szlachcic sejmikowymi sprawy go nie nudził, a na gościńcu znalazł on nieoszacowany skarb, ową zagadkę na siwym koniu.

Hetman także próbował coś dobyć ze swojego gościa, coś, co by na jakiś ślad, na wniosek naprowadzało; nie zyskawszy nic wreszcie, nie chciał być natrętnym, co w gospodarzu byłoby niedelikatnością wszystkim prawom dobrego tonu przeciwną. W blasku światła rześzystych, twarz Dobka jeszcze wyrazistsza zwracała oczy całego stołu, szeptało, poglądając

na niego dziwnie. Ze szczególną czułością przyglądał mu się chevalier Georges, który przy nim siedział, nie mogąc od pięknej jego rączki oka oderwać.

Ręka ta nawet uwagę hetmana zwróciła i w chwili gdy spostrzegłszy to Dobek ją usuwał, hetman ujął za rękę ciekawie.

— Co za cudowną masz waćpan rękę! — zawołał. — *On dirait une main de femme!*

Wyrazy te rumieniec krwawy wywołały na twarz Wawrka. Zmieszał się, ale epizod ten był mu nauką, ażeby się nazbyt z białymi dłońmi nie wymykał. Schował też je pod stół.

Wypytywał potem hetman, czyby na jakim nie grał instrumencie i czy muzykę lubi.

Dobek się przyznał, iż trochę na fortepianiku brzdąkał i śpiewać próbował, lecz że głos miał tak kobiecy, iż się go aż wstydził, postanowiwszy ze śpiewem czekać, póki mu inny nie urośnie.

Wywołało to uśmieszki.

— Ażebyś pan nie nudził się rankami, a nie żenował grywać słuchanym, Cipriani mu poszle niezły klawicymbalik, który stoi nie używany w jednym z pokojów.

Dobek się chciał wymawiać, nic nie pomogło. Georges obiecał sam tego dopilnować i nastroić.

Z innych też stron sypały się grzeczności, a kobiety nie były na nie skąpe, oprócz Babetty, której stanowczo chłopak się nie podobał. Pani St.-Georges nazywała go cherubinkiem i szczęśliwe to a trafne nazwanie hetman, przyklasnąwszy, pochwycił, oddając hołd dowcipowi jejmości.

Po wieczerzy, która była jedną z najsmaczniejszych, jakie hetman jadł w życiu, sam to wyznawał, wstano od stołu i rozmowa swobodniej się toczyła.

Do tej pory dosyć spokojna córeczka pani St.-Georges, diabełek Ninon, napasłszy ciekawie oczy kawalerem nowym, odważyła się przystąpić do niego i zaczepić obrzucając pytaniami. Obchodziła go dokoła, przyglądała mu się, łapała za ręce, patrzyła na dłonie i przyrosła do niego, mówiąc wcale głośno, że się w nim zakochała. Takiemu małemu dziewczęciu wszystko było wolno: śmiano się z niej.

— Tylko proszę, żeby mi nikt mojego kawalera nie bałamucił — rzekła figlarnie — bo ja się będę w nim kochała i będę okrutnie zazdrosną.

Obróciła się dokoła, grożąc paluszkami. Śmiał się hetman niezmiernie.

— Ale spytajże kawalera, czy on się w tobie kochać zechce — rzekł, ściskając dziecko.

— No, musi — odparła Ninon — ja będę go kokietowała, kokietowała jak Babetta, gdy Pobożanin się na nią pogniewa, będę mu w oczy zaglądała, uśmiechała się, wzdychała, aż w końcu go zbałamucę.

— A cóż ci z tego przyjdzie? — zapytał hetman.

— Choćby tylko tyle, żebym go innym odebrała! — rzuciło dowcipne dziewczę.

Śmiano się więc jeszcze mocniej, a Babetta ruszyła gniewnie ramionami. W ostatku hetman wstał, niby dla przejścia się po pokoju, bardzo zręcznie zawinął się ku drzwiom i zniknął. Było to oznaką, że i reszta gości mogła, wedle woli, zostać lub odejść do mieszkania. Georges chciał uprowadzić towarzysza, lecz po wyjściu hetmana kobiety ośmielone zaczęły się zbliżać ku Dobkowi.

Szczególniej Eliza potrzebowała mu zajrzeć w oczy, aby się przekonać, czy jakiej małej, epizodycznej intryżki nie potrafi zawiązać. Rzuciła słów kilka, kilka wejrzeń, a nie znajdując dość dobitnej odpowiedzi w oczach młodzieńca, zawyrokowała odchodząc, że to dzieciak jeszcze.

Pani Angiolina Cipriani zbliżyła się także, potrzebując pokazać się przybyłemu, który dotąd nie spojrział na nią; kilka słów powiedziała pani St.-Georges, nawet Babetta przesunęła się poglądając ku niemu i kawaler Georges ledwie go umęczonego zapytaniami potrafił uprowadzić nierychło.

Miał sobie za obowiązek, odwiódłszy go do ładnych pokoików w antresolu, posiedzieć tam jeszcze z pół godziny na poufnej pogadance i odchodząc przyrzekł służącego przysłać, za co mu Dobek podziękował bardzo, prosząc, aby tego nie czynił, gdyż nawykł był od dzieciństwa ubierać się i rozbierać sam i bez sługi obchodzić się lubi. Rozstając się Georges miał wielką ochotę pocałować w twarz miłego przyjaciela, lecz nie śmiał jakoś i odłożył to na jutro.

Po wyjściu jego gość natychmiast zaryglował drzwi jedne i drugie i padł na fotelik znużony, złamany, jakby go nagle reszta sił odbiegła. Głowa opadła mu na piersi, ręce zwisły na poręczach, oparł się o nie i pozostał tak nieruchomy długo, długo, póki zegar na kominie wybijający pierwszą godzinę w nocy z tego zadumania go nie przebudził.

Potrzebujemyż czytelnikowi tłumaczyć, iż owym Wawrkiem Dobkiem Borowieckim była biedna Laura, której się zdawało, że ją senne mary porwały w świat dziwów i czarów? Od chwili gdy na Muni wyjechała zrozpaczona, rozdrażniona w świat, opuszczając Borowce, minęło dni niewiele; lecz ileż wrażeń, strachu, niepewności, zwątpienia! Znając dobrze okolice i lasy borowieckie, nigdy pono dziewczę granic ich nie przekroczyło.

Zbierając się dopiero w tę podróż, na którą całej energii i odwagi potrzebowała, Laura przez kilka wieczorów rozpatrywała mapę, którą komornicy byli przed rokiem zrobili, oznaczając na niej błota, strumienie, hrudy, uroczyska i drogi. Na tej mapie nauczyła się,

którędy najbezpieczniej w świat wyrwać się mogła, omijając gościniec wielki, na którym obawiała się pogoni.

W główce jej ułożyło się wszystko jak najłatwiej, lecz jakże różnie, gdy przyszło do wykonania! Już w pierwszej chwili wykradając się z uspiętego zamku pod oknami pani Lassy, strach ją jakiś ogarnął; potem gdy wyprowadziwszy Munię, skoczyła, opiąwszy troki, na siodełko i znalazła się w czystym polu za miasteczkiem, choć noc była jasna, cicha, wonna, ogarnęła ją trwoga niewypowiedziana. Pierwszy raz w życiu była tak sama a sama na całym szerokim świecie, otoczona nieprzyjaciółmi tylko i niebezpieczeństwami. Byłaby może wróciła zawstydzona z tej wyprawy, gdyby nie przypomnienie macochy, tego, co doświadczyła i co ją od niej czekało. Munia sama niosła prawie nie kierowana drożyną ku lasom, parszając dziwnie, jakby była rada, że się na swobodę wyrwała.

Nad rankiem dopiero, przebywszy znaczną przestrzeń, jak się Laurze zdawało, zawsze w jednym kierunku, znalazła się prawie na kraju lasów, gdyż szczęśliwie zbłądziła nie oddalając się od Borowiec, u spotkanych dopiero ludzi spytała o drogę na uroczyska, których się z mapy nauczyła, a ci, nie poznawszy jej, wskazali, którądy jechać miała.

Cały dzień błądziły po lesie, Laura zmęczona, Munia głodna, póki nie dobiły się do karczemki, nie spoczęły tu trochę i nie ruszyły dalej na nocleg do wsi już za puszcza położonej. Mimo całej energii ducha Laura czuła się zmęczoną tak, iż zwątpiła, czy dalej jechać potrafi. Nadjechała pogoń z Borowiec, którą rozmawiającą w nocy pod karczmą i wywiadującą się usłyszała Laura, i to jej dodało męstwa a siły. Nazajutrz rano, noc spędziwszy w płaszczu na sianie przy koniu, puściła się w dalszą drogę.

Trzeciego dnia wysłała list przez żebraka do ojca. Pierwszy strach powoli przechodził, oswajała się z dziwnym położeniem swym i nabierała otuchy, iż dostać się potrafi do stolicy. Z pieniędzy, które wymogła na ojcu jako ostatnią jałmużnę, znacznieszą część zostawiła była ze szkatułką Eliaszowi, wzięła jednak ze sobą aż nadto, by jaki rok wyżyć mogła.

W główce jej, po rozmowach z panią Lassy, którą wybadać się starała, dziwne snuły się plany. Miała jako mężczyzna nająć sobie mieszkanie, uczyć się muzyki, czytać, pracować, żyć samotnie, wszelkich znajomości unikać i tak czekać, póki by jej los nie nastęrczał zręczności dowiedzenia się o Honorym, o Konopnicy. Wiedziała, że musiał już ożenić się z Zosią Bułhakówną; nie przeszkadzało jej to jednak kochać go całym sercem i myśleć o osiądzeniu gdzieś w sąsiedztwie tak, aby on o niej nie wiedział, a ona go widywać mogła.

Marzenia były dziecinne, niewykonalne, bajeczne, lecz Laura nic a nic świata nie знаła, wiedziała o nim z powieści, sądziła z posłuchów. Teraz dopiero z rzeczywistością całą inną, zupełnie różną mierzyć się miała. Czuła, że jako panienka sama ruszyć by się nie mogła, nie

dość byłaby swobodną, zdało się jej więc bardzo naturalnym przywdziać strój męski, a łatwym udawać mężczyznę. Dopiero w podróży, łapiąc się sama na nieustannych omyłkach w mowie i niezręcznościach w postępowaniu, postrzegła, iż suknia nie dała jej charakteru ani nawet zupełnej fizjonomii młodego chłopaka. Musiała pracować nad sobą, ażeby przyswoić oboje. Energia charakteru dozwoliła jej w kilka dni powolnej podróży znaczne uczynić postępy.

Jechała tak szczczędając konia, zabezpieczając się od jakiegó napaóci na drodze, przeciw której miała tylko parę pistoletów w olstrach i lekką prostą szabelkę, nie umiejąc jej użyć wcale. Opatrzność jakoó czuwała nad nią, iż jej nic złego nie spotkało. Dziwnym trafem w jednej gospodzie napędził ją był rotmistrz i niechybnie by poznał, gdyby on i jego ludzie nie byli tak napili, iż żadnej twarzy wyraźnie przed sobą nie widzieli. Laura potrafiła się, dosiadłszy Muni, wyrwać o zmroku z gospody, a że to było w miasteczku, pojechać do innej, przeczekać wyjazd pana Poręby i potem spokojnie sunąć się dalej.

A ileż myóli sunęło się z nią razem, jak chmury czarne krążąc nad jej głową! Pieszczone dziecicę, jedynaczka ojcowska, rzucona w wir obcego ówiata bez opieki, bez steru, bez wiedzy niebezpieczeństwa. Wykarmiona czytaniem Biblii, Laura jeszcze jakimó biblijnym ówiat widziała, czuła w nim prawicę bożą, Opatrzność, aniołów, opiekę nad czystym sercem, a w sercu ani winną, ani występłą się nie czuła, tylko nieszczęóliwą.

Temu nieszczęóciu sam Bóg winien był pociechę, osłodę, pomoc, bo nie miała nikogo oprócz Boga. To dodawało jej męstwa. Zdawało jej się, że bezpieczeństwa strzeże z niebios ręka wszechmocna. I jechała marząc, pieszcząc się ze swoją Munią, myśląc o stolicy, o Honorym, o tym, jak mężczyznę udawać będzie. Często po gospodach przeglądała się w zasmolonych zwierciadełkach, starając się osądzić, czy dosyć poważną i marsową twarz miała. Wyjeżdżając, na ofiarę losom obcięła znacznieószą część pięknych swych włosów, żal jej było ich czasem, to znowu z pewną dumą męską zaczesywała te bujne resztki, które jej główkę otaczały. I jadąc tak ósmielona nieco jednego wieczoru stanęła przed ową karczmą pod Emilopolem, gdzie szczęóliwy czy niefortunny traf zesłał pana hetmana z wychowańcem, aby ją wzięli w niewolę.

Ze wszystkich niebezpieczeństw, na jakie mogła być narażona, to pewnie było najmnieósze na pozór, a jednak Laura wolałaby była może inne. Tu tyle oczu patrzyło na nią z przenikliwą ciekawością, óledząc ruch najmnieószy, tu tak łatwo zdradzić się mogła.

Nie wiedziała sama, co miała czynić, uciekać co najrychlej lub czekać i w tej szkole przymusowej nauczyć się trochę grać komedię, która musiała być jej udziałem. W sukience kobiecej, gdyby się nawet przyznać do niej chciała, groziło jej więószsze niebezpieczeństwo

poszlakowania przez wysłańców macochy, których się najbardziej lękała. Postanowiła więc zostać, jak dotąd była, chłopcem, ucząc się i wprawiając do męskiego obyczaju. Laura przewidywała, że jej to z wielką przyjąć musi trudnością, ale na grzecznym dworze hetmana, przy jego wielkiej uprzejmości, życzliwości Georges'a, wśród ludzi przyzwoitych mogła się mniej obawiać nieznośnego natręctwa. Osób i oczu było trochę za wiele, ale ten sam zamęt od niej wzrok odciągał. Choć w pierwszej chwili narażona była na ciekawość trochę niepokojącą, ta naturalnie z dniami następnymi musiała się nieco przytępić, a Laura spodziewała się znaleźć tu wypoczynek potrzebny, czas do namysłu... któż wie? Może jaką wskazówkę dla przyszłości.

Z takimi myślami bijąc się biedne dziewczę pożałowało tylko, iż pocieszycielki swej, Biblii, której ogrom nie dozwalał zabrać, nie wzięła do podróznego tłumacza. Obiecała to sobie przy pierwszej zręczności nagrodzić, kupując zaraz tę księgę, do której od dzieciństwa była nawykła.

Zamknawszy drzwi na rygle, zasunawszy okna, obwarowawszy się, aby jej nikt podpatrzeć nie mógł, Laura poczęła się rozbierać, zawczasu postanawiając wstać rano i odziać się przed przyjściem Georges'a, który mógł zapukać wcześniej i domagać się drzwi otwarcia, nimby była nawet ubrana.

Na samą tę myśl zarumieniła się przerażona i drżąca, a za tą jedną przyszły inne tysiączne wypadki podobne, w których potrzeba było przytomności i zręczności nadzwyczajnej, żeby się nie wydać z tajemnicą. Laurze łzy się zakręciły w oczach. Nie lepiejże by może było nazajutrz przed jedną z tych pań wyznać, kim była, i prosić ją o radę i opiekę lub powiedzieć wszystko przed hetmanem, który by pewnie jej nie zdradził? Tak doradzał rozum i przestrach, całe inaczej fantazja, która pragnęła przygód, i miłość swobody, która nie znosiła surowszej konieczności postępowania. Myślała długo znowu... wyjaśnić wszystko czy zataić? Lecz położenie, choć tak straszne, tak razem było dziwne, ponętne, prawie zabawne. Laura rozśmiała się smutnie, ruszyła ramionami białymi, popatrzała w zwierciadło, nastawiwszy najsroźszego marsa, jakiego umiała, potem na zdradliwe ręce.

— Rękawiczek nosić nie będę w drodze! — zawołała. — Niech się opalają! Jak się opalą i szernieją, to kto je tam pozna, że nie męskie... zapracuję, zamulam! Włosy jeszcze krócej obetnę. Cóż więcej? Nauczę się tak chodzić śmiało jak oni, brać się w boki, głowę przekrzywiać, niby węża szukać palcami, choć go mieć nie będę. Co więcej? Śmiać się głośno, nie rumienić się co chwila. A te rumieńce niepocziwe najgorzej mnie zdradzają, a od nich tak odwyknąć trudno! Może też przyjdzie i to z czasem, że oczy spuszczać i kraśnić tak przestanę. A potem co? Strachu nie mam, strzelać się nauczę, choćby nawet trochę bić się na

szpady! Przecież w kłótnię się nie wdam żadną. Ot i będę doskonałym mężczyzną. A nic, tylko śmiało! — zawołała Laura usypiając i znajdując, że w łóżku bardzo było wygodnie.

Tyle dni spała na sianie!

V

Następny ranek rozpoczął się odwiedzinami Georges'a, który już zastał Dobka ubranym i zdziwił się, że tak rannym był ptakiem. Razem z nim poszli na śniadanie do mieszkania kawalera, który stał bardzo po pańsku na dole pałacu od ogrodu i miał cały apartament i służbę osobną. Nadzwyczaj uprzejmie, ale z natrętną i kłopotliwą ciekawością, przyjmował on gościa swego, usiłując widocznie coś się od niego o przeszłości dowiedzieć, którą ten właśnie pragnął jak najmocniej utaić. Nie nalegał wszakże spotkawszy się z wahaniem i oporem, jak gdyby ufał, że obudzi ufność większą i że to samo przyjść musi. W godzinach tych sam hetman mało się pokazywał, będąc zajęty kancelarią swą, muzyką i interesami. Natomiast do kawalera Georges'a płynęli goście, z których każdy nowy wprowadzał w niepokój pana Dobka, wystawionego na wejrzenia i pytania. Nadeszli tu jeden po drugim l'abbe Mourion, Pobożanin, Cipriani i jeden z aktorów francuskich, człek bardzo dowcipny i wesoły.

Rozmowa, choć nader przyzwoita, nacechowana była jednak pewną swobodą męską, nieustannie rumieńce wywołującą na twarz Dobka, który w końcu unikając i słuchania jej, i mieszania się do niej, a znalazłszy kilka dzieł o podróżach ze sztychami na stoliku, udawał niezmiernie ciekawego. Ranek ten nauczył go, że w towarzystwie zmieszanym, złożonym z mężczyzn i kobiet, daleko było znośniej; przeciwnie, z samymi mężczyznami wytrwać nierównie trudniej. Georges jednak, ilekroć widział miłego towarzysza zakłopotanym, przychodził mu w pomoc, a nawet zmieniać się starał tok rozmowy. W ogóle nie była ona nauczającą. Z płochością wielką prawił Francuz, a nawet Mourion, o różnych awanturkach i intrygach miłosnych już to na dworze hetmańskim, już w Warszawie głośnych. To, co by powinno było oburzać, wzbudzało tylko żarty i szyderstwa. Dobek zdawał się tonem przerażony, jakby na inny świat się dostał.

Szcęściem kawaler, który potrafił to poznać, rozmowę skierował na sztukę, muzykę, na przedmioty mniej drażliwe. Dobek w ogóle był milczący; dopiero gdy po przesunięciu się tych wszystkich gości zostali sami, nieco się ożywił.

Georges zapytał go, czy mu ta paplanina przykrości nie zrobiła, gdyż uważał po nim pewne zakłopotanie.

— Rzeczywiście — rzekł Wawrek — byłem wychowany w domu poważnym, surowym, z troskliwością wielką, aby mi się płochy wyraz nie obił nawet o uszy, możecie się miarkować, jak teraz razi mnie każda śmielsza mowa.

Kawaler, który w różnym wcale świecie i otoczeniu się wychował i dla którego nie miało już życie tajemnic, zdziwił się, ale poszanować umiał skrupuły przyjaciela. Poszli potem oglądać piękny park i wszystkie osobliwości pałacu, obfitującego w zbiory wszelkiego rodzaju, a na ostatek oddać uszanowanie hetmanowi, który powitał młodego swego gościa z wielką uprzejmością, z czułością prawie, dopytując, czy mu tu dobrze, czy na niczym nie zbywa. Wkrótce nastąpiła uroczysta godzina obiadu z całą obrzędowością swą, gdyż uczyły emilopolskie, jak niegdy rzymskie, miały swe formy, porządki i ceremoniał stały. Dobek musiał być bardzo ostrożnym, ażeby go nie upojono, a znudził się niezmiernie przedłużonym siedzeniem u stołu, nawykłym będąc i do innej kuchni, i do krótszego obiadu. Tego dnia zamiast koncertu hetman nazaczył teatr i grać miano parę wodewilów francuskich, w których gospodarz smakował wielce. Chciał się trochę też popisać przed przybyłym, dla którego było to nowością. Występowały na scenie: w roli matki pani St.-Georges, co jej nader rzadko się trafiało, obie Francuzki jako kochanki, a nawet dla małej Ninon rola się znalazła. Sztuczki wybrano zabawne, dowcipne, wesołe; a że teatr był na wpół amatorski, więc i kawaler Georges w liczbie artystów się pomieścił. Hetman kazał gościowi usiąść przy sobie. Korzystając ze zbliżenia, miał nadzieję coś z niego wybadać, gdyż wiedział przez wychowańca, że temu się nie zwierzył wcale. W międzyaktach bardzo zręcznie rozpoczęła się rozmowa, której cel łatwo odgadnąć było, i Dobek miał się na ostrożności.

— Kochany przyjacielu — odezwał się hetman — szanuję twe *incognito*, anibyśmy chciał ci się narzucać za powiernika, lecz zdaje mi się, że lżej by ci było może, a mnie łatwiej służyć ci, gdybym cokolwiek wiedział lepiej, jaki szczęśliwy dla mnie, a dla was dziwny pewnie, wypadek wyrzucił tu na emilopolskie brzegi?

— Niezmiernie trudno mi odpowiedzieć na to pytanie — odezwał się Dobek. — To tylko o moim życiu przeszłym powiedzieć mogę, iż byłem jedynym dziećciem u ojca, że z domu rodzicielskiego nieszczęśliwy skład okoliczności ująć mnie zmusił.

Osoba obca rodzinie naszej weszła do niej. Nie chciałem się poddać jej i wolałem narazić na dobrowolne wygnanie. Nie wymagaj pan ode mnie więcej, przykro by mi było odmówić, a nie mógłbym w wyznaniach pójść dalej. Hetman zamilkł, kładąc swą białą rączkę na ramieniu sąsiada.

— Ale ja nic nadto więcej wiedzieć nie chcę, co mi powiesz dobrowolnie, mój młody przyjacielu — odezwał się łagodnie. — Schroniłeś się tu pod dach gościnny, zostań pod nim,

proszę. Mam nawet w tym własny interes. Wychowaniec mój, Georges, którego kocham jak syna, nie ma właściwego wiekowi swojemu i wychowaniu towarzysza, proszę cię, bądź mu dobrym druhem i zaszczyć go przyjaźnią swoją. Na ostatek — dodał hetman — jeszcze jedno delikatne pytanie. Uchodząc z domu mogłeś być zmuszony opuścić go nie opatrzysz się w potrzebne do podróży środki, może ci służyć mogę?

— O dziękuję najserdeczniej panu hetmanowi — uśmiechnął się Dobek. — Jestem zaopatrzony obficie, aż nadto na niewielkie potrzeby moje.

Rozmawiali tak w przerwach dość długo, a choć Dobka teatr, rzecz dla niego zupełnie nowa, bawił bardzo, nie rozumiał tak dobrze wszystkich gry odcieni, jakich hetman, wielki smakosz i znawca w tym przedmiocie, wyszukiwał i wskazywał, opowiadając o słynnych artystach dramatycznych, których widywał w Paryżu.

W jednej z tych dwóch sztuk, naśladowanej pono z włoskiego, występowała panna Eliza przebrana po męsku i chwilowo zmuszona odgrywać rolę mężczyzny. Jakkolwiek z talentem się wywiązała ze swej roli, krytykowano ją, roztrząsano i hetman z tego powodu rzucił kilka uwag bardzo słusznych. Dobek może ich dobrze nie dosłyszał, tak był jakoś poruszony dziwnym zbliżeniem przypadków i przedmiotu komedii do własnego jego położenia. Zdało mu się, iż wszyscy już wiedzą, kto on jest, i że komedię wybrano umyślnie, aby mu to dać do zrozumienia. Z ogniem oblaną twarzą siedział jak na mękach, gdy hetman, wciąż na złość chyba, o *roles travestis* rozprawiał.

Na myśl mu już przychodziło, gdyby tylko poznany był, natychmiast potajemnie Emilopol opuścić. Nie odpowiadał ani słowa. Naglenie do zwierzeń, potem odegranie komedii, w której delikatnie dano mu do zrozumienia, iż się domyślają, kim jest, wzburzyło go i zaniepokoiło. Każdy, kto nań spojrzał, zdał mu się szydzić i uśmiechać się z odkrytej tajemnicy. W dodatku, zszedłszy ze sceny, panna Babetta przysiadła się z tyłu za krzesłem Dobka i nieustannie od stóp do głowy przypatrując mu się z jakimś dziwnym uśmieszkiem, niepokoiła go nade wszystko.

— Wiesz pan co — odezwała się do niego cichutko — gdybym nie wiedziała, że to w tym kraju na żaden sposób trafić się nie może, gdybym nie była przekonana, że na tej ziemi podobne przygody są nie praktykowane, wzięłabym cię, mój panie, za panienkę. Masz głos, włos, rękę i nóżkę kobiecą.

Dobek błagające na nią zwrócił wejrzenie, tak wyraziste, tak wymowne, że Francuzce głos zamarł na ustach, zmieszana się, zamilkła.

Odgadnięty, nie wiedząc, co począć, spojrzał na nią raz jeszcze, szukając w twarzy charakteru, usiłując odgadnąć, jakie następstwa mieć może przymusowe zwierzenie się.

Babetta miała wyraz pełny współczucia i życzliwości, ale ciekawość ją paliła. Dotknęła ramienia Dobka i odezwała się głośno po francusku, tak aby hetman ją słyszał:

— Piękny kawalerze, zdaje mi się, żeś przyznał przed chwilą, iż teatru nigdy nie widywałeś, dopełnij ze twej edukacji dzisiaj i zobacz ze mną, ja ci służę za przewodniczkę; co najciekawszego jest w teatrze: kulisy!

Hetman potakiwał głową, Dobek więc rad nierad wstał i dał się Babetcie uprowadzić za scenę. W istocie na tej miniaturowej scenie, choć jej machineria nawet była małym arcydziełem, nie było tak dalece nic do widzenia; Babetta tylko ciągnęła go, aby co prędzej potwierdzenie swego domysłu uzyskać.

Zaledwie weszli za kulisy, gdy się zwróciła ku zaczerwienionemu i pomieszanemu towarzyszowi swojemu.

— Przyznaj mi się — zawołała — jesteś kobietą. Mnie oko nie myli, jam tego pewna! Mów.

— A gdyby tak było w istocie? — odezwała się Laura po cichu. — Godziż się to, żeby kobieta zdradziła kobietę? Sam ten strój i położenie moje dowodzi, że jestem nieszczęśliwą, czyż może być, abys się znęcać i prześladować mnie chciała?

— Ja? Ja? — załamując ręce i boleśnie się uśmiechając przerwała Francuzka. — Jakże możecie pomyśleć nawet coś podobnego? Nie przez ciekawość pewnie chcę wiedzieć tajemnicę waszą, lecz żeby wam dopomóc do osłonięcia się lepszemu, bo czuję, że odkryta zostaniesz, zdradzając się co chwila! Jesteś młodziuchną! Ręczę, że jakaś nieszczęśliwa miłość gra w tym swą rolę, więc chcę ci być sprzymierzeńcem, pomocą. Laura podała jej rękę.

— Czy mnie kto odgadł więcej? — zapytała niespokojnie.

— Nikt! Nikt! Bądź dobrej myśli — rzekła Babetta — a teraz, aby nie obudzać podejrzeń, umizgnij się trochę do mnie i chodź patrzeć za kulisy. Reszta potem.

Po kilku tych słowach weszli do przybytku sztuki najtajniejszego, gdzie się rodzą rumieńce, tworzą młodości, malują zmarszczki, nalepiają łysiny, gdzie matrony zmieniają się w dziewice, a dzieciaki na starców.

Babetta, bardzo zręcznie kokietując niby gościa, zaczęła mu pokazywać i tłumaczyć wszystko, teorię kulisy, grzmotów, błyskawic, ciemności i światła. Inne artystki oblegały ciekawie Dobka.

— Wiesz pan co! — zawołała pani St.-Georges. — Waćpan na jakim jezuickim teatrze, przebrawszy się trochę, łatwo byś jeszcze mógł grać rolę świątobliwej dziewicy.

— Jam mu już mówiła to samo! — śmiejąc się dorzuciła Babetta. — Ale zdaje mi się, że już wąsiki puszczaają.

Ponieważ ostatni akt miał się wkrótce rozpocząć, Dobek chciał między widzów powrócić. Babetta pod pozorem pokazania mu drogi przeprowadziła go nieco dalej i szepnęła na ucho:

— Powiedz Georges'owi, że cię głowa boli, gdy cię odprowadzi do mieszkania. Ja tam do ciebie przyjdę, przesunę się tak, że mnie nikt nie zobaczy.

Laura ścisnęła ją za rękę, rozstały się; z bijącym sercem i zawstydzona, nie wiedząc, czy postąpiła źle, czy dobrze i jakie to mieć może następstwa, wróciła do swego krzesła.

Tu na nią czekał niecierpliwym Georges, który zaczynał swą bardzo czułą przyjaźnią trochę ją zastraszać, ale jakże go chłodno odtrącić było można? Nadbiegła Ninon, spełniając, co wczoraj przyrzekła, i najzabawniej swą brzydką twarzyczką usiłując zachwycić pięknego kawalera.

— Ty będziesz musiał z biedy we mnie się zakochać — rzekł diabełek — bo nie znajdziesz sobie pary. Mama jest trochę stara i o niej nie ma mowy; w Babetcie kocha się Pobożanin, to całemu dworowi wiadomo, Eliza ma trzech adoratorów, to aż nadto dla niej jednej; pani Cipriani oprócz męża ma Sigisbea także... pani Berger Niemka, więc cóż ci po niej? A zatem, dla ciebie pozostałam tylko ja jedna, musisz więc kochać się we mnie, choć może jestem trochę brzydka... ale zobaczysz, ja wyładnieję!

Plotła tak i trochę Dobka rozśmieszyła. Hetman ciągle jakby umyślnie rozprawiał o rolach przebranych, teatr się nareszcie skończył, podano wieczerzę. Babetta tak się zręcznie wykręcała, że usiadła naprzeciw Dobka i mrugała nań czarnymi oczyma.

Pobożanin był zły.

— Patrzcież no! — zawołał do Borawskiego, który siedział przy nim. — Ta Francuzica, już ją skorciał młokos! Co z oczyma wyrabia! A, ja jej tego nie daruję!

Hetman i tego dnia był w bardzo dobrym humorze, a jak wczoraj popisował się zwycięsko z muzyką i fletem, dziś czarował wymową i dowcipem. Szczególniej sztuka dramatyczna, teatr, Moliere, Corneille, Racine dostarczali mu przedmiotu obfitego. Kilka razy zagadnął Dobka o to, a ten przyznał mu się, że Moliere'a, Corneille'a, Racine'a nie czytał nawet i pod tym względem był w grubej niewiadomości.

— A mój Boże! — przerwał gospodarz. — Niechże wam Georges da klucz od biblioteki. Mam najcenniejsze dzieła wszystkie, cały kurs sobie tu możecie stworzyć z nich! Oprócz tego bez książek obejść się nie możecie.

Dobek się skłonił zarumieniony. Dotąd czytał niewiele i tylko poważne księgi; jakiś nowy świat otwierał się przed nim. Na wzmiankę o bibliotece serce mu uderzyło do Biblii starej, którą rozłożoną na księdze Hioba w Borowcach porzucił.

Mimowolnie przypomniawszy ten cichy, spokojny kątek, na dziadowskich grobach ogródek zielony, ławy lasów ciemnych, szeroką rzekę, ciszę, życie owo tak proste a tak pełne, żał się jej zrobiło przeszłości. Tu wpadła w wir, zamęt, wśród zupełnie innych ludzi, pojęć, zabaw, gdzie wszystko ją jeszcze przerażało.

Trwoga ogarniała chwilami taka, że rada by była na powrót gdzieś uciec do leśniczaj chaty na puszczy, to znowu niezmierna ciekawość wszystkiego tego, co dla drugich istniało, a czego ona nie знаła.

W tych myślach przesiedziała wieczrę, jako tako odpowiadając na rzucane pytania. Georges'owi zwierzyła się z bólem głowy, wymknęła się z nim i dawszy mu odprowadzić do mieszkania, zamknęła się w nim, oczekując Babetty.

Miała czas się namyślić dotąd, gdyż ta nierychło przyjść mogła. Dopiero około północy postyszała szelest przy drzwiach i Francuzka, oglądając się bacznie, wśliznęła się do jej mieszkania.

— Odgadłam cię — rzekła — lecz niech cię to nie trwoży; jestem aktorką i najmniejszy ruch fałszywy mnie uderza, inni tego dostrzec nie mogą. Nie życzę ci jednak siedzieć tu długo, zbyt wiele oczu cię ściga, sam hetman jest daleko *plus fin*, niż się zdaje. Nie dziwiłabym się, gdyby cię odgadnął. Lecz powiedz mi, cóż mogło zmusić twojego wieku, wychowania i stanu kobietę do rzucenia się na tak niebezpieczną drogę? Co myślisz na przyszłość?

— Słuchaj mnie, pani moja — rzekła Laura powolnie — ufam ci, że mnie nie zdradzisz. Byłam u ojca jedynaczką, byłam ukochanym dziecięciem, miałam całe serce jego. Ojca mego uwiodła kobieta zła, chciwa na jego majątność. Wdarła się nam do domu, wnosząc niepokój, intrygi, namiętność, została moją macochą, chciała mnie upokorzyć i zgnieść. Wolałam wszystko nad to, wyrwałam się jak szalona, sama nie wiem, gdzie lecę i co zrobię.

Babetta patrzyła na nią z uwagą, a jako Francuzka i artystka, nie mogła tego pojąć, ażeby miłość nie wchodziła w historię pięknej heroiny.

— Kochałaś? Chciano cię wydać za innego? Nieprawdaż? — dodała z uśmiechem.

Laura zarumieniła się.

— Nie — rzekła — o żadnej miłości i wydawaniu za mąż mowy nie było, chociaż w przyszłości czekało mnie pewnie nienawistne jakieś małżeństwo, a ja, ja za mąż iść nie mogę.

— Dlaczego? — zapytała ciekawie Babetta.

— Bo, bo... — spuściwszy oczy dodała Laura — bom sobie dała słowo, że będę wierną temu, którego wybrało serce.

— A! A! Więc jest już serca wybrany! — śmiejąc się rzekła Babetta. — A widzisz...

— Tak... a ten wybrany jest moim krewnym i teraz pewnie już żonatym. Nie mogę być jego, nie będę niczyją.

Zerwała się z krzesła Francuzka i poczęła ją ścisnąć.

— O złota ty moja młodości! — zawołała ze łzami w oczach. — A! A! Powtórz, niech ja raz jeszcze posłyszę te słowa z taką siłą i prawdą wyrzeczone, które my co dzień profanujemy na teatrze! Jakże to słodko usłyszeć je, niby echo młodości tych chwil czystych a drogich, w których też same wyrazy naszemu sercu się śniły... Dziecię, dziecię moje, na cóż bym ja cię rozczarować miała? Na co ci mówić, że cię pochwyci w swe szpony szatan życia, pokusa szczęścia i że złamiesz twe przysięgi, i że po złamanych płakać będziesz, jak my wszyscy płaczemy?

Laura stała zarumieniona i trwożna. Babetta chodziła po pokoju.

— A! Niebacznie — rzekła — rzuciłaś się tak na to morze, dziecię moje. Któż wie, czy nie znośniejszą była macocha nad tę wolność bez miary wpośród fal, które cię na jakieś skały i pustkowie wyrzucić mogą.

— Przestraszasz mnie, pani moja — rzekła Laura.

— Bo się z duszy lituję nad tobą; przypominasz mi mnie samą — mówiła Babetta — mnie wyrrywającą się z domu w świat ze złotymi rojeniami a kończącą... na takim nędznym wygnaniu.

— Jest jednak wielka między nami różnica — odezwała się Laura — ja nie marzę, nie spodziewam się nic prócz cierpienia...

— Ale cóż myślisz? Jak i gdzie się obrócisz? — pytała Francuzka. — Tu, jeśli chcesz pozostać, dobrze ci będzie, lecz nie jesteś bezpieczną. Przyjaźń tego zepsutego, młodego trzpiota Georges'a, który domyśliwszy się twej tajemnicy może chcieć z niej korzystać, postawi cię w położeniu przykrym. Dwór to, jak go widzisz, na pozór niby się raikiem ziemskim wydaje, ale pod wieńcami z kwiatów pełzają węże i kryją się gady, i krwawią blizny. Hetman jest dobry i słodki, dopóki nie znienawidzi i nie zapragnie zemsty, naówczas z hipokryzją niepoścignioną, uśmiechając się, mści najokrutniej. Ten dwór, co go otacza tak zgodny i przyjazny, to gladiatorowie, z których każdy rad by drugiego obalić i zamordować. Ale to wszystko odbywa się z taką dystynkcją, tak przybrane i w dobrym tonie, te trucizny podają się w takich nektarach i ambrozji, iż trzeba zabołeć, aby w nie uwierzyć.

Tu wyroki śmierci układają się w madrygałach, a sztylety robią z cukierków. Tak, dziecię moje — dodała — ja tu żyję, ja tu dla głodu, dlatego, że nie mam przyszłości, muszę żyć i patrzeć i walać się a milczeć. Ale ciebie nic nie zmusza poddawać się katowni powolnej...

— Droga pani moja — po długiej chwili namysłu nieśmiało przemówiła Laura — nie bardzo cię mogła zrozumieć, alem zabolęła nad tobą! Ty tu cierpisz, może to cierpienie pokazuje ci wszystko zbyt czarnym.

— Może. — rzekła Babetta. — W sumieniu jednak czuję, że cię przestrzec powinna. Ta upajająca atmosfera nie będzie dla ciebie zdrową, tyś tu pozostać nie powinna. Mnie, mnie to już wszystko jedno! Ty jeszcze masz skarby niewinności, które ocalić powinnaś, ja... jużem straciła, com miała... zostało mi jedno serce tylko, które czasem drgnie na cudzą niedolę.

Francuzce łzy stanęły w oczach. Laura uścisnęła ją z uczuciem.

— Cóż mam począć?! — zawołała.

— Uciekać.

— Dokąd? Mogę wpaść daleko gorzej jeszcze. Tu chcę zyskać czas do rozmyśłu. Ojciec, macocha poszły gonić za mną, on ma prawo upomnieć się o mnie, a ja tam wrócić nie chcę i nie mogę. Cóż zrobię? Gdzie się podzieję?

Była chwila milczenia, Babetta spuściła głowę.

— Radzić ci nie umiem nic nadto; dalej poza ten próg, gdzie stąpisz, czekają cię też niebezpieczeństwa, lecz tamte innego są rodzaju. Dziś jedno ci powiem tylko: Bądź ostrożną, nie baw tu długo. Ja będę za ciebie myślała także.

Jeszcze tak z pół godziny poszeptawszy cicho, aby ich kto nie podsłuchał, rozeszły się, a Babetta, której wszystkie zakątki pałacu były snadź doskonale znane, po ciemku wysliznęła się nazad do swego mieszkania.

Znowu strwożyła się Laura. Trzeba więc było uchodzić. Dokąd? Żaden stalszy jakiś pomysł nie mógł otrzymać nad innymi pierwszeństwa, każdy z nich jakimś groził niebezpieczeństwem. Francuzka ta tak bardzo bolała nad swym stanem i położeniem, że zgodziłaby się była może zrzec się go a towarzyszyć Laurze?

Myśl ta powzięta nagle, zajęła ją przez chwilę. Lecz naówczas zrzucić by już należało męskie suknie. Świat, w którym się ona obracała, do którego nawykła, prowadził do stosunków z aktorami i teatrem. Lecz dlaczegóż by Laura, która nigdy za męża iść nie chciała, nie mogła zostać sławną artystką?

Nic w tym nie widziała zdrożnego, bo całe życie nieszczęsne artystów było jej nie znane, nie domyślała się jego upokorzeń, czarowały ją tylko uroki. Maleńka próbka sceny dzisiejsza

uczyniła na niej wrażenie, intuicyjnie domyśliła się, przeczuła zadanie sztuki i jej posłannictwo.

— Dlaczegoż bym nie miała zostać artystką, aktorką? — powtarzała ciągle. — Wszakże słyszałam zawsze, że teatr jest moralności szkołą, szlachetnych uczuć objawem, urzeczywistnieniem ideałów, które inaczej na ziemi nigdy by się objawić nie mogły?

Z główką pełną tych rojeń Laura położyła się spać i śniła, że w sukni królowej grała rolę idealnej niewiasty, jakiej nie było na świecie. Po scenie przepływały anioły, muzyka grała melodie w niebiesiech podsłuchane. Teatr przedstawiał okolicę jakąś cudną, którą sen umalował niezrównanymi barwami. Już dzień był dobry, gdy się przebudziła, aby ubrać pośpiesznie, i ledwie dokończyła toalety, gdy Georges zapukał do drzwi, pytając o wczorajszy ból głowy. Na wszelki wypadek Laura zatrzymała go na ten dzień i powiedziała, że się jeszcze nie czuje bardzo dobrze, prosząc go o książki z biblioteki teatralnej, z którymi dzień chciała spokojnie przepędzić.

Georges się trochę temu opierał, nie książkom, które natychmiast przysłać przyrzekał, ale zamknięciu się w pokoju, które ból głowy tylko jeszcze zwiększyć mogło. Zgodzili się na to, że Dobek miał przyjść dopiero na obiad. Tymczasem kawaler usłużny natychmiast cały koszt kazał znieść do antresolu, aby przyjaciel miał sobie w czym wybierać. Laura została sama, zakłopotana wyborem tylko.

Wypadek dał jej Corneille'a w ręce. Siadła, zaczęła czytać i pochwycona harmonią wiersza, powagą myśli, urokiem tej królewskiej poezji, zapomniała się do obiadu, tak że wchodzący Georges zdziwił ją zwiastując godzinę, której się nie domyślała.

— Będę aktorką! — rzekła, rzucając książkę, sama do siebie.

Z zarumienionym licem mniemany Dobek zszedł do sali jadalnej. Oprócz hetmana byli już prawie wszyscy. Witano go dość uprzejmie, jeden Pobożanin bardzo zimno, kwaśno i z daleka. Hetman, wszedłszy, naprzód się zwrócił ku niemu z uśmiechem, rozpytując troskliwie o zdrowie. Rozmowa znowu wszczęła się o teatrze, jakby umyślnie dla Laury, która z niej dla siebie pożyteczne skazówki czerpać mogła.

Oprócz zwykłych domowych gości siedział u stołu szlachcic, niejaki Zarwański z Wilczodołów, sąsiad Emilopola, który w tym towarzystwie stanowił rażący dysonans. Był to człowiek starej daty i obyczaju, który chociaż skłaniał głowę przed powagą dostojeństwa pana hetmana, francuskiego tego domu widocznie ani znieść, ani zrozumieć nie mógł. Wydawał się też wśród niego dziwnie.

Hetman z wielką dlań był konsyderacją, gdyż Zarwański trząsł szlachtą, na sejmikach rej wodził i potrzebowano go często. Szlachcic też, snadź wiedząc o tym, był z respektem, ale nie

bez przekąsu czasem na nowy obyczaj, cudzoziemczyznę i wszystkie nowinki, które z zagranicy płynęły. Z oczu jego patrzyło, że sobie z tej polityry drwił w duchu. Panu Dobkowi, który naprzeciw niego siedział, byłby zupełnie obojętnym, gdyby nie szczególna okoliczność, która na straszną próbę wystawiła nieszczęśliwego wędrowca.

Wśród obiadu mówiono o rozmaitych plotkach, jakie po kraju chodziły, dotyczących się różnych osób i wypadków. Szlachcic miał wiele do opowiadania, wiedział bowiem, co się gdzie naokoło działo, przez swych panów braci klientów.

— Do czegośmy to dożyli, panie hetmanie dobrodzieju — rzekł w końcu — najlepszy dowód historia pewnego domu, którego imienia, pozwólcie, że nie wymienię. *Nomma sunt odiosa*. W głębokim Polesiu żyje w najzapadlejszym kącie rodzina osobliwsza. Niech ich tam Bóg sędzi, jedni mówią, że skryci arianie, drudzy, że utajone lutry, inni, że katolicy, lecz o ich konfesję mniejsza, bo to *ad rem* nie należy. *Tandem*, został z rodziny już podżyły ojciec z jedynaczką córką, którą, słyszę, pieścił niezmiernie. Szczęśliwie się żyje, szlachcic pieniądze zbiera okrutne, mówią, że krocie miał, i to wszystko w złocie. Mimo że to kąć zapadły, gorzej jeszcze niż moje Wilczodoły, przecie znalazła się, z pozwoleniem, baba, którą tam pewnie diabeł posłał.

Wdówka młoda, przystojna, przewąchawszy owe dusie u szlachcica, nuż mu się zalecać. I tak się dobrze wzięła do jegomości, iż mimo miłości dla córki, mimo siwizny, mimo lat, ożenił się. Weszła tedy w dom macocha z ręką żelazną, nuż się nad ulubionym dzieckiem znęcać!

— Przykro słuchać! — przerwał hetman. — Wiadomo, co to macocha!

Dobek, spuściwszy oczy na talerz, już ich całe podnieść nie śmiał, siedział jak zdrtwiał, czuł, że jego to dzieje pan Zarwański opowiadał.

— Na czymże się skończyło? — spytał gospodarz.

— Na tym, że dziewczę prześladowane, bo to tam nie wyliczyć, jakie psoty macocha płatała, porwało konia ze stajni i uciekło z rodzicielskiego domu. Mówią, że gdzieś do klasztoru wstąpiła. Może to być — dodał Zarwański — ale gdzie by to dawniej dziewczyna się na to odważyła!

Gdy tych wyrazów domawiał, hetman podniósł głowę z wolna, wlepił oczy w Dobka, zatrzymał je na nim długo i z pewnym naciskiem, nie postrzeżone prawie drgnienie po twarzy jego przebiegło.

— Słyszysz, mój młody przyjacielu — odezwał się do niego — co za dziwna historia?

— Prawda, że dziwna bardzo — rzekł, starając się nie okazać pomieszania, gość, chociaż się mocno zarumienił (co, szczęściem nie było widoczne, bo siedział od światła) — lecz tyle to rzeczy po świecie opowiadają.

— A ja acindziejowi ręczę, iż to najprawdziwsza prawda, imion cytować nie chcę — dodał Zarwański.

— I do jakiegoż wstąpiła klasztoru? — zapytał z trochę ironii hetman.

— A do karmelitanek. Czemu jej przyjąć nie miały? Swego czasu może mieć z milion posagu, a czy suknie oblecze, czy nie, zawsze za schronienie się klasztorowi wywdzięczy. *Nota bene*, jeśli macocha nie przeszasta onych skarbów.

Usłyszawszy o milionie, hetman zamyślił się, znowu na Dobka popatrzał i rzekł:

— Ten milion trochę musiał urosnąć w drodze.

— O pewnie! — śpiesznie potwierdził młody gość. — Przepraszani — sprzeciwił się Zarwański — znam doskonale Izraelitę, który lat kilkanaście, jeśli nie więcej, prowadził temu jegomości wszystkie handle. Otóż ten mi zaręczał, że nie licząc dóbr, gotowego grosza szlachcic przez jego ręce dostał nie jeden, ale parę milionów złotych, a grosza na życie nie wydawał, chyba co dla córki tej, bo dla niej nie żałował nic, choćby ptasiego mleka zażądała.

— I tak ją w końcu skrzywdził? — rzekł hetman.

— A do czego to, panie hetmanie dobrodzieju, baby nie doprowadzą! — wtrącił Zarwański. — Gdy to lichy opęta, nie odzegnać się od niego! Zaczęto się śmiać ze starego gdery.

— Śmieście się, śmieście — rzekł. — U nas dawniej bywało inaczej, całowano jejmość dobrodziejkę w rączkę, ale trzymano w ryzie i nie dawano się brać za czuprynę. Teraz całują po nóżkach, piją z trzewiczków, kołki sobie na łbie ciosać dają i wszystka nasza siła, naciśnięta pantoflem, przepadła.

Staroświeckie te teorie szlachcica jeszcze serdeczniejszy śmiech wzbudziły i tak jakoś wśród niego od stołu wstali, a Dobek potrafił się żwawo ukryć w tłumie ze swym rumieńcem i pomieszaniem.

Zbliżył się nieznacznie do Babetty i szepnął jej zręcznie, by nikt nie podsłuchał:

— Potrzebuję się widzieć dziś z wami, koniecznie.

Ta dała mu znać skinieniem tylko, że się o to postara, i odeszła; a też przypadła mała Ninon męczyć go swymi nieszczęśliwymi zaloty, z których wszyscy się do rozpuku śmieli. Naśladowała bowiem doskonale, mimo młodocianego wieku, wszystkie ruchy, pochody, oczu strzelania, minki, gibkie postaci nagięcia, dla popisu z wdziękami, jakie starsze artystki wykonywać były zwykły, gdy na kogo polowały. Dobitnością tylko i maleńką przesadą Ninon

czyniła je śmiesznymi, a hetman niezmiernie się cieszył z tej pojętności wyrostka, który doszedłszy do lat, arsenał gotowy mógł już cały mieć w ręku do użycia. Dobek za mało tylko dopomagał dziewczęciu, które ta obojętność kawalera gniewała. Pani St.-Georges ścisnęła córeczkę i całowała za tak cudownie odgrywany dramacik miłosny.

— A ja bym jej za to różgami dać kazał! — mruknął Zarwański Borawskiemu na ucho. — Jak mi Bóg miły!

Koncert po obiedzie, w którym hetman nie był czynny i ograniczył się dyrygowaniem z daleka, uświetniła arią wielką z fioriturami zadziwiającej sztuki i koronkowej delikatności signora Angiolina. Głos miała silny, niezbyt miły, lecz wyrobiony doskonale. Wedle mody wieku, tak samo jak architektura obwieszała się niesmacznymi ornamentacjami bez miary, śpiew też przystrajał się w brylanty, za którymi często jego samego widać nie było.

Wszystko to Dobek, usiłując się ukryć w najciemniejszy kątek, przebył, tłumacząc się ciągle bólem głowy; Georges go na chwilę nie opuszczał. Ostatni ten obiad nabawił go takim strachem i przekonaniem o potrzebie dalszej ucieczki, iż każda chwila zwiększała rosnącą gorączkowo niecierpliwość. Zdawało mu się, że teraz wszyscy na czole jego czytali całą historię: i płeć, i uczucia, i wstyd, którym był okryty. Odwaga znowu go opuściła, suknie ciążyły, brzydził się nimi jak fałszem, wyrzucał sobie rzecz grzeszną i występłą, chciałby je był zrzucić, pozbyć się co najprędzej, ale kobietą w tym wieku sam jeden w świat puścić się nie mógł, potrzebował mentora, towarzyski, opieki. Wczoraj już Babetta przychodziła mu na myśl, dziś przypatrując się jej, obawiał się. Z pewnością nie był to dla młodego dziewczęcia pożądany towarzysz, śmiała aż do cynizmu niekiedy, wymowna aż do rubaszości, nie obawiająca się ani wzroku, ani słowa, a wyzywająca oboje, Babetta ściągnąć mogła niepotrzebnie oczy, zresztą, jakkolwiek jej wczorajsze wyznania płynęły z serca, czy na to serce można było zawsze rachować?

Co począć, nie wiedział sam przebrany Dobek, czekał jednak godziny rozejścia się i powrotu do mieszkania z niecierpliwością. W każdym razie Babetta poradzić przynajmniej coś mogła.

Ale północ wybiła i pierwsza po północy, Francuzka nie przysła. Laura z niepokojem wielkim, nie mogąc przyczyny odgadnąć, położyła się do łóżka i przedrzymała do rana, bojąc się zasnąć, myśląc ciągle uciekać.

Rano nie czekając Georges'a, który przybywał wcześniej, pobiegła Laura szukać i zobaczyć Munię, której przez te dni nie widziała. Wyrzucała sobie nawet, że o tej najlepszej przyjaciółce swej tak bardzo zapomnieć mogła i zdać ją na łaskę obcych ludzi.

Na zapytanie słudzy wskazali jej stajnie gościnne, w których kilkanaście różnych było koni, ale się tam Munia nie znalazła. Georges przez grzeczność nadzwyczajną wyznaczył jej pomieszczenie w pańskich wytwornych apartamentach, obok arabek i turczynek hetmana. Na głos swej pani Munia o mało nie oderwała się od złoju. Widocznie na niczym jej nie zbywało, wyglądała świeżo i rzeźwo pod paradnym nakryciem, którego jej gościnnie udzielono. Ale niestety, jakże trudno ją było z tych stajen pańskich, spomiędzy ludzi tyłu, wydobyć w przypadku nagłego wyjazdu! Zakłopotała się mocno biedna Laura i popieściwszy z Munią chwilę, zmieszana przybyciem pana koniuszego i wielu ciekawych, wsunawszy tylko w rękę dukata masztalerzowi, wyrwała się stąd niespokojna. Zdawało jej się, że te szczególne dla Muni łaski mogły mieć na celu utrudnienie jej wyjazdu bez wiedzy gospodarzy, a ucieczkę uważała teraz za nieuchronną.

Wracając od stajen, ponieważ dość jeszcze było rano. Dobek-Laura poszedł się przejść po parku. Ranek był piękny, myśli smutne, niepewność wielka. Babetty nie wiedziała gdzie szukać. Tuż obok, ponad ulicą do ogrodu wiodącą, ciągnęła się aleja domkami ostawiona, w których mieszkali dworscy, artyści i starszyzna służbowa. Przytykający do parku, z wyjściem nań i ogródkiem kwiatowym, stał dworek ładny, którego okna jakby świeżo były pootwierane, bo okiennice, jeszcze do ściany nie przymocowane, stały na pół przymknięte razem z oknami.

Mijała go Laura, gdy głos jakiś i klaśnięcie w dłonie posłyszała. Odwróciła się i postrzegła w oknie Babetę z rozpuszczonymi włosami, otuloną tylko białym rannym szlafrocikiem, poziewającą, jakby tylko co ze snu się porwała. Chociaż rola mężczyzny nie dozwalała jej zbliżyć się tak poufale do osoby mało znanej i wcale na przyjmowanie gościa nie przygotowanej, skoczyła ku oknu.

— Moja droga panienko — rzekła szybko Babetta — przebac! . Ten nieszczęsny Pobożanin, od którego my tu mniej więcej wszyscy zależymy, a który się we mnie kocha, zrobił mi najokropniejszą scenę za moją wczorajszą nocną wycieczkę, której, niestety, dośledził. Nie mogłam mu dla wytłumaczenia się powiedzieć, że kawaler Dobek jest tylko ładną panienką, pozostałam więc pod zarzutem wiarołomstwa i najbezwstydniejszej zalotności.

Zaczęła się śmiać smutnie i dziwnie.

— Nie mogłam więc wam służyć wczorajszego wieczoru, bo mnie szpiegowano. Jestem dotąd pod wrażeniem gniewu Pobożanina, który gdy zechce, jutro mnie odprawić może, mówiący hetmanowi, że się tu na nic nie zdałam.

— Bardzo dobrze — zawołała Laura — zatem jesteście wolni i jedziecie ze mną do Warszawy!

— Ja? Z wami? Cha! Cha! — zaczęła się śmiać aktorka. — I będą mówili, że mnie dwudziestoletni chłopaczek wykradł! Ach naprawdę, to by było prześlicznie, ale cóż dalej? Co zrobisz ze mną? Ja jestem biedne stworzenie, które inaczej na chleb powszedni zarobić nie umie, tylko uśmiechem, bielidłem, różem, na scenie! A i na świecie! Bo, spójrz, proszę, jak ja z rana wyglądam żółto i czy mi co najprędzej nie trzeba do puszki iść, aby się do życia świeżą ufarbować młodością?

— Moja droga pani — rzekła Laura — gdybyś bez żartu chciała mi być siostrą, radą, pomocą, mnie, niedoświadczonej, narażonej na tysiąc omyłek i niebezpieczeństw, miałabym dla was tyle wdzięczności, iż dzieląc z wami, co mam, nie wypłaciłabym się wam jeszcze.

— A mój Boże! — ciągle się śmiejąc i bijąc w ręce, odezwała się Babetta. — Ja guwernantką! Ja guwernantką! A to trzeba umierać ze śmiechu!

I twarz jej spoważniała nagle.

— Mówiłaś — dodała — „dzieląc z wami, co mam”. A cóż ty masz?

— A dosyć na nas dwie na czas długi! — pośpiesznie rzekła Laura.

— Tak, ślicznie, dziecię moje — wzdychając poczęła Babetta, która się na oknie wsparła i zapomniała, że ją ktoś podpatrzeć może — twoja rachuba wiejska myli cię pewnie! Tobie się zdaje, że możemy żyć zamknięte o suchym chlebie, a ja jestem popsuta, ja jestem wybredna, ja choruję na fantazje, dla których się wszystkiemu wyrzec gotowa. Ileż razy, nie mając koszuli, kupowałam koronki! Wziąć mnie! To byś dopiero wzięła kłopot sobie i męczeństwo. Wszak Pobożanin, który ma pełne kieszenie czasem, gdy wygra, a sypie nie licząc, wydołać nie może kaprysom moim.

Laura słuchała zdziwiona niezmiernie.

— Więc wypowiadaj że mi się, proszę, co ty sądzisz dostatecznym na nas dwie na długi rok?

Zarumienił się fałszywy Dobek i poczuł smutek wielki. Babetta wydawała mu się teraz zupełnie inną i nie tak serdeczną jak pierwszego dnia.

— To, co mam z sobą — rzekł cicho — może nie starczyć, nie wiem, choć tam jest dosyć ciężka kupka złota. Nie liczyłam jej biorąc, lecz gdy zechcę i napiszą do tego, komu powierzyłam więcej, musi mi przysłać, mam dużo! Dużo! Dużo!

Babetta śmiała się jak z dziecka z zarumienionej Laury.

— Jak mnie ten chłopak kusi! Patrzajcie! — zawołała. — Ale tymczasem, paniczku mój śliczny, ruszaj sobie w ogród, ażeby nas tu ktoś tak poufale rozmawiających nie podglądał; pomówimy o tym później.

Przeczuła snadź Babetta, bo zza bzów Georges, który szukał przyjaciela, widział go na tej czulej rozmowie, a gdy się o kilkanaście kroków dalej spotkali, rzekł mu z uśmiechem:

— Nigdy bym się nie spodziewał, żebyście z tylu ładniejszych wybrali sobie Babetkę! Ona ma pewnie trzydzieści pięć lat, a tak wygląda staro. Musi to być prawda, co hetman powiada, iż zawsze bardzo młodych i niedoświadczonych najprędzej kobiety w drugiej młodości, a nawet trzeciej, zbałamucić potrafią. Laurze twarz okrył rumieniec.

— Kochany przyjacielu — rzekł Georges, biorąc ją poufale pod rękę, czemu się oprzeć nie było podobna — ponieważ masz fantazję do Babetty, bo nie wierzę, żeby to miała być *une passion seripuse*, muszę cię przestrzec: ona tu ze wszystkich tych pań ma najgorszą sławę. Bałamuci z kolei wszystkich, a nieszczęśliwy Pobożanin, który ma dziwną słabość do niej, i przebacza jej więcej, niżby powinien, czasem bywa do rozpaczy przyprowadzony. *Sa liaison* z Pobożaninem, o której wszyscy wiedzą, trwa lat kilka, ale tyle w niej było antraktów! Babetta ma dowcip, ma serce nawet, lecz w nic nie wierzy, sceptyczka, i fantazja niesie ją, gdzie chce. Dziś gotowa dać życie za to, co jutro przez okno wyrzuci! Cóż chcesz! Tak jest! — dodał Georges z powagą starego już i wielce doświadczonego człowieka. — Po trosze one są takie wszystkie, nie wyjmując Ninon, która jeszcze będąc dzieckiem, już jest prawie tym, co one.

Chociaż to moja przyrodnia siostrzyczka, kuzynka — rzekł kawaler Georges — nie mogę być ślepym na to. Cudowną była wczora, gdy was kokietowała. Gdyby jej natura dała więcej wdzięku, tej nikt by pono nie przeszedł.

Laura szczęśliwa była, że tę rozmowę przerwał nadchodzący l'abbe Mourion i razem z nim poszli na śniadanie.

VI

W kilka dni potem wieść się rozeszła po hetmańskim dworze, której zrazu nikt wierzyć nie chciał, iż wierny pannie Babetcie Pobożanin, już nieraz pono bliski ożenienia z nią, zerwał z dawną przyjaciółką, i mszcząc się za jej dla siebie nieczułość, skłonił hetmana, by ją od swego teatru z Emilopola oddalił. Tak było w istocie. W jednej z porannych konferencji przy czekoladzie marszałek dworu poddał myśl panu, by teatr nowymi siły starał się pokrzepić, że artystki mogłyby być zastąpione innymi, młodszymi, a te ze świątłych rad takiego znawcy jak

hetman pewnie by łatwiej skorzystać mogły niż starsze, mniej do posłuszeństwa skłonne, upartsze i zepsute.

— Ale mój ty kochany Pobożanin! — rzekł, uśmiechając się, hetman. — Jakkolwiek w tym roku nieco jestem bogatszy, ty najlepiej wiesz, co kosztuje taka artystka. Brać nowe...

— Małą bardzo stanowi różnicę — przerwał marszałek — boby się stare odprawiło. Kontrakta są kwartalne.

— Ale kogoż odprawić! Za Elizą poszłoby pół mojego dworu — odparł, uśmiechając się, hetman — a za Babetą ty pierwszy.

— Ja? Jak to ja? Panie hetmanie! Ja? — z wielkim zapałem i niby obrażony na honorze ozwał się Pobożanin. — Ja za nią kroku nie zrobię.

— Więc znowu jakieś nieporozumienie, które nie potrwa — flegmatycznie odrzekł hetman, ziewając — dłużej niż do wieczoru! O cóżeście się, a raczej o kogoście się poróżnili? Szczerze mi wyznaj!

Pobożanin się zmieszał.

— Tu nie idzie — rzekł żywo — o kogoś, idzie o to, że to jest i nieosobliwa artystka, i wcale nieszczególna kobieta.

— Co się tycze artystki — kładnąc rękę na ramieniu marszałka, odezwał się powolnie hetman — pozwól mnie o tym sądzić. Znam ich wiele w Paryżu, widziałem Clairon, najpierwsze siły teatrów stolicy nie są mi obce. Jest wiele artystek, którym Babetta nie dorówna, lecz ani jednej nie znam, która by role tragiczne, komiczne, matek i kochanek, razem wszystkie tak grać umiała i mogła jak ona! Dla małego teatryku na prowincji to skarb nieoceniony. Pobożanin głową potrząsł.

— Strasznie starzeje! — rzekł. — Czy pan hetman tego nie widzi?

— W salonie, na scenie jest dziwnie młodą.

— Ja jednak znajduję, że pozbyć się jej...

— Mój drogi! Czyż koniecznie? — odezwał się hetman smutnie. — *Vous m'en direz tant*, a mnie by jej żal było.

— Tak, a przecież choćby żal być miało, trzeba raz — przerwał gniewnie Pobożanin — mieć siłę ją odprawić. Ja za to ręczę, że na jej miejsce inną wyszukam.

Cały ranek wymęczywszy tak hetmana, marszałek w końcu wyjednał zgodę jego na odprawienie Babetty. Kwartalną jej pensję naznaczono jako gratyfikację.

Z namiętą chęcią zemsty Pobożanin napisał natychmiast do Babetty w imieniu pana bardzo grzeczny list, oznajmiając jej o tym, że przestaje należeć do teatru emilopolskiego, że może u kasjera odebrać asygnowane pieniądze i wyjeżdżać, kiedy się jej podoba.

Spodziewał się niezawodnie, iż po odebraniu tego pisma z rozpaczą Francuzka przybieży prosić o przebaczenie. Zdziwił się niezmiernie, dowiedziawszy, iż z kasy odebrała pieniądze i, jak mówiono, zaczynała się pakować. Żądała tylko przez panią St.-Georges, niezmiernie oburzoną za tę intrygę na marszałka, aby miała szczęście osobiście pożegnać hetmana i podziękować mu za doznawane od niego względy.

Audycja, którą otrzymała, przyniosła jej jeszcze rulonik dukatów i ładny pierścionek, hetmanowi bowiem szło o to, aby go we Francji nie oczerniano i żeby odchodzący od niego sławili wspaniałomyślność polską. Pobożanin chodził jak struty. W chwili gdy już kufry panny Babetty wynoszono, nie mogąc wytrzymać, sam pierwszy pobiegł do niej.

Zastał ją w stroju podróżnym siedzącą na kanapce, podpartą na rękę, wcale nie zafrasowaną.

— Przychodzę panią pożegnać! — zawołał z furią nadaremnie tajoną.

— To bardzo szczęśliwie — odparła spokojnie Francuzka — bo ja bym się nie była fatygowała do pana.

— Wyjeżdżasz więc pani bez żalu? — spytał.

— Bez najmniejszego! Nie mam tu ani kogo, ani czego żałować!

— Bo pani nie masz, nie miałaś i nie będziesz miała serca! Babetta się rozśmiała.

— Mogłaś pani przywiązać do siebie człowieka, który ją szczerze kochał.

— Wiem! Wiem! Ale nie umiała!

— Nieustanne bałamuctwa jej w końcu najstalsze przywiązanie wyczerpały.

— A jakież miałam obowiązek być wierną człowiekowi, który nie miał odwagi podać mi ręki do ołtarza? Byłam wolną, mogłam przecie czynić, co mi się podobało. Nie byłoby pewnie na świecie wierniejszej żony nade mnie, ale być uwodzoną i rzucałą, nie miło! Wolałam sama uwodzić i rzucać!

— Jakże pani chcesz, aby w niej mieć wiarę po takim postępowaniu? — zawołał Pobożanin.

— Kto nie ma wiary, temu jej nakazać nie można — odparła Babetta — a bez niej i miłość jest niepodobna.

Stary pan marszałek potarł łysinę.

— Więc się żegnamy?

— A, tak jest, sługa uniżona! — dokończyła Babetta i obróciła się szerokimi, białymi plecami do niego.

Pobożanin stał, patrzył długo, wahał się, sam nie wiedział widocznie, jak skończyć tę scenę, a Babetty mu żal było.

— Wy tłumacz się pani przynajmniej ze śmiesznego latania za tym wyrostkiem, którego hetman zgarnął gdzieś z gościńca na utrapienie nasze.

— A jakież pan masz prawo żądać ode mnie tłumaczenia? Marszałek się zamyślił; nagle rzucił czapkę na stół.

— No, Babetto! — zawołał. — Słowo honoru! Jeśli mi się z tego wytłumaczysz, masz moją rękę, żenię się.

— Słowo honoru? — zapytała, rumieniając się, Babetta.

— Słowo.

Francuzka się zawahała nieco i postąpiła ku niemu krok.

— A dacie mi też słowo, że moje tłumaczenie zostanie między nami i że uczynicie to, o co ja was poproszę?

— Chętnie! — zawołał niecierpliwy Pobożanin.

— Więc posłuchaj — śmiejąc się rzekła, zbliżając się do ucha, Babetta: — ten chłopiec jest... jest... no, zgadnij!

— A jak ja u diabła, mam zgadnąć, co on jest! Choćby był królewiczem, to go nienawidzę! — krzyknął marszałek.

— On jest dziewczyną! — śmiejąc się i padając na kanapę, zawołała Babetta.

Pobożanin spytał gorąco:

— Słowo?

— Jak cię kocham! — powtórzyła Babetta.

Przekonany ostatecznie tym zaklęciem, marszałek padł na kolana.

— To nic nie pomoże — przerwała Babetta — ja muszę mieć świadków zaręczyn, bo ci nie wierzę. A teraz do interesu: wyjawiam ci tajemnicę nie moją, odkradzioną od nieszczęśliwego dziewczęcia, któremu szczerze dobrze życzę. Dla niego ani towarzystwo przymusowe Georges'a, ani powietrze tutejsze nie zdrowe. Trzeba ją wyprawić. Waćpan mi dopomożesz.

— Z całego serca!

— A o tym wszystkim ani słowa! Dziewczę mi zawierzyło, jemu winnam. że się ze mną żenisz; chcę się jej wywdzięczyć jak należy.

Nikt bardziej nie był zdziwiony nowym obrotem historii panny Babetty nad pana hetmana. Pobożanin, pokorny i skonfundowany, przyszedł do niego, nie mogąc słowa przemówić. Poznał pan po twarzy, że się coś święciło nowego.

— A co ci to, *cher cousin*?

— W istocie... panie hetmanie dobrodzieju... jestem w przykrym położeniu...

— Mów już, ręczę, że się to tycze tej Babetty, którą pożegnałem z żalem, *mais la chose une fois faite*, kochany mój Pobożaninie, ja mych postanowień nie zmieniam. Dziś napisałem do pana Lacroix do Paryża, aby mi wysłał par *le premier coche*, który ku Flandrii będzie jechał, pannę Isabeau. Poznałem ją w Paryżu. Nie ma talentu Babetty, lecz miałaś słusność, ona starzeje, odświeżymy sceną.

— Tak jest — mruknął Pobożanin — ona by też już występować nie mogła, bo ja, ja się z nią żenię...

— *Allons donc!* — zakrzyknął hetman.

— Tak jest, panie hetmanie dobrodzieju — rzekł, w rękę go całując, kuzyn i wzdychając — trzeba odpokutować za stare grzechy.

— Chyba tak! — nieukontentowany widocznie odparł hetman — Nie jestem waszym opiekunem... a waćpan małoletnim... uczynisz, co mu się podoba.

W kwadrans potem hetman się dał udobruchać staremu słudze, bez którego by się obejść nie potrafił. Babetkę zaproszono do stołu, a przy obiedzie wypito zdrowie narzeczonych publicznie i Dobek musiał drżącą ręką kieliszek podnieść do ust, patrząc na Babetkę, która mu dała znak, aby się tym nie trwożył.

Tegoż wieczoru przyszła do niego późno w noc, ale razem z Pobożaninem.

— Nie lękaj się pani — rzekła — ja za niego ręczę, a on nam lepiej poradzi pono, niżbyśmy obie mogły.

Marszałek pełen uszanowania skłonił się Laurze, zaręczając jej za dochowanie tajemnicy.

— Masz pani we mnie sprzymierzeńca — rzekł — nie nieprzyjaciela.

— Co mi pan radzisz? — spytała Laura.

— Jak najprędzje zrzucenie tego stroju — rzekł Pobożanin — mógł on chwilowo być potrzebny, ale naraża dziś więcej, niż broni. Po wtóre, sama nie możesz pani pozostać; trzeba, żeby ją ktoś odprowadził do Warszawy. W Warszawie nie będzie też łatwo coś znaleźć stosownego.

— Ja... ja mam powołanie do teatru! — zawołała żywo Laura. Pobożanin spojrział na nią zdziwiony.

— Nic pani do tego nie zmusza — rzekł — a to, jak zowiesz, powołanie, jest może przykrzejszym losem niż suknia męska na kobiecie. Czy wiesz pani, czym jest teatr? Czym są artyści? Jaki ich los? Skąd się oni biorą?

Laura milczała.

— Pani tego nie potrzebujesz — mówił ciągle marszałek.

— Ale ja bym sztuce potrzebną i przydatną być mogła — przerwała Laura. — Czyżby uszlachetnić nie można tego, co dotąd było najdziwniej poniewierane? Słyszałam o oklaskach i wieńcach rzucanych artystom na scenie, a za sceną o wydzielanej pogardzie; czemuż by nie zmusić ludzi, by szanowali równo artystę i człowieka?

Z tak wielkim uczuciem wymówiła to Laura, która przez tych dni kilka i nocy ciągle tylko czytała o scenie, o teatrze, o artystach — że Pobożanin i Babetta oboje stanęli zdumieni. Spojrzeli na siebie.

Wyraźnie paliła się ta śliczna główka do jakiegoś ideału niemożliwego, szła do smutnego rozczarowania; lecz są takie pochody uroczyste przeznaczeń, których nic wstrzymać nie może.

— Posłuchajcie mnie — mówiła dalej Laura — na co się ja zdam światu? Za mąż pójść nie mogę i nie chcę, domu nie mam, sierotą jestem, sam los wyznaczył mnie na aktorkę... lub zakonnicę... Nie potrafiłabym zamknąć się w klasztorze; życie mi się nie uśmiecha, ale mnie ciągnie, jak przepaść! Muszę iść...

— Idźże ostrożnie! — zawołała Babetta.

— Pomóżcie mi — wyciągając ręce ku nim, odezwała się Laura.

— Czekaście — przerwał ożywiony oryginalnością położenia Pobożanin, który w tej chwili odmłodził — słowo tylko. Babetta wyjedzie do Warszawy, jutro, mamy nieuchronne przed ożenieniem do nabycia sprawunki. Ja pomogę pani, byś za nią wykraść się stąd mogła. Na pierwszej stacji połączycie się. Ona ma pewne sprawunki w Warszawie, ja także może kogo stosownego wymyślę ku pomocy.

Babetta aż się na szyję rzuciła narzeczonemu i zwróciwszy się tylko do Laury z zapytaniem: *Vous permettez?* — pocałowała go z obu stron twarzy, aż się po pokoju te dwa całusy rozległy.

— Dziękuję mu za was i za siebie! Poczciwy Pobożanin — zawołała — serce ma doskonałe, gdyby głowę miał taką! Więc to rzecz postanowiona — kończyła Babetta wesoło — ja jutro jadę, a ty, pani, zaręcz mu za mnie, że dopilnujesz, by nie miał najmniejszego do zazdrości powodu!

Po chwilce narady rozeszli się cicho i nazajutrz osnuty plan zaczęto zręcznie przyprowadzać do skutku. Babetta ogłosiła, że z artystki przechodząc na panią marszałkową i żonę szlachezca, czemu jeszcze chwilami nie dowierzała, musi jechać wyekwipować się właściwie do nowego stanu.

Pobożanin powóz i konie dawał swoje, to jest hetmańskie.

W całym dworze zazdrość była wielka, lecz szczególnie Eliza, młodsza a może zręczniejsza intrygantka od swej towarzyszki, szczęścia jej nie mogła przełknąć. Od tego dnia mówić do niej przestała, poprzysięgła zemstę, a wyrazem jej ostatecznym być miało wydanie się za daleko bogatszego, młodszego i piękniejszego szlachcica.

— Jest to partia na pozór tylko świetna — mówiła po cichu do pani St.-Georges — lecz rzeczywiście Pobożanin stary, łysy i namiętne gra w karty, lada dzień hetman go może odprawić, grosza przy duszy nie ma! Oboje lubią wydawać. Co mi to za zamążpójście!

— A jednak — uśmiechając się szepnęła St.-Georges — gdyby ci się był oświadczył, tobyś za niego była też poszła.

— Cóż pani chcesz? — westchnęła Eliza. — My tak jesteśmy nieszczęśliwe!

O naznaczonym dniu i godzinie Pobożanin sam odprowadził swą narzeczoną aż za miasteczko. O trzy mile stamtąd, na ubocznym gościńcu miała ona oczekiwać Laury, która ze swą Munią tę przestrzeń z łatwością przebiec mogła. Marszałkowi tylko jednemu coś podobnego przedsięwziąć i do skutku doprowadzić było podobna jak wykradzenie Muni spod czujnego oka masztalerzy. Wiedział on, o której godzinie w stajni nie było nikogo, sam wyprowadził ją, stawiając w miejscu zajmowanym przez nią innego konia dla niepoznaki, sam osiodłał i poza ogrodem zawiódł do szopki przy samym domu. Noc była, szczęściem, jasna, a Laurze łatwo też wymknąć się z domu nad samym ranem, tak by za miasteczkiem już dzień ją zastał. W ten sposób ukartowana była ucieczka, a marszałek dworu sam ją ułatwiając, ze wszelkimi ostrożnościami, ażeby udział jego mógł być zatajony, usunął wiele przeszkód zależących od niego: usunął zbyt baczných ludzi, zbyt zamczyste wrota i drzwi itp.

Wieczorem po koncercie, w którym znowu wystąpił hetman z bardzo pięknym *Andante* Haydna. Laura wyszła jak zwykle przeprowadzona przez Georges'a do swego antresolu. Od dwóch dni postępowanie tego przyjaciela mocno ją niepokoić zaczynało.

Nie okazywał on, ażeby się czegoś domyślał, ale był tak nadzwyczaj czułym, tak nadskakująco grzecznym, takimi dziwnie zasłodzonymi patrzył na nią oczyma, jak gdyby w istocie wiedział, że jest kobietą. Kilka razy z taką gorącością wyraził przyjaźń swą dla Dobka i poprzysięgał jej wiekuistość, i prosił o wzajemność, że Laura rumieniła się, mieszała i jakkolwiek coraz wprawniej grała swą rolę, często czuła, że jej podołać nie może.

Tego wieczoru właśnie Georges jeszcze był czulszy; chwycił ją za ręce, patrzył na nie, ścisnął je z jakąś namiętnością, która na Laurze czyniła przerażające wrażenie. Wyrwać mu je musiała i odwracać twarz, by rumieńca nie postrzegł. Odpowiadziwszy ją do mieszkania Georges szukał pozoru, aby usiąść i zostać dłużej. Laurze z wielką przyszło trudnością pozbyć się go; powrócił w kwadrans, przynosząc jakąś książkę, którą ona przez wpół tylko

uchylone drzwi przyjąwszy, dała mu śpiesznie dobranoc. Teraz nareszcie mogła się zamknąć, by napisać list do hetmana, dziękujący mu za gościnność a tłumaczący odjazd pośpiesznej koniecznością. Korespondencja wiele jej czasu nie zabrała, poukładała książki, przebrała się w swój strój podróżny, narzuciła szeroki płaszcz, i tak w krześle siedząc, czekała naznaczonej godziny nad ranem, o której wymknąć się miała.

Na jednym ze skrzydeł pałacu był zegar bijący godziny, tak że go w parku nawet słyszeć było można, on miał dać znak ucieczki. Laura wysunęła się szczęśliwie z pałacu, w którym wszyscy spali najmocniejszym snem poranku. Furka ogrodowa zostawiona była otworem; od niej kroków kilka czekać miał z koniem Pobożanin.

Dotąd wszystko szło jak najpomyślniej; z ogrodu mogła wyjść nie postrzeżona, przebiegła drogą pustą przestrzeń niewielką, dzielącą ją od domu marszałkowskiego. Tu w mroku dziennym dostrzegła już stojącą Munię, na nieszczęście zbyt uradowaną, ażeby zarzeć nie miała. Wśród tej ciszy rannej rzenie rozległo się straszliwie po okolicy. Munia powtórzyła je kilka razy, choć główkę jej tuliła do siebie Laura.

Pobożanin sam trzymał klacz i podał strzemię.

— Szczęśliwej drogi — rzekł całując podaną rękę — ale na Boga, nie zbłądź pani. Wyjechawszy za miasteczko ujrzysz krzyż, od tego trzeba się wziąć nie wielkim gościńcem, ale znaczną drogą w prawo.

Dobrym klusem jadąc, za godzin trzy jesteś pani w Mokrzyszczach, a tam czeka na nią Babetta. Szczęśliwej drogi!

Laura, wyrwawszy się raz, puściła koniowi cugle i pobiegła z nim tak żywo, iż wnet z oczu znikła Pobożaninowi, który cichutko do swego mieszkania powrócił. Zmęczony usypiał właśnie, gdy gwałtowne stukanie do drzwi go przebudziło. Nie mógł zrazu pojąć, co się stało, i uląkł się jakiej przygody, która by Laurę nazad wróciła. Wprędce jednak po głosie poznał Georges'a.

To było może gorsze jeszcze.

Gdy mu otworzono drzwi, chłopak wpadł jak opętany.

— Pobożanin! Na miłość Boga! Hetman się będzie gniewał, nieszczęście się stało, ratuj!

— Cóż takiego?

— Dobek uciekł! — krzyknął Georges.

— Jak? Kiedy? — udając niezmiernie zadziwionego zawołał marszałek.

— Nie mogę pojąć, jakim sposobem, jakimś czarodziejstwem potrafił to chyba dokonać. Przebudziło mnie przed chwilą silne, niezwyčajne rzenie konia. Jakimś przecuciem tknięty, zerwałem się z łóżka. Miałem ciągle to na myśli, że on nam ujdzie.

— Ale na miłość bożą, cóż tedy? A, to śmieszna awantura! — rzekł marszałek siadając na łóżku.

— Odziawszy się naprędce poleciałem do pałacu. Wystaw sobie, w antresolu pustki, nie ma go; na stole tylko list do hetmana! Uciekł, ale jakim sposobem? Jakim sposobem?

— Przyznam się panu — przerwał marszałek — że ja znowu nie mogę pojąć, dlaczego by on miał nas tak bardzo obchodzić, jeśliby mu się zamarzyło ruszać sobie dalej!

— Jak to? — gorąco odezwał się kawaler. — Ale on nie powinien był... nie mógł, nie godziło się, żeby tak uchodził... to...

— Przecież wolny człek! — rzekł marszałek.

— Czyżeś pan się nie domyślił, gdy Zarwański opowiadał tę historię, że to nie Dobek jakiś, ale panna była.

— Co się panu śni! — śmiejąc się podchwycił Pobożanin. — Co się panu śni!

— Mnie się śni, bo ja się w niej Kocham na zabój! Ja szaleję za nią! Ja wiem, ja czuję, że to była kobieta — pocałował, gorączkując się, Georges. — Ja za nią na koniec świata polecę, kazałem sobie podać konia, jadę, gonię... Pobożanin pochwycił oburącz biednego kawalera.

— Siadaj pan! Ochłoń! Wzburzona imaginacja jakiegoś mu obrazu przedstawia, z których jutro się śmiać będziesz. Ja najmniejszego nie widzę podobieństwa do tego, co para mówisz. Chłopiec sobie urwisowaty, który się wyrwał od ojca; żadna paniątka by podobnej odwagi i determinacji nie miała. Sama jedna... konno... w nocy! To do niczego nie podobne.

— A gdybyś pan był widział te ręce, te nóżki, ten spod koronek wystający karczek biały! — wołał Georges. — Ja panu mówię, to była kobieta, taż sama, o której Zarwański opowiadał. Gdybyś widział, jak ręce wyrzywała, ile razy się ich dotknąłem, i te rumieńce.

— Dajże pokój, Kochany kawalerze Georges, staniesz się doprawdy śmiesznym. *Une lubie!* Przywidzenie!... Zmiłuj się...

— Ale ja gonię za nią! To nic nie pomoże! Gdyby mi tylko prędzej konia podano...

— Zastanów się pan! Na Boga! Dokąd? Wieszże, jaką on pojechał drogą? Pół godziny czy może więcej, jakieś to rzenie usłyszał, pół godziny zbieży może, nim konia przyprowadzą. Po cóż ten zachód cały, aby się potem wstydzic! Ja pana nie puszcze!

Georges porwał się z krzesła, na którym chwilowo był przysiadł.

— Żadna siła ludzka mnie nie wstrzyma! — zawołał. — Ja ją Kocham!

Pobożanin oparł się o ścianę, wziął aż w boki i zaczął śmiać okrutnie.

— To szaleństwo! Kochany kawalerze, to szaleństwo!

— Waćpan nigdy chyba nie spotkałeś jej oczu! — pocałował chłopak z zapalem. — Takiego wejrzenia żadne męskie nie mają oczy! A to unikanie, by wzrok zdradzający ją nie spotkał się

z mymi oczyma. Pobożanin, na honor! Klnę ci się, to była kobieta, dziewczę cudowne! Coś nadziemskiego! Ja...

— Na zimno! Zlituj się, na zimno — począł marszałek, usiłując go jeśli nie zahamować zupełnie, to przynajmniej powstrzymać jak najdłużej (w oknie coraz wyraźniej, mimo zasłaniających je drzew, świtać zaczynało). — Chociaż to przywidzenie tylko wasze, zupełnie nieprawdopodobne a wywołane gorączką młodzieńczą, lecz, przypuśćmy, co niemożliwe, że to była owa panna. Jakimże prawem pan ją ścigać będziesz?

— Jakim prawem! Ale ja ją kocham! — wybąknął Georges. — Odkądże to miłość potrzebuje innego prawa nad te, które sama nadaje?

— To frazes z komedii pana hetmana — rzekł spokojnie Pobożanin — doskonały na scenie, a w życiu śmieszny. Miłość mężczyzny dla kobiety innych mu praw nie daje nad strzelenie sobie w łeb, jeśli mu się nie poszczęści.

W tej chwili konia przyprowadzono pod ganek; Georges, nie słuchając dłużej, wyrwał się już lecieć, marszałek go siłą trzymał.

— Nie puszczę pana!

— Ja teraz waćpana spytam! — oburzony zawołał Georges. — Jakim prawem mnie chcesz wstrzymać?

— Bez żadnego prawa, jeśli ci się podoba, dlatego, że jesteś wychowawcą pana, którego kocham, i obowiązany się czuję oszczędzić waćpanu szaleństwa nadaremne!

Georges się wyrwał i pobiegł do drzwi nie oglądając, Pobożanin za nim, krzycząc do masztalera:

— Nie dawaj konia!

Lecz Georges był już na siodle, a że mu stajenny chciał się oprzeć, smagał go szpicrutą, którą w rękę trzymał, koń się wyrwał, stanął dęba, dostał ostrogą i poleciał w czwał z kopyta. Nie było co gonić nadaremnie.

Pobożanin postął w ganku i pomyślał, że Laura ma przed sobą godzinę, prawdopodobieństwo, iż Georges niekoniecznie drogę odgadnie, i tysiące wymknięcia się środków.

Liczył jednak nazbyt po własnej myśli. O rannej godzinie koło takich małych miasteczek, gdzie się bydło na rosę wypędza, do robót dalekich ludzie wychodzą, zawsze się ktoś kręci po drogach. Tak się i tym razem stało. Wyjeżdżającą Laurę widziały pastuszki w rynku a u krzyża stary kosiarz, który do dnia wyszedł na błotne łąki, bo do nich było pół mili. Georges'owi na zapytanie, czy kto nie jechał, wskazano naprzód gościniec za miasto, potem drogę do Mokrzyszcz.

Pędził jak szalony. O pół mili za miasteczkiem spotkał strzelca, który go zapewnił, iż konny młody człowiek niezbyt się jeszcze odbił daleko, że jechał klusem, i że na upartego, dobrym koniem, można go przed Mokrzyszczami dogonić.

A w istocie, można było tym bardziej nagonić, iż zaraz na wjeździe do lasu nie dosyć dobrze przymocowane przez Pobożanina siodło zaczęło się zsuwać i Laura musiała zeskoczyć, aby je podpiąć na nowo, co słabym rączkom przy gwałtownym pośpiechu nie bardzo się wiodło, tak że blisko pół godziny straciła, nim się na nowo w drogę puścić mogła. Koń, którego podano Georges'owi, był rosły i szparki, słowem, o milę od tych Mokrzyszcz, w których Babetta oczekiwała, Laura posłyszała za sobą tętent konia w szybkim biegu i instynktowo ona i Munia zaczęły też pośpieszać, jakby się ulękły pogoni. Wśród lasu, na krętej drodze, ścigającego nie widać było jeszcze, lecz z odgłosu wnosila uchodząca, iż się przybliżał żywo, zaczęła więc coraz chyżej. Las się kończył, w polu droga była piaszczysta i kamieniami zasiana; Laura obejrzała się i w dali dostrzegła właśnie wysuwającego się zza krzaków Georges'a, którego raczej przeczuła, niż poznała. Leciał czwałem i uciec od niego było prawie niepodobieństwem; jednakże Laura puściła cugle, odezwała się do przyjaciółki i Munia wysunęła się naprzód, jak sarenka lecąc chyżo. Mimo tego wysiłku Georges zyskiwał co chwila, przybliżał się widocznie, i uchodzące dziewczę już nawet więcej się nie oglądało, polecając swe losy woli przeznaczenia. Tętent coraz wyraźniejszy przybliżał się, na ostatek głos dał się słyszeć:

— Stójcie, na Boga! Stójcie!

Laura obejrzała się, Georges tuż, tuż był przy niej, zaczęła wstrzymywać Munię, gdyż dalsze ściganie się na nic już przydać się nie mogło. Georges natychmiast z nią się zrównał i ognistymi oczyma powitał.

Laura stanęła, obracając się odważnie twarzą ku ścigającemu.

— Co to znaczy? — spytała.

— Pani! — zawołał Georges. Rumieńcem spłonęła jej twarz.

— Pani! — powtórzył chłopak. — Jam od dawna przeczuł, odgadł, domyślił się, kim jesteś, godziło się tak z gościnnego domu uciekać?

— Właśnie to mnie tłumaczy, coś pan powiedział — odparła Laura — mniej jeszcze godziło się mnie jak jakiego przestępcę ścigać, kawalerze Georges!

— Ale kto obok niej przeżył choć kilka dni w życiu, ten obojętnym pozostać nie mógł — mówił zmieszany Georges. — Myśl, żeś pani mogła w ucieczce podpaść jakiemu wypadkowi, niebezpieczeństwu, zmusiła iść za nią. Jeśli to jej jest przykrym...

Laura, która była przygotowana do sporu, znalazłszy chłopaka tak łagodnym, nie wiedziała dobrze, co począć i mówić.

— Bardzo dziękuję za troskliwość — ozwała się w końcu — lecz nie potrzebuję opieki. Wierz mi pan, nawykłam sama sobie dawać rady. Zatem, żegnam pana i proszę, byś do domu powracał.

Georges stał.

— Temu rozkazowi — rzekł — uczynić zadość nie mogę. Ścigałem panią, bobym żyć nie potrafił w niepewność o los jej, a o ten spokojny nie jestem.

— Kawalerze Georges — odezwała się Laura — cóż pana może obchodzić mój los? Jesteśmy niedawnymi znajomymi, a kilkadniowe stosunki, choć miłe mi zostawiły wspomnienia, nie obowiązują do niczego. Proszę pana, wracaj do domu! Bardzo proszę.

— Nie mogę, pani! Nie mogę! Boby mi w niewiadomości, co się z nią dzieje, życie stało się męczarnią!

Laura poczęła się śmiać.

— A, kawalerze Georges! Żartujesz sobie ze mnie!

— Nie, bo się w pani Kocham! — gwałtownie wybuchnął Georges.

Laura zmarszczyła brew.

— Przyznam się panu, że sposób oświadczenia się jest osobliwszy! Bardzo wdzięczna jestem za jego życzliwość — dodała — lecz mogłabym się gniewać za formę, w jakiej się objawia. Ja zupełnie w żartach nie smakuje!

— Na Boga! Nie posądzaj mnie pani o żarty! Ja mówię, co czuję! Ja bez pani żyć nie potrafię!

— Spróbuj pan jednak, gdyż z trudnością inaczej być może — mówiła Laura — przecież mimo woli mojej nie zechcesz mnie ścigać? A ja, ja mimo całej swej życzliwości dla pana, nad tę nic mu ofiarować nie mogę.

Skłoniła główkę i chciała jechać, Georges puścił się obok niej, krótki czas jechali w milczeniu, Laura obejrzała się i ruszywszy ramionami, poczęła łagodnie:

— Nie czyń mi pan przykrości, nie staw mnie w położeniu fałszywym, opuść mnie, proszę... bardzo proszę...

— Spełniłbym wszelki rozkaz — rzekł — lecz porzucić ją wśród dzikiego, nie znanego, obcego kraju...

— Pan mi więcej zaszkodziś, niż pomożesz! — zawołała Laura.

— Ale ja szaleję! Ja Kocham! — zawołał Georges. Laura znowu śmiać się zaczęła.

— Niestety! Wzięłeś mnie, widzę, za płochą jakąś kobietę, dlatego żeś znalazł w położeniu dziwnym i awanturnicznym. Zdaje się panu, że względem kogoś, co się tak puszcza na azardy, wszystko wolno! Rzec to naturalna może z jego strony, ale dla mnie oburzająca! Kawalerze Georges... spodziewałam się więcej po szlachetności serca twego...

— Prawda, że pozory są przeciw mnie, przyznaję — rzekł Georges — ale ja rzeczywiście oszalałem i sam może nie wiem, co robię! Przebacz mi pani, ulituj się nade mną i pozwól...

— Pozwalam tylko powracać do domu — powtórzyła Laura — i zapomnieć o biednej istocie, którą przypadek zbliżył do niego mimo woli, a wola własna nakazuje pożegnać!

Georges zamilkł, jechał ciągle smutny.

— Przecież się pani nie mogłaś obrazić moim postępowaniem — rzekł — chciałem ją skłonić do powrotu. Wszakże hetman z chęcią się przychylił do jej żądań i ułatwi dalszą podróż w taki sposób, jak się zda najdogodniejszą; boleśnie mu będzie, że pani uszła z jego domu tak ukradkowo.

— Pożegnałam go i wytłumaczyłam się listem; zresztą — mówiła Laura — dziękuję mu jeszcze przez usta pańskie, dziękuję panu za jego troskliwość i zaklinam, jeśli nie chcesz mi uczynić przykrości... wracaj.

— A cóż pani poczniesz z sobą?

— Widzisz pan, żem zupełnie spokojna, nie jestem bez opieki, mam, co mi do podróży potrzeba.

Popędziła Munię klusem, kłaniając się Georges'owi, który przystał smutny, lecz nie mogąc wrócić tak z niczym, dogonił ją jeszcze.

— Pozwól mi, pani, spytać się: czy już nigdy nie spotkamy się w życiu?

— Któż wie? — rozśmiała się Laura. — Pierwszy raz zjechaliśmy się na gościńcu, na gościńcu zegnamy, możemy znowu po latach wielu znaleźć się wśród jakiej drogi, lecz dziś, proszę pana, powracaj!

— Bez dobrego słowa... bez pożegnania!

— Żegnam więc pana... — dodała Laura. — Jeśli istotnie masz dla mnie trochę życzliwości, którą okazujesz, nie śledź mnie, nie goń za mną, przynajmniej, jeśli się kiedy w życiu spotkamy, zachować będę mogła pamięć jego przyjaźni.

— Przyjaźni... ale to najgwałtowniejsza miłość! — zawołał Georges.

Tego wykrzykniku niby nie dosłyszawszy, Laura skinieniem głowy zegnając go, odskoczyła w galop dalej, bo już pod lasem widać było białą wieżę kościołka, która wedle opisu miała Mokrzeszcza oznaczać. Georges pozostał, namyślając się jeszcze, czy gonić za nią, czy powrócić tak z niczym. Postrzegł to dopiero teraz, iż wyruszając z domu nic z sobą

nie wziął, co do dalszej podróży potrzebne być mogło. W sąsiedztwie wszakże na mil kilka pełno było znajomych, mógł łatwo pożyczyć gdzieś grosza. Nie wątpił, iż po trzech milach pospiesznej jazdy Laura musi się tu zatrzymać dla wypoczynku; we dworze mieszkał podstoli brzeski, znany dobrze Georges'owi, z którego synem byli w przyjaźni. Postanowił więc zajechać tu i lepiej rozważyć, co mu czynić wypadało, tłumacząc swe przybycie polowaniem jakimś lub obłędem w lesie.

Laura obejrzała się kilka razy, popędziła prędzej i znikła mu z oczu za wzgórzem. Georges powoli zwrócił się w prawo, kierując ku dworowi, do pana podstolica.

Dosyć żywo jechała Laura do miasteczka, oglądając się jednak niekiedy, czy nieproszony przyjaciel za nią nie goni; tu czekać na nią miała Babetta. Nie dowierzała tylko zapalczywemu Georges'owi, żeby pomimo odebranej odprawy nie puścił się za nią bez pozwolenia. Korzystając więc z tego, że choć chwilę za sobą go nie widziała, pośpieszyła ku mieścinie. Nosila ona, jak wiele innych w owym czasie, tylko imię to, na które wcale nie zasługiwała. Można było rozróżnić miasta od wiosek po tym, że wsi po jednej, miasteczka miały po kilka karczem i zajazdów.

Tu było ich wprawdzie trzy czy cztery, lecz austeria na pół murowana brała prym przed innymi. Domyślając się, że Babetta tu być może, Laura wprost zajechała we wrota otwarte. Nie omyliła się, Francuzka od pół godziny już była na straży, ale co wielce nieprzyjemnym się wydawało Laurze, stała rozmawiając z jakimś nieznanym, przystojnym mężczyzną i zdawała się go słuchać z zajęciem. Rzuciwszy konia w sieni, niecierpliwa, by co rychlej zrzucić z siebie suknie, które jej co chwila bardziej ciążyły, Laura wpadła do zajętego mieszkania.

Munię zmęczoną wziął zaraz woźnica z Emilopola, aby ją przeprowadzić i dać wytchnąć nieco.

W chwilę po wnijsciu do gospody nadbiegła Babetta wesółą, uśmiechniętą i szczęśliwą, że się tak wszystko dobrze udało.

— Niestety! — zawołała Laura witając ją. — Nie tak, jak się wam zdaje. Kawaler Georges gonił za mną aż tu prawie. Miałam największy w świecie kłopot z pozbyciem się natręta.

— A cóż się z nim stało?

— Doprawdy nie wiem. Zdaje się, że chyba powrócić musiał do Emilopola.

— Cóż to? Więc się tak szalenie zakochał w waćpannie? — rozśmiała się Babetta.

— Ja sędzę, że nie we mnie, tylko, tylko w oryginalnym sieroctwie moim i braku doświadczenia, z których zdawało mu się, że łatwo by mógł korzystać. Wyobraźnia więcej niż serce popędziły go za mną; ostygnie i powróci.

— A dlaczegoż by kochać się nie miał i nie mógł? — spytała Francuzka.

— Dlatego, że ludzie jak on nadto może kochają wszystkie kobiety, by mogli kochać jedną. Takim mi się wydał przez te kilka dni w Emilopolu i w rozmowach ze mną, dopóki nie domyślił się, kto jestem. Lecz z kimże was zastałam na rozmowie? — dorzuciła Laura, śpiesznie składając suknie męskie i mieniając je na kobiece z uczuciem dziecięcej radości.

— A! Nie wiem doprawdy, szlachcic jakiś, człek młody, przystojny i wykształcony dosyć, który snadź kręci się po świecie nie wiedząc, co z sobą pocznie. Mówił mi o Warszawie, że do niej już trzeci czy czwarty raz powraca, a nie wie, co tam robić będzie.

Domyślił się we mnie artystki, do czego się też przyznała, i nudził mnie rozpytując o teatrze.

— Kochana pani — kończąc ubranie, odezwała się Laura — na wszelki przypadek, nim nas Georges wyszpiguje lub znowu jaki natręt napędzi, uciekajmy dalej co najprędzej. Boję się, choć sama nie wiem czego, a zatem, Munię przywiązawszy z tyłu do powozu, trzeba pośpieszać.

Laura przejrzała się w zwierciadełku zasmolonym i ucieszyła znajdując swą dawną fizjonomię.

— A więc w drogę! W drogę! — zawołała, kwef narzucając na głowę.

Wychodziły już do sieni, gdy Babetta zobaczyła Georges'a, który, opodal wprawdzie, siedząc na koniu, zdawał się na ich wyjazd czatować.

Przed nimi na kilkaset kroków konno także jechał ów wesóły młodzieniec, z którym rozmawiała Babetta.

VII

Przez całą drogę Francuzce usta się nie zamykały. Laura mogła wybornie milczeć tylko i słuchać, a było się też czego z tej paplaniny nauczyć. Babetta co na myśli miała, to na języku, spowiadała się jej ze wszystkiego, najbardziej z tego niepokoju, jaki ją dręczył, by Laurę jak najbezpieczniej umieścić. Zamiast uspokojenia potrafiła tylko w ten sposób strwożyć ją bardziej jeszcze, malując wedle paryskiego wzoru, czym była każda stolica dla młodego dziewczęcia.

Przyznała się też szczerze, iż jeśli Opatrzność nie nastęrczy coś nadzwyczajnego, nie wie spełna ani co pocnie, ani komu ją powierzy.

— Miałam wprowadzić na myśli tę... — mówiła Babetta — ale co wam po niej. Ona sobie sama w życiu nie umiała dać rady, a łatwowna jest jak dziecko, prędzej by ci przysporzyła kłopotu, niż ulgę przyniosła. Ani się nią posłużyć, ani poradzić! Mogłaby stara zostać przy was, lecz zdaje mi się, że się po troszku napiją. Co byście z nią robili, gdyby sobie głowę zalała? Ta znowu... dobra kobieta, ale wiekuiście za mąż chce się wydawać, choć pora dawno minęła, i zawiązuje stosunki, które by nieprzyjemnie się czuć dały.

Słowem, okazywało się, że wezwana na ratunek Babetta odprowadzić mogła wprowadzić Laurę do Warszawy, ale tam niewielką jej pomoc obiecywała. Laurze przychodziło już na myśl, słuchając jej opowiadania, iż lepiej by była uczyniła może zostając przy męskim swym stroju i dając sobie rady sama.

Na drugim popasie Babetta niepotrzebnie trochę odnowiła znajomość z wędrownym szlachcicem, którego napotkała w Mokrzyszczach, i rada, że z kim mieć będzie gwarzyć, zaprosiła go na obiad podróżny. Młody ów człowiek był wprowadzić skromny i nienatępny, lecz przy drugim widzeniu się Francuzka gotowa już była zwierzyć się ze wszystkiego i prosić o radę. Ledwie ją Laura wejrzeniem od tego powstrzymać potrafiła. Szlachcic, zapytany, co myśli robić w stolicy, przyznał się, że sam jeszcze nie wie i uśmiechając się powiedział, że już kilku różnych chlebów próbował, a jaki mu jeszcze jeść przyjdzie, tego się zgoła nie domyśla. Otwarty równie jak Babetta, wypowiedział się też, że niewiele ma w kieszeni, lecz rachuje na protekcję jednego z szambelanów królewskich, który mu jakieś zajęcie wynaleźć powinien.

Tegoż samego dnia okazał się utrapiony Georges, goniący za Laurą jeszcze, i tu Babetta się doskonale przydała, bo mu bez ceremonii zmywszy głowę, kazała powracać do domu. Posłuszny czy nie, biedny kawaler już się przynajmniej więcej nie nastęrczał i nie pokazywał.

Całe jednak Francuzki postępowanie, zajętej więcej sobą niż powierzoną jej Laurą, dawało wiele do myślenia. Zmieniała plany i projekta co chwila, obiecywała góry złote, potem przechodziła do zwątpienia i strachu z równą łatwością, jak z niepohamowanego śmiechu do łez i z gniewu do miłości. W miarę jak się ku stolicy zbliżały, gorączkowe usposobienie Babetty rosło, nieporządek w jej myślach panował coraz większy. Laura zakłopotana się mocno i musiała wcześniej powiedzieć sobie, iż tylko na własną wolę i rozum rachować może. Jeszcze jeden tylko nocleg dzielił je od stolicy. Dziewczę coraz było smutniejsze, przewodniczka weselsza. Zajechały zawczasu, a Laura zapomniawszy o tym, że

poznaną być może, zmęczona słuchaniem, wyszła przed wrota gospody, gdy z największym przestraczem i zadziwieniem ujrzała przed sobą najniespodziewańsze zjawisko.

Żydowska bryka ogromna, z rodzaju tych, które naówczas miasto dylizansów służyły, napchana wszelkiego rodzaju podróżnymi, zatrzymała się była przed tą samą gospodą. Woźnica koniom zarzuciwszy trochę siana, poszedł dla nich po wodę, a z wnętrzości tego kafarnaum poczęli się ściśnięci wydostawać podróżni, aby trochę się wyciągnąć i świeżym odetchnąć powietrzem.

Wydobyszy się tylko co z płóciennej budy, kobieta najdziwaczniej w świecie ubrana, w pstrej sukni, zbytecznie krótkiej, i trzewiczkach niewygodnych do podróży, z ogromnym workiem na ręku, siadła na kłodzie, dobywając jakieś wiktuały, gdy Laura nastęczyła się ruchliwym jej oczom. Była to pani Lassy, z wynagrodzeniem i gratyfikacją, jakiej żądała, odprawiona do Warszawy. Smutna odbyła tę wędrówkę, w trwodze o swe ruloniki, które na piersiach złożone piastowała, i właśnie ostatni kawałek piernika zapasnego spożywać miała, gdy ujrzała Laureę.

O mało nie zapomniawszy o worku, z okrzykiem rzuciła się ku niej. Chciała zrazu zamknąć się przed nią Laura, a Babetta zobaczywszy tę pogoń stanęła ostro w gotowości do obrony, gdy... dwie te jejmoście poznały się i z krzykiem rzuciły w objęcia. Były bowiem dawno, dobrze i serdecznie sobie znane. Laura namysliwszy się wróciła, gdy raz widziana i poznana, po cóż ukrywać się miała?

Pani Lassy z objęć przyjaciółki gorąco rzuciła się natychmiast na ramiona najdroższej elewki. Z czułością niewypowiedzianą zawołała:

— Najmilsza Lauro! O, ileż cierpiałam z twej przyczyny! Lecz jakżem szczęśliwa, że cię widzę... oglądam zdrowo... Więc nie jesteś w klasztorze?

— Dotąd nie! — odparło smutnie dziewczę.

— Ja wracam z Borowiec, kochane dziecię — dodała po cichu Lassy — i mogę ci stamtąd najświeższe dać nowiny. Niestety! Dziś cię serce moje zupełnie usprawiedliwia... lecz ileż trwogi!...

Babetta nie dała jej mówić, była znowu ze swej strony tak szczęśliwą, iż jej się ta przyjaciółka nadarzyła, a według niej, mogła być tak użyteczną im teraz.

Ponieważ bryka po napojeniu koni już odjechać miała na całą noc księżycową do Warszawy, Francuzka uparła się, by rzeczy pani Lassy odebrać z niej i ją samą zabrać do powozu. Wiele było do mówienia.

— To prawdziwie Opatrzność — wołała, ręce składając — nastęcza nam tę nieoszacowaną Lassy! Nikt w świecie nad nią lepiej nie zna miasta, nikt skuteczniejszej rady

dać nam nie może. Trzeba ją zabrać, zasekwestrować, a przez wieczór i rano, zobaczycie, ile od niej skorzystamy.

Lassy wcale się temu nie sprzeciwiała, pobiegła tylko upomnieć się o pakunek, który Żyd z przyjemnością jej zwrócił, mając na jej miejsce dwóch podróżnych do zabrania. Laura neutralną pozostała przy tych układach, lecz i ona rada była coś się dowiedzieć o Borowcach, o ojcu. Pochwycona tak wśród gościńca guwernantka, której los przywraçał uczennicę, będąc równie gadatliwą jak Babetta, zrazu nie mogła przyjść do słowa ani się dać słyszeć. Mówiły obie, przerywały sobie, nakazywały milczenie, nie umiały się powstrzymać ani pogodzić. Laura, choć smutna, rozśmiała się z tego gwaru i tak dziwnie dobranego towarzystwa.

Po długiej szermierce porozumiały się nareszcie dwie stare przyjaciółki, Lassy pojęła, o co idzie.

— A, mój Boże — zawołała — czyż tu kogo szukać potrzeba? Droga Lauro, masz swą wierną sługę we mnie! Wierzaj mi, lepszej nie znajdziesz, ani która by z równą troskliwością nad tobą czuwała...

Porwała się do nowych uścisków, lecz Laura potrafiła się grzecznie od nich uchronić.

— Nie upatruj we mnie sługi ani przyjaciółki twej macochy, ta kobieta despotycznym swym charakterem wstręt i ohydę wzbudza we mnie. Stanę po stronie uciśnionej, będę ci służyła do śmierci...

Laura nic jeszcze nie odpowiadała, chociaż Babetta klaskała w ręce, szczęśliwa, iż zbędzie się ciężaru i odpowiedzialności.

— Ale czegoż możesz lepszego, dogodniejszego pragnąć nad Lassy! — zawołała. — To kobieta, której bym ze świecą dla ciebie szukała, nieoceniona, doświadczona, dobra, łagodna, a znająca stosunki... ludzi... słowem, chyba nam ją Opatrzność rzuciła na drodze.

Cały wieczór dwa te młynki bezustannie coś mieląc tarkotały, wzajemnie z siebie uszczęśliwione. Laura, niepewna jeszcze, jak postąpić, nie przyjmowała ani odrzucała ofiary.

Późno w noc znużenie zwolniło wreszcie nieco rozmowę. Babetta zaczynała drzemać. Lassy brała się do swej fryzury, aby ją przyprowadzić do porządku.

— Mów mi pani o Borowcach — zagadnęła Laura po cichu.

— Droga moja! Cóż ci powiem więcej nad to, czego się sama domyślać możesz! Żal ojca twójego był bez granic, gniew macochy niesłychany... wszyscy oplakiwaliśmy stratę najukochańszego dziecięcia.

— Lecz cóż z mym ojcem się dzieje? Lassy spuściła oczy.

— W nieutulonym żalu po tobie — rzekła cicho — tak, lecz ani ci się dziwię, żeś uszła od despotyzmu tej niegodziwej, ani dziś bym ci powrót doradzała. Tam wszystko teraz w żelaznych jej rękach... i doprawdy... nie pytaj mnie o więcej.

Laura nie dopytywała też ją o Borowce. Obie przyjaciółki wyszły jeszcze na poufną rozmowę do alkierza. Tu Lassy, zaczawszy od nowych uścisków i ucałowania Babetty, zbliżyła się jej do ucha.

— Wiesz — rzekła — będę ci wdzięczną do śmierci, lecz uczyn tak, by mnie ta dziewczyna wzięła do siebie. Nie mam zajęcia... ona potrzebuje kogoś, a w przyszłości... któż wie, co się z tego wywiązać może? Służyć jej będę wiernie. Bądź co bądź, choć tam wszystkim owładnęła ta obrzydła macocha, panna zawsze bogatą być musi.

Tu rozpoczęła całą Borowiec historię w najnieporządniejszy sposób opowiadać Babetcie.

— Nie chciałam już nic mówić przed dziewczyną — dodała — aleśmy tam piękną historię mieli po jej wyjeździe. Już, już zdawać się mogło, że macocha z całym swym dworem wyleci... Przygoda była okropna, niesłychana, dziwna, przerażająca... Wystaw sobie, kochana Babetto, zamek stary, a pod nim lochy, pieczary, groby... okropność! W tych podziemiach stary ojciec Laury ukrywał ogromne skarby, o których nic nie chciał mówić macosze. Kobieta przebiegła dorozumiewała się tajemnicy. Jednego wieczoru upojono zieleń jakimś starego, wyciągnięto mu klucz spod poduszki i macocha ze swym amantem...

— Więc już jest!

— Był zawsze — odparła żywo Lassy — poszli szukać skarbów. Ale cóż się dzieje? Oto mściwa Opatrzność, wpośród nocy włóczących się po tych podziemiach, zamknęła w nich. Drzwi się żelazne zatrzęsły, pozostali obok trupów i trumien... w ciemnościach... Macocha, jakkolwiek odważna, zemdląła i nazajutrz, gdy się stary, obudziwszy, opatrzył, a drzwi odbito i ich wyciągnięto z tego lochu, ledwie dawała znaki życia. Towarzysz jej o mało nie zwariował, a długo potem mówić nie mógł.

Zdradzony w ten sposób ojciec Laury chciał zrazu rozstać się z macochą, odesłać ją do domu, nie widzieć na oczy. Wdał się ksiądz, kobieta ozdrowiawszy, a znając swą władzę nad mężem, na nowo mu się przymilać zaczęła i wszystko wróciło do dawnego porządku; amant tylko odpokutował, bo go precz wygnano. Kobieta wszystką winę złożyła na niego, iż ją ku temu namówił. Teraz już panuje, jak panowała dawniej, a pierwszym aktem jej władzy było, że mnie, nieprzyjemnego świadka tych zajść, com ośmieliła się brać stronę nieszczęśliwego starca, wygnała, prawda, że mi zapłacili, co powinni... Teraz wiedząc o skarbach, jakich jest panią, choć stary klucz odzyskał i nie dopuszcza jej do nich jeszcze, stara się kobieta niegodziwa wyciągnąć go ze wsi gdzieś, aby pieniądze te na swą rozpustę roztrwonić! Lassy

wzięła się za głowę i płaczącym głosem: — Awantury, moja droga Babetto, awantury! Dziewczyna nie ma tam wracać po co, a ze mną jest bezpieczna; ja do niej, gdyby mi trupem paść przyszło, nikomu przystępu nie dam.

Nazajutrz trzy nasze podrózne przybyły do stolicy, a tu w istocie Lassy okazała się opatrnościowym przewodnikiem. Znała wszystkich i wszyscy ją znali, znalazła tymczasowe mieszkanie, służbę, jedzenie, wyklóciła się na wstępie ze wszystkimi, a Laurze dała odpocząć trochę.

Zmęczona niepokojem, wrażeniami, obawą o przyszłość, Laura musiała się położyć, aby siły odzyskać; Babetta natychmiast wybiegła na miasto i wróciła aż późno w noc, Lassy została przy chorej. Miała ona ten dobry przymiot, że stanowiąc rodzaj opieki, nie mieszała się przynajmniej do niczego. Laura mogła postąpić, jak się jej samej zdawało lepiej.

Posłano więc szukać najprzód mieszkania na ustroniu, w którym by niezbyt *na* oczach jakiś czas przebyć mogły.

Potrzeba było największą spełnić ofiarą i sprzedać Munię. Ze łzami dziewczę poszło się z nią pożegnać, nie mogło rozstać, zapłakało... i zatykając uszy, aby nie słyszeć jej rżenia, wydało wyrok konieczny. Nie wiedziała, kto Munię kupił, zapłacono jej tylko, co chciała, i biedne stworzenie poszło nowemu służyć panu.

Babetta nie powiedziała przed nią, że Georges, który dobił się do Warszawy, a tu znalazł plenipotentą hetmana, nastęczył się jako nabywca i Munię zatrzymał przy sobie.

Drugiego dnia uznojona Lassy już się niezmiernie krzątała po nowym mieszkaniu, porządkowała, gospodarzyła i dawała dowody, iż jej nic nigdy powierzać nie należało. Lecz Laurze było to obojętne, miała schronienie, kątek, spokój, starczyło jej tego na dziś. Lassy, raz się wśliznąwszy, ani myślała już jej opuścić. Posłannictwo Babetty skończyło się, z czego ona sama rada była, pewna, iż dokonała trudnej sprawy, której by nikt inny nie podołał. Nad zamiar jednak długo pozostała w Warszawie, wyjeżdżając dwa razy na dzień i zawsze odkładając powrót do jutra. Laura siedziała prawie ciągle w domu, nie mając ani ochoty, ani ciekawości wychodzić na miasto. Babetta, korzystając z bytności przyjaciółki, razem z nią obiegiła kochaną stolicę.

W jednej z tych ostatnich wycieczek spotkały nieszczęśliwego Georges'a.

— Co pan tu robisz jeszcze? — fuknęła nań z góry Babetta. — Dlaczego nie powracasz? Hetman będzie się gniewał, a wiesz pan, że gniew jego, raz obudzony, jest niebezpieczny. Jestem przyjaciółką pani St.-Georges, w jej imieniu proszę i nagle, jedź pan co najprędzej nazad.

— Ja już pisałem do pana hetmana — odezwał się spokojnie Georges — niech się pani o mnie nie troszczy. Zostać tu muszę i zostanę.

— Po co? — spytała Babetta. — Panu się roi, że ją bezbronną spotkasz, że się wciśniesz do niej, to nigdy w świecie być nie może. Oto ta pani — wskazała na Lassy, która dygnęła — zostaje przy niej na straży, a wiem to, iż Laura nikogo widywać nie będzie.

Georges nic na to nie odpowiedział, ale zaraz nazajutrz czatował na zawiązanie znajomości z panią Lassy. Miała ona słabość do młodzieży, pomimo to oburzyła się niezmiernie na samą myśl, iżby jej kto śmiał chcieć użyć za narzędzie dla zbliżenia się do najdroższej elewki, za którą gotowa była dać życie.

Georges zapewnił ją, iż wcale o tym nie myśli, żądając tylko, by mu dozwoliła być swym wiernym sługą i dobrym przyjacielem. Przeciwno temu nic nie miała pani Lassy, pożegnali się więc bardzo grzecznie i w najlepszej komitywie.

Georges, snadź w bardzo dobrej wychowany szkole, poczynił sobie z wielkim obrachowaniem i taktem. Głowa mu się do tej pięknej Laury paliła, a im niedostępniejszą dlań była, tym rosło pragnienie i namiętność.

Babetta wreszcie musiała jechać, lękała się już Pobożanina, aby nie dał przystępu do serca zazdrości i nie przyjął jej źle po powrocie. Pożegnawszy Laurę, która jej jakimś darem postarała się wywdzięczyć, wyruszyła sama jedna, zmęczona i tęskniąca do jakiegokolwiek towarzysza podróży. Nie możemy zapewnić, żeby go sobie na ludnym naówczas gościńcu nie wyszukała.

Mieszkanie Laury, które wybrała Lassy, leżało dosyć oddalone od środka miasta, przy ulicy Długiej. Była to niewielka kamieniczka, ściśnięta z obu stron dwoma ogromnymi domami, której gospodarz, sławetny mieszczanin i starszy cechu rymarzy, zajmował cały dół na warsztat i dla czeladzi, a pół pierwszego piętra od ulicy w najem oddawał. Na drugim mieścił się jakiś urzędnik z rodziną, w poddaszu szklarz ubogi.

Wielkim szczęściem, pan Zebrzydowski, starszy rymarskiego cechu, właściciel domu (nazwisko dziwić nie powinno, gdyż mieszczanie często od miejsc pochodzenia, jak panowie od dziedzictwa się zwali), trzymał owe pół piętra jako tako umeblowane na wypadek sejmu, a że go podówczas nie było, Laura znalazła w nim przynajmniej to, bez czego się obejść niepodobna. Po ślicznych owych pokoikach w Borowcach, które miłość ojca przystrajała, wydało się to ubogo i pusto, lecz mówiła sobie zawczasu, iż do ubóstwa przywykać musi.

Z okien widać było trochę placu i nieco ulicy; trzy pokoiki, izdebka półciemna i kuchenka składały całe mieszkanie. Starczyło to dla niej, dla Lassy, dla sługi i na przypadek gościa,

którego nigdy nie miano przyjmować. W pierwszych dniach wydało się dobrym wszystko, bo było dla strudzonej spokojem, wytchnieniem, przytulkiem bezpiecznym.

Lassy obiecywała znaleźć później coś przyjemniejszego, Laura zaś nie żądała nic nad wyszukanie sobie zajęcia, celu, pracy, czegoś, co by życie czerze i puste znośnym czyniło. Robotka w rękę nie zaspokajała jej, rzuciła ją z niechęcią, ze wstrętem, jak się odpycha niesmaczną od ust potrawę. Brakło starej Biblii, posłała po nią nazajutrz; lecz stara guwernantka, mimo całej płochości swej niezmiernie gorliwa katoliczka, powróciła przestraszona, przynosząc jej wiadomość, że się jej czytać nie godziło i że innej by nie mogła dostać, chyba heretycką, a tej obawiałyby się w domu, aby go piorun nie spalił. Laura nic jej już nie odpowiedziała.

Natomiast od Dufoura przyniosła nazajutrz Lassy cały stos francuskich książek, których Laura pragnęła. Były to sztuki teatralne i dzieła o teatrze, których tytuły w Emilopolu schwyciła. Zatopiła się w nich z chciwością biedna wygnanka i nie mogła całymi oderwać dniami. Świat i życie, które znała z Biblii i zacisznego kąta rodzinnego, dopełniały się w jej umyśle obrazami całkiem nowymi: ludzi, namiętności, przygód, igrzysk losu (jak wówczas mówiono), które fantazję, rozplomioną własną dołą, rozdmuchiwały, uskrzydlały Więcej jeszcze. Laura wpadła w ten stan gorączkowy, który rodzi samotność, niepewność przyszłości i pokarm poezją przesycony.

Położenie, przyszłość, temperament i charakter usposabiały ją do wyjścia poza obręb, w którym się ludzie powszedni, pilnując ściśle ścieżek i drożyn ubitych, trzymają. Była zmuszona niejako stworzyć sobie świat, stosunki, zajęcia i miała dość siły lub nieświadomości, by to przedsięwziąć bez obawy, z pewną dumą i pragnieniem zwycięstwa. Po całych dniach karmiąc się obrazami świata poetów, rozmyślając o przeszłości, o sobie, roiła tak, jak w dniu gdy sama jedna, przebrana, opuściła Borowce, że z silną a nieustraszoną wolą dobić się potrafi do znośnego przynajmniej życia. Nie marzyła o szczęściu, bo myśl o nim łączyła się ze wspomnieniami o Honorym, a ten był dla niej stracony na zawsze; chciała tylko jakiegoś upojenia i zmęczenia, które by gnuśnie zamrzeć nie dozwalało.

Lassy w niczym jej nie przeszkadzała, zastosowywała się do życzeń, jak umiała, potakiwała aż do zbytku chcąc, zdaje się, dobrze ją zbadać wprzód, nimby czynniej Wpłynąć na los towarzyszki próbowała.

Zajmował ją wielce rozkochany Georges, chociaż o nim ani słowa wspomnieć się nie odważyła. Spotykała go co dzień prawie, udając, że mówić nie chce, potem wdawała się w rozmowę, tak ją poprowadzić umiejąc, ażeby nieszczęśliwego rozkochanego młodzieńca (zwała go w ten sposób) nie zrażać. Na zapytania o Laurę opierała się udzielaniu o niej

wiadomości, lecz zawsze w końcu z czymś się przed nim wygadała. Oprócz młodego Georges'a i znajomość zrobiona przez Babetę na drodze, młodzieniec ów, który nie wiedział jeszcze, po co jedzie do Warszawy, na szambelana jakiegoś rachując, spotykał się z panią Lassy, zapytując jej o Laurę. Ten jednak czynił to z uszanowaniem, chłodno, jakby tylko los jej go obchodził. Chciał wiedzieć, jak się tam pięknej pannie powodziło, co zamierzała itp., gdyż Babetta snadź, sekretu nie dotrzymawszy, na którymś popasie wszystko mu o niej wyśpiewała. Lassy temu biedakowi, który na niej żadnego nie czynił wrażenia, gdyż młodzież tylko arystokratyczniejsza jak Georges, przypadała jej do smaku, odpowiedziała chłodno i widocznie się go zbywając. On też tak natrętnie się nie nabijał.

Lassy była wielce przeciwna zamknięciu się Laury w domu, zaczytywania w książkach, wyrzeczeniu się nawet przechadzek. Miała ona w tym względzie teorie, które z wolna starała się wszczepiać uczennicy, jak się zdawało, bezskutecznie.

— Czyż na to — mówiła — Pan Bóg was tak stworzył piękną i miłą, ażebyś się w czterech murach więziła i więdła? Nikt tu przecie panny Laury nie zna, nikt nie pozna, a ten Georges, to się mu powie, żeby się nie włóczył.

Laura dopiero teraz dowiadywała się o pobycie chłopaka nieposłusznego i mocno ją to rozgniewało. Lassy nie wiedziała, jak gniew tłumaczyć.

— I pani go znasz? — spytała.

— Przypadkiem, idąc z Babetą spotkałyśmy go, a pocziwa Baby zmyła mu głowę, ale to nic nie pomogło.

— Proszę pani, abyś tej znajomości nie utrzymywała i starała się go unikać — odezwała się Laura.

— Ja też ani go chcę widzieć — zaprotestowała Lassy — lecz że się kocha...

Spojrzenie na obruszoną uczennicę nie dało nawet dokończyć; zaczęto mówić o czym innym.

Laura postanowiła wcale się nie pokazywać na ulicy, póki by Georges był w mieście, a wiecznie tu przecież siedzieć nie mógł.

Inne różne przyjacielskie rady Lassy, która chciała się starać o znajomości dla zabawienia Laury, zostały grzecznie odrzucone, bo Lassy nie obudzała wielkiej wiary.

Laura siedziała więc w swych książkach, których jej nastarczyć było trudno, a towarzyszka wymykała się sama, by zaczerpnąć świeżego powietrza i nowych wiadomości. W jednej z tych wycieczek swoich znowu się ów młody szlachcic nastroczył, a że Georges'a nie było i Lassy nie miała się przed kim wygadać, tym razem lepiej go trochę przyjęła. Na zapytanie, co Laura porabia, mogła cały swój zły humor bezpiecznie przed nieznanym

wyspowiadać, gdyż Laura nudzić ją i niecierpliwie poczynała, a wpłynąć na nią nie było podobna.

— Zachciałeś pan! To jest dziwna istota, której, mimo całej swej miłości dla niej, zrozumieć nie mogę. Marzycielka! Czyta, deklamuje, śni na jawie i tak żyje. Byłaby może doskonałą aktorką, na nieszczęście będzie kiedyś bogatą, na co się to jej przydało? Ojciec ją wyszuka, odzyska i wszystko się skończy jakimś zamążpójściem nieciekawym...

— Smutna to pozycja, do teatru... — rzekł młody człowiek — gdzie, jak u nas, teatru nie ma i być nie może pono...

— To po prostu szaleństwo, bo do czego się to jej przydało! — zawołała Lassy.

Z każdym dniem Laura i ten sposób życia zamknięty mocniej dolegała Lassy, która pragnęła z początku być przy swej uczennicy, a teraz już sobie to poświęcenie przykrzyła. Zaklinała się, że będzie służyła jej do śmierci, lecz pono takiego klasztoru, skromnego i pracowitego życia, wcale nie przewidywała.

Jedyną rozrywką i zajęciem było, że musiała z książki role czytać i Laurze deklamującej dawać odpowiedzi. W czasie tych posiedzeń ziewała i patrzyła przez okno, czasem książka spadała jej na kolana, porywała ją rozpacz, naówczas wybiegała pod jakimś pozorem choćby w ulicę lub do ogrodu, żeby te ciężące rozbić nudy.

Sądziła, że one i Laurze się w końcu naprzykrzą, ale na to się nie zanościło. Całą jej pociechą był Georges, który znękaną czekoladę w Saskim Ogrodzie kupował i asystował w przechadzkach, co dosyć pomarszczonej twarzyczce pochlebiało.

Ile razy próbowała coś narzucić, namówić na coś, wpłynąć na towarzyszkę, zawsze odchodziła grzecznie zbyt milczeniem lub półsłowem. Takiego hartu i samowoli w młodej dziewczynie wcale się też nie spodziewała. Gniewała się na nią i na siebie, że się tak omyliła. Zamyślała już nawet wymknąć się z tego więzienia, które jej nic nie obiecywało oprócz nieskończonych nudów.

Jakby to wszystko przeczuwała, Laura do swych fantazji dramatycznych przybrała nową: wróciła do myśli ukrycia płci swej w męskim ubraniu i wprawiała się w to niemal codziennie. Pani Lassy zaś, o ile prawdziwych a przystojnych mężczyzn lubiła, o tyle brzydziła się fałszowanymi i zdało jej się bezbożnością takie przybieranie powagi nienależnej a wyrzekanie się dobrowolnie darów bożych, kobiecego wdzięku i uroku.

Tymczasem Laura codziennie przywdziewała znowu strój męski i znaczną część w nim spędzała, czyniąc znakomite postępy w śmiałości ruchów, naturalności, nawet wyrazie, jaki fizjonomii nadawała.

Zabawki tej Lassy znosić nie mogła. Cóż, gdy jej uwagi i rady nic a nic nie skutkowały. Dziewczę uśmiechało się, a robiło swoje.

Po kilkunastu dniach, jednego letniego wieczoru, gdy Laura tak paradowała po pokoju, a Lassy wzdychała w kącie, poglądając na nią okiem pełnym oburzenia, dziewczę się odezwało:

— Idziemy na przechadzkę.

Stara zerwała się lecąc do zwierciadła, aby poprawić włosy i strój, o który była bardzo troskliwa.

— Ubierajże się moja Lauro!

— Ja jestem ubrana — rzekła, kapelusik męski kładnąc, Laura.

— Jak to? Po męsku?

— A tak! Daję pani rękę i idziemy. Lassy stanęła zdumiona.

— Wieczorem śmielsza będę...

— Ale na cóż ci się to przydało? — spytała.

— Jestem swobodniejsza, nikt na mnie zważać nie będzie. Dawniej — dodała — nie miałam wprawy, chodziłam źle, obracałam się niezgrabnie, teraz rękę, że mnie nikt nie pozna.

— A... a Georges?

— Niekoniecznie go spotkamy, a spotkawszy, pozbędziemy. Lassy zawahała się, lecz wieczór był piękny, w zamknięciu nudno bardzo, oryginalność ją nęciła, podała rękę Laurze i wyszły.

Nowokreowany kawaler, choć ubrany nadzwyczaj skromnie, wydawał się bardzo przystojnym i we dnie byłby może aż zanadto zwracał oczy. Pomimo spóźnionej pory Saski Ogród ludźmi się roił.

Ledwie weszły, Laurę porwała trwoga na widok tłumu wesołego, który ich dokoła otoczył i ścisnął. Przy tym Lassy miała dawnych znajomości do zbytku; kłaniano się jej i witano wesoło ze wszystkich stron. Miała przywilej rozśmieszania swą figurką, pretensjami do piękności i dowcipu. Młody i przystojny mężczyzna podający jej rękę, już przez to, że tak wielką z siebie czynił ofiarę dla śmiesznej Lassy, zwracał uwagę wszystkich. Ledwie uszły kilkanaście kroków, gdy za nimi głos się dał słyszeć:

— Lassy! Lassy!

Stara, choć wylękła, musiała się zatrzymać, tym bardziej że parasolikiem uderzono ją po ramieniu. Za nimi szła osoba niestara jeszcze, twarzy wcale ładnej i świeżej, ale nadzwyczaj otyła. Piękny owal i drobne rysy ginęły wśród rubensowskich podbródków i białych fal, i

przerosłych wdzięków. Czarne oczy ciekawie zwróciła na towarzyszącego Lassy młodzieńca wprzód jeszcze, nim przemówiła do niej.

Była to wdowa po panu kasztelanie wiskim, słynna niegdyś z piękności a teraz z dowcipu, śmiałości i ekscentrycznego nieco postępowania. Lassy dawała niegdyś lekcje jej córeczce, którą kasztelanowa straciła później i nigdy oplakać nie mogła.

— Zaczekajże, utrapiona Lassy! — zawołała. — Wołam cię, pędzisz kontenta, że ci młody mężczyzna podał rękę. Któż to jest?

Wskazała Laurę. Lassy, nie przygotowana do podobnego wypadku, zmieszła się i nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Któż to jest? — powtórzyła kasztelanowa.

Laura chcąc z kłopotu wyprowadzić towarzyszkę, skłoniła się i odezwała głosem cichym:

— Jestem Wawrek Borowiecki.

— Borowiecki? Szlachcic? Z jakich Borowieckich? — spytała kasztelanowa.

Lecz nie dokończywszy zapytania prawie, zaczęła się śmiać mocno.

— No, proszę — rzekła — co to jest moc nałogu! Ja, co się z tej szlachetczyzny śmieję, o małym nie spytała jeszcze, kto pana Borowieckiego rodzi. Cha! Cha!

Popatrzała długo na, oświeconą bliską latarnią i jasnej nocy blaskami, piękną twarz Laury.

— Powiedzże ty mi, Lassy, skąd mogłaś sobie pod rękę chwycić takiego ładnego Borowieckiego?

Lassy ciągle zafrasowana była odpowiedziami.

— Pani wychowywała moją siostrę — rzekła Laura. — Z tego powodu miałem przyjemność ją poznać.

— Kiedy i gdzie? — badała kasztelanowa.

— Właśnie stamtąd wraca — dodała Laura.

— A pan tu co robisz w Warszawie? — mówiła, śmiejąc się i patrząc ciągle jak w tęczę na Laurę, kasztelanowa. — Ta Lassy dla młodego człowieka to złe wcale towarzystwo! Płocha, bałamutka, i znajomości ma różne wcale nieciekawe. Ot, pierwszy dowód na mnie widzisz. Moja Lassy — mówiła ciągle — jak można niewinnego wieśniaka w nocy prowadzić do tej Sodomy i Gomory, którą jest Ogród Saski?

— A, proszę pani kasztelanowej, uparł mi się sam — szybko zaczęła ośmielona Lassy — jam mu to odradzała...

— No, jakże się waćpanu podoba miasteczko? — odezwała się, nie słuchając już jej odpowiedzi, otyła pani, którą Laura zdawała się niezmiernie intrygować.

I nim jeszcze ta zdołała zdobyć się na kilka słów, dodała do Lassy:

— Puśćże twojego kawalera i oddaj mi go. Panie, jakże się zowiesz? Monsieur Laurent? Daj mi rękę. Z dwóch starych bab, jak Lassy i ja, doprawdy już chyba byś mnie woleć powinien...

Lassy puściła Laureę, a kasztelanowa wzięła ją pod rękę.

— Mówże, podoba ci się miasteczko? Czy pierwszy raz w nim jesteś?

— Ja go dotąd nie widziałem — odpowiedziała Laura — pierwszy raz wychodzę dzisiaj.

— Dawno jesteś pan?

— Parę tygodni.

— I pierwszy raz wychodzisz? — Kasztelanowa zaczęła się śmiać. — Cóżś robił?

— Czytałem w domu.

— Cóż to, literat jesteś? Szkoda, taki ładny chłopiec! Co ci tam po książkach!

Laura uśmiechnęła się, a Lassy podchwyciła:

— Ma pasję do komedii i tragedii, do teatru!

— O, to rozumiem! Rzecz w istocie zajmująca. Drugie życie, które człowiek sobie przyswaja. My teraz wszyscy szalejemy za teatrem. U Mniszchów grywamy teatr. Król go lubi... Ale spodziewam się, że pan Borowiecki nie myśli zostać aktorem? — dodała kasztelanowa.

— Gdybym nawet miał tę myśl, jakżebym ją do skutku mógł przyprowadzić, kiedy teatru nie mamy.

— O, będziemy go mieli! — przerwała kasztelanowa idąc powoli i prowadząc z sobą ciągle Laureę. — Król jegomość mocno myśli o tym, wszyscy mu pomagamy, znalazł się nawet człowiek, który to może doprowadzić do skutku.

Laura słuchała z zajęciem.

— Tak, tak! — ciągnęła dalej piękna pani. — To ciekawa historia, bo dotąd nie mieliśmy nikogo, co by pisać umiał dla sceny, oprócz tego nudziarza Bohomolca i tych studenckich sztuk. Proszę was, co może być za komedia bez kobiety, tragedia bez kobiety, a w ogólności, co się może bez nas Obejść? Gdzie nie ma kobiety, tam życia nie ma! Lecz zmieni się to wszystko. Król znalazł człowieka... Przedstawił mu go szambelan Wojda. Chłopak wcale dobrze wygląda, a przebył już w życiu dosyć. O mało nie był pijarem, potem go książę Sołtyk wziął za pazia, potem służył w gwardii litewskiej... Nigdzie mu się nie udawało, a to dlatego, że go los na fundatora sceny naszej przeznaczał.

— A nazywa się?

— O, tylko się mnie o nazwisko nie pytajcie, bo ja sławna jestem z tego, że je zapominam. Ale o nazwisko pono mniejsza, dosyć, że jest człowiek...

— A sąż dramata? — spytała Laura.

— Książd Bohomolec, Krasicki, Węgierski, czwartkowi goście króla jegomości dostarczą ich. Tymczasem my grywamy po francusku. Ja nie mogę — westchnęła kasztelanowa — ciężka jestem, ale inne panie...

Popatrzała na Laurę.

— Kogóż tu asindziej masz znajomego? Masz jakie domy?

— Nikogo — odpowiedziała Lassy — ale też i nie stara się o to.

— Dlaczego? — przerwała kasztelanowa. — To ciekaw jesteś bajecznego świata a nie ciekaw prawdziwego? A wszakże on tak, dalipan, zabawny jak komponowany. Młody i nie szukasz świata? Ileż masz lat? — dodała.

Laura zmieszała się i szepnęła cicho:

— Przeszło dwadzieścia.

— A bałamucisz, mój panie Borowiecki, nie wyglądasz na tyle. I cóż myślisz robić w Warszawie?

— Myśli nic nie robić — przerwała Lassy — siedzieć w kącie i nudzić się.

— Bardzo oryginalny! To mi się podoba! — rozśmiała się tłusciutka jejmość. — Wiesz asindziej co? Nigdy nikogo nie słuchaj, rób, co ci po sercu i po myśli, to najlepiej. Masz rozum. Lassy nigdy go nie miała.

Szli tak ulicą, głośno rozmawiając, a po wesołej, jasnej, czystej mowie kasztelanowej z daleka ją poznać było można i zaraz się zaczęli przyipytywać przechadzający, co Laurę bardzo zakłopotalo.

Pierwsza, która się przybliżyła, była słusznego wzrostu kobieta, sucha i chuda, rysów twarzy grubych i męskich, ubrana mniej starannie, acz strój był kosztowny; twarz jej, mimo że ją brzydką nazwać było można, jaśniała chłodnym rozumem, a oczy tryskały dowcipem. Szła młodziutką panienkę prowadząc u boku, która jej do ramienia ledwie sięgała, z tabakierczką w ręku, a w drugiej miała laseczkę, na której się opierała. W postawie jej było coś dumnego i rozkazującego. Zastanowiła się, zobaczywszy kasztelanową idącą z Laurą, pokiwała głową, spojrzala na nią z góry i rzekła:

— Moja droga, a skądżeś znowu tego nieznajomego kawalera wzięła?

— Widzisz, kasztelanowo (bo i ta miała tytuł ten sam, z tą różnicą, że się zwała kamieńską, po mężu Kossakowską, a z rodu Potocką), szczęści mi się, trafił się na drodze i zasekwestrowałam go.

— Widać, moja mościa dobrodziejko, że nie po dniu wybierałaś, bo pono dla asindźki za młody — odezwała się Kossakowska. — I dokądże z tą swą zdobyczą dążycie?

Wtem obróciła się ku Lassy, którą dopiero co zobaczyła, a że jej nie znała i wydała się jej wielce śmieszną, rzekła ciszej:

— Czy i to należy do twojego dworu?

Tłusciutka kasztelanowa śmiała się. Zamiast odpowiedzi rzuciła jej — dobranoc!

— Jak to dobranoc? Zaczekaj — rzekła pani Kossakowska — przecież cię tak nie puszczę, musisz do mnie iść na wieczerzę, to roi przynajmniej wesołości trochę przyniesiesz z sobą.

Usłyszawszy to, Laura wysunęła powoli rękę i chciała już uciekać, gdy pierwsza z dwóch pań zatrzymała ją.

— Czekaj pan, bardzo proszę...

— Któż ten młodzieniec? — spytała Kossakowska. — Czy szlachcic?

— Niezawodnie — szepnęła pierwsza — chociaż kapturowy być może, za to nie ręczę.

— Bobym go też na wieczerzę prosić mogła; wiek to pono nadchodzi, gdzie byle kto suknię do salonu miał, o dokumenta nie pytają. A ten koczokodan? — szepnęła wskazując Lassy.

— To stara guwernantka! — śmiejąc się odpowiedziała pierwsza.

— Zabrałabym ją, niechby już była prawdziwa uczta ewangeliczna — rzekła Kossakowska. — Chybiło mi dziś wielu... jedne pojechały na hecę, drugie do pani krakowskiej... trzecie do dworu... a jam została sama. Dla miłości twej, kochana kasztelanowo, wezmę już i resztę...

— Kwestia, czy ta reszta wziąć się da — odparła po cichu pierwsza.

Wtem pani Kossakowska z pańską swą miną zwróciła się do Laury.

— Mój kawalerze — rzekła — znajduję waćpana w tak dobrym towarzystwie, iż go pozbawić nie chcę przyjemności pobycia w nim dłużej, a że zabieram panią kasztelanową do siebie, zechcesz jej towarzyszyć, o co proszę bardzo.

Laura miała czas przygotować się i namyśleć, skłoniła się grzecznie.

— Przebaczy mi pani, że najpokorniej dzięki jej składając, odmówię. Byłoby to chcieć podwójnie z jednego trafu szczęśliwego korzystać. Nie chcę być winien ślepemu losowi tego, na co zasłużyć byłoby zaszczytem.

Smażony ten komplement, w smaku wieku, wielce przypadł do gustu pani Kossakowskiej.

— Nie ceremonij się, kawalerze, ładnie mówić umiesz, skromny jesteś, wszystko to cię zaleca, zatem chodź z nami!

— Mościa pani — odwróciła się do Lassy bez ceremonii — proszę i asindżkę na wieczerzę. Stoją przed Pałacem Saskim ekwipaże moje, mam szczęściem aż dwa, bo w

jednym niewierni moi goście przybyli, którzy mnie opuścili dla młodszych, zatem miejsca będzie dosyć dla wszystkich.

Laura była zmieszana tak, iż zrazu nie wiedziała, czyby uciec nie najlepiej, lecz dwie panie nie dały jej kroku zrobić, a Lassy uszczęśliwiona była, stała też na straży. Pomyślała, że wieczorem, między kobietami, może przejdzie nie poznana i potrafi się nie zdradzić, skłoniła się więc milcząca i pociągnęli ku powozom, które przed pałacem znaleźli z liczną służbą, stojące w gotowości.

VIII

Z imienia przynajmniej mało kto nie zna pani Kossakowskiej, najdowcipniejszej kobiety owych czasów, gdy na dowcipie nie zbywało nikomu. Miało go wielu rodziny, inni pożyczany, pełno go było w salonach, biegał po ulicy, nieraz nawet do zakrystii zaglądał. Sadzono się na dowcip jak na koronki i brylanty; byli i tacy, co go sobie kupowali. Robił ubogi dworak koncept, przynosił go panu rano, a jaśnie wielmożny, nie trując głowy zbytnio, we dnie nim znajomych obdzielał.

Pani Kossakowska miała go z bożej łaski, dobrej próby i pod piętnem tej krwi, z której pochodził. W rodzinie Potockich nigdy na zdolnościach nie zbywało; bywały różne, szły w kierunkach rozmaitych, ale głowy mieli. Dość na jedną epokę Ignacego, Jana, a choćby i najnieszczęśliwszego ze szczęśnych, któremu ludzie odejmowali zdolności, choć je miał, a duma je i lekkomyślność zaciemniała. Pani Kossakowska miała dowcip Potoczny (jak ją zwała), dumny, ostry, nielitościwy, poważny, ironiczny, wcale nie figlarny i nie giętki.

Cięła nim jak bułatem, a komu się nim dostało po głowie, długo bliznę nosił. Samemu królowi jegomości nieraz się dostawało.

Rzadkim ona bywała gościem w Warszawie, bo od czasu jak Ciołek na tronie siedział, chyba przymuszona tu przyjeżdżała i na krótko. Tym razem także na kilka ściągnęła tygodni, a że dwór pochłaniał większą część dostojniejszych osób mieszkających w Warszawie, ona zaś z dworem była nienajlepiej, salony kasztelanowej często pustką stały. Bywali w nich Potoccy i ci, co z nimi trzymali, a ze stronnictwa tego niewiele przebywało w Warszawie. Trafiało się więc, jak tego dnia właśnie, że chcąc mieć ludzi u siebie, musiała ściągać ich na ucztę ewangeliczną z ogrodu i ulicy. Zawsze jednak wielka pani, mniej więcej musiała wiedzieć, kogo przyjmowała w domu. Inne dwory w owe czasy daleko mniej zważały na dobór towarzystwa, byle suknia była modna, a język francuski za paszport służył.

Stała pani Kossakowska w nie zajęтым pałacu Potockich niedaleko zamku, jak mówiła, gospodą i popasem, mimo to z przepychem pańskim urządzone było wszystko. Sama chodziła w sukni ciemnej, często bez klejnotów, nie lubiąc się stroić, lecz koło niej musiało być zawsze odpowiednio do imienia, które nosiła, z przepychem i wystawą. Służba liczna, powozy wspaniałe, kuchnia taka, by żaden przybywający gość nie zakłopotał się nigdy.

Po hetmańskim pałacu wiejskim, który by i w stolicy mógł zaszczytne miejsce wśród rezydencji pańskich zajmować, nie zdziwiła Laury wspaniałość apartamentów pani kasztelanowej; cała jej uwaga była zwrócona na gospodynię, której postać i rysy, obejście, słowa miały cechę niezwykłą. Zdawała się cały boży świat mieć za fraszkę i nie szczędziła w mowie nikogo. Poufałym tonem odzywała się po królewsku, ale czuć było, że się szanować nakazywała i nikt by chybić jej nie śmiał. Pani kasztelanowa należała do opozycji i dowcip jej miał szerokie do popisu pole.

Obok niej pierwsza, tłusciuchna, wesola, również rezolutna kasztelanowa stanowiła kontrast, który obu paniom na korzyść wychodził. W salonie nie zastali nikogo, lecz oświecony był, przygotowany, a marszałek dworu, wejrząwszy tylko, już stół do wieczery na potrzebną liczbę osób przygotował.

Laura, znalazłszy się wśród światła, wystawiona na ciekawe spojrzenia dwóch pań sama jedna, widocznie była zmieszana. Lassy siadła pokornie w kątku. Gdy kasztelanowe obie zajęły miejsca na kanapie, gospodyni odezwała się do Laury:

— Zbliźże się, panie kawalerze, ku nam, proszę, siadaj, a jeśli ci to nie uczyni przykrości, powiedz nam co o sobie.

Laura rozpaczliwej nabrała śmiałości.

— To trudno — rzekła — zajmującego nie mam nic do opowiedzenia, a dzieciństwa nie zabawia. Ojciec mój mieszka w głębi lasów na Polesiu, gdzie i ja się wychowałem, świat widzę po raz pierwszy, uczę się go, mówić więc nie mam o czym, ale słuchać wielką ochotę.

Kasztelanowe obie wpatrywały się w nią, gdy mówiła.

— I ojciec waćpana puścił tak samego, bez opieki? — spytała pani kamieńska.

Laura podniosła oczy.

— Nie mam powodu obwiniać ojca za siebie, jam się to puścił sam, bez wiedzy jego... uciekając od złej macochy!

— Jak to? Mężczyzna od baby? — zapytała pani kamieńska. — A toć wstyd!

— Nie mogąc wojować, trzeba było uchodzić, lecz niech będzie dość o tym.

— I cóż myślisz z sobą? — zapytała druga.

— Uczyc się, przeżyć złe chwile, a może lepszych doczekać! — rzekła Laura.

— Wiesz, kasztelanowo — przerwała tłuściuchna — kawaler nie mając dotąd innej pasji, a może broniąc się innym, do sceny i teatru zawziął wielką miłość.

— Byleby go ona za kulisy do aktorek nie zaprowadziła, jak innych ichmościów — rzekła pani Kossakowska — boby go szkoda było.

Laura rozśmiała się mimo woli.

Dwie panie z dziwną ciekawością, prawie natrętnie się jej przypatrywały, snadź je wyraz dziewiczy, młody a razem energiczny, tej pięknej twarzyczki pociągał.

— Co do teatru — odezwała się pani Kossakowska — i ja go lubię bardzo, ale szlachetny, wzniosły, który do uczuć pięknych budzi i na chwilę choć człowieka z powszedniego błota wyprowadza.

I niegodnym mi się zda imienia teatru, co bawi jak kuglarstwo, *ce qui desopille la rate, sans satisfaire l'esprit*. Wszakżeć to stare teatrum greckie poczynało się od onych tragedii, które przy obrzędach uroczystych grywano, a gdy komedie przyszły, kuglarstwo zeszcpecilo scenę i z religijnego obchodu stało się igrzysko.

Laura, której te wyrazy do przekonania trafiły, twarzą i wejrzeniem dała poznać, iż nie inaczej myśli.

— Przyjemnej dowiedziałem się nowiny — odezwała się — od pani kasztelanowej, że i my teatr mieć przecież będziemy.

— Byleśmy Corneille'a i Racine'a mieli, a choćby Moliere'a, znajdzie się komu grać u nas, szczególnie *Tartufa* — rzekła Kossakowska.

I wprędce dorzuciła:

— Bez żartu, w rodzinie królewskiej wiele pono talentów tego rodzaju: deklamują u Mniszców, grają u pani Zamojskiej, nieźle i Czartoryscy... W naszej rodzinie pono nikogo nie znajdziemy, co by tym teatrom dorównał, chyba Jan, co romanse pisze i po turecku się ubiera, ale ten, to poczciwa dusza, gdyby się nie wiem jak przebrał i jakim prawił językiem, poznać w nim zawsze, kim się urodził i jaka krew w nim płynie.

Rozmowa na ten ton wpadłszy trochę się wstrzymała, nikt bowiem gospodyni odpowiadać nie śmiał. Chwila milczenia przegrodziła ją od zapytania drugiej kasztelanowej, która zagadnęła Laurę:

— Czy panu w takiej samotności bez ludzi nie tęskno? Bo Lassy mi mówi, że waćpan nikogo nie widzisz i nigdzie nie bywasz.

— Mnie się zdaje — odezwała się Laura, ciągle krzepiąc, by się okazać po męsku odważną — że ludzie, co mają najlepszego w sobie, w książki swe kładą; obcując więc z

książkami, to tak, jakby się, przepraszam za porównanie, żywiło czystym bulionem. Więc głodu nie ma!

— Przedziwnie, mój kawalerze — pochwaliła Kossakowska — ale ci powiem, że na bulionie byś nie wyżył, bo natura ludzka różnych żywności potrzebuje do życia. Jest dużo zieleniny na pozór niepożywnej, a przecie świat by bez niej był niesmaczny.

— Dobrze to pewnie dla tych, co sobie wygodki robić mogą, lecz są położenia, w których człowiek nie jest panem siebie i do nich stosować się musi. Naówczas żyje, czym może.

— Często i trucizną, do której nawyka! — rzekła pani Kossakowska.

W czasie rozmowy Lassy siedziała ciągle w kątku, dziwiąc się śmiałości Laury; tłściuchna kasztelanowa trochę przez grzeczną, widząc ją samą, więcej przez ciekawość, choć jej wstać z kanapy nie było łatwo, ruszyła się ku Lassy i odprowadziła ją do kątku.

— Skądżeś ty tego chłopaka wykopała? — spytała po cichu. — Ano, mi mów szczerze, co za jeden?

Stara zaczęła się śmiać.

— Mogę tylko pani jedno powiedzieć, że dobrego rodu i rodziny bardzo mającej, lecz... pono oni wszyscy jakieś bziki mają.

— Co za bziki? Dlaczego? — spytała pani.

— Ojciec skąpy i dziwak, a ten... — ruszyła ramionami.

— Cóż ten? Złego co masz nań?

— A, nie, tylko... tylko... sama pani kasztelanowa widzi...

— Ja widzę tylko, że... miły chłopak, a gdyby czasem przyszedł na gawędkę do starej baby, całe bym się nie gniewała.

— A, co pani po nim! — ciągle śmiejąc się, poczęła poufałej Lassy.

— Jak to, co mi po nim? Stara, paskudna plotkarko! Cóż ty sobie myślisz, że ja go myślę bałamucić? Zakochany? Mów!

— Śmiertelnie...

— W kim?

— Nazwiska nawet nie wiem.

— Toć mi wszystko jedno! — odparła kasztelanowa. — Tylko jeśli ma pasję w sercu, niewesość pono będzie, ale choćby i smutny, wyznać muszę, iż miły bardzo.

Gdy podzielona tak rozmowa na dwoje toczyła się jeszcze, w przedpokoju dała się słyszeć wrzawa i głosy liczne. Gospodyni nastawiła ucha.

— Macie ich, otóż pewnie goście moi czynią mi niespodziankę, przychodząc na wieczerzę, która na nich nie czekała.

Drzwi się otworzyły w istocie, kilku panów z wesołymi twarzami, w dziwnie ożywionych humorach, weszło, od progu salutując kasztelanową.

— Za późno, ichmość, za późno! Jeśli na wieczerzę godziliście, oddysponowana! A my właśnie na skromną i postną mieliśmy iść, którą was nie będę częstowała.

Panowie wszyscy szli do ucałowania ręki, śmiejąc się i zarzekając, że wieczerzy nie mieli jeść, i że tylko dla przyjemności złożenia uszanowania gospodyni tak późno się submitowali.

— Boćby to był dzień stracony — rzekł jeden — gdyby wiedząc o pani w Warszawie, nie widział jej kto, gdy mu to szczęście dozwolone.

— Pochlebca! Wracasz z zamku i jeszcze ci się zdaje, że tam jesteś — śmiejąc się rzekła pani kamieńska.

— Nie dla wieczerzy przychodzimy, dość nam soli attyckiej, którą gospodyni obdziela! — odezwał się drugi.

— Nie przyznaję sobie, bym jej zapas miała — rozśmiała się Kossakowska — lecz nie zaszkodziłaby sól na te czasy, gdy tyle kwasu wszędzie.

Poszły tedy słodycze, grzeczności, dowcipy, a Laura strwożona, aby oczu uniknąć, wysunęła się ku pani Lassy i drugiej kasztelanowej. Pomimo to nie wymknęła się dość śpiesznie, by jej nie postrzeżono.

U pani Kossakowskiej, która zwykle trudną była w przyjmowaniu, każdy gość uwagę zwracał i na Laurę więc ciekawe skierowały się oczy.

W chwili tego zamieszania otwarto właśnie drzwi do sali jadalnej i marszałek dworu oznajmił, że wieczerza gotowa. Chociaż panowie ci ledwie byli weszli, okazało się, iż już kredencarz ich przeliczył i nakryć było tyle, ile osób w salonie. Kasztelanowa swej towarzyszce podała rękę, nie chcąc się dać prowadzić do stołu nikomu.

— Ichmość nas opuściliście, my też ich rzucamy. Idźcie sami do stołu.

Laurze chciało się choć teraz wysunąć, lecz za późno było, niestety! Widziała po oczach i szeptach, że się o nią dopytywano; rumieniąc się cała, musiała iść do stołu.

Snadź pani kamieńska srebra swe mieć musiała, choć na krótki czas przybywszy, bo stół się ugiął pod nimi, zastawa była przepyszna. Nie tyle piękna, co bogata, oznajmywała o możliwości domu i świeciła krzyżem Potockich.

Liczna służba otaczała stół dokoła. Nakrycie całe srebrne.

— Przepraszam ichmościów, że na tych talerzach, do którychście nie nawykli, jeść musicie. W drodze jestem, a porcelana się tłucze... trzeba się oszczędzać, by Sasom za nią nie płacić — rzekła półgłosem.

Podano półmisek cielęciny, kazała go kasztelanowa jednemu z panów zanieść, mówiąc:

— Asindziej to lubisz pono... ano, bo nie smakując w tym, źle byłbyś widziany u dworu.

Była to znowu aluzja do herbu Poniatowskich. Od niej to przyjmowano z uśmiechem, bo owa sól przyprawiała, choć co gorzkim było.

Rozmowa tedy wszczęła się o plotkach miejskich, o przyszłych nominacjach, wreszcie o spodziewanych rozwodach i małżeństwach, o niezliczonych zbliżeniach osób i chwilowych kłótniach tych, co się najbardziej kochali.

Kasztelanowa każdej nowince przypięła łatkę, żadnego wybryku nie puściła płazem, a czyniła to tak jakoś bez wysiłku, swobodnie, łatwo, jakby jej to bynajmniej nie kosztowało.

Wieczera postna była dla gospodyni i tych, co wigilię obchodzić chcieli, innym dawano mięso, osobny sługa pilnował kieliszków, do których nie zachęcano, ale próżny przed nikim nie stał. Więc choć się komu dostało, że wszyscy równo obdzieleni byli ostrymi przycinkami, nie psuło to humorów. Na ostatek, spojrzawszy na biesiadników, pani Kossakowska podparła się na rękę i poczęła po cichu do sąsiadki:

— Proszę asindźki, jak tu zwątpić o kraju i o przyszłości patrząc na taki zastęp mężów, którzy losy nasze w dłoniach swych dzierżą? Tylko im asińdzka przyjrzyj się bliżej! Począwszy od pierwszego: ten alchemią się trudni i wynajdzie pewnie lada dzień kamień filozoficzny; drugi maluje lepiej od Bacciarellego, więc też w pięknych kolorach da nam, co z jego ręki wyjdzie: trzeci bardzo szczęśliwie gra po całych nocach, musi kiedyś wygrać i umieć nas do wygranej wywieść; tamten budowniczym jest, więc i Rzeczpospolitą odrestauruje i podeprze; ów koniarz, pewnie aby kawalerii przysposobić rumaków, słowem, wszystko to ludzie, co nie darmo senatorskie krzesła zajmują, aż do tego, co Łazienki pierwsze wystawił. — westchnęła, mówiąc to, kasztelanowa. — Zapomniałam o tych, co wiersze piszą, gdy rachunki by robić powinni, i o tych, co peruki maszczą, gdy szable rdzewieją... ano, taki już nasz los, że nam artystów nie braknie, a chleba piec może nie być komu!

Nikt pono tego cichego zwierzenia nie słyszał oprócz tłusciuchnej pani, która się na nie uśmiechnęła.

— Moja dobrodziejko — rzekła półgłosem — ja mam to przekonanie, iż nie ludzie prowadzą i kierują tym, co być ma, ale Pan Bóg. Co my tam sobie głowę będziemy kłopotali... to Jego rzecz!

Przez cały czas wieczery greczny bardzo, podżyły sąsiad Laury, niewiele mówiąc, wpatrywał się w nią ciekawie. Szczęściem, brał ją za cudzoziemca i temu winna była, iż się tak uprzejmie z nią obchodził. Wstano nareszcie od stołu i towarzystwo podzieliło się na gronka.

— Lassy! — odezwała się Laura — Lassy, pomóż mi w jakikolwiek sposób się stąd wyrwać. Choćbyśmy niegrzeczność popełnili, uchodźmy...

Miały tedy wymknąć się nie postrzeżone, korzystając z chwili, gdy pani Kossakowska rozmową była zajęta, ale w progu już prawie dogoniła je, tocząc jak kulka, okrągłuchna, kasztelanowa wiska.

— Słuchaj no, kawalerze — rzekła, przystępując do Laury — nagadała mi na was Lassy tyle rzeczy, iż mam ochotę przekonać się, czy to wszystko jest prawdą. Nie masz w Warszawie nikogo, jeśli ci się zateśni po bulionie na zieleninę, to choć przemarzyłm jarmuzem mogę waćpanu być, przyjdź na gawędkę. Będziemy deklamowali Racine'a i zabijemy choć jedną z tych godzin, które nas zabijają.

Laura skłoniła się, dała znak Lassy i wyszły. Odetchnęła dopiero w ulicy. Stara towarzyszka, rada i towarzystwu, w które się wcisnęła, i więcej może wieczery, która jej bardzo smakowała, śmiała się z zakłopotanej.

— Już przynajmniej w tym wszystkim winy mojej nie ma — odezwała się — samaś sobie strój ten wdziała, sama wyjść życzyłaś, resztę los zrządził.

— Tak — rzekła Laura — to nauka dla mnie! Nierychło się na nowe przebranie odważę.

— Zrobisz sobie, jak zechcesz, bo mnie słuchać nie masz zwyczaju — odezwała się Lassy — lecz od pierwszej kasztelanowej, wątpię, byś się wykręcić mogła. Wpadłaś jej w oko. Najmilsza z niewiast, ale lubi młode towarzystwo, a byłaś takim ładnym chłopcem, że się jej gustowi nie dziwię.

Nazajutrz szukano pani Lassy po całym mieście, ażeby przez nią trafić do owego Wawrka Borowieckiego; nie było to łatwo kogoś wówczas wyszukać w stolicy, bo o przyjezdnych i zamieszkałych nikt się nie troszczył. I byliby zapewne śludzy kasztelanowej nie znaleźli jej, gdyby jeden z nich, który w ogrodzie za panią szedł, starej jejmości nie spotkał, nie poznał i nie pochwycił. Tym sposobem dostała się do rąk jej kartka z zaproszeniem na wieczór, nie tyle Lassy, ile jej towarzysza, nakazująca go wyszukać koniecznie i przyprowadzić. Samotność tak się już była sprzykrzyła jejmości, iż wiedząc nawet, w jaki to kłopot wprawi Laure, ucieszyła się niezmiernie. Zyskiwała na tym wieczere i trochę rozrywki. Pobiegnęła więc do domu co najprędzej i już we drzwiach, podnosząc liścik do góry, zawołała:

— Panie Borowiecki, to do was!

— Cóż to takiego? — spytała Laura, dosyć strwożona.

— Przepowiedziałam! Jest to zaproszenie od kasztelanowej, na które już odpowiedziałam, że będziemy.

Zaczęła się śmiać, padłszy na krzesło.

— Tym razem — rzekła — nie złapią mnie tak nie ubranej i w stroju do spaceru. Potrafię się ustroić, jak należy do salonu! Ale cóż pan poczniesz, panie Borowiecki, ze swoją nieszczęśliwą męską garderobą, która wcale obfitą nie jest?

Żartowała tak z Laury, namyślającej się jeszcze, czy ma się puścić w odwiedziny, mogące nowego nabawić ją kłopotu i wciągnąć w stosunki uciążliwe. Rozum radził nie przybierać tej roli, która musiała w fałszywe położenie wtrącać, fantazja namawiała do niej. Świat, jeśli nie nęcił, to przynajmniej ciekawym był dla niej, samotność z panią Lassy gorsza niż zupełnie odosobnienie.

Laura uśmiechnęła się sama do siebie w zwierciadle. — Co mi to szkodzi? — rzekła w duchu, ruszając ramionami białymi — przebiorę się i pójdę.

Natychmiast wyprawiła Lassy do swego krawca, u którego już była jedno, niby dla brata, kupiła ubranie.

Przed wieczorem miała strój nowy, niewykwintny, ale uchodzący, choćby na pańskie pokoje. Zresztą, w każdym jej dość było dobrze. Stara jejmość pół dnia przesiadła przed zwierciadłem, sprowadziła fryzjera, pędzała służącą, godzinę kładła ciasne trzewiczki, bielila się, malowała i wyszła nad wieczór przerażająco śmieszna, tak że w teatrze byłaby niechybnie wywołała oklaski. Kontrast starej twarzy z pretensją do młodości, z wysznurowaniem i ruchami prawie dziecinnymi, czynił ją żywą karykaturą, ona jedna tego do siebie nie widziała. Laura wydawała się skromnie, ale piękność uderzająca, wdzięk surowy nieco jej twarzy, wyraz myślących oczu, szlachetność ruchów zdradzały istotę wybraną. Nawet smak w ubraniu dopełniał wrażenia sympatycznego, jakie czyniła.

— Los się spiknął — rzekła, wchodząc do salonu — aby mnie uczynić mężczyzną, cóż to komu szkodzić może?

Spojrzała na Lassy, popatrzyła na podrygującą towarzyszkę, ruszyła ramionami, wyszły.

Kasztelanowa na nich oczekiwała sama jedna. Nie chciała młodego człowieka zaproszonego narażać na spotkanie z liczniejszym towarzystwem, dopóki by mu lepiej się i z bliska nie przypatrzyła. Na widok Lassy, którą dobrze знаła, kasztelanowa śmiechem głośnym parsknęła.

— Kochana moja, cóżes ty z siebie zrobiła?! — zawołała. — Zadałaś sobie tyle pracy niepotrzebnej dla ubrania, w którym ci i niewygodnie, i śmiesznie! Nikt cię nawet i widzieć nie będzie, bo cały wieczór spędzić mamy same, jeśli ten, którego prosiłam, nie przyjdzie.

To mówiąc, posadziła Laurę przy sobie, przyglądając się jej bacznie.

— Mój kawalerze — rzekła — bardzo ci dziękuję, żeś mi przybycia nie odmówił. Do starej baby jak ja, młodzi jak ty rzadko się chcą pofatygować. Jest to dobry uczynek, za który

ci jestem wdzięczna. Musiałeś być pieśczone, to widać z całej twej figurki, a któż cię dziś, biedaku, wygnańcze... popieści?

— Ja właśnie — odezwała się Laura — chcę się odzwyczaić od zbytniego rozpieszczenia i zahartować.

— Spuść się na los... nie masz co sam nad tym pracować i o to się troszczyć. No, jakżeś wyszedł z wczorajszego wieczoru u Kossakowskiej? Prawda, że jest bardzo miła?

— I bardzo straszna — dodała Laura.

— Ależ też zacna bardzo, surowa dla siebie, ma prawo być taką i dla innych.

Tak rozpoczęła się rozmowa, gdy służący oznajmił pana Bogusławskiego. Natychmiast prawie otworzyły się drzwi i Laura spojrzawszy na niego, o mało nie krzyknęła z przerażenia. Był to ten sam szlachcic, którego w drodze z Babetą spotkały, a który ją widział w kobiecej sukni. Nie mógł jej nie poznać, lękała się, by nie zdradził. Zbladła, chwyciła machinalnie kapelusz swój, jakby uciekać chciała.

Bogusławski witał się z gospodynią, którą bardzo pokornie w rękę pocałował, podniósł oczy i ujrawszy a poznawszy Laurę, zrazu stanął wryty. Dała mu znak oczyma, ażeby jej nie wydawał; jakoż prędko przyszedłszy do siebie, a nie wiedząc, co to znaczyć miało, skłonił się jej tylko z daleka.

Lassy przybiegła mu się przypomnieć. Nie było sposobu nic mu szeptać ani go ostrzec o tym dziwactwie.

Kilka razy, usiadłszy, już wlepił oczy w przebranego i z początku w rozmowie nawet dał uczuć, że nie był całkiem panem siebie. Kasztelanowa po krótkim wstępie odezwała się do Bogusławskiego:

— Umyślniem chciała zbliżyć dwóch wielkich teatru miłośników i zapoznać ich z sobą. Widzisz, panie Bogusławski, drugiego takiego jak ty marzyciela, który pragnie scenę krajową, stworzyć... porozumiejcież się z sobą... a któż wie!

Z ciekawością spojrział Bogusławski na zarumienioną Laurę. Ta dawała mu ciągle znaki oczyma, aby zdziwienia nie okazywał, a sama wysilała się na odwagę.

— A więc pan także — rzekł wesoło Bogusławski — wierzysz jak ja, że co mogą mieć Anglicy, Francuzi, Niemcy po trosze, to i my przecie u siebie stworzyć byśmy potrafili?

— Tymczasem — odparła Laura — choć u Anglików i Francuzów zapożyczyć byśmy się mogli, nim swojego coś stworzymy!

— Jak być może — przerwał Bogusławski — by to, co u wszystkich narodów było potrzebą, co zdaje się człowiekowi wrodzone, bo każde niemal społeczeństwo w kolebce już teatr sobie jakiś tworzy, nie istniało u nas? Prawda, że dawniej nie mieliśmy czasu, w obozach

skupiało się całe życie; lecz teraz? Teraz nam koniecznie — dodał — stworzyć należy to dopełnienie żywota i jego powtórzenie przez sztukę.

— A masz waćpan nadzieję? — spytała kasztelanowa.

— Miałbym ją, gdyby to zależało od króla. Niestety, król — mówił Bogusławski — otoczony jest ludźmi, którzy wszystko swoje przed nim śmiesznością okrywają, którzy koszulę szłą prac do Paryża, a jakżeby na scenie własnej prania swych obyczajów dopuścić mogli? Zda im się, że ten język, którym się modlą, którym poeci śpiewali natchnieni, który służy na wyrażenie wszelkich uczuć, nie zdoła powtórzyć, co Corneille, Racine, Moliere, Sheridan i angielski Shakespeare z ludzkiego serca dla umysłu ludzkiego wydobyli...

— A cóż król? — spytała kasztelanowa.

— Król wierzy czasem, niekiedy się śmieje, chciałby się przekonać, a nie ma go komu czynem przeświadczyć o możliwości tej sprawy — westchnął Bogusławski.

— Powoli, powoli — przerwała gospodyni — może do tego przyjdziemy, tylko się dobrze rozmyślimy, aby co może być zwycięstwem, nie było przegraną walną bitwą.

Laurze zajaśniały oczy.

— Zdaje mi się — odezwała się nieśmiało — iż król nie może w to wierzyć, iżby się nie znaleźli u nas aktorowie, co by tak dobrze potrafili odegrać *Cyda* i *Atalię*, jak w Paryżu, ale niestety po francusku! Grywają sceny z nich po domach prywatnych. Idzie o to, aby w naszym języku myśli te i uczucia oddźwięk znalazły, nie tylko przełożone słowa lada jakimi, ale z tą samą harmonią i wdziękiem, z tym samym krasomówstwem, które w oryginale je stroi. Byćże to może?

Bogusławski wstał, nie dosłuchawszy końca.

— Niestety! — zawołał. — Nie ma u nas nikogo, co by chciał temu pióro poświęcić. Język nie nałamany, wyrazów brak, a przecież czujemy wszyscy, że w nim bogactwo takie i giętkość, iż nie ma, czemu by nie sprostał. Człowieka tylko potrzeba innego niż ksiądz Bohomolec!

— Trzeba zacząć choć lada jakimi słowy, a grą nadstarczyć, żeby do pisania pociągnąć! — przerwała Laura.

— Tak, należy od czegoś zaczynać, i ja to czuję! — zawołał Bogusławski. — Ano, sam jestem do tego.

— Słuchaj waćpan — gorąco zaczęła kasztelanowa — mocno mi się ta myśl uśmiecha, ułóżmy co! Pokażmy, że i my potrafimy. A waćpan, panie Borowiecki? Laura spłonęła cała.

— Ja — rzekła spojrzawszy na Bogusławskiego — ja, jako młodszy, chyba bym w niedostatku kobiet, jak. to pono bywało po klasztorach, podjął się kobiecej roli...

— A podjąłżebyś się pan w istocie? — gorąco, przybliżając się do niej, zapytał Bogusławski.

— Spróbowałbym! — rzekła Laura.

Kasztelanowej myśl się podobała, klasnęła w pulchne rączki.

— Zróbmy próbę u mnie! — zawołała.

— Ale z czego? Z czego? — rzekł Bogusławski. — Ja u księży pijarów uczyłem ci się po francusku i nieźle umiem, jednak dla gry za mało.

— Zaprosimy księdza Bohomolca, żeby nam coś na polskie przekuł.

— Tak, przekuł — rzekł smutnie Bogusławski. — Pocziwemu księdzu nie przychodzi to łatwo, zwłaszcza gdy na coś takiego trafi, co się z sukienką jego nie godzi. Jak skoro uczucie górę bierze, a jakaż sztuka na scenie ostoi się bez niego, woła natychmiast — hola! — i przerabiać chce, a w habit przebiera.

— Znajdźże waćpan świeckiego, co by takim skrupulatem nie był! — zaśmiała się kasztelanowa.

— Chybabym sam też kuć próbował, jak ksiądz Bohomolec — zawołał Bogusławski — ale za zręczne i gładkie odrobienie nie ręczę!

— Próbować należy — dodała Laura.

— Myśl oddam — rzekł przysły artysta — ale jej nie przystroję, jak była. Byłem-ci, jak powiadam, u księży pijarów, służyłem księdzu biskupowi Sołtykowi, u którego teatrzyk mieliśmy także i na którym się po francusku grywało, ale potem wojskowom służył i dla konia o deklamacji zapomnieć musiał. Dziś by mi ciężko przyszło.

— A waćpan? — spytała kasztelanowa Laury.

Ta potrząsała, śmiejąc się, głową, zapłoniona znowu.

— O tym ani myśleć — odpowiedziała. — Prędzej bym sobie i ja z koniem rady dał niż z wierszem.

— Skazani jesteśmy na Bohomolca — rzekł Bogusławski. — Mało tak dobrych ludzi jak on — począł Bogusławski — a płynie mu słowo i pióro leci. Ale co z tego, gdy jedno i drugie chyżo biegnąc, kuleje. To samo, co w oryginale śpiewało, w tłumaczeniu wyje aż strach.

— Coś jednak by radzić potrzeba? — rzekła Laura. Radzono, lecz obracało się wszystko około jednego: grać nie ma czego, bo napisać nie ma komu.

Zaczęto o teatrze francuskim, który się najłatwiejszym do przyswojenia zdawał. Laura unosiła się nad jego pięknnością, wtórował Bogusławski, kasztelanowa poddmuchnęła, czy też co na pamięć nie umie pan Borowiecki, co by mógł powiedzieć. Zrazu oparł się przebrany

młodzieniec i wypraszał; znać było jednak, że sił swych przed słuchaczami rad był wypróbować.

Kasztelanowa, choć jej było ciężko, pobiegła do biblioteczki i przyniosła Corneille'a; i Racine'a.

— Ja dam przykład dobry — rzekł Bogusławski. — Przeczytam ustęp, pan musisz pójść w moje ślady.

Przerzucił przyniesione tomy, pomyślał chwilę, jakby się przejąć chciał tym, co miał wygłosić, i począł scenę z *Horacjuszów*. Laura w czasie deklamacji tej, w której Bogusławski na przemianę wszystkich wchodzących do gry odmienne uczucia i mowę umiejętnie oddawał, zmieniając głos, postać, wyraz, jakby w sobie miał kilku odmiennych ludzi i charakterów, słuchała go z zachwyceniem. Skończył nareszcie, znużony, wykrzyknikiem:

— Cóż to warto, gdy się z cudzym językiem łącać potrzeba! W istocie, mimo doskonałego przejęcia się rolą i wydania uczuć, znać było wysiłek i walkę. Mimika i głos były przeciwne, słowo nie rodziło się tak lekko i naturalnie, jak by z ust wychodzić było powinno.

Mimo pochwał Bogusławski posmutniał. Kolej przyszła na Laurę, która wybrała sobie scenę z *Polyeukta*. Z niezmierną ciekawością zbliżyła się kasztelanowa, przysunęła Lassy, Bogusławski stanął na uboczu. Wybór sam wiele dawał do myślenia; scena należała do najtrudniejszych w najpiękniejszej ze wszystkich Corneille'a tragedii.

Lecz była ona upodobaną Laurze, która ją kilkadziesiąt razy czytała sobie, powtarzała, marzyła, jak by ją na scenie w ciało i życie przyoblec należało.

Przyszła nareszcie do tego pojęcia ideału, a choć czuła, iż go nie doścignie, piastowała wzór ten w sobie, szła do niedoścignionego.

W pierwszych wierszach drżał głos nieśmiały, brakło tchu w piersi, duch nie wstąpił w nią jeszcze, lecz wprędce wyrazy, które głosiła, oddziaływać zaczęły na nią samą; potężniały dźwięki, rozplómięła się pierś, odwaga wracała, a Laura doszła do tego uniesienia, w którym artysta zapomina, że nim jest, wciela się w prototyp, nie widzi słuchaczów, żyje, jak salamandra, płomieniem... i podnosi słowo nawet genialne do siły, której nie miało. Słowo to, które leżało martwe i ostygłe, zieleni się, żyje, pali, roznieca płomienie; duch nadaje mu znaczenie, barwę, siłę nową. Czyni je zrozumiałym a pojętnym; z ciemnego, z umarłego nieśmiertelnym. W taką nową suknię młodzieńczy zapal Laury umiał przyodziać wyrazy poety, czyniąc z nich przez ducha rzecz inną i potężniejszą, niż była na zbutwiałej karcie księgi. Na chwilę ona sama uczuła w sobie ogień święty natchnienia, odwagę, jaką on daje,

podniosła się, panowała... wiedziała, że słuchaczów ciągnie za sobą. Lecz wstyd jakiś razem zaczął uciskać i trwożyć, przerwała nagle, padając na krzesło wysiloną.

Krótką tą chwilą była dla niej tryumfem. Zrazu wszyscy jeszcze byli pod urokiem i jakby oniemieli z podziwu, potem kasztelanowa podniosła się i zawołała:

— A, cóż za talent cudowny!... Bogusławski złożył ręce przed nią.

— Któż był mistrzem! Kto pana uczył? Gdzieś tego nabył?

— Ja? — odezwała się Laura zawstydzona. — Uczyło mnie uczucie własne, nikt więcej, próbowałem, myślałem... i niestety wiem tylko, jak trudno dojść do tego, co dusza przeczuwa jako doskonałość.

— Jak żyję, nicem podobnego nie słyszała — przerwała kasztelanowa.

— Ja anim marzył — rzekł Bogusławski.

— A ja anim się po tym zimnym, milczącym jegomości spodziewała! — dodała Lassy z dygiem arcykomicznym. — Tak się ukrywa z talentem, jak drudzy z nim chwałą.

Laura w kątku odpokutowała swe zuchwalstwo, czyniąc sobie za nie wyrzuty i kryjąc z rozpromienioną twarzą.

Serce jej biło jeszcze od wzruszenia, którego doznała sama, i smutek jakiś ogarnął po niezmiernym wysiłku. Bogusławski zbliżył się do niej ze złożonymi rękami.

— A panie mój — rzekł — kiedy ci Pan Bóg dał talent taki, użyjże go, a nie zagrzeb, by zmarniał. Pomóż mi! Zyszczyemy pomoc króla, gdy go potrafiemy przekonać, że i nasz język wzniosłe uczucia wyrazi dźwięcznymi, w udatnej formie wyrazić potrafi. Zarobisz sobie na wdzięczność i na sławę.

— I wdzięczność, i sławę — odparła Laura — chętnie oddaję tym, co ich pragnąć mogą, ja ich nie żądam. Mnie ku sztuce pędzi coś silniejszego nad żądę obojga, sam urok tej sztuki, która człowieka czyni wszystkiego ludzkiego współuczestnikiem i tłumaczem, która wlewa w duszę całe skarby najrozmaitszych wrażeń, uczuć, myśli i istotę małą przetwarza na sturamienną. Życie artysty to historia ludzkości, w jednej piersi zamknięta.

— Gdzieżeś pan tych myśli naczepał? Gdzie się uczyłeś? — zapytał Bogusławski.

— Ja? — rzekła Laura. — Moją nauczycielką była Biblia, cisza, pustynia, miłość ojca i cierpienie.

Zamilkli. Kasztelanowa, wesoła zwykle, spoważniała, patrzyła na gościa swego oczyma pełnymi podziwu i trwogi. Bogusławski był też przejęty i jakby niespokojny. Oczekiwać się zdawał godziny wyjścia, bo go dręczyła ta osobliwsza zagadka.

Podano wieczerzę, przy której kasztelanowa odzyskała humor swój zwykły.

— Słuchaj że, panie Bogusławski — rzekła wesoło — trzeba, żeby się i stare baby mogły na coś przydać na świecie. Ja nie mam co robić... tak, powiem ci, że czasem aż mi się głupstwo jakieś popełnić zachciewa. Zróbcie mnie waszą teatralną patronką. Będę wam pomagała, zainteresuję ludzi, zamęcę światem, zahalaszuję, wciągnę, i... wygramy sprawę. Do takiej roboty nie ma jak stara baba... bez zajęcia i w dymisji. Zaciągnijmy artystów, wybierzmy sztukę, a choćby nam ją i przekładać przyszło samym z księdzem Bohomolcem, przenicujmy ją, nauczmy się, króla zaproszmy... Jak Borowiecki mu tak, jak dziś nam, zadeklamuje, pokonamy wroga i teatrowi damy życie.

— Amen! — zawołał Bogusławski. — Idzie tylko o to, aby pan Borowiecki nas nie opuścił.

— Za co on ręczyć nie może — cicho szepnęła Laura, spuszczać oczy, w których się łza zakręciła.

Po wieczerzy kasztelanowa wstrzymała jeszcze swych gości, nastając na to, ażeby szczęśliwa myśl z jej współudziałem doprowadzona była do skutku. Bogusławski jak Opatrzności pomoc przyjmował to oświadczenie, Laura milczała. Na odchodnym jednak kasztelanowa zatrzymała ją, za rękę cisnąc, i głosem pełnym uczucia, które się kryło pod żartobliwym pozorem, odezwała się:

— Proszę cię, kawalerze, proszę, nie usuwaj się, nie dzicz, pomóż nam, a nie zapominaj o mnie. Przyjdź nie proszony, sam... zawsze ci będę rada. Znajdziesz w tym domu przyjaźń i współczucie.

Zaledwie wyszli w ulicę, Bogusławski, któremu trudno było powstrzymać się dłużej, odezwał się do Laury:

— Któż jesteś, na Boga? Pan czy pani, czy panienka? Gubię się w domysłach. Widziałem ją na drodze w postaci ślicznej kobiety, dziś znajduję piękniejszą jeszcze mężczyzną i znakomitym artystą! Kto jesteś?

— Szanowny panie — śmiejąc się rzekła Laura — ja w tej chwili nie umiem panu powiedzieć, ani czym jestem, ani kim będę. Jak do zacnego człowieka odzywam się, prosząc o tajemnicę; jestem ścigana, ukrywam się, więcej powiedzieć nie mogę i nie potrzebuję. Jeśli pod najsurowszym *incognito* przydatną być mogę dla wygrania teatralnej sprawy, z chęcią panu służyć będę. Żegnam.

To mówiąc, wymknęła się żywo, uchwyciwszy Lassę pod rękę, która cały ten wieczór spędziła w zawodach. Nikt na nią ani na jej strój nie zwrócił oka, paplać nie było z kim, drzemała w kątku znudzona, a trzewiki okrutnie ją cisnęły. Trochę zazdrości i gniewu na

Laure mieszło się do złego humoru, a w tej drodze niejedna zła myśl narodzić się mogła, jeśli już dawniej na świat nie przyszła.

TOM TRZECI

I

W Borowcach od owej katastrofy, o której wypadku mówiła Lassy, życie się wlokło dla nieszczęśliwego Dobka daleko ciężej i nieznośniej, niż on sam w chwilach jasnowidzącego zwątpienia mógł przewidywać. Rozczarowanie po ożenieniu musiało bardzo prędko nastąpić; piękna wdówka rychło zmieniała się w najnieznośniejszą żonę. Lecz w miodowych miesiącach były choć chwile jaśniejsze, jejmość stawała się czulszą, łagodniejszą, powolniejszą i odzyskiwała serce. Dobek mówił sobie, iż choćby była niezupełnie doskonała, w powietrzu Borowiec odżyje, przemieni się, złagodzi. Cale innych był przekonanych stary Eliasz, ale ten się nimi z nikim nie dzielił. Opuszczony stał ogródek, pyłem okryte, odarte pokoiki Laury, ani jej wesołego śmiechu, ani jasnej twarzy wśród ruin posepnych widać nie było.

Straszną noc przebywszy na wschodach w skarbcu razem z rotmistrzem, który był pewien, że mu tam głodną śmiercią umierać przyjdzie, a był to rodzaj zgonu, którego się najmocniej lękał, Sabina odchorowała przerażenie, wstyd i obawę, aby mąż nie odesłał jej z towarzyszem do Smołochowa. Udało się jej przecie obietnicą pieniężnej pomocy skłonić Porębę, ażeby na siebie przyjął winę całą i poniósł za nią wygnanie. Dobek, przerażony tą napaścią na skarby swe, rozgłosem, jaki o nich mógł pójść po świecie, w pierwszych chwilach mówić z winowajcami nie chciał i odgrażał się, iż ich na oczy nie puści. Pośrednictwo księdza Żagła, litość ku kobiecie śmiertelnie chorej, znękanie samo, które mu odebrało energię, złamały pierwsze gniewy. Poręba, pozdrowiawszy, wyjechać musiał natychmiast, dawszy słowo, iż nigdy więcej pokazywać się tu nie będzie. Ponieważ na dziedzictwie w Mazowszu jeszcze nie było co robić, bo tam wierzyciele wytrzymywali długi, przeniósł się cichaczem nie dalej jak do Smołochowa i tam medytował o widzianych po nocy kufrach pełnych złota i o tym, jakby on ich używać potrafił, gdyby do niego należały.

Sabina wstała po chorobie straszliwie zmieniona, chuda, żółkła, kaszląca, tak że o życie jej nawet można mieć było obawę. Powoli potem zaczęła do siebie przychodzić i wszelkimi środkami usiłowała odzyskać dawną swą władzę nad Dobkiem. Stała się dobrą i cichą, czasem nawet dla przypodchlebia mu się wspominała o Laurze, żałując, że dziecko zuchwałe na takie się dobrowolnie naraziło niebezpieczeństwo. Wprędce spostrzegłszy, że Dobek w jej ustach wspomnień o córce nie lubiał, zamilkła. Tymi środkami przyszła po niej jakim czasie do pierwszej nad starym przewagi i panowania. Nie mogła tylko ani o Laurze,

ani o kufrach nic mówić przed nim, gdyż stary gniewał się, milczał i czasem po dobie całej nie odzywał się do niej.

Choć stratę córki opłakał, pan Salomon nie wyrzekł się jej odzyskania. List cokolwiek go był uspokoił, wkrótce potem wróciło znowu pragnienie wyszukania jedyne dziecko. Lecz gdzie i jak je było ścigać? Gdzie się dowiedzieć o nim? Do Borowiec żadna wiadomość spoza granic ich nie dochodziła, posłać nie było kogo; dokąd? Dobek z Eliaszem tylko cicho się naradzał i oba popłakiwali.

Doskonały szpieg, blada Różia podsłuchiwała rozmów pana ze sługą i donosiła Sabinie, że zawsze tylko o Laurze radzili, a tęsknili po niej.

Chciało się bardzo pani Dobkowej do miasta. Wspomnienia młodych lat w nim spędzonych, dawnych miłych znajomości, napelniały tęsknotą; było o czym nie tylko tam się dostać, ale i żyć bardzo wspaniale, lecz jak tu męża namówić? Zdało się jej, że najtrafniej postąpi wmawiając mu, iż tam Laurę najprędzej znaleźć mogą lub skuteczne poszukiwania zarządzić.

Dobek, gdy tę myśl rzuciła, zmilczał, potem po cichu mówił z Eliaszem, a choć ten obawiał się wszystkiego, co od jejmości pochodzić mogło, nie znalazł jej tak złą, jakby się zrazu wydawać mogła.

— Ba — rzekł gładząc głowę — ba! A po cóż z tym jegomości z całym dworem jechać i ekspensować się? To posłać i posłać kogo, co by się umiał obracać.

— Jedź ty, siary — rzekł ojciec.

— Żebym się ja obracać umiał! — westchnął stary.

— Trzeba kogoś wyszukać we dworze!

— Ale kogo?

Głowę sobie łamali na próżno: nie było nikogo. Dobek nierychło wpadł na myśl, aby do Honorego Dobka, do Konopnicy napisać i jemu poszukiwania powierzyć, a że, jak wiedział, nie byli zbyt bogaci Konopnicy, posłać mu na ten cel grosza, aby podróż nie była uciążliwa. Aliści ów Honory tylko co się był z Zosią Bułhakówną ożenił, jakże tu od młodej żony w pierwszych, miesiącach małżonka oderwać i kazać mu po świecie wiatry gnać? Czuł jednak pan Salomon, że to był środek najlepszy, bo na Honorka Laura łaskawą się okazywała, on do niej braterskie miał przywiązanie. Spotkanie nie byłoby tak przykre, a instynkt mógłby być szczęśliwszy.

Napisał więc potajemnie do Honorego, nie wymagając od niego nic, skarżąc się tylko boleśnie a wyrażając życzenie, żeby też znalazł kogoś, co by mu osieroconemu dopomógł w tym nieszczęściu i podźwignął, za co by dozgonną czuł dlań wdzięczność.

Dobek z Konopnicy odpowiedział listem, oświadczając gotowość wszelką ze swej strony przyjścia w pomoc krewnemu, lecz dopytując o wskazówki, by próżno po świecie nie błądzić. Jeszcze to, choć długo przeciągające się listowanie, do żadnej umowy stanowczej nie doprowadziło, gdy pani Dobkowa, która wszystkie korespondencje mężowskie czytać umiała, nie dając tego poznać po sobie, odebrała niespodziewaną wiadomość od starej Lassy z Warszawy.

Rozstały się one wprawdzie dosyć kwaśno, jednak nie zrywając pozornej przyjaźni. Lassy oburzała się, gniewała po cichu, wygadywała przed Laurą na macochę, wkrótce jednak poczęła rozmyślać i z różnych kombinacji wypadło, że nie zaszkodziłoby może spróbować, czy wiadomość o losie i miejscu pobytu Laury nie da się korzystnie spieniężyć. W tych rzeczach stara jejmość z sumieniem swym wchodziła w kompromisa różne, przekonywając się, iż przy jej ubóstwie a niegodziwości ludzi mogących jej dać umrzeć z głodu, zmuszona była z nadarzających się wypadków jak pszczołka wysysać miody.

Z wielką więc oględnością i w największym sekrecie wzięła się do wystylizowania listu natchnionego uczuciami ludzkości, przyjaźni, litości itp. W nim opisywała swój powrót do Warszawy, nadzwyczajne i nie przewidziane wypadki w drodze poniesione, zupełną swą ruinę z powodu, iż dawnych stosunków w Warszawie na powrót zawiązać nie mogła, bo ją wszędzie uprzedzono, potem odzywała się do wspaniałomyślnego serca dawnej przyjaciółki, na ostatek zapytywała jej, czy to z wolą jej zgadzało się, gdyby przypadkowo wpadłszy na trop pobytu Laury (nie pisała, gdzie) doniosła o niej wspaniałomyślnemu Dobkowi, który by pewnie wywdzięczyć się za to nie omieszkał. Z mieszaniny tej jedno jasno bardzo mogła wyrozumieć pani Dobkowa, iż Lassy wiedziała o Laurze i wiadomość tę rada była jak najdrożej sprzedać komukolwiek, bądź ojcu czy macosze.

Przełęczniona mocno Sabina zabrała się do odpisu. Miała ona już w Borowcach swojego własnego faktora, sprawującego wszystkie jej interesa. Aron Lewi, który dawniej posługiwał samemu panu, teraz go tylko kiedy niekiedy odwiedzał, usiłował go zastąpić niejaki Icek, który przez panią spodziewał się kiedyś trafić do pana, jego kasy i pełnomocnictwa. Spełniał więc gorliwie, co mu Sabina rozkazywała. Przez niego poszedł natychmiast list do Warszawy z pieniędzmi i zaleceniem pani Lassy, aby się nie ważyła mieszać w tę sprawę i o niczym donosić.

Jejmość umiała się z tego nadzwyczaj pozornie wytłumaczyć: — Znasz, moja Lassy — pisała do niej — przywiązanie ojca do tego niewdzięcznego dziecka. Po ucieczce, która zakrwawiła serce rodzicielskie, wiadomość o postępach, nieuchronnym będących następstwem tego kroku, byłaby dla starca ciosem okrutnym. Lepiej jest, by ją miał za

pogrzebioną i umarłą, niżby zszarzaną zobaczył. A zszarzać się musi przy swym charakterze samowolnym, gwałtownym, młodości i niedoświadczeniu. Prędzej, później, jeśli do tego jeszcze nie przyszło, nieochoybnie przyjść musi. Ostateczny upadek może by ojcu oczy otworzył i uleczył go z przywiązania tak źle opłaconego itd.

Dawała do zrozumienia Lassy, iż list mieszczący jakąś niedobrą o Laurze wiadomość mógłby w swoim czasie być dla niej pożądanym. Wszystko to baczna kobieta pisała jednak w ten sposób, ażeby na przypadek zdrady przyjaciółki, wytłumaczyć się mogła troskliwością o męża.

Lassy, odebrawszy wprędce dosyć pieniądze zaspokajającą odpowiedź, wyciągnęła z niej dla siebie tę naukę, iż wcale na przeszkodzie wybrykom panny stawać nie powinna, a dogodziłaby macosze, gdyby nawet do nich dopomagała.

Zagłębiła się zatem w kombinacjach, czyby teraz, donosząc samemu Dobkowi o swoim liście do macochy i jej odpowiedzi, nie zrobiła jeszcze lepszego interesu.

— Cóż ja nieszczęśliwa — mówiła sobie — co ja biedna sierota, od wszystkich opuszczona na tym szerokim świecie, mam począć? Muszę się ratować, bo te bezduszne ludziska z głodu mi zemrzeć dadzą!

Z rachunku przecież wypadło, że Dobek za pożądaną wieść zapłaciłby może, choć był bardzo skąpy, ale macocha za milczenie będzie musiała opłacać się tyle razy, ile pocziwa Lassy do jej przyjacielskiego uczucia odwołać się zechce.

Odpisała macosze — tając zawsze, iż z Laurą była razem — ogólnikami tylko a ubolewaniem, iż istotnie zbiegła pasierbica na zły znajdowała się drodze, a chociaż dotąd może nie wpadła w sidła, które świat zastawiał, niechybnie prędzej czy później uniknąć ich nie potrafi. Obok najserdeczniejszego podziękowania za doznaną pomoc, szanowna Lassy wyrażała znowu Ubolewanie nad okropną drożyzną wszystkich życia potrzeb, zwłaszcza przy obowiązku nietracenia z oczu dziecka zbiegłego, czuć się dającą, gdyż przez to zarobkować nie mogła. Była to nowa odezwa delikatna do woreczka Sabiny.

Pomiędzy Borowcami a Konopnicą przyszło wreszcie o tym czasie do porozumienia ostatecznego, o którym wypadkiem tylko pani Dobkowa dowiedzieć się nie mogła, bo list napisany na poczekaniu natychmiast przez jadącego z pieniędzmi Eliasza zabrany został, a stary miał tę ostrożność, iż o celu podróży żywej nie przyznał się duszy. W tym samym czasie, gdy sługa z poleceniem jechał do Honorego, przybył Aron Lewi do swego starego pana z cichą wiadomością, iż dla własnych interesów jedzie do Warszawy i czyby mu jakich nie dano poleceń.

— Mój dobry Aronie — rzekł Dobek — nie mam nic, jedno na sercu i na myśli, uratowanie dziecka. Ty wiesz, jak ją kocham, ty sam masz dzieci, ale nie wiesz może, jaka jest miłość dla jednego.

Żyd pokiwał głową tylko.

— Gdybyś gdzie wieść o niej napytał, a przyniósł mi ją, mój Aronie, a nie wiem doprawdy, jaką bym jej ofiarą nie opłacił.

— A... a! — przerwał, brodę ciągnąc, Żyd. — Ja bym z mojej kieszeni nie żałował, żebym o panience mógł się dowiedzieć, bo ja powiem panu, że pan nie wiesz, jak myśmy ją kochali. To było dziecko jak mało, ona czasem zaszła do nas, my Żydzi, a z moją Rachelą najmłodszą jaka ona była dobra, jaka grzeczna! Dla niej każdy człowiek był człowiekiem, czy żebrak, czy Żyd, czy najędzniejszy wieśniak, ona miała złote serce.

Aron westchnął.

— Po co tymi wspomnieniami gryźć się i zabijać? Miły panie, na co Aronowi mówić, żeby jej szukał?

Tak się rozstali, a kupiec tegoż dnia swoją własną bryką i końmi z zięciem ruszył powoli ku Warszawie, mając stamtąd jeszcze za sprawami handlu drzewnego dojechać do Gdańska.

Tę rozmowę ostatnią podsłuchiwała Różia, doniosła jejmości i Dobkowa trochę niespokojna była z powodu wyjazdu Arona, domyślając się z listów Lassy, że Laura być musiała w Warszawie.

Przeciwno temu niebezpieczeństwu nie było żadnego ratunku.

Odeszła ją też chęć wyjazdu i wyciągnięcia Dobka samego z sobą, z obawy, aby tam Laury nie spotkali. Przychodziło na myśl wyrwać się na jakiś czas samej pod pozorem widzenia z dalekimi (zmyślonymi) krewnymi; to groziło znowu niebezpieczeństwem, by w czasie niebytności mąż nie ostygł lub jakim wpływom jej nieprzyjaznym, na których nie zbywało, nie uległ.

Ważyły się tedy dalsze plany Sabiny, która kilkakroć do Smołochowa jeździła radzić się potajemnie rotmistrza. Z niego wszakże od czasu ostatniego wypadku i choroby żadnego nie mogła mieć pożytku; siedział pilnując gorzelni, próbując okowity i caluteńki dzień był pijany. A że razem z Żydkiem, który służył za operatora, cebulą i czosnkiem się pożywiał, czyniło go to w pokoju nader nieprzyjemnym gościem, czego nawet do siebie znać nie chciał. Jediną rozrywką była mu gitara, a na tej teraz brał tylko nieustannie dwa akordy i rwał struny, przypisując im, że nic już pocziwego zagrać nie mógł.

Od Poręby więc nic nie skorzystawszy, Dobkowa rozmyślała sama, co lepiej, a czas upływał. Eliasz powrócił wprędce, pilno mu do domu było. Przywiózł on list od Honorego,

oznajmujący, iż nazajutrz wyjeżdża, wszelkich postanawiając środków użyć, ażeby Laure, jeśli ona w kraju jest jeszcze, wyszukać.

Z uczuciem żalobnym jechał poczciwy chłopiec w tę drogę. Żył on i wychował się wśród stosunków rodziny całych innych, w karności i wyobrazeniach odwiecznych o zawisłości kobiety i jej stanowisku u domowej strzechy. Będąc w Borowcach, postrzegł w Laurze tę na owe czasy niebywałą samowolę i umysł nieugięty, które dla niego, przy innych jej przymiotach, urok może nowy nadawały pięknemu dziewczęciu.

W porównaniu do cichej, potulnej, posłusznej Zosi, która teraz była jego żoną, Laura wydała mu się czymś niezmiernym, nadludzkim prawie. Obudzona ku niej miłość z każdego rysu wplącała promień aureoli. Za wolą ojca i układami familijnymi idąc, poślubił Zosię przeznaczoną mu, do której od dziecka po bratersku był przywiązany, a Laura pozostała w myśli i sercu czymś wyższym, anielskim, o czym tylko wolno było marzyć i tęsknić.

Do tych uczuć dla Laury nie przyznał się, powróciwszy do domu, ani staremu chorążemu, ojcu, ani swej Zosi, której o kuzynce mówił, nie zdradzając się wcale. Wiadomość o ucieczce z domu o mało go w początkach nie naraziła na podejrzenia i ojca, i młodej żony, tak mocno uczuł to nieszczęście; złożył tylko smutek swój na sympatię dla starca osieroconego, będącego teraz na łasce złej macochy.

Gdy przyszedł drugi list z Borowiec, proszący o pomoc, sam chorąży zaraz oświadczył, że Honory jechać powinien, aby uczynić krewnemu posługę, jakiej miał prawo się domagać. Szło też o wspólne dobro, o imię rodziny. Dobkówna, która się tak w świat awanturniczko puściła, mogła ulec niemiłym dla wszystkich wypadkom.

Gdy potem jeszcze pan Salomon nadesłał przez Eliasza sumę wcale poważną na koszt podróży, której połowa starczyć mogła na najwymyślniejsze wędrowanie roczne po Europie, chorąży, nie wahając się tej ofiary przyjąć od familianta, sam już naglił Honorego, by jechał. Szło o to, dokąd? Nie było wskazówki najmniejszej.

Zosia cieszyła się po cichu z tego, że się wyjazd odraczał, jej ta podróż nie szła w smak. Bóg wie, jak ona długo przeciągnąć się mogła, na co narazić.

Stary chorąży zdecydował, ażeby syn jechał do Warszawy.

— Na wsi, po dworach — mówił — nie ukryje się nic, a tym mniej piękna panna przybywająca, jakby z deszczem spadła; rozbębni się wiadomość od wsi do wsi, od komina do komina, z końca w koniec kraju całego. Kto się chce ukryć, ten głową w wir, w tę przepaść stołeczną leci, bo to tego, mosanie, inaczej jak abyssem nazwać nie można. Albo wpadła gdzie do klasztoru, o czym asindziej wątpisz, bo to się z charakterem panny nie zgadza, lub w

stolicy. No, jeśli tam wpadła, żal mi krewniaka, żal mi dziecka! Lecz patrzaj, byś z kałuży dobywając, sam się też gdzie w błoto nie uwaliał!

Stary chorąży miast nie lubiał, był to mąż tradycji patriarchalnych, który czerpiąc z nich wspomnienia Babilonu, Sodomy i Gomory, uważał je za ogniska wszelkiego zepsucia. Dlatego i ta podróż syna frasunkiem mu była, ano, dla swoich czy w ogień, czy w wodę, obowiązek. Tak dawniej bywało.

Zosia oplakiwała też wyjazd, nie mówiąc nic; weszła do rodziny i musiała podzielać jej uczucia i ofiary.

Przeciagnąwszy wyjazd o dzień jeden, Honory z wieczoru ojca pożegnał, otrzymawszy od niego błogosławieństwo, rano uściskał Zosię, która wstała go przeprowadzić, płacząc, aż do wozu, i ruszył.

Był ci on raz w Warszawie przez dni kilka, znał ją wszakże mało. Pozostały po niej wspomnienia mętne wielkiego zgielku i gwaru, bo trafił na sejm i uroczystości, na które się sądownictwo zjeżdżało. Nie miał żadnego oznaczonego planu. Że pod owe czasy bez pośrednictwa faktorów Izraelitów nic się wykonać nie mogło, bo ludzi innych na posługi ze znajomością Wszystkich zakątków i stosunkami rozgałęzionymi nie było, wiózł Honory od najmajątniejszego kupca z sąsiedniego miasteczka kartkę do jego korespondenta, który w pomoc miał przyjść chorążycowi. W sprawach innego rodzaju, jako szlachcic, miał drogi otwarte wszędzie, do śledzenia, poszukiwań użyć należało jedynej policji, jaka naówczas istniała. W podróży odbytej pośpiesznie, pilnując się dzień i noc po wieśniaczemu, aby nie być okradzionym, unikając podejrzanych karczemek, kłopotząc się o konie, popasy i noclegi, dobił się Honory do stolicy, znalazł na Marywilu kątek do pomieszczenia i nie tracąc czasu, zakrzętała się około wynalezienia korespondenta.

Tego mu usłudni czatujący na podróżnych mnodzy faktorowie w pół godziny dostarczyli. Kupiec miał ze swej ręki nastreczyć najrzęczniejszego a pewnego człowieka; nie namyślał się i pięciu minut, znalazł go natychmiast. Nim nadszedł wieczór Honory rozmówił się z nim i opowiedział mu, o ile się godziło, historię całą. Powtórzyć ją musiał parę razy. Nastreczony faktor zdawał się człowiekiem statecznym i rozsądnym. Wysłuchawszy powieści parę razy, podniósłszy niecierpliwie jarmułkę, uderzył nią po głowie, wyrażając zakłopotanie, i rzekł w końcu, że to był wcale kiepski interes.

— Przepraszam pana, jak pański honor? A, pan chorążycy! Przepraszam pana chorążycy, ale tę pannę mogą dziesięć razy wilcy zjeść, nim my ją znajdziemy. Któż wie, czy ona tu jest! A gdyby nawet była, któż ją po czym pozna? Różnego panieństwa siła wielka, zewsząd się to tu zbiera.

Ruszył ramionami. Trzeba było dawać najrozmaitsze wskazówki, a wszystkie zdawały mu się niedostateczne.

— Idźże pan sobie, zabawiaj się, odpoczywaj, rób, co ci się podoba, na to czasu potrzeba! — rzekł w końcu Izraelita, ciągle okazując niecierpliwość. — Wiesz pan, z przeproszeniem pana chorążycy, ja wszelki interes lubię, gdzie można zarobić pieniądze, nie nastawiając ani karku, ani szyi, ale jak do niego wchodzi, z pozwoleniem, kobieta, to jest zawsze kiepski interes. Wolałbym sześciu mężczyzn szukać niż jednego takiego państwo!

Pomimo takiego zdania faktor poszedł, Honory został, z nadzieją długich nudów rzucony na łaski stolicy. Tego dnia zmęczonemu wychodzić mu się nie chciało. Miał do tego powodów też, bo na Marywilu tak było pełno, iż jego ludzie i konie wśród dziedzińca koczować musieli. Obozowisko składało się z bryk, wozów, szkap najróżnorodniejszego pochodzenia, a wśród niego przechadzało się mnóstwo przekupniów, gałganiarzy, ludzi podejrzanych takie mnóstwo, że można się było o wieśniaczą służbę niedoświadczoną obawiać, aby się okraść i oszukać nie dała. Z okna wychodzącego na podwórze Honory z trwogą patrzył na tę mieszaninę wszechnarodów, w której i jego konopniczanie byli utopieni; dosyć smutnie zszedł mu wieczór na opędzaniu się nieustannie otwierającym drzwi przekupniom, ofiarującym wszystko, czego tylko dusza mogła zapragnąć, i to wyjątkowo tylko dla niego, za psie pieniądze!

Honory zjadł coś w garkuchni wielce obrzydliwego i spać się położył. Nazajutrz trzeba było pójść do kościoła. Nadzór tłumoków poleciwszy z instrukcją właściwą najroztropniejszemu z konopniczan, poszedł chorążyc do karmelitów, gdzie mszy świętej wysłuchał pobożnie. Strasznie mu było smutno. Powłókł się pod zamek, popatrzał na powozy, konie i ludzi, a że się spodziewał swojego wysłańca z wiadomością, wrócił do domu. Żyda nie było ani słuchu. W porze obiadowej, zjadłszy znowu skromnie na dole, a obraniając się mnóstwu nastęrczającym znajomościom, Honory wyszedł przejść się i na ludzi popatrzeć. W ulicy około Bramy Krakowskiej wir był wielki, deszczyk zaczynał kropić, Żyd mógł nadejść, powrócił do gospody. Żyda znowu nie było. Czekał na niego do wieczoru, nie pokazał się. Sam, *proprio motu* nic sobie poradzić nie mógł, myślał długo i spać się położył. Tęskno mu było do Konopnicy i powietrze w Marywilu, zbyt przesycone różnorodnymi wyziewami, pierśm wieśniaczym nie starczyło. Z rozpaczony więc poszedł do łóżka. Obudził się późno, bo w nocy nie mógł usnąć. Żyda jak nie było, tak nie było. Czekał na niego nie ruszając się do południa, posłał nawet, nie umiano go znaleźć. Przekląwszy taką usługę, ponieważ słońce się znowu ukazało i pora była śliczna, ubrał się i wyszedł.

Trafił na nieszczęśliwą godzinę, ledwie bowiem kilka kroków postąpił ulicą, gdy znalazł się w ścisku takim ludzi, koni, wozów i stada owiec pędzonych na rzeź, że kroku naprzód zrobić nie było podobna. Lecz w tej przymusowej chwili spoczynku wypadkiem podniósłszy głowę, już oczu odwrócić nie mógł. Przed nim tuż stał na koniku siwym jadący całe ładny kawaler, który naokoło szpicrutą się opędzając, także kroku zrobić nie mógł, by wybrnąć z niemiłego sąsiedztwa. Owce, becząc, plątały się pod nogami konia, wóz mu zajechał drogę, a z tyłu bryka groziła podniesionym do góry dyszlem.

Koń kawalera szczególną zwrócił uwagę Honorego. Jak diabeł malował, była to Munia, klacz Laury, którą co dzień widując w Borowcach, znał doskonale Honory. Strzałka biała na czole, wicherek biały na piersiach, ona sama, aż mu krew uderzyła do głowy. Wiedział, że się na swe imię wabiła, zawołał na nią.

Szarpnęła się i zwróciła łeb ku niemu, niespokojna. Kawaler siedzący na niej zdawał się zdziwiony mocno i począł się wpatrywać w Honorego, a chorążyc też oczyma go ciekawymi mierzył.

Patrzali tak na siebie parę minut; wreszcie wieśniak, wytrzymać nie mogąc, dotknął czapki.

— Stokrotnie przepraszam pana dobrodzieja — odezwał się — znam tę klacz, idzie mi o to wielce, bym mógł wiedzieć, w jaki sposób ona się panu dobrodziejowi dostała.

Kawaler skłonił się nieco, pomilczał i po chwili odparł:

— Kupiłem ją tu, na targowicy.

— Przepraszam pana, sprawa to dla mnie największej wagi: od kogo, jeśli łaska?

— Nie wiem prawdziwie, kupiono ją dla mnie.

Ostatnią odpowiedź dał już kawaler niechętnie dosyć, kwaśno, i począł się na nowo wielkim wysiłkiem szpicrutę wydobywać ze ścisku.

— Przebacz mi pan — odezwał się, zastępując mu drogę, Honory — ja muszę wiedzieć, skąd ten koń się tu znalazł.

— Mój panie! — odparł dumnie siedzący na Muni młodzieniec. — Jużciż go nie ukradłem!

— Nie gniewaj się pan, nie ma o co — rzekł Honory. — Gdybyś wiedział, jakie okoliczności zmuszają mnie być natrętnym, ręczę, że byłbyś powolniejszy. Jest to osobliwy traf...

— Ale dajże mi pan pokój z trafem i okolicznościami, ja się znam na tych figlach — odparł kawaler, który, jak się domyślić łatwo, nie kim innym był, tylko Georges'em. — Proszę mnie nie zatrzymywać. Kłaniam uniżenie, odpowiadać nie myślę.

Tak ostre znalezienie się grzecznego chłopca nie czemu innemu przypisać należało, tylko domyślnemu sercu jego, które przeczuwało nieprzyjaciela, szukającego Laury. Podejrzany mu był Honory. Zaciął więc klacz i chciał koniecznie wyskoczyć, gdy chorążyc, zawoławszy Muni, stanął wprost naprzeciw i krzyknął:

— Nie puszcze!

Byłoby mogło przyjść do ulicznej bójki i bardzo nieprzyjemnych następstw, gdyby Honory, widząc rozognioną fizjonomię kawalera siedzącego na koniu, nie dodał:

— Mam prawo postąpić tak i wytłumaczę się panu. Koń ten razem z osobą małoletnią zniknął z domu naszego, z domu moich krewnych; jestem posłany i upoważniony do wyszukania osoby, która go miała z sobą. Wezwę pomocy sądowej, a dopytywać się muszę.

Georges wstrzymał się i uspokojony nieco, zsiadł.

— Któż pan jesteś?

— Jestem Honory Dobek, wysłany przez pana Salomona.

— Szanowny panie Dobek — rzekł Georges — wierzę mu na słowo, lecz czegoż się pan chcesz dowiedzieć ode mnie, który nic nie wiem? Jestem Georges, wychowaniec pana hetmana, do którego dworu należę. Przyjechałem do Warszawy, potrzebowałem konia i kupiłem.

— Od kogo?

— Od Żyda.

— Jak to, na targu?

— Kupiłem, bo mi się podobał, zapłaciłem, a sprzedający wcale mi się nie tłumaczył, skąd go wziął! — zawołał Georges. — Czegoż pan żądać możesz ode mnie?

— Nic oprócz trochę grzeczności — rzekł Dobek. — Dawno ten koń do pana należy?

— Mam go kilka tygodni.

— Nabyty tu, w Warszawie?

— Tutaj.

Spojrzeni sobie w oczy, Honory się uklonił grzecznie.

— Darujesz mi pan...

— Nawzajem, proszę o wytłumaczenie mojej chwilowej popędliwości, lecz przyznasz pan, iż być tak napadniętym wśród ulicy, gdy się na dobrze nabytym koniu siedzi, niezbyt przyjemnie. Cóż to za historia tego nieszczęsnego konia i jego pana? Czy został skradziony?

— Uchowaj Boże! — zawołał Dobek. — Lecz koń i pan znikli z domu. Nie idzie o wierzchowca, ale o tego, kto z nim uszedł, bo rodzina nic o nim nie wie.

— Młody człek? — spytał Georges, patrząc uważnie na Honorego.

— Tak! Tak — odparł Dobek — i mogę panu zaręczyć, że gdybyś bliżej znał tę historię, zajęłaby ona go mocno. Tymczasem, przebac mi i przyjm pozdrowienie.

Skłonił się, chcąc odchodzić. Georges go zatrzymał.

— Na wypadek, gdybym co jakimś wypadkiem o właścicielu konia się dowiedział i mógł panu wiadomością się przysłużyć, gdzie go szukać?

— Na Marywilu, w najbrudniejszej dziurze na świecie! — rzekł Dobek, podając rękę. I tak rozstali się ludzko i spokojnie. Georges siadł na konia i powoli odjechał.

Honory wiedział przynajmniej tyle, iż Laura mogła być w Warszawie. Wrócił natychmiast do mieszkania i poruszył cały izraelski świat, by mu jego faktora natychmiast wyszukano.

Czekał nań wszakże do wieczoru na próżno; późno w noc dopiero nadszedł pożądanym w kwaśnym humorze, który zdawał się być jego przyrodzonym usposobieniem.

— Nie ma nic? — spytał Dobek.

— Nic, nic a nic — trzęsąc głową, rzekł faktor — na to trzeba czasu.

— No, to ja mam ślad.

— Pan! Pan masz ślad? — spytał zdumiony wielce Izraelita, nie dowierzając, ażeby ktoś mógł bystrzejszym być nad niego.

— Tak jest. Koń, na którym moja krewna uszła, został tu w Warszawie sprzedany. Kupił go kawaler Georges, wychowaniec pana hetmana, który mieszka...

— A już ja wiem, gdzie mieszka — przerwał Żyd myśląc. — Koń siwy... klacz?

— Tak jest.

— Piękna wcale — mówił Żyd jak do siebie. — Jakim pan sposobem o tym wiesz?

— Przypadkiem. Żyd się zamyślił.

— Teraz — rzekł — to co innego; jest się za co zaczepić, ale póki nie było, a zaczepki musiałem szukać, to był niedobry interes! Po koniu my dojdziemy reszty.

Skłonił się jarmułką i odszedł.

Następnych dni znowu czekając, nie było co robić. Dobek się błąkał jak Marek po piekle. Jednego wieczoru wracał już z Saskiego Ogrodu, gdy naprzeciw siebie idące ujrzał dwie postaci, które go tym uderzyły, iż jedna z nich na widok jego, jakby zdziwiona i przestraszona, cofnąć się chciała i uciekać.

Był to młody nieznajomy mężczyzna, towarzyszący kobiecie ubranej dziwacznie i wystrojonej śmiesznie. Stało się to wśród natłoczonej ulicy, tak że Dobek mógł pośpieszyć, nim idące osoby zawrócić się czas miały. Zbliżywszy się, Honory ujrzał twarz tak podobną do Laury, mimo męskiego ubioru, iż z podziwienia krzyknął i rzucił się ku idącemu. Nieznajomy stał drżący, nie myśląc już ugodzić. Dobek poznał w nim przebraną Laureę.

— Siostró! — zawołał. — Siostró, Lauro droga, ja za tobą gonię, ja cię szukam, na Boga, nie uchodź ode mnie!

Z ust biednej Laury słowo się jeszcze wyrwać nie mogło. Cała drżąca, wzruszona, trzymała rękę Honorego i spoglądała wzrokiem obłąkanym.

— W tym stroju! Ty!

— Ty mnie nie zdradzisz — odezwała się w końcu Laura, spoglądając na towarzyszącą jej Lassy — czekaj chwilę.

To mówiąc, zbliżyła się do towarzyszki.

— Idź pani sama do kasztelanowej, ja dziś być nie mogę, przeprós ją... jutro. Idź!

— A ty? — spytała Lassy.

— Ja muszę powrócić do domu — ośmielając się, dodała Laura — nie lękajcie się o mnie.

Wielce zaciekawiona i dosyć nierada z tego wypadku, Lassy była zmuszona odejść, oglądając się na Laurę, która pośpiesznie zawróciła ku domowi, wiodąc za sobą Honorego. W drodze nie mówili słowa. Laura wprowadziła go do domu przy ulicy Długiej, zostawiła na chwilę w pokoju i poszła zmienić suknie, których się przed nim wstydziła. Honory tymczasem rozglądał się po mieszkaniu milczący i niespokojny. Drzwi się otworzyły na koniec, Laura zarumieniona weszła ubrana, jak była w Borowcach, w skromnej sukience czarnej, podała rękę Honoremu.

— Nie dziwuj się — odezwała — nie łaj mnie i nie sprzeciwiaj się. Widzisz, żem się zaawansowała, byłam do tego zmuszona. Uciekłam z Borowiec, nie mogłam tam pozostać. To straszne widmo, roszczące sobie prawo do nazwiska matki, chciało mej zguby; szło ze mnie życie. Pieszczone dziecię, nie mogłam wytrzymać męczarni, nie chciałam walki, głowa mi się zawróciła. Uszłam, nie powrócę. Byłeś z nami, widziałeś, co się działo i gotowało, tłumaczyć się nie będę. Musiałam wziąć suknię męską, a tę łatwiej jest przywdziać niż zrzucić.

Honory słuchał milcząc, Laura zapalała się mówiąc:

— Jestem zgubiona, prawda? Nie mam nic do stracenia! Tak ludzie powiadają, nie stoję o to, jestem wolna od tego upiora.

— Ale ojciec wasz! Ojciec! — zawołał Dobek. — Ojciec, który mnie posłał szukać was!

— Biedny mój, drogi, kochany ojciec! — westchnęła Laura. — A, gdyby chciał życia, dałabym mu je, a męczyć się tak codziennie nie nauczył mnie, nie umiałam, nie mogłam. Jeśliś przybył mnie namawiać do powrotu, jeśli dla mojego dobra niby, zechcesz mnie zdradzić, bracie, to próżno! Prędzej śmierć poniosę, niż dam tej kobiecie znęcać się nad sobą, niż się dam nakłonić i ująć. Zdradzona przebaczę ci, lecz nie przeżyję tego.

— Kochana siostró — odezwał się Honory — mówmy spokojniej. Znasz moje przywiązanie do siebie, nie możesz się obawiać mnie, bo wiesz, żeś panią nade mną. Ojciec twój polecił mi szukać ciebie, nic więcej, odmówić mu tego nie mogłem, wyjechałem. Szczęśliwy traf, gdym zwątpił już, dał mi najprzód wpaść na trop twój, spotkałem Munię w ulicy...

— Ach! — zawołała Laura. — Jam, niewdzięczna, sprzedać ją musiała.

— Teraz niespodzianie spotykam ciebie. Nie odpędzaj mnie, posłuż się mną, myślimy, co począć, róbmy zgodnie.

— Najlepsze ze wszystkiego — rzekła Laura podając mu rękę — to, że ja ciebie widzę. Namyślimy się potem, co czynić. Dziś jam szczęśliwa z ciebie!

Honory patrzył jej w oczy, w których niby łza się błąkała, zamilkł, pocałował rękę, odstąpił nieco i dokończył cicho:

— Rozkazuj.

— Rozkazuję nic nie mówić o rzeczach, które tłoczą boleśnie, daj mi się sobą nacieszyć.

W chwilę potem spytała o ojca.

Honory miał list jego przy sobie, podał jej nic nie mówiąc. Zaczęła czytać, pocałowała i rozplakała się nad nim.

— Biedny mój stary, a tak nam było cicho, spokojnie, dobrze w Borowcach, dopóki szatan nie wniósł tej kobiety! Niestety! Minione nigdy nie powraca, trzeba o szczęściu zapomnieć.

Honory nie przerywał jej długo, nie sprzeciwiał się, nie śmiał pytać nawet, na ostatek odezwał się:

— Dlaczegoż ten strój? Co on znaczy?

— Z nim mi swobodniej — rzekła — nie zwracam oczu, idę, gdzie chcę, nie jestem skrepowana suknią kobiecą i narzuconymi nam prawami. Żyjąc sama, nie mogłam się obronić natrętom. Nie pytaj mnie wreszcie! Ten ubiór, nie ja go wzięłam, on mnie pochwyił. Chciałam go zrzucić, nie mogłam, było za późno. Wszystko mi jedno — dodała, spoglądając na Honorego — wyrzekłam się przyszłości kobiecej, chciałabym do niepoznania się zmienić. Życie jest zawsze maskaradą. Cóż komu szkodzi moja?

— Kochana siostró — łagodnie odezwał się Honory — jest to zawsze fałsz i udanie, z którym twój charakter szczerzy i otwarty niełatwo się zgodzić może.

— Ta Laura, którą znałeś w Borowcach — odpowiedziała cicho — znikła bezpowrotnie; tamta była inną, lepszą istotą, dzisiejsza niewiele dba o przyszłość, żyje, aby żyć, szuka, czym by wyżyć mogła, bawi się i śmieje z oszukanych ludzi.

— Ta druga — śmiejąc się rzekł Honory — nie bardzo mi się podoba, dawną bym wolał.

— O i ja! Ale oddajże mi życie tamto, ojca, nadzieje moje, serce swobodne, myśl bez troski, wiarę w ludzi! Dziś ja mam politowanie dla nich, a miłości mieć nie mogę, czuję, żeśmy nie istoty rozumne i władzące sobą, ale igraszki losu, marionetki, którymi rzuca niewidzialny sznurek pociągany ręką czarną czy białą, już nie wiem. Jestem jeszcze ciekawa tej gry marionetek, a czy w niej będę ubrana po męsku, czy za kobietę... co mi tam, gdy się lalką czuję!

Smutnie domówiła tych słów, ręką po stole kreśląc bezmyślne jakieś kręgi.

Honory nie chciał jej rozdrażniać ani nalegać przy pierwszym widzeniu, rozmowa stała się obojętna. Laura poweselała i spędzili tak razem wieczór, cicho gwarząc u stolika aż do powrotu Lassy, oznajmującej, że kasztelanowa była bardzo zmartwiona.

II

Następnych dni Honory, podziękowawszy za usługi swemu pomocnikowi, obrażonemu tym, iż się ktoś bez niego obejść i dać sobie rady potrafił, co rana szedł do Laury, spędzał z nią prawie całe dni i nie wracał do mieszkania aż nocą. Zrazu nie chciał nalegać, by coś postanowiła o sobie i powiedziała mu, jak ma postąpić z ojcem, dawał czas do namysłu, potem rzucił jej to zapytanie. Laura zmarszczyła brew.

— A! — zawołała. — Przyznaj się, chce ci się wracać do tęsknej Zosi, do gospodarstwa, i raz uwolnić od tej niepocziwej, zdziwaczalej Laury. Ale słuchaj: dla Zośki twej masz życie całe, dla mnie mógłbyś kilka dni poświęcić. Jestem siostrą, jestem biedną i kocham cię bardzo, pojedziesz, zapomnisz, rozstaniemy się na zawsze, czy ci tak pilno?

— Moja Lauro — zawołał Honory — wierz mi, że jednym słowem wstrzymać mnie możesz zawsze i nawet kazać mi o obowiązkach zapomnieć, ale czyżbyś to chciała uczynić?

— Nauczyła mnie ta trocha życia, które widziałam, wiele egoizmu — rzekła Laura — któż wie? Nie bądź skąpy, nie mów nic, nie wyrywaj się.

— Ale twój ojciec? Twój ojciec? Laura zamilkła.

— Biedny ojciec — odezwała się — cóż pocniemy z nim? Co mu powiedzieć? Że żyję. Co mu skłamać? Chyba, że w klasztorze. Napisz — dodała — żeś mnie widział, że powracać nie mogę, że ci uciekła, albo, albo sama nie wiem już co... To tylko jedno rozumiem, że nie powrócę do macochy!

— A jeśli mnie spyta, gdzie cię spotkałem, jakem cię porzucił, co mu mam powiedzieć, napisać?

— Pisz i mów, co chcesz! Nie pytaj mnie, kończ tylko tym, że nie powrócę, a jeśli chcesz, dodaj: dopóki macocha będzie w naszym domu królowała. Czy sądzisz — odezwała się po chwili, nie odbierając odpowiedzi — że mnie siłą do powrotu w dom rodzicielski zmusić mogą?

— Zdaje mi się.

— Ale dziś dosyć na tym, dosyć, nie truj mi moich kilku dni jasnych, nie chcę mówić o tym.

Nad wieczór tego dnia Laura, na chwilę rzuciwszy Honorego i panią Lassy, wyszła i powróciła ubrana po męsku. — Idziemy na przechadzkę — rzekła — stamtąd do kasztelanowej, która na nas czeka, nieprawda, Lassy?

Stara potwierdziła.

— Jak to? W tym stroju? — zapytał chorążyc.

— W nim oni mnie tam znają.

— I ja mam towarzyszyć?

— Nieodzwonnie, jesteś waćpan moim stryjecznym bratem.

Wszystko to tak lekkomyślnie, śmiało, zuchwale się odbywało, że Honory nie miał prawie czasu ani się sprzeciwić, ani odwodzić. Laura go przestraszyła swą odwagą, a musiał to wyznać przed sobą, czarowała go razem nią i gorącością uczuć, których kryć nie umiała; oładnęła nim na nowo, podbiła go. Posłuszny więc szedł za nią, choć zmieszany tym, że w jej szaleństwie musiał brać udział i przyzwalać na nie, a podzielać. Z fantazją teatralną przez parę dni oswoił się już był nieco, na próżno starając się wmówić jej, że nigdy żaden szlachcic, a tym mniej córka szlacheckiego domu nie występowała publicznie, chyba w teatrach, na których grywali senatorowie i królowy dla własnej zabawy.

— To prawda — rzekła Laura — lecz dziś zmieniły się pojęcia, role, świat cały, a szlachectwo nosi się jak zwiędła róża na pamiątkę, nie przeszkadzając iść, gdzie kto chce, ani czynić, co się podoba. Zdaje mi się, że wprzód narodziła się aktorka, niż dowiedziała, że jestem szlachcianką.

— Doprawdy, przestraszasz mnie — mówił Honory.

— Nie zapominaj, proszę, że nie mam przyszłości, zatem co mi tam!

— Dlaczegoż się jej wyrzekasz?

— Bo nie może być taką, jakiej ja chcę, a takiej, jaką mi los dać może, niby jałmużnę żebrakowi, ja nie przyjmę.

Szli tedy do pani kasztelanowej; Honory wystraszony i milczący, Laura za siebie i za niego odważna i jakby wesół.

Przedstawiła gospodyni Honorego.

Dnia tego nie było nikogo oprócz spiskujących. Znajdował się Bogusławski tylko, a z nim słusznego wzrostu, wesołej a jasnej twarzy, pełnej wyrazu dobroci, mężczyzna w sukni duchownej, spod której widać było gorącego szlachcica, co się cały ze zbytkiem życia i pełnością sił schować w niej nie mógł.

Był to ksiądz Bohomolec, eks-jezuita, literat, improwizator, niezmordowany pisarz, polemista, miłośnik teatru, człowiek, któremu zawsze za mało było pracy i nie dosyć zajęcia.

Twarz jego pełna, okrągła, z wysokim czołem, czarnymi bystrzymi oczyma, śmiała się ochotą życia całe przeciwną tej sukni, która ją krępować miała. Posłuszny jednak powołaniu, starał się je godzić, jak mógł, ze świeckimi zajęciami pióra, z czynną krzątaniem około każdej pocziwej roboty. Wydawał, drukował, stawał się gazeciarem, dramaturgiem, chodził po szpitalach, ratował ubogich, służył biednym, kłócił się z uwłaczającymi krajowi, ochraniając honor jego, a myślą pracował nad tym, jakby jeszcze co do roboty znaleźć. Podobnie wielu innym śpieszącym się z robotą a nie rachującym ze sławą, ksiądz Bohomolec wiele był więcej wart żywy niż drukowany. Pocieszać go mogło to, że ci, co go znali, kochać musieli. Pierwszy to raz dał on się Bogusławskiemu do pani kasztelanowej wyciągnąć.

— Moja mościa dobrodziejko — rzekł na wstępie — pan Bogusławski mi po trosze powiedział, do czego jestem powołany. Na siłach się nie czuję, ale na ochocie nie zbywa. Sukienka mi po trosze zawadza i pióra by też ku temu lepiej zatemperowanego potrzeba.

— Ale bałamucisz, księżuniu — odparła kasztelanowa. — Nie darmo przecie należałeś do najrozumniejszego zakonu w świecie, który zawsze, co chciał, potrafił.

— I za to go skasowano! — westchnął Bohomolec — ale mówmy, o co idzie.

Tu Bogusławski wystąpił. Nie mogła mu z pamięci wyjść owa scena z *Polyeukta* deklamowana przez Laureę; chciał ją mieć przełożoną przez księdza Bohomolca i odegraną przez nią przed królem.

Laura nie wymawiała się od tego.

Ksiądz Bohomolec popatrzał na nią i potrząsł głową, szepcząc Bogusławskiemu:

— Ależ to strasznie młode jeszcze i zielone.

— Za to też ogień ma młodzieńczy — rzekł Bogusławski. Wzięto tedy na stół *Polyeukta*. Ksiądz Bohomolec go znał, odczytał po cichu i położył.

— Gdy my to przenicujemy, wyda się jak obraz Rafaela kredką rysowany przez studenta — rzekł. — Ciężka sprawa.

Trwały narady długo, do których Laura wcale się nie mieszała. Bogusławski, któremu o to szło, żeby Bohomolca zachęcić i dodać mu odwagi, począł jej prosić o powtórzenie tej samej sceny.

Rada może była temu, ażeby Honoremu pokazać się i na nim widzieć wrażenie gry swojej. Nie wymawiała się długo. Wśród uroczystej ciszy rozpoczęła.

Tym razem nie był to już pierwszy ów występ, rażący siłą i uczuciem i porywający nimi, więcej rozmyślana rola, wycieniowana umiejętniej, obrachowana tak, by wszyskiej od razu nie rzucić siły i nie wyszafować wrażenia, prowadziła słuchaczy coraz wyżej, coraz dalej, do przewidzianego zenitu, na którym wśród powszechnego zdumienia skończyła Laura, oczarowawszy wszystkich.

Honory stał osłupiały; ksiądz Bohomolec zmieszany był i niespokojny, jakkolwiek uczucia, które w scenie tej grały, nie miały w sobie nic zdrożnego, były szlachetne i piękne. Ksiądz przerażony był skalą, do jakiej je poeta i aktor doprowadzili. Instynktowo czuł, że już na tych wysokościach nic człowiekiem zawładnąć i pokierować nie może. Milczał.

— Cóż wy na to, mój ojczy? — spytała kasztelanowa.

— Jestem w admiracji i trwodze — odparł Bohomolec — gdyby teatr z taką potęgą działał na człowieka zawsze, za nic kazalnica! Co gorsza, dla tej fikcji musiałaby zbrzydnąć rzeczywistość, która się do niej nie umywała. A co się tycze tłumaczenia, powiem jedno — dodał — złota robić nie umiem. Ten wiersz to złoto czyste, alchemikiem nie jestem.

Złożył tedy ręce, pochylił głowę pokornie. — Nie potrafię. Na próżno go podbudzano, wesoło i dowcipnie wymówił się od roboty.

— Wiesz co, księżuniu — odparła kasztelanowa — mnie tedy co innego na myśl przychodzi. W czasie gdy tedy angielski jeden przejeżdżał wędrownik¹, słyszałam króla rozmawiającego z nim i unoszącego się nad angielskim pisarzem prawie u nas i z imienia nie znanym... Shakespearem. Wiem z tego, com przez ciekawość czytała, izby on, bardziej ludzki, dla nas był może przystępniejszy. Przełożyć by coś z niego, jeśli go król lubi, przynajmniej echo oryginału nie będzie głużyło naszego tłumaczenia.

— Ja po angielsku nie umiem — rzekł ksiądz Bohomolec.

— Są kawałki po francusku.

— Aleby to poznać potrzeba — odezwał się Bogusławski. — Choć król chwali, nie wiadomo, czyby nam ten angielski porter był do smaku.

¹ Coxe. Rozmowa ta jest historyczna (przyp. aut.).

Wzięto się tedy do książek, które kasztelanowa już w pogotowiu miała, wystąpił francuski Shakespeare, którego ksiądz Bohomolec chciał poprawiać, tak mu czasem szorstko brzmiał, którego Laura nie zrozumiała zrazu, a Bogusławski jeden przeczuł, mimo słabego przerobienia.

— Nie na nasze to siły — rzekł. — Kiedyś, może. O ile widzę, Shakespeare całego człowieka bierze, nic zeń nie odrzucając, jakim go Bóg stworzył z błota, ziemi i ducha swego. Francuz z niego ducha tylko wyciąga na alembiku i eliksir ten lepiej będzie smakował słabym, a słabych więcej na świecie niż potężnych.

— Grubianin! — zawołał ksiądz Bohomolec składając książkę. — Pisał to snadź, kiedy przy ucztach królewskich goście jeszcze kości w słomę pod nogami ich leżącą rzucali.

Radzono znowu; kasztelanowa przy Shakespearze, Bogusławski stał przy *Polyeukcie*, ksiądz Bohomolec gotów by radzić jezuicką tragedię szkolną na polski język przełożyć, inni milczeli.

Gospodyni załamała ręce na stole.

— I tak wszystko się tedy rozbija o to, że nam nikt po polsku nawet przełożyć nie chce sceny jakiej, co by przy dobrej grze króla oczarowała, a teatr nam stworzyła.

— Musimy poczekać — odezwała się Laura — pragnienie tej zdobyczy jest w powietrzu, a gdy wszyscy czują potrzebę, musi się znaleźć, co ją zaspokoi. Wszak potrzeba jest przecuciem przyjścia tego, czego pożąda.

Ksiądz Bohomolec popatrzał na nią.

— Bardzo mistycznie to waćpan pojmujesz — rzekł — lecz potrzeba rzeczywistą być musi, a fantazji ludzkich Opatrzność nie ma obowiązku zaspakajać.

Rozmowa stała się ogólną o tej teatru potrzebie i pożytku, zdania były różne, a to wszystko do upragnionego tłumaczenia nie prowadziło. Zaczęto nalegać na księdza Bohomolca, aby złoto robić próbował.

— W najlepszym razie zrobią ichmościom kawałek tombaku, który, choćby dziś świecił, jutro szerniał na śmiecie rzucicie.

Bogusławski, ucałowawszy go, przysiadł się do wyboru sceny, rachując na to, że ją z panem Borowieckim odegra. Laura miała grać rolę kobiecą.

— A nie będziesz się waszmość wzdragał włożyć spódniczkę i rogówkę? — zawołała, śmiejąc się, gospodyni.

— Nie będzie to rzeczą nie praktykowaną — przerwał Bohomolec — bo u nas, na teatrach młodzieży, wszystkie przecie cnoty rodzaju żeńskiego ichmość panowie akademicy z wielkim przedstawiali sukcesem.

Laura się zarumieniła, patrząc na Bogusławskiego, nie odpowiedziała nic, milczenie wziąć było można za zgodę.

Szło tylko teraz o to, gdzie się Bogusławski ze swą zbieraną drużyną miał przed królem i kiedy popisać. To już kasztelanowa ułożyła z góry. Nic łatwiejszego nie było nad zaproszenie króla na wieczór do Powązek, których dziedzice niejednym razem teatrem się zabawiali i wszystko ku przedstawieniu potrzebne mieć mogli. Całe inaczej wyglądał naówczas lasek i sielska niby osada w Powązkach. Była to czarująca wilegiatura, na jaką tylko olbrzymiego majątku familia zdobyć się mogła. Przejeżdżający mimo nie widział tam nic oprócz pięknie utrzymanych trawników i niby dziko rosnącego lasu, w którego układzie i ustawieniu czuć było smakiem wielkim kierowaną dłoń człowieka. Gdzieś na kanale rzucona mostku arkada, w cieniu zarośli bielejący namiot, dalej ruina bluszczami osłonięta zdradzała jakąś niespodziankę. Dopiero bliższe rozpatrzenie się czarowne dawało poznać ustronie. Przyparta do lasu osada, złożona z chat drewnianych krytych słomą, stojących wśród małych ogródków, ze swymi szopkami i chlewkami, kryła pod tą niepozorną skorupką ubóstwa największy przepych, na jaki się naówczas zdobyć było można. W tym czasie spragnionym wrażeń, szukającym kontrastów, chciwym nowości, nie starczyło już pałaców, ukrywano zbytek największy pod słomą, korą i nie okrzesanymi bierwionami, ażeby ten, co go tu znajdował, mocniej jeszcze uczuł jego wartość. Całe Powązki były takim oszukaństwem, w którym pod najskromniejszą szatą kryły się wytworne gniazda z królewską urzędzone wspaniałością.

Był to jakby sen złotego wieku wśród natury, stylem XVIII wieku wyśpiewany.

Życie w chatkach było bardzo modne; książę Radziwiłł budował osadę w Albie, której w słomianym kapeluszu wójtował sam, dostojna gospodyni Powązek, znudzona pałacami, kryła się w słomą krytej chałupce. Każdy park pański miał choć jedną taką udaną ruinę, w środku wykładaną zwierciadłami, i nędzną chatę wyłożoną we wnętrzu. Łatwo więc było w Powązkach wśród szop niepozornych znaleźć teatr, gdzie się spodziewano krów i koni. Ruina starego amfiteatru kryła stajnię, stodoła mogła mieścić salę dla widowiska. I tak było w istocie. Księżna, choć nie wierzyła jeszcze, ażeby w języku, co się chodzić nie nauczył po deskach, można odegrać najwykwintniejszy twór sztuki, przyklaskiwała przedsięwzięciu i chętną mu dłoń podawała.

Wszystko to tegoż wieczoru przygotowane było i osnute. Honory, który słuchał widząc, iż na Laurę rachowano, przykrego doznawał uczucia. Niespodzianka ta, gotująca się dla króla, nieszczupłe kółko jego dworu miała zabawić, mnóstwo osób musiało cisnąć się, by zobaczyć to widowisko nowe, mnóstwo oczu miało się na Laurę skierować, musiała zwrócić uwagę,

ściągnąć ciekawe badania, narazić się na przedstawianie ludziom, którzy i ją, i jej przeszłość by tajemniczą wykryli. Nie pojmował jej odwagi, nie rozumiał celu.

Gdy wyszli od kasztelanowej, Honory z całym przerażeniem, jakie go opanowało, zawołał do niej:

— Do czego to doprowadzi? Zastanów się! To krok, na który ja pozwolić nie mogę, bo on cię zgubi. Cóż dalej?

— Co dalej? — odparła zimno Laura, śmiejąc się. — Albo ty tego nie domyślasz się? Aktor nie ma płci ani wieku, jest duszą, która przywdziewa coraz nowe postacie, w tysiącach metamorfoz coraz nowych życ zmuszony; będę aktorem, aktorką... moją przyszłością scena.

Honory pochwycił ją za rękę z gniewem prawie.

— Nie mówże tego! — odezwał się gwałtownie. — Wieszże ty, czym dziś jest aktor? Klaszczą mu na scenie może i rzucają wieńce, ale któż poda rękę, kto siądzie z nim do jednego stołu? Chory — nie znajdzie księdza, umarły nie ma pogrzebu, żywy nie ma rodziny.

— A jeśli kto nie ma się gdzie pomieścić i dobrowolnie, przez miłość zawodu, święcić się chce i palić na stosie ofiarnym? Któż mu zabronić ma prawo?

— Ale ty, Lauro! Ty, młoda, piękna, bogata, swobodna, iść w to piekło?

— Pokażże mi niebo! — zawołała ze śmiechem dziewczyna. — Wszystko na świecie fatalizmem jest, nieuniknionym przeznaczeniem. Mnie tam ciągnie siła jakaś niezwalczona.

— Na zgubę — dokończył Honory.

— Cicho! Dosyć! — przerwało dziewczę. — Życzysz mi dobrze, a radzisz? Cóż? Powiedz! Klasztor? Powrót do domu? Znajdź, ja nie widzę nic.

Honory zamilkł, pytanie to znalazło go nie przygotowanym.

— Wszystko, co chcesz, ale nie to! — zawołał.

— Ja oprócz tego nie chcę nic. A! — dodała po namyśle. — Tak! Znalazłoby się czego zapragnąć, gdyby to było możliwe. Dwór w Borowcach na ruinach, ojciec szczęśliwy, ktoś jeszcze u mego boku. My sami, dni jednostajne płynące złotym weselem, co by się głośno rozśmiać nie chciało, aby uroczystej ciszy nie przerwać... Ale gdzież taki raj? A gdy raj tego nie ma, czemuż nie polecieć do piekła?

— Między piekłem a rajem, pozwól, że coś trzeciego być może.

— Może — odpowiedziała dziewczyna — ale to trzecie jest drogą ciernistą do raj, a komu on zamknięty, temu i drogi zaparte. Po co iść, gdy dojść nie można?

Honory zamilkł, ścisnęło mu się serce. Chciał ją ratować, brakło słów, środków, nawet mocy nad nią. Zwyciężała go jednym wyrazem. Klóćąc się, rozmawiając, milcząc doszli do

drzwi jej domu; Lassy dobijała się do nich, Honory wziął jej rękę dla pożegnania, przycisnął ją do ust.

— Niedobra jesteś dla mnie — rzekł.

— Tyś nielitościwy.

Obróciła się z uśmiechem dziwnym.

— Ale jutro przyjdź jak najraniej. Nauczę cię sceny, którą musisz deklamować ze mną.

— Ja?

— Tak, ty.

I znikła, a drzwi się zamknęły.

W Honorym walczyło tyle sprzecznych myśli i uczuć, wspomnień, planów, że zaczynał wątpić, czy się z tego zamętu wyplątać potrafi. Szedł do Marywilu pogrążony w dumach, przybity, niepewny, co pocnie, liczył dni upłynione w podróży i w Warszawie, przerażał się swą becznością, słabością swą dla Laury. Czuł sam, że były godziny, w których prawie się jej mógł dać pociągnąć, gdzie by zapragnęła. Miałże uciekać czy zostać? Każdy dzień mocniej go tu przykuwał. Uratować ją było niepodobieństwem, zginąć samemu łatwo. Samo rozmyślanie nad drogi wyborem świadczyło o słabości. Honory uląkł się jej, samego siebie. W rozpaczliwych namysłach spędził noc, chodząc po izdebce.

Czuł, że kochał Laurę, a na wspomnienie poczciwej Zosi, starego ojca, miłego kąta, w którym przebył dzieciństwo i młodość, trwożył się, by w chwili jakiego bezwiednego szału nie dał się wciągnąć na bezdroża, z których już do nich wrócić by nie śmiał i nie mógł. Co miał czynić? Najsilniejsze postanowienie, mógł się już o tym przekonać, jak pajęczyna się rwało, gdy uśmiech Laury zobaczył i błysk jej oczu go przeszył. Trzeba więc było uciekać od czaru.

Z gorączkowym pośpiechem zaczął zrzucać pakunki, powtarzając: — Jechać! Jechać!

A ją zostawić na łup losu, własnej fantazji, niechybnej zguby? — odezwał się głos w duszy.

— Zostać jeszcze — mówił znowu. — Lecz jutro... czy wyrwać się moc mieć będzie? Na to odpowiedzieć nie umiał.

Honory wychowany był w domu i okoleniu, w którego sferę pojęć wtargnąć fantazji nie było wolno, gdzie namiętnościom wstęp był wzbroniony, gdzie ścisły, nieubłagany panował obowiązek. Tu najmniejsza płochość nazywała się występkiem, a skaza wszelka zostawała piętnem niezmaszanym na życie całe. Słabości ludzkie, jeśli ich tu nie okiełznała religia, nie powstrzymał srom pręgierza, musiały chodzić zakapturzone, skryte, drżące, aby ich oblicza

świat nie zobaczył. Przebaczano im tylko wówczas, gdy wstydząc się same siebie, pokutowały tak ciężko, jak grzeszyły.

Dla niego więc chwila ta wewnętrznego boju z sobą była walką o śmierć lub życie, jeden krok fałszywy strącał go w przepaść.

Mimo wiedzy niebezpieczeństwa i dusznej trwogi, siły nie miał obrać drogi, powiedzieć, co pocznie.

Dzień już świtał, gdy nie ubrany rzucił się na łóżko, roił, zrywał się, drzemał, wreszcie kamieniem usnął. Pukanie silnie powtarzane do drzwi zbudziło go. Zerwał się, by otworzyć.

W progu stała uśmiechając się Lassy.

— Daruje mi pan, chociaż czuję, że do młodego mężczyzny odwiedziny tak ranne są krokiem wielce nieprzyzwoitym, ale konieczność!

Weszła krygując się, sznurując usta, oglądając. Honory nie mógł jeszcze przyjść do siebie i zrozumieć, czego od niego żądać mogła ta wstrętna istota.

Po długim dosyć milczeniu, w ciągu którego oczy ciekawe nie próżnowały, Lassy odezwała się:

— Pan chorążyc powinien odgadnąć powód mojego kroku. Współczucie moje dla nich! Ja wiem wszystko.

Dobek stał zdziwiony, nic nie mogąc zrozumieć

— Niech pan się nie tai przede mną — mówiła stara, wzdychając i kaszląc razem — państwo lepszej nade mnie przyjaciółki mieć nie możecie! Ja wszystko wiem.

— Ale ja nie wiem, o czym pani mówisz — odezwał się Honory.

— Niech się pan nie tai! — przerwała Lassy. — Jej uczucia dla niego, pańskie dla niej są mi znane. Wchodzę w nie i dzielam, i współczuję, i rada bym skrócić ich cierpienia.

Honory stał, słuchał i gniew razem, a śmiech go porywał. Takiej powiernicy nie spodziewał się wcale.

— Przepraszam panią — odezwał się — iż zrazu niedobrze wyrozumiałem. Byłbym w istocie bardzo jej wdzięczny, gdybyś mi pani dopomóc mogła do namówienia Laury, aby wróciła do ojca, przejednała się z nim.

Lassy spojrzała złośliwie.

— Pan mi nie ufasz — zawołała — muszę więc jasno się tłumaczyć. Pan się w niej kochasz, ona się w nim kocha. Jesteś żonaty, ale przecież teraz rozwody co dzień dają, możecie się pobrać. Laura bogata, ojciec zezwoli na wszystko!

Honory zbladł z gniewu.

— Mylisz się pani — zawołał — kocham ją jak siostrę, ona ma dla mnie przywiązanie brata, na tym koniec...

Lassy wstała rozgniewana także.

— Ciekawam — rzekła — na czym się to skończy! Zabawna rzecz! Brat i siostra... brat i siostra... Ja bym przecie bratu i siostrzyczce przydać się na coś mogła, niech mi pan wierzy.

— Dziękuję pani za jej dobrą wolę dla mnie, ale, niestety! Korzystać z niej nie mogę.

— Tak? Szkoda! Może pan później żałować, lecz wolna wola. A jeśli spytać się godzi, więc jakież projekta? Powrót na łono kochającego ojca! Cha! Cha! Ale ona nigdy się na to w świecie nie zgodzi! Widzi pan, ja panu powiem, bo świat znam doskonale, zostanie z desperacji aktorką i pierwszy lepszy amant teatralny... rozumie mnie pan? Scena nie daje spoczynku ani fantazji, ani sercu, znudzi się w końcu schnąć tak marnie... Więc tak lepiej...

Cyniczne to, przerywane śmiechem szkaradnym powiedzenie Lassy oniemiło wstydliwego Honorka spuścił oczy. Burzyło się w nim. Ona spojrzała nań szydersko, złośliwie, bezwstydnie, rozśmiała się i nie czekając odpowiedzi, dygnęła i wyszła.

Po snach nocnych te ranne odwiedziny wydały się chorążycowi wizytą diabła kusiciela. Nierychło przyszedł do spokoju, znękany, z niechęcią prawie powlókł się do Laury. W progu spotkała go ukłonem Lassy, która go wyprzedziła i rzuciła mu wzrokiem bazyliuszka w duszę. Drżący wsunął się do pokoju Laura po kobiecemu ubrana, siedziała w krześle z brwiami namarszczonymi, blada. Ręce trzymała ściśnięte pod brodą i patrzyła na drzwi, gdy Honory się pokazał.

— Tak późno? — rzekła na przywitanie.

— Byłem chory, jestem niezdrów — odezwał się chorążyc.

— Kiedy jedziesz do domu?

Spojrzelili na siebie. Honory nie zrozumiał pytania.

— Mam jechać?

— Musisz, powinienes.

— A ty?

— Ja zostanę — rzekła Laura spokojnie — a dokądzebym wracać miała?

— Cóż ojcu powiem?

— Żeś Laury nie znalazł — zaczęła spokojnie a posepnie. — Wierz mi, Honory, nie skłamięsz. Tej Laury, co tam żyła w Borowcach, nie ma na świecie, tamta Laura umarła, leży pogrzebiona obok przodków w grobach pod zamkiem; stary Eliasz chodzi tam, wieńce nosząc na jej trumnę. Ja już nie jestem tamtą Laurą, jam inna. Krótki czas zmienił mnie całkowicie. Sama nie poznaję siebie. Ty także przyczyniłeś się do tego. Przyjechałeś, zaręczony z drugą,

wziąć mi serce. Bez serca musiałam być trupem. Cóż teraz kogo obchodzi, gdzie się te resztki podzieją? Czy gdzieś zgniją rzucone w dół błotnisty, czy zeschną w piasku i w proch się rozsypią? Z tej Laury obałamoczonej ani ojcu, ani domowi, ani rodzinie, ani tobie nie byłoby pociechy. Więc wróciwszy, powiesz im, iż słyszałeś, że umarła. Koń mnie gdzieś zrzucił w lesie, wilcy rozszarpali, zbójcy zabili, utonąłam w rzece... Tyle rodzajów śmierci masz do wyboru... proszę cię! Możesz sobie to tak ślicznie ułożyć. A teraz, kochany bracie, do interesów!

Zamilkła. Chorążyc podniósł na nią oczy łzawe.

— Godziż się mi tak serce rozdzierać?

— Zosia ci je tak zszyje, że nie będzie znaku! — śmiejąc się dziko, odpowiedziała Laura.

— Lauro moja, jesteś bez litości!

— Powiedz, że bez wstydu! Prawda, mój Honory, nic już nie mam, straciłam wszystko, ból tylko został.

Chorążyc zerwał się z krzesła.

— To trzeba oszaleć! — zawołał.

— Ale nie, musisz mieć rozum za nas dwoje — odpowiedziało dziewczę. — Słuchaj no, powierzam losy moje w ręce twoje, słuchaj uważnie. Gdym, przeczuwając moją dolę, ostatni raz wolnego jeszcze ojca uściskała ze łzami, przeczucie mi mówiło, że się w świat od tego upiora rzucić będę musiała. Ojciec mi dał jałmużnę, trochę złota. Ja zarobić nic nie potrafię... W rękach starego Eliasza jest moje całe mienie, dam ci kartkę do niego, on ci je odda, ty mi odeszlesz. Muszę to przecież stracić. Widzisz, kochany Honory — dodała — gdy kto jest taki biedny jak ja, to się musi bawić. Szczęśliwi nie potrzebują zabawy, ale biedni się bez niej obejść nie mogą.

Łzy miała na oczach, a oczy na niego zwrócone.

— Jedź — rzekła — jedź! Sama zgubiona, ciebie gubić nie chcę.

Ciebie, twoją Zosię, starego ojca, twą przyszłość miałabym na sumieniu. A nie chcę, nie chcę! Jedź sobie do domu! Wierz mi, ja się zabawię, zadurzę, pocieszę, będę występowała, będę im w oczach jak kameleon, mężczyzną dla kobiet, kobietą dla mężczyzn, szatanem dla obojga, to będzie bardzo zabawne... Mówię ci, nieszczęśliwi bawić się muszą, a ty sobie jedź! Jedź i nie powracaj już nigdy. Nie powinieneś powracać, bobyś mnie mógł znaleźć taką, że bym się ci w oczy spojrzeć wstydziła. Wszystko może być. Mówię ci, nieszczęśliwi bawić się muszą. Honory stał na mękach.

— Nie bierz tego tragicznie — dodała — ja mówię chłodno i rozumnie, wracaj do domu, gospodaruj, kochaj żonę, bądź szczęśliwy! I jedź sobie prędko...

Wstała z krzesła, jakby pchnięta siłą jaką.

— Nie masz tu na co czekać! Ja nie powrócę ani się nawrócę. Ojcu powiecie, żem umarła, tak będzie najlepiej, opłacie i wszystko się skończy. Mnie się nawet zdaje, że wszystko już skończone, zerwałam z całą przeszłością, powrócić do niej nie mogę z tobą, mój drogi Honory, kończymy dzisiaj niedośpiewaną piosnkę młodości na zawsze. Myślą was czasem nawiedzę chyba pod cichą strzechą, szczęśliwych, przyjdę upiorem z tamtego świata popatrzeć na borowiecki mój grób i na gniazdko twoje. Jakaś siła mnie pchnęła w ten wir, w którym tonę z przedśmiertnym śmiechem na ustach. Smutne to, smutne, ale my nie władamy sobą.

I po chwili milczenia spytała stojącego przed nią Honorego:

— Kiedy jedziesz?

— Moja Lauro, ja cię tak odjechać i w tym usposobieniu zostawić nie mogę.

— Więc cóż myślisz?

— Cokolwiek bądź, byle nie to, co jest i co mówisz.

— Klasztor? — zapytała Laura wzdrygając się. — Nie mogę. Z dwojga śmierci wolę pijaną a prędką niż powolną. Natura moja potrzebuje ruchu nawet w rozpacz i zwątpieniu, sięść dwadzieścia lat konać, jestże to, czego byś życzył dla mnie? W milczeniu zabijać się myślami... nie! A jeśli nie to, mów, co?

— Zdaje mi się, że między klasztorem a tym, co ty obrała, jest wiele stopni jeszcze.

— Tak, na nieszczęście niedostępnych dla mnie. Jest szczęśliwe małżeństwo, jest nawet małżeństwo nieszczęśliwe, jest jarzmo macochy. No! I co więcej?

— Znalazłby się dom pokrewny, a choćby i obcy, w którym byś żyć mogła.

— Na rezydencji? Wiesz, to także miłe jest życie. Z rana na posłudze jejmości i dzieci, do obiadu na dzwonek wysznurowanej przyjść, sięść na szarym końcu, jeść, co się po drugich zostanie, wieczorem dzieciom chleb smarować lub towarzyszyć na spacer, bawić kwestarza i gości, których nikt nie chce, nareszcie, dawszy dobranoc, wrócić do samotnej, nie opalonej izdebki. A, zapomniałam, trzeba mieć kotkę faworytę! Zapewne, że i tym żyć można, ale z dobrej woli sobie obrać takie zasychanie...

Rozśmiała się.

— Nie mów już nic więcej — rzekła — bo nie masz co powiedzieć, bo nie ma nic. Ponieważ zgubiona jestem, chcę ginać wesoło. Mówiłam ci, co mi w duszy tkwi; nieszczęśliwi bawić się muszą... Jedź więc, jedź i nie dowiaduj się o mnie, aby ci się serce nie krwawiło, abyś nie wstydział się za mnie. Pogrzeb i ty tę Laure, którą poznałeś w Borowcach, i odmów za nią czystymi usty paciorek. Tak, mój Honory, tobie co prędzej jechać potrzeba, na

ciebie czekają ci, co do ciebie prawo mają, a ja nie mam żadnego niestety! Im dłużej tu pobędziesz, tym mi przykrzej, trudniej będzie rozstawać się z tobą. Jedź więc.

— Myślisz, że to tak łatwo — odezwał się Honory — kochającemu sercu patrzeć, jak tonie to, co się kocha, stać u brzegu i odejść w chwili, gdyby się życie dało za uratowanie...

— Życie? Mój Honory, nie mów tego! Życie do ciebie nie należy, a ja też nie pozwolę, abys ty topił się dla mnie. A wierz mi, ja potrafię zginąć czysta, choćby oplwana. Mam coś w sercu, co mnie od złego broni. Cóż, że ludzie szarpać mnie będą i potwarzać? Kogóż oni nie zbrudzą, aby do siebie uczynić podobnym? Posłyszysz może co złego o mnie, zem płocha, zem niegodziwa, nie wierz temu, proszę. Nieszczęśliwą będę, szaloną może... zepsutą nie. Bawić się będę ludźmi. Co mi tam!

— Tak tylko mówi, moja Lauro, kto świata nie zna, a sobie nadto ufa — odparł Honory. — Kto zaręczy, że cię nie wciągną, nie upoją, nie zepsują?

Laura zamilkła, siedziała z brwią namarszczoną.

— Nie mówmy już o tym, bracie — odezwała się żywo — przyspiesz twój wyjazd! Byłam ci rada, chciałam okraść chwil kilka z życia twojego, teraz się wstydzę tego i jak grzechu żałuję. Ty jedź, jedź!

— Nie mogę — rzekł cicho chorążyc — chciałbym, odjechać cię nie mam siły... Nie mogę... oszalałbym myśląc, co się tu z tobą dzieje.

— Ty musisz jechać! — przerwała Laura. — Jesteś doprawdy okrutny! Wiesz, że cię kocham... z każdą chwilą, swobodnie będąc tu z tobą, przywiązuję się mocniej, na zawsze zostać ze mną nie możesz, jedź więc, jedź!

— Ale ja też kocham ciebie! — zawołał Honory.

— Nie, nie! — zaprzeczyła Laura. — Masz inną miłość na sercu i obowiązku, nie wierzę.

— Chcesz więc ich ofiary?! — gwałtownie zawołał Honory.

— Nie przyjmę jej! Na Boga! — krzyknęła Laura groźnie. — Odprowadziłabym cię tam, gdzieś być powinien! Ja co innego! Jam wolna! Ja mogę kochać, szaleć, topić się i czynić z sobą, co mi się podoba.

Honory ręce załamał i z wyrazem rozpaczyc począł się przechadzać po pokoju.

— Widzisz — odezwała się łagodniej Laura — jestem uparta, wola moja żelazna, nie przekonasz mnie i nie złamiesz. Pozostaje ci tylko jechać i przed ojcem skłamać pobożnie, żeś nie znalazł, żeś znikła, żeś umarła, co chcesz.

— Pozwól mi jeszcze powiedzieć słowo. Wszakżebyś panią swjej woli mogła tu gdzieś pozostać, biorąc do towarzystwa kogoś, tylko nie tę szkaradną kobietę, którą masz przy sobie!

Wzdrygnął się.

— To szatan! — dodał. — Odpędzić ją potrzeba.

— Wiem o tym — spokojnie potwierdziło dziewczę. — Tak, to także byłoby wyborne i bardzo zabawne. Musiałabym wziąć jaką kaszlącą staruszkę i siedziałybyśmy po całych dniach patrząc sobie w oczy i wzdychając. Tymczasem ktoś by mnie idącą choćby do kościoła zobaczył, a nużbym go zajęła? Staruszka pobożna pośredniczyłaby, i tak dalej. Obwinęliby mnie siecią intryżek, pajęczyną plotek, nudy dokonałyby reszty, byłabym zgubiona.

Tak, jak ja myślę, niebezpieczeństwu stawię czoło, idę przeciwko niemu, nie lękam się, wyzywam, jest mi lepiej i o wiele zabawniej. Kuzynku, niedobry jesteś do rady.

Honory zamilkł i siadł podparty na dłoni, odpadła mu ochota do dalszego rozprawiania. Przez czas jakiś pozostali milczący oboje, potem Laura powtórzyła swoje:

— Jedziesz więc, dzisiaj, jutro, co najprędzej. Nie masz tu już co robić, a bałamucić biednej Laury się nie godzi, a powstrzymać jej niepodobna, zapomnij więc o zgubionej. Rozstańmy się tak dobrymi przyjaciółmi, jak niegdyś w Borowcach. A dziś, na pożegnanie co zrobimy z sobą? Trzeba ten dzień spędzić tak, aby został w pamięci jak pieczęć położona na zawartej księdze dni szczęśliwszych. Zabierzmy dla pilnowania nas tę nieoszacowaną Lassy i jedźmy sobie gdzie w świat. Ja dziś będę Laurą, nie Wawrkiem, ubiorę się czarno jak w Borowcach, wstrzymam na ustach, co by cię razić mogło, uśmiechnę ci się dawnym uśmiechem dziecięcym, abyś mnie zapamiętał godną ciebie, nie tym roztrzepańcem, jakim się tu stałam, niestety!

To mówiąc, zastukała we drzwi pokoju Lassy, która też niedaleko od nich stać pewnie musiała.

— Lasiu kochana, ubierz się bardzo pięknie, bo dziś jedziesz z panną Laurą, ja biegnę także trochę się przybrać, najmujemy konie do Wilanowa i tam spędzimy dzień pod starymi drzewy nad Wisłą.

Lassy kiwnęła tylko głową, dając znak, że przyzwala. Chorążyc wziął roztargniony książkę ze stołu, lecz oczy jego błędziły po niej zażawione, nie widząc nic. Laura wyszła do swojego pokoju.

Bardzo prędko wróciła nazad, narzuciwszy tylko kwefik czarny. Błada była, a na pięknej jej twarzy znać było cierpienie. Świeżość jej znikła, oczy wpadły i otoczyły się pręgą ciemną, na czole marszczki jak pioruny zjawiały się za najmniejszym drgnieniem serca, w ustach zdawała się mieć łzy, które powieki spaliły. Ten ból czynił ją piękniejszą jeszcze i budził współczucie.

Dotknęła ręką ramienia Honorego.

— No, chodź — rzekła — jeszcze tylko dziś będziemy razem, proszę cię, nie zamęczajmy się bezpotrzebnie. Dzień jest piękny, powietrze, którym odetchnąć miło, rzeka płynie niosąc z sobą tyle łez pochłoniętych bez śladu, kwiaty jeszcze wdzięczą się do słońca, zapomnieć trzeba o sobie, żyć tym, co otacza... Chodź!

Lassy wyszła także ze zwykłą sobie elegancją przystrojona, lecz widocznie w złym humorze. Spoglądała z ukosa na Honorego z szyderstwem i gniewem, unikając zbliżenia się do niego. Laura dała rękę bratu, wyszli. Tuż blisko znalazł się powóz, który najęli do Wilanowa. Mnóstwo osób, korzystając z pięknej pory, dążyło tam także. Podróż odbyła się prawie milcząco.

W ogrodzie zastali pełno par przybyłych z miasta i całych towarzystw wesołych. Oni nosili z sobą smutek. Kiedy niekiedy spojrzeli sobie w oczy, rzucili słówko; dzień ten, który miał być wesoły i powinien był wryć się w pamięci, dla nich już począł rozstanie, już się chmurzył tęsknotą. Tylko Lassy idąca za nimi z podniesioną nieco sukienką, pod pozorem rosy, a w istocie dla ukazania małej nóżki, podrygiwała jak sroczka, szukając oczyma znajomych.

Jakoż wcale niespodzianie obejrzawszy się za siebie i słysząc Lassy żywo z kimś rozmawiającą, Laura spostrzegła idącego obok niej Georges'a.

Pierwszy to raz on ją spotykał w stroju niewieścim, ubraną w cały wdzięk młodości, czarującą. Jeszcze się wahał, czy miał ją poznać i przywitać, gdy w tej chwili Honory także odwrócił się, przypomniał go sobie i skłonił.

Laura zdawała się namyślać, potem ze złośliwym jakimś uśmieszkiem, który zdawał się być przygrywką do nowej życia epoki, zawołała:

— Jak się ma pan Georges? Pan więc dotąd w Warszawie? To prawdziwie niespodziane spotkanie! A pan hetman? Nie miał pan listów z domu?

Na te sypiące się zapytania bez żadnych wstępnych porozumień, Georges zdumiony, ledwie umiał odpowiedzieć niewyraźnymi kilku słowy.

Honory, widząc ją tak poufale rozmawiającą z tym nieznajomym, uczuł prawie zazdrość.

Laura może właśnie to uczucie wzbudzić sobie życzyła, może się chciała okazać lekkomyślną, bo ze szczególną wesołością, wymuszoną nieco, zwróciła się do kawalera Georges'a wypytując go, gdzie bywa, co robi, jak zabawi długo, jak gdyby chciała mu dać do zrozumienia, iż znajomości i stosunków nie odpycha wcale.

Georges, dla którego było to niespodzianym szczęściem, zdumiony, szczęśliwy, ledwie odpowiadać umiał. Już był prawie stracił nadzieję zbliżenia się do niej, odzyskiwał ją w chwili, gdy zropaczył. Głowa mu się zawróciła z wielkiego szczęścia.

Po chwilce rozmowy Laura pożegnała go skinieniem i odeszła z Honorym.

— Widzisz — rzekła — oto będzie pierwsza moja ofiara i pierwszy niewolnik! Biedny chłopiec! Lecz po cóż padł pod koła młyńskie, które go zdruzgoczą. Nieszczęśliwi bawić się muszą. Widzisz... płocha jestem, zła jestem... nie masz kogo żałować, jedź do Zosi, nie myśl o mnie! Zapomnij!

Były to prawie ostatnie słowa, którymi pożegnała Honorego. Milczący powrócili do miasta. Stanąwszy u siebie, Laura podała mu rękę.

— Teraz bądź zdrow, bracie, bądź zdrow, proszę cię, jedź! Uciekaj!

To mówiąc, zbliżyła usta do jego czoła i uciekła zamknąć się w swoim pokoju. Honory jak obłąkany chodził chwilę jeszcze i wyszedł upojony, smutny, sam czując, że uciec powinien. Nazajutrz nie przyszedł już.

Lassy, która bardzo sobie życzyła, aby się to inaczej skończyć mogło, około południa widząc Laureę chmurną i cierpiącą, pobiegła dowiedzieć się na Marywil. Honorego już tam nie było.

III

Zdaje się, że gdyby jutro świat miał się kończyć, korzystając z ostatniego wieczoru, we wszystkich tych szczęśliwych miastach i miasteczkach, gdzie są sale balowe, dano by jeszcze tańczącą zabawę. Jest coś w naturze ludzkiej niepojętego, pędzącego do szalu i rozrywek w przededniu zgonu. Historia zapisuje te stypy, całe epoki są nimi. Wiek XVIII, w którym runął świat stary, tańcował, czerwone korki swych trzewików farbując we krwi strumieniach. Koniec tego wieku u nas też odznacza się nie tylko niepomiernym pragnieniem zabawy, roztargnienia, ale całą ekonomią społecznego życia, wręcz przeciwną pierwszym jego potrzebom.

Wyrazy pani Kossakowskiej, przy wieczerzy wyrzeczone, były niejako charakterystyką epoki. Jeden z podróżnych opowiada o królu, że w chwili najgorętszych przejść, gdy się losy kraju ważyły, malował akwarelę dla swego dworu kostiumów wzory. Coxe zaręcza, iż nie tylko w Łazienkach plany, ale ornamentację ich wewnętrzną najjaśniejszy pan sam swą ręką i inwencją rysował.

Jeden z największych dostojników siedział zamknięty przy retorcie nad poszukiwaniem filozoficznego kamienia, drugi zakładał z pasją ogrody i budował pałace, inny próbował balonów i powietrznej jazdy; Radziwiłł na wszelki przypadek, gdyby do nas kiedy morze przyjąć miało, sztyftował flotę w Albie na błotnistych kanałach. Każdy naówczas miał jakiś

rodzaj bzika, którym się rozrywał i bawił, nie licząc tych, co po nowe praw projekta posyłali do Mablego i Russa. Nigdy się może tak szalenie, tak zapalczywie, tak namiętnie nie bawiono, jak w ostatnich latach niefortunnego wieku, który nas uprzedził. Co chwila zjawiało się coś nowego, obiecującego doskonałą zabawkę. Taką sztuczką wyśmienitą była masoneria, nie wzięta całe na serio, ale interesująca formami swymi, takim kochankiem chwilowym towarzystwa był przybywający do Warszawy Cagliostro, Blanchard i lada kuglarz zręczny. Roznamiętniano się do wszystkiego na chwilę, rzucono prędko, biegnąc za nowym, gorączka życia i używania trawiła wszystkich.

Była to jedyna chwila, w której też teatr, jako szlachetna rozrywka, stał się potrzebą i koniecznością. W niedostatku jego ludzie gotowi byli chodzić na hecę. Teatr obiecywał prócz tego służyć za tłumacza wielu uczuć i idei, które rozpowszechnić potrzebowano. Godzina jego wybiła, musiał się narodzić. Jediną trudność stanowiło to, że dramatu w języku polskim nie było prawie, a to, co się tym imieniem zwało, społeczeństwa smakowi nie odpowiadało.

Jedni pragnęli teatru jak we Francji, drudzy — z królem — marzyli może o teatrze jak Shakespeara. Wiek był zarazem nadto sceptyczny, by bardzo ukochał Corneille'a i Racine'a, zbyt deklamatorski i do patosu nawykły, aby mu Shakespeare smakował.

Beaumarchais i Diderot może najlepiej odpowiadali przeczuciom.

Wyższe warstwy społeczeństwa, które podróżowały wiele, widziały wszystko, wymagały też ogromnie. Gotowego nie było nic oprócz pocziwego księdza Bohomolca. Ludzi, co by pisany stworzyli dramat, gdy w ich oczach i na skórze odegrywał się żywy, trudno znaleźć było. Literat i pisarz z profesji nie istniał inny, tylko duchowny, a *per excellentiam* eks-jezuity. Sekularyzowanemu jezuitcie dramat pisać było zaprawdę trudno, krępowała go suknia i pewny *pudor*, godny poszanowania, który przełamać było niełatwo.

W takiej to chwili na opatrnościowego twórcę sceny nowej wybrał los Wojciecha Bogusławskiego, ubogiego chłopaka z rodziny wielkopolskiej, który już część żywota przebląkał się, szukając sobie drogi. Wprost ze szkoły pijarskiej wziął go był ksiądz biskup Sołtyk za pazia do swojego dworu. Tu, wśród najwykwintniejszego towarzystwa, co tydzień prawie zabawiano się amatorskimi przedstawieniami w języku francuskim, próbowano nawet pono grać po polsku... Bogusławski razem z innymi: szlachtą, dworzanami księcia Siewierskiego, grywał pewnie na tym teatrze i tu nabrał smaku do sceny, bo tu pierwsze zbierał oklaski. Nieszczęście dotknęło dostojnego pana, dwór się rozproszył. Bogusławski został sam, nie wiedząc, co począć z sobą. Dobrzy znajomi namówili go do wojska, wstąpił do gwardii.

W gwardii było trudniej niż na teatrze pierwsze otrzymać role, brali je protegowani, możni, ci, co sami zabiegać nie umieli i o których interesa zabiegano. Bogusławski oburzony tym, co było niesprawiedliwością, rzucił zawód rozpoczęty, wołał szukać innego, niż czekać jako na łaskę na to, co mu należało.

W tej chwili życia, nie mając przed sobą nic, ujrzał scenę, którą miał stworzyć. Myśl tę poddał szambelanowi Wojdzie, który zrazu ramionami ruszył. Scena? Ale cóż na niej grać było? Księdza Bohomolca? Bogdajby jego, byle grać — mówił Bogusławski — dobra gra może z najlichszego słowa, jak z kamienia iskłę, wywołać życie. Artysta tworzy na najsuchszej kanwie pełne barwy kwiaty. Gdy stanie teatr, zjawią się pisarze. Potrzeba zacząć od czegoś. Z tą myślą nosząc się, Bogusławski znalazł pomoc chętną w pani kasztelanowej, która się nudziła.

Nudzili się naówczas wszyscy i stąd rodziły się najlepsze rzeczy i najgorsze; z nudów się żeniono, rozwodzono z nudów, kochano, żeby się nie nudzić, podróżowano lecząc od ziewania, rujnowano, ażeby nie zdrętwieć. Kasztelanowa wzięła sprawę gorąco do serca. Szło o pisarza, co by coś nie skleił, ale przenicował; szło o kilka osób dobrej woli, które by, zamiast deklamować po francusku, chciały odegrać scenę po polsku.

Bogusławski miał już siebie i Laurę. Laura, jako Wawrek Borowiecki znana kasztelanowej, podejmowała się żeńskiej roli. Dla miłości jej Georges, który się wcisnął do domu kasztelanowej, gotów był pracować, by swe złe wymawianie poprawić, gotów był się uczyć, słuchać, byle stanąć i zbliżyć się do czarodziejki. Powoli pierwsze gronko artystów zbierało się. Ksiądz Bohomolec z pomocą brata i dwóch eks-jezuitów pocił się nad *Polyuktem*. Dlaczego wybrano go? Głównie pewnie dla księdza Bohomolca, ażeby mu nazbyt nie dolegało sumienie, gdyby z bohaterami poganami miał do czynienia.

Tragedia też ta, jakkolwiek trudna, jakkolwiek konwencjonalna, pięknych uczuć i dramatycznych sytuacji szeroką dawała skalę, dla aktorów korzystną.

Z wielkim podziwieniem kasztelanowej, pan Wawrek Borowiecki śmiało się podjął roli Pauliny.

— Miły mój kawalerze — odezwała się tłusciuchna gosposia z uśmiechem — ale pozwól sobie powiedzieć, że ty w sukni kobiecej chodzić nie potrafisz nawet...

— Spróbuję — rzekł Wawrek skromnie (było to już po odjeździe chorążycy) — a jeśli pani pozwolisz, to na próbę w sukni niewieściej przyjdę, tu, jeśli nikogo nie będzie.

— A przyjdź, proszę, to się wyśmienicie ubawimy! Nie będzie nikogo oprócz Bogusławskiego, mnie i tego chłopaka, wychowańca hetmana, którego tu już widziałeś.

Laura skłoniła się, nie odpowiadając nic. Gospodyni zawczasu cieszyła się tym, jak ten chłopak niezgrabnie zrazu w sukni kobiecej wyglądać będzie. Oczekiwała tego wieczoru z niecierpliwością, wyglądała go niespokojna.

Laura gorączkowo, jak mówiła, bawiła się tym wszystkim, nawet bałamuceniem Georges'a, którym rzucała na wsze strony, dając mu to uśmiech, to gniew, to wejrzenie słodkie, to groźne, i śmiejąc się z wrażeń, które wywoływała.

Nie był dla niej niebezpiecznym wcale, lecz ona nie litowała się nad tym, iż go o szaleństwo przyprawić mogła.

Bogusławski, Georges i kasztelanowa byli już wszyscy zgromadzeni w saloniku i przeglądali wyjątek z czwartego aktu *Polyeukta*, który był na próbę przeznaczony, gdy Laura czarno, ale z wielkim staraniem ubrana, ufryzowana, piękna, jak nigdy może nie była, weszła do salonu. Kasztelanowa nie poznała w niej zrazu pana Wawrka Borowieckiego; zdawało się jej, iż służba, zapomniawszy o zakazie, wpuściła jedną z pań jej znajomych.

Wpatrzywszy się dopiero, gospodyni rozpoznała Laurę, lecz tak była zdumiona przemianą jej w kobietę, swobodą i wdziękiem ruchów, tym czymś niewieścim, czego nikt wynasładować i przejąć nie potrafi, iż się prawie ulękła jakiegoś czaru. Patrzała na idącą powoli, uśmiechniętą smutnie, poważną a śmiałą razem, a tak uroczo i tak odmiennie piękną, nie mogąc pojąć, jakim cudem nową przybrać mogła naturę.

Nie podejrzewała ona nigdy zręcznie rolę mężczyzny odegrywającego Wawrka o przebranie, dopiero w tej chwili uczuła, że tamto było fałszem, a to prawdą. Zdumiona, doznała razem jakiegoś przykrego wrażenia. Któż to mógł być ta kobieta, ten mężczyzna, ten zuchwalec, który się wcale nie mieszał tym, co czynił, i zdawał nie dbać o wrażenie, jakie sprawi.

Zbliżywszy się do kasztelanowej, Laura stanęła, ugięła się nieco i z trochę wzruszenia pocałowała ją w rękę, zarumieniona.

— Oto jestem! — zawołała.

— Ale któż ty jesteś? — odparła kasztelanowa, jeszcze z podziwienia wyjść nie mogąc.
— Kto jesteś? To są doprawdy czary, ja się już ciebie boję...

Bogusławski stał na stronie, uśmiechając się radością artysty, który ogląda dzieło sztuki. Widział w niej Paulinę tylko. Georges w zachwyceniu złożył ręce i zdawał się do niej modlić.

Gospodyni z niejakim wahaniem, wpatrując się ciągle, usunęła się, by jej zostawić miejsce przy sobie na kanapie, ale Laura skromnie zajęła obok pozostałe krzesło.

Milczenie trwało dosyć długo, przerwała je kasztelanowa. Patrzała na ręce białe, na wytoczoną szyję, na zreczną postać dziewczęcia, ujęła jej dłoń i z pewną obawą opuściła ją.

— Jakże się dziś nazywasz? — spytała cicho.

— Dziś ja jestem Pauliną, Polyeukta żoną — odparła Laura — i myślę tylko o scenie trzeciej czwartego aktu, lecz ileż w niej trudności! Być tą bohaterką razem i niewiastą, tym ideałem Rzymianki, matrony, żony i nie stracić ziemi pod stopami, a pozostać kobietą!

— Nie mniejszym zadaniem rola moja — odezwał się Bogusławski.

— Ona jest daleko prostsza, Polyeukt jest ciągle sobą, jest jednym zawsze, Paulina walczy, w niej bojują uczucia sprzeczne, dwie miłości, dwie wiary, a ponad wszystkim dostojność niewiasty!

Słowa te, skromnie powiedziane przez Laurę, zdziwiły nie mniej gospodynię nad samo zjawisko tak przeistoczonego mężczyzny. Z ciekawością niezmierną wpatrywała się w zagadkowego gościa swojego.

Tłumaczenie sceny, o której mowa, leżało na stole, wykonał je ksiądz Bohomolec z pomocą nieznanego młodego wierszopisa, a sam Bogusławski po myśli je swojej wykończył. Role na pół tylko były umiane, lecz Laura swoją odgadywała, oswoiwszy się wprzód z oryginałem. W przypadku gdyby dalszy ciąg czwartego aktu był możebnym, na Georges'a włożono rolę Sewera, którą on dotąd dość nieszczęśliwie oddawał.

Laura śmiała się z niego.

— Na miłość Bożą! Pamiętaj pan, że jesteś Rzymianinem, okrytym sławą, zwycięzcą, faworytem Decjusza i najszlachetniejszym z mężów! Bądź waćpan pełen uczucia, ale nie czułość, staw się dumniej.

Nic to jednak nie pomagało. Sewerus trzymał się w skórze francuskiego *petit-maitre'a*.

Na naleganie Bogusławskiego poczęła się próba. Paulina grała już doskonale scenę całą, lecz zakończenie szczególnie. Te wykrzykniki z serca płynące, rzucane ogniście jedne po drugich, krzyżujące się z sobą, wygłosiła Laura z przejęciem się, z namiętnością, z gniewem, który zachwycił wszystkich; nie była aktorką, stała się Pauliną. Bogusławski, któremu z podziwienia wyrazów brakło, przyklęknął w końcu w uniesieniu.

Biednemu Bogusławskiemu nie dostawało jeszcze Feliksa, Albina, Stratoniki, Fabiana i pomyśleć można było tylko o urywkach, bo nawet nieszczęsny Sewerus o tyle tylko umiał rolę, o ile w niej miłość swą dla Laury-Pauliny mógł okazać.

Kasztelanowa, przejęta jak inni uniesieniem dla Laury, rzuciła się zrazu, by ją uścisnąć, i wstrzymała się z przypomnieniem, że to był Wawrek Borowiecki.

Wszystko to razem tę nieszczęsną Laurę bawiło smutnie, śmiała się, chociaż wesołość jej krajała serce jakimś strachem, bo za nią czuć było całe nieznanych uczuć przepaści.

Niezmiernie zaintrygowana tym kasztelanowa spędziła wieczór cały niemal, nie mogąc się oderwać od Laury, a nie wiedząc, co o niej myśleć miała.

— Jednej się rzeczy lękam — rzekła śmiejąc się. — Proszę sobie wyobrazić wszystkie konkiety, jakie ta Paulina porobi na widowisku wśród pogan i chrześcijan, nieszczęśliwe serca zranione przez nią i okropne rozpaczę, gdy Paulina okaże się Paulinem! Nie, doprawdy, tak się ludzi zwodzić nie godzi...

Wieczór już miał się ku schyłkowi, a goście spoglądali ku zegarkom, czując zbliżającą się porę pożegnania, gdy w przedpokoju kasztelanowa usłyszała żwawą rozmowę. Poznać było łatwo i domyśleć się, że tam ktoś z kamardynierem ucierał się żwawo o wnijscie, którego mu odmawiano. Było naówczas zwyczajem nie tylko bardzo do późna przeciągać zabawy wieczorne, lecz nawet odwiedzać domy znajome. Nieraz po kolacji u pani krakowskiej lub starościny małogoskiej szli po domach poufałych, roznosząc nowiny dnia, mężczyźni, bo każdy dzień naówczas, każdy wieczór darzył czymś nowym i niespodzianym.

Kasztelanowa domyślała się, że jeden z tych przypóźnionych dobijał się do jej salonu, nie mogąc przekonać kamerdynera, który stał przy swej *consigne*. Było to sumienne Francuzisko, szczególnie w spełnianiu tych funkcji, które do żywego a dramatycznego sporu powód dać mogły.

Kasztelanowa, znak dawszy gościom, by milczeli, przysłuchiwała się jeszcze rozmowie, gdy drzwi się otworzyły gwałtownie i nimi wszedł najprzód piękny, młody dumnie wyglądający mężczyzna, a za nim zrozpaczony, protestujący przeciwko nadużyciu siły Francuz.

Gość, który się tak włamał do salonu kasztelanowej, był jej własnym siostrzeńcem, który powrócił z jakiejś misji za granicę przed kilku zaledwie godzinami.

Nie mając czasu we dnie złożyć uszanowania kasztelanowej, a wiedząc, że do późna siadywać lubiła, postanowił być choć na chwilę jeszcze tego wieczoru, by nazajutrz go nie obwiniano o zapomnienie drogiej cioci. Był to faworyt jej, pieszczoszek, ulubieniec, mógł więc sobie wielce pozwolić w jej domu. Zobaczywszy go, tłusciuchna pani rzuciła się z kanapy z rękami otwartymi, wołając:

— Artur mój!

A hrabia podbiegł ku niej, śmiejąc się i zostawując kamerdynera u drzwi, zapomniawszy już o swym wielkim gniewie.

— Ale cóż się u cioci dzieje! Czy nowa łoża masońska, czy spisek, czy... prawdziwie nie wiem już, o co posądzić, o jaką zbrodnię czarną. Musiałem szturmem drzwi zdobywać i mało ja, najukochańszy siostrzan, nie odszedłem *avec un pied de nez*!

— Cicho już, cicho! — ściskając go żywo, poczęła ciotka. — Nie dopytuj o nic. Jesteś paplą, nie mogę ci nawet powiedzieć, co knujemy... dosyć, że straszliwa tajemnica.

Skinęła na Bogusławskiego, który książki i papiery porozrzucane pościągał. Hrabia Artur, zaciekawiony nieco, nadto był dobrze wychowanym człowiekiem, żeby się napierał tajemnicy, którą każdej chwili pocałowaniem rączki cioci mógł zdobyć. Usiadł więc przy niej gwarząc wesoło, a z towarzystwa znajdującego się w salonie usiłując się sam czegoś domyśleć. Za pierwszym wejrzeniem spotkał oczy Laury, śmiało i z wyrazem ciekawości wlepione w siebie. Ta postać piękna a dziwnie oryginalna, ze swym strojem czarnym, twarzą piękną, surową, szyderską, rysów arystokratycznych, szlachetnego wyrazu, uderzyła go widocznie. Skierował wzrok ku innym i wrócił ku niej.

Śmiałość Laury tak odbijała od jej młodości, tak ją czyniła niezwykłą istotą, iż hrabia Artur schylił się do ucha ciotki co prędzej i spytał: — Ciociu! Któż to jest ta piękność? Kto to taki?

— Otóż już rozplomieniony! — rozśmiała się kasztelanowa. — Powstrzymajże się w zapędzie, bo się oszukasz straszliwie i śmiesznie... żal mi, że ci nie mogę powiedzieć, jak.

— Cóż by to było! Przebrana królowa? Mężatka? Rozwódka? Garderobiana! Ale ostatnie niemożliwe... Co za *galbe* arystokratyczny! Co za wyraz, zarazem namiętny i dumny! Na Boga, któż to taki? *Est-elle de notre monde?*

— *Elle est d'un autre monde* — śmiejąc się odpowiedziała ciotka kalamburem — z całego innego świata, niż się spodziewasz, lecz nie pytaj, powiedzieć nie mogę.

Śmiały hrabia Artur zwrócił się ku Laurze.

— Przepraszam panią — rzekł wstając — ciotka dopuszcza się na mnie mistyfikacji, nie chcąc mnie pani zaprezentować ani mi powiedzieć jej imienia. Wyrzuciłbym to sobie wiekuście, gdybym tak czarującą spotkawszy postać, nie złożył jej hołdu. Jestem rodzonym siostrzeńcem kasztelanowej. — Dołożył imię, tytuł i nazwisko.

— A ja pana hrabiego przepraszam — figlarnie a dumnie odpowiedziała Laura — iż mu nawzajem mojego nazwiska powiedzieć nie mogę. Chybiłabym czcigodnej gospodyni, idąc przeciwko jej woli. Nazwisko też moje nic by nie powiedziało... wolę pozostać *incognito*.

— Piękność tak panią zdradza, że *incognito* jest nie do utrzymania — odpowiedział, przysiadając się, hrabia. — Nie dziwiłbym się, gdybyś pani była księżniczką, królową, arcyksiężniczką austriacką.

— A gdybym była prostą chłopką? — spytała żartobliwie ciągle Laura.

— Zdziwiłbym się mocno, to pewna — zawołał hrabia — lecz musiałbym się uciec do mitologii dla wytłumaczenia fenomenu. Bogowie czasami kryli się pod słomianymi strzechy!

Kasztelanowa śmiała się do rozpuku. Laura uśmiechała smutnie. Hrabia głosem i mową podbity był i oczarowany ostatecznie.

— Arturze kochany, nie zwracaj sobie głowy, żal mi cię! — wołała ciotka.

Artur spojrział na kasztelanową, na gości śmiejących się także, brew mu się zmarszczyła; nie mógł zrozumieć, co było powodem śmiechu, lecz czuł, że jakąś niedorzeczność popełnił.

Wpatrzył się w Laurę, nie mógł pojąć, co by to być mogło. Wtem Laura wstała, postać jej zręczna, ruch swobodny zwróciły znowu oczy hrabiego Artura. Chciała się pożegnać z gospodynią, ta ją zatrzymała.

— Proszę, nie uciekajże mi! — zawołała. — Niechże się Artur napoi twym widokiem, niech oczaruje jak my i niech jutro łamie głowę, kto jest to cudne zjawisko, którego w życiu już nigdy może nie zobaczy.

— Ostatnie — przerwał hrabia — jest niemożliwe; ja panią widzieć muszę... chociażby...

Kasztelanowa ginęła ze śmiechu. Laura zaczęła inaczej swą rolę pojmować, wzięła ją pół serio, pół ironicznie.

— Muszę hrabiego ostrzec — rzekła, groźną twarz przybierając — że widzenie mnie jest połączone ze strasznymi niebezpieczeństwami, że jestem jedną z tych istot, od których uciekać trzeba raczej, niż cisnąć się ku nim, że można przypłacić strasznymi ofiarami zbliżenie się do sfinksa. Jestem sfinksem — dodała — sfinksem kamiennym, który po lat tysiącu wstał z egipskiego piasku nad nilowym brzegiem i przyszedł się rozerwać pożeraniem ludzi, którzy przestali do niego przychodzić. Niosę im zagadkę do rozwiązania lub śmierć!

Powiedziała to tak dramatycznie, tak dziwnym głosem, z tak promieniejącą się twarzą, wejrzeniem, postawą, że hrabia Artur, przygotowany do żartu salonowego, oniemiał.

Kasztelanowa wpatrywała się i wsłuchiwała ciekawie. Georges bladł z zazdrości, Bogusławski lubował się grą mowy i ruchu.

— Znać, żeś pani jako sfinks — rzekł w końcu hrabia namyśliwszy się — spała parę tysięcy lat. Znajdziesz pani świat zmieniony zupełnie. Wszystkie zagadki leżą poodgadywane, ponumerowane, spisane i zarejestrowane, a na śmierć eliksiru życia wynalazł Cagliostro!

— Jak to? I zagadka serca kobiecego — podchwyciła Laura śmiało — została rozwiązana? Racz mi pan udzielić tego słowa, które je otwiera, i wyrazu, co zamyka.

Artur zamilkł jakoś, nie przygotowany.

— Serce kobiece! — rzekł skłaniając głowę. — Zwyciężyłeś, sfinksie. Tak! To nie rozwiązana zagadka. Zatem stoję przed panią jako ofiara na pożarcie gotowa i byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyś mnie zjeść raczyła.

— Skazuję na to, by was własne zgryzoty pożarły!

Z ruchem tragicznym wyrzekłszy ostatnie słowa, Laura szybko skłoniła się kasztelanowej i wybiegła. Lassy leciała za nią, przestraszona jej śmiałością.

Za Laurą wymknęli się Georges i Bogusławski, hrabia Artur pozostał sam z kasztelanową.

— Któż to jest? Co to jest? — spytał zamyślony. — Istota czarująca... Czyż mi ciocia nie powie? Naprawdę?

— Nie mogę — odrzekła kasztelanowa uśmiechając się — dodam tylko jedno: ażebyś sobie głowy nie mącił, bo musisz być zmistyfikowany

— Nie rozumiem! To doprawdy sfinks — rozśmiał się, usiłując w żart wszystko obrócić, hrabia Artur. — Nie rozumiem... Przecież spotkam ją tu jeszcze.

— Może, nie wiem — tajemniczo rzekła ciotka. — A teraz mów mi o sobie.

— Wszystko mówi samo to, że tu jestem — odezwał się hrabia — misja moja niefortunna skończona, powracam i siedzę w Warszawie myśląc cioci służyć, bawić się i okrutnie bałamucić.

— Pókiż to tego będzie? — zapytała kasztelanowa, — Bałamucisz się już tak długo, że mogłoby cię to znudzić.

— To potrwa, to potrwa tak długo — począł zamyślony hrabia, uderzając palcami po stole — dopóki nie znajdę kogoś, co mnie zbałamucić potrafi.

— Mnie się zdaje, iż rzecz nadzwyczaj łatwa, najtrudniej byłoby to bałamuństwo trwałym uczynić — odezwała się ciotka.

— A cóż jest trwałego na świecie? — zapytał hrabia. — Zużywa się wszystko, nudzi, przejada... to całe nieszczęście ziemi, lecz razem to szczęście całe, bobyśmy się nie ruszali, a ruszać się koniecznie potrzeba. Ale, ciociu droga — przerwał znowu — cóż to za diabeł ta panienska, ta pani, ten sfinks?

— Daję ci słowo, że powiedzieć nie mogę, a jedna z przyczyn jest — rozśmiała się kasztelanowa — iż sama nie wiem, kto to jest.

— Jakże się w salonie tu znalazła?

— Wypadkiem.

— To nie może być!

— Powiadam ci, tak jest. Spotkałam w Ogrodzie Saskim ze znajomą mi starą paskudną guwernantką, wciągnęłam do siebie, bawi mnie.

— Jakiegoż stanu? Skąd?

— Nie wiem i nie powiem. Daj mi już pokój! — ofuknęła ciotka.

— Jestem wściekle zaintrygowany i będę u ciotczynych drzwi stał, siedział, leżał, dopóki tajemnicy nie odkryję.

— Dobrze! Dobrze! Odkryj ją, jeśli potrafisz. *Bonne chance*, a teraz dobranoc, bo jestem zmęczona.

Hrabia dał się odprawić, wszakże nie bez chmurki na czole. W przedpokoju chciał kamerdynera dukatem przekupić i przejednać razem, aby mu powiedział, kto była ta pani czy panna. Francuz na honor się zaklął, iż nie wie. Z tym hrabia odjechał, *pique au vif*, jak się sam wyraził. Chciał bowiem dowieść ciotce koniecznie, że on tajemnicę tę sam bez jej pomocy odkryje.

Laura powróciła z taką ironią w duszy i na wargach z jaką na wieczór jechała.

Na krótko poważna rola Pauliny wyrwała ją z tej sfery, w której myśli jej krążyły, potem wracała w nią znowu. Lassy nie mogła jej poznać, zaczynała się nawet lękać. Pierwszy raz poczuwała się do tego, iż Laura nie da się ani poprowadzić mimo woli, ani uwieść zręcznemu słowu, uderzała ją niezmierna jej wyższość, niespodziana rozmaitość charakterów, w jakiej się jej przedstawiała. Nie wiedziała już, która z tych Laur była prawdziwa: dobra czy zła, powolna czy uparta, obojętna czy namiętna. Całe jej postępowanie stawało się dla Lassy niezrozumiałe; kochać się zdawała Honorego i zmusiła go do odjazdu, śmiała się z Georges'a, pociągała widocznie ku sobie, bawiąc się nim jak kot myszą, którą ma połknąć (było to jej porównanie), na ostatek, dziwaczna mowa i znalezienie się u hrabiny pogrążało w zadumie starą jejmość.

Ruszała ramionami, mrużąc:

— To szatanek! Już się teraz niczemu nie dziwuję, szatanek! — Żegnała się szepcząc i wzdychała. Przychodziło jej nawet na myśl, żeby się usunąć z tego domu, ale nie miała się gdzie podziać, a dla samej macochy i raportów potrzebowała wiedzieć, co się tu dzieje.

Szczególniej od wyjazdu Honorego Laura przybrała śmiałość, ton, energię jakąś rozpaczliwą, której Lassy w tak młodej istocie nigdy się spodziewać nie mogła. Była pewna, że złamaną, smutną pokierować potrafi, okazywało się, że w domu najmniejszego mieć nie mogła wpływu. Dawało jej to do myślenia. — Któż wie — mówiła. — Gotowa jeszcze mnie opanować i kto wie, jak ze mną postąpić!

Gdy powróciły z tego pamiętnego wieczoru, nie mówiąc słowa Lassy cofnęła się do swego pokoju, aby pacierz odmówiwszy, bo tego nigdy nie opuszczała, napisać do macochy.

Nazajutrz rano Laura nie wyszła ze swego pokoju aż w porze obiadowej, po wczorajszej gorączce zmęczona, zniechęcona, milcząca i smutna. Słowa nie rzekłszy do Lassy, nie jedząc, siedziała z rękami założonymi.

— Czyś nie chora? — zapytała stara, spoglądając na nią bojaźliwie.

— Chora? Nie, znudzona jestem i smutna — rzekła Laura. — Wszyscy, ile was jest, począwszy od ciebie, moja Lassy, nudzicie mnie, nudzę się i męczę sama sobą. Mówią, że Anglicy, doszedłszy do takiego stanu zwątpienia i nudy, strzelają sobie w łeb, ale kobietom nie przystoi. Kobiety w takim razie topią się, nieprawdaż, Lassy?

Stara z przerażenia upuściła łyżkę.

— Nie bój się — ze śmiechem odezwało się dziewczę — ja jeszcze tak prędko o tym nie pomyślę. Odegram wprzód rolę Pauliny, potem jeszcze jaką może, a na to ostatnie zawsze czas.

— Byłam pewna, żeś się doskonale wczoraj zabawiała, intrygując tego hrabiego, dręcząc nieszczęśliwego Georges'a i obudzając uwielbienie tego Bogusławskiego.

— Widziałaś kiedy, moja Lassy, jak się lalkami bawią dzieci? — odezwała się Laura. — Zawsze je w końcu potłuc muszą i same się rozplakać. Ludzie tak samo... Lalki moje nie potłuczone jeszcze, a ja... niemal płaczę. Życie bywa okropne!

Lassy nie miała na to żadnej odpowiedzi. Laura nie dokończywszy obiadu wstała od stołu.

— Chodźmy się przejść — rzekła. — Włożę tylko suknie męskie, pójdziemy.

Starej odechciało się jeść, widząc, jak Laura dziwaczyła, obawiała się, aby przez nią nie miała jakiego kłopotu. Przechadzka, na którą zwykle szła z przyjemnością, teraz nie wabiła jej wcale, nie mogła jednak odmówić.

W chwilę zjawiła się ciemno ubrana, w kapelusiku nasuniętym na czoło, Laura, a że pora była chłodna, w płaszczu, który bardzo zręcznie drapować umiała.

Pięknie jej było w tym stroju, do którego tak nawykła, iż z ruchów nikt w niej kobiety poznać nie mógł. Wieczór był pogodny, ale posepny, po upałach odświeżone nieco powietrze wywabiło mnóstwo osób na przechadzki, do ogrodów. Laura skierowała się ku Alejom. Tu tłok był prawie największy powozów i konnych, mnóstwo osób kierowało się ku Łazienkom królewskim. Zaledwie uszli kilkadziesiąt kroków, gdy tętent dał się słyszeć za nimi i głos je pozdrowił. Laura spojrzała i zobaczyła Georges'a, który dogonił je siedząc na Muni.

Zobaczywszy ją, kawaler grzeczny natychmiast zsiadł i prowadząc za sobą konia, przyszedł powitać. Laura ani spojrzała na niego, lecz rzuciła się do swej faworyty, wołając ją głosem, który poczciwe stworzenie poznało, zaczęło ją wachać, chwycić wargami jej płaszcz i rzeć z radości. Laura całowała ją po główce i pieściła.

Georges stał, patrzył, a może rad był, iż mógł jej zrobić przyjemność, a sam zbliżyć się przy faworycie.

Nierychło potrafiła Laura przemówić.

— Dziękuję panu — rzekła. — Miałam prawdziwą radość z widzenia starej mojej przyjaciółki. Nie męcz jej pan, szanuj, ona jak ja była niegdyś kochana i pieszczona, surowe obejście bolesne jej będzie, ona jak ja jest dziś wśród obcych.

— Jeżeli pani każeś — zawołał Georges — to nigdy na nią nawet siodła nie włożę, nie wyjadę.

— Ja nie rozkazuję nic, proszę — rzekła — bardzo mi żal tej Muni biednej, której niegdyś tak dobrze było.

Stali przy koniu jeszcze, gdy Alejami zbliżył się powóz ciągnący snadź ku Łazienkom; siedziała w nim kasztelanowa z siostrzeńcem i jak tylko zobaczyła Wawrka Borowieckiego, kazała zwolnić koniom. Laura zobaczyła ich, szalona myśl przyszła jej do głowy.

— Kawalerze Georges, pożycz mi Muni na pół godziny.

Posłuszny chłopak podał strzemię, Lassy krzyknęła z przestachu; Laura siedziała na siodle i zręcznie kierując Munią, zbliżyła się na niej do powozu kasztelanowej, który się właśnie miał zatrzymywać. Zamyślony hrabia, zobaczywszy łeb koński przy powozie, podniósł głowę z wolna i spotkał się oko w oko ze spojrzeniem Laury.

Twarz wczoraj widziana przy świetle wieczornym, której rysy głęboko mu się wryły w pamięci, zjawiająca się tąż samą a zupełnie inną razem, z wyrazem nowym, w stroju i z postacią tak odmienną, wyrwała mu okrzyk podziwienia. Kasztelanowa śmiała się do rozpuku.

— Cóż to jest?! — krzyknął hrabia Artur. — Czy wczoraj była prawda, czy dziś? Odchodzę od zmysłów.

Laura zrobiła minkę szyderską.

— Nie mam przyjemności znać towarzysza pani kasztelanowej — odezwała się, patrząc ciągle na hrabiego — lecz odgaduję, że wczoraj zapewne widzieć musiał siostrę moją, która tak jest do mnie podobna, i to zapewne podziwienie jego obudzą.

— Siostrę? Siostrę? — zawołał hrabia Artur. — To była siostra pańska?

Śmiech kasztelanowej, którą to nadzwyczaj bawiło, nie dał jej wtrącić słowa. Hrabia Artur patrzył i napatrzeć się nie mógł, porównując obraz, który uniósł w pamięci, z żywą postacią stojącą przed nim.

— Ale cóż za nadzwyczajne podobieństwo! Twarz, wzrok, głos, nawet ruchy.

— Niech państwo jadą — odezwała się Laura — ja nie chcę ich wstrzymywać i przeprowadzę kilkadziesiąt kroków.

Powóz się ruszył, dziewczę zręcznie puściło konia i udrapowawszy się płaszczem, w kapelusiku na bakier, przejechało na stronę kasztelanowej. Artur ścigał oczyma zagadkę, nie

mówiąc nic, zadumany. Jakiś czas biegła tak schylona ku ciotce, rozmawiając z nią Laura, skłoniła się i z równą zręcznością zwróciwszy konia, puściła się nazad galopem.

Przez cały ten czas hrabia patrzył milczący.

— Wie ciocia — rzekł — żem jak żyw nie widział takiego podobieństwa.

— Ani ja! — śmiejąc się odparła ciotka.

— Więc teraz i nazwisko tego jegomości, który ma tak ładną siostrę, wiedzieć już mogę?

— Ten pan nazywa się Wawrek Dobek Borowiecki. Szlachta to majątna na Polesiu.

— I cóż tu robi z siostrą?

— Prawdziwie nie wiem — odparła kasztelanowa.

— Drobną szlachta? — zapytał hrabia zamyślony.

— Zdaje się, że ludzie majątni, z obyczajów i wychowania to widać, a z charakteru znać szlachtę, bo fantazji wiele.

Na tym przerwała się rozmowa, a hrabia Artur, uspokojony już, przedmiot jej zmienił.

Laura wróciła do miejsca, gdzie zostawiła wysadzonego z siodła Georges'a w samą porę, gdy Lassy miała czas z nim umówić się, by do niej przyszedł w odwiedzin. Zareczyła mu, że się Laura nudzi, i dała do zrozumienia, że powinien z tego i z jej łagodnego dla siebie usposobienia korzystać.

— Dziękuję panu za Munię — rzekła Laura, oddając ją właścicielowi. — Wstyd mi trochę mojego wybryku, ale się nie mogłam oprzeć pokusie pogalopowania z moją przyjaciółką. To mi lepsze przypomniało czasy.

— Jestem z tego szczęśliwy — szepnął Georges — i ilekroć pani rozkażesz...

— Nie kuś mnie pan — rozśmiała się Laura — mogłabym, zabrawszy Munię, zabiec z nią tak daleko, żebyście mnie więcej nie znaleźli.

Skinęła mu głową, zawołała Lassy i zawróciła ku domowi. Szły milczące aż do drzwi jego. Laura pożegnała w progu starą towarzyszkę i zamknęła się w swoim pokoju. Cały wieczór spędziła, nie pokazując się. Drugiego dnia wyszła po kobiecemu ubrana, chmurna i zmarszczona do pokoju, gdy w sąsiednim, u Lassy usłyszała głos obcy. Poznała Georges'a. Zarumieniła się gniewnie, lecz siadła w fotelu, nie chcąc przed nim uciekać. Najprzód Lassy z figlarną minką, za nią wszedł zmieszany chłopak, na którego przestraszona minę spojrzawszy Laura, choć smutna, miała się uśmiechnąć ochotę.

— Siadaj pan — bardzom rada, że pana widzę. Jak się ma Munia? Nie zaszkodziło jej, jak mnie, wczorajsze spotkanie? A panu?

— Mnie tylko najpierwsze spotkanie z panią zaszkodziło — rzekł Georges — następne, choć pogarszają ten stan, słodzą go razem.

— Bardzo to ładne, coś pan powiedział — odezwała się Laura. — Mnie się zdaje, że to by nawet w komedii mogło być dobrze przyjęte... ale, kawalerze Georges, czy pan istotnie sądzisz, że kobiety lubią komplementa jak dzieci słodycze?

Georges się zmieszał.

— Mówię, co czuję — rzekł.

— Cóż pan czujesz? — spytała nielitościwa dziewczyna.

— Że się w pani Kocham!

— Ja panu nie broniam — powoli zaczęła ironicznie Laura — lecz, szanowny kawalerze, choćbym o tym nawet najmocniej przekonana była, czy pan sądzisz, że to we mnie obudzi coś więcej prócz politowania nad nim?

— Dlaczego politowania? — zapytał Georges zakłopotany.

— Bo ja na pańskim miejscu nigdy bym się nie mogła zakochać w takiej awanturnicy, która konno sama jedna lata po świecie, przebiera się po męsku, nazajutrz chodzi po kobiecemu, gra komedie, dokazuje, mówi, co jej na myśl przychodzi.

— Pani się spotwarzasz — przerwał Georges.

— Nie, ja mówię, jak jest. Pan nie wiesz, co było powodem, że wyszła z obyczajów powszechnych, widzisz tylko, że dziwaczna i szalona, jakże możesz się zakochać we mnie? Nie! To się mylisz chyba... jesteś ciekawy tylko lub chwilowa fantazyjka przyszła ci do głowy... bo miłość? Ja miłość pojmuję tylko poważną, świętą, wiekującą, gotową do ofiar, heroiczną, a dwudniowe zalecanki nazywam pustotą.

— Pani więc nie wierzysz, że ja...

— Nie wierzę, kawalerze Georges, ażebyś mógł powziąć miłość, znając mnie tylko z najgorszej strony. Dajmy temu pokój. Ucz się pan roli Sewerusa, a potem, wierz mi, powracaj na dwór pana hetmana, rozerwij się, zapomnij i nie trać czasu na wzdychanie do takiego obrzydłego trzpiota, jakim ja jestem.

To mówiąc, wstała z krzesła.

— Jeśli zechcesz rolę Sewerusa powtórzyć, proszę przyjść, kiedy się podoba, lecz spodziewam się, że o Kochaniu mowy nie będzie, chyba w roli tego patrycjusza, który panu za przykład służyć powinien.

Podala mu rękę, którą Georges pomieszany ucałował, i wyjść musiał. Lassy, która słuchała pode drzwiami, łamała ręce z podziwienia i rozpacz, znajdując dziewczynę niepojętą, dziwną, niezrozumiałą.

— Nigdy się nie spodziewała po niej, żeby taka była przebiegła. Ho! Ho! Niełatwo ją kto zbałamuci. Rzuca się, mówi, robi, co chce, przecie nie bardzo komu do siebie da przystąpić! Dziwne stworzenie!

IV

Od kilku dni już na Powązkach przyspasabiano niespodziankę. Było to wprawdzie tak w obyczajach dziedziców i nawyknięciach wieku, iż niemal co dzień gdzieś czekała podobna siurpryza. W salonie rozłamywała się ściana, niewidzialna muzyka dawała się słyszeć gdzieś z góry, światło mdłe w alabastrowych lampach łagodnie opromieniało ołtarz przyjaźni, świątynie wdzięczności; panie w greckich strojach deklamowały lub śpiewały kantatę, dzieci z przyprawnymi skrzydełkami rzucały kwiaty. U księcia eks-podkomorzego stół występował nakryty spod podłogi, na Powązkach wszystko było nieustanną niespodzianką. Historia także, jakby była w spisku, darzyła wcale nieprzyjemnymi ze swej strony.

Nikt się więc nie dziwił na Powązkach, że w lasku z darni robiono amfiteatrzyk między drzewami, o którym nikt a nikt nie miał wiedzieć oprócz gospodyni domu i jakich trzydziestu ludzi, którzy około tego pracowali. Osoby wyższego towarzystwa były zawsze tak dobrze wychowane, iż gdy im chciano sprawić niespodziankę, udawały aż do końca, że o niej wcale nie wiedzą.

Król był proszony na wiejski skromny podwieczorek, na którym oprócz niego miały być tylko osoby do rodziny należące lub nie dające się pominąć, wybór wyższego towarzystwa. Nic nie miało zwiastować ani osłabiać wrażenia, jakie teatr powinien był sprawić. Wieczorem powozy dworskie z Łazienek przywiozły króla na Powązki. Herbata i owoce czekały nań pod wielkim tureckim namiotem, zdobytym na wezyrze w ostatniej wojnie Rosji z Osmanlisami. Król był w owym miłym humorze, w jakim zawsze prawie ukazywał się publicznie i który stanowił jedną z cech jego charakteru. W najcięższych do przebycia chwilach nawet umiał wymóc na sobie uśmiech, dla najnieprzyjaźniejszych był uprzejmym, dla wszystkich grzecznym, a w dobranym towarzystwie, jak go Coxe zowie, najdoskonalszym gentlemanem swego wieku. Oprócz książąt, gospodarzy i kilku osób do rodziny należących, z królem przybyło dwóch szambelanów, księżę Stanisław, synowiec jego, i kilka osób ze dworu. Mrok zaczynał padać i rozmowa ożywiała się coraz, gdy mostek rzucony na kanale oświecono lampami, a te, odbite w wodzie, wydały się o mroku jakby wieńcem zawieszonym w powietrzu.

Ten rodzaj iluminacji często się powtarzał dla gości przybywających do Powązek. Był on zwykle znakiem do przechadzki po ogrodzie, w którym się zawsze znajdowała ukryta muzyka lub jakieś zręcznie obmyślane widowisko.

I tym razem księżna wstała, podając rękę królowi, który z chęcią zgodził się na miłą po parku przechadzkę. Rozmowa już od pół godziny toczyła się o teatrze.

Król wzdychał, mówiąc o nim.

— Mamy już literaturę wskrzeszoną, dzięki ludziom, którzy się jej chcieli poświęcić.

— I Waszej Królewskiej Mości — dodała księżna — któryś ich zachęcił i wprowadził na tę drogę.

— Mamy dzięki księciu szkołę wojskową — rzekł król, obracając się do gospodarza z uśmiechem — nie tylko obiecującą piękne owoce, lecz już nas darzącą nimi. Teatru nam braknie, a tego stworzyć pono wola, rozkaz ani prośba nie mogą. Rodzi się on z potrzeby, z cywilizacji, rozwija w błogim pokoju razem z innymi sztukami. U nas grunt jeszcze dlań nie wykarczowany, pisarzy nie mamy, artystów by brakło...

— Skądżebyśmy ich u nas wzięli? — odezwał się cicho jeden z szambelanów. — Wasza Królewska Mość dozwolisz uczynić uwagę, iż u nas dotąd klasy tej nie ma, z której by się mogli rekrutować artyści. Tam, gdzie średni stan jest już wykształcony, daje on zwykle najcelniejsze talenta scenie. Szlachcic u nas, jak nie nawykł być kupcem, tak nie ważyłby się wynijść na scenę, boby jutro przed nim obrusy krajano. Cóż dopiero mówić o kobietach, dla których deski teatralne uważają się za miejsce zatracenia! Gdybyśmy nawet jaką garderobianę znaleźli, ładną, roztropną i nie zważającą na przesady, nie będzie miała wykształcenia, jakiego scena wymaga.

— Wszystko to wielka prawda — rzekł król potakując — lecz co najgłówniejsza, pisarzy nam brak. Mamy księdza Bohomolca.

Rozśmiano się po cichu.

— Język dramatu musi się wyrobić — mówił król — giętkim się stać, nie tracąc szlachetności i majestatu. Nie pisał nim nikt oprócz Kochanowskiego, który uroczystą grecką naśladował tragedię. Nawet tłumaczyć jeszcześmy nie zaczęli, bo księżnej Radziwiłłowej prób dobrej woli a małego talentu, nie liczę.

— Mnie się jednak zdaje — odezwała się księżna, ciągle wiodąc króla po parku i zwracając się ku laskowi — że artyści z prawdziwym talentem nawet z miernego tłumaczenia rzecz przynajmniej znośną uczynić by mogli. A dlaczegóż by kiedy nie spróbować?

— Tak, ale z kim? — uśmiechając się mówił król. — Z kim? Nie mamy teatru, bo nie ma pisarzy, bo artystów nie ma, *cercle vicieux*, z którego wynijść niepodobna.

— Trzeba by od czegoś jednak zacząć — rzekła księżna.

— Najgorzej, że tu należy od wszystkiego razem zaczynać — odezwał się Stanisław August — że zaś pozaczynanych mamy zbyt wiele rzeczy, choć mi teatr bardzo na sercu leży, wątpię, bym do niego przyszedł.

— Ja zaś bynajmniej — odpowiedziała księżna — bo Wasza Królewska Mość umiesz tworzyć ludzi, gdy ich nie ma; świadkiem ta plejada poetów, którzy tchem jego stworzeni, chwałę swojego pana śpiewają.

— Są niektórzy, co niekoniecznie tym tylko tonem nucą — westchnął król.

— Upadli aniołowie! To stare dzieje — szepnął szambelan.

— Wracając do teatru — mówił Stanisław August — szambelan Wojda przedstawił mi przed kilku miesiącami młodego jegomości, zdaje mi się, Bogusławskiego, który był paziem u księcia siewierskiego, a potem podobno w gwardii litewskiej służył. Ten czuje w sobie inspirację do sceny i po nim spodziewać by się można czegoś, gdyby sobie towarzyszów mógł dobrać.

Towarzystwo całe, idąc tak wolnym krokiem wśród drzew, które jakby czarodziejską laską dotknięte oświecały się w miarę, jak się ku nim zbliżano, unosiło się nad pięknnością widoku. Z dala, poza drzewy, już zniknęło miasto zupełnie, wiejska cisza panowała w tej ustroni, do której gwar nie dochodził. Przechadzka o tej godzinie rosy i wieczornego wietrzyku wiejącego od pól, prawdziwą była rozkoszą.

Nagle na zakręcie ścieżki wśród lasu, zza klombów ukazał się zieloną darnią wysłany mały amfiteatrzyk, cały obwieszony wieńcami z zieleni i kwiatów.

Po dwóch jego bokach na białych podstawach stały godła Talii i Melpomeny, ale teatrzyk był pusty, zielona draperia osłaniała scenę.

— Otóż i teatr gotowy! — zawołał król. — Niestety! Podobien jest naszemu; natura dała wszystko, ludzi na nim nie ma tylko.

Księżna uśmiechnęła się.

— Wnijdźmy choć usiąść i spocząć — odezwała się do króla. — Wasza Królewska Mość znajdziesz tam wygodniejsze siedzenie dla siebie niż wilgotną ławę darniową, a może też cud jakiś zesłał nam i artystów.

Przewidując już nieochybną a miłą niespodziankę, do której rozmowa poniekąd przygotowała, król, spojrzawszy na księżnę, poszedł do przygotowanego fotelu przed sceną. Żadnego jednak przygotowania do widowiska widać nie było.

Ukryta tylko muzyka, którą sztuczna ściana zielona zasłaniała oczom, odezwała się poważnymi tony, zwiastując jakby scenę tragiczną. Wśród cichej nocy słabe zrazu tony,

rosnąć coraz w potęgę, westchnieniami i jękami zdawały się napępiać powietrze. Wszyscy z wezbraną ciekawością oczekiwali. Muzyka podwoiła siłę, rozlała się jakby wielkim marszem żaloby razem i zwycięstwa. Ostatnie akordy nastroiły ducha widzów... milczenie uroczyste...

Niewidzialna zasłona, której zielone fałdy tonęły wśród gałęzi drzew, rozsunała się na dwie strony.

Na scenie stały już dwie osoby w rzymskich strojach, starannie naśladowanych: mężczyzna z twarzą pełną uroczystej powagi i religijnego uniesienia, nieco dalej cudnie udrapowana, piękna jak posąg starożytny, szlachetnych rysów młoda niewiasta.

Król i widzowie dostrzegli na karcie nad sceną napis: *Polyeukt*.

Wszyscy spodziewali się wszakże oryginału Corneille'a, a nikt, król nawet, nie posądzał, ażeby się kto ośmielił targnąć nań innym językiem. Wśród ciszy Polyeukt podniósł czoło posępne i począł scenę trzecią czwartego aktu:

Pani! Jakież cel twego był do mnie wezwania? Czy dłoń wzywa, co walczy, czy dłoń, co osłania?

Wyrazy te na twarz króla wywołały rumieniec; wstał z krzesła widocznie wzruszony, chcąc lepiej słyszeć, ocenić i wyrazu jednego nie tracić.

Bogusławski, grający Polyeukta, mimo chwilowego pomieszania już ostatnie słowa wyrzekł z tą trwogą, jaką powinien był w nim obudzić widok Pauliny, w chwili gdy nie wie jeszcze, z jakim uczuciem i zamiarem przychodzi po niego.

Budził zajęcie aktor, lecz nieskończenie większe — nieznaną artystką.

Wszyscy spoglądali na siebie, wzrokiem się badając, czyliby kto nie znał, nie wiedział, kto była ta majestatyczna Paulina, z rozpaczliwym, ponurym, pełnym bóleści wyrazem, powolnymi krokami zbliżająca się do Polyeukta, przed chwilą jej męża, teraz prawie nieprzyjaciela, bo chrześcijanina, bo przeniewiercy.

Z samego ruchu znawcy sceny wnosić mogli, że nieznaną pani, która się roli podjęła, pojęła ją i weszła w nią duszą całą. Postawa, twarz, chód natchnione były tymi uczuciami, tych uczuć walką, którą widok odstępcy wzbudzić musiał w sercu żony.

Nie masz tutaj w kim innym, w sobie tylko wroga...

Od tych wyrazów poczyna Paulina rozmowę z mężem, usiłując go zniewolić, aby dla jej miłości, dla szczęścia wyrzekł się przyjętej wiary. Jest to pomysłem jedna z najwznioślejszych scen tego chrześcijańskiego dramatu, rozwinięta szczęśliwie przez poetę i kończąca się gniewem nieszczęśliwej, której mąż opiera się z całą siłą głębokiej wiary.

Rola Polyeukta jest jedną, pełną powagi, ale nieugiętą, niewzruszoną; w Paulinie całą niemal skalą tonów, wywołanych nadaremny błaganiem, się odzywa.

Wrażenie, jakie uczynił Bogusławski deklamacją szlachetną, dźwięczną, głęboko uczutą, było ogromne; podniosła je gra niezrównana Pauliny, która wlała ogień niespodziany, siłę potężną w wyrazy poety, nie zawsze szczęśliwe a często za chłodne. Znać było może młodą artystkę, której konwencjonalna pantomima sceny obcą być musiała, lecz ją zastąpiło uczucie wielkie, wyrażające się naturalnie i przemawiające, jak każda prawda, do dusz słuchaczy.

Król był w uniesieniu, po kilkakroć kończącej swój ustęp Paulinie chciał przyklasnąć i lękał się wyrazu utracić. Cały dwór słuchał zachwycony. Pierwszy to raz w tym języku występowały na scenie uczucia, myśli, których sądzono, że wydać nie potrafi.

Do końca piątej sceny Paulina zwracała oczy i króla, i wszystkich widzów. Gdy wyszła po danej wymownej odpowiedzi Sewerusowi, który grał mniej dobrze od innych, ale zawsze z talentem, następująca ostatnia scena, akt kończąca, której dosłuchać musiano, wstrzymała tylko od pytań natrętnych o Paulinę.

Scena między Sewerusem a Fabianem, choć skrócona nieco, długą się wydała. Gdy kurtyna wreszcie zaczynała się zsuwać wśród grzmotu oklasków, którym król przewodniczył, łązy mając na oczach, ze wszech stron zasypano księżnę zapytaniami:

— Ale któż jest ta śliczna i pełna talentu Paulina?

— Kto jest? Rzeczywiście nie wiem! Wynalazła ją kasztelanowa, uprosił Bogusławski.

Król prosić kazał Bogusławskiego, który nie mając czasu zrzucić ubioru rzymskiego, przyszedł w nim przed najjaśniejszego pana, zarumieniony i szczęśliwy.

— Mości panie Bogusławski — rzekł wzruszony — dowiodłeś mi waćpan, że mądrości nie miał i że jemu przeznaczono stworzyć teatr. Olbrzymi masz talent, a rodzimy, boś go sam z siebie czerpał.

— Najjaśniejszy Panie! — odparł, kłaniając się, Bogusławski. — Nie mogę sobie sam przyznać powodzenia tego dnia, winienem go głównie Paulinie, której gra moją podnosiła i natchnęła.

Ze wszech stron domagano się owej Pauliny; wszyscy, nie wyjmując gospodarstwa, chcieli ją widzieć z bliska, kasztelanowa sama się potoczyła ku scenie, ale Pauliny już nie było.

Po piątej scenie w swym rzymskim stroju rzuciła się do powozu, któremu czekać kazała, i natychmiast odjechała do domu.

Gdy ta ucieczka nie była skutkiem niewieściej trwogi, lecz rachubą, nie mogłaby lepiej celu dopiąć, obudzając ciekawość gorącą. Kasztelanowa, otoczona ciekawymi, opędzała się im uśmiechem i półsłówkami. Na ostatek król do niej przystąpił, biorąc ją na stronę i o tłumaczenie prosząc, bo mu szło o taką dla teatru artystkę, w której czuć było ogień święty.

— *Elle a le feu sacre!* — powtarzano na wszystkie strony.

Bojąc się być podsłuchaną, kasztelanowa żądała audiencji na osobnej ławce darniowej, a król spełnił jej życzenie, usuwając się na bok, ciekawym będąc coś się dowiedzieć o zagadkowej aktorce, o której nikt nic nie wiedział.

— Najjaśniejszy Panie! — odezwała się kasztelanowa, — Muszę trochę znudzić opowiadaniem, bo ja sama nie dobrze wiem, co to za szatanek z tej istoty, która tak pięknie heroinę grała, idąc Saskim Ogrodem wieczorem, samiuteńka jedna, Najjaśniejszy Panie, a znudzona okrutnie, bo około starej baby jak ja żywego ducha nie ma oprócz sukcesorów...

— O! O! — przerwał król, który był nade wszystko grzecznym. — Waćpani dobrodziejka wyglądasz jak różyczka...

— Najjaśniejszy Panie! Nawet z ust Waszych nie uwierzę w to. Lecz oczy wszystkich zwrócone na nas, muszę kończyć. Spotkałam starego koczodana guwernantkę, idącą z ładnym młodym chłopakiem, zaczepiłam ich. Chłopak, szlachcic z Polesia, nazwał mi się Dobkiem Borowieckim.

— Jak? Jak? — podchwycił król, który znał dobrze szlacheckie procedencje.

— Dobek Borowiecki.

— Dalipan! Tej familii nie wiem, ale cóż dalej? — mówił król.

— Wciągnęłam sobie tego Dobka i ja, i pani kasztelanowa Kamińska, Otóż zrobiła się znajomość. Gdy pan Bogusławski szukał artystów, mój Dobek więc się nastęrczył za Paulinę.

Król się począł śmiać serdecznie.

— Pani kasztelanowo dobrodziejko! — zawołał. — Czy pani już jesteś tak święta, że różnicy płci widzieć i wiedzieć o niej nie chcesz? Toć przecie niepodobna się na chwilę złudzić. To była kobieta, a do tego bardzo piękna i wielce zdolna!

— Wierz, Wasza Królewska Mość, że w istocie, gdy się ubierze po męsku i na koniu hasa...

— Jak to? Na koniu hasa?

— A bo jeździ i doskonale. Gdy siedzi na koniu, każdy by przysiągł, że ładny chłopiec, a jak się po kobiecemu ubierze, najśliczniejsza panna. Doprawdy, że ja sama nie wiem...

— To coś bardzo dziwnie i zagadkowo wygląda — rzekł król — mogę jednak pani zareczyć, iż tu nikt z nas mężczyzn ani nie może na chwilę powątpiewać, iż piękna Paulina ma pełne prawo do tego stroju, który włożyła.

— Ale i ja patrząc dziś na nią, nie wątpiłam, widząc ją na scenie — odpowiedziała kasztelanowa — że jest niewiasta, zbałamuciła mi siostrzeńca nawet... a jednak...

— To tylko pewna, że artystka doskonała — dokończył król — a że jej powinszować ani podziękować sam nie mogę, bądźże pani tłumaczem wysokiej estymy, jaką dla niej powziąłem, i chciej w moim imieniu prosić, by rodzącej się nie opuszczała sceny.

— To tylko bieda, Najjaśniejszy Panie — rozśmiała się tłusciuchna pani wstając, bo już króla niespokojne oczy ścigały, domagając się powrotu jego do towarzystwa — to bieda, że z talią główką płomienistą trudna rada. Chłopak czy dziewczyna, okrutnie to snadź samowolne i nie cierpiące przymusu.

— Lecz na pociechę naszą znać, że ją teatr ciągnie i że scenę lubi, więc choćby uciekła od niej, powróci. A od czegoż Bogusławski? To jego rzecz uprosić tak szacowny subiekt.

To mówiąc, król do towarzystwa powrócił, wśród którego słychać było tylko krzyżujące się zdania o grze artystów, o Polyeukcie, o pięknej Paulinie i o najmilszej niespodziance, jaką księstwo uczynili królowi, który im całą swą wdzięczność oświadczał.

Wieścią najgłówniejszą tego wieczoru było, iż skutkiem próby tak świetnej król niezmiennie postanowił dopomóc do założenia teatru, który na placu Krasieńskich w wyrestaurowanym gmachu miał się osiedlić. Chciwi wszelkiej zabawy dworacy zawczasu się tą dobrą cieszyli nowiną i przyklaskiwali szlachetnej myśli królewskiej.

Obok tego, zagadkowa Paulina była przedmiotem najrozmaitszych domysłów. W niedostatku rzeczywistych wiadomości krążyły najniedorzeczniejsze przypuszczenia i przeróżne odgadywania. Hrabia Artur, który winien był cioci kasztelanowej, że przedstawieniu mógł być przytomny, wygadawszy się z tym, że osobę widział, że ją niby znał, został obłożony. Widocznie jednak najmniejszej nie miał ochoty udzielać tego, co wiedział, lub raczej czego się domyślał tylko. Gra dzisiejsza podwoiła wrażenie, jakie na nim uczyniła Paulina; nie przyznawał się do tego, lecz był mocno nią zajęty, czego się sam nawet przed sobą wstydział.

— A zatem, kochany hrabio, mów, podziel się z nami! Któż ona? Kto? — zapytywano dokoła.

— Tyle tylko wiem ze spotkania z nią u ciotki — odparł hrabia Artur, który nie bardzo innych chciał zaciekawiać, sam będąc nią mocno zajęty — tyle wiem, że panna piękna, śmiała, dowcipna i oryginalna bardzo.

— A więc panna! A nazwisko?

— Doprawdy zapomniałem — rzekł hrabia. — Zdaje się, że jest na opiece brata, który do niej podobny jak dwie krople wody.

— W każdym razie niezbyt ostra to opieka, jeżeli siostrze dozwala grywać na teatrze.

— U mojej ciotki i u księżnej, toć przecie niczym nie grozi — przerwał hrabia.

— Więc bywała u kasztelanowej?

— Tam ją spotkałem.

Rzucono się z pytaniami na ciotkę, lecz ta pod sekretem opowiedziawszy, co wiedziała, królowi, przed innymi najmniejszej nie miała ochoty wygadywać się i żartami ich zbywała.

Resztę wieczoru więcej mówiono o tej uroczej Paulinie niż o Bogusławskim i teatrze; piękne panie trochę były zazdrosne. Uspokajało je to, że do ich świata nie należała i rywalką być nie mogła, choć gdzieś naówczas nie znajdowały rywalki!

Najzręczniejsi z tych panów, którym głowy twarz i postać Pauliny pozawracała, pobiegli na wzwiady za kulisy, do Bogusławskiego, do Georges'a. Georges, sam zakochany, mówić nic nie chciał, Bogusławski był człowiekiem poważnym, dla którego scena miała wyższe cele, chciał dla niej zachować artystkę i oburzał się, gdy kto w niej chciał widzieć tylko piękną kobietę. Odprawiał ruszeniem ramion i gniewem.

Do liczby oszalałych dla Laury przybył stary książę, znany ze swych niedorzecznych miłostek, który, dosyć mając powodzenia na wielkim świecie, sądził, że tym mniej trudności spotykać był powinien w innych sferach. Niegdyś piękny mężczyzna, zawsze pamiętający o tym wielce, zużyty, zwiędły, ekscentryczny i zapalający się szczególnie do wszystkiego, co było dziwaczne lub nadzwyczajne, książę Andrzej, zachwycony w czasie przedstawienia, powiedział sobie, że gdyby miał zrujnować się lub ożenić, tę cudną piękność musi zdobyć. Uwielbienie ogólne wzmagalo tę chorobliwą pasję, mieszkającą w głowie tylko. Lecz stare takie zachcianki, których siedliskiem mózg, są może najniebezpieczniejsze z tych, które pozór namiętności przybierają. Książę już pod koniec teatru wzdychał, po zapuszczeniu zasłony wybiegł za kulisy, chcąc uprzedzić wszystkich, i... nie znalazł tam nikogo.

Laura właśnie uchodziła, ciągnąc za sobą panią Lassy.

Na nieszczęście, była ona od bardzo dawna księciu znajoma. Pośpieszając za Laurą, miała tylko czas zapewnić starego, iż jutro go odwiedzi. Z tą pociechą wrócił książę Andrzej do towarzystwa, uśmiechając się złośliwie ku tym, którzy szukali środków przybliżenia się do Pauliny. On swego już był pewien.

Późno całe towarzystwo, dziękując księżnie za tak uroczy wieczór u niej spędzony, rozjechało się, roznosząc o nim opowiadania po całym mieście.

Książę pojechał też do swych pałaców i ogrodów, które jemu się wydawały czarownymi, czasem i pobłażliwym cudzoziemcom sprawiały wrażenie czegoś bardzo szczególnego, ale w istocie były tylko dowodem złego smaku a niezmiernych pretensji księcia jegomości, by go nikt ekscentrycznością nie prześcignął.

Książę Andrzej należał do niezbyt wybitnych osobistości swego czasu, ale jako charakter ciekawą był jego próba. Natura nie obdarzyła go nadzwyczajnym geniuszem; wyścignięty przez innych członków rodziny talentami i szczęściem, przekonany, że od nich gorszym być nie może, wspinał się całe życie do sławy, a przynajmniej do hałasu i ściągnięcia oczu na siebie. Niewiele przez swoich szacowany, książę Andrzej tym mocniej starał się wyjść na pierwszy plan i czymś się odznaczyć. Nie udawało mu się to całe życie, lecz nie zrażony nie ustawał. Nie mogąc inaczej, szedł przynajmniej w ślady braci i krewnych, to czyniąc, co oni, z większą przesadą. Nie pomogło mu to do nabycia wziętości, lecz że ludzie ze słabości chętnie korzystają, zbiegła się do niego zgraja zauszników, pochlebców, pomocników, posiłkująca mu dzielnie do utraty majątku i głosząca nieśmiertelne jego śmieszności. Zadowolona nawet najgrubszym kadzidłem miłość własna księcia opłacała je drogo.

W małym będąc u swoich szacunku, cieszył się tym dworem, w którego sztucznej atmosferze mógł oddychać wonią przyjemną. Stary już, udawał młodego, grał rolę eleganta, a nie mogąc inaczej, wślawiał swój dom osobliwościami wszelkiego rodzaju, chwycił cudzoziemców, przywabiał sławne imiona, słynne piękności, najciekawsze wynalazki, najkunsztowniejsze dzieła sztuki, wszystko, co było rzadkie a kosztowało drogo.

Ciasnej głowy, miał ten takt książę, że niewiele mówił, śmiał się, mruczał, poruszał, nucił, a gdy dłuższego coś wyłożyć potrzebował, miał zawsze pod ręką ze swojego dworu wyręczyciela. Ponieważ cała rodzina stała wysoko stosunkami, koligacjami, majątkiem, książę też rujnował się na życie okazałe. Pałac księcia, dosyć oddalony od miasta, na wzgórzu, nie opodal od Wisły, z ogrodem doń przytykającym, należał nie do najpiękniejszych, lecz z pewnością do najdziwaczniejszych kreacji epoki. Było tam wszystko, czego natura dać nie mogła, zacząwszy od sztucznych skał, sztucznej wody, aż do drzewek karłowatych i pieczar fabrykowanych.

Książę przybył do domu z myślą pełną uroczej postaci, która mogła na niego ściągnąć oczy stolicy, gdyby potrafił zawiązać z nią stosunki i uczynić królową swych sławnych wieczornych balików. Znał szanowną Lassy z tak dobrej strony, iż sama jej przytomność przy nieznajomej dobre mu dawała nadzieje. Spodziewał się być tylko odartym ze skóry, *ecorche vif*, jak się wyrażał, lecz nie mieć wiele trudności w zrobieniu dobrej znajomości. Zdało mu się też, że imię i tytuł jego mogły być także przynętą.

Oczekiwał Lassy z wielką niecierpliwością. Kilka razy przed jej przybyciem posyłał zapytywać, czy nie widać, a nakazał wpuścić natychmiast, jak tylko się ukáže. Wreszcie najęta dorożka wyrzuciła w ganku pałacowym straszliwie przystrojoną Lassy, w tak ciasnych trzewiczkach, iż ledwie chodzić mogła, z wytwornie utrefionymi włosami i całą zlaną

wonnościami. Przychodziło jej na myśl: — A nuż się książę Andrzej zachwyci jej talią i nóżką? — Ze strony księcia wszystko było możliwe, nawet tego rodzaju fiksjacja, gdyby wiedział tylko, że o tym wiele i głośno mówić będą.

Służący tak pośpiesznie otwierali jej drzwi i prowadzili z takim respektem, iż Lassy doprawdy spodziewać się mogła jakiegoś cudu. Książę oczekiwał na nią w wytwornym buduarze swym, chińszczyzn pełnym, ubrany w przepyszny ranny strój, szyty złotem tak grubo, iż ciężki był a twardy jak skóra. Dzieło to chińskiej cierpliwości kosztowało kilkaset dukatów, a miało ten przymiot wielki, iż nad kilka godzin nikt go w świecie dłużej nosić nie mógł.

Drzwi gabinetu natychmiast się zawarły. Książę, który nie zaniedbywał żadnej zręczności, by choć przed najmniej znaczącą istotą popisać się z czymś osłupiającym, zaczął od tego, że posadziwszy Lassy, zaprosił ją na czekoladę.

Żadnego nigdy smacznego napoju ani jadała stara jejmość nie odmawiała, lecz owej czekolady nie było. Książę Andrzej kazał jej usiąść na kanapce w kątku. Zaledwie zajęła miejsce, wnet w posadzce otworzyła się tafla i stoliczek z całym do śniadania przyborem zjawił się, wychodząc czarodziejsko spod stóp zadziwionej jejmości. Książę spojrział na nią, osłupienie jej pochlebiało mu.

— A widzisz! — rzekł. — A co?

— Cudo, mości książę!

— Nigdzie tego nie ma, tylko u mnie.

To mówiąc, zasiadł z drugiej strony stoliczka.

— Mówże ty mi, moja Lassy, co to za jedna? Ale otwarcie.

Stara niepłonną mając nadzieję, że darmo mówić nie będzie, rozpoczęła historię Laury od swojego pobytu w Borowcach. Jako bardzo utalentowana improwizatorka, trochę owoców swej imaginacji przydała do wspomnień. Opowiadanie przez to tym więcej kolorytu nabrało. Książę słuchał.

— Więc istota niewinna, skromna, cnotliwa — rzekł — tylko rozbujana! Ja to lubię, młodość i wielką fantazję. Lecz czym ją przywabić? Czym się jej przypodobać? Jak ją sobie ująć? Czy nie można by skłonić, aby się u mnie ukazała? Dałbym dla niej taką fetę z fajerwerkiem, iluminacją, wieczera w grocie, jakiej jeszcze nie widziano.

— Mości książę — odezwała się Lassy — jest to tak niezwalczony, energiczny charakter, że namówić jej na nic w świecie nie można. Niech się książę stara sam, pozna, prosi. Któż wie?

— A tak podejściem ją ściągnąć? — zapytał książę Andrzej. Lassy kiwnęła głową.

— Proś pan kasztelanowej chyba, ażeby ją z sobą przywiozła — rzekła po chwili. — Wczorajsze przedstawienie może księciu dać pretekst do odwiedzenia jej.

— Z prezentem? Ale jakim? — zapytał książę. — Ja nie pożałuję!

— Ale ona i szpilki nie przyjmie! — rozśmiała się Lassy.

— To źle! Cóż, ma pieniądze?

— Zdaje się, że z domu ich zapas wziąć musiała, bo wcale nie oszczędza.

— Lubi wspaniałość? Lassy potrząsała głową.

— Nie można tego wiedzieć, co ona lubi, co się jej podoba a co nie. Raz przepada za czymś, potem gotowa za okno wyrzucić.

— Artystka! — wzdychając rzekł książę. — A czy i po dniu taka piękna?

— Po dniu świeższą i jeszcze może piękniejszą się wydaje dla tych, co tego rodzaju piękności lubią.

Stary książę przejrzał się w lustrze i rzekł z westchnieniem:

— Ja wszelkiego rodzaju piękności lubię; orientalne, południowe, północne, byle były oryginalne. Więc jakże myślisz, moja Lassy, będzie co z tego? Nie?

— Z czego, mości książę?

— Z bliższej z tą czarodziejką znajomości — tłumaczył książę — bo widzisz, asindzka, całe miasto goreje ciekawością i zapalem dla niej, a ja bym chciał innych wyprzedzić i popisać się.

Lassy się rozśmiała.

— Za nic nie ręczę, mówię, jak jest, książę niech sam szuka środków.

— Ale mi pomagać będziesz — przerwał książę, wsuwając jej w dłoń jakiś pakiecik, który Lassy prędko skryła pod płaszczkiem — i nikomu więcej.

— Czy się to zda na co, nie wiem, lecz że gorliwie będę popierała...

— A innych staraj się usunąć. Któż tam jest?

— Nie ma nikogo! — rozśmiała się Lassy. — Dzika jest. Rozkochała swego stryjecznego brata i odpędziła go precz. Oszalał dla niej chevalier Georges, wychowaniec hetmana, odprawiła go z niczym. Z hrabiego Artura w oczy się śmieje.

Książę ręce załamał.

— To okropna kobieta! Po namyśle dołożył:

— Asindzka jej naprzód wytłumaczysz, kto i co za jeden jestem, bo gotowa i tego nie wiedzieć; potem ja będę z wizytą i przyniosę z uwielbieniem bukiet lub wieniec opleciony złotym łańcuchem... He?

— Ja księciu radzić ani odradzać nie mogę, wy mężczyźni lepszy instynkt macie!

— Tak gadano by po całej Warszawie o tym zwycięstwie, to by mi było bardzo przyjemnie — dodał jakby sam do siebie książę.

Lassy ruszyła się na kanapce, stoliczek zaimprovizowany drgnął i poszedł się schować pod posadzkę. Ta pierwsza sztuczka, naśladowana z tysiąca nocy, nie zadowoliła księcia. Z okna gabinetu widać było ogród.

— Widziałaś mój ogródek? — spytał książę.

— Dawniej.

— A bo teraz bardzo wiele ładnych inwencji przybyło. Chcesz wyjść trochę zobaczyć, he?

Lassy odmówić nie mogła wiedząc, jaką przyjemność czyniły księciu pochwały. Zaledwie się zgodziła, książę pocisnął guzik w ścianie od ogrodu i ściana posłuszna rozsunęła się zostawiając wolne przejście. Tuż była galeria ostawiona kwiatami, schodki kamienne wiodły z niej ku ogrodowi najdziwaczniej pokrajanemu, na sypane wzgórki i kopane sadzawki. Na nich pływały mikroskopijne okręty, stały domki chińskie dla liliputów i mostki filigranowe. Drzewa skarłowaczone okrywały je cieniem chudym.

— Szczególniej chcę ci się moją wodą pochwalić — rzekł książę — bo mi ją od Wisły machina hydrauliczna diabelnie mądra prowadzi. Chodźmy na Wysepkę, stamtąd ją obejrzymy najlepiej.

Ścieżka właśnie wiodła ku mostowi. Lassy szła przodem. Książę Andrzej wpuścił ją na most, dał jej go przejść i w chwili gdy sam miał na nim stawić nogę, mostek zachwiał się, ugiął i pod wodą zniknął. Lassy została się na bezludnej wyspie trochę przelękała, sama jedna, książę się śmiał, stojąc u brzegu.

— Otóż to — rzekł — jak to oni budują. Musisz być ciężka, mostek pod tobą zatonał. Cha! Cha! Chyba łódź po asindżkę poszłę, lecz przejdźże się dalej po wyspie, są tam ładne rzeczy do widzenia.

Lassy, na wpół śmiejąc się, pół przestraszona, ruszyć się nie miała odwagi.

— Mości książę, to bardzo niemiła siurpryza! — zawołała.

— A cóżem ja temu winien!

Chwilę jeszcze zabawiwszy się jej zakłopotaniem, książę Andrzej znalazł jakiś sposób na wskreszenie mostku, który spod wody wypłynął.

Z przestraczem przebiegła po nim na powrót stara jejmość.

— Jeszcze nie widziałaś groty! — rzekł książę. — Chociaż do niej wprowadzam tylko młodsze osoby, lecz...

— Mości książę, ależ ja stara przecież nie jestem.

— No, zapewne, że nie, a jednak bodaj czyś trzeciej dwudziestówki nie zaczęła? — rozśmiał się gospodarz. — Chodź do groty! Kosztuje mnie tysiące, drą mnie ci panowie, jak chcą, znając tę moją słabość, że coś szczególnego mieć lubię. Takich grot jest tylko dwie w Europie: u Pallavicinich i u mnie, a moja piękniejsza.

Gdy to mówił książę, wchodził właśnie do pieczary z kamienia sztucznego, naśladowującego stalaktyty. W środku stał darniowy, świeżymi wieńcami ubrany ołtarz przyjaźni, a poza nim piękna ławeczka, dla dwojga tylko dobrych przyjaciół snadź przeznaczona, ze względu na to, że od czasów greckich zawsze ich liczba była bardzo mała. Zaprosiłszy Lassy, by spoczęła, książę zabierał się zająć przy niej miejsce, gdy łoskot dał się słyszeć u wnijscia i otwór groty, którym weszli, został cały zasłonięty szeroką kaskadą spadającej z góry wody, tak że wyjście stało się niemożliwe.

— A co? — spytał książę. — A co? Jest tu gdzieś coś podobnego?

Zastawiono jednak wodę wrędcę, bo igraszka ta była zbyt kosztowna i zapasy wiślane oszczędzano.

Po wschodkach jeszcze zaprowadziwszy książę wielce ucieszoną tą gościnnością Lassy na górę, ponad salę balową, i zaprosiłszy ją, by siadła na krzesło, które się zaraz zamknęło, śmiał się wielce, widząc ją mimo woli spuszczać się na dół z nim razem.

W końcu przebrało się zabawek, a zacny gospodarz był pewien, że wypuszcza ją zachwyconą, pożegnał więc, polecając swą sprawę łaskawej opiece.

Lassy rada, że się staremu dziwakowi przypomnieć i coś utargować od niego mogła, opuściła pałac w bardzo dobrym humorze.

Było z południa, gdy powróciła na Długą ulicę. Zdziwiła się niemało, spostrzegłszy przed domem stojący bardzo wytworny powóz i służącego w herbowej liberii. Wbiega co najprędzej na górę i nie zrzucając nawet ubrania rannego, chcąc co najrychlej ciekawość gorączkową zaspokoić, otworzyła drzwi saloniku.

Laura w męskim ubraniu stała w nim wsparta na poręczy krzesła; przed nią, z bukietem w ręku, wystrojony, tylko co przybyły hrabia Artur prawił, dosyć pomieszany, nie wiadomo komplement czy orację. Otwierające się drzwi mu przerwały. Lassy dygnęła, spojrzawszy na Laurę, która twarz miała ironicznie uśmiechniętą.

— Bardzo mi żal, że pan hrabia siostry mojej nie znalazłeś w domu. Lecz w jej imieniu muszę oświadczyć, że wdzięczna za sympatię dla jej gry okazaną, byłaby wielce skłopotana, gdyby jej miano oddawać wizyty. Mieszkamy sami.

Hrabia słuchał, patrzył, widocznie walcząc z powątpiewaniem.

— Gdyby też kiedy można — odezwał się — choć na minutę pana z siostrą razem zobaczyć! — zawołał. — To osobliwsze podobieństwo...

— I twarzy, i charakterów — rzekła Laura. — Myślimy, czujemy, sądzymy jednakowo. Oboje lubimy samotność i żałujemy, ilekroć rozstać się z nią jesteśmy zmuszeni.

— To szczęście dla ludzi — rzekł hrabia — iż oboje państwo unikacie ich, bobyście im głowy pozawracali.

— Te zawroty zwykle krótko trwają i nie bywają niebezpieczne — przerwała Laura.

— Ale czasem mogą przyprawić nawet o szaleństwo, nawet o życie! — zawołał hrabia.

— Moja siostra powiada często — rzekła Laura — iż rada by bardzo, żeby się kto też dla niej raz utopił lub zastrzelił.

— Tak jest okrutna?

— Nie, tylko nie dowierzająca i ciekawa.

— Kiedyżbym mógł jej złożyć moje uszanowanie? — spytał hrabia.

— Siostra i ja nie przyjmujemy nikogo — odparła Laura.

— Czy to prawidło bez wyjątku?

— Bez żadnego i dla nikogo.

— I najgorętsze uwielbienie nie zdoła przełamać...

— To, co u panów nazywa się uwielbieniem, jeszcze mocniej drzwi zamyka.

— Lecz...

— Przepraszam hrabiego, że go muszę pożegnać — odezwała się Laura.

Hrabia, ciągle wpatrzony w nią, stał.

— A to trzeba oszaleć! — zawołał. — Będę miał przyjemność widzieć pańską siostrę choćby u kasztelanowej?

— Za to ręczyć nie mogę — odezwała się Laura, — Ja i siostra mamy nieobrachowane dziwactwa i nic nigdy nie przyrzekamy na jutro.

Skłoniła się po raz drugi.

Hrabia bukiet, nie mając snadź go gdzie złożyć, powoli patrząc w oczy Laury, rzucił u jej stóp na podłogę. Pochwyciła go z niej żywo.

— Śliczne kwiaty, mój Boże, za godzinę umrą, a ta woń, to ich konanie, im bliższa śmierć, tym silniej wyziewają tego ducha... — zawołała Laura jakby do siebie. — Panie hrabio, tak i z nami, im więcej blasku, uroku, woni, tym bliższa śmierć. Bądź pan pewien!

Ukłoniła mu się jeszcze.

Hrabia Artur stał wyjść nie mogąc, oczarowany. Ukłon jeszcze jeden żegnał go raz ostatni i Laura widząc, że się go nie pozbędzie, wyszła szybko do swego pokoju. Hrabia na palcach zbliżył się do Lassy.

— Potrzebuję się z panią widzieć i pomówić! — szepnął. — o trzeciej jestem w Saskim Ogrodzie...

Poznał z twarzy, z kim miał do czynienia.

Lassy wskazała mu palcem drzwi, potem położyła go na ustach i szepnąwszy: — Będę! — śpiesznie uciekła do swego pokoju.

Wszystko to, co się koło niej działo, uszczęśliwiało miłą towarzyszkę Laury, była w swoim żywiole. Sieć ta drobnych intryzek mogła doskonale posłużyć w końcu do zgubienia dziewczyny, czego sobie właśnie życzyła macocha, a tymczasem posługiwała osobistym interesom pani Lassy. Dla niej było zupełnie obojętne, w jaki sposób zgubi się Laura, byle puściła się w życie, do którego jej pomoc doświadczonej starej intrygantki mogła być użyteczna.

Nierychło ukazała się znowu Laura w saloniku, z książką w rękę, zamyślona, zniecierpliwiona i jakby na coś wyczekująca. Snadź nie mogąc wytrzymać dłużej, sama poszła otworzyć drzwi pokoju Lassy, która była zajęta rozmyślaniami i poprawą nadwierzęonej fryzury.

— Szanowna Herminio — odezwała się, przybierając szyderski ton teatralny — mamy z sobą do pomówienia!

Lassy odwróciła się, cała w najśłodszych uśmiechach.

— Tylko dwa słowa, jakie między dwiema dobrymi przyjaciółkami są potrzebne...

— A słucham!

— Jest to przestroga z serca, moja Lassy — mówiła Laura. — Ja mam niegodziwy charakter, podejrzliwam i porywczam. Bruliony listów, które zostawiasz na stoliku i robisz z nich papiloty, jakby do kochanej mojej macochy pisane, mogłyby mnie do ciebie zniechęcić i zrazić. Dlaczego ich nie palisz?

Lassy zbladła i twarz jej wykrzywiła się straszliwie z trwogi.

— Ja to wiem dobrze — mówiła Laura spokojnie — że ty, choćbyś nawet przez przyjaźń dawną dla niej chciała mnie pchnąć w błoto i zgubić, dokazać tego nie potrafisz, lecz, moja Lassy, zawsze mieć szpiega za rękawem nie jest rzecz przyjemna.

— *Au nom de tout ce qu'il y a de plus sacre!* — poczęła drżącym głosem stara, wywijając rękami — *je vous...*

— Stój! — przerwała Laura, dobywając z kieszeni papier. — Służąca mi go przyniosła na papiloty. Ja mam zwyczaj czytać zawsze, gdy mi głowę zawijają. Proszę cię, po obiedzie, moja Lassy, każ sobie sprowadzić dorożkę i jedź, gdzie ci się podoba. Nie mogę znieść takich papilotów.

Skłoniła się i wyszła.

Lassy stała jak wryta w miejscu czas długi, pozbierała papierki leżące na ziemi, rzuciła na nie okiem, wyciągnęła pięść zaciśniętą ku zamkniętym drzwiom i ze wściekłością zaczęła się pakować.

— *Au diable votre diner! Je ne veux pas de votre diner!*

Pakowanie jednak, przerywane rzucaniem się rozpaczliwym na krzesła i kanapy, porywaniem się, chodzeniem, mdłościami, płaczem, nie szło tak prędko, jakby sobie Lassy była życzyła. Podano obiad.

Odmówiła go heroicznie Herminia. Laura sama usiadła do stołu, przynosząc książkę tylko. Była zupełnie spokojna. Kończyła jeść, gdy zaszła dorożka po Lassy, która wahała się jeszcze, czy ma odjechać z milczącą pogardą, czy zakończyć imprekacją dramatyczną. Szcześnie dla siebie, przypomniała sobie gwałtowny charakter swej wychowawicy, który próbę czynił niebezpieczną. Wołała więc, dusząc się gniewem i złością, ujść w milczeniu, postanowiwszy korzystać z księcia i hrabiego Artura, a szkodzić Laurze na każdym kroku.

Zrzuciwszy rzeczy swe w izdebce na Marywilu, o godzinie trzeciej znalazła się w Saskim Ogrodzie.

Po ciemnej bocznej alei przechadzał się już niespokojny hrabia Artur.

— Wiesz pan hrabia, co mnie spotkało? — zawołała, zbliżając się do niego. — Wiesz? Ta niegodziwa dziewczyna wypędziła mnie! Tak jest! Wariatka! Przywidziała się jej zdrada! Lecz teraz obowiązki moje względem tego stworzenia zerwane, stosunki, przyjaźń, wszystko. Wojna, więc wojna!

— Jak to? Jak to? — spokojnie spytał hrabia. — Nic nie rozumiem.

— A ta! Ta wasza admiracja! Ta śliczna Laura! Szatan wcielony! Wypędziła mnie!

— Imię tedy ma Laura. A brat?

— Nie ma żadnego brata! Przebiera się po męsku!

— Byłem tego pewien! — krzyknął hrabia. — Cóż to? Kto to? Skąd?

Już po raz drugi tego dnia, tylko złośliwiej teraz, poczęła Lassy opowiadać historię swej eks-wychowawicy. Hrabia słuchał z wielką uwagą.

— Hm! — odezwał się. — Pani już z nią nie będziesz?

— Z nią nie, ale jak cień za nią włóczyć się będę, aby jej zawadzać, dokuczać, szkodzić, mścić się.

— Wiesz pani — rzekł hrabia chłodno — rola to przykra, ciężka i prowadząca do żółtaczki. Ja bym nie radził.

— Ja panu być mogę pomocną — przerwała Lassy. Hrabia skrzywiony popatrzał na nią.

— Za informację składam pani dzięki — odezwał się hrabia Artur, ściskając jej rękę tajemniczo. — Co się tycze pomocy, przepraszam panią, ja nie zwykłem jej żądać od nikogo w niczym. Byłem ciekawy tej egzystencji dwuosobowej, nic więcej. — Ukłonił się grzecznie: — Żegnam panią.

Pozostawszy wśród alei, Lassy pogniewała się na niegrzecznego hrabiego, gniewała się na cały świat, a wreszcie domyśliwszy się, iż to do niczego nie prowadzi, zawróciła nazad do swych tłumoczków na Marywilu.

Tu w podwórzu spotkała się z bryką, w której siedział Honory Dobek. Oczy jej błysnęły podwójną radością i gniewem.

Dobek wychylił się, zdziwiony spotkaniem.

— Co pani tu robisz?

— A pan? Do kochanej kuzynki? — rozśmiała się szydersko. — Bardzo w porę, bo właśnie mnie dziś wypędziła; zapewne, żebym państwu do ich czułych braterskich wynurzeń nie przeszkadzała. Cha! Cha! Kuzyneczka zawraca tu głowy i kochanków, admiratorów jak maku! Po cóżeś pan się tu zjawił? Jest dosyć zastępców, bawimy się doskonale! Grała na teatrze wczoraj publicznie, grzmi o tym cała Warszawa. A! A! Ślicznych się tu pan napatrzysz i nasłuchasz rzeczy.

Tego szczebiotania złośliwego, pośpiesznego, które jak jad bryzgało z ust starej jejmości, Dobek słuchał ze ściśniętym sercem, zbladły i pomieszany. Choć czuł, że przez nią mówił gniew i chęć zemsty, nie mógł się obronić smutkowi, jaki te wyrazy weń wlewały.

— Dość! — zawołał. — Dość! Nie wstrzymuję pani.

— Ani ja pana! Życzę mu szczęścia!

Dygała na bruku, nie zważając na ludzi obcych, którzy się jej, śmiejąc, przypatrywali i przysłuchiwali.

— Szczęścia z kuzyneczką życzę. Żona o tym wiedzieć nie będzie, ja nie napiszę! Niech pan wierzy! Cha! Cha! Szczęścia życzę!

Piekielniejsze zjawisko nie mogło biednego Dobka spotkać na warszawskim bruku. Wzburzył się cały i potrzebował opamiętać, że z kobietą miał do czynienia, by nie wybuchnąć gniewem.

Lassy odchodziła dygając, widocznie upojona swoim nieszczęśliwym losem.

Honory, zostawiwszy ludziom rzeczy i polecając im pilnować koło nich, dopóki by nie wrócił, nie czekając chwili, pośpieszył na ulicę Długą. Drzwi zastał zamknięte, dobijanie się do nich sprowadziło nareszcie służącą.

Chciał wniknąć, zaparto mu drogę.

— Nie można! Nie wolno! — zawołała służa przestraszona.

— Pani jest?

— Pani nie ma.

— Gdzież jest pani?

— Ja nie wiem, ja nie mogę, ja nie puszczę! — rozpaczliwie poczęła obraniając wniknięcia, snadź odprawą Lassy przestraszona, służa. — Pani nigdy i nikogo nie przyjmuje! Tak powiedziała.

— Ale ja jestem jej bratem! Ja wniknąć muszę, nie ustąpię! — zawołał Honory.

Głosy u drzwi wreszcie stały się tak wrzawliwe, że z całego domu poschodzili się ciekawi. Drzwi do saloniku otworzyły się i w progu z groźnym twarzy wyrazem stanęła Laura.

Zobaczywszy Honorego, z okrzykiem rzuciła się ku niemu mimo woli, jakby na wszystko zapomniawszy.

Rzuciła mu się na szyję.

— To ty! Mój Honory! A, jakżem szczęśliwa!

— Tak, ja jestem — zawołał wzruszony chorążyc — i przybywam, Lauro, po ciebie.

— Po mnie?

— Tak jest, po ciebie! Musimy jechać, musimy ojca ratować!

V

Nieszczęśliwa wycieczka pani Dobkowej, którą ciekawość widzenia mężowskich skarbów o mało życia nie pozbawiła, chociaż winę całego wypadku zrzucano na rotmistrza, który raz jeszcze wygnany został z Borowiec, zostawiła po sobie w stosunkach obojga małżonków niezatarte ślady. Oślepy starzec zaczął jaśniej widzieć swe położenie. Odzyskał wprawdzie klucze, nie poniósł szkody, lecz tajemnica została zdradzona, zapasy jego i rodziny odwieczne obrachowano, obce oko je widziało, wypędzony rotmistrz miał roznieść po świecie wiadomość i złych ludzi łakomstwo rozbudzić. Choć chorej żonie przebaczył pan Salomon, chcąc wierzyć, iż niegodziwego czynu dopuściła się za namową, wciągnięta przez słabość, nie

odzyskała ona jego serca, przywiązania i już nabytego zaufania; dostrzegł w niej nieprzyjaciela, którego się potrzeba było obawiać, strzec i walczyć z nim nieustannie. Namiętność wystygła, został żal, zgryzoty i namysły, jak znośnym przynajmniej uczynić życie. W niedostatku rotmistrza zjawił się ze Smołochowa przystojny oficjalista Będziewicz, który tu ciągle miał interesa, przesiadywał po całych dniach i z panią konferował. Przyjeżdżały z powodu tej dzierżawy smołochowskiej do jejmości i różne inne podejrzane figury na jakieś narady.

Dobek obawiał się wszystkiego, miał przeczucie jakichś nieszczęść nowych. Sabina wprawdzie wszelkimi sposoby starała się go udobruchać, ugłaskać i na nowo panowanie odzyskać, lecz się to tylko chwilowo udawało. Dobek, jak skoro po miłych pieszczotach odzyskał panowanie nad sobą, stawał się niedowierzającym i dzikim. Nawet już (czego nigdy w przód nie bywało) objawy czułości z pewnym czasem wstrętem i niechęcią odpychał.

Wypadek w skarbcu, choć zapomniany na pozór, dawał się czuć w skutkach; większa część winy spadła na Porębę, choć część jej na jejmości pozostała. Odpokutowała ona ją ciężką chorobą, lecz Bobkowi snadź i to nie zdawało się dostatecznym. Życie z dnia na dzień było nieznośniejsze. Salomon zamykał się z Eliaszem na długie godziny w swym mieszkaniu, przychodził znowu powołany Aron, interesa pochłaniały starego.

Z jejmością widywali się ceremonialnie u obiadów, wieczorami, a o niczym ważniejszym mowy nie było, bo Dobek mieszać się do niczego jejmości nie dopuszczał. Bolała go i bezskuteczność poszukiwań dziecięcia, o którego los coraz więcej się niepokoił, a błąd popełniony co dzień mu więcej dolegał.

Jejmość też ze swej strony nie zasypiała. Bądź co bądź czuła, że nie powinna poprzestać na tym, co zdobyła, bo zdobycz była omylna. Ani serca męża, ani rządu majątku i interesów, ani ogromnych skarbów nie miała w rękę; w dobry czy zły sposób potrzeba to było pochwycić.

Małżonkowie, jakby przeczuwali bliską wojnę, chodzili około siebie, badając się wzajemnie. Pan Salomon czynny był znowu bardzo. Zawieszenie broni byłoby jednak potrwale jeszcze długo, gdyby nie szczególne okoliczności.

Gdy pan Salomon chował ciało ojcowskie w grobach, wypadły papiery z trumny, które on zabrał z sobą. Nie miał ich ani czasu, ani ochoty odczytywać; rzucił je więc na jednym z kufrów w skarbczyku, mając zamiar później przepatrzeć.

W czasie bytności swej z rotmistrem w podziemiach Dobkowa pochwyciła do kieszeni zwitki te w nadziei, że to są rejestra, mogące jej do obliczenia pieniędzy mężowskich posłużyć. Zapomniała o nich w chorobie i nierychło Rózia, znalazłszy w kieszeni sukni,

odniosła, ostrzegając, że może się one na co przydać mogą. Pani Dobkowa, nie dosyć wprawna w decyfirowanie takich notat, nie chcąc sobie pracy zadawać nad nimi, odniosła je, polecając wielką tajemnicę, księdzu kanonikowi Żagłowi.

W kilka tygodni potem widząc się z nim, zapytała o nie i otrzymała odpowiedź, że w istocie papiery są ważne bardzo, lecz do pomówienia o nich czas jeszcze nie przyszedł.

Od niepamiętnych lat, mimo odosobnienia Borowiec, co rok, czasem raz we dwa lata, potajemnie i jak najmniej robiąc rozgłosu przybywało tu kilka osób, mianowanych familią i jakby do rodziny należących, które zatrzymywały się dni kilka we dworze, były przyjmowane skromnie, bez występu, i odjeżdżały nie wiadomo dokąd, jak nie wiadomo też było, skąd przyjechały.

W roku przeszłym zjazdu tego czy odwiedzin nie było. Zazwyczaj gdy ci panowie przyjeżdżali, Eliasza i drugi stary sługa sami tylko przypuszczani bywali do posługiwania im, odbywały się ciche jakieś narady, żadnych uroczystych biesiad ani przyjęć nie było. Szeptano więcej niż mówiono; przyjeżdżający mieli pozór cudzoziemców.

Wśród nieszczęść, jakie spadły na Borowce, Dobek musiał o tych zjazdach zapomnieć, gdy jednego dnia przyniósł mu kartę Eliasza, która go mocno zafrasowała.

Po odebraniu jej poszedł pan Salomon na górę do żony.

— Moja jejmość — rzekł sucho — przybywają tu do mnie co lat kilka dla narady w interesach familijnych krewni dalecy, babki i prababki, z okolic Gdańska i Prus. Są to ludzie na pół obcy, do rozmowy nieskłonni, ja mam z nimi co do naradzenia się, lubimy być sami.

— A to sobie siedźcie sami! — zawołała Dobkowa. — Kiedym ja waszego towarzystwa nie godna...

Dobek nie zważał na kwaśną odpowiedź, jakby jej nie słyszał.

— Jejmość sobie na parę dni pojedziesz do Smołochowa — rzekł.

— A to co ma znaczyć?! — ofuknęła się Dobkowa. — Cóż to?! Ja nawet z daleka na ichmościów patrzeć nie jestem godna, a jegomość się wstydzisz żony?

— Moja jejmość — odparł Salomon — tu nie o to idzie, u mnie taki zwyczaj był, jest i będzie, że się naówczas kobiety nie pokazują. Jedź najlepiej do Smołochowa; wszak oprócz tego lubisz się radzić tego gołowasa Będziewicza.

— A to znowu coś innego? Już ci Będziewicz szkodzi?

— Ani on mi śmierdzi, ani pachnie — zimno odezwał się Dobek — ale go nie mnę. Z tym jednak mniejsza; trzeba, żebyś jejmość pojechała.

— Ja się ani ruszę! — zawołała Dobkowa. — Po co? czego? Nie pokąsam was! A, to mi piękna rzecz żonę z domu wypędzać!

— Nie wypędzam, lecz jeśli jejmość się uprzesz zostać, będziesz musiała się zamknąć i nie wychodzić.

— Cóż to ja niewolnica jestem czy sługa?

— To obyczaj domowy, do którego się trzeba zastosować. Sabina się rozśmiała.

— Co mi tam do waszych obyczajów! — poczęła jejmość, żywo chodząc po pokoju. — Śliczną bym żoną była i gospodynią, gdybym się dla gości dała z domu wypędzić! Nie pojedę do Smołochowa, a gdy przybędą, zrobię, co mi należy.

— Zamkniesz się waćpani w swoich pokojach.

Dobkowa zaczęła się śmiać, a na twarz starego wystąpiła czerwoność, zsiniał potem niemal z gniewu, drzwiami za sobą rzucił i wyszedł.

Nazajutrz z okien swoich zobaczyła Sabina przybywającą brykę, z której wysiadło trzech mężczyzn z cudzoziemska ubranych. Ci weszli na dół do pana Dobka i drzwi się za nimi zamknęły. Na obiad ani gospodarz, ani oni nie stawili się, kazano go znieść na dół, wieczorem toż samo. Zanocowali w pokoju przy mieszkaniu gospodarza. Drugiego dnia toż samo było; powtórzyło się to i ostatniego, po czym czarno ubrani panowie, odjechali, jak przybyli.

Niezmiernie ciekawa tych ludzi i co oni tu robić mogli, podglądać się starała i podsłuchiwać jejmość, lecz nic a nic nie doszła. Chodząc po zamku i dokoła komnat męża, w pewnych godzinach dosłyszała jakby szmer modlitw lub cichy śpiew dochodzący ją od tego mieszkania, lecz nie mogła dobrze rozpoznać, co to było.

Przez całą tę trzydniówkę nie mogła też się ani razu widzieć z mężem, choć po kilkakroć do niego posyłała. Gniew jej doszedł do wysokiego stopnia. Po wyjeździe tych tajemniczych gości, gdy Dobek przyszedł blady przywitać się z nią, prawie doń mówić nie chciała.

— Gdybym była mogła przewidzieć, co mnie tu czeka — rzekła — i to utrapione życie pustelnicze, na jakie jestem skazana, bądź waćpan pewien, że wolałabym była pozostać na dzierzawie w Smołochowie.

— I to by bodaj było najlepiej! — mruknął Dobek.

— Ale cóż to za życie! Co to za życie! — poczęła wołać. — To nie do zniesienia!

— Mogłaś się, moja jejmość, z góry na nie przygotować, bom sobie wyraźnie zastrzegł, że obyczajów moich zmienić nie myślę — odparł Dobek. — To darmo!

Z tej i następnych rozmów przekonała się Sabina, że wiele władzy straciła i że myśleć o jej odzyskaniu teraz nie było można. Zajęła więc mężnie stanowisko nieprzyjazne. Dwór jej ode dworu mężowskiego jak zawsze się dzielił, tak teraz też począł występować z otwartą niechęcią. Ażeby się obronić od nieprzyjemności, potrzeba go było zwiększać. Będziewicz nieustannie na narady był wzywany. Przyjęła jejmość służącego osobnego dla siebie, z ręki

Będziewicza zarekomendowanego. Był to młody szlachcic, nieosobliwszej powierzchowności, blady, ospowaty, nie patrzący nikomu prosto w oczy, chodzący pod murami i chowający się po kątach, ale niezmiernie przebiegły, chłodny, wytrzymały i domyślny. On się przynajmniej za szlachcica miał i kazał się tak zwać, chociaż nazwisko nie obiecywało nic, nazywał się bowiem Przepiórka. Dworscy miejscowi w kilka dni po zainstalowaniu się jego we dworze nazywali go: Psiepiórko.

Jak służył pani, nie wiadomo, lecz że umiał się znaleźć z ludźmi, to pewna. Nie zważał na nieprzyjemności, kłótni unikał, milczał, patrzył, słuchał, podglądał, po trosze głuptaska udawał a w tydzień może tak znał wszystkich obyczaję, godziny i całą miejscowość w Borowcach, jakby tam był od dzieciństwa. Udało mu się nawet potajemnie pozawiazywać stosunki na folwarku, między służbą, i mimo okazywanych niechęci zupełnie był swobodny.

Przepiórka głównie się temu snadź poświęcił, ażeby przez skaptowanie sobie jednego z pańskich faworytów uczynić wyłom w ściśniętej dotąd falandze. Zdawał się najprzód wypatrywać, kogo by sobie miał obrać, potem rozpoczął obłężenie formalne około niejakiego Walentego, zwanego Walem, starego człowieka, rówieśnika Eliasza, który skutkiem starości trochę był zdziecinniał.

Miał on niegdy zaufanie pańskie i zajmował na przemiany z Eliaszem miejsce przy jegomości, lecz podupadłszy na umyśle i na siłach, pozostał teraz bez zajęcia, po całych dniach odczytywał Biblię i odgadywał Apokalipsę. Ten popęd ku ascetyzmowi zwrócił nań oczy księdza kanonika, który usiłował korzystać, dla nawrócenia go, z tego usposobienia. Chociaż Wal bowiem liczył się za katolika, jak inni we dworze, był nim tylko z imienia. Ksiądz kanonik zwabił go na rozprawy o Apokalipsie, a powoli, znalazłszy umysł chciwy pociechy duchowej, pracować nad nim zaczął. Przepiórka pomagał ku temu i działał też w sprawie nawrócenia. Wal niepostrzeżenie dla innych znikł prawie ze dworu, na co nikt jeszcze nie zwracał uwagi, a począł kręcić się coraz więcej około plebanii.

Jednego dnia ksiądz kanonik przez Przepiórkę dał znać jejomości, iż ma z nią do pomówienia. Dobkowa po obiedzie poszła na probostwo. Zastała kanonika jakby przygotowującego się do jakiegoś ważnego kroku. Poprosił ją uroczyście do pokoju dalszego i polecił, ażeby nikogo nie wpuszczano.

Tu, gdy pani Dobkowa usiadła, ksiądz poszedł po papiery do szafy, przyniósł je, położył na stole, a sam namyśliwszy się tak mówić począł:

— Najprzód waćpani dobrodziejce objawiam to, że rozmowa nasza ma być rodzajem spowiedzi, o której ani ja nikomu, ani też pani mówić nie powinnaś. Tycze się ona zbyt

ważnych przedmiotów, interesów Kościoła, kraju i moralności publicznej. Zdradzić to, co się tu mówić będzie, byłoby śmiertelnym grzechem.

Sabina trochę się złękła.

— Niech ksiądz kanonik będzie spokojny — rzekła — ja pewnie nie wydam.

— Muszę tedy asindźce tę smutną zwiastować nowinę, że się tu na dom, do którego asindźka weszłaś, srogie gotują burze. Od tej roli, jaką odegrać w nich zechcesz, zależy albo bardzo świetny rezultat dla pani, lub srogie próby. Jesteśmy na tropie popełnionego tu przed wielu laty kryminału i drugiego, podobnego, przed niedawnym czasem. Odpowiedzialność za nie spada na pana Dobka, który o nich wiedział, skrywał, a do jednego z nich sam się przykladał. Oprócz tego ciąży na domu gorszy zarzut, zdrady i kacerstwa.

— Ale cóż ja, nieszczęśliwa... — poczęła Dobkowa.

— Ani pani, ani ja się do tego nie mieszam. Zaskarżenia poszły z innego źródła do sądu. Ja waćpani dobrodziejce po przyjacielsku o tym oznajmuję, ażebyś wiedziała, co czynić, jak sobie postąpić. Dobkowie są pod strasznymi zarzutami;znaczona komisja sekretna zjedzie lada chwila... Umyjże ręce, moja dobrodziejko, od tych brudów, nie mieszaj się, a co wiesz, to szczerze wyznaj. Przestrzegam z dobrego serca, a we dworze o tym ani wiedzieć, ani się domyślać nie powinni.

Dobkowa, przelekła, zaczęła drżeć.

— Ale cóż to, mój ojczy? Jak się to odkryło?

— Opatrzność Boża, która nie daje zbrodni bezkarnie ujść nigdy, wybrała za narzędzie starca, który o wszystkim wiedząc, tając do tego czasu, ruszony sumieniem, poszedł to podać sądowi, pod przysięgą dobrowolną.

— Cóż takiego? Co? Na Boga! — podnosząc się z siedzenia, odezwała się wylękła Dobkowa.

— Są to po trosze stare dzieje, ale się z nowymi wiążą — mówił ksiądz. — Ojciec pana Salomona ożenił się, jak oni wszyscy, poza krajem, z kobietą swojej wiary, heretyczką.

— Alboż nie są katolikami?

— Tylko pozornie — mówił kanonik. — Kobietę snadź wziął mimo jej woli, nie kochającą go, przybył tu z nią, a potajemnie pono i pierwszy amant za nią podążył. Nie wiadomo jeszcze, czyli dowody zdrady jakie miał mąż, lecz człowiek go własny wydał, że żonę, a bodaj i gacha zamordował.

Dobkowa krzyknęła:

— Jak to, zamordował?!

— Tak jest — mówił kanonik dalej. — Sługa go wydał i miano pochwycić winowajcę, gdy znikł nagle. Zamalowano sprawę pieniędzmi, podano go za umarłego. Zduszono wszystko. Tymczasem okazuje się, że syn Salomon ojca tego, mężobójcę, trzymał w lochu zamkniętym lat kilkadziesiąt.

— Salomon — powtórzyła Dobkowa — mój mąż?

— Tak jest. Stary niedawno czy zmarł, czy nie wiadomo jaką śmiercią skończył, a nie pogrzebione jego ciało złożono w grobach.

Zakryła sobie oczy pani Dobkowa, przypominając ów loszek, który widziała po nocy, i ślad na podłodze, jakby nim coś świeżo do grobów wciągano.

— Oprócz tego — dodał ksiądz Żagiel — są inne, okropniejsze zarzuty. Pod pozorem katolicyzmu kryła się tu od wieków herezja przeciwko Trójcy Świętej, szkaradny brud arianizmu, którego zwolennicy sekretni co rok się tu na radę zjeżdżali, mieli tu swe skarby, swe sejmy i obrzydłe obrzędy w kapliczce jakiejś pod ziemią odbywali. Sąd świecki i duchowny już ma wskazówki dostateczne do poszukiwania występków i ukarania ohydneho kacerstwa.

Wytrwała na wszystko i nieulekła pani Dobkowa, słysząc jednak tak groźne zarzuty i oznajmienie o tym, co się na męża jej gotowało, przeraziła się straszliwie. Zakryła oczy, na płacz się jej zbierało. Nie szło jej ani o dom, ani o męża, lecz o te skarby, których ogrom nie wychodził z jej pamięci, przewidywała, że jako arianom wszelka majątność Dobkom odjęta zostanie.

— Mój ojcze! — zawołała. — A cóż się stanie ze mną?

— W żadnym razie jejmość ucierpieć nie możesz, owszem, swą schedę i poszkodowanie z fortuny ogólnej musisz mieć wydzielone, lecz moja dobrodziejko — zakończył ksiądz Żagiel — musisz z kacerstwem tym piekielnym zrzec się wszelkiego stosunku.

— Ja o tym nie wiedziałam! Jam żadnego nie miała! — okrzyknęła, ręce składając, Dobkowa.

— Ostrzegam też waćpanią, abys się na baczności miała, gdyż lada chwila przyjdzie do porachunku kilkasetletniego z tą rodziną. Utajony arianizm, wiadomo, co ciągnie za sobą... Ja się w to mieszać nie chcę, i nie będę — dodał z westchnieniem ksiądz Żagiel. — Siedziałem na ich ziemi długo, nie najlepiej mi było, alem krzywdy nie miał, życzyłem... przecież pomsta Boża przychodzi... czas było!

— Mój ojcze! — zawołała Dobkowa, składając ręce. — Weźże mnie obcą i niewinną w opiekę swoją. Za cóż bym ja pokutować miała? Wszak ci to ich majątności na skarb pójdą?

— Tak by powinno być!

— A skarby i kapitały?

— Myślę, że także.

— I uratować by nie można? — ogniście odezwała się pani Dobkowa. — Przecież mnie się coś z tego należeć powinno.

— Nic nie wiem, i to są rzeczy mi obce — rzekł ksiądz Żagiel. — Jejmości bym dla jej spokoju życzył wcześniej się może do Smołochowa cofnąć i tam burzę przesiedzieć.

— A tu wszystko na skarb zabiorą! — lamentując krzyknęła jejmość. — Nie, ja tu muszę być, aby choć w części ratować.

Ksiądz kanonik milczał.

— Po heretykach, którzy Kościołowi szkodliwymi byli, to by się spadek nie komu, tylko jemu należał — rzekł ciszej — ale teraz tam te prawa poprzebierano! Siedźże jejmość cicho — dodał — zjedzie komisja, mów prawdę, trzeba, aby ona wyszła na jaw, aby się stała sprawiedliwość, a winni ukarani byli.

Po naradzie przerywanej westchnieniami i wykrzykami, która jeszcze czas jakiś trwała, pani Dobkowa powróciła ostrożnie do domu, mocno zatrwożona o siebie. Przechodząc około mieszkania męzowskiego, dostrzegła, iż tam z wielkim pośpiechem wpadł Aron najprzód, potem *zaraz* Eliasza zawołano i drzwi się zatrzasnęły. Narada trwała ze dwie godziny, po czym Aron odszedł do domu i późno w noc raz jeszcze zawrócił. Dobek od wieczery się wymówił.

Na dole ruch jakiś był niezwykajny i pani Dobkowa domyślała się, że tam już coś o niebezpieczeństwie wiedzieć muszą.

Następny dzień zszedł jednak cały spokojnie, Wal tylko zniknął był i o to mocno się kłopotano, domyślając się, iż mógł z jakimiś doniesieniami udać się do sądu. Dobek przy obiedzie zaczął mówić otwarcie:

— Choćby się człowiek najlepiej z ludźmi obchodził — odezwał się — choćby ich dobrodziejstwa osypywał, zawsze sobie nieprzyjaciół zrobić musi. Tego nie można uniknąć.

Jejmość słuchała, milczała i udawała obojętną.

Dzień zbiegł tak do wieczoru bez żadnego wypadku, w nocy już do drzwi jejmości zapukał Przepiórka i oznajmił, iż komisja do miasteczka zjechała i główną kwaterę zajęła na probostwie. We dworze tak było cicho i spokojnie, jakby się wcale niczego nie domyślano i nie obawiano.

Z północy, gdy wszystko zdawało się uśpione, urząd z małą siłą zbrojną, którą był otoczony, zszedł z probostwa ku dworowi. Pan Dobek nocował na dole, a przy nim Eliasz. Zastukano do drzwi, lecz musiano długo kołatać, nim otwarte zostały.

Ponieważ sprawa miała się wytoczyć z rejestru arianizmu, szczególne środki ostre dla dobadania się prawdy przedsięwzięte zostały, a mianowicie: opieczętowanie całego domu, skarbcza, lochów, kryjówek i wszelkiego domostwa, w którym dowody herezji potajemnej, schadzek itp. znaleźć się mogły.

Gdy urzędnicy ukazali się u wniścicia, pan Dobek, przyjmujący ich, wcale się nie zdawał zmieszany. Objawiono mu akt oskarżenia i winy, jakie przypisywano, ruszył ramionami tylko i wskazał ręką, aby spełniano, co prawo rozporządzało. Urzędnicy mieli widać dokładną informację o miejscowości, gdyż komisarz, pan Żółtuchowski, zażądał najprzód klucza od lochów, zalecając gospodarzowi, aby szedł z nimi razem. Eliasz też stary został pod straż wzięty i u pierwszych drzwi pachółków postawiono.

Nie stawiając najmniejszego oporu, Dobek, gdy mu drzwi żelazne wskazano, dał klucz od nich, sam pan Żółtuchowski otworzył zamki i wszyscy, wiodąc ze sobą gospodarza, weszli. Jak wiemy, za drugimi drzwiami był skarbczyk. Znalezione go wedle wskazówek, jakie miano, w stanie, w jakim był być powinien. Kufry stały na swoich miejscach, kartek tylko na nich z liczbami nie było. Pan Żółtuchowski zapytał o klucze, które Dobek wskazał pod misternie odwracającym się w ścianie kamieniem. Ponieważ nimby przyłożono pieczęcie, należało sprawdzić, co się w kufrach znajduje, otwarto zaraz pierwszy.

Na dnie jego była kupka bibuły i trochę sznurków, więcej nic. Poszedł zatem pan komisarz do drugiego, w którym nie znalazł nic oprócz śladów myszy, w trzecim było trochę pleśni, w czwartym na dnie piasek itd.

Ogarnęło wszystkich zdumienie wielkie, gdyż opieczętowywać nie było czego.

Następnie szli drzwiami wiodącymi do dawnego mieszkania pokutnika. Tu zmieniła się zupełnie fizjonomia lochu; nie było najmniejszych śladów pobytu niedawnego gościa, loszek stał pusty i trocha w nim w piasku butelek. Stary kominek, który miał służyć do oblewania smołą korków przy ściąganiu win, od dawna pono był zamurowany. W szafkach nie znalaziono nic oprócz resztek owoców, które tu snadź na zimę składane były.

Komisarze domagali się otwarcia grobów, aby je z wewnątrz mogli opieczętować, i mimo wrażenia, jakie te nocne odwiedziny na nich czyniły, weszli w milczeniu. Tu widok monumentów, trumien, szczątków ludzkich, powietrze przejęte wonią śmiertelną, marmurowe w świetle lamp połyskujące grobowce, napełniły nawet najśmielszych grozą śmierci.

Wszystko tu było w porządku i jak najstaranniej utrzymywane. Na trumnie matki pana Salomona wyrwany kawał aksamitu snadź pobożna ręka nazad przylepiła, gdyż uszkodzenia tego znać nie było. Trumny też starego Adama, ze źle przymkniętym wiekiem, której pono oczyma szukano, nie dostrzeżono.

Tu stanąwszy pan Żółtuchowski, który z widocznym wstrętem przystępował do scrutiny, kazał u drzwi wychodowych (tych, którymi Eliasz tu wprowadził Laurę) położyć pierwsze pieczęci. Szukał potem w papierach długo, czytał i obróciwszy się do pana Dobka zapytał go, kędy by był wchód do kaplicy. Na co dosyć osłabłym głosem stary odrzekł, iż o żadnym nie wiedział, ani też o kaplicy.

— Być bardzo może — dodał — iż za dawnych czasów w obszernych podziemiach istniała gdzie jaka grobowa kaplica, ale ta zapewne albo zniszczona być mogła, albo stawszy się nieużyteczną, zamurowana została.

— Ja się pytam o miejsce zboru, które jeszcze i w tym roku współwyznawcom pańskim, arianom z Rutowa i Andreaswaldu tu przybyłym, do narad i ich świętokradzkich nabożeństw służyły — rzekł Żółtuchowski.

— O żadnych arianach z Rutowa i w ogóle o z dawna wygasłym u nas arianizmie ja nic nie wiem — odparł Dobek obojętnie.

W lochach nie było najmniejszego śladu, żadnego wyjścia. Przy ścianach stały grobowce i trumny. Obszedłszy nie bez trwogi te katakumby, komisja powróciła, wszystkie ich drzwi pieczętując za sobą. Toż samo dopełniono i przy skarbcu, i na mieszkaniu pana Dobka, którego, kazawszy mu się ubrać i dozwoliwszy z sobą wziąć, co do jego osobistego użytku służyć mogło, zabrali panowie komisarze dla dalszego oglądania zamku. Z kolei pokoje Laury, dotąd nie tknięte, parlatorium, wszystkie izby i komory opieczętowano. Na ostatek przybyli do dawnego mieszkania córki, dziś zajmowanego przez macochę.

Ta od dawna już przebudzona i jako tako przyodziana, w chwili gdy się pan Żółtuchowski ukazał w progu, rzuciła się ku niemu z płaczem, padając przed nim na kolana, załamując ręce i wywracając piękne oczy czarne.

— Panie komisarzu! — wołała. — Błagam cię, nie mieszaj sprawy mojej, nieszczęśliwej, uwiedzionej, nieświadomej niczego kobiety z tymi ludźmi, którzy się tu jakichś ohydnych praktyk dopuszczali. Ja o niczym nie wiem, mnie ten starzec wciągnął w swe sieci, zrujnował, ja z heretykiem tym nic nie chcę mieć wspólnego... Żądam tylko słusznego udziału w majątku, który mi się należy.

— Niech się jejmość dobrodziejka uspokoi — rzekł Żółtuchowski, który był człek wystawy i poważny — nic tu się straszego stać nie może.

— Ja tylko sekwestr kładę, w imię moich praw, do gotowizny! — zawołała pani Dobkowa.

— Z żadnąśmy się jeszcze tu nie spotkali — rzekł komisarz.

— A na dole skarbiec?

— Kufry są, mościa dobrodziejko, ale puste.

— Puste? Puste?! — łamiąc ręce krzyknęła jejmość. — Ale to nie może być!

— Później się to wszystko wyklaruje — rzekł komisarz. — A że jejmość o nic obwinioną nie jesteś i pewnie żadnych dowodów winy tu nie ukrywasz, zatem i mieszkania jej obsygilowywać nie będziemy mieli potrzeby.

Na tym się odwiedziny skończyły. W parlatorium po szafach zabrano i opieczętowano znaczną ilość ksiąg ariańskich, całą bibliotekę *fratrum polonorum* i wielu pisarzy XVI i XVII wieku.

Pan Dobek utrzymywał, że to są pamiątki po pradziadach, które tylko jako drogocenne zabytki przechowywano.

Nim się pracowite obchodzenie domu całego skończyło, już się niemal na dzień zbierało, wszyscy byli pomęczeni, lecz w tym domu ani pić, ani jeść nic nie chcieli. Postawiono straż i biorąc z sobą Dobka, komisja udała się na probostwo najprzód, gdzie też miejsca dla wszystkich szczupło było, więc pan Żółtuchowski, zostawując pisarza i kancelistę, sam ze swym więźniem udał się do najporządniejszego domu w miasteczku, należącego do Arona. Tu sam zajmawszy jedną izbę, drugą ostawić kazał strażą i w niej pana Dobka umieścić. Na dworze szarzeń zaczynało, wszyscy byli pomordowani i znużeni nad wyraz; Dobek też prosił, by mógł spocząć, na co mu pozwolono.

Komisarz nawet był do tego stopnia dlań powolny, chociaż dla kacerza, iż mu pachółków w izbie nie postawił, tylko pod oknem i drzwiami.

Alkierzyk, w którym dziedzic miasteczka nigdy się pono nocy spędzać nie spodziewał, jak w wielu domach żydowskich, tarcicami był na pół przeforsztowany; ścianka ta, przedzielająca pierwszą połowę izby od drugiej, przez familię gospodarza zajmowanej, nie dochodziła do samego pułapu.

Przy niej to właśnie na sianem i kilimkiem lada jakim pokrytym tarczanie położył się Dobek stękając, gdyż cała ta nocna scena sił go pozbawiła. Okiennica od podwórza była zamknięta i wycięty w niej tylko otwór na kształt serca przepuszczał słabe ranne z podwórza światelko. Stary położywszy się z oczyma otwartymi czuwał, a myślał, nie zdając się zbyt przerażonym tym, co go spotkało.

W sąsiedniej izbie pan Żółtuchowski głośno odmawiał pacierze i bił się zapalczywie w piersi, potem obalił się całym ciężarem na łóżko, westchnął i, jako człek prawy, w kwadrans począł chrapać.

Chrapanie pana Żółtuchowskiego nie w jednym powiecie, ale w całej tej ziemi sławne było. Często psy w sieniach śpiące, posłyszawszy je najprzód, szczebrać, a na ostatek wyć

zaczynały. W chrapaniu tym była cała orkiestra różnych instrumentów; gardło, krtań, nos grały każde swoją partię z dziwną różnaitością intonacji. Odzywało się w nim świstanie, gruchanie, burczenie, kwiczenie, klaskanie, a kończył każdy taki frazes muzykalny okrutny zgrzyt zębów, jakby kto szkło piłował. Spać w jednym pokoju z Żółtuchowskim było szczerym niepodobieństwem, w sąsiednim męczarnią, a nawet w jednym domu z nim, zadaniem problematycznym.

Gdy się ten koncert rozpoczął, można było też śmiało bodaj głośną bawić rozmową, nie lękając podsłuchania. Grzmoty rozlegały się, gdy ponad przeforsztowaniem z tarcic, tuż prawie u głowy pana Dobka, w górze ukazała się znana mu twarz z brodą poczciwego Arona Lewiego. Stary przechylił się, o ile mógł, zbliżając do więźnia. Mogli z sobą wyśmienicie rozmawiać, nie lękając się, by ich pacholcy podsłuchali. Miał też tę ostrożność Aron, że znużonym ludziom obficie dał wódki, i oba oni oparli się plecami jeden o ścianę pod oknem, drugi o drzwi, posnęli.

— Mów jegomość, co robić? Do kogo posyłać? Co chować?! — zawołał Aron. — Mów jegomość prędko, póki te zbóje śpią i nie słyszą.

— Nic, nic, mój Aronie, poszlej do Konopnicy, daj znać tamtym.

— A co znaleźli? — spytał ciszej Aron.

— Cóż oni mogli znaleźć? — uśmiechnął się stary.

— A...? — Tu nie śmiejąc wyrzec, o co mu chodziło, Aron wy dobył ręce i w dłoni pokazał, jakby liczył.

Dobek pokiwał głową przecząco i uśmiechnął się smutnie.

— Nic? — powtórzył.

Więzień powtórnie dał ten sam znak.

— Czy mam gadać z komisarzem? — mówił dalej stary wskazując znowu na dłoń i licząc niby.

— Dać pokój! Na co? To się ułatwi inaczej, nie znajdą nic.

— A to, co Wal pogadał?

— Wal cierpi od dawna... — Dobek wskazał czoło.

— A papiery te jakież?...

— Nie wiem o żadnych — dodał więzień — nie trzeba się bardzo starać aż do ostatka, zobaczymy, jak pójdzie sprawa.

— A jejmość? Co jejmość? Stary Dobek namarszczył się.

— Za grzech mój kara przyjść musiała. Za dziecko moje Pan Bóg mnie dotknął sprawiedliwie i cierpieć powinienem, bom zasłużył. Gdzie ono teraz to biedactwo, błakające się może bez przytułku? — dodał po cichu i łza puściła mu się spod powiek.

Żyd, usłyszawszy szelest jakiś, nagle za przeforsztowaniem zniknął.

Chrapanie pana Żółtuchowskiego przeciągało się tak skutecznie do dnia, iż Dobek zaczął dopiero usypiać, gdy woźny pana komisarza przebudził.

Zanościło się na nadzwyczaj zawikłane scrutinium w miejscu, po czym sprawa dopiero sądom przekazana być miała. Obwinienie o potajemny arianizm, zatem o świętokradztwo, stanowiło główną istotę procesu, do której łączyła się nieco zawikłana historia Adama, *de noviter repertis*, i jego pośmiertnego życia w areszcie u syna.

Tu wszystko oparte było na papierach starca, który w samotności swej zapisywał na kartach luźnych przypomnienia własne, dawniejsze przygody, wrażenia i myśli. Z notat pochwyconych przez panią Dobkową a wręczonych księdzu kanonikowi okazywało się, iż stary żył w lochu zamknięty aż do wiosny przeszłej. Gdzie się później podział, kiedy zmarł, kto go pochował i gdzie, dojsć było potrzeba.

Sprawa, już przed laty *per non sunt* puszczona z powodu prawdopodobnej śmierci obwinionego, odżywała znowu, razem z infamią i wszelkimi następstwami.

Dowody arianizmu były w głuchych zaskarżeniach i powieściach, w zeznaniach starego Wala, a mniej dobitnie w znalezionych księgach. Wal, który sam zeznawał, że do arian należał i z nimi do niedawnego jeszcze czasu trzymał, wskazywał całą rodzinę jako w herezji pograżoną, mówił o zjazdach z Prus i Niderlandów przybywających kacerzy, odbywanych w podziemiach zamkowych, o kaplicy ariańskiej, sali, zborze i archiwach. Odpowiadał on, iż wnijścia oznaczyć dokładnie nie mógł, gdyż zwykle po nocy korytarzami ich tam wpuszczano, lecz twierdził, że kaplica i zbór do grobów przytykać gdzieś musiały.

Komisarz Żółtuchowski udał się tam razem z nim po dniu białym, obeszli podziemie, szukano, usuwano grobowce, kopano, świdrowano w ścianach i nigdzie żadnego śladu znaleźć się nie udało. Groźbami zmuszany stary Eliasz milczał jak kamień i wprost dawnego towarzysza obrzucał tym, że mu się w głowie pomieszało.

Ponieważ najpilniej szło o ten *corpus delicti*, o wyszukanie owej kaplicy i archiwum, starego Wala postawiono tegoż dnia przed panem Dobkiem, by wyznanie swe powtórzył.

Wprowadzony do izby pana komisarza, Wal w progu już drzeć zaczął, zobaczywszy swego dawnego pana, który w powszednich chwilach był niepozornym człowieczkiem skurczonym, twarzy bez wyrazu, a teraz wydawał się jakby odmłodzony i nową siłą

natchniony. W istocie Dobka w nim owego poznać było trudno, tak urósł w nieszczęściu. Wal spojrział nań i sumienie mu się poruszyło, stanął w progu z załamanymi rękami.

— Mówże, mów! — podżegł pan Żółtuchowski.

Wal głowę ku ziemi spuścił, oczy w posadzkę wlepił, milczał posepny. Dobek widząc, iż stary odwagi nie ma, odezwał się:

— Kończże, jakeś rozpoczął, mów! Jadłeś chleb mój od kolebki do starości, a nigdy ci go nie zabrakło, dzieliłem z tobą nie tylko chleb ten, lecz i serce moje, byłem ci ojcem i bratem. Chciałeś mi za to wywdzięczyć się jako Judasz Chrystusowi Panu, dlaczegoż bym ja skarżyć się na mój los miał i żądać, abym lepszym był od Zbawiciela? Mów, mój Walenty, mów, co ci sumienie podyktuje, obwiniaj, dowódź, prowadź może pod pręgierz czy na stos, ja ci wzorem mistrza naszego za winę nie poczytam słabości twej ani zdrady twej, jeśli w sumieniu czuleś się obowiązany to uczynić. Mów, a obwiniaj...

Stary padł na kolana, rozszłochał się.

— Ja nic nie wiem! Mnie się w głowie pomieszało, plotłem, winienem...

Komisarz się obruszył i obracając do Dobka, prosił go, by się więcej nie odzywał. Dobek więc zamilkł i siadł. Z Wala wszakże nic wydobyć nie potrafili.

Ta nagła zmiana pomieszała szyki. Przepiórka, który miał czas na miejscu rzeczy wybadać, a z Walem nieraz o tym mówił, jął przed urzędem dowodzić, iż lochy pod starym zamkiem są nadzwyczajnej rozległości, że należy je wskroś przejść z końca w koniec, szukając wnijść, dowodził też, że tajemnicze drzwi mogły być zamurowane, gdyż wedle wszelkiego podobieństwa przed przybyciem urzędu pan Dobek wiedzieć musiał, co mu grozi, i do tego się przygotował. Przepiórka mówił, że ostatniej i przedostatniej nocy w zamku był ruch i krzątania niezwykajna.

Wszystko to jednak nie starczyło, dopóki by się owa skryta kaplica nie znalazła.

Scrutinium toczyło się tak dalej, obiecując długo się przeciągnąć.

VI

Położenie pani Dobkowej po uwięzieniu jej męża, gdy się spodziewała, że chwilowo tu zapanuje i obejmie rządy, stało się w istocie nieznośniejszym, niż było. Z wyjątkiem probostwa, nieprzyjaznego dworowi, co żyło po wsiach, w miasteczku, na zamku, przywiązane było do starych panów, przypisywano wszystkich tych nieszczęść przyczynę macosze, która się tu wkręciła, niosąc za sobą niepokój, intrygi i cały szereg utrapień.

Znienawidzona przez wszystkich, odstąpiona, znalazła się pani Dobkowa jawnymi otoczona nieprzyjaciołami i zniewolona posługiwać własnymi ludźmi ze Smołochowa, bo jej nikt słuchać nie chciał i nic jej wydawać. Przyszło do tego drugiego dnia, iż trzeba było posyłać po żywność, a nieprzyjazne i chmurne spotykając twarze, obawiać się jakiej napaści nawet i zemsty. Jawne wystąpienie Przepiórki w sprawie przeciwko panu nie dozwalało jemu już na krok odejść od pachółków, bo mu się kijami odgrazano.

Sam pan Żółtuchowski postrzegł wkrótce, iż ogólne usposobienie ludności na żadną z jej strony pomoc rachować nie dozwala. Zamiast mu posiłkować, służyło, co żyło, obwinionemu. Jako człek rozumny, komisarz poszedł się o tym we cztery oczy rozmówić z Aronem.

Starego Żyda powszechnie szanowano, trochę dla jego rozumu, wiele dla jego pieniędzy.

— Jakże to będzie, mospanie kupiec? — zapytał Żółtuchowski. — Wszyscyście tu, widzę, spiknęli się trzymać z dziedzicem i bronić go.

— A czemu by tak nie miało być? — spytał Aron. — A jak ma być inaczej? My znamy tych naszych panów od lat bardzo wielu, my ich kochamy, myśmy im wdzięczni, to są ludzie poczciwi! Że kilku łajdaków, z pozwoleniem jaśnie wielmożnego pana, związało się przeciw nim, aby ich zgubić, co za dziw? Czy pan, pan taki rozumny, pan, co słycha, jak trawa rośnie, nie widzisz, kto tu tego wszystkiego przyczyną i instrumentem?

Aron spojrzał mu w oczy, komisarz się frasobliwie uśmiechał.

— Pan ją widziałeś wczoraj? — westchnął Izraelita. — Ta kobieta przyniosła nam tu nieszczęście. Od niej nasza śliczna panienska musiała uciec, od niej, kto tylko mógł, uciekałby. Jej to ludzie świadczą, z niej wszystko.

Pokiwał głową Aron.

— Ale w tym wszystkim jest jednak prawda. Są dowody czarno na białym — rzekł Żółtuchowski.

— Albo to tego czarnego na białym nie można wymyślić tak samo jak innych rzeczy? Jaśnie panie — dodał Izraelita — kiedy tysiąc ludzi płacze po kim, a dwóch się śmieje, niech pan będzie pewien, iż ci dwaj łotry są.

Komisarz odszedł zamyślony. Wszelako musiano dalej owe lochy prześledzać i kaplicy szukać.

Wal, wezwany na przewodnika, złożył się od starości zabałamuconą głową i iść nie chciał. Zagrożono mu, zawołał, że go rozsiekać mogą, ale nie pójdzie.

Tępo jakoś sprawa się posuwała, a raczej cofała, niż rozwijała. Nie miała jednak powodu komisja, której dostarczano wszystkiego obficie, zbytecznie spieszyć do końca. Grzebano się powoli, prawie tylko, aby coś robić pozornie, w istocie niewiele lub nic nie czyniąc.

Dobkowa na zamku chodziła jak opętana po swych izbach, nie wiedząc, co począć. Widywała się co dzień, zapraszając do siebie Żółtuchowskiego i usiłując go wdziękami akceptować, lecz pan komisarz człek był stateczny, dla kobiet z respektem a do obalamucenia jakoś trudny. Wymagało to czasu, bo się nie zaraz rozgrzewał.

Nie znajdując rady u niego, jejmość szła do kanonika na probostwo. Ksiądz Żagiel był milczący. Dawał jej tylko jedną radę, iż mogłaby z więzów małżeńskich się uwolnić tym, iż ślubując małżonkowi, katolikiem go sądziła, więc odkrywszy herezję, ma prawo prosić o skruszenie podstępnie zawartego związku.

Panią Sabinę skłaniało ku rozwodowi szczególnie to, iż kufry okazały się pustymi, a Borowce mogły być skonfiskowane; z drugiej jednak strony obawiała się oszukać, gdyby Dobek od obwinień się oczyścił, a pieniądze (o czym mówiono) ukrył tylko. W niepewności wielkiej, postanowiła czekać końca procesu. Nie upominała się wcale o widzenie się z mężem, ani też on się dopraszał, żeby się z nią mógł zobaczyć.

Na wypadek oczyszczenia nie frasowała się o pojednanie i wytłumaczenie, była bowiem pewna, że Dobkowi oczy zaproszy, czym zechce, i pociągnie ku sobie. Gdy wieść o sprawie ariańskiej rozeszła się wprędce po kraju, bo registr ten już prawie był zapomniany, więc wiele o Dobku mówiono, bardzo fortunnym trafem dobiegła ona do uszu rotmistrza Poręby, wygnanego z Borowiec za owo wtargnięcie się do skarbcza. Rotmistrz, któremu ekskuzywnka pomagała, posiłkując mu małymi przesyłkami, pomimo to był w dosyć przykrym położeniu i tęsknił do szczęśliwych dni w Borowcach, dowiedziawszy się więc, iż Dobek został inkarcerowany, że się tam *scrutinium* nań o kryminały toczy, a jejmość osamotniona, bez opieki, oprócz Będziewicza nie ma nikogo, kazał konie zaprzęgać i śpiesznie w pomoc jej podążyć.

Właśnie gdy największe ogarniało ją strapienie, Poręba się zjawił. Chciał wprost zajechać do dworu, ale tu pozostawiony ekonom i człowiek do zarządu odmówili przyjęcia. Zmuszony więc został umieścić się w gospodzie, a osobą swą stawił się zaraz u Sabiny.

Czułe było powitanie. Jejmość rozplakała się.

— Prawdziwa kara boża! — zawołała, witając go. — Patrz, mój rotmistrzu, do czego to przyszło. Wiesz... te kufry... puste! Majątek skonfiskują, a ja pójdę stąd z torbami.

— A któż to, moja jejmość, tak głupio tego piwa nawarzył? — począł rotmistrz. — Toć przewidzieć było łatwo, co z tego wyniknie!

Jejmość nie przyznawała się wcale, że się przyczyniła znacznie przez nieszczęsnego Przepiórkę do wywołania oskarżeń Wala a przez papiery wyniesione ze skarbczyka do uregulowania obwinien.

— Proszę cię — wtrąciła znowu — no, kto by się był spodziewał, że te kuferki próżne będą?

— One chyba są teraz próżne — odezwał się rotmistrz kiwając głową — ale że nie były próżne, za to ja jejmości ręczę. Nie przypominasz sobie tego, że ja niemal każdy sepet za ucho brałem i próbowałem go podźwignąć, a żadnegom z miejsca nie poruszył?

— Ale czyż tak było? Pewnie? — spytała Sabina.

— Ja jestem człowiek gruntowny — odezwał się rotmistrz — i kiedy co robię, to porządnie. Co mi znaczyły nalepione kartki. Mogło być bałamuctwo, macałem dobrze... a i brzęczało we środku.

Głową pokręcił.

— Więc to gdzieś zawczasu pochowali, pochowali — dodała Dobkowa — a już do rozvodu iść chciałam.

— Nie, bo ty Sabciu — odezwał się Poręba, rozsiadając w krześle wygodnie — ty nie masz cierpliwości, wszystko tu popsulaś tą swoją gorączką. A było nam całę niezłe. Wódka starka, którą teraz, słyszę, opieczętowano, paradna! Jeść było w bród. Trzeba było siedzieć i pomaleńku sobie iść krok za kroczeniem. Jejmości się zachciało nagle, a co nagle to po diable. Otóż wszystkiego utrapienia przyczyna.

Dobkowa odwróciła się gniewna.

— A co ja się z łaski waszej napokutowałem — dodał rotmistrz — na wołowej nie spisać skórze. Ile razy wygnany byłem i głodny, co pieniędzy straciłem!

— Nie swoich...

— Już jak tylko traciłem, tom miał do nich prawo i byłbym je sobie mógł na stare lata zaoszczędzić.

W dalszym ciągu rozmowy okazało się, że ze Smołochowa trzeba było nosić prowiant do Borowiec i że życie w na pół opieczętowanym zamku stawało się nieznośnym.

Drugiego dnia Poręba ruszył rozumem. Spotwarzony przed Dobkiem jako podszczuwacz do złego, chciał na wszelki wypadek w oczach się jego oczyścić, bo mówił sobie w duchu, że człowiek mający pieniądze zawsze się jakoś z najgorszego procesu wykrobać potrafi. Nie mówiąc nic jejmości, poszedł zabrać znajomość z Żółtuchowskim. Przypomniawszy sobie nawet, iż za dziadkiem jego była Petronela ze Żółtuchow Żółtuchowska. Z pomocą tej nieboszczki Petroneli zaintrygował się do pana komisarza, który nudził się okrutnie, mając za całę towarzystwo tylko księdza Żagła i Arona, obaj zaś oni nie mieli czasu do gawędy. Poręba był mu wielce pożądanym, w godzinę się pokumali.

Rotmistrz opowiedział, że jejmość była jego krewną i że przybył jej w pomoc, aby choć alimenty wyrobić, póki by się sprawa nie rozstrzygnęła.

Siedli tedy w mariasza grać już jako koligaci i przyjaciele. Do oblania pierwszej dubli przysłała butelczyna. Humory poróżwiały.

— Co wy tam z tym nieszczęśliwym Dobkiem robicie? — spytał rotmistrz.

— A cóż, siedzi w alkierzu, nic mu się złego nie dzieje — odparł komisarz.

— Ja bym się z nim nie mógł też widzieć?

— Przy mnie, dlaczegoż nie?

— Chciałbym mu moją kondolencję wyrazić — rzekł Poręba. — Ludzie mnie ogadali przed nim, z domu mnie przepędził, wszystko to przebaczam wspaniałomyślnie, żal mi go. Cóż, myślicie, będzie z tej sprawy? — dodał rotmistrz.

— Albo ja wiem? Dotąd mi idzie jak z kamienia to ariaństwo.

— E, co to wam się wdawać w sądenie sumienia ludzkiego! — zawołał Poręba — on o to z Panem Bogiem mieć będzie sprawę. Arianin? A wiesz asindziej, co arianie byli?

— Straszliwe kacerstwo! — zawołał komisarz.

— No, ja tam tego nie wiem i nie potrafię rozróżnić, co arianie a co Ormianie. Mnie to wszystko jedno — mówił Poręba i zbliżył się do ucha Żółtuchowskiemu — ale że ten arianin grosza miał! A! A! A!

— A gdzież go podział?

— Któż to może wiedzieć! Ja wam ręczę, że te kufry były pełne, bom ich próbował.

— Istotnie?

— Żołnierskim słowem ręczę. Słuchajże, kochany Żółtuchowski, co ty, co wy zrobicie człowiekowi, który ma czym ozłocić wszystkie trybunały?

— Tylko nie tam, gdzie o arianizm sprawa! — odezwał się Żółtuchowski — Ho! Ho!

— Arianin! Ormianin! — dodał Poręba. — Kto ich tam rozróżni! At, bałamuctwo! Chodźmy do Dobka.

Poszli tedy. W progu Poręba począł nagotowaną orację

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Widzi pan, przybywam... Choć oczerniony, choć wypędzony, choć z błotem zmieszany a za wroga poczytywany, stawię się w złej godzinie z kondolencją. Widzi pan! A co? Łotr Poręba? Oto, to tak ludzi sądzą. Dzień i noc pędziłem, aby wam w złym razie usłużyć.

Dobek, który siedział w kozuszkach na tapczanie i nawet się nie podniósł, popatrzał nań, ledwie głową kiwnąwszy.

— A widzę, widzę — odezwał się — żeś jegomość przybył pocieszać nie mnie, ale zapewne jejmość. No, to tamże sobie do niej ruszaj, a mnie byś dał święty pokój.

— Pan jesteś niewdzięczny! — zawołał Poręba.

— To rzecz wiadoma — rzekł Dobek. — Ja jestem heretyk, zbójca, niewdzięcznik i co acaństwo chcecie. Cóż robić? Nie każdemu Bóg dał być takim rotmistrzem Porębą, to darmo.

Skrzywił się gość. Dobek zwrócił do Żółtuchowskiego:

— A co tam dziś znaleźliście, panie komisarzu, na moje potępienie? Odkopaliście kaplicą, zbór i co?

— Dotąd nic — rzekł Żółtuchowski.

— A co mi napsujecie ziemi i muru, niech wam Pan Bóg nie pamięta — dodał Dobek.

Popatrzał się na nich obu, kiwnął głową i pożegnał dając znać, że rad by ich widział za drzwiami. Poręba szasnęła nogą. Żółtuchowski odchrząknął — wyszli.

— Zacięty stary! — odezwał się komisarz.

Tegoż samego dnia, gdy rotmistrz podążył do zamku i miłą zrobił znajomość z Żółtuchowskim, umawiając się z nim o mariasika, późno w noc dwóch podróżnych zajechało na drugą połowę domu Arona Lewiego.

Gospoda to była murowana, jedna z największych w mieście, i miała w pośrodku bardzo obszerną stajnię, a po obu końcach mieszkalne izby. Tych jedną część, od rynku, zajęła komisja z panem Żółtuchowskim, druga pozostała Aronowi i jego licznej rodzinie. Podróżnych, oprócz wieśniaków z przysiółków i agentów Arona z różnych świata stron, nigdy tu prawie nie widywano. Osobliwością też było, że się tu jacyś zjawili, i pewnie, gdyby przyjechali we dnie, połowa Żydów z miasteczka wyszłaby na ich spotkanie. Ci zaś przyjechali późno, w noc ciemną i dżdżystą, a nim im otworzono, musieli się umawiać z gospodarzem, gdyż wrota otwarto po cichu i wpuszczono ich bez światła, ostrożnie, jakby się lękano zwrócić na nich uwagę. Była już prawie północ, Aron sam tylko nie spał jeszcze i modlił się, chłopak go wywołał i po dość długiej naradzie dopiero, nie budząc pacholków wóz wtoczono podnosząc koła na progu, aby stukotu uniknąć.

I zamętu żadnego przybyciem swoim nie sprawili w domu, gdyż natychmiast potem ucichło. A że Żółtuchowski po swojemu już chrapał, jego tylko na całą gospodę słychać było.

Aron miał w tym drugim końcu domu, do którego wpuścił podróżnych, prywatne swoje i rodziny mieszkanie, do którego nierad obcych wpuszczał. Tu mieszkała żona jego i córki, tu znajdowała się izba paradna, w której się cała familia w wielkie uroczystości zgromadzała. Gdyby Żółtuchowski nie chrapał tak głośno, a służba nie była jak zawsze podpojona, musiałyby to uderzyć ich, że tajemniczo wprowadzono przybyłych, pozamykano drzwi, a z

końmi po ciemku się tak uwinęto i bryką zasunęli ludzie za przegrodę w stajni, że nazajutrz nikt się domyślać nie mógł przybyłych gości.

Aron, który od czasu uwięzienia pana Dobka sypiał zawsze w alkierzu obok niego, aby mieć sposobność z nim się rozmówić i naradzić, tej nocy wyszedłszy do podróżnych, już nazad nie powrócił.

Wszystko to przeszło niepostrzeżenie dla pana komisarza, pisarza i kancelarii, gdyż ci nie nazbyt się gorliwie brali do scrutiny, a radzi by je tylko byli przedłużyć, aby jeść i pić cudzym kosztem.

Wykrycie owych szczątków arian, od przeszło stu lat z kraju wywołanych i ściganych, nie tak bardzo komu na sercu leżało, oprócz może księdza kanonika, który z gorliwości swej religijnej byłby gotów najostrożniejszych użyć przeciw nim środków. Ten jeden gniewał się na opieszalych i o ostygnięcie w sprawie wiary obwiniał cały świat, lecz mu nikt nie wtórował. W ten arianizm skryty nie bardzo naprawdę wierzone i po cichu pytano się, co owi arianie, utajeni przez sto kilkadziesiąt lat, krajowi złego uczynili, żeby ich tak niszczyć i tępić miano. Wiek to już był, w którym tolerancja wchodziła w prawa i zwyczaje, chociaż masy jeszcze nie rozumiały jej, a duchowieństwo przeciwko temu prawu gorszenia, jak go zwało, występowało. Dlatego za głównego winowajcę, jeśli jaki miał być, uważając pana Dobka, którego w ściślejszym trzymano areszcie, komisja nie uznała za potrzebne ludzi dworskich, obwinionych też o skryte kacerstwo, zakuwać i zamykać. Puszczono ich prawie wolno, wiedząc, że od rodzin i domów nie zbiegną.

Wypuszczając też zrazu uwięzionego Eliasza, który chodził wolno, a innych jego współtowarzyszów ledwie na chwilę do badania wezwawszy, z warunkiem stawienia się na rozkaz, do domów odesłano. Nie miała z tego pociechy pani Dobkowa, bo jej nikt a nikt służyć nie poszedł; wszystko się to rozbiegło, pochowało, i po kątach nad losem swym i pana płakało. Eliasz może ze wszystkich najczynniej się i najśmielej krzątał, ale tylko około interesów pana swego, pilnując, aby mu nie zbywało na niczym. Aron i cała, można powiedzieć, ludność miejscowa stała na straży swego pana, nader nieprzyjazne objawiając usposobienie dla pani Dobkowej i jej dworu, dla komisji, Żółtuchowskiego a po części nawet dla kanonika.

Węzeł, który łączył ów stary dwór z ludnością, daleko silniejszy okazywał się teraz, niż zdawał kiedykolwiek. Trzeba też wyznać, iż Dobkowie ludzko obchodzili się zawsze z całą włością, że nastęrczali zarobki, nie wymagali posług daremnych, opłacali należności regularnie, a handel drzewny pana Salomona nie tylko jego, ale i mnogich robotników bogacił.

Wszelkie więc żywioły obce, które wnosiły z sobą niepokój, groziły zmianą starego porządku i występowały przeciwko Dobkom, znajdowały w borowiczanych nieprzyjaciół. Pani Dobkowa, co chwila o tym mocniej przekonywając się, w nocy musiała się barykadować ze strachu, aby jej się co złego nie stało, rotmistrz trzymał przy sobie nabite pistolety, reszta ludzi niechętnie za pokoje wychodziła. W oczach i wejrzeniach spotykali wyraz nienawiści i groźby, na którym omylić się nie było podobna. Położenie ich stawało się coraz nieznowniejsze na zamku, którego Dobkowa dlatego tylko opuścić nie chciała, że jej się zdawało, iż prawo powrotu doń utracić może. Najnieprawiejsze oko uderzać to musiało, że ludzie kręcili się jakoś, chodzili, patrzali, przenosili różne drobnostki, spotykając się z sobą, szeptali coś na ucho, dawali sobie jakieś znaki, słowem, zajęci czymś byli pilno takim, o czym przybysze nie wiedzieli. Dobkowa te ruchy postrzegła i jako niewiasta ostrożna, poszła zaraz na probostwo do księdza kanonika, który jeden gorliwiej przeciw arianom był usposobiony.

— Księżę kanoniku — odezwała się ręce łamiąc — wszystko to, co ta komisja tu robi, na nic się nie przyda! Nic nie dojdą, oni na swoim postawią i jak pochowali skarby, tak skryją papiery i dowody wszelkie. Jakże może być? Ludzi dworskich puścili wolno, ci się znają jak łyse konie, na zamku ciągle konszachty, Eliasza do pana Dobka się suwa. Niby to do Arona za czymś chodzi, a ja przysięgnę, że i Żyd, i wszyscy Żydzi w spisku, i ludzie wiejscy, i ile ich tu jest, a potem jeszcze mścić się będą.

— A cóż tu poradzić z nimi?! — zawołał kanonik. — Czy asindźka myślisz, że ich w najmniejszej rzeczy sprawa religii i obraza Pana Boga obchodzi? Tacy to pono wszyscy oni katolicy jak Dobkowie, im aby siedzieć, jeść i pić...

Ręką rzucił ksiądz Żagiel i począł się po izbie przechadzać.

— Mój ojczu, a cóż z tego wszystkiego będzie? — spytała Dobkowa.

— Albo ja wiem! Albo ja wiem! Odwrócił się ku jejności nagle.

— To, co asindźka mi powiadasz, niczym jest jeszcze, ja gorszą rzecz mam na nich, dowodzącą, że tu nas spisek otacza. Pamiętasz pani te papiery, które złożyłaś w moich rękach, wyniósłszy je z owego loszku? Zawierały one dowody najdobitniejszej winy, całe życie Adama, zeznania jego zabójstwa, nauki dla syna i współwyznawców. Sam przecież papiery te czytałem i złożyłem komisji. Otóż tych papierów nie ma.

— Jak to nie ma? A cóż z nimi się stało?

— Nie wiadomo — rzekł, śmiejąc się, ksiądz Żagiel ponuro i ironicznie. — W komisji są jakieś papiery, niby przeze mnie złożone, ale których ja nie poznaję. Regestra, modlitewki, bałamuctwa, wcale co innego... Gdzie się rzeczywiście podziały, nikt nie wie. Mówią, że

innych nie było. Na oko, patrząc z dala, sam bym przysiągł, że to te same, tak z ręcznie podsunęto podobne. Tymczasem pierwszych ani śladu. Oburzyłem się, narobiłem hałasu, przewróciłem kancelarię, zbiegli się pisarze, skrybenci, wszystko było pod kluczem, nikt o niczym nie wie... Przepadło! Żółtuchowski się na mnie oburza, że mi się przewidziało, pisarz się gniewa, inni krzywo patrzą... no, cóż tu począć? Przecież — mówił ciągle ksiądz Żagiel — nikt obcy do kancelarii nie miał przystępu, nikt z kancelarzystami stosunku, nikt tu na probostwo nie przychodził, klucze i zamki całe... — Ruszył ramionami ksiądz Żagiel. — A papiery z dowodami przepadły!

— Otóż tak jest i w innych rzeczach, mój księże kanoniku — ozwała się Dobkowa. — Ja tu nieszczęśliwa nie wiem, jak wytrwam. Boję się, żeby mi czego w jedzeniu nie podano, taką to wszystko pała nienawiścią do nas. Przepiórka, taki bystry i przebiegły, od kilku dni jak święty, chce uchodzić, powiada, że się czuje źle, i że mu coś w wódce zadano. Rotmistrz tym się pociesza, że z Żółtuchowskim żyje i za niego się chowa. Jak mi ksiądz kanonik radzisz? Siedzieć czy do Smołochowa jechać?

— Nic asindźce nie radzę, bom sam ze smutku i strapienia głowę stracił — rzekł kanonik. — Żyjemy w wieku bezbożności i indyferencji, masoni wymyślili tolerancję, nikt religii nie broni, nikt w sprawie jej nie staje. Dysydenci panami będą, nie my, to darmo. Jezuitów skasowano, otóż skutki. Dopóki oni tu byli, nigdy by do takich bezkarnych ekscesów nie przyszło. Któż wie? Jutro może arianom też na publiczne wyznawanie ich wiary dozwolą.

Kanonik westchnął.

— Koniec świata! Antychryst niedaleko!

Dobkowa, której pono więcej o nią samą szło niż o bliskie zjawienie się Antychrysta, powtórzyła pytanie:

— Cóż mam robić? — ale tak płaczącym głosem, że ksiądz Żagiel aż się ku niej zwrócił.

— Nie pytaj mnie, pani, nic nie wiem, przewiduję, że źle będzie, jeśli się rzeczy skończą oczyszczeniem ich z zarzutów, bo i papiery znikły, i Wal się zapiera tego, co zeznawał, podobno i ja będę musiał prosić o zmianę probostwa, bo i mnie tu nie bardzo będzie wygodnie.

Dobkowa, załamawszy ręce, pożegnania nawet zapominając wyszła z probostwa wprost do rotmistrza, który w swej izdebce z kraciastym oknem siedział przy butelce, grając na gitarze dla rozerwania smutnych myśli. Zamiast butów miał futrzane zimowe berłaczki na nogach i strój wielce zaniedbany, tak że w każdym innym razie byłaby się jejmość cofnęła.

— Rotmistrzu — zawołała wchodząc — wiesz, co się święci?! Wiesz? Cóż ten twój Żółtuchowski robi, na miłość Boga? Papiery spod rąk mu wykradli, Dobki te przekłete wszystkiego dokażą, czego zechcą.

— Któż to asindźce powiedział? — zapytał niewzruszony rotmistrz kładąc gitarę i śmiejąc się wesoło. — Ja lepiej wiem trochę, jak rzeczy stoją. Pana Dobka pozajutrz stąd wywożą i sądzić będą z rejestru *arianismi*, a potem albo go na stosie spalą, albo go kołem będą tłuc, lub na cztery części go rozerwą. Już bardzo będzie szczęśliwy, jeśli się skończy na mieczu lub stryczku. Są dowody, że arianie skryci byli, zatem nie ma pardonu! Jejmości oddadzą jeśli nie całe Borowce, to pół przynajmniej, za co mi Żółtuchowski ręczył, prawda podchmielony, ale co u trzeźwego na myśli, u pijanego na języku. Ja o asindźki interesach nie zapominam, a jak tylko tego Dobka sprzątną, pobierzemy się.

Pani Dobkowa spojrzała na wypróżnioną prawie butelkę i zrozumiała fantazję pana Poręby, z niej zaczerpniętą.

— Bredzisz! — odparła krótko.

— Bądź, Sabciu, spokojna! Stryczek starego nie minie, jejmościne prawa wdowie zostaną uznane, ja się z tobą ożenię jak należy... i...

Porwawszy gitarę rotmistrz począł przy niej zawodzić głosem ochrypłym:

Moja kochana

Czarne oczki ma,

A jak spojrzy tymi oczy,

Mało serce nie wyskoczy,

Takie oczka ma!

Takie oczka ma!

I już rozpoczynać miał strofę drugą, gdy pani Dobkowa, drzwi zatrzasnąwszy, wyszła.

Było to nazajutrz po nocnym przybyciu owych dwóch podróżnych do Arona, o których nikt nie wiedział, bo ich nikt nie widział, a nawet Żyd, zagadnięty przez jednego z pacholków, który ocknąwszy się, słyszał, jak wóz wciągano, i przeciw światła cienie jakichś ludzi miał dostrzec, zaczął się z niego śmiać, że chyba we śnie mu się to marzyło, nazajutrz tedy żadna zmiana w położeniu nie zaszła; Eliasza kilka razy tylko to z bielizną, to z różnymi rzeczami chodził do pana Dobka. Wieczorem Aron, nie sam, ale przez poczciwego rotmistrza, zaofiarował panu Żółtuchowskiemu antałek wina, żeby sobie choć jeden dzień mogli po trudach wypocząć i podochocić. Żółtuchowski też zaraz do siebie wszystkich na wieczerzę

kazał prosić, indyka upiec, jajecznicę smażyć i postanowił mały luszytek sprawić. Rotmistrz podejmował się to urządzić. Żeby zaś pacholek i gawiedz sądową zbyt oskoma nie brała, połykając ślinkę, a patrząc na hulającą starszyznę, dano dla czeladzi baryłkę jarzębinówki, nad którą zdrowszej rzeczy, jak wiadomo, nie ma na świecie.

Grano tedy w mariasza, śmiano się, opowiadano anegdotki, facecje, zapijano z antańką postawionego pod oknem, na którym sam Żółtuchowski kredą napisał: *Usui publico patens*.

Ochota była taka, iż o godzinie pono czwartej, po drugich kurach, rozeszli się jedni do plebanii, drudzy po kwaterach, i to nie o własnych siłach, ale *iunctis viribus* się wspierając, kreśląc po błocie gzygzaki. Czego niby jeszcze w Borowcach nie bywało, w rynku nocą słyhać było chórem nucone pieśni. Zgorszenie wielkie. Nad ranem wszystko ucichło.

Rozumie się, że nazajutrz do roboty około godziny dwunastej jeszcze nikt nie był gotów. Rozbijano się o kwaśne ogórki. Pan Żółtuchowski chciał w południe dowiedzieć się, co z Dobkiem się dzieje, i dobre słowo mu powiedzieć z powodu, że w nocy mu spać nie dali. Na progu jak zwykle stał pacholek, ale tym razem zamiast stać na straży, siedział i spał, plecami oparty o drzwi.

Ledwie się go komisarz dobudzić potrafił. Ocknąwszy się, oczy przetańszy, chciał wnijsia bronić, ale go, śmiejąc się z tej gorliwości, odepchnął Żółtuchowski, w izbie jeszcze okiennica była zamknięta i z tego powodu ciemno było zupełnie.

Na tapczanie leżał pan Dobek owinięty kołdrą i tak śpiący twardo, że go wnijsie komisarza nie przebudziło. Czując się do winy, nie myślał go też komisarz ze snu wyrwać i powrócił do siebie.

W kancelarii tego dnia, z wielkim zgorszeniem księdza Żagła, same kwaśne rzeczy jedli i pili, a o robocie mowy nie było. Rotmistrzowi głowa bolała i leżał u siebie. Słowem, wieczór z antańkiem dał się czuć wszystkim, co w nim udział mieli. Wino było doskonałe, piło się smaczno, gładko, ale zamiast do żołądka szło do głowy. Są, jak wiadomo, różne wina po świecie, i takie, co do nóg tylko idą, i takie, co do głowy, i takie, które bezkarnie się pije, jak wodę prawie. Żółtuchowski utrzymywał, że antańka ten bodaj czymś był zaprawny.

Przechorowali po nim, kto się go tylko dotknął. Cały tak dzień zmarnowawszy, trzeciego chcieli to sobie wielką gorliwością wynagrodzić; posłano na zamek badać lochy, wyprowadzono Wala do protokółu, na ostatek i pana Dobka chciano wezwać, gdy nagle... sądny dzień! Hałas! Krzyk!

Pana Dobka ani śladu nie było. Leżał wprawdzie na posłaniu kul słomy zawinięty w kołdrę, ale więcej nic.

Gdzie, kiedy, jak zniknął, niepodobieństwem było dośledzić. Eliasza także znaleźć nigdzie nie było można, a co najokropniejsza, że i Wal z więzienia i spod ścisłej straży uszedł.

Starzec, niedołęga, jakim sposobem mógł się wymknąć, nikt nie pojmował. Dosyć, że i jego nie było.

Pan komisarz, piorunami ciskając, chciał wszystkich wiązać, łapać, brać na pytki, ano, pozostali tylko dzieci i zgrzybiali starce.

Popędził na probostwo do kanonika. Ten już o wszystkim wiedział i w oczy się komisarzowi śmiał.

— Musiało tak być — rzekł — do tego szło, waćpaństwoście winni sami.

Komisarz włosy niemal byłby sobie z głowy rwał, gdyby je miał, ale ich niewiele zostało, i to tylko za uszami. Targał za to wąsy i kłął siarczyście. W ogóle jednak niewiele to pomagać zwykło.

Ksiądz Żagiel sfukał go jeszcze za obojętność dla sprawy religii i powiedział, że sam świadczyć gotów, jak tu się owo scrutinium odbywało niedbale. Z odrobiną pachółków, których przy sobie miał komisarz, nic poradzić nie mógł. Arona chciał kazać uwięzić, ale ten wczoraj o południu spokojniuteńko sobie wyruszył na jarmark do Berdyczowa.

Gdy wieść o zniknięciu Dobka doszła do zamku, jejmość plasnęła w ręce i krzyknęła tylko:

— A ja nieszczęśliwa! Terazemy wszyscy zginęli.

Posłała po rotmistrza, a ten leżał chory po winie i kurował się wódką z pieprzem, ale i to tak dzielne lekarstwo nic nie pomagało, nie mógł nawet przyjść na zawołanie. Pobiegła do niego.

— Wiesz, co się stało?! — zawołała od progu.

— Ano, wiem! Wiem! Dobek *fugas chrustas* wykonał bardzo zręcznie, nigdy bym się tego po nim nie spodziewał, teraz trzeba pono i nam się stąd wynosić.

— Któż temu winien?! — krzyknęła Dobkowa. — Kto?! Wy! Opoje! Bibuły przekłete! Dał wam Aron dyweldreku w winie i piliście go, aż wam rozum odebrało, a oni tymczasem sobie spokojnie w drogę się pakowali.

— Moja Sabciu — odparł rotmistrz — bądźże sprawiedliwa. Jam nie sprawiał lusztyku, tylko Żółtuchowski, a gdzie inni piją, żeby znowu nie pić, to nadludzka rzecz! Cóż asindzka chciałaś? Żebym ja sobie dał łać za kołnierz i żebym innym despekt czynił a sobie martyfikację? Wino było dobre, ale w niego spirytusu namieszali, może być, nie co innego, tylko jakiegoś spirytusu.

Że Aron antałek ten dał umyślnie, aby nas popoić, może być, trzeba go okuć.

— Nie ma go dawno. I Wal z więzienia wykradziony.

— Ej! Ej! I papiery zginęły, i Wal zniknął! — rzekł Poręba — *Casus fatalis!* Jedź jejmość zawczasu do Smołochowa, a i ja się zapakuję, nie mamy tu co dłużej popasać.

Mężniejsza od Poręby, pani Dobkowa poradziła sobie inaczej; wszystek ten sprzęt, jaki jej w nie opieczętowanym mieszkaniu Laury pozostawiono, kazała na wszelki wypadek wywieźć do Smołochowa. Oprócz tego, co tylko się gdzie kosztowniejszego znalazło, zabrała tak dalece, że z sypialni dawnej Lorki, gdzie ściany były obite materia jedwabną, i tę z ram wykroić kazała.

Rabunek ten poddał myśl rotmistrzowi pochodzenia po zamku, czyby się też i jemu co nie udało na rachunek jejmości zdobyć. Jakoż, gdzie pieczęci nie było, a sprzęt lepszy stał, odesłano go zaraz.

Dobkowa zaś sama nie chciała się ruszyć, trwając w miejscu do ostatka, i rotmistrza nie puszczala.

Komisja, prześledziwszy lochy, groby, mury, naświdrowawszy dziur, nakopawszy dołów, narozbijawszy ścian, zabierała się opuścić Borowce, które jednak sekwestrem obłożone i w administrację skarbową oddane być miały. Dobkowa postarała się, aby ta jej powierzona była. Jakim sposobem do tego dojść potrafiła po kilkakrotnym widzeniu się z Żółtuchowskim, nawet rotmistrz nie wiedział i mocno się temu dziwował.

Gdy mu się z tym przyszła pochwalić Dobkowa z radością wielką, Poręba rzekł połowę przysłowia tylko:

— Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie Borowce.

Miłośnik świętego spokoju i wczasu, rotmistrz nie miał tego ducha przedsiębiorczego, który chwilami panią Dobkowa ożywiał. Dziwił się nieraz jej determinacji. Otrzymanie administracji dóbr natchnęło ją męstwem nadzwyczajnym i przywróciło postradaną ruchowość gorączkową. Nie mogąc do niczego użyć rotmistrza z gitarą, posłała po Będziewicza, po ludzi do Smołochowa, ekonoma ze swojej ręki ustanowiła, objęła magazyny, słowem, zaczęła się rządzić, wedle wyrażenia Poręby, jak szara gęś. Ludzie dworscy, dawniejsza służba w większej części pochowała się, rozbiegła i na nic nie była przydatna; pani Dobkowa, Przepiórką naznaczywszy niby marszałkiem, postarała się o nowych ludzi.

W całej tej czynności nikt jej na pozór nie przeszkadzał, lecz jak dawniej tak teraz opór bierny spotykała wszędzie. Słuchano, gdy musiano, lecz rozkazy się nie spełniały lub opornie i opieszale.

Na samym zamku komisja pozdejnowała pieczęci, tu więc mogła jejmość królować, jak się podobało. Rotmistrz, kilku ludzi wzięwszy, bo się obawiał przypadku, poszedł się jeszcze raz skarbowi przypatrzeć.

Niezmiernie mu żal było uronionych sum neapolitańskich, a że je stąd uniesiono, znalazł później śledząc najwyraźniejsze poszlaki. W kątku nawet pod piaskiem zgubionego dukata węgierskiego odkrył. Macając cegły po ścianach, bo pamiętał, że pod jedną z nich były klucze ukryte, dopytał się nawet do pustej kryjówki w murze, gdzie było kilka worków, sznurków i kilka kartek z cyframi, ile dukatów zawierały. Dalsze pukania i roboty do niczego nie doprowadziły, oprócz srogiego serca ucisku.

Tak wcale niespodzianie Sabina choć w części osiągnęła upragniony cel, stając się panią Borowiec, a obiecując sobie wszelkimi środkami przy nich się utrzymać. Miała nadzieję i grosza jeszcze sporo pochwyć za przygotowany materiał leśny, potasze, klepkę, smołę i bale, które na wodę iść miały, lecz Żydzi złożyli się formalnymi, przy świadkach wydanymi kwitami, iż wszystko to było ich własnością od dawna zapłaconą. Zabiegli też zawczasu w urzędzie, iż na to sekwestru nie nałożono.

Rotmistrzowi powoli dobra myśl wróciła, inaczej się teraz na obrót rzeczy zapatrywał rozumiejąc, iż Dobek o arianizm obwiniony, powrócić nie będzie śmiał nigdy, a jejmość powoli kaduka na dobre otrzyma.

— Żeby skąd sepulture jeszcze tego starego wydostać, mógłbym się już z nią ożenić — dodawał po cichu — nie mam nic lepszego pono na widoku.

Objąwszy zarząd piwnicy, jako tako opatrzonej, wybrawszy sobie pokoje Laury na mieszkanie, rotmistrz był dosyć z losu zadowolony. Będziewiczowi powierzono gospodarstwo.

Znając powolność, z jaką naówczas sprawy wszelkie się odbywały, mogła Dobkowa rachować na to, że będzie mogła w Warszawie, korzystając z przewłoki, wyrobić owego kaduka. Zbierała więc tylko potrzebny zapas, ażeby w podróż się puścić.

VII

Wiadomość o położeniu ojca, którą Honory przywiózł Laurze do Warszawy, przeraziła ją zrazu, ale w tejże chwili postanowiła natychmiast lecieć mu pomóc do Borowiec. Rachowała na to, że tam ją kochali wszyscy, że podadzą jej rękę chętnie, aby pana Salomona wyrwać bodaj siłą z więzienia. Zdawało jej się to najpierwszą do wykonania, najpilniejszą rzeczą, aby mu oszczędzić cierpienia. Potem gotowa była w Warszawie poruszyć wszystkich znajomych i

nieznajomych, trafić do króla, zaoferować się sama, byle ojca wyzwolić, a z ojcem ocalić pamiątki, do których była przywiązana. Wprzód jednak, nimby się te kroki ostatecznie przedsięwzięć mogły, potrzeba było pana Dobka w bezpiecznym ukryć miejscu, aby w razie jakich przeciwności i niebezpieczeństwa mógł ujść za granicę i czekać tam, póki się sprawa nie rozwiąże. Pan Honory zgodził się na ten plan Laury, której serce i głowa płonęły. Chciała jechać natychmiast i ledwie do jutra wstrzymać potrafił ją brat tą uwagą, że należałoby pożegnać znajomych i im się wcześniej polecić. Laura wybrała tylko jedną kasztelanową, więcej nie chciała się widzieć z nikim. Nazajutrz wybór w drogę, poszukiwanie towarzyszki, którą wziąć z sobą chciała, zabrały czas do wieczoru. Późno już, namyśliwszy się zrzucić strój męski, ubrana czarno jak zawsze, podała rękę Honoremu i razem pojechali do pani wiskiej.

Nieszczęśliwym czy też pomyślnym trafem, w przedpokoju na zapytanie czy jest sama, odpowiedziano im, że ma u siebie osób kilka, a między innymi i hrabiego Artura. Laura ani mówić przy obcych, ani czekać, ażby się rozeszli, nie mogła, wyjazd naglił; posłała więc kamerdynera, prosząc kasztelanową o kwadrans rozmowy na osobności. W chwilę potem grzeczny Francuz wprowadził ich do małego pokoiku przy sypialni pani, któremu mieli się czas przypatrzeć.

Było to caceczko, pałac pamiątek świeckich i świętych, dosyć dziwnie zmieszanych z sobą, jak w rozmowie kasztelanowej mieszały się wciąż *sacra cum profanis*, bez złej woli, ot tak przez wrodzoną jej żywość i poplątanie tego, czym była dawniej z tym, czym świat ją uczynił. Obrazki religijne i miniatury dobrych przyjaciół, relikwie z Rzymu i zeschnięte kwiaty, rozstania pamiątki (*adieu a jamais*), modlitewki z błogosławieństwem i wiersze miłosne stały obok siebie w ramach. Na książce od nabożeństwa leżała *Heloiza*.

Kasztelanowa, uwolniwszy się od rozmowy, wtoczyła się zadyszana, oglądając ciekawie, poznała Laurę, a oczyma mierzyła Honorego, którego jej ona zaprezentowała.

— Brat mój stryjeczny — rzekła. — Mam honor przedstawić go pani i razem z nim ją pożegnać. Zabiera mnie z sobą, jechać musimy natychmiast, nie chciałam jednak uciec stąd, nie ucałowawszy rączek pani. Wiele w tym egoizmu, bo się muszę jej łasce polecić i prosić zawnocześnie o protekcję.

— A i cóż się wam stało, moja piękna, czy mój piękny! — odezwała się, śmiejąc, kasztelanowa.

— Nie piękna, ale wielce jej wdzięczna za dobroć, za nie zasłużone dowody życzliwości, nieszczęśliwa kobieta, przychodzę z prośbą! Dowiesz się pani o smutnych naszych tajemnicach, a jestem pewna, dopomożesz!

— O! Jeśli to tylko w mej mocy! — ściskając jej rękę, rzekła gospodyni.

— Zaopiekuj się mną pani! — przerwało jej dziewczę. — Wszakże nie darmo Opatrzność mnie rzuciła na drogę pod nogi tobie, musisz podnieść!

— A podniosę, utulę i zrobię, co chcesz, jeśli mogę, ale o co idzie? Siadajcie! Może... — poczęła pani wiska. — Moi goście, choćby się trochę zniknięciu memu dziwowali, niech poczekaają... Artur mnie zastąpi... Słucham.

Laura westchnęła i poczęła z cicha:

— Zda się pani ta cała historia dziwną jak moje postępowanie, ale ja skazana jestem na losu dziwactwa. Rodzina nasza należała do tych, które niegdyś przyjęły, nazwij to pani jak chcesz czy czystą wiarę Chrystusa, czy błędy ariańskimi Arianie byliśmy, a może jeszcze jesteśmy trochę. W godzinie prześladowania ojcowie nie mieli odwagi, jak inni, wynieść się z kraju, woleli ukryć swe przekonania, taić się z nimi i wyznanie swe w sercu dla przekazania dzieciom przechować.

Nazwij to pani słabością, ja uniewinniać nie będę, tak było. Dawne *to* dzieje, zapomniane dzisiaj, pleśnią okryte. Wszyscy o arianach zapomnieli, my w kątku zachowaliśmy cześć dla wyznania dziadów, nikt nas o to ani obwiniać, ani się głębi serca mógł domyślać. Wiara nasza jeśli szkodziła komu, to tylko nam samym.

— Arianie! Arianie! Ale proszę cię — przerwała kasztelanowa — coś ja o nich słyszałam, a doprawdy nie wiem, dlaczego arian prześladowano!

— Może dlatego — cicho szepnęła Laura — że chcieli iść własną drogą, nie idąc ślepo z drugimi; może dlatego, że z nauki Chrystusa brali miłość, moralność jej, ofiarność, a zaniebdywali obrządków, ja nie wiem... dość, że arian jako niebezpiecznych kacerzy wygnano, a kogo by z nich odkryto, zagrożono karą najsroższymi. Ojciec mój i ja jesteśmy ostatni z rodziny skrycie naukę tę przechowującej. Nikt by nie wiedział o tym i nie ściagał nas, bośmy nie sprzeciwiali się zewnętrznym cechom katolickiego kościoła, w sercu chowając naukę, gdy nieszczęście chciało, by w dom nasz weszła zła kobieta, macocha ta, od której ja uciekać musiałam. Jej to sprawa; ojca mojego uwięziono, zagrożono mu sądem i karą, jaka dotąd arian z prawa dotyka.

— Ale, moja droga — przerwała, uśmiechając się, kasztelanowa — to coś niepojętego! Mnie się zdaje, że dziś, gdy ateizm głośno się przyznaje, a nikt mu nic nie mówi, gdy teizm jest w modzie, jakieś tam smażone kacerstwo niepodobna by karane było! Dziś? Za panowania naszego króla?

— Tak, pani, pod jego boki, w stolicy, byłoby to może niepodobieństwem! — zawołała Laura. — Na prowincji i pojęcia są inne, i duchowieństwo wpływ ma większy. Nie wiem, tak mi się to zdaje, lecz faktem jest, że jakieś prawo istnieje, że ojca obwiniono, że przetrzęsiono

dom szukając dowodów winy, że nie znaleziono nic oprócz ksiązek naszych, że go uwięziono.

— Uwięziono!

— Ja jadę natychmiast — dodała Laura — wykradnę go, odbiję, ukryję w miejscu bezpiecznym, ale któż się mną i sprawą zaopiekuje tu, u króla, u trybunałów, u duchownych? Ja liczę na panią kasztelanową.

Gospodyni zmieszała się trochę, snadź jej to nie było tak miłe, jak się spodziewała Laura, pośpieszyła jednak odpowiedzieć grzecznie:

— Zrobię, co tylko będę umiała i mogła, choć doprawdy nie mieści mi się to w głowie! Czyżby to groźnym być mogło?

— Wszystko się staje groźnym, gdy się u nas nie ma opieki — rzekła Laura — ja czepiam się pani i nie puszczam!

Pani wiska wstała.

— Bądźże tylko spokojna — rzekła, zegnając, zakłopotana. — Zdaje mi się, że twa gorąca imaginacja tworzy ci niepotrzebne postrachy.

— Ale ojca uwięziono!

— A to go uwolnić muszą!

To mówiąc, pokłoniła się kasztelanowa, tłumacząc, że musiała pośpieszać do gości. Honory i Laura już wychodzić mieli, gdy w progu ukazał się siostrzeniec, hrabia Artur, a zobaczywszy Laure, prawie gwałtem przebił się przez drzwi.

— Pani nie wejdiesz do salonu? — zapytał, spoglądając na Honorego i na nią.

— Nie mogę, panie hrabio, ja i mój brat (wskazała chorążycę) wyjeżdżamy na wieś. Przybyliśmy pożegnać tylko panią kasztelanową, a ponieważ szczęśliwym trafem pana tu widzę — dodała, chwytając go za rękę i wlepiając w niego śmiało niebieskie swe oczy — pozwól panie hrabio, bym się twej poleciła pamięci. Jestem w położeniu przykrym, z którego tłumaczyć się nie mogę, jestem zagrożona boleścią, tym większą, że nie mnie, ale najdroższego mi ojca dotyka; będę potrzebowała protekcji, pomocy, opieki, nie odmówisz mi jej pan?

— Nie pytając, o co idzie — gorąco odparł hrabia — nie chcąc nawet wiedzieć o tym, oświadczam się cały, *corps et ame* na usługi pani.

— Pamiętaj, hrabio, i jeśli się do tego słowa odwołam... — powtórzyła Laura.

— Dotrzymam go święcie! — żywo rzekł hrabia, mimo znaków, jakie mu bojaźliwa dawała kasztelanowa.

— Rachuję na pana.

— Jak na najwierniejszego sługę! — To mówiąc, hrabia przycisnął rękę jej do ust. Laura się zarumieniła.

— Pamiętaj — dodała raz jeszcze i wybiegła.

Honoremu to pożegnanie uczyniło wrażenie przykre. Laura postrzegła to i smutny uśmiech przebiegł po jej ustach.

— Cóżes ty, zazdrosny? — spytała.

— Może — odparł cicho zawstydzony Honory.

— Nie masz do tego prawa! — odrzekło dziewczę. — A ja cię z góry ostrzegam, że gdy będzie szło o ojca, gotowam najstraszliwiej udawać, że ciebie zdradzam! Cóż chcesz? Jestem aktorką! Sztuką posługiwać się będę w życiu!

Westchnęła i łzy potoczyły się po jej twarzy.

— Trzeba ojca ratować! Najprzód ratować ojca! — dodała.

Wróciwszy do mieszkania, zastali już wszystko gotowym, nawet panią Słomińską, którą Laura chciała mieć za towarzyszkę podróży. Była to dawna pańskich dworów sługa, poczciwa kobiecina, która bywała wiele po świecie i doświadczyła niemało, żadna też podróż, choćby w najdziwaczniejszych warunkach, nie zastraszała jej, a każda była pożądana, bo ją od pracy siedzącej odrywała. Słomińska upakowana już była, gotowa. Objęła rzeczy swej pani i nie wykrzykiwała nawet widząc ją przebierającą się po męsku. Wszystko troje razem siedli na brykę, a pani Słomińska, byle jechać, nie bardzo nawet pono dopytywała, dokąd jedzie. Podróż odbywali jak można najspieszniej, jednak zawsze jeszcze za powolnie dla Laury, i czwartego dnia stanęli w najbliższym od Borowiec miasteczku, w którym zięć Arona miał sklep korzenny i dom zajezdny.

Była to stacja konieczna dla wywiedzenia się o stanie rzeczy w Borowcach i narady, co czynić wypadnie. Mordko, Arona zięć, równie jak teść był cały na Dobków usługi, wiedział przynajmniej co przed kilku dniami działo się w Borowcach, i po godzinnej rozmowie i odebraniu instrukcji, na całą noc ruszył do Arona, by od niego dostać świeżego języka i obmyślić, jakby tam, oczu nie zwracając, dojechać było można. Aron, dowiedziawszy się o przybyciu Laury, zamiast listu lub rady, sam przyjechał z zięciem do kochanej panienki. Gdy wszedłszy do izby, w której siedziała z Honorym, zobaczył ją w tym ubraniu męskim, ogorzałą, zmęczoną, z włosami obciętymi, zmienioną smutkiem, niepokojem i niewywczaśsem — załamał rękę i rozplakał się.

Potem zaczęło się rozciągle, nieskończone, przerywane wykrzyknikami opowiadanie o sprawach pani Dobkowej, pana rotmistrza Poręby i filuta Przepiórki, o zdradzie starego Wala,

o uwięzieniu Dobka i daremnych dotąd na zamku poszukiwaniach. Aron pochwałał wielce myśl wykradzenia pana Salomona.

— Niech panienka przyjedzie, to jemu serca doda — rzekł. — Niebezpieczeństwa nie ma, bo ja nie dwie, nie trzy, ale piętnaście osób schowałbym w domu, a w miasteczku choć sto, gdyby była potrzeba. Niech państwo zawiozą jegomością gdzie na bezpieczne miejsce i starać się rozpoczną, to się pieniędzmi o wszystko wystarają. A jeżeli rozwody są, niechaj sobie jejmość wraca do Smołochowa, choćby jej za to płacić przyszło. Ona wszystkiego nam nieszczęścia naniósł.

Honory był za tym, aby pan Salomon schronił się do Konopnicy, czemu Laura zrazu była przeciwna, potem spojrzała nań i zamilkła.

— Zobaczmy — rzekła — ale trzeba w takim razie, żebyś waszmość był grzeczny.

Aron, ledwie posiliwszy się u zięcia, gdy Laura nagliła, natychmiast z powrotem wyruszył, aby tam, co można, nieznacznie do ucieczki przygotować. Świeże konie musiano na kilku miejscach rozstawiać dla pośpiechu i o kołach i osiach zapaśnych myśleć, żeby przypadek nie wstrzymał w ucieczce, choć pogoni nie przewidywano. Mogła ja wszakże Dobkowa z rotmistrzem urządzić. Siary Żyd miał wszystko w dobrej pamięci.

Przybywszy do Borowiec, poszedł do przepierzenia najprzód oznajmić panu Salomonowi, iż córka do niego i po niego przybywa. Stary, nie wierząc uszom, zrazu, rozplakał się z radości. Ucieczka była mu wstrętliwą, lecz z Laurą gotów był do niej. Zdało się iż w jednej chwili zapomniał o wszystkim, co ucierpiał. Więcej odzyskanie córki cieszyło go niż zapowiedziana swoboda. Pytał tylko po kilkakroć, kiedy przyjedzie. Aron kazał mu oczekiwać rychło, oznajmił, że sam ją widział, że mówił z nią, że co chwila z Honorym razem nadjechać może.

Przybycie podróżnych, ucieczka starego Dobka nie mogły przejść nie postrzeżone w zwykłych warunkach życia pana komisarza i jego podwładnych. Aron też, znając ich, przygotował wina antałek, do którego czy w istocie przymieszał jakiego ziała, Panu Bogu tylko wiadomo. I bez tego napój mocny, niepomiernie użyty, mógł poskutkować.

Żółtuchowski tak był pewien swojego więźnia, że od początku osadzenia go drzwi nawet w preforsztowaniu znajdujących się opatrywać nie kazał, raz ich poprobowawszy, że były zamknięte. O wieczornej godzinie, gdy obok rotmistrz Poręba razem z Żółtuchowskim i pisarzem Kamińskim pieśń o chmielu śpiewali na całe gardło, Aron otworzył drzwi te Dobkowi, który już od dawna był gotów. Na tapczanie ułożono obwinięty w kapotę skrecony kul słomy, z butami w jednym końcu a chustką w drugim, który śpiącego człowieka o zmroku wcale nieźle przedstawiał. Stary wyszedł przez cały szereg izdebek aż do drzwi ostatnich, tu

nałożył żydowski płaszcz i kapelusz, i razem z Aronem przesunął się na drugi koniec karczmy, gdzie nań Laura i Honory oczekiwali. Eliasz miał dla niego przygotowane ubranie, a na dworze stała bryka zaprzęzona, która wszystkich zabrać miała. Gdy Laura upadła mu do nóg, Dobek o mało z płaczu nie dostał serdecznego śmiechu i nierychło mógł oprzytomnieć.

Po tym wzruszeniu musiał wypocząć, by myśli zebrać, co mu czynić należało. Nie naglono o wyjazd, gdyż komisja piła, śpiewała, a obawy o odkrycie spisku nie było najmniejszej.

Gdy już sądzono, że się da zabrać, pan Dobek odezwał się dopiero z żądaniem, trochę dziwnym i bardzo niebezpiecznym, że wprzód na zamek koniecznie pójść musi, aby papiery niektóre poniszczyć, inne zabrać i w grosz na wszelki wypadek się zaopatrzyć. Pomimo najusilniej szych próśb i zaklęć Laury i Honorego, uparł się przy swoim, zaręczając, że im z Eliaszem nic się tam złego stać nie może.

Laurze, która mu towarzyszyć chciała, iść nie pozwolił. Musiano się zgodzić na tę wycieczkę, która wyjazd o parę godzin odraczała. Wyszli więc po ciemnej nocy sami jedni.

W miasteczku pusto było, a po drodze i koło zamku Eliasz już ludzi rozstawił dla bezpieczeństwa, nim pana wypuścił. Do bramy dostali się, nie spotkawszy nikogo oprócz z dała snujących się straży. Tu pieczęcie były pozdejmowane, a dwa klucze, które mieli z sobą, wszystkie zamki otwierały, nie było więc najmniejszej trudności dostać się przez przedsień do dawnego mieszkania Dobka, które, wszedłszy, natychmiast za sobą Eliasz zaryglował. W zamku wszystko było uśpione. Przepiórkę trzymał ktoś zasadzony na niego, aby mu się nie dać włóczyć.

Zaparto ze środka okiennice żelazne, aby bezpiecznie światło rozniecić. Drzwi wiodące do skarbcza stały od ostatnich odwiedzin rotmistrza otworem, nie potrzebowali więc pracować nad zamkiem, spuścili się wschodkami w dół do lochu, w którym stały opróżnione kufarki.

Tu, pomimo odbytych już troskliwych poszukiwań, po których ślady pozostały w ceglach pokruszonych, poświdrowanych ścianach i porytej podłodze, pan Dobek z Eliaszem, usunąwszy kufer przytwierdzony do posadzki, odjęli pod nim znajdującą się płytę. Loszek, który się tam znajdował, był pusty, tak że gdyby go nawet znaleziono, jeszcze by to nie groziło niczym. Trzeba było zstąpić w ten dół, boczną ścianę nacisnąć, by się dostać do drugiego wydrążenia, w którym bezpiecznie spoczywały worki ze złotem i srebrem pana Salomona. Tu nietknięty zastali skarb. Dobek niespokojnie mu się przypatrzywszy, pochylony nad nim, wskazał Eliaszowi, jakie worki miał zabrać z sobą. Sam obładował kieszenie i co najprędzej znowu ścianę zastawić, płytę założyć i kufer umocować dopomógł, aby śladu nie

było. Wszystko to odbyło się dosyć prędko, przy pozamykanych drzwiach i słabym światełku małej latarenki. Eliasza dźwigał, ile mógł unieść w pole szerokiej kapoty.

Czynność zdawała się skończoną, lecz Dobek dał znak głową i ręką, iż jeszcze coś muszą dopełnić. Wyszli więc dalej znanymi nam już podziemiami do tej izby, którą stary pokutnik zajmował. Tu pan Salomon szafę, w której ojciec jego trzymał swój sprzęt, dziś już pustą, otworzył, tak że im do nowych lochów przejście się ukazało. Wschodkami ciemnymi i ciasnymi spuścili się w korytarze tak pokrzyżowane i splątane, że tylko znający doskonale miejscowość mogli tu nie zabłądzić. Jedne z nich szły do góry, drugie spuszczały się na dół, a rozgałęzienia były niezliczone, umyślnie zapewne powikłane, by obcych nie dopuścić. Pan Salomon, wiedząc Eliasza za sobą, szedł z taką pewnością, nie oglądając się na ściany, jakby ze sto razy wprzód już był. Mokrymi a ciasnymi jakby szyje lochów przekopami w ziemi, popodpieranymi gdzieśgdzie, dostali się do drzwi, a przez nie do wielkiej dosyć, sklepionej sali. Przy ścianach jej na półkach ułożone były książki i papiery, zawierające zapewne cenniejsze dzieła, akta i dokumenta rodzin i dawnych gmin ariańskich. Po chwili namysłu Salomon niektóre z nich zabrał z sobą, inne na stos w pośrodku rzuciwszy, od latarni je zapalił.

Stali tam w dymie nad kupą żarzących się papierów, dopóki ostatki ich nie spłonęły i nie zgasły.

Weszli potem do małej, z salą połączonej kapliczki, w której prosty krzyż czarny stał na drewnianym ołtarzu.

Z tarcic wyciosana kazalnica i dwie ławy, na ołtarzu Biblia i kielich zaśnieziały, wszystko grubą warstwą pyłu pokryte, cały przybór kapliczny składały. Stanęli obaj z Eliaszem w progu, jak gdyby duszną odbywając modlitwę.

Dwa czarne wizerunki, z których jeden Socyna z księgą w ręku wyobrażał, zerwane ze świeków i oparte o ławę, patrzyły na ostatnich nauki swej wyznawców. Salomon głowę schylił przed krzyżem wychodząc, starą Biblię z pyłu otarł i ucałował. Chciał ją może zabrać z sobą, lecz ogrom i ciężar unieść jej nie dozwalały. Znowu więc postawił na niej kielich i wyszli.

W świetle latarni nade drzwiami kaplicy widać było w owalu obraz Chrystusa i napis u dołu: *Scio, cui credidi.*

To wszystko zabrało prawie dwie godziny czasu, które Laura spędziła w śmiertelnej trwodze. Wyszli z zamku uśpionego nie postrzeżeni, przebrnęli rynek miasteczka i wrócili do gospody z Eliaszem, zmęczeni, lecz cali. Laura rzuciła się do ojca, nagłąc i błagając, by

jechać co najprędzej. Niebezpieczeństwa nie było, krzyki biesiadujących najlepszą stanowiły rękojmię, że ani zobaczą, ani usłyszą, ani się nie zafrasują o uchodzącego im więźnia.

Bryki ruszyły powoli. Po rogach ulic, na drodze, którą jechać mieli, Aron porozstawiał strażę piesze i konne, w razie najmniejszego niebezpieczeństwa mające oznajmić o nim. Ale komisja jeszcze się krzątała opróżniając antałek i o wszystkim w świecie zapomniała.

Trzy bryki po ciemku przeszły pod oknami, w których rześiste światło i okrutna buchała wrzawa. Kiedy niekiedy jak wystrzał wylatywał z niej wiwat głośny. Dobek obejrzał się ku czerniejącym na tle nocy murom zamku, w których już światła żadnego nie było.

Zamiast zwykłego gościńca wiodącego do miasta, poprowadzono bryki uboczną małą drożyną, którą przejechali na trakt lasami, prowadząc do osady o kilka mil odległej. Tu się prawie pogoni obawiać nie było podobna, a gdyby nawet trafiła okólnym zwyczajnym gościńcem, nadeszłaby dopiero w kilkanaście godzin.

Spoczęli więc wszyscy po znużeniu i trwodze, odetchnawszy swobodniej. Nazajutrz, ciągle przerywając gościńce, byli na trakcie do Konopnicy i Honory sam ich już, przodem jadąc, prowadził. Przez pierwszy dzień stary Dobek siedział ponury i milczący, niekiedy wpatrując się w Laure, czasem całując ją w głowę, ale nie mówiąc ani słowa. Córka, która go długo nie widziała, o dniu białym przeraziła się oznakami nagle występującej starości. Znikły z twarzy rumieńce, pofałdowało się czoło, oczy wpadły, wyraz się zmienił, mowa stała się zająkliwą i trudną, jakby myśli pochwycić nie mógł. Widać było po nim, że rozpamiętywał przeszłość, że własna wina ciążyła mu wstydem i upokarzała go. Córka nie śmiała go o nic zapytać, aby niemiłych wspomnień nie budzić. Do Honorego tylko jakby z obowiązku przemówił niekiedy Dobek, dziękując mu czule, potem znowu wpadał w milczenie i rozmyślanie. Tak dowieźli starego do najbliższego miasteczka, o mil tylko trzy od Konopnicy odległego. Honory, chcąc przygotować przyjęcie ojca Laury i oznajmić o gościach, pośpieszył stąd przodem do domu.

Nazajutrz dopiero Laura, która zrzuciła znowu strój męski, ruszyła z ojcem za przysłanym im przewodnikiem do Konopnicy. Chorąży list przysłał zapraszający od serca. Było około południa, gdy stary dwór nad jeziorkiem za wierzbami się ukazał. Dwoma ramionami z obu stron obejmowała go wioska, położona w równinie, nad brzegami rzeczki, wśród gęstych sadów i drzew. W jednym jej końcu spoza gałęzi sterczała stara kościółka wieżyczka. Gdzieniedzie nad drogą gęsto rozsypane krzyże z daszkami, o pobożności mieszkańców świadczyły. Sam dom pański, dosyć obszerny, niczym się nie odznaczał, chyba prostotą budowy. Była to powiększona tylko i ulepszona chata. Nie otynkowane drzewo ścian jego przybrało tę barwę popielatą, przy której białe okiennice i kawałki muru żywo i pstro

odbijały. Każda też wstawka świeższej belki świeciła na niej złocisto. Wysoki dach z oknami poddaszów, liczne przybudówki, galeryjki, wschodki od podwórza, przystawki, mimo nieforemności budowy, czyniły ją malowniczą.

Znać było, że się tu nikt o pozór zewnętrzny nie starał ani pomyślał o wdzięku. Jeśli jaki był, sam się znalazł i wyrósł nie posiany. Lata długie składały się na uczynienie domu wygodnym, starczącym dla rodziny i zacisznym.

Wysokie płoty z bramami, szosy, stodoły, świrny, serniki, gołębniki kryte gontami i słomą, otaczały jak baszty warowne poważny dwór dokoła. Ponad nim górowały konary odwiecznych drzew, których gałęzie, obnażone z liścia, rysowały się na szarym niebie siecią brunatną. Ze wszystkich kominów wznosiły się kłęby dymu.

W ganku otoczonym słupami i balasami wszyscy już stali, oczekując na powitanie kochanych gości, jak skoro z dala ukazał się przewodnik: stary pan chorąży o kuli i kiju, z obwiązaną nogą, Honory i jego Zosia, kobiecina rumiana, okrągłutka, z twarzyczką młodą, ani ładną, ani szpetną, w której rysach mało odznaczających się, powszedniego typu, panował spokój i łagodność ujmująca. Nie była piękną, lecz nad wyraz miłą, jakąś cichą a skromną dobrocią. Ubrana niewykwintnie, z fartuszkim za pasem, trzymała w ręku oznakę swojego dostojęstwa, spory pęk kluczyków.

Pierwsze wejrzenie Laury padło na nią, na tę niewinną istotę, która jej, nie wiedząc o tym, całe szczęście życia zabrała. Łagodne, serdeczne, nieśmiałe wejrzenie Zofii, biegnące naprzeciwko niej, rozbroiło Laurę, nim jeszcze przemówiły do siebie.

Chorąży był człek otyły, ciężki, postawy marsowej, twarzy rozlanej o trzech podbródkach, z podgoloną głową i podstrzyżonym wąsem. O ile mu jego kula i kij dozwalały, rozciągnął ręce, by krewnego uściskać, przypatrując mu się ciekawie, a wedle starych podań szukając w nim wspólnych jednej krwi znamion. Ale te się zatarły, nie było podobieństwa żadnego między dwoma Dobkami ani w twarzy, ani w charakterach. Chorąży otwarty był, wielomówny, towarzyski, potrzebujący ludzi, namiętny, gdera, czasem *facetus*; Salomon bojaźliwy, milczący, zamknięty w sobie, rzadko wybuchający tylko gwałtownie.

Oczy starego ojca Honorego Dobka pobiegły też z ciekawością przypatrzeć się Laurze, o której piękności i rozumie tyle mu syn opowiadał. Wlepił je w dziewczę i zdumiony oderwać nie mógł. Sam później mówił, że jak żyw podobnej kobiety nie widział, nawet malowanej. Wśród tej kupki ludzi ona twarzą, pięknnością, rozumem a śmiałym wejrzeniem królowała, wszystko się przed nią, samo o tym nie wiedząc, ugięło i od pierwszej chwili wpływowi jej czarownemu uległo.

Laura, ucałowawszy rękę chorążego, który ją nieśmiało w głowę pocałował, zwróciła się i pobieгла do Zosi, ściskając ją jak stara znajoma, z siostrzanym uczuciem.

— Winnam ci wiele, moja droga siostrzyczko — rzekła na pół żartem. — Ty musisz gniewać się na mnie, bom ci nielitościwie męża twego zabierała, trzymała, a teraz jeszcze sama z ojcem przyjeżdżam cię objadać. Za to, o ile potrafię, gotowam ci w gospodarstwie pomagać i pełnić służbę klucznicy, dopóki nas tu los na załodze u was trzymać będzie.

Zosia, słuchając tego tak łatwo płynącego potoku słów, zarumieniła się skłopotana i ledwie odpowiedzieć umiała. Uśmiechnęła się, spłonęła jak różyczka, łzy jej w oczach stanęły, zaczęła ściskać Laure, przy pierwszych niemal wyrazach powitania nie mogąc się wstrzymać od wykrzyknika:

— Jakaż ty jesteś śliczna! Mój Boże! Jakaś ty śliczna!

Była w tym jakby wymówka skryta, że jej tej piękności nieba nie dały.

Honory patrzył z dala na obie, z jak rozdartym sercem na poły, któż zgadnie?

Z tą starą gościnnością, która znamionowała wiele okolic wyszczególniających się nią, choć ona była w obyczaju powszechnym, chorąży zaraz poprowadził Salomona po dworze, aby on sobie sam wybrał, gdzie by mu było najwygodniej, gdzie by sobie podobał najlepiej. Izby były dosyć przestronne, kaflowe w nich piece ogromne, niepiękne może, ale zaciszno i wygodnie, choć zamiast sufitów widać było belki, a zamiast posadzek tarcice. Wiele pokoleń przeszło przez to domostwo, wiele ich tu rozpoczęło i skończyło życie; ślady tych żywotów poczepiały się wszędzie tysiącem drobnych pamiątek. Tamto było ulubione miejsce dziada, który w krzesle u okna na dziedziniec wychodzącego siadywał i w szyby stukał na służbę, dalej stały krośna babki, a ścieżkę na podłodze, modląc się, wychodziła stara prababunia. Skazy na kaflach porobił sam pan chorąży będąc dzieckiem, za co od ojca plagi dostał, o czym zawsze opowiadał. Pająk stary przewieziony był z Gdańska w tym roku, gdy jegomość się miał żenić, sprzęt najmłodszy sprowadzono z Kolbuszowej także na wesele, alkieryz zbudował nieboszczyk, jadalnię dla zapust dziadek.

W ogrodzie każde drzewko miało swą genealogie.

Chorąży, gaduła wielki, idąc po domu, mało co pominął, o czym by kilku słów nie rzekł. Pan Salomon, zaturbowany, nie bardzo słuchał, dziękował po cichu, prosił o jakikolwiek kąteczek, gdzie by nie zawadzając nikomu, mógł spocząć i namyślić się, co czynić dalej.

Ponieważ pobyt pana Salomona ukrywać było potrzeba dla ludzi, dano im nazwiska inne, krewnych jakoby z Sandomierskiego przybyłych. Lecz Laura do zbytku zwracała oczy, obudzała ciekawość, słudzy nawet wpatrywali się w nią z podziwieniem i obawą jakąś razem, czując w niej istotę wybraną, mówiono aż na wsi i w okolicy o tym gościu jakby z niebios

spadłym, któremu skrzydeł tylko zdawało się braknąć, aby tam nazad odleciał. Zosia także w początkach wpatrywała się w nią z jakąś obawą i poszanowaniem, dopóki ośmielona jej szczerością i dobrocią, jak dziecię się nie rozswawoliła. A widząc smutną, zamykającą się w swej izdebce, rozmyślającą nad Biblią, starała się ją wyciągnąć, zabawić, zająć jedną z tych tysięcy drobnostek, które dla jej własnej starczyły rozrywki.

Zosia była tym prawdziwym wsi dziecięciem, poza horyzont opasany lasami patrzącym z trwogą i wstrętem. Żyła całym sercem w małym swym światku, poza którym obawiała się więcej nieprzyjaciela, niż szukała zakazanych owoców. Modlitwa, kwiatek, krosienka, ogródek, gospodarstwo tak jej dni całe zajmowały, iż myślą nawet nie wybiegała za nie. Wesoła była i szczęśliwa, ale zwarzona śmietanka i splątany motek łatwo łyzy wywoływały na powieki. Dziecinna w dwudziestu latach, taką dobrą i miłą dzieciną miała pozostać na zawsze. Trzeba ją widzieć było na modlitwie przejętej, strzelistej, gdy za ojca i męża słała do niebios pacierze, lub wśród utrapień gospodarskich, poważniejszą, niespokojną, biegającą albo śpiewającą u krosien, gdy nikt a nikt słyszeć jej nie mógł, wówczas wielką miłością, jaką cała była przejęta, stawiała się piękną i nie można jej było nie pokochać.

Laura umiłowała ją jak dziecko, a po kilku dniach nie patrzała na Honorego, aby mu szczęścia nie zakłócać, aby myślą nawet nie zamącić go. Powiedziała sobie: „Niech zapomni, ja będę pamiętała za dwoje!”

Dni schodziły cicho a jednostajnie, biciem godzin podzielone na periody co dzień powracające.

Choraży, gaduła, bawił zbyt milczącego kuzyna, nie mogąc zrozumieć, dlaczego się on nigdy rozgadać nie umiał, a serca mu nie otworzył, trwając w jakichś rozmyślaniach chmurnych, tłumaczyło się to po części położeniem, co charakterem dla chorążego wytłumaczyć nie mogło. Większą część dnia Laura, unikając Zosi i Honorego, siadywała przy ojcu, któremu Biblię czytała lub jaką poważną księgę. Kilka ich Eliasza potrafił wykraść i zabrać z sobą.

Dalsze kroki, podróż, starania, zależały od wiadomości, jaką z Borowiec odebrać miano. Czekano i spodziewano się jej ciągle. Sam Aron przyrzekł był przywieźć złe czy dobre, jakie się z czynności komisji wywiąże. Kilkanaście dni upłynęło jednakże, nim bryka wtoczyła się na dziedziniec i po gładzeniu długiej brody poznano Arona, który się jeszcze z pyłu otrząsał, nim się miał swemu staremu panu przedstawić. Dobek nawet odżył, zobaczywszy go.

— Z Borowiec jedziesz! — zawołał, wychodząc przeciwko niemu. — Mówże mi o moich Borowcach. Ja tam tylko żyć mogę. Tak mi tu dobrze, a usycham, tęskniąc do nich. Gdzieś tam dusza moja do tego gniazda przykuta. Mów, co tam u was w Borowcach?

Aron zrazu nie bardzo chciał mówić; głową pokręcił, brodę ciągnął i wzdychał.

— Cóż tam może być teraz dobrego — rzekł w końcu — kiedy jasnego pana nie ma? Komisja, nic nie zrobiwszy, dała się czy kupić, czy ogłaszać przez jejmość. Zrobiła, co chciała, dali jej administrację. Zniszczą tam teraz wszystko, że kamień na kamieniu nie zostanie. Sprzedają wszystko, byle pieniędzy dostać, las, zboże... co gdzie jest! Gospodarstwo nowe, ludzie nowi, starych powypędzono.

— A komisja? — spytał Dobek niespokojnie.

— Komisja? Pokopała, poorala, popsula, co mogła, a nie znalazłszy nic, pojechała, skąd przybyła — mówił Aron, — Najedli się, napili, nabrali, co wlaźło, a czego nie wzięli, zostawili jejmości. Ona tam z Będziewiczem i rotmistrzem króluje.

Salomon spuścił głowę na piersi; poczęli coś szeptać cicho.

Laura słuchała stojąc z boku. Po długim milczeniu i odrętwieniu ojca chwilowe jego odzycie, zagrzanie się choćby gniewem, zdawało się jej szczęśliwym wypadkiem.

Powracał trochę do tego, czym był, obchodziło go coś, myślał, gdy pierwszych dni jakby uśpiony siadywał.

Narady z Aronem trwały dosyć długo, później Salomon chodził żywo, rozbierając, co ma począć, a wieczorem, kiedy Laura przyszła mu oddać dobranoc, oświadczył, że rad by sam jechać do Warszawy, by jakieś starania rozpocząć.

Chciał z sobą wziąć bodaj Arona i Eliasza, o Laurze mowy nie było.

— Beze mnie nie pojedziesz, tatku — odezwała się Laura. — Ja muszę być z tobą, mam stosunki, znajomych, mogę się pokazać, gdy ty ukrywać się musisz. Będziemy pracowali razem. Samego cię nie puszcze.

— Ty chcesz jechać? — zapytał Dobek.

— Chcę i muszę! — zawołała córka. — I pochlebiam sobie, że się tam na coś przydać mogę. W potrzebie udam się nawet do pana hetmana, na którego dworze przez kilka dni odpoczywałam, mam ludzi, co mi pomoc przyrzekli, co ją dać muszą. Pójdę, choćby do króla samego. Więcej ci powiem, ojczy, gdybym miała kogo do boku, zostawiłabym tu ciebie, a jechałabym sama.

— Tak, mnie zostawując, żebym się tu jadł myślami — rzekł Dobek.

— Nie chcesz mi dać jechać samej, a ja ciebie samego też nie puszcze, jedziemy więc oboje, a starania ja biorę na siebie.

TOM CZWARTY

I

Podróż więc postanowiona została, a nazajutrz wybór się rozpoczął. Z gościnnego domu inaczej niż obładowanym wyruszyć nie można, a w tamtych czasach zabierano wszystko, czego dusza zapragnąć mogła, bo po drodze nad jajecznicę i rybę żydowską nic dostać nie było można. Zosia zwijała się, wymyślając, co by jeszcze dać więcej, Laura broniąc się od tego zbytku wygódek.

Choraży mruczał sam do siebie przechadzając się, narzekał na nogę, która mu nie dopuszczała ruszyć z nimi i sprawę wymową obfitą popierać we właściwych miejscach.

— Ale ja to was tak samych puścić nie mogę — odezwał się w końcu. — Z pozwoleniem Zosi, dam wam Honorego, będzie się kim posłużyć.

Zarumieniła się Zosia, spuściła oczy, a potem podniosła je na męża ze smutkiem i trwogą. Snadź nie bardzo była podróży tej rada, lecz jakże się jej sprzeciwić? Honory poczerwieniał cały, Laura pobladła i zagryzła usta.

— Waszmość bo — mówił choraży do Salomona — jesteś człowiek, daruj mi, co powiem, zardzewiały. Ruszać ci się, mówić za sobą, biegać niełacno, zresztą i nosa pokazać ci nie wolno, bo mogą pochwyć. Kochanej Laurze także będzie trudno cudzych bogów prosić i opłacać. Po co, kiedy Honorego macie? Niech Honory jedzie, ja go tu, choć kulawy, w gospodarstwie zastąpię. A od czegoż moja Zosia?

Zosia pokazała w smętnym uśmiechu ząbki białe, ale dwie łzy jak perełki ześliznęły się niepostrzeżenie po krągłej jej twarzyczce. Jedną Laura je widziała i zbladła mocniej jeszcze. Zosia zląkła się zaraz, by jej nie posądzono o sprzeciwianie się choćby myślą woli ojca i już chciała bardzo żywo go popierać, gdy Laura jej przerwała:

— Przepraszam kochanego chorażego — rzekła — Honory nie pojedzie, bo choćby nam bardzo był miłym towarzyszem, my się doskonale bez niego obejść możemy, a nie należy go od gospodarstwa i żony odrywać.

— Dajże mi asindźka pokój ze swymi skrupułami, to obowiązek familijny.

— Gdyby nam był koniecznie potrzebny — odparła Laura — prosilibyśmy o pomoc, ale tak, jak stoją sprawy nasze, ja się podejmuję im wydolać. Wreszcie, możemy napisać później — dodała, nie chcąc zbyt stanowczo odpychać ofiary, Laura, chociaż najmocniej postanowiła nie dopuścić Honoremu tej podróży. — Teraz nie powinien jechać, mielibyśmy to na sumieniu.

Spojrzała pobieżnie na Honorego, który zmieszany oczy spuścił. Zosia jej wejrzeniem wdzięcznym niewymownie płaciła.

Pan Salomon, który by był może rad pomocy krewnego, słowami córki został wstrzymany i zrazu milczał, a potem szepnął:

— Po co? Po co się ma odrywać? Będzie nas tam dosyć bez niego.

— A nie byłoby też z nim za wiele, wiercie mi — dodał chorąży. — Po co te ceremonie! Honory więcej by wam pomóc potrafił niż kto inny, obcy, boć kogoś użyć musicie.

— Ja już gotowego mam — wtrąciła Laura — niech mi pan chorąży wierzy.

— Ja przy swoim stoję, Honory by się zdał...

— Honory się wszędzie przydać potrafi i miły jest — rzekła Laura — ale na ten raz, powiem szczerze, byłabym tak zgryziona, żem go stąd wzięła od Zosi, iżby mi to wszystko psuło.

Spojrzała znowu, Zosia promieniała! Honory patrzył na ojca, chorąży, zdziwiony oporem, chciał niby przyczynę jego odgadnąć i nie umiał. Dobek już milczał. Rozmowa więc się na tym przerwała. Wstali, a Laura poszła za Zosią, która kryjąc łzy trochę, wysunęła się i uciekła.

Złapała ją na uczynku.

— Zosiu, ty płaczesz?

— Ja? A, nie, nie!

— Wiem i widzę, żeś płakała, żal by ci było Honorego, ja to pojmuję, lękasz się o niego, lecz... my ci go nie zabierzemy, bądź spokojna, ja nie pozwolę na to.

— A, nie! Nie! Mylisz się, nie płakałam... a jeśli mi łza zbiegła to chyba, że ty mi, dobra siostrzyczko, uciekasz.

Uśmiechnęła się Laura i pocałowała ją.

— Kiedyś się jeszcze może spotkamy znowu w życiu — szepnęła — przyjedziecie do nas oboje. Lecz przyznaj mi się... te łzy... jak na spowiedzi, jak siostrze rodzonej, wszak ci o Honorka twojego strach było...

Zosia zapłoniła się i jak proste dziewczeczki chwyciła rąbek fartuszka.

— Jakże to może być inaczej? — ozwała się. — Zawsze mi przykro, gdy mąż odjeżdża, choć grzechem jest zabierać go tak dla mnie jednej, gdy ludziom potrzebny być może. Trudno go tak trzymać przyszytym do mego fartuszka! Wiem, że mnie troszkę kocha, a boję się go utracić. Tyle on tam po świecie piękniejszych zobaczy, a ja, ja jestem taki prosty kopciuszek tylko, który go bardzo kocha. Boję się!

— Możesz się lękać o niego? — spytała Laura. — Ty go krzywdzisz.

— Sama nie wiem, nie powinna bym — szeptała Zosia — to prawda! On taki poczciwy, że mnie wziął i że mnie kocha, a ja bym mu mogła nie wierzyć? Cóż ty chcesz, Lauro, wiem to i boję się. Ja go tak kocham, wierzę w jego przysięgę, a w moją siłę nie wierzę. Nie mam nic prócz serca za sobą.

Spojrzała, ośmielając się, na Laurę.

— Ja ci coś jeszcze powiem — dodała cichutko. — Ty taka jesteś piękna i rozumna, ja i ciebie się nawet boję, choć wiem, że ty byś krzywdą nie chciała być nawet szczęśliwą!

Laura rzuciła się ku niej ściskając ją.

— Co też ci za myśli przychodzą, dziecię moje! — rozśmiała się. — Nie znasz sama siebie, jak drogą jesteś perłą, a ja przy tobie, moja Zosiu, jak kozak się wydaję. Nie masz się obawiać czego.

W uścisku jeszcze szepnęła jej Zosia:

— A, Lauro, on mężczyzna, a tyś czarownica!

— Czarownica! O, nie! Dziecko moje, jam liść, którym burza miota. No, pocałuj mnie i bądź spokojna! Honory nie pojedzie, rozumiem cię, Zosiu, nie pozwolę na to. Nie masz się mnie co lękać, ale na cóż cierpieć? Dlaczego my go wam odbierać mamy?

Zoska rzuciła się ku niej.

— A, nie! Nie! Proszę cię, nie wstrzymuj go od podróży, będą się śmieli ze mnie i mojego niepokoju, gdy się, uchowaj Boże, dowiedzą. Niech jedzie, jeśli ojciec każe, a odsyłajcie nam go prędko, prędko!

— Nie trzeba, żeby jechał — powtórzyła Laura, żegnając się i wychodząc z pokoiku — nie pojedzie.

W salce, przez którą przechodziła, nastęczył się jakby umyślnie Honory, który chodził tam niespokojny i zamyślony. Sam on wstrzymał Laurę pytaniem:

— A więc mnie nie chcecie i gardzicie naszą ofiarą?

— Mój Honory — odwracając się doń odezwało dziewczę — idę od Zosi, która płacze na samą myśl twój wyjazd. Nie powinienes, nie możesz jechać z nami. Sama dla siebie tego nie życzę, aby się nie karmić próżnymi marzeniami. Mam przed sobą obowiązki do spełnienia, sercu mojemu teraz już nie wolno nic więcej, tylko ci zachować uczucie czyste, wierne i ciche. Bądź mężczyzną, a mnie pomóż być poczciwą dla was siostrą. Nie jedź. Zosia płacze, ja nie chcę.

— Zosia dziecko! — przerwał nieśmiało chorążyc.

— Ale ja nie jestem dziecięciem — poczęła Laura, brew marszcząc — przestałam nim być, dotknięta nieszczęściem. Ono mnie uczyniło dojrzałą. Zosia ma słuszość, broniąc

swojego skarbu i nie chcąc go narażać, ja byłabym niepocziwa, chcąc choć cząstkę jej go wydrzeć. Byłabym szczęśliwa, przeżywszy z tobą jeszcze dni kilka, ale to owoc zakazany nam obojgu. Dość tych marzeń, Honory mój! Pamiętaj o mnie, ja cię nie zapomnę nigdy, więcej nam nad to nie wolno.

Podawała mu rękę, chorążyc ją pochwycił namiętnie.

— Zmieniłaś się — rzekł z wymówką.

— W istocie, nie przeczę temu — smutnie odparła Laura — ostyglam, przyszedł mi rozum, za późno, by zagoił ranę, ale w czas, by jej nie dać powiększyć. Dla twojego, dla jej szczęścia powinniśmy się rozstać. Widok tej dobrej Zosi, jej przywiązanie do ciebie wróciły mi pojęcie obowiązku. Bądź zdrow, mój Honory.

Chciała odejść, chorążyc powstrzymał ją gwałtownie.

— Gardzisz mną — rzekł. — Masz słuszność, wydaję ci się nikczemnym i samemu sobie także, aleś we mnie obudziła uczucie niepohamowane. Wszakże innej pociechy dlań nie żądam, tylko widzenia, słyszenia, kochania ciebie!

— Nie mów nic więcej — przerwała Laura. — Ja może cierpię mocniej, a milczę. Skargi są rzeczą słabych istot, mężni poddają się losom i milczą. Bądź zdrow, Honory.

Spojrzeli sobie w oczy. Honory zadrzał i pobladł, Laura udała uśmiech obojętny.

— Uzdrowię cię, rzekła — zobaczysz, rozczaruję, potrzebujesz tego, byś się nie łudził, bo nie umiesz kochać bez nadziei!

— Nawet bez nadziei! — odparł Honory. Laura odbiegła żywo.

Stanowczo więc podziękowano chorążemu za jego troskliwość i odrzucono ofiarę. Dobkowie wybrali się sami, z Eliaszem tylko i panią Słomińską.

Nazajutrz rano bryki ładowano do drogi, a pan Salomon chodził niecierpliwym, jakby ta podróż do Borowiec zbliżyć go miała. Zosia i Honory zajmowali się wyborem, którym chorąży sam kierował, przy zdarzonej zręczności gderając na kogo tylko mógł, co go zwykle w wyśmienity humor wprawiało. O kuli i kiju włócząc się, był pono najczynniejszym ze wszystkich. Laura patrzała obojętnie lub taką się obcym przynajmniej wydawać mogła, choć nie postrzeżonymi znaki przebłyskiwało po twarzy jej uczucie jakieś tajone umiejętnie. Niekiedy wejrzenie na to szczęście domowe, na cichy kąć ów, w którym Honorego zostawiała, budziło w niej zazdrość, którą oczy chwilowo ożywiały się i gasły. Wszystko było gotowe, nastąpiły pożegnania, które Laura starała się znowu uczynić jak najkrótszymi i wlać w nie prawie nienaturalną wesołość. Dobek też spieszył i w milczeniu uściskawszy się, uciekli od gościnnego ganku, na którym Honory długo z Zosią pozostał.

Zosia badała twarz męża niespokojnie, lecz chorąży przerwał tę kontemplację niebezpieczną znakiem krzyża świętego i wykrzyknikiem:

— W drogę pokoju i szczęśliwości!

Ani jednego, ani drugiego Laura się już nigdy w życiu nie spodziewała.

Śpiesznie kazał pan Salomon zdążyć do stolicy, choć nie wiedział, co go tam czekało. Zdało mu się, że potrafi sobie wyrobić bezkarny powrót do Borowiec, a nadzieję opierał szczególnie na jednym człowieku, o którego położeniu na dworze wiedział, a miał go za współwyznawcę. O nim nie wspominał nigdy, bo stosunki ich były tajemnicą, lecz rachował na węzły, jakie ich rodziny łączyły od dawna.

Po wyjeździe Laury, o którego prawdziwym powodzie jedna tylko wiedziała kasztelanowa, co żyło wielbicieli jej, wieścią o nagłym zniknięciu poruszone zostało. Kasztelanowa nie zwierzyła się nikomu, zamilczała o tym nawet przed dopytującym siostrzeńcem, który tajemniczego pożegnania Laury chciał mieć klucz jakiś, nie przyznała mu się do świadomości przyczyny. Niepokoiło ją zajęcie tą nieznaną piękną nie należącą do świata, w którym żyli, a miała właśnie ułożone małżeństwo, któremu ten niepotrzebny sentyment stawał na przeszkodzie. Hrabia Artur, domyślając się, o co ciotce chodziło, nie nalegał, spodziewał się potrzebne objaśnienia znaleźć na innej drodze. Utkwiło w jego pamięci pożegnanie, będące razem obietnicą powrotu.

Rozpacz młodziuchnego kawalera Georges'a, który jakkolwiek płochy i trochę zepsuty, dziwnym sposobem Laurą był zajęty, byłaby go może popchnęła w jaką awanturniczą podróż i pogoń za ideałem jego marzeń, gdyby nie nagły przyjazd hetmana do Warszawy. Biedny sybaryta z najśłodszych marzeń swych przy flecie wiejskim wezwany został niespodzianie w sprawach publicznych do stolicy, a wezwanie to nie cierpiało ani wymówki, ani zwłoki. Rzuciwszy więc z żalem otia emilopolskie i kończący się Castel Blanco, musiał z częścią tylko dworu wędrować co najprędzej do Warszawy, do zimnego pałacu, którego nie lubił, bo mu w nim było ciasno, niewygodnie a kosztownie. Kapeli nawet nie wziął z sobą, a w Warszawie, wiedział z góry, że go kuzynki znowu żenić zechcą, z czego zawsze wynikały utrapienia wielkie, bo hetman dla płci pięknej był słaby, a sakramentu niezmiernie się obawiał. Z jednego tylko rad był, że tego zbiega, utrapionego Georges'a, za kark pochwyci i dalsze jego bałamuctwa powstrzyma. Donoszono mu ciągle o nim, pisał on do wychowawca coraz groźniejsze listy, Georges odpowiadał na nie grzecznie i pokornie, obiecywał nawet powrót; ale zawsze mu coś przeszkadzało i nie wracał.

Raz więc koniec temu położyć trzeba było. Hetman przyaresztował Georges'a, odmawiając mu pieniędzy, lecz uczynił to z właściwym sobie pobłażaniem i wyrozumiałością

na błędy młodości płynące z sentymentu. W tym wieku miano dla sentymentów w ogólności wielki szacunek, tkliwość i czułość były tarczą, poza którą kryło się coś więcej nad to, co one wyrażały. Georges, który już zabierał się do ucieczki, został. Hetman nie groził, nie fukał, dawał nawet do zrozumienia, że uczucia serca miał w wielkiej estymie, i kazał czekać szczęśliwszych okoliczności.

Książę Andrzej, który przez Lassę dowiedział się o katastrofie, pomścił się na niej i nie kazał jej więcej wpuszczać do pałacu, pańska fantazja zwróciła się w inną stronę. Daleko boleśniej zniknięcie Laury dotknęło Bogusławskiego, który wiele na pomoc jej talentu rachował. Rzadko spotykając takie zamiłowanie sztuki, umiał je cenić, a wiedział, że niełatwo znajdzie szczególnie kobietę, która by mu to genialne zastąpiła zjawisko. W pierwszej rozmowie z królem o nowym teatrze wyraził przed nim nawet żal nad tą stratą.

Król wysłuchał go uważnie.

— Wierzaj mi, mości panie Bogusławski, że kobieta, co tak gra jak ta wasza nieznajoma, niełatwo się zrzuca powołania.

— Na nieszczęście, Najjaśniejszy Panie, ma to być pono bogata dziedziczka, którą tylko jakiś wypadek dla mnie szczęśliwy wywiódł chwilowo na scenę.

— A inny wypadek może ci ją przywrócić. Bądź asindziej dobrej myśli — dodał król — ciesz się raczej, że się już u nas takie talenta znaleźć mogą. Wybornie grała Paulinę w *Polyeukcie!*

Bogusławski, na drugi przypadek taki niewiele rachując, wyszedł nie pocieszony szukać sobie towarzyszków, uczyć ich i wprawiać do sceny, która wkrótce otworzyć się miała.

Wściekając się z bezsilnej złości, Lassę latała wszędzie z wiadomością, iż kuzyn tej panienci, człek żonaty, trzpiota i bałamutkę pochwycił i uwiózł. Chodziła nawet z tym do kasztelanowej, która uroczyście ją zburczawszy, precz wyprawiała. Nie szczęściło się biednej kobiecie. Mściła się jednak, roznosząc plotkę, gdzie mogła, i w pewnych kołach, do których doszła wprzód wiadomość o tryumfalnym występie Laury, potrafiła jej wcale nieszczęólną wyrobić reputację, do historii prawdziwej domieszawszy obficie rozmaitych dodatków własnego wymysłu.

Napisała o tym i do pani Dobkowej, ale list ten wśród mnóstwa zaprzątnień, jakie teraz zajmowały piękną Sabinę, rzucony w kąt, ręką Rózi został na papiloty obrócony.

Nowa administratorka Borowiec, dosyć praktyczna, gdy chodziło o jej interesa, zbierała pieniądze, jak mogła, ze Smołochowa i z nowych dóbr swoich, aby mieć z czym wystąpić w Warszawie. Znała ona dobrze stolicę, miała w niej mnóstwo znajomości, do których liczył się i książę Andrzej, za młodszych lat adorator wielki czarnych oczek jejmości, wiedziała też, że

tu wszystko zrobić potrafi, co zechce, złotem i uśmiechem, jeżeli użyć ich i wystąpić z nimi będzie umiała. Musiała teraz zdumieć swym nowym blaskiem, pokazać się tu jako bogata pani, zwabić do domu ludzi wpływ mających u dworu, przyjmować zbytkownie i grosza nie żałować.

Pieniądze więc garnęła, znajdując, że zawsze ich jeszcze było mało, a nie mniej nad nie kłopotu było z urządzeniem ekwipażów, służby, stosownego dworu i przyboru, bez których pokazać się nie mogła. Rotmistrz, który ze wszystkich jeśli nie najlepiej się na tym znał, to przynajmniej widział najwięcej, wysłany został przodem z instrukcją, miał nająć dom, kucharza, mieszkanie umeblować, zaopatrzyć spiżarnię i piwnicę (co mu wielką sprawiało przyjemność) i wyjechać potem na pół drogi oczekiwać dla przeprowadzenia pani, której do tego miejsca Będziewicz miał towarzyszyć. Oprócz Poręby zabrała z sobą niepotrzebnych sług jak najwięcej pani Dobkowa, Rózię i Przepiórkę, i mnogą czeladź, nie najszcześliwiej dobraną.

Stajnie i wozownie pana Dobka nie dostarczyły porządnym powozów ani paradnych koni, o które Poręba się wystarał, z małym dla siebie zarobkiem. W chwili prawie gdy Salomon opuszczał Konopnicę, pani Dobkowa wyjeżdżała solennie z Borowiec, po błogosławieństwie, którego ksiądz kanonik udzielił. W duszy wzdychał on życząc jej zwycięstwa, bo dla Kościoła dogodniejsza była Dobkowa niż Dobek i raz by się od tych heretyków ksiądz Żagiel mógł uwolnić.

Prędzej wszakże dojechała Laura z ojcem niż Dobkowa ze swym rotmistrzem i czeredą.

Znaleziono mieszkanie skromne na przedmieściu, w domu nowym i porządnym, niezbyt na widoku. Pan Dobek zajął pokój od ogrodu, mając udawać chorego i nie wychodzić wcale. Laura potrzebowała namysłu, od kogo począć i od czego wypadało. O przyjacielu ojca nie wiedziała wcale, tego adres miał Eliasza, a widzenie się miało być okryte tajemnicą.

Właśnie rozpakowywano, gdy Eliasza, z miasta powróciwszy, podszedł do Laury niespokojny i rzekł biorąc ją na stronę:

— A wie panienka, kogo ja tu widziałem?

— Kogóż, proszę? — spytała Laura.

— To szczęście, że oni mnie nie zobaczyli — dodał stary — ale trzeba być ostrożnym, wszak to już upiór tu jest!

Upiorem zwano Dobkową. Laura przestraszyła się.

— Ona? Tu? Jestżeś pewien?

— Ale najpewniejszy! — rzekł Eliasza smutnie. — Na moje oczy cały obóz ich widziałem: rotmistrza, pannę Rózię, Przepiórkę... Wielkim taborem przybyli widać swoją sprawę

popierać. Łaska boża, żem ja ich wprzódy, anizeli oni mnie zobaczyli. Trzeba się mieć na ostrożności i strażę bodaj u drzwi postawić. A nuż się jejmość dowie? A nuż się jej tu nie powiedzie? Gotowa na wszystko, nawet przyjść jegomości starego kusić, od czego nas Panie uchowaj!

Laura uczuła mocno ten nowy cios, bo go tak nazwać było można. Bytność Dobkowej utrudniała wielce zachody, starania, samo nawet pokazanie się w mieście, i szczęściem było, że Eliaz pierwszy się o niej dowiedział. Miała ona tu dawne stosunki, którymi pogardzać nie było można. Trzeba więc było do czasu przynajmniej taić się z sobą, pokazywać mało i nie zdradzić. Słomińska, dobra towarzyska w podróży, w mieście na mało się przydać mogła, bo mimo wieku była dość żywa i roztargniona. Jedynym wysłańcem mógł być przebiegły, pewny i rozważny Eliaz, ale ten do miasta nie był nawykły i nie znał go wcale.

Nazajutrz już stary sługa, któremu pan Dobek dał srebrny medal z wizerunkiem Chrystusa i napisem tylko arianom właściwym, wyprawionym został do tego, na którym pan Salomon całe swe, nie znając go, pokładał nadzieje. Pewien był wyszukać osobę, przekonać się o jej tożsamości, ukazać jej ów medal i zażądać przybycia dla widzenia się i narady z panem Dobkiem.

Puścił się więc na wywiady stary, mijając Krakowskie Przedmieście, na którym się pani Sabina rozgospodarowała w pięknym domu, wpośród pańskich położonym pałaców, i skierował w ciasne uliczki otaczające rynek Starego Miasta. Po drodze musiał pytać, lecz czynił to z ostrożnością wielką i dobierając osoby, które mu się najmniej niebezpiecznymi wydawały. W godzinie obiadu spodziewano się najłatwiej zastać w domu pana archiwistę.

Osoba, z którą widzieć się pragnął Salomon, zajmowała tu posadę przy metrykach koronnych. Dopytawszy domu, który był własnością regenta (ten mu tytuł dawano), Eliaz dostał się na drugie piętro, które on całe zajmował. Na odgłos dzwonka stara kobieta otworzyła mu drzwi i popatrzyła zaczerwienionymi oczyma na wchodzącego, któremu, że nieznajomy jej był, najprzód drogę zaparła.

— A czego? Do kogo?

— Do pana regenta, w bardzo pilnej sprawie.

— On tu nikogo nie przyjmuje, jeśli sprawa, to do kancelarii, ale do kancelarii — ochryplym głosem rzekła stara.

— To nie kancelaryjny interes, to rzecz prywatna i muszę z nim . chwilkę pomówić na osobności, pięć minut.

— Ale czegoż? Czegoż?

— Moja pani kochana — rzekł Eliasz słodko — nic przykrego. Jestem z daleka, dwa słowa tylko.

Stara machnęła ręką.

— Tyle on ma spokoju i wypoczynku, co w domu, a tu mu nie dajecie godziny.

— Pięć minut, kochana pani.

— Co mi tam z waszego kochania, kiedy mi jegomości przeszkadzacie!

W czasie tej rozmowy zza drzwi dawały się słyszeć szczekania przynajmniej ze sześciu psów pokojowych, które czując obcego, ujadły i drapały. Zza tego wrzasku i pisku inne jeszcze jakieś zwierzęce głosy, obudzone nim, hałasowały. Na całym piętrze wrzawa się rozpoczęła straszna, jakby w menażerii. Eliasz zadziwiony umilkł. Wtem siwa głowa, na pół łysa, ukazała się przez wpólotwarte drzwi pokojów, a ze szpary tej korzystając psiarnia wyleciała szczekać na nieznanego, ku któremu i sam gospodarz ciekawie wyglądał.

Stara zbliżyła się ku niemu.

— Chce na pięć minut, obcy, z daleka.

— To go wasani puść! — rzekł głos siwej głowy.

Gdy się Eliasz ruszył, psy oskoczyły go zewsząd. Nie były wszakże niebezpieczne. Psiarnia ta składała się z mopsów, szpiców i różnej drobnoty, która najhałaśliwiej krzyczy, ale najmniej straszy. Eliasz, prowadzony przez całą ich zgraję, obawiając się je podeptać, ostrożnie wsunął się do sali. Sala była obszerna, od strony okien cała ostawiona klatkami, w których różne ptactwo świergotało. Na grzędach siedziały dwie papugi wrzeszcząc: „Cukru! Cukru!”

Z dalszych pokojów głosy też dające się słyszeć oznajmiały, że wszędzie tego było pełno. Staruszek, który sam jeden, jak się zdawało, wśród tego zwierzyńca mieszkał, miał twarz wielce łagodną, rysy miłe, oczy blade jakieś i wyblakłe. Stał z rękami włożonymi w kieszenie i czekał. Eliasz, obejrzawszy się na wsze strony, z niskim ukłonem, spytał, czy z panem regentem mówić ma zaszczyt.

— A, tak jest! — krótko odezwał się stary. — Czym waćpanu służyć mogę?

Jeszcze raz się obejrzawszy, sługa dobył spod piersi medal i wręczył go staremu. Ten, jak tylko go zobaczył, tknięty niby piorunem, rzucił się, popatrzał na przychodzącego i na medal, i zapytał ożywionym nagle głosem:

— Bratem mi jesteś, czego chcesz?

— Nie ja, ale inny z braci naszej wzywa na pomoc — odparł Eliasz.

— Który? Skąd?

— Z Borowiec.

— Dobek? Salomon? — cicho począł gospodarz. — Jest tu?

— Jest, ale o tym nikt wiedzieć nie ma.

— To się rozumie.

Eliasz, zniżając głos, podyktował dom i ulicę, na której mieszkali.

Starzy obaj byli wzruszeni mocno. Potrzymawszy medal i popatrzawszy nań, regent oddał go posłanemu.

— Chcecie, bym dziś był?

— Jak najrychlej, panie a bracie — rzekł Eliasz. — Potrzebni nam jesteście, nikogo tu nie mamy, a groźne położenie nasze.

— Sami jesteście?

— Pan mój z córką jedyną.

Regent pochodził nieco, witany zewsząd krzykiem swojego ptactwa, które wniebogłose wołało doń o pieśczęty i strawę.

— Tam się coś stało? — spytał po cichu regent. — Powiedz mi, bracie, co wiesz, abym się zawczasu przygotował. Szukano?

— Wydano, zdradzono i szukano!

— Cóż znaleziono?

— Nic, oprócz tych ksiąg, z którymiśmy się nie taili, bo je pan nasz za pamiątki uważał. Archiwum i kaplica dotąd ocalały, lecz wiele na wszelki wypadek spalić musieliśmy. Dobek nasz uwięziony był.

— Puścili go?

— Nie, wykradziony został i tu zbiegł. Regent się zadumał.

— Niech się nie pokazuje — rzekł. — Mnie trudniej będzie uczynić coś niż komu drugiemu, bom na oczach i w podejrzeniu, lecz znajdą się inni.

— Majątek dano w administrację na zniszczenie — rzekł Eliasz — trzeba by i to ratować.

— Komu? — spytał regent.

— Niegodziwej kobiecie, za której zdradą i poduszczeniem wszystko się to stało. Dobry nasz pan jeden grzech w życiu popełnił: ożenił się ze złą kobietą i nie naszego wyznania; ta do tego przywiodła.

— Kobieta! — szepnął regent. — Zawsze kobieta, począwszy od raju, jestem pewien, że Judasza poduszczyła zła niewiasta.

— Ta kobieta tu jest i nie omieszka zabiegać pewnie — mówił sługa.

— Piękna? — spytał stary.

— Dla złych może piękną być, ale sprośna to piękność! — westchnął Eliasz.

— Tym gorzej! — spokojnie mówił gospodarz. — A rozumna? Eliasz ramionami dźwignął.

— Na złe chyba — rzekł.

— Wie dobrze?

— Przecież ona nie wiedziała o niczym, tylko o tym, co ludzie pleść mogli.

Regent dumał długo.

— Przyjdę — rzekł — o zmroku, czekajcie na mnie, abym nie pytał i żeby mnie ludzie nie widzieli. Nie dla siebie ostrożnym chcę być, mnie wszystko jedno, dla was.

Po krótkim tym porozumieniu się, przeprowadzany przez psy, stary sługa cofać się zaczął. Regent je chustką odpędzał. Ścisnęli sobie ręce i ucałowali w ramiona.

Staruszka u drzwi stojąca, która może coś podglądała, odprowadziła teraz Eliasza z oznakami wielkiego poszanowania.

To był pierwszy krok uczyniony w Warszawie, a tegoż dnia Laura w powozie zamkniętym, sama jedna, kazała się wieźć do kasztelanowej. U drzwi kamerdyner oznajmił jej z pewnym pomieszaniem i jakby żalem, że pani nie ma w domu, że wyjeżdża teraz bardzo często i że ją bardzo by trudno zastać było. Laura nie śmiała zapytać go o hrabiego Artura. Francuz, którego jak innych śmiertelnych piękność kobiety oczarowała, zdawał się opowiadać to z żalem, któremu towarzyszyły westchnienia. Była to odprawa oznajmująca dość wyraźnie, iż kasztelanowa widywać Laury nie życzyła sobie. Ona tego jednak w ten sposób zrozumieć nie chciała. Stała zakłopotana i tak smutna, że Francuz, patrząc na nią, widocznie politowaniem był zdjęty.

Spojrząwszy nań, Laura więcej wyczytała w oczach, niż odpowiedź zrozumiała.

— Nie będę więc mogła widzieć się z panią kasztelanową? — spytała.

— Trudno to, bardzo trudno — rzekł po cichu kamerdyner. — Nie wiem z pewnością, lecz gdy powróci, oznajmię.

— A hrabia Artur? — przerwała ośmielając się, choć rumieniec okrył jej twarz.

— Hrabia Artur? — pochwycił Francuz. — Wyprawiono go na kilka miesięcy za granicę.

Laura pobladła. Pokładała w nim właśnie największą nadzieję. Skłoniła się i chciała odchodzić. Kamerdyner parę kroków postąpił za nią.

— Pani mi daruje — rzekł cicho — my naszą *consigne* musimy spełniać, czasem choćby osobiście była przykra i choćby... choćby nie zupełną w sobie zawierała prawdę.

Wzrokiem tylko podziękowała mu Laura i odeszła do powozu.

O bytności hetmana nie wiedziała jeszcze, Georges'a wyszukać sama nie mogła, o Bogusławskiego potrzebowała się dowiedzieć. Stosunki, które się zdawały łatwymi do

odnowienia, wymykały się z rąk. Ścisnęło się jej serce domyślając, że kasztelanowa wcale jej przyjmować nie kazała. Nie wątpiła, że hrabia Artur wyjechał w istocie, choć i to kłamstwem było. Ze spuszczoną głową powróciła do domu smutna w chwili właśnie, gdy nieznajomy starszek wchodził ostrożnie, dopytując się cichym głosem o Salomona. Złękła się nieznajomego zrazu i zapytała żywo, kto by był.

— Powiedźcie mu tylko brat, a będzie już wiedział, kto jestem.

Wyraz ten otworzył mu drzwi. Dobek siedział w Biblii zatopiony, zobaczywszy go, wstał, podeszli ku sobie i w milczeniu, położywszy ręce na ramionach, uścisnęli się.

— Jestem — rzekł przybyły — na zawołanie wasze...

— Opowiedział wam brat Eliasza przygody moje? — spytał Salomon.

— Wiem o nich — począł regent. — Niczym by to wszystko było w stolicy, groźnym stać się może na prowincji. Tam panuje obyczaj więcej niż prawo, namiętność raczej niż rozum, a tradycje twarde są do wykorzenia i słowo czasem więcej znaczy niż rzecz sama. Dodajcie do tego chciwość ludzi na cudze mienie, alboż to mała pobudka do czynienia złego?

A po chwili rzekł regent smutnie:

— Czym nasze starania przy ich intrygach? Złotem, uśmiechem, obietnicami kupią sędziów i protektorów.

— Cóż czynić? — zapytał Dobek.

— Powiedziałbym: cierpieć i milczeć, gdyby się mnie tykało — odezwał się regent. — Tycze się to was, bracie, powiem: będziemy czynili, co w ludzkiej mocy.

— Mamy tu kogo z braci oprócz was? — zapytał Dobek.

— Nikogo tu — cicho odpowiedział, głową potrząsając, regent.

— Tam dalej, ku Gdańskowi znajdują się, rozsypani a pokryci. Prawda ma zwolenników mało, a nauka Pana i Zbawcy poszła na faryzejskie ręce. Uczynili z niej dogodne narzędzie, giętkie, aby go użyć mogli, jako chcą, ku ziemskim celom. Pogańskim znowu stał się świat i zdziczał w pieszczotach. Apostołów nowych mu trzeba, a tych nie ma, nowego zesłania Ducha, a ten nie przychodzi. I zmarniał posiew święty, wydeptany przez trzody...

— Aliści i między pogany byli wybrani! — rzekł Dobek. — I tu nie wszyscy nieprawi są!

— A nieprawi ich psują i jak bywał dawniej srom występku, tak dziś jest srom cnoty, której się ludzie wstydzą. Cnotliwy wyszydzonym bywa i nikt nim być nie chce. Babilon... — dodał regent — próżno tu szukać sprawiedliwych.

Zamilkli obaj.

— Zabrano mi wszystko — rzekł Dobek pomilczawszy — ale do zboru i archiwów nie dostali się. Co było groźniejszego, popaliłem. Któż wie! Jutro wtargnąć mogą.

— A gdyby wtargnęli, wierzajcie mi — mówił regent — szukali by złota, nie kacerstwa! Cóż dla nich dziś wiara sama i co kacerstwo? Wszystko im jedno, co kto wyznaje, bo prawda stała się obojętną, a wiedza rzeczy nieśmiertelnych niepotrzebną. Bogactwa wasze skusiły ich i te zgubić nas mogą. Gdyby kacerstwa nie było, znaleźliby zbrodnię, gdyby jej stworzyć nie mogli, zmyśliliby potwarz jaką najdziksza.

— Więc nie ma ratunku? — spytał Dobek.

— Nie mówię, żeby próbować nie było można, i nie ręczę, byśmy uczynić co potrafili — kończył regent. — Czasy są, w których dano złemu zwyciężyć aż do kresu jego, aby się wylało na twarz ludzkości i zeszcpecilo ją poczwarnie; dopiero przyjdzie opamiętanie. Chrystus cierpi z nami, czemuż byśmy z nim cierpieć nie chcieli?

I westchnęli znowu obaj.

— Otrząsnąć chyba pył z nóg i uchodzić — począł Dobek — lecz się narodziło, żyło, zestarzało, przyrosło i chciałoby prochy złożyć obok rodzicielskich.

— I groby zbeszczeszczone być muszą! — dodał jakoby w myśleniu regent. — Ale nie bierzcie mych wyrazów do serca. Któż wie? Może bronią odeprzeć potrafimy ich własną? Macie czym kupić ich sumienia? Zapłacić łaski?

— Udało mi się — szepnął Dobek — zaopatrzyć w chwili ostatniej. Żeby odzyskać Borowce, moje gniazdo, ofiar nie poskapię.

— Tak, to dobrze — rzekł regent — teraz tylko najgorszego wyszukać trzeba, żeby do uczynienia sprawiedliwości dopomagał, bo dobrzy tu nic nie mogą, znaleźć...

— Zważcie — zbliżając się do ucha bratu, szepnął Salomon — zem ja tu nie sam; ta, którą nazywać muszę żoną moją, przybyła, aby mnie odebrać mienie. I ona starać się a zabiegać będzie.

— A jej to stokroć przyjdzie łatwiej, bo kobietą jest — mówił regent — a tu kobiety panują i rządzą, i one są wszystkim, a my niczym. Starzy czy młodzi gną się przed wszechmogocym uśmiechem, którego odrobina upaja, a nadmiar obmierza.

Pan Salomon wspomniał Laurę i zarumieniło mu się oblicze strachem o nią, aby w obronie ojca nie poszła w kał ten i błoto. Załamał rękę.

— Córkę wstrzymajcie — dodał, zgadując myśl ojca, regent. — Widziałem ją. Kwiat to wiejski, który wyziewem miasta zwiędnieje na łodydze. Jeśli co uczynić się ma, zrobi się bez niej.

— A któż ją powstrzyma! Pocziwe, nieopatrzne dziecko! — ze łzami w oczach odezwał się pan Salomon.

— Jutro — po namyśle zaczął stary archiwista — pójdę szukać przedajnej dłoni. Nie sam, bo na mnie oczy obrócone, poszlę... Jest ich wyciągniętych dosyć. Nie czyńcie nic, cierpliwi bądźcie. Ufajcie. Są środki, których użyjemy z dala sięgając, a na to czasu potrzeba. Ja użyję wszelkich.

Dobek zwrócił się ku stojącej na stole szkatule i otworzył ją.

— Zabierzcie ocalone akta — rzekł — tu one dziś bezpieczniejsze będą. Spaliłem, czego unieść nie mogłem, a co szkodzić nam by i stać się groźnym mogło. U was nikt tego szukać nie będzie.

Regent z poszanowaniem zbliżył się do zbutwiałych plików, które po jednym dobywał Salomon. Patrzył na nadpisy i twarz mu się mieniła. Przeszłość ze swymi walkami przesuwiała się przed jego oczyma: były to świadectwa gorącego, potem stygnącego, wreszcie wygasającego ducha. Obrona prawdy, potem już obrona ludzi, obrona mienia i życia tylko... potem apostazje i trwoga... i po wrzawie a odgłosie wielkim, nadchodząca jak po burzy cisza śmierci grobowa.

Obaj z Dobkiem popłakali się, uścisnęli bratersko i w milczeniu rozstali.

II

Jakim prawem pani Sabina z Purstłów, *primo voto* Noskowa, *secundo* Dobkowa Borowiecka, nazwała się w Warszawie starościna w braku innego tytułu, trudno rozwiązać. Były to czasy takie, w których bez tego ogona przy nazwisku chodzić wstydzili się i najmniejsi, a kto własnego nie miał, przywdziewał ojcowski, dziadowski, przerabiał, stwarzał idealny, byle gorzej się od drugich nie wydawać.

Postarzały pan sędzic prawem natury sędzią się stawał, choćby nim nie był; tak samo starościc, chociażby nie odziedziczył starostwa, co najczęściej się zdarzało, starostą musiał być, zestarzawszy.

Snadź rotmistrz Poręba, który już w drodze stękał nad tym, że pani Dobkowa nie może się pokazać w Warszawie bez ornamentu przy nazwisku, doszedł tego, iż w bardzo dawnych czasach Borowce starostwem zwano. Ktoś mu o tym mówił, a że ona teraz nimi administrowała, jak nie miała zostać starościna? On pierwszy odważnie zamianował ją, co ludzie, usłyszawszy, poszli za jego przykładem, i na Krakowskim Przedmieściu już zwano ją tylko jaśnie wielmożną starościna.

Pierwszym staraniem pięknej pani, w podróży jeszcze, było obmyślić sobie drogi i tryb postępowania. Cały regestr dawnych dobrych znajomych miała w pamięci, wybrać z nich

postanowiwszy tych, których fortuna na wyższych postawiła szczeblach. Na pierwszym miejscu stał książę Andrzej, u którego w dobrym towarzystwie trzech jego przyjaciółek, sióstr rodzonych, spędziła niegdyś Sabina kilka miłych wieczorów. Później zazdrość tych pań potrafiła ją ze sceny usunąć, nie wątpiła jednak, iż książę Andrzej musiał jej czarne oczy pamiętać.

Drugim, dziś potężnym i wpływowym, naówczas mało znaczącym, kapitanem tylko, był generał Sapora, na którego sypały się łaski, który u dworu nie tak świetnie, jak silne zajmował stanowisko, miał już czerwoną wstęgę i czekał niebieskiej. Tę pozycję wyrobiły mu nie talenta wojskowe, bo tych nie miał, ale rola faktora, odegrywana bardzo zręcznie, pośrednictwa sekretne i poselstwa tajemne do płci obojej, sprawiane bardzo szczęśliwie.

Mistrz w intrydze, generał, który wszystko zdobyć sobie musiał, bo nic nie miał, krzątał się i dla drugich, i dla siebie pracowicie bardzo, nie zapominając o tym, by nawet i dla innych coś robiąc, sobie zawsze przysporzyć. Słodszego po wierzchu a niebezpieczniejszego w środku człowieka świat pono nie miał nad niego. Kochali go wszyscy, rozpadali się nad nim, ale broń Boże, by kto nie umiłował, a przeszkadzać zamyślał, choćby się z tym krył najmocniej, szedł na dno. Sapora ubolewał potem nad zgubą tak dostojnego męża, a nikt nie wątpił, że on mu nogę podstawił.

Na oko też nie było większego próżniaka; bawił się zawsze i ciągle, zabawę swą zużytkowując i korzystając z niej jak pszczołka. Wszystkie interesa w formie zabaw się odbywały: najzawikłańsze przy kieliszku, lżejsze na balikach, mniej znaczące ze śniadaniem. Sapora nigdy się siłą nie chwalił, prymu nie brał, wysoko nie siadał. Skromny był, a rzeczywista siła starczyła mu za jej okazy.

Kapitanem jeszcze będąc, Sapora się kochał w Sabinie na zabój, lecz zenić się oczywiście nie mógł, bo ożenienie dla niego było instrumentem do krescycywy, więc z tym poczekać musiał, póki by na wyższe nie zaszedł szczeble. Sabina miała doń słabość; okrutne losy ich rozdzieliły. On wówczas był już dobrze dojrzały, ona w pączku, teraz on zaczynał szpakowacieć, ona rozkwitała. Spotkanie musiało być czułe.

Na tych dwu największe pani starościna nowokreowana pokładała nadzieje. Jeden przez rodzinę (choć ta go nie lubiła i wyśmiewała się z niego trochę) był potężnym, drugi sam przez się, mając przystęp do najwyższych progów. Pokazać się przed nimi tak, aby ich oczarować, to było zadanie. Do księcia Andrzeja musiała jechać jako dawna znajoma, z prośbą o protekcję, generała Sapora mogła zaprosić biletem, bo ten nie lubił i nie wymagał ceremonii.

Pierwsze dni wszakże zajęło urządzenie domu. Srebra Dobkowskie bardzo poważnie przyozdabiały kredensa, innych rzeczy starać się i kupować je przyszło. Rotmistrz latał, pił,

szachrował i służył niegodziwie, ale zamaszyste, w dodatku łajac, gdy sam był godzien wystroflowania. Służba też, zbierana drużyna, co miała wyglądać pańsko, podobna była do liberii przy jarmarcznej budzie. Sabina nigdy zbyt wytwornego smaku nie miała, starczyły jej szychy, galony i co się świeciło a błyszczało.

Zadowolila się więc tym, co pochwycić mogła, i obawiając się, aby generał Satora nie wyruszył na kresy, gdzie miał nominalną komendę, napisała doń słodki bilecik, zapraszając na rozmowę w cztery oczy, obiad, wieczerzę, kawę, śniadanie, co dlań będzie dogodniej. Pory te były najważniejsze dla generała, który interesa robił przy kieliszkach i widelcach. Lecz czegoż nie uczyni człowiek czuły dla pięknych oczu niewiasty? Satora odpisał, iż nazajutrz na wieczerzę chętnie się stawi. Posłano rotmistrza, aby zamówił ostrygi, które naówczas były w wielkiej modzie, dostała starościna bażanta, kupiono burgundzkie wina, porto i szampana, bo Satora, który w szkołach żył razowym chlebem i resztkami kwaśnych ogórków, a w łatanych butach chodził, jeśli nie w dziurawych, teraz się stał najwybredniejszym smakoszem i nic dlań nie było za dobre.

Na wieczór wezwany fryzjer, sprowadzona modniarka pracowali od południa, z pani Dobkowej czyniąc elegantkę najcudniejszą, jak sobie wyobrazić można. Po owej chorobie i wyżółknięciu wkrótce jakoś odeszła, trochę nawet utyla; płeć delikatna, kształty utoczone, pełność form, żywość spojrzenia, śmiałość ruchów, czyniły ją ponętą, zwłaszcza dla ludzi, co jak generał, w kobiecie cenili to, co w niej najmniej warto. Wystrojona, wyglądała jak malina, którą czas połknąć, bo... spadnie. Fryzjer powiedział jej, że jest zachwycającą, modniarka znalazła w niej do trzech wojewodzin i do jednej kasztelanowej podobieństwo. Martwiło ją to tylko, że gdy się w niej Satora kochał, miała talię, którą we dwie dłonie objąć było łatwo, a dziś, śliczna jeszcze już by i we cztery ująć się nie dała. Czarna suknia miała te rozmiary mniej wydatnymi uczynić. Rotmistrzowi zakazano siadać do stołu. Różię tylko ubrano, aby nie być zrazu całkiem sam na sam, ale później wyjść miała, by rozmowie nie przeszkadzać.

Wieczorzano naówczas często dosyć późno, a generał snadź tę kolacyjkę zostawił sobie na zakąskę, bo gdy już starościna się zaczynała gniewać i nazywać go (po cichu) dosyć nieprzyzwoitymi wyrazami, dopiero w przedpokoju usłyszała hałas i wpadł szumnie eskapitan, który był zwinnym chłopakiem, w postaci ogromnego draba, z dosyć wyrostłym brzuchem, na twarzy jeszcze przystojny, całując rączki z zapalem takim, jakby je chciał przed kolacją dla nabrania apetytu pozjadać.

Spojrzeli na siebie.

— Dalibóg, bogini! Królowa! Venus! Zawsze młoda i piękna! A ja, patrz, aniele mój, co ze mnie służba, praca i kłopoty uczyniły! (o ekscesach zapomniał).

— Ale generał doskonale wyglądasz!

— W łaskawych oczach pani starościny dobrodziejki. Ale mówże mi pani (obejrzał się), Sabciu kochana, wszak mogę cię tak nazywać?

Rózia była wyszła, starościna, podając mu rękę do pocałowania, nie oburzyła się na wspomnienie Sabci.

— Mówże, co porabiasz! Jak się wiedzie? Widzę cię w splendorach!

— Najnieszczęśliwszą w świecie kobietą.

— Jak to?

— Nie słyszałeś?

— Nic nie wiem. Tragedie?

— Prawdziwe tragedie — poczęła Dobkowa. — Poszłam najprzód, bo musiałam, za hreczkosieja, spekulanta, i to jeszcze trochę zazdrosnego a ordynaryjnego człowieka, Panie świeć nad jego duszą... za Noskę...

— To chyba był znosek — rzekł generał — gdy takiej kobiety cenić nie umiał!

— Ten umarł.

— Ano, chwała Bogu!

— Zostałam wdową, sierotą, bez opieki, opuszczoną wśród kraju bezludnego. Rodzina tego Noski, ostatnie łajdaki, chcieli mi wydrzeć wszystko. Zdesperowana, udałam się o opiekę do starego wdowca w sąsiedztwie, pana Dobka, prosząc, by mnie ratował. Grzyb ten... wystaw sobie, generale, uroił zaraz w głowie, abym za niego poszła. Broniałem się, opierałam, ale sieroctwo moje, położenie i obawa zmusiły! Co łez wylałam! Wystaw sobie, w domu córka z pierwszego małżeństwa, dorosła panna, samowolna, zła, diabeł, stary gdera, skąpiec, tyran.

— A to coś okropnego, w istocie! — rzekł generał.

— Ja bezbronna, otoczona nieprzyjaciółmi, sama, nieszczęśliwa, najnieszczęśliwsza... Tymczasem, co się dzieje? Odkrywają, że ci Dobkowie są skryci arianie, najokropniejsza, bezbożna, zakazana sekta, że pełno na nich ciąży zabójstw i zbrodni! Małom nie umarła z aprehensji i strachu.

Generał spojrział, snadź dla przekonania się, że wcale do mającej umierać nie była podobna.

— Dopieroż zjechały komisje, uwięziono, zaczęto szukać, znaleziono okropności... Ale sekciarze ci pełno mają zauszników i przyjaciół, uciekł ten niebezpieczny człowiek z więzienia. Oddano mi tymczasem ten nieszczęśliwy majątek do administrowania.

— A córka? — spytał generał.

— Ta dawno z domu uciekła.

— I cóż się z nimi stało?

— Jak w wodę wpadli! Prawdopodobnie więcej się nie pokażą, musieli zbiec za granicę... Oto, com przeszła.

— No, ale majątek ci został, śliczna pani — odezwał się Sapore.

— To prawda, lecz cóż to jest administracja? — dodała Dobkowa. — Ja się chcę starać, aby go dostać kadukiem.

Generał już, jakby zrozumiał, dlaczego na wieczerzę był proszony i takim wygorsowaniem przyjmowany, zamilkł.

— To trudna rzecz — odezwał się, patrząc na swe pończochy.

Starościna uśmiechnęła się. W tej chwili dano znać o wieczerzy i generał, podawszy jej rękę, poprowadził do świetnie zastawionego stołu. Na widok ostryg, i to jeszcze w takiej obfitości, uśmiechnęły mu się lica.

— Królowo moja, długo tu bawisz? — zapytał.

— Sama nie wiem, a ty, panie generale?

— A ja krótko! — westchnął Sapore. — Niestety! Ten czas jeszcze mi się krótszym wyda przy ślicznej Sabinie, z którą by wieczność stała się minutą!

Spojrzeli na siebie z uśmiechem.

— Ostrygi doskonale! Słowo daję, nie jadłem u hetmana B... lepszych! Jak świeże! A ty, królowo?

— Ja nie jadam ich!

— Szkoda! Takiej delikatności przysmak!

Rotmistrz wino nalewał, generał go postrzegł i zaczął mu się przypatrywać natrętnie. Rotmistrz mu się skłonił.

— Dalipan, coś znajomego? Co waćpan tu robisz? — zapytał.

— Zostałem podczaszym u starościnej.

— A wojsko?

— Porzuciłem dawno.

— Jesteśmy w kuzynostwie, cioteczni — uczuła potrzebę dodać starościna.

Generał, popatrzawszy się na kameryzowany nos kuzyna, skłonił tylko głowę i nic nie odpowiedział.

Po kilku kieliszkach rozmowa, wspomnieniami karmiona, ożywiać się zaczęła; generał opowiadał o sobie, swym znaczeniu i stosunkach.

— Przyznam się generałowi — przerwała jejmość — iż na te wpływy jego rachować się ośmieliłam. Nieszczęśliwa wdowa i sierota mam prawo do twego współczucia.

— Hm! — rzekł generał, podnosząc kielich do góry. — Ja pani mojej powiem z całą otwartością. Wpływy, stosunki, drogi mam... ale... trzeba znać czasy i obyczaje, wszystko to dobre, a nic dlatego nie robi się bez pieniędzy.

— A mój generale, to ja wiem — zawołała Dobkowa — ale my i z pieniędzmi sami nic nie zrobimy...

— Z pieniędzmi i ze mną — mówił generał — zrobicie, co chcecie. Prosić o protekcję darmo! Kochana starościnko, życie tyle kosztuje! Każdy ma ogromne potrzeby! Wszyscy żyją zbyt kownie, skądże by na to wzięli? Muszą się żywić u tych, którym służą, ręka rękę myje...

— Mój generale, to się rozumie! — uśmiechając się zakończyła Dobkowa. — O tym pomówimy...

— Główna rzecz — z cicha dołożył Sapora — co się z tym wykradzonym mężem jejmości dzieje. Jeżeli drapnął za granicę, obawiając się kaźni, najłatwiejsza będzie sprawa.

— Co się z nim stało, ja nie wiem dokładnie — odparła równie cichym głosem Dobkowa. — Domyślam się tylko, że do rodziny, którą na Litwie ma, umknąć musiał.

— A ta familia czy ma tu stosunki? — badał Sapora dalej.

— I o tym dokładnie nie wiem.

— On sam czy jakie w Warszawie miał?

— Wątpię bardzo — namyślając się, dodała Dobkowa.

— Ja tu jedną tylko rzecz widzę jasno — przerwał Sapora — że asińdzka pono po kobiecemu grasz w ciciubabkę, bo mało co wiesz, a wielkich rzeczy chcesz dokazywać, do których też wiele wiedzieć potrzeba. Od elementarza musimy zaczynać, żeby własne położenie dobrze poznać: z kim się ma do czynienia, jakie ich siły, któredy chodzą i iść mogą.

— To prawda — westchnęła Dobkowa.

— Przy największej i najdzielniejszej protekcji, wiele dokazać nie można, nie znając położenia, bo są rzeczy, których prawo strzeże, a prawo — trzeba wiedzieć, przez jakie rękawice brać, żeby nie paliło.

Rozśmiał się Sapora, spoglądając tryumfująco na gospodynię.

— Najprzód — rzekł — rozbieraj pani fakta, potem przystąpimy do interesu.

— Ale ty mi dopomożesz, generale, i pokierujesz wszystkim, światłej twej rady mi nie skąpiąc — dokończyła Dobkowa z nader obiecującym uśmiechem, trącając o jego kieliszek — a na to rachuję.

— Mojej pracy i zabiegów nie poskąpię — odparł generał — ale ze kieszeń mam łatwo się wypróżniającą, kosztów na siebie nie biorę.

— Ja je poniosę chętnie, dam, co każesz! — zawołała piękna pani.

Po tej rozmowie, dla rozechocenia Sapory, zaczęła mówić gosposia o dawnych lepszych czasach i śmiechy rozległy się po pokoju. Sprzątnąwszy ostrygi, o które gdzie indziej walkę był zmuszony prowadzić generał, napiwszy się dobrego wina, wpadł w usposobienie wesołe, które gospodyni starała się jeszcze rozwinać, co się jej szczęśliwie udało. Sapora jednak nieznacznie (człowiek był praktyczny) rozpytał o dóbr rozległość, o ich położenie, o szacunek i o inne sprawy szczegóły, aby sobie mógł obliczyć, co mu ten zachód cały przyniesie. Po kilkakroć odchodzono i powracano do interesu, tak że gdy się wieczerza skończyła deserowym winem, starym tokajem, Sapora poprzysięgał, iż nigdzie od dawna miłszej nie spędził godziny, i przyrzekł uroczyście przychodzić bardzo często.

— Z mojej strony — rzekł przy pożegnaniu — zasięgnę i ja wiadomości o tych waszych Dobkach. Nigdy o nich nie słyszał, sądzę więc, że wielkich stosunków na przeszkodzie nie znajdziemy.

Po tym pierwszym szczęśliwie uczynionym kroku Dobkowa, kazawszy karetę u Dangla nając jak najparadniejszą, bo jej powozy podróżne nie zdały się wystarczające, wyruszyła strojna jak wczora do księcia Andrzeja. Przystęp do tych hesperyjskich ogrodów nie był łatwy, księcia znano z bałamuctwa i lekkomyślności, oblegali go więc awanturnicy, a służba obraniać musiała. Odprawiano przybywających najczęściej, jeśli nieznajomi byli, chybaby imię lub szczególne mówiły za nimi względy. Służba, która danglowskie powozy znała dobrze, a liberię i jejmość za podejrzaną uważała, mimo tytułu starościnej, drzwi zamknęła przed nią, księcia nie było w domu. Po uśmiechach poznała jejmość, iż ją odprawiono samowolnie. Znając potęgę złota, rozpoczęła parlamentowanie ze sługą i... i otrzymała nadzieję audiencji. Ludzie chodzili, naradzali się i wpuścili ją wreszcie. W sali audiencjonalnej, przyozdobionej mitologią Bacciarellego, pełnej bogiń w szatach natury, przypatrując się wdziękom swych rywalek, pani Dobkowa spędziła nudne pół godziny.

Drzwi wreszcie otworzyły się i wszedł jaśnie oświecony, zapinając koronkowe mankiety. Stary miał i wzrok niedobry, i pamięć obciążoną tylu pięknościami w życiu widzianymi, iż dawnej znajomej wcale nie poznał. Utrudniała to zmiana, jaką lata w niej sprawiły.

Widząc piękną kobiecinę mocno wystrojoną, stary bałamut postąpił dosyć grzecznie ku niej.

— Mam honor — tu nastąpiło niskie dygnięcie — przypomnieć się Waszej Książęcej Mości jako dawna znajoma.

Książę nie lubił dawnych znajomych i starych długów w ogóle, spojrzął więc niedowierzająco.

— Wasza Książęca Mość byłeś łaskaw nazywać mnie po imieniu Sabinką... i miałam szczęście być tu parę razy na wieczerzy z pannami...ami...

— Doprawdy? — spytał stary obojętnie. — Nic a nic nie pamiętam... proszę!

— Teraz zowię się Sabiną Dobkową, starościna borowiecką.

— Aha! Aha! — rzekł roztargniony książę. — Bardzo mi przyjemnie.

Książę nie lubił ambry, a od starościny mocno ją czuć było, odsunął się nieco.

— Myślałam, że książę raczysz sobie przypomnieć.

— Słowo honoru — rzekł stary — nie mogę... tyle to... okoliczności przeszło... Jak to dawno, proszą starościny?

— Dziesiątek lat!

— Kawał czasu! — dodał książę. — I jak mnie pani teraz znajdujesz?

— Wcale nie zmienionym.

— Trzymam się.

Stali tak wśród sali, książę nawet siedzieć nie prosił.

— Czymże służyć mogę? — spytał po chwili.

— Mam tu interesa z powodu męża.

— A cóż się z mężem stało?

— Uszedł z więzienia.

— Zabił kogo?

— Nie, ale był arianinem.

— A pfe! Pfe! — zawołał książę. — Jakże można być takim kacerzem? Czy i pani jesteś arianka?

— Niech mnie Bóg zachowa!

— *Tandem*, cóż tedy?

— Chciałabym na dobra wyrobić sobie kaduka.

— A więc miał dobra? — rzekł książę. — A duże?

— Nie tak bardzo.

— To trudna rzecz — dodał gospodarz — a ja na interesach się nie rozumiem. Ale ja pani poradzę. Jedź jejmość do księdza biskupa Mło..., on ładne starościny bardzo lubi, ja nie.

Zgorszona tą mową pani Dobkowa zarumieniła się.

— Ale, mości książe! — zawołała. — Ja nie znam księdza biskupa.

— To nic nie szkodzi — odparł, ziewając, książe Andrzej — ja się w żadne interesa nie wdaję, a żeś asindźka, będąc panną, była u mnie na wieczerzy, ja nie mogę za to przyjąć obowiązków plenipotenty...

— Książe wcale na mnie łaskaw nie jesteś?

— Owszem, nie chcę asindźki zwodzić, bo choćbym przyrzekł, tobym nic nie zrobił. Ale jakże nazwisko? Dorobek? Parobek?

— Dobek... starościna borowiecka!

— A tak! A nie znasz pani tej pięknej panny Laury Dobek, co grała na teatrze? — dodał książe. — Co dla tej, tobym poszedł w ogień i w wodę.

— To moja pasierbica! — opryskliwie zawołała starościna. — Niegodziwa dziewczyna.

— Ale bardzo ładna i młoda! — rzekł książe chłodno. — Czy pani ją odzyskałaś?

— Nie wiem, gdzie się znajduje...

— Była tu, w Warszawie, wszyscyśmy ją admirowali w *Polyeukcie* — mówił książe, zapinając mankietki. — Warszawie całej głowę zawróciła i mnie.

Dobkowa ukaśliła się w wargi.

— I to zapewne powód, że książe mi nie chcesz dopomóc?

— Przeciwno niej?

— Przeciw jej ojcu.

— A, zapewne, że nie chcę — mówił książe — na co mi się zdało? Po co mam palce kłaść między drzwi. Nie! Nie!

— Tegom się nie spodziewała. Miałam niegdyś szczęście księciu się podobać — dodała Sabina.

— Ale dziesięć lat! Dziesięć lat! Dobrodziejko moja! Na mężczyźnie niewielką to czyni różnicę, lecz na kobietach...

— Książe mnie znajdujesz tak zmienioną? — spytała urażona Dobkowa.

— A jakżebym mógł o tym sądzić, kiedy nie pamiętam ani owych wieczorów, ani jej wyglądu naówczas? — odparł flegmatycznie książe. — Oczy mam złe a pamięć najgorszą.

— Pozostaje mi więc tylko pożegnać...

— A wiesz asindzka, co się z jedną z tych trzech jej i moich przyjaciółek stało? — dołożył śmiejąc się. — Poszła z jakimś szarlatanem, co proroka udawał! A takie miała śliczne oczy czarne!

Dobkowa już i słuchać nie chciała.

— Nie gniewaj się, moja starościno! — począł ksiązę, widząc obrażoną jejmość. — Ja w interesu wdawać się nie mogę... pieniędzy nie mam i nie lubię kłopotów... a jeszcze z arianami do czynienia mieć! Wszyscy teraz dysydenci mają wysoką protekcję, której się ja narażać nie myślę.

Starościna już u drzwi była, ksiązę, ziewając, ją żegnał i mruczał do siebie:

— Gdyby przyszło wszystkie dawne przyjaciółki protegować, dopiero bym miał robotę. A ręczę, że mi się przypytuje daremnie, bo nic sobie podobnego nie przypominam. Muszę zobaczyć na rejestrze.

Rejestr ten znajomości księcia, utrzymywany przez niego i na klucz zamknięty, istniał w istocie od lat kilkunastu i był jedyną pozostałością, którą potem rodzina po nim odziedziczyła.

Zawiedziona z tej strony w nadziejach swych, piękna pani wróciła z daremnej wycieczki do domu dosyć posępna.

O ile Satora i ksiązę byli jej pożądani w Warszawie, o tyle rada była uniknąć zetknięcia się z rodzoną siostrą, która przeszedłszy różne koleje, skończyła, jak matka, na sklepiku modniarki przy Senatorskiej ulicy.

Do tej siostry i niełatwo się przyznawała pani Dobkowa, i całe jej nie lubiła, utrzymywała, że się nie umiała prowadzić. W istocie, w szesnastym czy siedemnastym roku wyszła była bez zezwolenia matki za męża, wyjechała z mężem na wieś, gdzie on był oficjalistą, potem, owdowiawszy, z synkiem małym pracowała w małym miasteczku, trzymając jakiś handelek, na ostatek wróciła do rodzinnej Senatorskiej ulicy i do sklepiku macierzyńskiego, w którym dla mieszczanek i mniej zamożnych elegantek czepki szyła i stroiki. W domu jeszcze ze starszą o parę lat Cecylią ciągle się sprzeczały, a od jej wyjścia za męża nie widziały się wcale. Cecylia była równie piękna jak Sabina, ale charakteru różnego, spokojna i pracowita, przywiązana do męża, teraz oddana całemu dziecięciu, przy bardzo szczupłych środkach żyła ani narzekając, ani pragnąc wiele, byle chłopca na człowieka wyprowadziła. Dziwnym wypadkiem Cecylia dowiedziała się o Sabinie. Generał, który je znał obie niegdyś, a sklepik modniarki bardzo dobrze pamiętał, drugiego dnia przechodząc, zdumiony, w oknie ją zobaczył. Poznawszy zaszedł do sklepiku. Cecylia nie przypominała go sobie nawet, musiał się aż po nazwisku jej przedstawić. Przywitała go dosyć obojętnie.

Była to nie stara jeszcze, ale poważna i smutna kobieta, wcale nie dbająca o resztki swych wdzięków.

— Widzisz pani, jak to ja starych dobrych znajomych nie zapominam — odezwał się generał. — Gdybym jej mógł być czym użytecznym...

— Bardzo dziękuję za dobre chęci — odezwała się wdowa. — Chybabyś mi pan rekomendacją i robotą chciał dopomóc, ale, dzięki Bogu, mam jej i tak dosyć.

— Ano myślę, że i siostra powinna by pani dać swą klientelę.

— Jaka siostra? — spytała zdumiona Cecylia.

— Przecież Sabina...

— O sto mil! — rozśmiała się Cecylia.

— Gdzie zaś; O sto kroków! Wszak ona tu przyjechała. Owdowiała, poszła drugi raz za mąż, bogata pani!

Cecylia, zdziwiona, wielkimi oczyma patrzyła na generała.

— Jaką mi dała kolacyjkę wczora! Niech ją Bóg kocha — mówił Sapora. — Z gustem kobieta i caca! Jaka jeszcze ładna, jak się umie ubrać, co za państwo! Liberie, apartament, ekwipaż...

Wszystkiego tego słuchała modniarka, coraz większe okazując zdumienie.

— Poszcęściło się jej! — dokończył Sapora.

— A cóż ona tu robi? — spytała siostra.

— Ma interes, do którego ja jej pomogę. Odziedziczy piękne dobra...

Po kilku słowach jeszcze generał wyszedł, wygadawszy się nawet z mieszkaniem pani Dobkowej.

Cecylia zrazu ani myślała nawet widzieć się z siostrą, potem dumiała długo nad jej losem, nad sobą, paliła ją ciekawość, zrywała się kilka razy, wstrzymywała, powiedziała sobie, że nie zaszkodzi zajrzeć tam kiedy o rannej godzinie... i odłożyła na później. Nie wytrzymała jednak i rano ubrawszy się skromnie, ale przystojnie, poszła pieszo na Krakowskie. Jejmość już była wstała, gdy jej oznajmiono Cecylię Żmudzką z Senatorskiej ulicy. Zaczerwieniła się mocno, zmieszana, chciała nie przyjąć zrazu, potem pomiarkowawszy prosić kazała, a Rózię odprawiła.

Spotkały się oczyma w progu nawet. Starościna stała dumna i nachmurzona.

— Przyszłam cię zobaczyć i choć przywitać — odezwała się Cecylia poufale, lecz nie naciskając się zbyt — czy też mnie poznasz?

— Pewnie, że poznać trudno, tyle lat nie widziałyśmy się... — z daleka skłoniwszy głowę, rzekła Dobkowa — nie bardzośmy też z sobą dobrze były... A cóż asani chcesz?

— Jak to? Przyszłam asanią przywitać i zobaczyć! — śmiejąc się rzekła modniarka. — Nie potrzebuję nic.

— Moja Cecylia — przerwała Sabina czerwieniejąc — trudno nam z sobą żyć za pan brat, kiedy mnie los trochę inaczej postawił. Ja dla rodziny, do której należę, lada z kim nie mogę się wdawać.

— A, a! — śmiejąc się smutnie, zawołała Żmudzka. — Toś głowę do góry zadarła. Ja też naprzykrzać się nie będę...

— Nie masz się asani czego gniewać.

— Ani myślę, tylko mi śmieszno! — ruszając ramionami, mówiła Cecylia. — Cóż by ci to korona z głowy spadła, gdybyś po ludzku siostrę przyjęła!

— Poufalić się i nie chcę, i nie mogę, daj mi pokój — odparła Dobkowa. — Siostry czy nie siostry, jak nie równych stanów, żyć z sobą nie powinny. A i to nasze siostrzeństwo — dodała — to tylko po matce, bo gdyby był kasztelan żył, byłby mnie przyznał.

— Milczże! Milcz! — odezwała się, kraśniejąc, Cecylia. — Pamięci matki nie uwłaczaj! Bądź zdrowa, ja ci więcej pewnie narzucać się nie będę, Bóg z tobą. Gdyby nie generał, byłabym o tobie nawet nie wiedziała.

To mówiąc, zatrzasnęła drzwi i wyszła. Dobkowa stała jakiś czas rozgniewana, wybiegła potem zakazać sługom, aby więcej tej kobiety nie wpuszczali, i wróciła w bardzo popsutym humorze. Najwięcej ją to obeszło, że Sapora zawsze jeszcze pamiętał dobrze o jej pochodzeniu, kiedy się o niej mówić w sklepiku ośmielił. Na cały dzień popsuło jej to humor, już przyjęciem u księcia zgorzkniała.

Nie wiedząc, co z sobą robić, miała już pojechać na hecę, gdy odebrała bilet od generała, oznajmujący jej, że wieczorem z pilnymi wiadomościami przybędzie. Miała mu wyrzucić nietrafne jego znalezienie się z Cecylią, lecz postanowiła milczeć. Ubiór zabrał cały czas do wieczora. Wcześniej niż zwykle nadjechał Sapora, wprost z obiadu bardzo hucznego u księcia kanclerza, pod dobrą datą, miły, galant, natarczywy, słowem, w usposobieniu takim, z jakiego wszystko, co chce, zrobić może osoba zręczna i wytrawna. Jednym rzutem oka poznała to pani Dobkowa, nastroiła humor swój do jego wesołości i żeby jej nie stracił, kazała przynieść wina.

Nigdy się ono łatwiej nie pije, jak gdy się go ma już aż nadto, generał przyjął kieliszek i całował białe rączki.

— Przynoszę mojej królowej małą wiadomostkę — rzekł — ale nie bez znaczenia. O sprawie jejmości z tym Dobkiem przyszły tu już wiadomości i zapytania. Rozbijają się zdania, ale rzecz całą wstrzymałem, po cichu ją ubijać trzeba. Jeśli Dobek uciecze albo... (tu

generał rękami pokazał coś, jakby chciał oznaczyć, że go nie stanie), jejmość dobra dostaniesz. Ja w tym. Gdyby żył i bronił się, a narobił hałasu, trudno będzie, bardzo trudno! O to tedy idzie, aby starego przepłoszyć i zmusić do ucieczki... albo...

Generał, który nie był wielki skrupulat, zanucił jakąś piosnkę ówczesną pożegnalną, którą na tamten świat wyprawiano.

Dobkowa patrzyła na podbitego zdumiona trochę, lecz wcale nie oburzona.

— Jakże ja tego dokazać mam — rzekła — kiedy nie wiem, gdzie jest?

— A, to go każcie szukać! Na miłego Boga! — rzekł Satora. — Może też wam łaskę tę uczynił, że drapnął...

— Niewielka by to była łaska, zabierze pieniądze, które gdzieś schowane miał — odezwała się Dobkowa cicho — bo tam tego, słyszę, było gotówką na kilka milionów.

Generał się porwał.

— Przesadzacie po babsku! — zawołał.

— Jak mi Bóg miły, nie. Rotmistrz kufry podnosił, wie, ile ich było.

— To wcale się tu coś nowego święci — począł zadumany Satora — gra świeczki warta... Pieniądzy takich podchwycić nie mogli, są gdzieś skryte. Nie ma co się namyślać, niegodziwego człeka należy się pozbyć... a jejmości zagarnąć spadek.

— A jak się go pozbyć?

Generał nucić zaczął, wino wypił i po czole się bił, jakby z niego wystukać chciał radę zdrową.

— Dokąd asindzka sądzisz, że mógł uciec? — spytał.

— Do krewnych swych, Dobków w Konopnicy.

— Posłać się zaraz dowiedzieć tam, a człowieka takiego franta, żeby niby sprzyjając Dobkowi, ostrzegł go, aby sobie co najrychlej uciekał. Jeśli go tam nie ma, to wiedzą o nim i znać mu dadzą.

— Kogóż posłać?

— A maszże asindzka tego z czerwonym nosem... kuzyna?

— Ten się na nic nie zdał, bo go znają, że mój.

— Niech on innego poszuka! Kogoś wynaleźć potrzeba, a brać się żywo, aby się Dobek nie znalazł i nie bruździł.

Zamyśliła się starościna mocno i poczuła dopiero, jak bardzo jej ludzi brakło. Trzeba było słać chyba Przepiórkę. Generał pełny gorliwości zachęcał, zagrzewał, okazywał się niezmiernie wylanym, a w końcu, gdy już nikogo nie było, ujął starościnę za rączkę.

— Interes się zrobi, ale wierz mi, Sabinko, trzeba ludzi ujmować, bez grosza nic... Na pierwsze wydatki rad bym mieć coś, bo swoich mi zawsze brak.

Zmieszała się trochę starościna. Napaść ta za wczesna nie była jej do smaku, lecz raz poszedłszy tą drogą, cofnąć się było niepodobna. Została na łasce starego adoratora.

Spytała skłopotana, ile tam na pierwsze danie było potrzeba.

— No, ile możesz — rzekł generał — ja ci się święcie do grosza wyliczę, możesz być pewna. Zawsze kilkaset dukatów muszę mieć...

Musiała starościna pójść do biurka i wyjąć ruloniki, które generał natychmiast schował i za ledwie je miał w kieszeni, począł zaglądać do zegarka na godzinę. Zimniej się daleko rozstali, niż się zrazu zanosilo, jego osiągnięty cel, ją dane pieniądze bardzo ostudziły. Czułości jednak zostały formy serdeczne, którymi się do progu częstowali.

Tajemnica tego niezręcznego dosyć kroku pana generała cała w tym była, że się nieborak dnia tego zgrał i nie miał grosza, pożyczać nie chciał, a zdało mu się, że w ten sposób najłatwiej kasę swą zapomoże. Obracając ogromnymi często sumami, Sapora był wiekuiście potrzebny, żądny pieniędzy i goły. Znano go z tego, że jednego dnia wypłacał kilkanaście czerwonych złotych, a drugiego pożyczał u przyjaciół po dziesiątku.

W istocie życzył starościnie jak najlepiej, ale w jej interesie żadnego jeszcze kroku uczynić nie mógł, a to, co powiedział, było osobistym jego natchnieniem.

Starościna jednak, chwyciwszy się raz rady i opieki Sapory, słuchać go musiała. Tegoż wieczoru zawołała Przepiórkę, najzdolniejszego z ludzi, jakich miała przy sobie.

— Musisz asan jechać do Konopnicy — odezwała się.

— Gdzież to ta Konopnica? — spytał bladej chłopak. — Ano, prawda... — odpowiedział sam sobie — na końcu języka. Znajdzie się.

— W Konopnicy mieszkają Dobkowie, krewni pana Salomona — mówiła dalej. — Jeśli się on gdzie ukrywa, to chyba tam. Trzeba się dowiedzieć, czy go nie ma, i puścić wieść — z wielkiej o niego troskliwości — że mu grozi niebezpieczeństwo, ażeby co najprędzej uciekał za granicę.

— Hm! Hm! — mruknął Przepiórka. — To po cóż z tym do Konopnicy?

— Jak to po co? Żeby się dowiedzieć, czy go tam nie ma.

— Tam go nie ma — rzekł Przepiórka.

— Jakże ty o tym wiesz?

— Wiem, juścić, przypadkiem.

— I wiesz może, gdzie on jest?

— A tu, w Warszawie! — spokojnie odpowiedział Przepiórka. Dobkowa aż skoczyła ku niemu.

— Tu? W Warszawie? Co pleciesz? Jakim sposobem mógł tu być? Skąd ty się o tym dowiedziałeś? Kiedy?

— Dopiero dziś — począł Przepiórka. — W ulicy zdybałem Eliasza, choć on mnie nie widział. Poszedłem za nim i wywąchałem wszystko. Jest on i córka i już koło sprawy się krzątają.

Załamala ręce pani Dobkowa i poczęła nie chodzić, ale latać po pokoju, chwytając się to za głowę, to za serce.

— Biegaj natychmiast do generała i powiedz mu o tym, a proś niech do mnie przyjedzie, o której porze chce. Muszę się z nim widzieć. Idź natychmiast! Chwili nie ma do stracenia... Biegaj!

Przepiórka, który do biegania był najochotniejszy, ruszył natychmiast klusem do mieszkania generała. Tam go nie zastał, choć już było dosyć późno. Wskazano mu dwa czy trzy domy, w których powinien go być znaleźć. Obiegł je wszystkie, lecz generała nie było w żadnym z nich. W ostatnim ludzie, śmiejąc się, powiedzieli mu:

— O tej godzinie, jeśli go u Zuzi na Krakowskim nie ma, to jest na Złotej Sali, przeciw św. Krzyża.

Mimo okrutnego zmęczenia Przepiórka dostał się jeszcze do owej Zuzi, u której było dwóch wojewodów, dwóch szambelanów i jeden ksiączę, ale generała ani słychu. Pozostawała Złota Sala, w której u pana P... grywano po całych nocach. Nietrudno ją było znaleźć, bo w dzień i późno aż do rana stały tu, marznąc, konie i powozy panów, którzy szczęścia próbując, często wszystko, i te ekwipaże przegrywali, tak że kto inny nimi do domu powracał. Obok w szynczku woźnice i służba rozrywali się także zatłuszczonymi kartami i talary brzęczały. Wstęp do P... był tak łatwy, że Przepiórka, nie pytany nawet (a był ubrany dosyć porządnie), wśliznął się do przybytku.

Ogromny stół zielonym suknem zasłany obsiadło mnóstwo osób, poza którymi stał długi rząd ciekawych na nogach a trzeci na krzesłach. Gwar, brzęk i hałas był ogromny. Ludzie wchodzili i wychodzili, łajali się i ściskali, pożyczali i oddawali sobie pieniądze, wyzywali i godzili niezmiernie podnieceni. Przepiórka nader zręcznie wyszukał oczyma generała, którego widział, i ujrzał go za stołem, przed kupką złota, medytującego nad stawką.

Docisnąć się do niego mógł tylko człowiek tak chłodno umiejący rachować, jak pan Przepiórka. Stanął w trzecim rzędzie, skorzystał z ruchu jego, by się dostać w drugi, potem party i prac nawzajem, pod łokieć generała wepchnięty został i tu kotwicę zarzucił.

— Panie generale!

Odwrócił się Sapora i zobaczywszy nieznanego, wnet do gry oczyma poszedł nazad.

— Panie generale, przychodzę w pilnym interesie.

— Idź do diabła! — zawołał generał.

— Przysłała mnie pani starościna Dobkowa.

— Choćby cię królowa tu przysłała, to ci powiem jeszcze raz: „idź do diabła!”

Przepiórka wczekał chwilę.

— Panie generale!

— Jeszcześ ty tu?

— Ja nie mogę odejść z niczym.

— Mówię ci: idź z diabłem, a nie przeszkadzaj mi!

Znowu była chwila milczenia.

— Panie generale...

— Łeb ci rozbiję!

— Twardy, panie generale.

— Czegoż chcesz, koźle uparty! Czego chcesz?

— Pani starościna na gwałt potrzebuje się z panem widzieć.

— O tej godzinie?

— O którejkolwiek bądź.

— Cóż się stało?

— Nic, tylkośmy się dowiedzieli, że pan Dobek tu jest w Warszawie.

Sapora odwrócił głowę, a wtem karta jego przegrała i generał, przypisując to niepowodzenie natręctwu Przepiórki, schwyciwszy talię, cisnął mu ją w oczy. Zręczny chłopak cios ten potrafił odbić rękami, po których się posypały karty, ale nie ustąpił.

— Jeśli nie chcesz, żebym ci lichtarzem głowę rozbił, ruszaj, pókiś cały, i powiedz twojej pani, żeby cię tu więcej nie posyłała, choćby nie Dobek, ale dwudziestu czterech ich przyjechało, nie pójdę... Co znowu za baba despotyczna? Gdyby choć dziesięć lat mniej miała! Jutro będę! — krzyknął generał, a widząc, że Przepiórka się nie rusza, wstał, aby go ująć za kołnierz i wyrzucić precz.

Na to już nie czekał posłaniec i uszedł. Powróciwszy do domu, stawiał się jejmości, która chodziła jeszcze po sali, rozpuściwszy tylko włosy dla większego efektu, bo się generała spodziewała.

— A cóż? — spytała.

— Ledwie mógł wyszukać generała — rzekł Przepiórka.

— Gdzie?

— W kancelarii — uśmiechając się odparł chłopiec. — Bardzo ważnymi papierami wojskowymi zajęty, kłania się i przeprasza, że dopiero jutro rano służyć może.

III

Po nieszczęśliwej bytności u kasztelanowej, do której wracać nie było już po co, Laura miała do wyboru kilka osób z tego towarzystwa, poznanych w czasie teatralnej zabawy, lecz przeczuła trafnie, że gdy ta, na której polegała najwięcej, pomocą jej być nie chciała, inne ją też zbęda słowy, czczymi obietnicami lub drzwi jej zamkną jak ona.

Na myśl przyszedł Bogusławski, lecz cóż mógł ten człowiek, który sam miał tyle do zwalczania, a za sobą tylko jednego króla, co teatr popierał? Dowiedzieć się nawet nie było łatwo, gdzie go szukać. Już naówczas pierwsze próby polskich sztuk z wielkim powodzeniem w gmachu przy placu Krasieńskich odegrane zostały. Moda, nowość, królewskie poparcie otwierały teatrowi świetne widoki, chociaż znaczna część wyższego towarzystwa znajdowała to śmiesznym, by od języka, którym ona obracać nie umiała, wymagać oddania tych mnóstwa odcieni, jakie delikatne uczucia rodzą. Uśmiechano się z tego zuchwałego przedsięwzięcia, lecz że król klaskał, bili wszyscy w dłonie i udawali niezmiernie zachwyconych i szczęśliwych. Bogusławskiego wychwalali głośno ci nawet, co się z niego śmieli po cichu. Mężny zapaśnik nie zrażał się ani szyderstwy, których się domyślał, ani przesadzonymi pochwałami, które za ukryte sarkazmy brać było można. Zbierał on z nadzwyczajną trudnością pierwszy ten zastęp szermierczy, co mieli talentem wywalczyć przyszłość scenie.

Stary żołnierz, kawał szlachcica, nadał od razu gronu swych artystów karność obudzającą poszanowanie i pewne stanowisko wyższe, jakiego inni artyści zdobyć nie mogli. Około niego wszystko było nacechowane powagą sztuki, czuć było cel wyższy w całej pracy, dla której zapłata i oklaski nie starczyły. Trzeba się było praw obywatelskich dorabiać i stać ich godnymi. Rozumiał to on najlepiej, a przezeń natchnieni towarzysze, których z dziwnym szczęściem dobrać, wyszukać, usposobić umiał.

Dziś, gdy i przesady obalone są, i społeczność z innych się składa żywiołów, nietrudno o artystów, ale w końcu XVIII wieku cudem było wynalezienie tych predestynowanych na pierwszych kapłanów sztuki dotąd najbardziej sponiewieranej. Artysta był dla znacznej części widzów kuglarzom i skoczkom równy. Sztukę pojmowano jako rodzaj lekarstwa przeciw melancholii, którego posłannictwem była: ekshilaracja.

Teatr już istniał, a jeszcze niedowierzającym nań spoglądano okiem.

Bogusławski, na scenie okrzykiwany, którego imię było już we wszystkich ustach, zapraszany przez króla na obiady czwartkowe, pomimo czci, jaka go spotykała, i współczucia, które mu okazywano, twarde miał do przebycia chwile.

Wszystko stworzyć było potrzeba, a na ostatek i chleb, którym żyć musiano. Król wiecznie obdłużony sam, choć chętny był do ofiar, często nie mógł ich spełnić, publiczność, ciekawością pędzona tylko, raz zalegała wszystkie miejsca, tak że się docisnąć nie było podobna, potem zbiegała cała i zostawiała je pustymi. Ówczesne życie stolicy nie sprzyjało też teatrowi. Przyjmowano nieustannie i zapraszano do domów pańskich, wieczory były codzienne, bale, maskarady, pikniki, obiady i śniadania często po dwadzieścia cztery godziny trwające. Historyczne jest to jedno, na które posłów sejmowych, mających stanąć w opozycji przeciwko uchwalanemu prawu, zaproszono i przyjmowano tak serdecznie, iż o sesji zapomnieli, a projekt został prawie jednomyślnie przyjęty. Gdzie tyle zabaw było, teatr pociągał ciekawością tylko chwilami, gdy okolicznościowe sztuki grano lub króla na nim zobaczyć miano nadzieję. Nie był więc wcale świetny byt sceny, a Bogusławski więcej jeszcze miał trosk niż dostatków.

Laura, która się z nim widzieć pragnęła, musiała oń dopytywać i szukać, a znalazła go w samym starym gmachu teatralnym, który właśnie restaurować się zabierano. Parę pokoików zarzuconych książkami i garderobą teatralną stanowiło jego mieszkanie, w którym artystów tylko i poufałych znajomych przyjmował. W trzecim skrypcie, przyklejony do stolika, na gwałt przepisywał role.

Gdy Laura w swej czarnej sukni ukazała mu się w progu, Bogusławski załamał ręce i krzyknął z radości, rzucając się ku niej.

Uśmiechnęła mu się smutnie.

— Jacyż bogowie nam tu was zsyłają?! — zawołał z uniesieniem.

— Nie bogowie, szanowny panie — odezwała się Laura — lecz jedno tylko bóstwo niefortunne, Fatum. Przychodzę do was nie jako dawna uczennica i towarzyszyca, lecz jako klientka.

— Do mnie? — smutnie się śmiejąc, odpowiedział Bogusławski.

— Po radę...

Gospodarz zrzucił z kanapy naprędce dwa oszyte blaszkami fraki, które właśnie krawiec tam był rozłożył, i wskazał miejsce, przepraszając za nieporządek.

— Radę co do teatru, gry, wystąpienia ofiarowałbym chętnie każdemu, tylko nie pani, która masz instynkt tak cudowny. Wzywać zaś mnie do wszelkiej innej byłoby niebezpiecznie — odezwał się powoli, przypatrując swej klientce.

— A tymczasem nie o grze i teatrze na dziś mowa — rzekła Laura. — Mam ważne sprawy, dla których tu przybyłam, tyżące się nie mnie, ale ojca. Nie mam nikogo, co by mi chciał dopomóc.

— Kasztelanowa?

— Zamknęła mi drzwi swoje.

— To nie może być!

— Tak jest, niestety! — dodała Laura. — Być bardzo może, iż postępowanie moje i lekceważenie opinii skłoniło ją do tego. Nikt mnie nie zna...

Ale cała Warszawa brzmi jeszcze sławą Pauliny! — zawołał Bogusławski.

— Na scenie zyskałaby może oklaski, w świecie znajdzie drzwi i serca zamknięte.

— Niestety! To nas wszystkich spotyka.

— Panie Bogusławski, pan masz do króla przystęp? — odezwała się Laura.

— Rzadko, trudny... — zawołał dyrektor — i pewien jestem, że gdybym z niego inaczej chciał korzystać, niż dla sceny, jej bym, sobie zaszkodził, a nikomu nie dopomógł. Jestem człowiekiem małym, muszę być ostrożny, bo losy sceny od mojego postępowania zawisły.

— Masz pan słuszność — odezwała się Laura — dla was scena jest matką, jej winniście całe życie wasze... ale, na Boga! Nie macież człowieka, nie znacie człowieka z charakterem, sumieniem, którego byście mi nastęrczyć mogli?

Słuchający westchnął głęboko.

— Człowieka bym znalazł może — odpowiedział — ale cóż charakterem i sumieniem się dziś robi? Ci ludzie, co je mają, tulą się po kątach, jak wśród gradobicia, aby się cali zachowali, a z życiem uszli. Spójrz, pani, albo raczej nie patrz dokoła, byś sobie oczu nie skalała. Dziś po świecie intryga, zřeczność, wymowa, szalbierstwo, talenta nawet coś znaczą, charaktery i sumienia nic nie mogą i nic nie ważą.

Na smutne lica Laury spojrzawszy, Bogusławski umilkł, patrzała w ziemię, zatopiona w myślach gorzkich.

— Człowieka pani potrzebujesz — dodał — dam jej męża zacności i prawości nieposzlakowanej, lecz cóż po tym? Ten człowiek jak ja czuje i widzi, że czas to nie na uczciwych ludzi, tylko na intrygantów. Dam wam człowieka, lecz po to chyba, ażeby dopomógł narzekać i boleć...

— Bądź co bądź dajcie mi go! Ja nie znam świata — mówiła Laura — dla mnie on nowy, ojciec mój spędził życie na pustyni. Oboje przychodzimy tu bezbronni, a mamy nieprzyjaciół, potrzebuję kogoś, co by mi wskazał przynajmniej, gdzie przepaści.

— Dobrze — rzekł Bogusławski — ale, pani moja... o co wam idzie? Macie-li proces? Sprawę? Zawikłanie, z którego by was królewskie słowo mogło wydzwignąć?

— Tak jest! — zawołała Laura.

— A więc przypomnijcie się królowi na teatrze! — rzekł Bogusławski.

— Na teatrze? A mój panie — odezwało się dziewczę — ani już serca nie mam do niego, ani rozumu. Los ojca... potem położenie nasze... rodzina... Byłam nieznanym zbiegiem, gdyście mnie zaciągnęli po raz pierwszy, a teraz...

— Któż was zna lub znać będzie na scenie? — począł gorąco bronić swej sprawy Bogusławski. — Weźmiecie imię przybrane, pod nim królowi się przypomnicie. On pamięta Paulinę. Naówczas będziecie mieli prawo przemówić doń, prosić.

— Jestem z ojcem i przy ojcu... niepodobna by mi było, przy całej swobodzie, jaką on mi daje, ukryć przed nim moje wystąpienie, a zezwolenia na nie nigdy bym nie otrzymała.

— Pomyśl pani o tym! — dodał Bogusławski. — Jest to rada, która z mej strony wydaje się interesowną, jest ona taką może, a jednak razem i wam wybornie by posłużyła.

— Dajcie mi najprzód człowieka! — powtórzyła Laura.

— A więc słówko o człowieku tym — odezwał się Bogusławski. — Nie mogę go wam pokazać, póki nie uprzedzę o nim. Wyda się wam dziwacznym...

— Mówcie i dajcie mi go.

— Człowiek mój zowie się Łukasz Tyszko, jest to stary szlachcic, prawnik z powołania, który diogenesowską grając rolę, do diogenesowskiego niemal przyszedł ubóstwa. Pojmował on zawód prawnika jako kapłaństwo, złych spraw przyjmować nie chciał, pieniaczom dawał nauki moralne, prawdę bolesną rzucał w oczy bez wyjątku wszystkim, na trybunał wzywał pomsty bożej, na niepocziwych, na intrygantów, na prepotentów grzmiał, panów nie szanował, dumy drobnej szlachty nie oszczędzał... zyskał poszanowanie, stracił majątek i wegetuje w ubóstwie, zapomniany. Jako doradcy lepszego nie znam, lecz jeśli praktycznie trzeba wywijać się i wyslizgiwać, na nic się nie zdał. Nie złąknie się on nikogo, wielu nastraszy sobą, żeby zaś miał sprawę wygrać, rzecz nie praktykowana.

Laura pomyślała chwilę, nie miała nic do wyboru.

— Mam konie i powóz — odezwała się — jedźmy do tego pana Tyszki, niech mi powie, co mam czynić.

Bogusławski spojrział na zegarek.

— A, na Boga, za godzinę repetycja...

— Tylko mnie zawieź do niego, powozem wrócisz do teatru. Zawahawszy się nieco, Bogusławski za kapelusz pochwycił.

Wsiadali do powozu, gdy na widok Laury rzucił się ku nim młody mężczyzna przechodzący, z okrzykiem wielkim. Był to nieszczęśliwy Georges, Laura uśmiechnęła się dziwnie.

— Pan tu jesteś jeszcze?

— I ja, i pan hetman... ale pani? Gdzież pani?

— Nie powiesz nikomu?

— Choćby mnie zabić miano...

— Ja z ojcem — wymówiła Laura, umyślnie dobitnie wymieniając ojca — mieszkam...

Powiedziała adres po cichu.

— To znaczy — rzekł uszczęśliwiony Georges — że mi wolno będzie?

— Wolno przyjść, jeśli się pan nie boisz tego, że go zamęcę poruczeniami, nie nadgrodzę nawet uśmiechem, bom ten w drodze straciła.

To mówiąc, siedli do powozu. Georges popatrzał na szczęśliwego Bogusławskiego i odszedł powoli. Wtem z okna wychyliła się Laura.

— Kawalerze Georges, ja niewdzięczna! Zapomniałam o Muni! Co się z nią dzieje?

— Tęskni do pani... jak...

Konie ruszyły i resztę słów wiatr uniósł.

Do dworku pana Tyszki na końcu Nowego Świata był spory kawał drogi. Dwór i ogród leżały w tej już części ulicy, która się zabudowywać zaczynała i wyglądała na podziw cudzoziemcom osobliwym zbiorowiskiem najnędrniejszych chat i najwspanialszych gmachów, otoczonych rusztowaniami, albo ledwie z nich rozpowitych. Był to embrion ulicy, w którym jak gangliony w polipie skupiały życie te kamienice nowe. Przed wielu z nich leżały jeszcze stopy drzewa, tarcice, cegły, gzemysy kamienne z daleka sprowadzane, u innych kolumny, które miały odziać się tynkiem, w koszulach z trzciny i drzewa, przedstawiały się w negliżu, niektóre już były skończone, a nie zamieszkane, największa liczba, porzucona wśród roboty, była nowiuteńką ruiną, bo rzadko które domostwo, przerwane tak na lat kilka, słomą nawet pokryto. Widok więc był dziwny chat wklęsłych w ziemię, dworków ledwie od niej odrosłych i pałaców osamotnionych wśród tak niewłaściwego towarzystwa. Dworek pana Tyszki pochodził z dawnych czasów, otaczał go sad i parkany, a podobny był do wiejskich, szlacheckich. Wchodziło się przez drewnianą furtkę i mostek prosto na ganek, w sień przestronną, dzielącą dom na przestrzal, a z niej w lewo do wielkiej izby zowiącej się gościnną, choć tam mało gości bywało. Z dwóch stron od ulicy i ogrodu oknami opatrzona, przestronna, z pułapem belkowanym, z zielonym piecem starym, miała tylko stół okryty dywanikiem, kilka krzeseł i sofę. Na ścianach w ramach czarnych rzędem wisiały sztychy

stare włoskie, wystawujące głowy filozofów, mędrców i ludzi z cnoty słynnych. Oprócz tego na rodzaju stelu popiersie Sokratesa królowało samo jedno.

Gdy Laura weszła z panem Wojciechem, z bocznych drzwi dał się słyszeć głos jasny:

— A kto tam?

Bogusławski poszedł przodem do izby, z której głos słyhać było, przestąpił próg i na cichej rozmowie zatrzymał się tam minut kilka. Z nim razem potem wszedł mężczyzna niemłody, słusznego wzrostu, łysy, posiwiały, choć twarz miał czerstwą i zdrową. Ubiór na nim spartańskiej był prostoty, z grubego sukna.

Laura skłoniła mu się, on jej oddał ukłon bez uniżoności, wskazał krzesło, a oczyma bacznie śledząc, zdawał się przez twarz chcieć sięgać do duszy.

— Źle panią pan Wojciech powiódł — rzekł. — Słyszę, że idzie o radę skuteczną w jakiejś przykrew sprawie, a ja właśnie dać jej nie potrafię. Jestem najniezwyklejszy z prawników, dlatego, iż mi się zdaje, że prawo powinno być prawem.

— Ja z ufnością do pana przychodzę — poczęła Laura — bo nie każdemu bym nawet zwierzyć się mogła, o co idzie. Mój ojciec oskarżony jest o tajemny arianizm, był uwięziony, uszedł z więzienia, majątek nam zasekwestrowano...

— Jak to? O arianizm? Ależ arian u nas nie ma od dawna. Laura popatrzała nań.

— Tradycje się u nas uchowały, nikt przecież o tym nie wiedział, bo nie szkodziły nikomu. Ojciec mój ożenił się po raz wtóry, macocha była powodem obwinienia, sprawy, i jej majątek oddano.

— Czekaj pani... któż by dziś u nas miał wznawiać niedorzeczne prześladowanie jakiegoś kacerstwa? Dysydenci są tolerowani.

— Pan wiesz, że arianie stanowili wyjątek.

— Więc cóż! Dziś, w końcu XVIII wieku, na stos i wygnanie! — rozśmiał się Tyszko. — To by było nie dość powiedzieć oburzające, to by było śmieszne. Ateuszowie chodzą bezkarnie, a arianinem być nie wolno?

— Zjeżdżała przecież komisja, czyniono poszukiwania, znaleziono księgi, to prawda... nic więcej, resztę dokonało łakomstwo macochy, która tu jest i stara się sprawę popierać.

— Gdziesz ojciec wasz? — spytał Tyszko.

— Tu się ukrywa, lecz z obawy macochy nie może się ukazać nigdzie.

— Ja potrzebują się z nim widzieć i pomówić — rzekł Tyszko. — Sprawa mi się zdaje niemożliwą, niedorzeczną, choć ściśle biorąc... Zobaczmy — dodał — nie mogę wyrzec nic; chciałbym tylko was, pani moja, pocieszyć tym, że dziś przecie prześladowania tego rodzaju

cały świat potępia. One są niemożliwe... Jeśli innego środka nie ma, sama wrzawa wywołana taką sprawą da państwu wygraną.

W Laurę ducha trochę wstąpiło.

— Mój drogi panie — rzekła, biorąc jego rękę — pociesz pan ojca mego, podźwignij go, przybądź do nas, starzec jest nieszczęściami przybity.

— Arianie! — z cicha powtórzył Tyszko. — To coś osobliwszego! Przyjadę — dodał głośno — to jest, przyjadę, kiedy zechcecie, bo koni nie używam.

Laura nazwała mu dom.

— Ale to niedaleko, prawie w sąsiedztwie — odezwał się Tyszko. — Przyjadę, a nie frasujcie się i niech ojciec będzie spokojny. Mnie się widzi, że i swobodę, i majątek odzyszcze. A macocha ma stosunki i wpływy?

— Mieć je musi, choć nie wiem, jakie. Jest to kobieta niedobra, użyje więc, nie przebierając w środkach.

Tyszko namyślał się.

— Bądźcie dobrej myśli — zakończył — nie zwykłem nikomu przyrzekać sukcesów, lecz tu, zdaje mi się...

Laura zęgnęła go, Tyszko znowu patrzył z wielką bacnością na jej twarz szlachetną i rozumną.

— A nie pozwolisz mi pani, bym moją córkę z nią zapoznał? — rzekł. — Dziecko moje jedyne... Ona tu tak samotna jak wy, jeśli sobie przypadniecie do serca, czemuż byście zbliżyć się nie miały?

— A chętnie! I z wdzięcznością! — pośpieszyła odpowiedzieć Laura. — Jam tak sama!

Tyszko wyszedł do sieni i po kilkakroć zawołał: — Basiu! Basiu!

Kobieta, która się na to wołanie ukazała w progu, zobaczywszy Laurę, stanęła na chwilę, zdumienie i ciekawość razem okazując. Była do ojca podobna, ale od niego piękniejsza, słusznego wzrostu, z twarzą pogodną, ogorzałą troszkę, włosami splecionymi otoczona po prostu dokoła, oczyma ciemnoszafirowymi i usty uśmiechającymi się dobrocią i prostotą. Suknie jej świadczyły o życiu. Miała na sobie jakby habit z ciemnego kazimirku, uszyty starannie, lecz niczym nie przyozdobiony, fartuch biały z bawetem i pęk kluczków u pasa. Świeży kołnierz i mankiety przystrajały ubiór więcej niż skromny, w którym jej jednak pięknie było.

— Poznajcie się moje panie — rzekł Tyszko. — Panna Dobkówna chciała u mnie zasięgnąć rady, jest tu sama z ojcem w Warszawie, tyś także tak jak sama na całe miasto, a mnie się widzi, że się powinniście zbliżyć i pokochać.

— Szczerze wam dłoń wyciągam — odezwała się Laura — zawczasu wdzięczna, żeście mnie tak bratersko przyjęli.

— A ja ją przyjmuję, pustelnica, z wielką radością — odpowiedziała Basia — bo mi już sama wasza twarz o dobrym sercu świadczy.

— Więc, bądźmy sobie siostrami! — dokończyła Laura. — Gdy mi się bardzo serce ściśnie, przyjdę do was po lekarstwo. Proszę was tylko, dzięki dziewczyny nie sądźcie surowo, jestem śmiała, nieopatrzna, samowolna, to prawda, lecz na jedno rachować możecie: nigdy w życiu nie kłamię. Macie mnie, jaką Bóg stworzył.

Basia ją pocałowała.

— Jam trochę do was podobna — rzekła — zatem przystaniem do siebie.

Jeszcze raz podały sobie ręce; Laura musiała powracać do ojca, Tyszko obiecał się na wieczór.

W domu zastała Dobka na naradzie z regentem zamkniętego. Trwała ona jeszcze czas jakiś, a gdy wniknąć mogła do pana Salomona, znalazła go zasepionym i widocznie przybitym. Domyśleć się mogła łatwo, iż regent przyniósł niedobre wiadomości, nie śmiała o nie pytać, oznajmiła tylko, że znalazła kogoś zaleconego z uczciwości, który się sprawy będzie mógł podjąć i najlepsze zdaje się dawać nadzieje.

Dobek w milczeniu ręką machnął.

— Jejmość już tu zabiega — rzekł — kara ta boża ściga mnie wszędzie. Daj Boże, byśmy mocniejsi byli nad nią, lecz ja się tego nie spodziewam.

— Zobaczymy, ojczy — odezwała się, całując go, Laura — bądź tylko dobrej myśli.

— Nie rozpaczam dla siebie, o ciebie mi idzie — odparł Dobek.

Nad wieczór Tyszko przyszedł o naznaczonej godzinie. Wprowadziła go Laura do ojca i zostawiła z nim sam na sam, dla swobodniejszego porozumienia. Ona także miała gościa, którego odprawiła ode drzwi. Georges przyleciał jak opętany i dostał odkosza. Laura śmiała się, nie dając widzieć zza okna, gdy wielce zasmucony odchodził, ręce zwiesiwszy.

Dom zajęty przez pana Dobka, należący do nowszych budowli, stał wśród starszego od siebie owocowego ogrodu. Z jednej jego strony przechodziła ulica, z drugiej drożyna, która nazwiska ulicy jeszcze nie była godna, gdyż poza domem tylko parkany ogrodów ją stanowiły, a przepaściste kałuże były całą jej ozdobą.

Laura, stojąc w oknie, gdy Georges odchodził, nie postrzeżona, bo zakryta firanką, zobaczyła w ulicy kilku ludzi wcale nie obiecującej powierzchowności, którzy przechodzili po kilkakroć dokoła domu, zdając się czegoś w nim szukać czy sobie jego fizjonomię chcieć dobrze zapisać w pamięci. Dla niepoznaki zeszli w małą ową drożynę, tam się naradzali,

rozdzielili i znowu krążyli, nie dając poznać po sobie, że tu są umyślnie. Dom był odosobniony, nic więc innego w to miejsce ściągnąć ich nie mogło. Laura mimo nadchodzącego mroku, dobrze się przypatrzyła tym mniemanym przechodniom. Zdawało się jej nawet, że w jednym z nich poznawała Przepiórkę. Nie zastraszyło jej to zbyt, gdyż i tak musieli się mieć na ostrożności. Powiedziała tylko Eliaszowi o tym, który z drugiego okna począł śledzić już oddalających się i potwierdził to, że jeden mógł być, a raczej był pewnie Przepiórką.

Ludzi w domu mieli kilku, broń nawet od wypadku, kamienica była zamczysta, nie było się czego obawiać tak dalece.

A jednak Dobek nawet po wyjściu Tyszki okazywał obawę i niepokój. Laura wyczytała to z jego twarzy i próżno starała się wybadać a uspokoić ojca.

— Jestem tu sam z tobą jedną tylko, oboje wśród ludzi obcych a niezyczliwych, nie ma tu dla nas bezpieczeństwa, należało albo na wsi siedzieć, lub za granicę jechać, regent mi to jeszcze teraz doradza.

— Zatem przysłoby się wyrzec wszystkiego — zawołała Laura — bo powierzysz obcym prowadzenie interesu, nieochybnie byśmy byli jeśli nie zdradzeni, to zaniedbani! Cóż tu grozić może?

Dobek nie mówił nic, ale wzdychał ciężko. Laura wydobyć z niego wyrazu nie mogła. Wieczór cały zszedł na takich rozmyślaniach ponurych.

Następnych dni nie można było opuścić starego, tak niepokój w nim chorobliwy wzrastał; po dwa i trzy razy posyłał po regenta, który się niezmiernie stosunków z nim obawiał, bo się na świecie lękał wszystkiego, co spokojowi zagrozić mogło.

Laura biegała do Tyszki, a ten przychodził dodawać otuchy i choć na chwilę pan Salomon zdawał się nieco lepszej myśli, wnet mu te przecucia nazad powracały. Nigdy w życiu wielce ze swobody, jaką miał, nie korzystał, a jednak obawa więzienia była zmorą nie dającą mu spoczynku. Długie lata spędziwszy w Borowcach, umiając żyć tylko tam, gwałtownie pragnął powrócić, a niecierpliwiła go zwłoka i sama myśl, że powrót mógłby się stać niemożliwym. Słowem, Dobek był w usposobieniu takim, że go na chwilę samemu sobie zostawić się lękała Laura, a jeśli odchodziła, posyłała Eliasza, aby mu nie dał tymi gorzkimi zabijać się myślami. Rozdrażnienie to zamiast uspakając się rosło, pan Salomon stawał się niemal dziecinnym, płakał, ręce łamał, czekać nie chciał, gotów był płacić, okupić się, byle raz wyjść z tej niepewności. Pośpiech był niepodobieństwem tam, gdzie każdy krok nowy stawiając, grunt wprzód opatrzyć dobrze potrzeba było, aby fałszywym sprawę nie popsuć.

Georges, odprawiony po raz pierwszy, przyszedł nazajutrz powtórnie, Laura przyjęła go sama.

— Kawalerze Georges — odezwała się, surowo nań spoglądając — mógłbyś sobie u mnie na wielką wdzięczność zasłużyć. Mam interes ważny mojego ojca, od którego wypadku spokojność jego i moja zależy. Chciałabym pozyskać sobie względy hetmana. Możesz z nim mówić o tym?

— Ale pani sama może byś chciała widzieć się z panem hetmanem?

— Gdybym wiedziała, że mnie przyjmie i że będzie na nas łaskaw.

— Ja sędzę, że to nie ulega wątpliwości.

— Spytaj go pan, zobaczymy.

Nie dozwoliwszy Georgesowi zbyt wiele się rozczulać, bo jak z dzieckiem się z nim obchodziła Laura, dała mu rękę do pocałowania i odprawiła do hetmana.

Pan hetman w Warszawie a Emilopolu, były to całe dwie różne postaci. Tam on, u siebie, był panem wszechwładnym, tu jednym z tysiąca wszechwładców, tak dobrze przez historyka królewietami nazwanych. Swoboda i dobry humor wiejski rzadko kiedy mu tu służyły, wyobrażał sobie, iż miał nadzwyczaj wiele do czynienia, że obarczony był pracą, a każdy obowiązek do godziny przywiązany na dwadzieścia cztery wprzód humor mu psował.

Oprócz tego brakło mnóstwa rzeczy i osób, do których był nawykły, a innych miał za wiele. Pałac nie był dlań dogodny. Musiał chodzić na obiady cudze, a te wszystkie mu się szkaradnymi wydawały. Trybulacje te wpływały na zdrowie delikatnego hetmana, a stan jego oddziaływał na usposobienie. Ogromne wydatki nie pomagały także do dobrego humoru. Georges, zawsze wielce ulubiony przybranemu ojcu, nie tak łatwy miał tu przystęp ani taką pewność, że co chce, to wyjedna. Trzeba było umieć chwilę sposobną wynaleźć, przystęp i ucho łaskawe. Wymagało to czasu. Georges rozpoczął od tego, iż o przybyciu Laury, o jej historii, o tyle ile od niej mógł się dowiedzieć, opowiedział.

— Już pewnie musiałeś odnowić znajomość — rzekł hetman — hm?

— Widziałem piękną Laurę.

— I będziesz się bałamucił na nowo — dodał hetman — *c'est tres facheux*.

— Gdyby ją pan hetman widział ubraną po kobiecemu...

— Ale cóż dalej? Co dalej? — zapytał hetman trochę niecierpliwie. — Ładna? Śmiała? Czarująca? Ale to przecie jedna z tych kobiet, około których nie ma co biegać, jeśli się nie myśli żenić!

— A dlaczegóż bym się nie mógł ożenić, gdyby tylko mnie przyjęła?

Na to wyznanie stary hetman, który sam dotąd był bezzenny, a dla młodzieńca uważał ożenienie za zawiązanie mu świata, przelękły zerwał się z krzesła, pochwycił Georgesę za ramiona i w największym gniewie, w jakim go jeszcze nigdy młodzieniec nie oglądał, krzyknął:

— Co? Co? ty się żenić? Ty, w twoim wieku? Żona? A, toś zwariował! *Mais tu es fou!* A, to cię oddać do czubków! Jemu się żenić! Żenić się! Słyszeliście! *Un petit morveux comme cela!* Żenić się...

Georges pobladł aż ze strachu i wstydu; hetman dopiero postrzegłszy się, iż stracił równowagę i ulubienca przestraszył niepotrzebnie, siadł nieco spokojniejszy, pokazując mu krzesło przy sobie.

— Kawalerze Georges — rzekł powolniej — patrz waćpan na mnie; mam lat... no! Dostyc powiedzieć, że mam ich o wiele więcej niż waćpan... mam stanowisko, mam majątek, mam pewne znaczenie w świecie, a drzę na samą o małżeństwie wzmiankę, taka to jest rzecz straszna!

Cóż tedy waćpan powinienes czynić? Wieszcze, co to jest małżeństwo? Zdaje się waćpanu, że to tylko uścisk miłej kobiety i raj ziemski. A obowiązki? A nieustanny niepokój o serce i fantazje jejmości? A utrzymanie domu, imienia, stosunków, powagi? A przyjdą dzieci? A niewola bezustanna, nie dająca spoczynku nigdy? Gdzież w waćpanu dojrzałość potrzebna do tego stanu, statek, powaga? A toby cię jejmość trzymała pod pantoflem, że tchnąć byś nie mógł.

Hetman rzadko mawiał tak długo na raz, potrzebował odetchnąć, spojrzął na bladego Georgesę i żal mu się go zrobiło, taką biedną miał minę.

— Ale, mój drogi, kochaj się! Jesteś swobodny, uwielbiaj, czcij kobiety, służ im... na to wszystko zgoda, do tego służy młodość... tylko, na miłość bożą, nie mów mi o ożenieniu.

Georges zmilczał.

— Chciałeś mi mówić o pannie Laurze? Jest to dla waszmości, o ile mogłem zauważyć, najniebezpieczniejsza osobka. Gdyby chciała, mogłaby cię za daleko zaprowadzić, szczęściem, wybij to sobie z głowy, bo ona chcieć tego nie może. Dobkowie są majątni, familianci, a waćpan dotąd jesteś *chevalier Georges tout court*. Z czasem się to może zmienić, dziś tak jest!

— To nie przeszkadza, żebyś pan hetman nie pomógł jej w przykrym położeniu — odezwał się Georges.

— Rzecz znowu inna — odparł hetman, przypatrując się swoim nogom i pończochom. — Waćpan wiesz, jak ja interesów nie cierpię, nienawidzę, brzydę się nimi, są mi ohydne.

Swoich nie lubiąc, cóż dopiero mówić o cudzych? Wziąć na ramiona sprawę, a poprowadzić ją źle, wstyd i przykrość; żeby się zaś powiodło, chodź, jedź, biegaj, gadaj, proś, męcz się, a to wszystko, ażeby pięknej pannie usłużyć, która ci uśmiechem zapłaci. W dodatku jeszcze, mój Georges, trzeba, żebyś wszystko wiedział, moje wpływy i znaczenie wolałbym zużytkować dla siebie, dla swoich. Mam je, ale nie mogę wyczerpywać, bo nadużywszy ich, stracę. Z tych wszystkich powodów...

— A pan hetman tak mile przyjmowałś ją w Emilopolu? — zagadnął Georges.

— Ale ja bym ją i tu przyjął bardzo mile, nawet ci powiem więcej, gdyby mnie prosiła, przyrzekłbym wszelką z mej strony pomoc... i nic bym nie zrobił. To nad siły moje. Człowiek dla siebie samego ledwie starczy.

Smutny zamilkł Georges, nie było co więcej nalegać. Hetman ciągle patrzył na piękne nogi swoje, wtem szczęściem nadszedł ktoś z gości i rozmowa przerwana została.

Wychowaniec wysliznął się z pokoju. Zgryzł się niezmiernie, gdyż wstyd mu było z niczym powracać do Laury, a znał dosyć hetmana, by się nie łudzić, że w drugiej rozmowie pomyślniej mu się powiedzie. Mógł wprawdzie wytłumaczyć się, iż z hetmanem mówić nie miał zręczności, że był bardzo zajęty itp., ale wymówki te na długo mu posłużyć nie mogły. Biedny chłopak siadł w swym pokoiku pogrążony w myślach i zrozpaczony niemal. Któż by się mógł spodziewać, że hetman z tak chłodnym egoizmem mu odpowie?

Laura czekała dwa dni na przybycie Georges'a, nie wiedziała, co miało znaczyć opóźnienie, w ostatku domyśliła się, że hetman zapewne mieszać się w tę sprawę nie miał ochoty. Toż samo prawie działo się z drugimi. Do zarzutów arianizmu domieszano historię ojca pana Salomona, zabójstwo żony, oskarżenie syna o to, że Adama trzymał zamkniętego w lochu, chroniąc od wymiaru sprawiedliwości. Wszystko to razem tworzyło dość brudną i wstrętliwą całość, której umyślnie nadano ten charakter, aby się nikt nie podjął jej rozwikływać.

Regent ofiarował się pomóc do ucieczki i tę doradzał mocno, a właśnie myśl sama porzucenia Borowiec była dla starego najstraszniejszą i śmierci się równała. Co się tycze Tyszki, ten nie umiając i nie pojmując inaczej sprawy jak na drodze zupełnej jawności, nie przypuszczając, żeby uczciwy człowiek mógł w jakimkolwiek razie coś taić i pokrywać, coś kłamać, wymagał dochodzenia sprawiedliwości przez trybunały, w imię wolności sumienia, poręczonej paktami itp. Dobek z powodu swoich przekonań religijnych, które kilka pokoleń taiło, nie mógł zadawać im winy wstępując na inne pole. Słowem, nie wiedziano, co począć, czego się chwycić, a Eliasza, mimo że tam miał liczną rodzinę, widząc pana tak

nieszczęśliwym, nalegał na to, żeby skarb w lochu ukryty zabrawszy, zawaliwszy wnijscie do kaplicy i zboru, wynosić się gdzieś za granicę.

Laura, która tak ufała zrazu swym stosunkom i wpływowi, jaki wyrzec mogła, przekonywała się teraz, że w tym świecie atlasów i jedwabiu zewnętrzne szaty są prześliczne, lecz we wnętrzu żadne nie dosięże oko.

Ze wszystkich przyjaciół jeden Bogusławski pozostał jej wiernym, a i ten namawiał ją znowu do teatru. Nie widziała wprawdzie hrabiego Artura, lecz zamknięte drzwi kasztelanowej zapierały jej doń drogę, a miała teraz dość doświadczenia i obawy, by mu się sama narzucać śmiała.

Trudno jej nawet było oddalić się z domu i wybiec szukać kogoś lub nastęczać się kasztelanowej, bo stary Dobek niepokoił się o nią za każdym wyjściem, a utrzymanie tego biednego gospodarstwa miejskiego na niej całe spoczywało, na niej, która nic a nic go nie rozumiała. W Borowcach miała się zawsze kim wyręczyć i nie wiedziała o niczym, tu do niej przychodzono ze wszystkim, począwszy od zadysponowania obiadu. Brak kogoś, co by jej w tym dopomógł, nadzwyczaj czuć się dawał, Słomińska, powróciwszy do swoich, nie mogła ani sama usłużyć, ani kogoś pewnego nastęczyć.

Tak stały rzeczy, gdy z rana jednego dnia Laura z okna zobaczyła wystrojoną Lassy, która rozpatrując się po domach i ostrożnie wybierając suchsze miejsca w ulicy, dążyła wprost ku drzwiom ich mieszkania.

Po ostatnim pożegnaniu było to niesłychane zuchwalstwo i bezwstydnictwo. Laura przygotowała się ją przyjąć, jak zasługiwała, gdy śmiała jejmość wpadła nie pytając i opędziwszy się ludziom, do pokoju. Nie dając słowa rzec Laurze, rzuciła się naprzód ku niej z załamanymi rękami.

— Droga Lauro! — poczęła patetycznie. — Bij mnie, wypędź, łaj, bezcześć, jak chcesz, zasłużyłam na to, ale posłuchaj: czuła przyjaźń łączyła mnie z tą niegodziwą Sabina, dopiero teraz na jej zbrodnicze postępowanie otworzyły mi się oczy. Nienawidzę jej, przychodzę ci paść do nóg i przebłagać. Ja cię tak szanuję i kocham!

Laura ruszyła ramionami. Nie zraziło to bynajmniej Lassy, która ku niej przystąpiła bliżej, rada, że jej zaraz nie wypędzono.

— Całą stolicę podbiłaś swym występem na teatrzyku w Powązkach!

— Tak dalece — odpowiedziała mimowolnie Laura — że teraz, gdym powróciła, nikt oprócz Bogusławskiego znać mnie nie chce.

— Jak to nikt? Jak to! — podchwyciła Lassy. — A księżę Andrzej ?

— Ja nie znam księcia Andrzeja!

— Ale on! On cię uwielbia, on dla ciebie gotów dać życie! — Nie plećże, moja Lassie — odezwała się Laura.

— Przekonasz się, gdy tylko zechcesz i skiniesz.

Nie odbierając odpowiedzi, Lassie obejrzała się po domu.

— Wiesz, moja droga Lauro, ja znowu jestem bez... dachu. Szukam sobie mieszkania. Gdyby tu było do najęcia na dole, wzięłabym izdebkę, żeby wam być na zawołanie. Ja cię tak kocham! A, ty nie wiesz!

Uśmiech Laury i spojrzenie były całą odpowiedzią.

— Wszakże mi tego za złe nie weźmiesz, jeśli się tu ulokuję?

— Aby macosze donosić o nas? — zapytała Laura. Lassie zarumieniła się mocno.

— Słusznie jestem posądzona — rzekła — bardzo słusznie, znoszę to w pokorze, ale ja z tą złą, niegodziwą, ohydłą kobietą nic do czynienia mieć nie chcę, wyrzekam się jej, a jeśli się podoba, daję słowo, iż nogą z domu nie wyjdę.

— Nie mogę wam zabronić mieszkać, gdzie się podoba — rzekła Laura — ale rada wam nie będę, to z góry powiadam.

— A jeśli ci do nóg przyprowadzę księcia Andrzeja, który całą sprawę poprowadzi, weźmie na siebie i wróci wam spokojność?

Z niedowierzaniem spojrzała Laura na śmiejącą się szatańsko Lassie.

— Mogłabyś to uczynić? — szepnęła.

— Zaręczam najuroczyściej! — żywo odparła Lassie i podbiegając ku Laurze, dodała cicho: — Stary nikogo nie kompromituje, bo, proszę cię, to wiadoma rzecz, że gdy koniuszczki palców dasz mu do pocałowania, będzie sownie zapłacony, a przecież to brat... a bratu się nic nie odmawia.

Ze wstrętem jakimś odsunęła się od niej Laura, na co Lassie wcale się zdawała nie uważać, pożegnała prędko, zeszła na dół, gdzie zaraz najęła mieszkanie, a wieczorem wcisnęła się już Laurze do pokoju, Eliaszowi do kredensu, nawet do kuchni, i gdy dla starego Dobka filiżankę bulionu, którą pił wieczorem, przygotowywano, niezmiernie troskliwie pomagała do jej przyrządzenia.

Eliasz, który jej nie cierpiał, tego dnia znajdował, iż Lassie może w niedostatku innego kogoś stać by się mogła użyteczną około kuchni i spiżarni, aby paniąkę wyręczyć. Gdy już raz była w domu, nic przecie nie szkodziło się nią posłużyć i zająć ją, aby poza dom z plotkami wybiegać nie miała czasu. Laura na te uwagi nie odpowiedziała nic, a Lassie sama filiżankę bulionu zaniósła.

IV

W nocy, zapewne skutkiem ciągłego tego zmartwienia, pan Salomon Dobek mocno zachorował. Porwały go bóleści, palio pragnienie okropne, a napój, jaki mu podawano, znieść go nie mogąc, wyrzucał. W kilka godzin słabość ta przybrała groźne symptomata, a domowe środki, jakimi przebudzona Lassy i Laura dopomóc mu się starały, tak się okazały bezskutecznymi, iż Lassy natychmiast obowiązała się biec sama po znanego sobie doktora. Noc była ciemna, chciano jej dodać człowieka z latareńką, ale śpiesząc się bardzo, nie chciała czekać, oświadczywszy, że miasto zna doskonale i że sama sobie da rady.

Gdy wychodziła z domu, narzuciwszy tylko płaszczyk na ramiona i porwawszy na rękę woreczek, który jej nigdy nie opuszczał, było już po północy. Laura została sama przy łóżku ojca, grzejąc prześcieradła, którymi go okładano, podając wodę nieustannie żadaną a jednak nadaremnie chwytaną, bo ją wyrzucał natychmiast. Bóleści cierpiał tak straszne, iż krzyk jego w ulicy słyhać było. Chwile ulgi krótkie, prawie natychmiast wracające symptomy przerywały. Podawano mu limonadę przygotowaną przez panią Lassy przed odejściem jej, a ta zamiast ulgę przynosić, stan jeszcze pogarszała. Przesztano wreszcie nią poić, lecz woda nie służyła lepiej, bóle i nudności trwały ciągle, gorączka się z nich zrodziła i z każdą godziną Dobek był gorzej a gorzej.

Co chwila spodziewano się przyrzeczonego doktora, po którego Lassy pobiegła, a nie było go nawet we dwie godziny po jej wyjściu. Ludzi obcych miastu po niego posłać nie było podobna. Laura pieszo pobiegła dobijać się do Tyszków, zbudziła ich, opowiedziała Basi o swym nieszczęściu i zakławszy ją i ojca, by z ratunkiem śpieszyli, wróciła bezprzytomna do łóża ojca.

Tu gorzej już było a gorzej i chory słabł, a nawet zdawał się przytomność chwilami utracać. Jęki boleśnie rozlegały się po domu... a tu nikogo! Nikogo, ani Lassy, która się gdzieś zabłąkać musiała, ani obiecaną przez Tyszków pomocy.

Bardzo już późno w noc, prawie nad rankiem, stary Tyszeko przypadł z lekarzem jedynym, jakiego mógł znaleźć w mieście.

Wszyscy inni przypadkowo zajęci byli i to tłumaczyło, dlaczego stara jejmość dotąd powrócić nie mogła. Przywieziony przez Tyszkę lekarz, stary praktyk, zaledwie stanął u łóża chorego, popatrzał i rozpytał o symptomata, spytał, co jadł i pił. Powiedziano mu o bulionie, którego resztką w filiżance została, pokazano limonadę. Spojrzał na dno obu tych napojów, w których jakby rodzaj soli białawej widać było na dnie. Miał małą apteczkę przy sobie i

natychmiast podał choremu lekarstwo, które mu małą ulgę przyniosło, skinął na Tyszkę i wprowadził go do drugiego pokoju.

— On jest otruty! — rzekł mu na ucho.

— Czy można go ratować?

— Za późno! W pierwszych chwilach — może, a teraz trucizna miała czas podziałać na wnętrzności, za kilka najdalej godzin żyć nie będzie.

— Lecz, na Boga, któż tego mógł dokonać?! — krzyknął Tyszko.

— Ratunku już nie ma — szepnął doktor — a właśnie dlatego, żeby winowajca nie umknął, nie trzeba okazywać, żeśmy się na tym poznali. Zręcznie tylko zabrać filizankę z bulionem i limonadą, w obu są resztki arszeniku.

Tyszko rozpaczliwie zajęczał.

W tej chwili Laura wpadła z rozpuszczonymi włosami i klękała przed doktorem.

— W imię wszystkiego, co najświętsze, co wam najdroższe, ratujcie mi ojca! Panie, ratuj mi ojca, zasypię cię złotem! Oddaj mi ojca!

Doktor nie chciał, widząc tę rozpacz dziecka, ogłosić jej smutnego wyroku, począł coś bełkotać niewyraźnie i przeszedł co prędzej do pokoju chorego. Tu naczynia jeszcze stały. Tyszko znając od Dobka wierność Eliasza, kazał mu je przechować nic z nich nie wylewając, co stary sługa, we łzach cały, zrozumiał dobrze.

Dzień się robić zaczynał, gdy Dobek już bez nadziei dogorywał, konał w strasznych boleściach. Lassy dotąd nie było. Z opowiadania o jej przybyciu i roli, jaką przybrała wieczorem oraz w początku słabości, Tyszko nie wątpił najmniej, iż ona otruła nieszczęśliwego Dobka. Laurze ta myśl już przychodziła mimowolnie, ale ją odpychała jeszcze. Przybyły lekarz zgodził się na posłanie po jednego jeszcze kolegę dla uspokojenia rodziny, chociaż symptomy konania już się objawiały. Było ono powolne i przerywane. Dobek poznawał córkę, rzucał się ku niej, obejmując ją rękami, a że mówić nie mógł i niewyraźne tylko wrywały mu się wyrazy, chwycił Tyszkę i wskazywał Laure, jakby mu ją chciał oddać w opiekę. Córka klęczała przy nim wsparta o jego kolana, zanosząc się od płaczu.

Nadjechał drugi lekarz, ale już wówczas, gdy Dobek ducha wyziewał, nie było nic do czynienia nad rozpatrzenie sądowe tej zbrodni, gdyż zbrodnia popełniona była jawną.

Natychmiast posłano z doniesieniem do urzędu. Basia od zwłok ojca ledwie mogła Laure na chwilę do drugiej izby oderwać, gdzie ta padła, zanosząc się od jęków i płaczu, który prawie w konwulsje przechodził.

Tu także jeden z lekarzów stał się potrzebnym. Około sieroty nieszczęśliwej pozostał tylko Tyszko i jego córka.

Lekarze obaj, na razie w obecności przybyłego urzędnika, wykazali dowodnie, iż trucizna użyta była, której reszty na psie doświadczone natychmiast mu śmierć zadały. Świadcstwo wszystkich ludzi zgodne nie zostawiło wątpliwości, iż Lassy, przyrządzająca bulion a potem limonadę, arszeniku do nich dosypała.

Urzędnik udał się natychmiast do zajmowanego przez nią na dole pokoju, gdzie żadnych nie znalazł rzeczy oprócz tłomoka, w którym stare gałgany napchane były. Na stoliku jakby w pośpiechu zapomniany papier rozwinięty, w którym drugi znajdować się musiał, ukazał na spodzie odrobinę proszku podobnego do tego, który był w bulionie i limonadzie.

Lassy znikła. Wysłano natychmiast w miasto szukać ją wszędzie, gdziekolwiek się znajdować i ukrywać mogła, lecz nadziei wielkiej nikt nie miał, aby kobieta, czując popełnionego morderstwa następstwa, czekała na niechybną karę. Nie popełniła go ona z własnego pomysłu pewnie, łatwo się było dorozumieć, kto ją do tego namówił, a dochodzić nawet do dna tej szkarady nie dozwalał srom, jaki ona na imię rodziny całej ściągała.

Laura pierwsza uczyła w tym rękę macochy, której szło o to, aby majątek zagarnąć mogła, a wyrzec tego obwinienia nie śmiała: nosiła imię jej ojca!

Eliasz płakał u zwłok swego pana, rozpadając się nad stratą niepowetowaną, lecz zarazem myślał już o losie Laury, bo Dobek przez całą noc mu powtarzał, ilekroć mógł przemówić: „Nie opuszczaj dziecka”. — I on pojął łatwo, czyją to nieszczęście było sprawą, i wszystko, co ono ciągnęło za sobą. Dobkowej trzymającej Borowce nieochybnie już wyrwać ich nie było podobna. Całą majątnością Laury pozostało to, co w kryjówce jemu jednemu wiadomej zachował stary.

Eliasz drżał na myśl, że on także niespodzianie mógł umrzeć, a skarb pozostałby przy tych, co sobie majątek przywłaszczyli. Ostygłe zaledwie ciało ubierając do trumny, starzec o dziecku powierzonym mu myślał i o środkach, jakimi mienie jego miał ratować.

Laura leżała bezprzytomna na rękach doktorów i Basi Tyszkówny. W całym domu zamieszanie panowało, jakie śmierć z sobą prowadzi. Cały ten dzień urzędnicy, doktorowie, szczupła liczba przyjaciół nie wychodzili stąd prawie. Regent nawet przybiegł, aby ocalić papiery i dowiedzieć się o szczegółach wypadku. Nie było komu kierować, myśleć, zająć się wszystkim, i poczciwy Tyszko przyjął energicznie cały ten ciężar na siebie, czyniąc niejaki porządek z ludźmi i pozostałością po nieboszczyku.

Na dwa dni przed opisanym wypadkiem zjawiała się ta nieszczęsna Lassy u starościny. Chociaż w ostatnich czasach miała nadspodziewane zarobki i trochę grosza w zapasie, trawiła

ją ta sama namiętność, która we wszystkich zgniłych a zepsutych społeczeństwach opanowywa próżniacze tłumy, Lassy grała namiętnie. Wcisnęła się do pomniejszych domów gry, w których, jak świadczą pamiętniki współczesne, dzieci nieraz widywano grające obok rodziców, i jednego wieczoru postradała do ostatniego grosza i ostatniego pierścionka. Nazajutrz jeść nie miała za co, a dowiedziawszy się przypadkiem o Dobkowej, poleciała do niej, aby bądź co bądź chwycić się tej ostatniej deski wybawienia.

Staroscina zrazu przyjęła ją bardzo chłodno, wręcz jakoś jednak zrozumiała, iż się nią posłużyć może, i pozwoliła jej zostać. Cały dzień trwały ponawiane rozmowy bardzo żywe, w których Dobkowa powtarzała tylko ciągle, iż nie wiedzieć by co dała, gdyby ją kto od tego grzyba uwolnił. Wyrazy te tyle razy obity się o uszy Lassy, iż na koniec skuszona nimi została i poczęła od zaręczenia, że ona by najłatwiej do tego domu mogła się wcisnąć.

Późniejsze rozmowy prowadzono tak cicho, iż nikt usłyszeć nie mógł. Lassy wyszła, wróciła, przyniosła coś z sobą, szeptano, naradzano się, pani Dobkowa była niespokojna, potem umilkło naraz wszystko i Lassy wyszła.

Późno w noc, właśnie był generał Satora wyszedł po długiej wieczerzy u Sabinki, gwałtownie zaczęto się dobijać do drzwi. Lassy rozczochrana, wylekła, prawie bezprzytomna wpadła do sypialnego pokoju starosciny. Wyprawiono Rózię, która sypiała obok i właśnie miała się kłaść do łóżka. Słyszała, odchodząc, rozmowę, krzyki, spór, potem szemranie, szepty, płacz... i na ostatek Lassy wybiegła z domu, a Dobkowa zaczęła wołać Rózię, aby do niej przyszła i przy niej położyła, bo pewnie zasnąć nie będzie mogła.

Rózia zastała swoją panią bladą jak ściana, drżącą, wystraszoną i chodzącą w zadumie po sypialni. Skarżyła się na straszny ból głowy.

— Takie jakieś mam okropne przecucia — odezwała się — ten generał tak mi głowę paplaniem rozbił, nie wiedzieć co to wygadawał! Teraz już zasnąć ani myśleć. Lassy mnie do reszty dobiła. Brzydka kobieta gra tak namiętnie, gdzieś się do grosza zgrała i przyleciała jak wariatka prosić pieniędzy. Musiałam dać, aby się jej pozbyć.

— A po co to ją pani przyjmuje? — przerwała Rózia. — Niechby sobie szukała gdzie indziej zarobku. Do czego się ona pani zdała!

— Ja też jej powiedziałam, że ostatni raz daję i żeby mi nigdy więcej nie wracała. Trzeba ludziom zakazać, ażeby jej nie puszczali, jeśli się tu zjawi.

Panią Dobkową zaczęła jakby febra jakaś trząść i towarzyszka jej wielki miała kłopot, nim ją ziólkami, kroplami i okładaniami nad rankiem jakoś nieco uspokoiła. Była tak roznerwowana, że na najmniejszy łoskot, krzyk, stuknięcie porywała się i leciała ku drzwiom jak obłąkana.

Potem usnęła ze znużenia i zbudziła się z krzykiem, wołając o ratunek, dosyć, że Rózia, która jej nigdy jeszcze taką nie widziała, w głowę zachodziła, co się z nią stać mogło. W południe przyjechał generał, ale go nie przyjęła, bo w łóżku leżała. Jednakże w pilnym interesie przybył, jak powiadał, i koniecznie widzieć się musiał. Wstała starościna i w szlafroku wyszła do gabinetu.

Generał, zobaczywszy ją, przestraszył się, tak była zmieniona.

— Co to starościnnie?! — zawołał.

— Chora jestem, bardzo chora...

— Uważałem, że wczoraj już w wieczór nie było bardzo dobrze. Ale cóż takiego? Może po doktora?

— A nie, nie, to... spazmy...

Generał dziwnie popatrzał na nią, milcząc.

— Hm — rzekł — chciałem coś powiedzieć, ale się już boję, żebyś pani nie rozchorowała się gorzej jeszcze.

— Czy co tyającego się mnie? — z obawą odezwała się Dobkowa.

— I bardzo nawet blisko — marszcząc brwi odezwał się Sapora. — Widziałem się tylko co z doktorem Werssem. Pan Dobek, mąż jejmości, umarł otruty!

Starościna krzyknęła i padła na sofę czy zemdlona, czy udając mdłości.

Generał nie porywał się do ratunku, czekał stojąc i chłodno patrząc na jęczącą kobietę, która z wolna do siebie przychodziła.

— Wiesz asindzka — odezwał się po chwili — jakoś ta śmierć tego Dobka przyszła bardzo w porę dla jejmości... ot! Gotowi ludzie gadać! Przyznam się, że ja będę musiał jakiś czas tu przestać bywać, póki się to nie zatrze.

— A zmiłuj się, generale, jeśli ty mnie opuścisz w tej okropnej doli...

— Kolacyjek dalibóg bym się już lękał tu jeść, gdybym asindzce na świecie zawadzał — szepnął z cicha Sapora. Chrząknął głośno: — Upadam do nóg, upadam do nóg!

I wyniósł się, jak mógł najprędzej.

Tegoż dnia po mieście rozpowiadano już głośno historię rodziny Dobków, lecz każdy ją układał na swój sposób.

Ponieważ w nią zamieszana była znana wielu piękność, pochodząca z bruku miejskiego, owa czarnooka Sabina, którą u boku matki znano jeszcze z Senatorskiej ulicy, niestworzone rzeczy dorzucano do tego dramatu, z przeszłości zapomnianej.

Lassy także, której imię głośno powtarzano, bo sądownie była ścigana, zwracała na siebie uwagę, a każdy o niej rozpowiadał, co wiedział, i było obficie czym ciekawych zaspokoić.

Począwszy od zamku aż do Solca i Powązek, tragiczna historia rozeszła się w mgnieniu oka; zapraszano na obiady tych, którzy ją najlepiej opowiadać umieli; generał, nie przyznając się do terażniejszych stosunków ze starością, był jednym z najszcześniejszych w powtarzaniu tej powieści i rozrywano go sobie, aby ją od niego, z jego ust usłyszeć.

On jeden nowymi i niezmiernie *piquants* szczegółami dramat ten wzbogacał, a dowcipnie umiał go obrobić. Wielki świat, nie mający nic do roboty, przeciągał cały tego dnia przed oknami domu, w którym dokonana była zbrodnia, mnóstwo osób wybierało się nazajutrz na pogrzeb, który duchowieństwo protestanckie prowadzić miało. Spodziewano się na nim zobaczyć córkę zmarłego, o której nadzwyczajnej piękności chodziły już wieści, bo ktoś odkrył, iż cna była ową Pauliną w *Polyeukcie*. Z tego powodu dowiedziała się też o wszystkim kasztelanowa i hrabia Artur. Co dziwniejsza, ktoś już umiał im powiedzieć, że panna była milionową dziedziczką. Hrabia Artur pamiętał to tylko, iż niebieskie jej oczy jedyne były na świecie.

Milionom zaprzeczała kasztelanowa jak najmocniej. We dwadzieścia cztery godziny obeszła całą Warszawę ta smutna historia i gdy nazajutrz karawan zaszedł przed dom żałobny, tysiące ludzi, mnóstwo powozów znalazło się wokoło. Tłoczono się, aby czarną, prostą trumnę zobaczyć, którą na wozie złożyli słudzy nieboszczyka. Niósł ją na ramieniu pierwszy stary Eliasz, chustką łzawie zakrywając oczy.

Podtrzymywana przez Basię Tyszkówną, Laura wyszła ubrana czarno, zakwefiona, chwiejąc się na nogach. Nie widziała nic, oprócz tej czarnej skrzyni, co jej ojca zabrała.

Wszyscy prawie wiedzieli, iż żona nieboszczyka znajdowała się, także w mieście, płątało ją nawet po trosze do wypadku. Niektórzy sądzili, iż się znajdzie na pogrzebie, lecz nie pokazała się wcale; przyszedł tylko, zapewne z jej rozkazu, rotmistrz Poręba i stanął z daleka.

Orszak żałobny, z muzyką, pochodniami i całą wspaniałością, na jaką obrządek protestancki zdobyć się może, pociągnął powoli, a lud, nasyciwszy ciekawość, rozplynał się, ażeby jutro zapomnieć o widowisku.

Powozy późnym wieczorem przywiozły Laurę i Basię z Eliaszem do domu. Stary sługa oświadczył swej panience, że najlepiej by zrobiła, gdyby się do Tyszków przeniosła. Dom, w którym tak tragicznie i nagle skończył ojciec, był nadto przykrym dla niej wspomnieniem, zostałaaby w nim sama. Bezpieczeństwo nawet wymagało, by póki się coś nie obmyśli, schroniła się pod przyjacielską opiekę poczciwych ludzi.

— Tym bardziej, panienko moja — dodał cicho Eliasz — iż ja was opuścić muszę!

— A toż dlaczego? Dla rodziny twojej?

— A nie! Bóg widzi! Nieboszczyk mi dał zlecenie do Borowiec, które spełnić mi pilno. Pozostały tam... różne rzeczy... te trzeba ratować, inne poniszczyć. Wątpię, by panna wróciła tam kiedy... ja także... boć jej nie opuszczę. Aron powinien pomóc. Starościny nie ma na miejscu, trzeba z tego korzystać...

Laura chciała, żeby Eliasz wypoczął. Potrząsł głową.

— A gdzie zaś odpoczywać! — rzekł łysinę gładząc. — Niech no później, nie teraz... jest co robić. Ja bym jednej minuty tam rad być i nazad powrócić.

Jak chciał, tak zrobił Eliasz, bo nazajutrz już go w Warszawie nie było. Popędził, jak tylko mógł najżywiej, do Borowiec, starając się tam przybyć w nocy i wprost do Arona.

Wiadomość o śmierci Dobka lament prawdziwy wywołała w całym domu poczciwego Izraelity, stary w pierwszej chwili wzruszenia, choć może nie godziło mu się to, z wielkiego żalu suknię na sobie rozdarł i płakał. Lecz chwili nie było do stracenia; wyszli na cichą, długą naradę do alkierza i siedzieli w nim prawie do dnia. Nazajutrz nikt ani mógł poznać, iż w gospodzie Eliasz siedział ukryty.

Dopiero następnej nocy zebrawszy co najwierniejsze sługi starego pana, wzięwszy z sobą Arona, Eliasz wyruszył ku zamkowi. Zarządził nim i całym majątkiem w niebytności wdowy, z ramienia jejznaczony, Będziewicz. Znano jego obyczaje i postanowiono mu potajemną straż, aby się ruszyć w nocy nie mógł, a na wypadek wszelki miano go zakneblować i związać, gdyby próg przestąpił.

Trzech ludzi zeszło do lochu z Eliaszem, który kryjówkę odemknął i przy sobie kufry ładować kazał. Wybrano największe i najmocniejsze i cały ów skarb, który wszystkich skrzyń nie wypełniał i nadebrany też był w ostatnich czasach, we trzech się pomieścił. Te natychmiast pod strażą Arona do stojącej w gospodzie bryki zanesiono. Ludzie, obficie wynagrodzeni, poprzysięgali najuroczyściej milczenie. Gdy kryjówka była pusta, Eliasz, odesławszy Arona, sam z dwoma ludźmi splądrował pokoje Laury i pozabierał z nich, co sądził, że jej miłe być mogło. Na ostatek zstąpili jeszcze do lochów i tam dobrą godzinę zabawili. Wyszedszy z nich Eliasz okopcony, znużony, ucałował swych towarzyszków płacząc i pośpieszył do bryki wyładowanej sprzętem i kuframi tak, że za kupiecką uchodzić mogła. Dla większego bezpieczeństwa jechał z nim Aron i dwóch z Borowiec starych dworaków.

Nade dniem pośpieszając, jak było można, aby nocą się jeszcze w lasy dostać, przy znajomości drogi i miejsc, z ostrożnościami wielu, dobili się do niwy, na której odpocząć mogli.

Szarzało właśnie, ale od strony Borowiec na niebie wypogodzonym podniósł się najprzód słup dymu ogromny, a w chwilę potem łuna oświeciła widnokrąg. Słaba w początku, zwiększała się, rosła, rozszerzała i zajęła całą tę stronę nieba, gorejąc tak silnie, iż poranku światło długo gasiła.

Gdy słońce wzeszło, czerwoność ta zamieniła się w bure dymy, które unosiły się szeroko nad lasami, a zgorzeliznę w lesie silnie czuć było. Aron, Eliasz i wszyscy w milczeniu, ze łzami w oczach patrzyli na ten pożar, wiedząc, co się pali.

Około dziesiątej rano nadbiegł konno wnuk Arona.

Rzucili się wszyscy ku niemu.

Opowiadał, iż nad ranem nie wiedzieć z jakiego powodu powstał na zamku pożar dziwny, bo zdawał się z lochów pochodzić. Wszystkimi otworami ich buchały najprzód dymy, potem płomienie. Od nich zajęła się brama mieszkalna, stajnie, potem nawet zabudowania folwarczne, a nie było komu ratować, bo nikt do ognia iść nie chciał. Będziewicz ze swoimi kilku smołochowcami ledwie swoje węzłki mógł uratować. Z mieszkania pańskiego, na którym już był dach runął, zostały, jak mówił posłaniec, mury tylko.

W wielu miejscach sklepienia się pozawałały i zionęły ogniem. Groby także miały być spalone, a w miejscu gdzie były ogródki Laury, pozapadała ziemia i wygorzały jamy głębokie.

Ludzie smołochowscy w pierwszym popłochu chcieli uchodzić do domu, ledwie ich Będziewicz powstrzymał.

Bito we dzwony w kościele i w cerkwi, bo plebania też była zagrożona, i tu zebrała się kupka ludzi na ratunek probostwa i kościoła, ale do dworu nikt iść nie chciał.

Będziewiczowi stary jeden wprost powiedział:

— A po co? Stary nasz pan poczciwy nie żyje, panienki naszej nie ma, dla przybłędów, co majątek zrabowali i przywłaszczyli, mamy dach ratować? Bodaj i oni tak z dymem poszli jak to, co nam było drogie!

Będziewicz chciał się do starca porwać, lecz go powstrzymali inni, nie było bezpiecznie...

Wypocząwszy na polanie, bryka Eliaszowa znajomymi drogami powlokła się dalej w las, a w Borowcach tak poczciwie tajemnicy dochować umiano, iż nikt z obcych o bytności starego sługi na zamku nie wiedział.

Nazajutrz oglądając zgorzeliska, musiał się ksiądz Żagiel czegoś domyślać, bo do rozwalonych murów zaglądając zobaczył loszek ów w skarbcu z bokiem otwartym, a wiedział od rotmistrza, że tam próżno kryjówki szukano wprzód. Ponieważ ogień to miejsce pod sklepieniami najmniej był uszkodził, ksiądz rozpatrując się świeże znalazł znaki bytności i

roboty ludzkiej. Ciężkie kufry ciężkie porysowały wschody, mur był jakby tylko co poobijany, papiery różne porzucane, z ponotowanymi sumami...

Po bliższym rozpatrzeniu, ogień widocznie się pokazywał podłożonym ze wnętrza. W zborze, gdzie książki, papiery i różne drzewo mocno gorzało, sklepienie się spękało tak, że kaplicę i salę z góry widzieć było można. Ksiądz kanonik z podziwienia wyjść nie mógł, dopatrzwszy tych tak długo a starannie ukrywanych tajemnic. Z jego rozkazu wydobyto nie stopiony kielich i kilka nie dopalonych ksiąg. Były to żywe dowody tego skrytego kacerstwa, które dopiero pożar odsłonił.

Zamek leżał już teraz w ruinie na wieki pewnie, gdyż mury jeszcze cały następnego dnia kawałkami z łoskotem wielkim waliły się, a ogromny ich ciężar trząsał sklepienia tak, że gdzie dawniej bezpiecznie przechadzać się było można, teraz kroku kanonik nie mógł zrobić, bo mu się spod stóp usuwały gruzy. Paliło się do wieczora, gorzało następną noc i lejąc wodą, ledwie trzeciego dnia zupełnie wygaszono tlejące w głębinach reszty drzewa i sprzętów.

Ksiądz Żagiel uważał to zniszczenie za jawny znak pomsty bożej nad kacerzami, których gniazdo, jak Sodoma i Gomora, ogniem strawione zostało.

Prawie równocześnie z potajemnym wyjazdem Eliasza, Będziewicz przerażony strasliwym pożarem, który zamek zniszczył do szczytu, namyśliwszy się i za poradą księdza Żagla wyruszył z doniesieniem do pani do Warszawy. Szkody były tak znaczne, a rozprzężenie w gospodarstwie od niejakiego czasu tak się mocno czuć dawało, iż mimo całej swej energii młodzieniec ten nie mógł sobie dać rady.

Dniem i nocą zdążając do Warszawy przybiegł nareszcie, gdy już pani Dobkowa, nieco ochłonawszy z pierwszego wrażenia i strachu, włożywszy żałobę, w której bardzo jej było do twarzy, rozmyślała, czyliby jako strapiona wdowa, nieszczęśliwa sierota bez opieki, jeszcze ze swego położenia nie mogła jakiego uczynić użytku. Generał dotąd wstrzymywał się od uczęszczania do jej domu i o sobie znać wcale nie dawał, innymi wszakże drogami spodziewała się niezawodnie pani Dobkowa wyzyskać sobie posiadanie Borowiec choćby czasowo, które rachunkami przeciągać by się dało do nieskończoności. W istocie, rada pana generała co do ucieczki Dobka była może trafna, ale w wypadku śmierci nie przewidywała praw córki i reszty rodziny Dobków do pozostałości. Pan Tyszko widząc, że z Laurą nie ma co o tym mówić, wysłał zawiadomienie do Konopnicy.

Tymczasem przybyły Będziewicz, którego sam widok przeraził wdowę, bo jej coś nadzwyczajnego zwiastował, na pierwsze pytanie, z czym przyjeżdża, oznajmił, iż Borowce, zamek i dworskie zabudowania ze szczytem spalone zostały. Dodawał, iż nie było wątpliwości najmniejszej o podpaleniu, pożar bowiem wybuchł nagle z podziemi

zamkowych. Na tę wieść, bez ogródki jej przyniesioną i rzuconą bez przygotowania, Dobkowa mdleć zaczęła ze spazmatycznym krzykiem, a Rózia i Będziewicz ratować ją musieli.

Dotknęła ona nieszczęśliwą niewiastę silniej pewnie niż wiadomość o śmierci męża. Z załamanyimi dłońmi padła w krzesło płacząc i zachodząc się. Dopieroż nastąpiły mnogie pytania o poniesionych szkodach, o szczegółach tego nieszczęścia, o dacie i trwaniu ognia, o tym, co potrafiono ocalić, a czego było bardzo mało. Będziewicz przywiózł i list księdza kanonika z opisem pogorzeli a domysłami jego o jej przyczynach i o wypróżnieniu skarbczyka.

Ta nowa klęska dotknęła tak panią Dobkową i wyrwała ją z apatii, w której jakiś czas wyczekiwała wypadków, iż nie oglądając się na to, jak będzie przyjęta, postanowiła jechać do generała.

Sapory nigdy nie można było zastać w domu, nie przyjmował u siebie i starał się być tam jak najmniej. Ode drzwi więc odprawiono ją grzecznie, odpowiadając, iż nie mogą przewidzieć dnia ani godziny, gdy generała zastać by mogła. Przygotowany list zostawiwszy, pani Dobkowa powrócić musiała. Prosiła ona w nim generała, ażeby do niej przybył co najrychlej.

Ponieważ ze sprawy Lassy, którą ścigano listami gończymi, żadna odpowiedzialność nie spadała na panią Dobkową, generał udobruchał się, nabrał odwagi i przybył do niej wieczorem. Wdowa miała się czas namyśleć nad postępowaniem względem niego i przywitała go chłodniej niż zwykle.

— Darujesz mi, moja królowo — rzekł generał na wstępie — jestem w takim położeniu, iż najmniejsza kompromitacja mogłaby mnie zgubić, mam wielu nieprzyjaciół, potrzebuję być bardzo ostrożnym. Wiadomo powszechnie, iż ta nowa Brinvillers bywała u asindźki...

— Bywała przecież w tysiącu domach w Warszawie... — odezwała się Dobkowa.

— Tak, ale struła tylko jednego męża jejmości dobrodziejki — odparł generał. — Łajdaki te, adwokaty, mają przysłowie, którego szczęściem asindźka, nie rozumiejąc po łacinie, nie znasz: *Is fecit, cui prodest*. Ten to zrobił, komu służy. Mogliby z tym daleko zajść.

— Ale cóż to mnie obchodzi! Co to się do mnie ma ściągać!

— Przypuszczam chętnie, iż w tym udziału mieć nie mogłaś — dodał Sapora — ale zbyt gorliwość głupiej kobiety wyprzedziła może jej... życzenia, w tłumaczeniu mogłaby te życzenia przypomnieć... i koniec końców skompromitować.

— Przecież jej nie ma nawet!

— I daj Boże, aby resztką tego proszku sukcesyjnego sama się poczęstowała — rzekł generał — jest to, co by mogła najrozumniejszego uczynić.

— A wiesz pan, co mnie za nieszczęście spotkało?

— Czy jeszcze co nowego?

— Podpalono dwór w Borowcach i zniszczał zupełnie.

— A to fatalnie — odparł Sapora — chociaż na miejscu waszym, szanowna starościno, ja bym to wyzyskał, bo już ciś mogłaś tam mieć ogromnego szacunku swoje sprzęty i ruchomości, co ci się do zwrotu należy. O interesie mówiłem z prawnikami, radziłem się, powiadają: zawsze córka coś wziąć musi, ale nie mniej i wy. Tymczasem zaś majątek trzymać i wytrzymywać będziecie. Na to przywilej, czyli też wyrok da się wyrobić za jakie tysiąc dukatów, ale trzeba dobrze chodzić, bo są inni Dobkowie, a ci przyjdą też z pretensjami i w obronie praw swoich.

— A gdybyś mnie generał przedstawił najjaśniejszemu panu? — zapytała wdowa.

Sapora popatrzał na nią i rozśmiał się.

— E, kochana Sabinko — zawołał — jeśli myślicie, że jego tak łatwo oczkiem ująć jak nieboszczyka pana Dobka, to się mylicie! Widzi on co dzień uśmiechających mu się gąbek bez miary, myślę, że to go prędzej już nudzi, niż bawi. To się na nic nie zdało i pieniędzy ci nie oszczędzi. Będziemy chodzili około interesu w inny sposób. Jedną bym rzecz doradził tylko, jeśli możliwa, żebyś waćpani przez dobrą politykę choć spróbowała zbliżyć się do córki nieboszczyka...

— A, uchowaj Boże! — krzyknęła starościna. — Ona mnie ani przyjąć, ani mówić ze mną nie zechce!

— W takim razie pójdzie to też na waszą korzyść. Będiesz waćpani miała za sobą, że pierwsza pragnęłaś zgody, że od niej nie odbiegasz, i że cię do kroków tych zmuszono.

Dobkowa zamilkła.

— Widzisz, moja dobrodziejko — dodał z szatańskim uśmiechem Sapora — gdy się ma komu stołka podstawić, trzeba zawsze tak rzeczy stroić, by się wydawało, iż się go siedzieć prosiło; gdy się robi dla siebie, niech się zdaje, iż z najczystszych pobudek poświęcenia!... Co acani chcesz? — rzekł. — Świat stoi na takich szalbierstwach i znam ludzi, co za Arystydesów uchodzą, choćby dawno stryczka byli godni.

Wdowa oceniając wysoką politykę swojego mentora, nic odpowiedzieć nie mogła.

— Już to z ariańskiej beczki trudna co zaczerpnąć, wszystko ze zgonem jegomości się skończyło. Procesa kryminalne z nieboszczykami się też nie prowadzą; ale *beatus, qui tenet*.

Jejmość trzymasz majątek i umiejac chodzić koło tego, mozesz go wytrzymywac do nieskonczoności, coś kapnawszy dla córki.

Po dłuższej jeszcze, równie praktycznej naradzie z panem generałem, Dobkowa pożegnała odjeżdżającego prośbą, aby o niej nie zapominał, a sama nazajutrz, choć z wielkim dąsaniem i rzucaniem się przeciw nieznośnemu przymusowi, kazała konie zaprząć, by Laurę odwiedzić. Ludzie jej doskonale wiedzieli, gdzie się znajdowała.

W południe tedy zaszła kareta i Dobkowa w grubej żałobie wyruszyła do dworku Tyszków. Gdy powóz zatoczył się przed ganeczek, a służący poszedł oznajmić o swej pani, długa minęła chwila, nim przyniósł odpowiedź.

W istocie, Laura nie mogła od razu pojąć zuchwalstwa tych odwiedzin, nie dowierzała uszom, gdy jej tę wizytę oznajmiono. Byłaby może sługę w gniewie odprawiła nie wiem jak, gdyby nie pośrednictwo Basi, która zastępując ją kazała powiedzieć, że pani chora. Kareta potoczyła się, krok był zrobiony. Dobkowa mogła już głosić, iż wyciągnęła rękę, ale została odtrąconą. Cel był osiągnięty.

Tyszko, nie wiedząc wcale o stosunku Laury do Dobków Konopnickich, wyprawił ku nim potajemnie list z oznajmieniem o tragicznej śmierci pana Salomona. W chwili, gdy tam spodziewano się wiadomości cał innej, przeraził posłaniec przynoszący złowrogą nowinę; chorąży ruszyć się nie mógł, Honory nastęrczał i śpieszył, tak że Zosia urażoną się nawet czuła tym pośpiechem, w chwili gdy miała wielkie prawo żądać, by pozostał przy niej, będąc bliską słabości.

Tłumaczył go nadzwyczajny wypadek i nagłość interesu.

Wyjechał więc, mimo łez Zosi, tegoż samego dnia, wziął konie pocztowe i przybył wprost do dworku Tyszki. Laura od śmierci ojca jedyną pociechę znajdowała w Biblii i siedziała w niej zatopiona, sama jedna, gdy ujrzała przed sobą Honorego, który zobaczywszy ją tak zmienioną i bladą, padł na kolana przy powitaniu, korzystając z tego, że nikogo nie było.

Laura też, zapomniawszy się chwyciła go za głowę i pocałowała w czoło, ale natychmiast, opamiętawszy się, odepchnęła. Wstała odrzucając włosy i załamawszy ręce, zawołała:

— Dotknął mnie Bóg! A, strasznie dotknął, może za karę... Śmierć, niczym by była śmierć, ale taka, jaką on poniósł, męczeńska, straszna, której obraz i pamięć nie wychodzi mi dotąd z myśli. Biedny ojciec! Przeczuwałam to dawno, ale do dna przepaści oko sięgnąć nie śmiało. Co ja teraz pocznę z sobą?! — zawołała. — Gdzie się podzieję?

— Ale nasz dom jest twoim — przerwał Honory, a Laura, usłyszawszy to, potrząsała głową i rękami.

— Nie, nie — rzekła — to być nie może, ani do Borowiec nie wrócę, niepodobna mi, choćby tam nawet nie królowała ta nienawistna kobieta, która śmiała grać rolę wspaniałomyślną i przyjeżdżała tu do mnie. Ona! Do mnie! Brońcie waszego majątku — poczęła żywo — bo ja go ani wezmę, ani korzystać będę z tego cmentarza moich najdroższych pamiątek, ale nie chcę, by go profanowały ręce tej przeklętej, które śmierć zadały ojcu mojemu.

— Jak to? Ona?

— Nie rękami, lecz... natchnieniem pewnie była współuczestniczką tej zbrodni. Któż może wątpić o tym? Co miała za interes ta jędza, jej posłannica, spełniając takie morderstwo na starcu bezbronnym?

— A! To okropnie! — rzekł Honory. — Tego nawet odsłonić niepodobna...

— Aby plamy na imię, które nosi jeszcze, nie ściągnąć. Lecz wygnać ją stamtąd, lecz wydrzeć jej to, co nieprawnie posiada, wy macie obowiązek i prawo — dodała Laura. — Do tego wzywam chorążego i ciebie, zrzekając się nawet praw do spadku.

— Ale ty sama... — szepnął Dobek.

— Mnie nie potrzeba wiele, a mieć będę więcej, niż mi potrzeba. Borowce wasze, jeśli je odebrać potraficie...

Po chwili milczenia Honory zbliżył się, chcąc ją uspokoić.

— Przekaż interes panu Tyszcze — rzekła po chwili — a sam powracaj. Dla Zosi i dla mnie nie życzę sobie dłuższego pobytu waszego. Nie umiem kłamać, mój Honory... miłym byś był dla mnie, ale każdy dowód twego przywiązania jest odkradzionym ze skarbonki biednej Zosi. Nie chcę, byś ty był złodziejem dla mnie, a ja...

— Przecież choć w tej chwili żałoby — odezwał się chorążyc — wolno mi przynieść ci pociechę, otuchę i pomoc...

— Życie moje niepokieszonym już być musi — rzekła Laura — takie przeznaczenie. Miałam szczęśliwe dni dzieciństwa i ich wspomnieniem żyć będę.

— Lecz nie pozostaniesz tu przecie? — spytał Honory.

— Nie wiem, co uczynię z sobą, rzecz to obojętna teraz. Wszędzie, gdzie będę, poniosę z sobą dolę moją... mój Honory, niechże jej nie obciążają zgryzoty i wstyd samej siebie, niech zostaną godną mojego dobrego ojca i tego ideału, jaki sobie dla Laury wymarzyłam w młodości.

Honory stał milczący, poglądając na nią z boleścią.

— Życie się moje skończyło dla mnie — rzekła — trzeba je zużytkować dla ludzi.

V

W Tepperowskim Banku, który naówczas był jednym z najświetniejszych w Europie i miał jeszcze kredyt prawie nieograniczony, przy pulpicie, z piórem w ręku nad ogromną księgą, którą jeszcze dziś jako osobliwość widzieć można złożoną w archiwach Królestwa, stał średniego wieku mężczyzna ubrany według najostatniejszej mody i ziewał.

W oddaleniu rzędem idące pokoje pełne były zajętych kancelistów przy pulpitych i stołach. Ów pierwszy komisant Tepperów, w bardzo starannie ułożonej peruce, w pończochach i trzewikach, z batystową chusteczką zatknietą za kamizelkę, przestępował z nogi na nogę, patrzył w okno, spoglądał na zegarek, tupał niekiedy niecierpliwymi nogami, maczał pióro i na końcu jego przeciw światła szukał włosa, kładł je i brał znowu, ale ostatecznie nie robił nic.

Ze stolika obok stojącego chwycił list z kupki na nim przygotowanej, patrzył nań oczyma osowiałymi i rzucał nazad, nie wiedząc, jak się zdaje, o co chodziło. Z dziesięć razy przeszedł się po pokoju i wrócił do pulpitu, tyleż zaglądał na kameryzowany zegarek z łańcuszkiem wysadzonym brylantami, poprawiał i odgarniał mankietki. Każda z tych czynności kończyła się takim ziewnięciem, iż godziło się chyba domyślać nocy spędzonej na maskaradzie w pałacu Radziwiłłowskim.

Gdyby nie stał przy pulpicie i kiedy niekiedy nie trzymał pióra, nigdy by się domyślać nie było można, że grał tu jakąś czynną rolę w banku, bo na biuralistę pracowitego nie wyglądał wcale.

Prawda, że i Bank Teppera nie był podobny do tych innych zagranicznych, w których od kilku pokoleń jedne meble, stoły i zestarzały oficjaliści z regularnością zegarka biuru służyły. Tu wszystko było tak elegancko i fantastycznie jak naówczas u nas wszędzie, a wesoło, a ochoczo. Pieniądze sypały się i wysypywały przy odgłosie radosnych uśmiechów i oklaskach publiczności, rachunki prowadziły się od niechcenia, a biuraliści Teppera byli ludzie z gustem i wykształceniem. Nikt tak nie tańczył menueta i kadryla jak oni. I nie byli to starzy nudziarze, drobnostkowi w rozpatrywaniu bagatelnych rzeczy, lecz ludzie bardzo przyzwoici, salonowi, po przyjacielsku zajmujący się pieniędzmi publiczności. W teatrze, na balach, przy stolikach gry mogłeś ich spotkać, zapoznać się, zbliżyć z nimi i nawet czasami zrobić mały interesik jaki.

W biurze sam Tepper nie pokazywał się prawie nigdy, synowie nogą w nim nie postali. Za to ekwipaże jego i ich, i pani, i tych pań, które były w przyjaźni ze starym i z młodymi, za

najświetniejsze w Warszawie, ich stajnie za najpiękniejsze, ich obiady za najwytworniejsze uznane były.

Pierwszy komisant Tepperowskiego Banku musiał na coś oczekiwać, bo widocznie był niespokojny; kwadransy upływały nadaremnie.

Na ostatek wszedł jegomość niepoczesny, otyły, starą modą ubrany, przygarbiony, a elegant od biura poskoczył ku niemu.

— A cóż? — spytał. — A co?

— Rzecz jeszcze niezupełnie zdecydowana, ale prawdopodobnie wpłynie do kasy ten kapitał.

— Cały? — spytał chciwie elegant.

— Wątpię, bo chcą coś kupić.

— Na cóż mają kupować? Po co? Majątki stoją wysoko, procent dają lichy!

— Chcieliby pewności.

— Jakaż większą im może kto dać nad Tepperowski Bank! — zawołał elegant z dumą i szyderskim podziwieniem, iż ktoś na świecie mógł tę prawdę nad słońce jaśniejszą podać w wątpliwość. — Ale, mój panie — dodał skwapliwie — my się nie nabijamy, nie wpraszamy, pieniędzy mamy aż nadto, nie wiemy, co robić z nimi, czynimy im łaskę, przyjmując sumę tak znaczną, która rozchwyтана przez innych, narażona być może na stratę. Zresztą, jak sobie chcą, jak sobie tam chcą!

I począł widocznie zmieszany, ręce włożywszy w kieszenie, chodzić po pokoju.

— Waćpan mnie może nie zrozumiałeś — rzekł po chwili — musiałeś postąpić sobie nietrafnie. Nie należało się nabijać, ale uczynić tak, by oni sami nas prosili o przyjęcie.

— Właśnie się to w ten sposób robiło — odparł stary. — Jak tylko się dowiedziałem o kapitale, na który szukano pewnej lokaty, natychmiast przez trzecie osoby poddałem myśl lokowania u Tepera, rzucając nawet wątpliwość, czy Tepper przyjmie. Tymczasem ktoś inny poddał im kupienie majątku.

— To ich otną! Facjendarze podadzą im inwentarz przesadny, na grunt nikt nie zjedzie, pochwyć pieniądze i na tym się skończy. Waćpan powiadasz, że to tam jedna panna ma wszystko w rękę? Czyż nie ma opiekuna? Czy nie ma krewnych? Doradców? Około tych by chodzić trzeba, żeby w interesie ludzkości nie dać jej uczynić krzywdy.

— Tak! Tak! W interesie ludzkości — powtórzył niepoczesny jegomość. — Ja też to w ten sposób im mówiłem. Rzecz jeszcze nie zdecydowana, ale dziś pewnie się rozstrzygnie.

— Od kogoż to zależy?

— Jest tam pewny dziwak, Tyszko, jest archiwista regent, także niejasna figura, i młody krewniak panny Dobkówny, z Konopnicy. Ale podobno sama tam panna wyrokuje, choć jeszcze bardzo młodziuchna, a mówią, energiczna i rozumna.

— Tego Dobka, co to go otruto...

— Córka... tak — rzekł niepoczesny — piękna bardzo panna.

Szczęśliwy kawaler, co jej rączkę pochwyci. Parę milionów w złocie i osoba urody wielkiej a rozumu szczególnego.

— Któż im dobra stręczy? — zapytał niecierpliwy elegant — to chyba nieprzyjaciel. Któż teraz kupuje ziemię?

— Wszystko im to mówiłem: iż ziemia na nic, że teraz przemysł, mości dobrodzieju, grunt, banki, giełdowe obroty, ale oni tego nie rozumieją, to są ludzie ciemni.

— I z ciemnoty ich ktoś skorzysta! — zawołał elegant. — Ale idźże waćpan tam nazad, nastęrczaj się, podchodź i w interesie ludzkości obroń ich od rabusiów.

Niepoczesny jegomość stał przed progiem poprawiając pasa.

— A jeżeli się uda... tam? — spytał. — To...

Elegant, spojrzawszy nań, resztę nie dopowiedzianą z oczu wyczytał; przystąpił doń blisko i rzekł cicho:

— Ćwierć procentu, to jest zawsze bardzo piękna sumka!

— Bardzo piękna sumka, nie przeczę — gładząc nie ogoloną od dwóch dni brodę, szepnął niepoczesny — nie ma słowa, lecz i interes też nieszpetyny!

— Cóż waćpan myślisz, iż dla Teppera tych nędznych trzykroć sto tysięcy czerwonych złotych?

— Przepraszam pana Salezego, nie są one wcale nędzne — rzekł niepoczesny — nawet dla Tepperów i Szulca.

Elegant ruszył ramionami.

— Pół procentu — przebaknął stojący w progu — tam?

— To się obejdziemy bez tego! — zawołał elegant.

— Do nóg upadam — kłaniając się, chłodno dosyć odezwał się niepoczesny — nóżki całuję.

Już miał wychodzić, gdy komisant za nim poskoczył, spozierając na zegarek:

— Waćpan jesteś wydrwigrosz. Jak to można? Jak to można żądać takich datków, gdy my im łaskę robimy? Gdy wspaniałomyślnie pańską pracę oceniamy i przez wzgląd...

Wstrzymawszy się w progu, rękę położywszy na kłamce, niepoczesny słuchał impetycznej mowy eleganta, a w końcu śmiechem parsknął. Scena się zmieniła, elegant

zacofał i zaczerwienił, niepoczesny z innego począł tonu, ale cichutko, aby rozmowa do drugiego nie dochodziła pokoju.

— Kogóż jegomość chcesz durzyć? He? Kto tu wydrwigrosz!

He? Wolno tym żółto brzuchom nie wiedzieć, jak wy stoicie, i w Teppera wierzyć jak w Pana Boga, ale ja jestem mały człeczyna, biedota i umiem przecież rachować! Gdybyście nie byli bankructwa bliscy, z czegoż byś waćpan utrzymywał konie i panienki? Z czego by stary Tepper dostarczał na marnotrawstwa pani B... a pani Tepperowa panu K...? Z czego by synowie konie po pięćset dukatów płacili? Czym byście wy grali i skąd na przegrane starczyli?

Widząc, że elegant stał struchlały ze strachu, by go w drugim pokoju nie usłyszano, niepoczesny mówił ciągle:

— Ja się będę tylko śmiał, gdy wszystkich trutniów i marnotrawców, i bogaczów wpędzicie w matnię! Dobrze! Niechaj pracują! Niech razowego chleba spróbują! Niech też rączki namulać raczą! Mnie to wszystko jedno. Ich zrujnować wam wolno, a mnie biedaka krzywdzić, wara! Nie godzi się! Jać wam służę, a chcecie zbyć mnie psim swędem, niedoczekanie!

Miał już wyjść i drzwi za sobą zamknąć, gdy elegant go dopadł.

— Czyś waćpan oszalał?! — zawołał.

— Nie, przy zdrowiuteńkich jestem zmysłach, wierzcie mi, i dlatego nie zrobię nic, aż mi zapłacicie, jak należy.

— No! No! — klepiąc go po ramieniu i uśmiechając się, odezwał elegant. — To i to były żarty, waćpan się na tym nie znasz. Da się, ile należy, zgoda! Mniejsza o to.

— W interesie ludzkości! — po cichu zakończył przybyły. — A zatem idę do roboty. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

To pozdrowienie po tej rozmowie dziwnie brzmiało, elegant na nie odpowiedział ukłonem tylko.

W kwadrans potem zahuczało przed oknami, i czterokonny faeton zaprzężony angielskimi końmi, z liberią o herbach wydatnych, zatoczył się przed ganek, a z niego wysiadł mężczyzna już niemłody, pańsko a raczej spanoszało wyglądający, z maltańskim krzyżykiem u fraka. Elegant stanął co najprędzej przy pulpicie, umoczył pióro i przyłożył je wnet do papieru; drzwi się otworzyły, przybyły wszedł głośno i posuwisto.

Był to sam Tepper, głowa domu.

Zbliżył się do swego pierwszego komisanta, oglądając niespokojnie po pokojach, przystąpił doń tak, że prawie do ucha mu rzucił:

— A co? A co?

— Jeszcze nic. Tylko co był tutaj ten, co się o to stara, furfant to... chce już pół procentu.

— Daj mu cały, ale na miłość Bożą, potrzeba chwycić ten kapitał. Waćpan wiesz, nie potrzebuję mówić. Za granicą zachwiany kredyt, potrzeba naprawić, w kraju także pilniejsze, krzyczące należności zapłacać, choćby procenta... a kasa jest próżna.

— Prawie, to prawda.

— Więc nie ma się co drożyć.

— Zgodziłem się na pół procentu. Najgorsza rzecz — dodał po cichu elegant — iż już pono całych trzechkroć nie oddadzą. Chcą dobra kupować.

— Należało im to odradzić.

— Z tym poszedł właśnie.

— Ale kiedyż się to rozwiąże?

— Myślę, że dziś jeszcze. Tak znacznych sum w domu trzymać nie chcą.

— Bardzo słusznie! — Tepper zatarł ręce. — Pracuj waćpan nad tym, wszystko zależy od tego kroku, zaufanie powróci, *nous payerons a bureaux ouverts* przez parę dni, potem nam pieniądze nosić będą więcej niż potrzeba.

To mówiąc, Tepper wbiegł już do drugiego i trzeciego potem pokoju, kłaniając się z lekka swym biuralistom, dobył zegarka, spojrzął na listy przygotowane dla niego, zabrał je do kieszeni, zawrócił się, przeszedł śpiesznie wszystkie pokoje nazad, pożegnał eleganta i skoczywszy do powozu, odjechał.

Zaledwie powóz odszedł od zamku, gdy już drugi się zatoczył. Był on równie wytworny jak pierwszy, a tym się różnił od niego, iż młody człowiek w nim siedzący sam powoził. Oddawszy cugle masztelarzowi, wyskoczył i wpadł do biura, witając eleganta wesołym uśmiechem.

Poklepał go po ramieniu, odprowadził do okna, poszeptał coś do ucha i dokończył głośno:
— Tylko prędko.

— Niepodobieństwo! — zawołał elegant.

— Ale proszę cię, taka bagatela!

— Tak, istotnie, bagatela, lecz dziś właśnie mamy ich tyle...

— A dla mnie? Mój drogi! Ojciec tu był przed chwilą?

— Był, i właśnie...

— Nieznośny stary! Traci na tę Karolinę, a my musimy głód cierpieć!

Elegant się rozśmiał.

— Czyż głód?

— Naturalnie, że głodem to nazywam, bo kogo wychowano do pewnych wygód, należy mu ich dostarczać, *c'est strictement logique!* A więc?

— Dziś, słowo daję, nie mogę!

— Cóż ja pocznę? Biorę cię za sędziego, dług honorowy!

— Trzeba się udać do ojca.

— Gdzie ja go znajdę? Lata po mieście, oddaje wizyty. Wiesz, daje wielkie śniadanie.

Elegant, nie odpowiadając, stał w miejscu, dosyć znudzony.

— Więc jakże będzie?

— Nie mogę.

— Niechże cię kaduk porwie! — krzyknął, wybiegając, młodzieniec, trzasnąwszy drzwiami za sobą.

Przez okno elegant popatrzał tylko i ziewnął.

Godzina obiadu jego na Tłomackiem zbliżała się. Chciał bardzo wyjść z tego nudnego biura od ciężkiej nad miarę pracy, a coś go tu jeszcze snadź przytrzymało. Na ostatek znudzony brał się już do kapelusza, gdy znowu zaturkotało. Powóz podobny do Tepperowskiego, w którym siedział mężczyzna i młoda, nieładna, lecz bardzo wykwintnie ubrana, mała, zręczna i ruchawa kobiecina, zatrzymał się przed zamkiem znowu. Na twarzy eleganta znać było, że żałował tego, iż się nie wyniósł zawczasu. Chciał nawet wybiec i skryć się w sieni, gdy wpadł młody mężczyzna z kapeluszem na głowie. Był to Szulc, zięć Tepera i współnik.

— A dobrze, żem waćpana zastał — zawołał — tysiąc dukatów! Trzeba mi zaraz tysiąc dukatów, tylko prędko!

Biuralista stał zmieszany z początku, potem nagle dobył zegarka i wskazał godzinę.

— Kasa zamknięta.

— Ba! Dla mnie?

— Kasjera nie ma.

— A cóż znowu! — krzyknął Szulc. — Jakież u was porządek, proszę cię?

Elegant zamilczał.

— Więc, bardzo dobrze — dodał Szulc z wyraźnym nieukontentowaniem — to mi je proszę przysłać po południu.

Popatrzeni na siebie, komisant ruszył ramionami.

— Dlaczego mi nie odpowiadasz? — zapytał Szulc.

— Cóż panu powiem? — rzekł biuralista. — W tej chwili są ogromne wypłaty, od których kredyt domu zależy. Z zagranicy chybiły nam wpływy; bank holenderski, który wczoraj miał nadesłać, milczy, tymczasem nas tu napierają. Niepodobieństwo...

— Ale, mój panie, tysiąc dukatów dla Teppera i Szulca! Cha! Cha!

— Są chwile... — odezwał się elegant.

— *Mais cela n'a pas le sens commun! Tout le monde puise a la caisse*, a gdy ja przychodzę z taką fraszką...

— Być może, iż jutro rano...

— A ja potrzebuję dziś! — podchwycił Szulc. Komisant zmilczał.

— Gdzież jest le chevalier Tepper?

— Był tu przed chwilą.

— Muszę się z nim rozmówić, bo widzę, że z waćpana nic nie dobędę.

— Szczególniej pieniędzy, dziś to istne niepodobieństwo — odezwał się elegant. — Trzeba mieć trochę cierpliwości.

— Miałem jej aż do zbytku, teraz jednak zaczyna mnie ona opuszczać — dodał Szulc, nakładając kapelusz zdjęty przed chwilą.

I bez pożegnania powrócił do powozu, w którym kręcąc się oczekiwała nań młoda kobiecina.

Patrzył na zawracający się powóz, szczęśliwy, że się uwolnił, monsieur Louis, i już rękawiczki nakładać zaczynał, gdy jeszcze raz się drzwi otworzyły. Hajduk tak wysoki, iż ledwie się mieścił w nie, wiódł pod rękę mało co mniejszego, niż sam był, pana, w stroju paradnym, ze wstęgą, ale w aksamitnych ciepłych butach i o lasce. Długa nad miarę, nalana twarz, którą podgolona czupryna jeszcze czyniła na oko ogromniejszą, z podstrzyżonym wąsem, oczyma wypukłymi, nosem rzymskim wielkiego kalibru, miała wyraz okrutnie pański i rozkazujący. Powoli rękę zgrubiałą podniósł do czapki, przypatrując się elegantowi z pewnym rodzajem pogardy.

— Kto acan jesteś? — zapytał.

— Jestem głównym urzędnikiem banku panów barona Teppera i Szulca.

— Barona? Kiego diabła? Jakiego barona? Hę? — spytał gruby, którego hajduk prowadził do kanapy.

— A tak... przecież wiadomo...

— Komu wiadomo? Trzeba było ogłosić przez gazety — mówił, sapiąc, otyły jegomość.

— A gdzież sam ten baron Tepper?

— Pan baron rzadko tu bywa.

— Nie raczy? Hm... Wszystko jedno, a waćpan płacisz, co komu należy? — zapytał.

— Wypłacam, jeśli termin.

— Dawno minął. Patrzaj no acan, oto wasza karta, przeczytaj (to mówiąc, wyciągnął zza kontusza fascykuł papierów, dobył z niego kartę i podsunął ją elegantowi). Pięć tysięcy czerwonych złotych z procentem.

Niezmiernie długo rozczytywał się, przewracał na wszystkie strony ową kartę monsieur Louis, patrzył na nią, namyślał się i rzekł w końcu:

— Termin istotnie minął! Hm! Ale pan wojewoda pozwoli uczynić uwagę, iż nie odebrane na terminie pieniądze, zwykliśmy uważać za przedłużone na rok następny i do tego się regulujemy. Więc te pięć tysięcy zapisane są u nas jako płatne na przyszły Św. Jerzy.

— A u mnie są zapisane jako płatne dzisiaj, rozumiesz mnie asindziej? Hę? Pretenduję, żeby mi były wypłacone *stanie pede*.

— To nie może być, panie wojewodo!

— Musi być, kochanku, inaczej powiem na rynku, że Tepper i Szulc są bankruty, i oddam tym prawdziwą przysługę łatwowiernym, co by jeszcze gotowi wam pieniądze nosić.

Elegant pobladł straszliwie.

— Potrzebuję się odnieść do pana Teppera — rzekł cicho.

— Choćby do samego diabła, a ja, mosterdzieju, stąd nie ruszam, póki rezolucji nie będzie.

— Ale biuro się zamyka...

— Gdyby się zamknęło niepotrzebnie, to moi hajducy wam drzwi wyłamią — odparł wojewoda — jam człek uparty.

Słyszając ten spór, wszyscy pracujący w dalszych pokojach zbliżyli się z piórami w rękach i za uszami, tak że drzwi całe zajęli. Elegant bladł i pocił się.

— Poszlej acan jednego z tych gryzpiórków — rzekł wojewoda — do barona Teppera i każ mu powiedzieć ode mnie, że ja tu siedzę, a z miejsca się nie ruszam, dopóki mi moich pięciu tysięcy nie zapłaci, a żadnym Jurym, jak rak świśnie, i odkładką nie dam się wyruszyć. Co u kata! Bankier, który kiepskich pięciu tysięcy dukatów nie może zapłacić... to łapserdak!

Elegant był oburzony, krew mu biła do głowy, porwał kapelusz i w pasji zawołał:

— Jadę sam! Ale pan wojewoda żałować będzie słów wyrzeczonych.

— Ja nigdy ani słów wyrzeczonych, ani pieniędzy wyrzuconych nie żałuję, rozumiesz acan? — stukając pięścią o stół, krzyknął wojewoda. — A zwijaj mi się prędko, bom nie jadł!

Monsieur Louis wybiegł, jak z procy lecąc. Wojewoda sapał okrutnie. Hajdukowi kazał sobie szukać stołeczka pod chorą nogę, rozłożył się na kanapie i stękał. W pokojach dalszych, gdzie pracowała młodzież, cichość była uroczysta, powoli wracano do stolików.

Upłynęło zaledwie kilka minut, gdy trzy osoby weszły do tegoż pokoju. Był to pan Tyszko, pan Honory i stary Eliasz.

Wojewoda popatrzał na nich, a że siedział naprzeciw okien, przyłożył rękę do czoła.

— He? Tyszko, zdaje się? — rzekł cicho.

— Do usług.

— Cóż ty tu robisz? Z interese? — zapytał wojewoda.

— Tak jest... i ze znacznym.

— Masz co do odebrania?

— Nie, do umieszczenia.

Wojewoda spojrział na hajduka stojącego za nim.

— Staszku — rzekł spokojnie — na rany Chrystusowe, weź ty mi ich za plecy i grzecznie a pięknie wypchnij co najrychlej!

— A to co znaczy? — spytał Tyszko.

— Żeś chyba oszalał, u Teppera pieniądze umieścić! A toż bankructwo lada dzień albo raczej lada godzina. To marnotrawcy! Ja tu siedzę dla pięciu kiepskich tysięcy dukatów i burzę tę Jeruzalem, a oni mi się jak piskorze wykręcają.

Człowiecze! Panu Bogu dziękuj, żeś mnie tu zastał, nogi za pas i uciekaj. Tyszko osłupiał.

— Co? Tepper i Szulc?

— Ja ci mówię, że bankruty! Grosza w kasie nie mają! Skończyły się bachanalie! Teraz przyjdzie rachunek sumienia. Tyszko, czyjeż to pieniądze?

— Sieroce, panie wojewodo.

— Wracając wstąpcie wszyscy do kościoła i pomódlcie się. Znajdziecie gdzie może ołtarz Aniołów Stróżów...

Tyszko, Honory i Eliasz zbledli, słuchali przez chwilę, a tuż stary pierwszy ruszył do drzwi, dawszy znak Honoremu.

— Pan Bóg sierotę uratował — rzekł — jak tylko wątpliwość jest... idźmy stąd... idźmy! Idźmy!

Honory wyszedł z nim razem, Tyszko pozostał.

— Widzę, że mnie masz za wariata, mój Tyszko, a ja ciebie też za takiego — mówił wojewoda — żeś mógł, patrząc na postępowanie tych ludzi, mieć w nich wiarę. A toć marnotrawcy! A toć szubrawce! Tytuliki sobie za nasze pieniądze kupowali, krzyżyki do

pętelek. Marmuzele trzymali, konie z Anglii sprowadzali, ostrygi im poczta woziła dla delikatniejszych żołądków, gdy my za to kapustą żyć musimy. Poczekaj tylko trochę, zobaczysz, jak mi tu moje pięć tysięcy płacić będą...

Strapiony wielce, Tyszko usiadł.

— Istotnie, jakaś Opatrzność Boża czuwała nad sierotą — rzekł cicho. — Wiesz pan wojewoda, ile ja tu przywiozłem?

Wojewoda popatrzał z boku.

— Cóż? Parą tysięcy...

Tyszko się uśmiechnął, trzęsąc głową.

— Pięć?

— Gdzie zaś!

Wojewoda podskoczył od razu z niecierpliwości do trzydziestu, i patrzył. Tyszko ramionami ruszył.

— Cóż u kata! Czyś Wielkiego Mongoła zrabował?... Sto tysięcy?

— Trzykroć.

— Dukatów? Dukatów?! — zawołał, rękę jego chwytając, wojewoda.

— Nie żartujesz?

— Nigdy w świecie.

— Na ileż to głów idzie? Mosterdzieju! — począł wojewoda wzdychając.

— Na jedną.

— Z respektem! Piękna głowa! — rzekł stary pedogryk, trąc kolano. — Z respektem.

— W istocie, głowa piękna i od pieniędzy piękniejsza — odezwał się Tyszko — bo to własność panny rozumnej i ślicznej.

— He? Lubomirska? Sanguszkówna? Czy co za jedna?

— Prosta szlachcianka.

— A skądże owe kapitały? Tyszko ramionami ruszył.

— Gdzieś to tam w zapadłym kącie kraju snadź pokolenia długie zbierały, a tragiczna historia na świat wydobyła.

— No, jakieś pocziw! Powiedzie mi historię!

Właśnie Tyszko miał już zacząć swą opowieść, gdy wpadł elegant pośpiesznie, zobaczył go, zawołał:

— W tej chwili pan baron będzie służyć — i dając znaki niecierpliwe, chciał Tyszkę do dalszych pokojów z sobą zaprosić. Tyszko udawał, że nie rozumie.

Wojewoda szpiegował ruchy.

— Mój mosanie — odezwał się — nie koś sobie oczu nadaremnie. Pan Tyszko, zacny człek, dawno mi jest znany. Opowiedziałem mu dla przestrogi o moich pięciu tysiącach i odpadła go ochota lokowania u was kapitału pupili.

Na to nic nie odpowiadając, elegant poszedł do pulpitu, stanął, założył nogę na nogę i bardzo szparko pisać coś zaczął, jakby go to wszystko wcale nie obchodziło.

Wojewoda trącił łokciem Tyszkę, pokazał mu tę lalkę i brwiami tak rzucił, że wyjechały mu na łysinę, a potem powróciły spokojnie na dawną siedzibę.

Milczenie uroczyste panowało w pokoju, przerywane tylko skrzypieniem pióra po papierze. Szczęściem, że nikt nie patrzył, co monsieur Louis pisał, gdyż luźny półarkusz papieru wzięwszy z desperacji, mazał jedne wyrazy, powtarzając je bez końca: milion kaduków!

Już był tyle milionów kaduków napisał, ile Tepper stracił cudzych pieniędzy, gdy powóz bankiera zatoczył się żywo przed ganek. Baron w najlepszym humorze, rozpromieniony, uśmiechnięty, wpadł do pokoju z otwartymi rękami, lecąc w objęcia *de ce cher palatin!*

Nadrabiał fantazją, ale ten, z kim miał do czynienia, bardzo był trudny do wzięcia. Na oznaki czułości ani głową nie kiwnął i siedział.

— Czymże panu wojewodzie służyć mogę? — rzekł w końcu nieco tą oziębłością pomieszany Tepper.

— Krótką bo asindziej masz pamięć — odparł wojewoda — ale to nie dziw przy tylu interesach i tak czynnym życiu. Należy mi się pięć tysięcy dukatów z procentami.

— O tych dobrze pamiętam! Na święty Jerzy! Czemuż pan wojewoda nie kazał ich sobie zapłacić?

— Bo sam po nie miałem przyjechać i oto jestem.

— Ale termin minął.

— Więc tym bardziej...

— No, nic łatwiejszego, jak zapłacić! — zawołał Tepper. — Jednakże jest w tym pewna nieregularność. Myśmy to zapisali na rok następny...

— A to sobie odpiszcie! — rzekł wojewoda. — Ja moje pieniądze muszę mieć, i to natychmiast.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze — odparł Tepper, obracając się do pana Louis. — Jak tylko kasę otworzą, proszę natychmiast...

— Ja czekam.

— Dlaczego pan wojewoda ma się fatygować, ja odeszlę.

— Dlaczego byś pan baron miał ludzi swych fatygować, ja czekam.

Tepper otarł z czoła pot zimny i począł się Tyszce przypatrywać. Louis z tyłu chrząkał na niego, podniósł się. Wyszli razem do drugiego pokoju. Po kilku cichych słowach baron zbladł, zakręcił się i zakąsił usta jakby z bólu. Natychmiast wybiegł do pierwszej izby i siadł naprzeciw wojewody z twarzą zmienioną, kazawszy drzwi od dalszych mieszkań zamknąć.

— Panie wojewodo — odezwał się — bardzo pana dobrodzieja przepraszam. W tej chwili dopiero odbieram wiadomość, że pieniądze należne mi z Holandii nie nadeszły, jestem chwilowo w kłopotliwym nieco położeniu.

Nie ciągnie to za sobą nic, pozycja moja pewna, ale godzina stanowi często o wszystkim. Czy pan wojewoda zechcesz mnie gubić dla mizernych pięciu tysięcy czerwonych złotych, które jutro mieć będziesz?

— Ja ciebie, mosanie baronie — odsapnął wojewoda — nie gubiłbym, bo ja i robaków nie depczę, a chodząc po ogrodzie pilnie patrzę, abym niewinnego zwierzęcia życia nie pozbawił, ja bym cię nie gubił, ale mam obowiązek święty ratować tych, których ty gubisz. Tyś bankrut! — zawołał głosem podniesionym. — Marnotrawca! Nie masz czym płacić!

— Panie wojewodo! — krzyknął, porywając się, Tepper.

— Nie krzycz, bo się ciebie nie zlekne! — dodał pedogryk. — Ja, oprócz Pana Boga, nie boję się nikogo, nawet śmierci! Taką mam naturę!

Tepper chwycił nabrzmiałe ręce wojewody zmieniając głos.

— Panie! — zawołał. — Ja mam dzieci, rodzinę, mnie moja pocziwa sława droga...

— O! O! Sława! — przerwał wojewoda. — A czemużeś ją nie tam mieścił, gdzie ona powinna być? Dlaczegoś chciał pana udawać, do czego cię Pan Bóg nie stworzył? A wdowy i sieroty, które chleba pozbawiasz?

Bankier upadł na krzesło.

— Ja muszę być bez litości — kończył stary wojewoda — bo ja tu reprezentuję chwilowo, niegodny robak, sprawiedliwość bożą i po tom tylko przyszedł, aby wyrok jej spełnił się prędzej. A oto patrz, ocaliłem sieroce mienie, które już było w progu twoim. Staszek, daj mi rękę — wstając z trudnością, zawołał wojewoda i nakładając czapkę, a nie patrząc już na odrętwiałego bankiera, dodał: — Nie ma tu co robić. Póki czas, należy ogłosić, żeś bankrut. Żadne łzy mnie nie ublagają. Tyszko — dodał — ja pojedę do ciebie, napiszesz mi, co potrzeba, i zaniesiesz do księży pijarów, aby mi zaraz wydrukowali.

Nie oglądając się już nawet, wojewoda z pomocą hajduka wywlókł się za próg, gdzie nań czekała kolasa. Dwóch hajduków wniosło go do niej, a choć zostało miejsca szczupło, kazał koniecznie Tyszce sięść przy sobie.

— Co to ty myślisz, że ja taki gruby jestem czy co? — zawołał. — Ano, jeszcze by się dwóch takich chudeuszów jak ty pomieściło! Do dworku pana Tyszki! A może wahasz się przy mnie usiąść, zobaczywszy, że ja dziś hyclem zostałem, bo psy biję! Cha! Cha! — I zaczął się sam śmiać ze swojego rubasznego konceptu. Pojechali tedy do dworku pana Tyszki, dokąd ich poprzedził przestraszony Eliasz i Honory. W istocie, o jedno nic szło, by całe mienie Laury, z takim poświęceniem uratowane, padło ofiarą, przedłużając może na jaki rok szalone życie Tepperów, których podźwignąć nie mogło nic, bo się sami dobrowolnie gubili. Laura, słuchając opowiadania, na chwilę nawet nie była wzruszona.

— Któż wie? — rzekła — może ta strata byłaby mi wyszła na dobre? Może to nieszczęsne złoto zrobi ze mnie gorszą, niż dziś jestem?

Rozprawiali jeszcze, gdy kolasa wojewody z przyciśniętym przez niego do boku jej panem Tyszką stanęła u ganku dworka. Laura wyjrzała ciekawie, a tu już hajducy poczęli wysadzać z kolasy i prowadzić starego, który głośno czegoś dowodził. Laura, Basia, Honory, Eliasz, wszystko to stało w pokoju, do którego wtoczył się sapiąc i stękając. Ledwo usiadł i odetchnął, odezwał się do Tyszki:

— A pokażcie mi tę milionową pannę, której posażek tak cudownie ocaliłem!

— Ja to jestem — podchodząc z ukłonem, rzekła Laura, której stary, podniósłszy głowę, zaczął się przypatrywać z niezmierną uwagą.

— Na uczciwość, że i bez tych niepotrzebnych milionów mogłabyś asindźka męża sobie znaleźć — zawołał — a te by się tym zdały, którym Bóg takiej rozumnej twarzyczki nie dał.

— A że ja i nie myślę nawet za mąż się wydawać, tym ci mniej mi potrzebne — rzekła Laura.

Wojewoda patrzył ciągle na nią.

— Dlaczegoż nie myślisz iść za mąż? Przepraszam, że nie tytułuję, alem stary, asindźka byś wnuczką moją być mogła.

— Nie mam do tego stanu powołania — odezwała się Laura.

— Cóż? Czy do klasztoru? Tego bym pochwalić nie mógł, bom protestant.

— Ja także — odparła Laura.

— A nie wiem nawet nazwiska — obracając się do Tyszki, spytał wojewoda.

— Laura Dobkówna z Borowiec.

— He? — pochwycił zdumiony stary. — Cóż? Czy Adama wnuczka? Salomona córka?

— Pan znałeś moją rodzinę?

— Znałem! — zawołał wojewoda. — Adam miał za sobą siostrę moją rodzoną, o której zgonie straszne rzeczy powiadano... i o nim także... Waćpanna jesteś moją wnuczką...

Słyszając to wszyscy, osłupieli. Eliasz aż przybiegł do stołu bliżej, by się staremu przypatrzeć.

— I mówcież tu, że nie ma Opatrzności — zawołał wojewoda ręce składając — i powiedzcie mi, że to przypadek!

Laura schwyciła jego rękę, on całował ją w głowę, wszyscy stali milczący.

— Mam więc kogoś z rodziny, co się przyznaje do mnie! — zawołało dziewczę ze łzami w oczach.

Wojewoda zamilkł.

— Nie pytam teraz o historię waszą — rzekł wychodząc z zadumy — widzę żalobę, jest więc smutna, dowiem się później.

— Jest smutniejsza, niż sądzisz, kochany dziadzie — przerwała Laura — ale Bóg w was mi zesłał pociechę.

— A byłem takim w ręku Jego narzędziem nieświadomym, że się mojej roli wydziwić nie mogę. O kwadrans później byłoby wszystko przepadło.

Obrócił się do Tyszki. — Szlej waćpan ode mnie cyrkularz do druku do księży pijarów, ogłaszający Teppera bankrutem, a im prędzej, tym lepiej, aby więcej nieszczęśliwych nie było.

Tyszko pośpieszył spełnić rozkaz. Laura miała też czas przedstawić wojewodzie Honorego Dobka.

— Jest to druga gałąź, katolicka, rodziny naszej — rzekła — od której doznaliśmy wiele życzliwości. Mam tylko na sumieniu, że tu pana Honorego przytrzymała tak długo, bo ma żonę młodą doma i powinien by być przy niej, ale gdy mi dziś niebo opiekuna dało, zaraz kochanego kuzyna odprawiam do Konopnicy.

Szczerwienił pan Honory, błagającym na nią rzucając wzrokiem, nic to jednak nie pomogło.

— Niech pan Honory jedzie — odparł wojewoda — zwłaszcza kiedy żonaty, bo waćpannie młodym asystować nie bardzo bezpiecznie... a diabeł nie śpi... A cóż się z Borowcami stało?

Laura zapłakała, nie mając siły do tego opowiadania, zakryła oczy i wyszła, a Honory przysiadł do wojewody, poczynając mu powieść całą tych dziejów macoszynych rządów, których był świadkiem. Stary słuchał z uwagą wyteżoną.

Niekiedy wyrwało mu się energiczne przekleństwo, lecz nie chciał przerywać wątku i z coraz żywszym zajęciem pędził do końca, który go oburzył i poruszył nad wyraz wszelki.

— Na uczciwość, żem w porę przybył! — zawołał. — No, co byście byli poradzili beze mnie tutaj w tym chaosie miasta, gdzie intryganci w gatunku pana barona Teppera jeszcze nie do samych najgorszych się liczą! A ta kobieta tu siedzi i ma stosunki, przyjaciół i spodziewa się pewnie zagarnąć sierocie mienie. Cóż taki poczciwy Tyszko, weredyk, mógł uczynić? Połajac, postękać i pójść z niczym. Ja, chybaby Pan Bóg niełaskaw, rady sobie tu dam. Oni mnie znają, że pardonu nie dają. Może Laura być spokojna, święcie obowiązków dopełnię.

Stary Eliasz, chociaż nieznajomy, przyszedł ręce wojewody całować.

— A, to tyś pieniądze uratował? — zapytał go pedogryk. Głową tylko kiwnął.

— Pójdźże, niech cię uścisknę, poczciwości ty moja! Dziwnie to wszystko było rozczulające i miłe. Wojewoda, choć go tak krótko znano, był dla nich jakby od wieków znajomym, bo z jego charakterem i sercem na dłoni długiego nie potrzeba było czasu, aby go zrozumieć i pokochać. Powierzchność nie obiecywała tego, co się w człowieku mieściło: skorupa była szorstka, dusza piękna i czysta.

Dopiero w godzinę może, spojrzawszy na zegar wiszący przy ścianie, wojewoda się w kolano uderzył dłonią.

— Patrzajcie acaństwo! A toć ja nic nie jadłem! Takeście mnie nakarmili waszymi historiami, żem o głodzie zapomniał.

— Myśmy też nie jedli — odezwał się Tyszko — ale moja Basia pana wojewody na obiad nie chce...

— Dlaczego? Czy po żołądku miarkując boi się, bym jej nie objadł?

— To nie — rzekł Tyszko — ale nasz stół nie dla wojewody... najulubieńsze, a mam takiego kopcidyka w domu, że często tylko na dwie osoby gotuje: dla psa i dla siebie. Ale ja tam o to nie dbam. Jeśli macie jaki kawałek mięsa, to mi dajcie, nie, to taki kędyś trzeba szukać, żeby grzeszną duszę posilić.

Basia się tedy rada nierada musiała około obiadu zakrzętnąć. Obiad ten bliżej wszystkich zapoznał z sobą, a szczególnie Laurę z jej dziadkiem, któremu dziewczę ze swą prostotą i śmiałością wielce się podobało. Zwracał też uwagę na każdy jej ruch i słowo, a że mimowolnie czyniła jakąś wzmiankę o swej ucieczce z Borowiec, o obejściu się macochy, o swych przygodach w Warszawie, mocno zaciekawiony wojewoda dopomniął się szczegółów tej podróży i pobytu.

Laura miała to przekonanie, iż z niczym się przed starym taić nie powinna. Rozpoczęła więc od wyjazdu swego, ucieczki, odwiedzin u hetmana, potem opowiedziała o przybyciu do Warszawy, poznaniu kasztelanowej, występie w Powązkach, słowem, o wszystkim, nawet najmniejszych nie tając szczegółów. Wojewoda, choć był głodny i zajadał smaczno proste

potrawy, które Basia mu podawała, często łyżkę rzucał i serwetę spod brody gubił, tak go ta odyseja wnuczki niewymownie zajmowała, niecierpliwiła i bawiła na przemiany.

— Gdyby asindźce z twarzy i oczu nie patrzyło, że świętą prawdę mówisz, sądziłbym, że cię Pan Bóg obdarzył takim talentem poetyckim, któremu nic nie kosztuje banialuki tworzyć... bo jak dla młodej panienki, to przygody zaprawdę osobliwe. Teraz mi się tylko wypada spytać, a co dalej?

— A gdybym ja pana wojewody o to zapytała? — odezwała się Laura.

— Nie wiedziałbym, co asindźce powiedzieć — śmiejąc się rzekł stary — bo takiego rycerza jak wy nie myślę, żeby kto do posłuszeństwa nakłonił i prowadzić go potrafił.

— Jednak temu rycerzowi, jak wojewoda go zowiesz, już się to błędne jego rycerstwo naprzykrzyło i rad by do spokojniejszego życia powrócić.

— Hm! — odezwał się wojewoda. — Zobaczymy, co się samo z tego wywiąże. Najpierwsza rzecz, do najjaśniejszego pana pójść i o odebranie Borowiec się postarać, a babę ową puścić z kwitkiem. Zresztą, choćby jej się i opłacić przyszło, byle diabła pozbyć.

— Co pan wojewoda uczynisz i postanowisz, to przyjmę z wdzięcznością — odpowiedziała Laura — i czekać będę na rozkazy.

— Zobaczymy, co Bóg da.

Obiad się skończył i pan wojewoda z hajdukami odjechał, bo mu się należała drzemka po obiedzie, a w obcym domu nie chciał jej rozpoczynać.

VI

Wojewoda, któregośmy widzieli tak nieubłaganym w sprawie z Tepperami, był jednym z najmocniejszych panów w kraju. Znaczne dobra posiadał w wielkopolskich prowincjach, nie mniejsze na Mazowszu, w Lubelskiem, na Rusi i nie było prawie województwa, gdzie by jakiejś posiadłości nie miał. Weszły one przez małżeństwa z domów różnych i utrzymywały się przy ostatniej głowie rodziny, z której miały się znowu rozpaść, bo wojewoda miał z dwóch małżeństw sześciu synów i pięć córek. Było wszakże czym wyposażyć to jedenaścioro dzieci, z których już wnuki i prawnuki miał pan wojewoda, tak że gdy się to wszystko zjechało do niego na doroczny jaki obchód, imieniny lub święta, zbierało się osób do pięćdziesięciu, nie licząc koligatów, krewnych, dalszych familiantów i połączonej z nimi drużyny. Rząd dóbr tak rozległych był bardzo utrudniony, a pan wojewoda synom nawet nie dymitował jeszcze żadnego majątku, tylko im je wypuszczał, patrząc, jak sobie radę dawać będą.

Mimo otyłości i pedogry był to człowiek niezmiernie czynny, umysłu przebiegłego i widzącego jasno, pamięci ogromnej a charakteru niezłomnego. Dobry i łagodny dla tych, którzy tego byli warci, nieubłagany był, gdy się o kim przekonał, iż poprawić go nie potrafi. — Trutnie wybijają, a plugastwo mnożą — mówił. — Nie ma co szczeniść tego, co się ani sobie, ani komu nie przydało, a zarazę szerzy. Smród wymiatać precz! — Dla słabości ludzkich miał wyrozumiałość, dla dobrowolnego i rozmyślnego zła surowym był nad wyraz wszelki. Kochali go ci, co znali, obawiali się wszyscy. Od lat kilku owdowiawszy, pan wojewoda nosił swój smutek długo i nie zapomniał żony, lecz podwoił pracy, w niej ulgę znajdując najskuteczniejszą. Jeździł z dóbr do dóbr, mało w domu siedząc, bo mu ta dawniejsza rezydencja obrzydła i opustoszała.

W domu przy nim pozostał tylko jeden syn najmłodszy, lat dwudziestu kilku chłopak, i piętnastoletnia córka Jadwiga, której wojewoda jeszcze za męża wydać nie chciał. Inne wszystkie łatwo znalazły stosowne partie, bo imię, wychowanie, powierzchowność, posagi, wszystko mówiło za nimi.

W stolicy wśród dosyć zepsutego społeczeństwa, któremu nie przebaczał, wojewoda nie miał nieprzyjaciół jednakże; szanowano go powszechnie, choć się czasem dał we znaki. Każdy się pocieszał tym, że jego przeciwnikowi zalazł za skórę. Nie było też o co ucześcić się do starego, którego żywot i sprawy czyste były i jasne, bo nigdy z sumieniem w żadne kompromisa nie wchodził. Pamiętna była sprawa jego w trybunale, wśród której, gdy najszcześliwiej prowadzona zbliżyła się do końca, a wojewodzie miano kilkakrotnie sto tysięcy przysądzić, z papierów przedłożonych mu przez adwokata przekonał się, iż pretensja była prawna a niesprawiedliwa, i natychmiast publicznie się jej odrzekł. Wyrzucali mu krewni, iż pieniądze, jak mówili, za płot wyrzucił. — Wolę za płot je rzucić, niż na sumieniu dźwigać — odpowiedział wojewoda.

Tak samo ile razy w uniesieniu kogo pokrzywdził lub omylił się w zdaniu o nim, szedł i publicznie przeproszał. — Lepiej by było i nie grzeszyć, i nie pokutować — mówił — ale *caro infirma!*

Tę podróż odbył prawie umyślnie do stolicy, w myśli przyśpieszenia ruiny Teppera, aby mu nie dać więcej sum pochwycić. Nie szło mu wcale o pięć tysięcy czerwonych złotych, tylko o wykrycie prawdziwego położenia. Traf chciał, by w ten sposób ocalił mienie wnuczki, prawdziwie cudownie, i uważał to jakby nagrodę tego śmiałego kroku. Gdy wieść o upadku domu się rozeszła, mnodzy przyjaciele, oficjaliści, ludzie różnymi węzły powiązani z Tepperami, pioruny nań ciskać zaczęli, na co wojewoda odpowiadał pogardą. Nazajutrz i dni następnych prawdziwie sądne dni zrodziło to bankructwo, którego choć się wielu

spodziewało, więcej jeszcze uwiedzionych przypuszczać go nie chciało. Zbytek i przepych, z jakim występowali Tepperowie, dla jednych były postrachem, dla drugich zdawały się ubezpieczeniem. Nie przypuszczano, aby kto z tak zimną krwią tańcząc, w przepaść leciał. Ruiny były niezliczone, a między innymi i Prot Potocki zmuszony został wypłaty zawiesić.

Mało było domów w Warszawie możniejszych, których by ta klęska nie dotknęła, spotykając się, pytano tylko: „Na ile ty tam jesteś?”

Chociaż wojewodzie należało się podziękowanie za jego śmiałe wystąpienie, mimowolnie miano doń urazę; każdy sądził, że zyskując na czasie, choć sam jeden by coś ocalić potrafił. Wśród tego zamętu, który się i o zamek a połączone z nim osoby obił także, trudno było myśleć o podjęciu jakiegokolwiek sprawy. Wojewoda, choć miał na pamięci Laurę, nie pojechał tak rychło do króla. Wiedział, że i tam zimną by go twarzą przyjęto, bo dla Teppera litość miano. Posłał tylko po Honorego i powiedział mu, dlaczego nie pojedzie aż za kilka dni, żądając cierpliwości.

Pan generał Sapora, który z innymi kilka tysięcy dukatów u Tepperów stracił, wściekły był szczególnie na przyśpieszoną katastrofę, bo pieniądze te miał za tydzień przyręczone i byłby je wyrwał. Wpadł do pani Dobkowej, u której już po kilkakroć się zapożyczał, lamentując i prosząc, aby go poratowała. Wdowie jakoś się naprzykrzyło bez widoku żadnego na przyszłość dać się powoli obdzierać.

— Wiesz co, generale — rzekła — pieniędzy jeszcze trochę mam, ale gdy mi ich zabraknie, ani ty, ani nikt dla mnie nic nie zechce zrobić. Przyśpiesz wyrobienie mi administracji czy co tam sobie chcesz, byłem Borowce miała, a zapłacę. Inaczej grosza nie dam.

— A ja bez grosza na kredyt interesu nie zrobię.

Stanęli tedy naprzeciw siebie z tymi dwoma ultimatai milczący, mierząc swe siły, kto tu się przy swoim utrzyma.

Generał włożył ręce w kieszenie, stanął w postawie kolosu rodyjskiego i milczał. Wdowa rumieńcem tylko zdradzała gniew, który ją zaczynał opanowywać. Odezwanie się jednej ze stron wojujących miało być znakiem ustępstw, do jakich była skłonna. Oboje też milczeli długo.

— No, cóż będzie? — przerwała w końcu Dobkowa.

— Bez pieniędzy nic. I to, cośmy dali, przepadło — rzekł generał. — Jak wola wasza. Życzę pójść do szkatułki i nie zwlekać, a sprawa się załatwi.

— Kiedy?

— Nie wiem, ale prędko — mówił Satora. — Te łajdaki Teppery zbankrutowali, wszyscy na nich potracili bez wyjątku, każdy dziś grosza żadny, trzeba z chwili korzystać.

Dobkowa wahała się, srożyła, w końcu uległa. Generał, poczuwszy grosz w kieszeni, jak mógł, najprędzej się wyniósł. Prawdę rzekłszy, sprawy jeszcze nie zaczął, nie pomyślał nawet, jakby ją załatwić i przez kogo, w końcu miał ten środek wywikłania się, że go ważniejsze okoliczności do wyjazdu zmuszały, i kogoś innego podstawić chciał staroście.

Jakkolwiek z dosyć dobrym zapasem przybyła ona do stolicy, ten już się był znacznie nadwreżył; jeszcze parę miesięcy podobnego życia i wydatków, a mógł się wyczerpnąć zupełnie. Rotmistrz, który tu podrzędną grał rolę, mimo przyjemności, których mu winiarnie dostarczały, coraz też smutniej w przyszłość patrząc, radził wracać do Borowiec i Smołochowa, a trzymać się na gruncie.

Tak dzień za dniem uchodził, gdy generał znowu się jednego ranka zjawił, z pochmurną twarzą. Żądał jeszcze raz pieniędzy, powiadał, iż interesu już dobija, ale dodał zarazem, iż szedł bardzo ciężko i wątpił, czy się bez procesu da co otrzymać. — Zawsze — rzekł — trzeba próbować, a za próby się płaci u nas.

Dobkowa strwożyła się, a trwoga zmusiła ją do nowej ofiary.

Nazajutrz rano jeszcze w łóżku była, gdy jej przyniesiono list, na którym generała rękę poznała. Wniosła, że musiał zawierać coś dobrego, gdy się Satora tak z nim pośpieszył, lecz jakież było jej zdziwienie, wyczytawszy w nim, że z rozkazu króla zmuszony był wyjeżdżać natychmiast, i z boleścią serca oznajmuje jej, iż najmniejszej nie powinna mieć nadziei, aby się przy Borowcach utrzymać mogła.

„Wczoraj — pisał Satora — gdym za sprawą waszą obiegał wszystkich, dowiedziałem się o fatalnym dla was wypadku, który ostatecznie rozstrzygnie o losie majątku. Córka nieboszczyka znalazła tu dziada, to jest brata babki swej, w osobie pana wojewody, a ten gorąco wzięwszy w ręce sprawę wnuczki, poszedł z przedłożeniem do króla, do ministrów i wyjaśniwszy, jaka się sierocie, według niego, krzywda działa, wyrobił, iż kasując decyzję komisji, tymczasowo majątek opiekunowi naturalnemu, to jest wojewodzie, oddać kazano, zwłaszcza że ten swoją majątnością ręczył na wszelki wypadek.

Miarkujesz pani, jak z takim przeciwnikiem dla nas walka była trudna, a raczej niemożliwa. Jednakże pozostaje pani rozwinąć proces *ex re* ubytków poniesionych i wdowich praw do fortuny, który niezawodnie jej prawa wyświeci i uznanie ich formalne uzyszcze.

Niezmiernie mi żal — kończył pan generał — iż sam, dla bardzo ważnych powierzonych mi spraw, nie mogąc służyć czym innym oprócz dobrą radą, życzę wziąć adwokata

niezwłocznie i proces natychmiast rozwinąć. W najgorszym razie, choćby przyszło ugodnie kończyć, coś zapłacić muszą”.

List odczytawszy, pani Dobkowa wpadła w furję przeciwko generałowi, który wzięwszy u niej wcale znaczną sumą, w końcu ją tak pośród drogi rzucił. Nie było jednak sposobu poszukiwania na nim tej straty ani wiedziała wdowa, gdzie go szukać. Za późno spostrzegła, że się w pole wyprowadzić dała. Płacz i zgrzytanie zębów, okrutne spazmy nawet, nic nie pomogły. Cały dwór, który się zbiegł na ratunek, posłyszawszy krzyki, stał niemy, nie odgadując, co mogło taką rozpacz spowodować. Pierwszy rotmistrz, nie cierpiący generała (nazywał go zawsze szlifierzem), odgadł, że on być musiał przyczyną nieszczęścia, i począł go kłać zaciskając pięście.

— Jejmość bo go słuchałaś, dałaś się bałamucić, gdy ja mówiłem zawsze, że on w końcu oszuka, i pewien jestem, że nabrawszy pieniędzy, dmuchnął.

Trafnie odgadł rotmistrz, i to go w oczach wdowy podniosło. Posłała natychmiast po prawnika, spuszczając się na jego wybór już byle najbieglejszego sprowadził. Rotmistrz wszystkie swe znajomości czerpiąc z winiarni, niejednego tam spotkał i łatwo mu było wybrać takiego, który mu się z gęby najtęższym zdawał.

Tegoż dnia mecenas w okularach siedział, głową trzęsąc, nad szklanką wina i papierami u pani Dobkowej. Cała sprawa wydawała mu się fatalnie zawikłaną i niepewną.

— Pani starościno dobrodziejko — rzekł w końcu, papiery ściągając i składając okulary — to tylko powiedzieć mogę, że gdybyśmy się piętnaście lat procesować mieli i wodzić po sądach, ja nie ustąpię, nie puszcze, na żadną zgodę nie przystanę. Ja jestem taki człowiek, mnie tu znają, żelazny, powiem pani starościnie... kamienny. Nie ustapiemy, a skutkiem tego być musi, iż nam zapłacą, co zechcemy, byle raz mieć święty pokój.

Wpijemy się im do boku pijawką, kleszczem, mościa dobrodziejko, będziemy ich ssali, nudzili, męczyli, nie damy im tchnąć. Na upartych Upór to jedyny sposób, a ja jestem taki człowiek, starościno dobrodziejko, ja jestem taki człowiek, mnie tu znają, proszę popytać. Kto ze mną do czynienia miał, zawsze musiał w końcu zapłacić. Nie wchodzę w to, jaka jest sprawa, nie moja to rzecz, ale jestem taki człowiek, że piłuję, a piłuję, dopóki nie wypijuję.

Tak pocieszywszy Dobkową, która trochę wolniej odetchnęła, odszedł prawnik, przeprowadzony przez rotmistrza aż na schody. Poręba miał dla niego najwyższy szacunek, bo się ani przepić, ani przegadać nigdy nie dozwolił.

Pani Dobkowa, mimo wielkiego zaufania, jakie jej natchnął opowiadaniem swym Poręba, chciała jednak być sama ciągle w stolicy, aby wiedzieć o toku sprawy. Wysłała więc jedynego już przyjaciela, jakiego miała, wiernego Porębę do Borowiec i Smołochowa po pieniądze, a

że się trafiał ktoś, co resztę lat dzierżawy gotów był od niej wziąć i za subarendę zapłacić, kazała o to traktować.

Tymczasem dosyć smutne pędziła życie. Parę razy na myśl przyszła jej siostra, lecz po ostatnim widzeniu się mało było nadziei, aby się już zbliżyć mogły.

Jeden mecenas, zawsze opowiadający, jakim on był człowiekiem, i obiecujący złote góry, nudy swoimi odwiedzinami przerywał. Nie zawsze one wytłumaczyć się dawały sprawą samą, zdawało się Rózi nawet, iż przynoszone na przyjęcie wino wchodziło w rachubę. Mecenas nawykł był tu przy gawędce z miłą wdówką wychylać swą lampeczkę i co dzień po nią przychodził, wykładając, co już uczynił, a co *proxime* miał zrobić.

Jednego dnia zdziwioną została pani Dobkowa, widząc go o zwykłej godzinie przybywającego w towarzystwie drugiego opasłego i słusznego mężczyzny, który także na jurystę zakrawał. Mecenas przedstawił też go jako kolegę.

— Acani dobrodziejka zdziwisz się może — odezwał się z doborem słów niezręcznym a wyszukany, który go odznaczał — usłyszawszy o pobudkach, jakie skłoniły szanownego kolegę mego, czcigodnego Szaławitę, iż tu ze mną złożyć swoją atencją przybywa. Recz się zwiastuje, którą do namysłu wziąć należy; nie powiadam, by pożądaną była, ani się jej na stół przyniesieniu sprzeciwiam.

Pani starościna zawyrokuje. Oto strona przeciwna, opiekun, wybrany przez imci pannę Dobkową, wojewoda wnosi, czując, iż go procesem nękać będziemy, abyś swe żądania objawiła, ofiarując się, jeśli umiarkowane będą, przyjąć i zaspokoić. Dobkowa dosyć zdziwiona spojrzała na obu prawników.

— Za pozwoleniem czcigodnego kolegi — rzekł mecenas Szaławita — ono to tak jest i nieco inaczej. Pan wojewoda brzydzi się w ogóle pieniactwem, jego pupila ma na względzie imię, jakie nosi pani Dobkowa, chcieliby dla skandalu uniknąć procesu, który może na świat wyprowadzić rzeczy, o jakich lepiej by on nie wiedział. Zatem, jeśli wola i łaska, mówić możemy.

Mecenas pani Dobkowej patrzył jej w oczy, dając do zrozumienia, aby się nadto do zgody nie okazywała pochopną. Wdowa sama dobrze nie wiedziała, co począć, wzdychała i ocierała łzy, których nie było.

— Nie jest to tak łatwo — rzekł mecenas — określić żądania nasze, ubytki, straty, prawa, koszta...

— Ale wszystko na świecie obrachować się daje — odparł Szaławita.

— Zatem o czas do namysłu prosimy — rzekł, spojrzawszy na Dobkową, jej umocowany.

Na tym skończono, Szaławita odszedł. Nastąpiła narada, w której prawnik był za procesem, jejmość za zgodą. Ułożono się więc podać żądania tak wysokie, by ich przeciwna strona przyjąć nie mogła. Mecenas podnosił je, obliczał, potęgował i doszedł do znakomitej sumy, oświadczając, że z niej ani grosza ustąpić nie życzy, a jeśli wdowa mimo jego rady pokój zawrze, sama sobie winę przypisze... itd.

Szaławita zjawił się po warunki. Wymownie motywując je przełożył mecenas, pewien będąc z góry, iż przyjętymi nie będą. Wysłuchawszy całej mowy, adwokat strony przeciwnej zażądał spisania punktów, wrzekomo dla okazania ich wojewodzie.

Urosły jeszcze żądania, przelewając się na papier. Szaławita nic nie mówił, wdowa także, w tak dobre ręce zdawszy sprawę, milczała.

Znowu dzień upłynął.

Jakież było zadziwienie i mecenasa, i Dobkowej, gdy wcale się nie targując, nie układając, nie zbijając, Szaławita oświadczył, że wojewoda, nie chcąc brukać się takim procesem, układ przyjmie, pokwitowania żąda, pieniądze płaci i ten jeden warunek ze swej strony stawia, aby pani Dobkowa nigdy ani osobiście, ani listownie, ani przez trzecich do rodziny męża nieboszczyka w żadnym razie zbliżyć się nie ważyła.

Mecenas przeciwko tak obelżywemu warunkowi wystąpił strasznie gorąco, lecz na to Szaławita mu odpowiedział, iż jak jego warunki, nie roztrząsając, przyjął, tak też swoich poddawać dyskusji nie dopuści. Należy go odrzucić albo przyjąć.

Pani Dobkowa po namyśle zgodziła się na wszystko. Mecenas protestował, ale pod nosem.

W ten sposób dokonano zgody całę niespodzianie i mecenas otrzymał piękne honorarium prędzej daleko, niż rachował. Sumę umówioną pani Dobkowej zapłacono gotówką przed sądem przy urzędowym pokwitowaniu.

Prawie o tymże czasie powrócił rotmistrz ze Smołochowa, szczęśliwie obrobiwszy z nowym dzierżawcą interes, tak iż pani starościna znalazła się w posiadaniu znacznego kapitału, z którym nie wiedziała jeszcze, co ma uczynić. Była mowa o kupnie dóbr, o nabyciu kamienicy w Warszawie, a tymczasem życie się wlokło trybem zwyczajnym. Mają to do siebie pieniądze, iż nigdy prawie ukryć się przed oczyma ludzkimi nie mogą, a ludzi ku sobie istnie magnetyczną siłą ciągną. Więc choć nie zbywało na oszczercach, którzy głośno mówili o tym, iż w otruciu nieboszczyka Dobka jejmość pewien udział miała, choć dawniejsze jeszcze wspomnienia z żywota panińskiego wielce były różnobarwne, jak tylko dowiedziano się o ciepłej wdówie, rotmistrz opędzić się nie mógł proszącym go o wprowadzenie. Poręba właściwie sam się matrymonialnie chciał tam wprowadzić, lecz jednego dnia dostał tak

stanowczego odkosza, iż nie chcąc całkowicie zrywać stosunków, postanowił ograniczyć się skromnie marszałkostwem tylko. Sam też, przypatrzwszy się sobie potem w zwierciadle, musiał przyznać, iż bardzo powabnym nie był. Rzucił okiem na Rózię, też niepowabną, starając się, by jej jaki taki posażek starościna dała, i ofiarując jej serce i rękę, ale i błada Różia odrzuciła ofiarę. Po tych dwóch wkrótce po sobie następujących próbach, zaklął się Poręba, iż tego głupstwa nie zrobi nigdy, by się miał ożenić.

Znajomości, przyjaciele, przyjaciółki, pretendenci płynęli do domu pani Dobkowej; na wzdychających nie zbywało, na obiadujących i przybyłych na wieczerzę także, ci jednak, co się o rękę zgłaszali, przyjęci być nie mogli, a ci, których sobie życzyła jejmość, nie oświadczała się. Życie wyczerpywało z wolna nie tylko procenta, ale zarywało z kapitałów.

Kupna majątku obawiała się wdowa, kamienicę jej odradzano i ona sama jej sobie nie życzyła, po bankructwie Teppera oddać pieniędzy bankierowi wahała się, trzymała więc kapitał w domu i po trosze się szczybił.

Pewien rodzaj niecierpliwości ogarnął piękną wdowę, gdy po dość długim czasie przeciągu nie znalazła sobie partii stosownej. Przypisując to zbytnej oszczędności swej, postawiła dom na pokąźniejszej stopie, kosztowało też życie coraz więcej.

Nieznacznie do domu, w którym było już wszystko, co najwykwintniejszym było, weszła gra naówczas cechująca życie pańskie. Wieczorami grywano codziennie, pani Dobkowa zaczęła grać sama. W początkach z takim szczęściem się jej wiodło, iż uzuchwalona brnęła coraz dalej, śmielej coraz, i przegrywać zaczęła. Pierwsze przegrane zdziwiły ją niezmiernie i rozbudziły namiętność. W krótkim przeciągu czasu żyć już bez gry nie mogła. Dom stał się prawdziwą szulernią, dnie i noce otwarty, pełny ludzi nieznanym, oszustów, rycerzy błędnych i ulicznej zgrai. Z różnym szczęściem ciągnęło się to dalej a dalej, a pani Dobkowa, widząc ubywające kapitały, niewiele się frasowała nawet, mając nadzieję, że się łatwo w dobrą odegra godzinę.

W chwili, gdy na najświetniejszym stopniu dom starościny się znajdował i zyskiwał coraz rozgłośniejszą sławę, zaszedł wypadek, który był jakby ruiny zwiastunem i końca przepowiednią.

Od śmierci pana Dobka nie miała starościna żadnej wiadomości o starej swej znajomej pani Lassy, która szczęśliwie dokonawszy doświadczenia z arsenikiem, znikła zupełnie z warszawskiego horyzontu i zdawać się mogło, że więcej na nim się już nie ukaże.

Jednego dnia, przy fryzowaniu, właśnie gdy starościna była w wybornym humorze, gdyż i gra wczoraj bardzo się jej szczęściła, i pewien młody człowiek, pułkownik, cudzoziemiec,

okazywał się nią mocno zajęty, tak że wносиła, iż to może być na serio, przyniesiono jej list z poczty pomazany mnóstwem stempli i charakterów.

Poznała na nim z raportów odbieranych w Borowcach rękę Lassy i zmieszała się tak, iż położywszy go na tualecie, nie prędzej wzięła się do rozpieczętowania, aż ciekawy fryzjer był za progiem.

List ten, datowany z Paryża, zawierał mnóstwo czułych wyrażen i ubolewań nad losem, jakiego doświadczała nieszczęśliwa ofiara poświęcenia dla przyjaciółki. Donosiła w nim znudzona życiem Lassy, iż jeżeliby był się jej nie poprawił, woli wrócić — *coute que coute* — do Warszawy, i odbyć spowiedź powszechną, a mizerne życie zakończyć. Poprawa zaś bytu niewiele wymagającej przyjaciółki zawisła była od tysiąca dukatów, które prosiła, ażeby jej zaraz nadesłano i nic więcej nad trzysta czerwonych złotych dożywotniej pensji. Donosiła zarazem, że znalazła po długiej a nadaremnej peregrynacji wśród zepsutego świata człowieka znakomitego, z sercem czułym, z duszą szlachetną, który by się nie wahał jej ofiarować swą rękę, gdyby tylko skromny chleba kawałek mieli zapewniony.

Pani Dobkowej korespondencja ta struła dzień cały, dostała bólu i spazmów, chciała się grą rozerwać i przegrała dosyć grubo. List został spalony, starościna postanowiła wcale nań nie odpowiadać, co było najwłaściwszym. Lassy zaś, nie mając żadnej wiadomości, co się z jej pismem stało, wyprawiła drugie, a po nim trzecie, naglące o stanowczą odpowiedź. Groziła potem przybyciem, które nieprzyjemne następstwa pociągnąć za sobą mogło.

Dobkowa, nie wiedząc, co począć, przez wskazanego jej bankiera wysłała sumkę małą, uważając ją za dostateczną. Lassy, szczególnie ze względu na bliskie wesele z człowiekiem czulego serca i wzniosłego umysłu (który zajmował się hodowlą i stryżeniem pudłów przy Pont-Neuf), poczęła być coraz niecierpliwszą i nieznośniejszą. Ostatnie listy, na wypadek gdyby je na poczcie otworzono, już by panią Dobkową w podejrzenie podać mogły, położenie stawało się groźnym. Poszły więc pieniądze z listem do Paryża i wymówkami, iż starościna sama wiele straciła i pomagać nie jest w stanie.

Nie pomogło to, gdyż Lassy, zawsze jeszcze nie wyszedłszy za mąż, domagała się owych tysiąca dukatów. Ale jakąż pewnością mieć było można, iż otrzymawszy je, nie zażąda drugich i trzecich.

Do rozpacz przywodziło to starościne, która i w grze nie mając szczęścia, postanowiła ważyć się już na wszystko i więcej niegodziwej Lassy nie odpisywać. Rachowała, iż rodzina Dobków, unikając rozgłosu dla imienia ich niemiłego, w ostatecznym razie bronić by ją musiała, Pięć po sobie następujących listów przyjaciółki rzuciła w ogień, nie czytając, chociaż

strach ją ogarniał okrutny. Po nocach sypiać nie mogąc, grywała do rana, a zdrzemnąwszy się na chwilę, zrywała się z krzykiem, śniąc, że ją dusi przyjaciółka.

Stan ten wpłynął na zdrowie i owe resztki piękności, które jeszcze zwabiały czcicieli, szybko bardzo niknąć i uchodzić zaczęły. Rotmistrz pierwszy zauważył, iż Dobkowa mocno się zmieniała i wychodziła na starą babę.

— Nie chciała za mnie iść za mąż, otóż to kara Boża — rzekł do Rózi — bo ja mężczyzna, będę takim, jakim byłem, choćby za lat dziesięć, a ona zupełnie zbabieje. Widzisz, jakie już ma gęsie łapy przy oczach? Broda się jej puszcza, zęby czernieją, aż mi jej żal. Gdyby za mnie była poszła za mąż, nigdy by tego nie było.

Róż ani bielidło, ani liczne kosmetyki cudowne, brane u najstynniejszych doktorów, nie pomagały. Twarz istotnie straszna się stawała z pięknej. Oczy świeciły złowrogimi jakimiś gorączkowymi blaski. Apetyt straciwszy, za radą rotmistrza, który przed obiadem życzył naparsteczek likworu, poczęła pani Dobkowa pić trochę wódki, przy jedzeniu zaś po kilka kieliszków wina. A że małe dozy nie skutkowały, doktor rotmistrz, który sam na sobie doświadczył doskonałych skutków tego leku, ordynował powiększanie ich i doszło do dobrego kielicha wódki a pary szklanek mocnego wina. W istocie medycyna ta o tyle okazała się czynną, że twarz począł rumieniec okrywać, który już całe nie schodził, a humor polepszył się znacznie. Pani Dobkowa, wstawszy, nawet na czczo piła trochę likworu przed polewką winną, a do poduszki lekki ponczyk. Polepszenie było widoczne.

Właśnie się odbywała kuracja, gdy raz Rózia jakby przełęknioma przybiegła do starościny, oznajmując (było to pod wieczór), że jakiś jegomość chciał się z panią koniecznie widzieć na osobności, bo miał coś pilnego do pomówienia. Zdziwiona tym tajemniczym wezwaniem, pani Dobkowa weszła do gabinetu, oświetconego jak zwykle, jedną lampą alabastrową, i spostrzegła w nim dziwaczne widmo, na które spojrzawszy, od krzyku przeraźliwego powstrzymać się nie mogła.

Był to mężczyzna niezgrabny, brzydki, postawy osobliwszej, na krótkich bardzo nogach, z twarzy tak podobny do Lassy, jakby był diabłem albo rodzonym jej bratem.

Nie chcąc czytelnika trzymać w niepewności, dodać musimy zaraz, iż pani Lassy brata nie miała, a diabeł zbyt ma wiele do czynienia, aby tak brzydtko się przebierał. Ona to była sama w tym nowym stroju, którego pomysł zaczerpnęła z przypomnień o Laurze. Zdało się jej, że co tamta mogła zrobić, to i jej też się uda. Przebrała się po męsku przed granicą i tak zamaskowana stanęła przed panią Dobkową.

W miarę jak ta domyślała się poznawała Lassy, coraz większy strach ją ogarniał, drżała, nie mogąc przemówić słowa, ścisnęła ręce, na koniec padła na najbliższe krzesło.

Widmo zbliżyło się ku niej i zawołało schrypłym głosem:

— Cóż to? Czy pani mnie teraz nie poznajesz? Widzisz, byłam zmuszoną przybyć sama, mamy przecie z sobą rachunki!

Starościnie słów brakło.

— Ale czegoż jeszcze chcesz ode mnie, przekłeta? — zawołała, zwracając się w końcu.
— Czego? Za co? Litując się nad tobą posyłałam, co mogłam, nie mogę więcej, ja sama nie mam.

— Ty musisz mieć — przystępując bliżej, z gniewem poczęła Lassy. — Jak ty mi śmiesz mówić, żeś się litowała nade mną, żeś mi dawała może z łaski? Ja się poświęciłam dla ciebie, ja mam prawo do wszystkiego, co wzięłaś po nim. Jak to? Zapomniałaś więc tego wieczoru? Nie wiesz o niczym? Niewinna istoto! A któż to mnie pchnął w tę przepaść? Dla kogo ja to zrobiłam? Przez kogo cierpię? Ty teraz nic, nic nie wiesz?

— Jam cię nie posyłała ani namawiała do tego! — zawołała Dobkowa.

— A któż to powtarzał mi ciągle: „dałabym, co by kto chciał, byle mnie od tego człowieka uwolniono!” Cóż to znaczyć miało?... Wszak mówiłam ci, że to zrobię! Wszak widziałaś, gdym szła i z czym tam poszłam?

— Cicho! Na Boga! Cicho! — przerwała Dobkowa. — Czego chcesz?

— Pieniądzy! Pieniądzy! Złota twego! Najęłaś mnie, płac! Ja się nie pytam, masz czy nie, pieniądze lub życie...

Dobkowa padła powtórnie na krzesło, łamiąc ręce, oczyma obłąkanymi wodziła po pokoju, nie wiedząc, jak się od tego straszidła odkupić. Za każdym jej ruchem Lassy podbiegała, nacierała, bojąc się, by jej nie uszła.

— Słuchaj, przekłeta kobieto — odezwała się po namyśle. — Słuchaj, dam ci ten raz, dam, co chcesz, lecz jedź, precz, precz, i nie pokazuj mi się na oczy. Mnie ty nie zgubisz, nie masz świadków, jam się gotowa wyprzysiąc, mnie familia, której imię noszę, obroni, a ty poniesiesz głowę na rusztowanie... ja cię wydam sama! Rozumiesz?

Lassy na chwilę się powściągnęła, jakby rozważała każde słowo powiedziane przez Dobkową, lecz wkrótce poczęła się śmiać dziko.

— Już to ci ręczę, że jeśli mi ginąć przyszło, zginiemy obie, ja cię nie puszcę. Ja mam w ręku dowody, żeś tego chciała, żeś mi to poddała...

— Czegoż chcesz? Ile? Mów! Skończmy to, nie zamęczaj mnie! — krzyknęła starościna.

— Ale czekaj! Ty się ode mnie nie uwolnisz tak łatwo! Naprzód, ja nie myślę stąd krokiem pójść, boby mnie gotowi poznać. Tu mi bezpiecznie, zostanę. Rób sobie, co chcesz.

Śpieszyć się nie mam czego, spocznę po drodze, a rachunek nasz długi i niełatwy! Dołożymy drogę, fatygę i na powrót podróż, nie głupiam się teraz dać wyprawić z biczykiem.

Poczęła starościna rozpaczliwymi krokami chodzić po gabinecie, a że godzina gry się zbliżała i goście zaczęli się schodzić, dwa razy zajrzał rotmistrz ciekawy, wywołując ją do stolika.

— Więc czego chcesz! Mów... — powtórzyła starościna. Lassy usiadła na kanapce.

— Cóż? Pod noc mnie wygnasz?

— Ty tu zostać nie możesz!

— Ja muszę! A gdzie? Po gospodach będę się tułała? Po nocy mam uciekać? Nie pójdę. Jakby namyślając się, Dobkowa stanęła. — Czekał tu na mnie, ja zaraz powrócę.

Na te słowa Lassy się zerwała i pochwyciła ją za suknię.

— Ani kroku! — rzekła. — Nie puszczę!

— Ja mam gości! Ja muszę wyjść!

— Nie pójdziesz, sama tu nie zostanę.

W tej chwili rotmistrza głowa ukazała się we drzwiach. Lassy zmieszała się nieco, a Dobkowa skorzystała z tego, by się wymknąć i drzwi za sobą zatrzasnąć.

— Rotmistrzu! — zawołała starościna jakby obłąkana. — Chciałeś mojej ręki, odmówiłam ci. Będę twoją... a uwolnij mnie od tego diabła. Tu jest Lassy! Lassy, która struła Dobka. Chce mnie zgubić, chce mnie odrzeć, chce mnie obwinić... ja o niczym nie wiedziałam! Jam niewinna. Rotmistrzu! Ratuj! Zlituj się!

Poręba stanął jak wryty. — Ale cóż ja z nią zrobię? Chyba łajdaczkę uduszę... A, to śliczna historia! Czegoż ona chce?

— Pieniądzy! Nieustannie pieniędzy!

— Jak to? Już jej dawałaś?

— Przez litość.

Rotmistrz zamyślił się mocno, parę razy za klamkę pochwycił i powstrzymał się. — Ile ona chce? — spytał.

— Ja nie wiem...

— No, to ja się z nią rozmówię — rzekł Poręba i znowu za klamkę ujął, i wstrzymał się, zadumał, głowę spuściwszy.

— Was dwie — mruknął — a tu jeszcze i mnie trzeciego chcecie wpędzić w matnię, żebym głową nałożył?

— Rotmistrzu! Jam niewinna! — zawołała Dobkowa. Za całą odpowiedź Poręba spojrział, uśmiechnął się i ramionami zżymnął.

— Idź! Dam jej, co chce, zabieraj ją i wywieź precz... jak najdalej, za granicę, za świat...

— A co ręczy, że pieniądze straciwszy nie wróci? — zapytał Poręba. — Ja bym to paskudztwo zdeptał, ale plugawa rzecz...

Do drzwi z drugiej strony zaczęła się dobijać Lassy. Rotmistrz i Dobkowa weszli razem.

— Cóżże to asani z siebie za *monstrum* zrobiła? — począł rotmistrz, zobaczywszy ją. — A, to istny diabeł!

Lassy spojrzała groźnie.

— Mów, czego chcesz? Ile? — przerwała starościna. — Nie ma czasu do stracenia. Rotmistrz waćpanią do granicy odstawi.

— Ano, dobrze, choć w takim towarzystwie nie bardzo miłą odbędę przejażdżkę, ale to asani muszę powiedzieć, że gdybyś tu jeszcze raz powróciła, to słowo daję, zduszę.

Lassy krzyknęła, odskakując od niego.

— Mów, czego chcesz? — powtarzała Dobkowa.

— Nie powiem nic! Nie ruszę się, dopóki ten człowiek nie odejdzie — odparła Lassy.

Stali wszyscy. Przybyła odsuwała się z obawą od rotmistrza coraz dalej, a w Porębie rosła złość niemal widocznie, żyły mu nabrzmiały na czole i oczy czerwieniały. Starościna powtarzała: — Mów, czego chcesz.

— Ja od tysiąca dukatów nie ruszę i na drogę musicie dać, ja się dla was poświęciłam...

— Milcz jędo! — tupiąc nogą, rzekł Poręba — ale milcz... Starościna, usłyszawszy sumę, zakrzyknęła.

— Dać jej i niech jedzie — odezwał się Poręba — ja ją odprowadzę. Niech pani idzie po pieniądze, ja zostanę, potem na pocztę i będę służył jejmości za granicę.

Obłąkanym wzrokiem patrzała stara po przytomnych. — Po co mi towarzystwo, ja nie potrzebuję przeprowadzania — rzekła — obejdę się bez waszej łaski, mam z sobą mego... narzeczonego.

Rotmistrz parsknął i splunął.

— Ja dlatego muszę asindzkę wywieźć, choćby się narzeczony miał gniewać, bo mogłabyś zostać i jutro przyjść znów wołać pieniędzy, a tego już dosyć.

— Dobkowa wyszła. Lassy widząc, że przychodziło do rozwiązania, udobruchała się.

— Ja przecie nic tak wielkiego nie wymagam, poświęciłam się dla niej... — zaczęła do rotmistrza.

— A kto was o to prosił?! — zawołał Poręba. — At, milczałabyś, dość tego!

Chodził tedy po gabinecie, a Lassy padła na kanapkę.

— Kto inny by asanią sam do sądu oddał i już przez to by z siebie podejrzenie zrzucił. Ja bym wolał tak zrobić, niż wam zapłacić. Za co? Za to, że was by powiesić warto...

— A ją? A ją? — krzyknęła Lassy.

— Milczeć! — przerwał rotmistrz. — Drugi raz ja na siebie wezmę i odstawię cię za kołnierz do kordygardy.

W krótkim przeciągu czasu starościna wróciła zadyszana, na pół nieprzytomna, i rzuciła na kanapkę, na której Lassy siedziała, rulony złota przyniesione. Chciwie poczęła je zagarniać przybyła.

Licząc oczyma i wążąc na rękę, opychała nimi kieszenie, potem wiązała w chustkę, niepewna, jak najlepiej je schować. Rotmistrz patrzył z zaciętymi ustami, obejrzał się szukając kapelusza i wyszedł po niego. Dobkowa stała drżąca. Lassy chciała się do niej zbliżyć z pożegnaniem, lecz nastawiła obie ręce przeciwko niej, aby nie dopuścić.

— Otóż to taka wdzięczność! — syknęła stara.

— Precz! Precz! — wołała wdowa. — Nie chcę cię znać... idź!

Rotmistrz wszedł w płaszczu i kapeluszu. Koło drzwi leżało porzucone okrycie, które prędko narzucił na ramiona kobiety, podał jej kapelusz i pchnął w boczne drzwi. — Marsz!

Lassy się chciała obrócić.

— Marsz! A żywo! — dodał Poręba i za obojgiem zamknęły się drzwiczki, a Dobkowa jak wryta stała jeszcze ciągle, przysłuchując się stapaniu rozlegającemu się w korytarzu. Nieprędko potem wyszła błada do swoich gości, skarżąc się na ból głowy, a dopiero w parę godzin, gdy Poręba nie powrócił, zaczęła grać, napiwszy się nieco wina dla orzeźwienia. Całą noc tak spędziła z różnym szczęściem za stołem, a nad ranem, gdy się porozchodzili towarzysze, spróbowała udać się na spoczynek. Sen nie brał. Cały dzień następny przebyła zamknięta, chodząc tylko i patrząc przez okna, czy Poręby nie zobaczy. Nie było go jeszcze i następnego, aż trzeciego około południa zjawił się czerwony, zmęczony i widocznie napity. Wszedł już do domu jak do swego, dysponując głośno, aby mu jeść dawano. Ton zupełnie zmienił.

— A cóż? — zapytała wdowa nieśmiało.

— Wywiozłem to paskudztwo — krótko odezwał się Poręba — i ręczę, że się jej nie zechce tu drugi raz przyjechać.

Dobkowa nie śmiała pytać więcej.

— Teraz, moja królowo, trzeba też z nami skończyć, a dać na zapowiedzi; nie ma powodu zwlekać.

Wdowa spuściła oczy. Cóż miała zrobić. Dwa tygodnie potrzebowały formalności, po czym państwo niemłodzi pojechali cicho i bez parady do kościoła, a wieczorem dowiedzieli się słudzy i znajomi, iż ślub się odbył. Nie zmieniły się wcale obyczaje domu, lecz rola gospodyni zgasła przy tonach, jakie sobie Poręba dawać zaczął.

Mimo to, że zajmować się niczym porządnie nie umiał, męszał się do wszystkiego, szumiał, rozkazywał, a panna Rózia przed przyjaciółkami swymi w kilka miesięcy potem opowiadała po cichu, iż bywały przypadki, w których rotmistrz podchmielony laską z najukochańszą małżonką spory kończył. Ludzie także mówili, iż krzyki słyszeli, ale się to spazmami tłumaczyło.

W dalszym ciągu, zdaje się iż państwo Porębowie kilką laty później założyli restaurację, a że się na tej nie wiodło, mieli potem szynk na Krakowskiem, upodobany woźnicom wielkich panów, którzy jejmość nazywali starością i utrzymywali, że tam wódka była najlepsza. Poręba, kosztując tego, czym handlował, poprzedził bodaj na cmentarz szanowną połowicę, którą ostatecznie z litości przyjęła siostra biedna, utrzymująca magazyn przy ulicy Senatorskiej, odepchnięta niegdyś przez panią Dobkową. Ale bodaj czy stąd nie dostała się do szpitala, bo ją powracającą w zbyt wesołymi humorze wieczorami i walającą się po rymsztokach ciężko było utrzymać.

VII

Wojewoda, kazawszy być cierpliwą Laurze, o skutku swoich zabiegów nic nie mówił. Jeździł, posyłał i dosiedział w Warszawie, póki oddania Borowiec wnuczce nie wyrobił czarno na białym. Użyła go tylko panna Laura z ręcznie bardzo, żeby trochę za długo już siedzącego Honorego do domu wyprawić. Czy się pan Wojewoda domyślił czego, czy nie, ale bardzo stanowczo powiedział do niego:

— Asindziej sobie już może jechać, ja to biorę na siebie, że jej krzywdy uczynić nie dam.

Na pożegnanie wyszła Laura z Basią razem, podała mu rękę drżącą i odezwała się cicho:

— Jedź, kochany bracie, tam tak na was czekają, jak my byśmy cię radzi mieć z nami, a nam się nie godzi zatrzymywać. Pozwólcie tylko, bym Zosi i chorążemu przesłała małe pamiątki.

Łzy się kręciły w oczach Laurze, ze stolika chwyciła kilka przygotowanych pudełek i oddała je Honoremu.

— Bądź zdrow! — rzekła. — Za jaki rok, dwa, gdy dom w Borowcach odbuduję, zapraszam was z Zosią, z całą rodziną. Koniecznie. Niestety! Prędzej nie mogę ani pomyśleć, chyba gdy się tam chata jaka skleci...

— Na wesele wasze — szepnął, wzdychając, Honory.

Laura smutno się uśmiechnęła i głową potrząsała. — O! Nie — rzekła — nie spodziewam się, abym tak prędko skończyła moją żałobę po tym wszystkim, com straciła. Zostanę sobie starą panną, grymaśnicą, będę hodować kanarki, sadzić kwiatki i dumać na ruinach. Możeż być poetyczniejsze życie?

Honory już nie śmiał się odezwać; wyczekiwał zrazu innego pożegnania, sądząc, że się Basia Tyszkówna oddali, lecz ta pozostała do końca i chorążyc, ucałowawszy podaną mu rękę, wyszedł.

Laura skinęła nań jeszcze z okna, śląc mu ostatnie pożeganie. Odwrócił się, stanął, jakby chciał wrócić, ręką dała mu znak, że jechać powinien, i odeszła.

Honory tegoż dnia odjechał.

W tydzień potem przybył wojewoda z nieodstępными hajdukami, stękając na pedogrę.

— No — rzekł do Laury — przywożę ja asindźce zwrot Borowiec. Oddano ci je, a ja opiekunem jestem z panem Tyszką. Teraz rozmówmy się, co począć myślisz?

Laura chciała przerwać, wojewoda ręką dał znak, że chce mówić dalej.

— Powiedziałbym asindźce: siedź w mieście, gdyby dla kogokolwiek miasto zdrowym było, tym bardziej dla was, coście do ciszy wiejskiej przywykli. W tych Borowcach się zamknąć znowu niepodobna, zasuszysz się i zestarzejesz z nudy.

Laura chciała jeszcze raz mówić, wojewoda nie dopuścił.

— Ale czekajże, powiesz, co chcesz, tylko ja po starszeństwie pierwszy mam głos. Prosiłbym asindźki do mnie, ano Jadwisia, nie dalipan, za mąż nie wyjdzie, boś i ładniejsza, i bogatsza od niej. Widzisz, egoista jestem, ale dla dziecka. Cóż tu począć, kogo tu wam wyszukać za towarzyszkę?

Milczała już Laura, wojewoda skończył.

— Teraz mów — odezwał się.

— Kochany dziadku, będę z tobą tak poufale mówić jak z ojcem. Za mąż nie pójdę.

— Wnuczko kochana, sama nie wiesz, co pleciesz! — zawołał wojewoda. — Jak to może być, żeby kobieta młoda za mąż iść nie chciała. Musi!

— Nikt mnie nie może przymusić, kochany dziadku, jestem strasznie uparta.

— Cóż to to? Czy jaka nieszczęśliwa miłość? E, pfe! — rzekł wojewoda. — To się odżegnaj od niej. Szkoda by cię było.

Laura oczy spuściła.

— Największą mi łaskę dziadek zrobi, jeśli mi kogo da poczciwego, dobrego, statecznego, jaką jejmość, co by ze mną pojechała i za matkę mi służyć mogła. Oprócz tego Basia obiecuje mi, że na dłuższy czas do mnie przyjedzie z ojcem, bo ja się tam bez niego nie obejdę. Dopóki dom nie stanie w Borowcach, przemieszkamy choćby w gospodzie u Arona. U nas drewniany dom buduje się piorunem. Sklecą mi go w parę miesięcy, a mając dach, będę o lepszym myśleć mogła. Jadę do Borowiec...

— A cóż myślisz z pieniędzmi robić? — spytał wojewoda.

— Dziadek mi kupi co za nie...

— Cóż ja ci mam kupić?

— Ano, ziemi kawałek... — odparła Laura. Pokiwał głową stary.

— Jaka ty jesteś rozumna! — rzekł. — Anim się spodziewałem, choć wiedziałem, że ci nie zbywa na oleju. Ziemia to grunt. Kto ją ma pod nogami, bezpieczny, ale sobie zostawić trzeba coś zawsze, żeby ten chleb solić czym było. Tylko, moja panno, jak ty tam wysiedzisz w tej dziurze?

Laura aż krzyknęła z oburzenia:

— A proszę mi tak Borowiec nie nazywać! Ja bym ich za żadne w świecie inne dobra nie dała. Żyłam tam z ojcem, byliśmy szczęśliwi, wszystkie tam wspomnienia moje, tam mi najlepiej, tam czuję się w domu. Na cóż mi szukać cudzych bogów?

— Ale, bo ja ciebie wydać za mąż muszę, moja panno — przerwał wojewoda — tak nie może być! Szmata ziemi będziesz miała i cóż nam po tym? Jak to się człowiekowi uczciwemu dostanie, skorzysta i kraj.

— Wolałabym się, kochany dziaduniu, ziemi wyrzec, niż ślubować bez serca i iść za mąż z obowiązku — przerwała Laura.

Dziad na nią popatrzał i czmychnął:

— Prawdę asindźka mówisz, że jesteś uparta. No, ale to ci przejdzie! Musiał ci jakiś drab nieszczęsny wpaść w oko i serce i zdaje ci się, że takiego drugiego na świecie nie ma. A, zobaczysz!

— Znajdzie się! — rzekł wojewoda. — Tylko nie trzeba się w kącie chować.

— Niechże on mnie szuka, nie ja jego! — dodała Laura. Wojewoda ruszył się, jakby chciał wstawać.

— Czekaj, dziaduniu, i siedź! — zawołała Laura. — Mam prośbę do was. Chcę z wami razem pojechać, Jadwisie poznać i odwiedzić, a potem na gospodarstwo moje do Borowiec: pan Tyszko, Basia, mój poczciwy Eliasz...

— Wdzięczny ci jestem, że ze mną chcesz jechać. Nie śmiałem cię prosić, toś i mnie odgadła. A miałem w tym swoje powody, dla których mi cię zapraszać nie wypadało. Zatem, pannę Barbarę uprosiwszy, gdy ja jutro dam sygnał do wyjazdu, ruszymy. Waruję tylko jedno: że popasy i noclegi ja reguluję i w drodze despotycznie rządzę, bom despota!

Gdy tak stanęła umowa o podróż, a wojewoda dla przygotowań do niej pojechał do domu, niespodzianych gości miała Laura przed wieczorem. Wieść o jej losach, bogactwach, o pokrewieństwie z panem wojewodą, rozeszła się po mieście od dni kilku. Zmieniało to zupełnie usposobienia dawnych znajomych dla panny Laury. Co dziwnym, nieprzebaczone, płochym zdawało się w ubogiej dziewczynie, to w dziedzicze owych sum neapolitańskich, o których rozpowiadano, wydało się dziwnie ekscentrycznie szlachetnym, romantycznym, nieledwie heroicznym. Pierwsza kasztelanowa wiska poczęła utrzymywać, iż Francuz nie zrozumiał jej, odprawił ode drzwi tę śliczną czarodziejską Laurę i że ona tej omyłki odżalować nie może, że musi sama ją przeprosić itd. Hrabia Artur chciał jechać z nią także.

Hetman wybierał się z kawalerem Georgesem, a nie wiem już ile osób prosiło i zaklinało, aby mogły być zaprezentowane tej bohaterce.

Jakoż tego dnia kasztelanowa najprzód przybyła i nie meldując się, przebojem weszła do dworku, na głos wołając: — Gdzież ta moja czarodziejka?!

Laura wyszła zaraz, ale poważna, chłodna i na pierwsze wejrzenie okazująca, że się uśmiechem spóźnionym ująć nie da. Przyjęła panią wiską niezmiernie grzecznie, ale tak zimno i z dala się trzymając, że znająca ludzi i świat pani zrozumiała, iż zbliżyć się już będzie bardzo trudno. Ton rozmowy zaczętej poufale, żartobliwie, przeszedł zaraz w niezmiernie poważny, a wspomnienie pierwszej bytności Laura przyjęła milczeniem. Kasztelanowa, nie chcąc okazać się urażoną, bawiła dosyć długo. Przy niej nadjechał hrabia Artur, którego Laura przyjęła cieplej, uprzejmiej, ale zawsze tak, ażeby mu próżnej nie dawać nadziei, że stosunki przedłużać się mogą. Oświadczyła obojgu, iż wyjeżdża z dziadem dla odwiedzenia go i poznania rodziny, a potem wraca na wieś i tam stale zamieszkać zamierza.

Tłuściuchna pani gorąco przeciwko temu protestowała, podziękowała Laura dodając, iż jej postanowienie było niewzruszonym.

Zaledwie ci państwo, żegnając ją bardzo czule, odjechali, gdy pompatyczny ekwipaż pana hetmana zajechał przed dworek, a on sam wystrojony jak laleczka, uśmiechnięty, z gracją stawiając nogi po niepewnych tarciczkach, które przechodzić było potrzeba, wsunął się do pokoju. Za nim szedł Georges, smutny, wzdychający i przewracający oczyma. Obu Laura witała wesoło i rozmowa świetnie się rozpoczęła. Cóż, gdy dla hetmana ten dworek, sufit, ta podłoga, kanapa okryta perkalem, wytarte krzesła były czymś tak niezwykłym, iż patrząc

na nie, tracił dowcip, plątał się w słowach. Chciał przez grzeczność pańską coś pochwalić koniecznie w ubożuchnym domu, wybrał więc popiersie Sokratesa, a po bliższym rozpatrzeniu okazało się, że to był bardzo nędzny odlew gipsowy. Georges mówił więcej oczyma niż ustami.

Laura wspomniała, mówiąc o Emilopolu, o zachwycającej grze hetmana na flecie, co mu nader musiało być przyjemnym, bo się błogo rozjaśnił i chwycił jej rączkę do pocałowania.

— Wiesz pani — odezwał się, przypatrując się jej — ta ręka pierwsza panią zdradziła. Po jej kształtach godnych dłuta Praksytela poznałem, iż anioł zwinąwszy skrzydła, zstąpił na emilopolską ziemię.

— Kawalerze Georges — odezwała się po chwili Laura — dobrze, żeś mi się pan zjawił, mam prośbę do pana. Pan hetman łaskawie ją poprzeć raczy. Odstąp mi pan Munie...

— Nie mogę, pani — rzekł, kłaniając się, Georges z wyrazem żalu — wczoraj już...

— A, cóżeś pan zrobił, na Boga! Komu? Gdzie?

— Wczoraj mój masztalerz — rzekł hetman — z uszanowaniem i największą pieczołowitością odprowadził ją do Borowiec.

Laura zerwała się z rumieńcem wielkim dziękować obu.

— Jakże potrafię odwdzińczyć!

— Dobrym o nas wspomnieniem — dodał hetman, uśmiechając się — i pozwoleniem, by Georges przyjechał się tam dowiedzieć, jak doszła do domu.

Zarumieniona Laura podziękowała raz jeszcze i cicho szepnęła zaproszenie, które Georgesa uszczęśliwiło.

— Mam tylko warunek, żeby przybywszy do mnie, innego konia sobie wybrał pan Georges — dodała — i od tego nie odstępuję.

Z zalem dowiedział się hetman, iż Laura miała wyjechać wkrótce, rozstali się tedy wszyscy w najlepszej harmonii, a hetmańska strona z różowymi nadziejami przyszłości.

Rezydencja wojewody odznaczała się bardziej rozległością, ogromem budowli w równoległobok ustawionych niż architekturą, która różnych wieków i smaków nosiła cechy. Pałac budowany, przebudowywany, zachował tylko główne linie pierwotne. Dbano o wygodę i trwałość, nie o piękność. Liczna rodzina i dwór wymagały tych gmachów, które nigdy pustkami nie stały. Utrzymane było wszystko w wielkim porządku i znać było starą zamożność. Nowych sprzętów ani fraszek nie widać było nigdzie, zabytki dawne, zdobywcze, spadkowe pamiątki tylko. Część główną zajmowało kilka sal od dni uroczystych, ubranych w weneckie zwierciadła, robione umyślnie i herbami znaczone, w kredensa sreber pełne i obrazy niegdyś z Włoch i Flandrii przywiezione przez dziadów. Przepychu nie było nigdzie, ale

wspaniałość wielka i oblicze dworu poważne. W jednej z tych sal marmurowa tablica z napisem łacińskim świadczyła o pobycie na zamku Jana Kazimierza.

Mimo tak pańskiego pałacu, życie u pana wojewody nie było wystawne, stół prosty bardzo, chleb prawie czarny, przyjęcie dostatnie, lecz skromne.

Największego z gości przyjmowano z tym, co na co dzień było dla wszystkich. Obficie tylko obchodziły się dni świąteczne i uroczyste, rocznice domowe, wesela. Naówczas często po dwieście osób siadało do stołu i dla miłych panów braci wytaczano beczkę z lochu, a beczki pana wojewody, co roku stawiane, uporządkowane były latami i młodsze wino nie dawano nad dziesięcioletnie.

Jadwisia i najmłodszy syn gospodarza listem wcześniej zawiadomieni byli o powrocie ojca, o Laurze i o jej przyjeździe. Z ostatniego popasu przodem jeszcze pobiegł konny dworzanin, toteż znalazło się na przyjęcie wszystko w takiej gotowości, jakby sam wojewoda czekał w domu. Jadwisia, miłe dziewczę jasnowłose, przybiegło do rąk ojcowskich i w objęcia kuzynki z serdecznością, jaką daje wychowanie domowe, które uczucia rozwija i miłość czyni życia warunkiem.

Syn pana wojewody, niepiękny wcale, ale silnej budowy i snadź zahartowany mężczyzna, wyglądał trochę na Nemroda, bardzo na szlachcica hreczkosieja, a jak najmniej na senatorskie dziecko, bo pan wojewoda pięścić się chłopcom swym nie dawał i ostro ich trzymał.

Na wieczerzę, gdy cały dwór przyszedł do stołu i szeregiem stanął, Laura z podziwienia wyjść nie mogła. Trzydzieści osób domowych zasiadło wedle starszeństwa, po błogosławieństwie księdza kapelana, ale na szarym końcu tak było dostatnio, jak na karmazynowym.

Nazajutrz panna Jadwiga wzięła Laurę w opiekę, pokazując jej pałac, szklarnię, ogród, pomarańczarnię, zwierzyniec, swoje własne gospodarstwo i tysiące różnych rzeczy, które jej się bardzo szczególnymi i osobliwymi wydawały. Wesoło zeszło dni parę, bo wojewoda w dobrym był humorze. Na uboczu trochę trzymał się pan wojewodzie, chociaż znać było, iż mu Laura wielce się podobała. Z obejścia się jego domyślić było łatwo, iż jakiś ojcowski rozkaz wstrzymywał młodzieńca od zbytniego nadskakiwania kuzynce.

Nie chciał wojewoda zapewne, aby przypuścić nawet było można, iż bogatą dziedziczką zaopiekował się, aby domowi swemu i jednemu ze swych synów ją pozyskać. Sama myśl go oburzała.

— Nie pozwoliłbym nigdy na takie małżeństwo — powiedział synowi — zatem i myśleć o tym się nie godzi. — Laura wszystkim się swą prostotą, otwartością, śmiałością umiała podobać, choć zrazu Jadwisia przestraszona tym była, nawykłszy do mowy ostrożnej i

bojaźliwego będąc charakteru. I ona wszakże trochę się przy śmielszej rozruszała kuzynce, a śmieszek jej wesoly rozlegał się po pokojach, z wielką ojca pociechą.

Gdy po tygodniu tych odwiedzin Laura zaczęła mówić o wyjeździe, wojewoda kazał się jej zatrzymać.

— A wszakżeś mi asindźka, moja śliczna wnuczko, kazała sobie szukać mentora i towarzyszki, posłałem więc po krewną naszą, po panią Abrahamową Surynową, która bawi u siostry, jest wdową, dzieci nie ma i znam ją z najlepszej strony. Chcę ją asindźce zarekomendować. Jeśli się sobie wzajem podobacie, pojedzie z wami razem.

W parę dni potem nadjechała pani Surynowa, statecznych lat osoba, miłej, choć smutnej, twarzy, łagodnego charakteru, przy tym pięknie wykształcona, bo się z pannami Ogińskimi wychowywała. Zrazu i ona, i Laura ciekawymi się badały oczyma, lecz trzeciego dnia, bliżej poznawszy, przystały do siebie. Surynowa sama się zaofiarowała sierocie.

— Ale jakże pani wyżyjesz z nami na tej pustyni? — spytała ją Laura.

— A moja droga — odpowiedziała wdowa — jam do ciszy przywykła, ludzi wielu ani gwaru nie potrzebuję, a jeśli ci będę znośną, będę szczęśliwą. Dotąd zawsze mi się zdawało, że komuś jestem ciężarem.

Wybór więc wojewody okazał się bardzo trafnym i Laura, zabrawszy kuzynkę, która jej troszkę ciotkę Henau przypominała, czule żegnana przez wszystkich, uściskana przez wojewodę, wyruszyła na powrót do Warszawy, aby zabrać starego Tyszkę i z całym swym dworem wrócić na smutne pogorzelska Borowiec.

Cała ta droga przypominała jej boleśnie ucieczkę z rodzicielskiego domu, którą prawie wyrzucała teraz sobie, pojmując za późno, że dla ojca powinna była pozostać przy nim i z nim.

Przybywszy do miasteczka, Laura wysiadła blada i szła piechotą ku ruinom. Widok ich był tak dla nich strasznym obrazem, iż się od płaczu wstrzymać nie mogli.

Stały gdzieniegdzie ściany murów szerniały i kominy potrzaskane, przetrwały ogień w części dolne izby sklepione, spinały się jeszcze schody ku piętru, z którego tylko zostały szczątki; na każdym kroku była zniszczona pamiątka. Wewnątrz, gdzie był ogródek Lorki, suche sterczały krzewy, a gdzieniegdzie z pośrodku ich dobywał się chwast dziki. Lochy w wielu miejscach pozapadały się i wewnątrz ich widać było zsypane gruzy, nieforemne bryły. W grobach, zakradłszy się, ogień pożarł niemal wszystkie trumny, z których szczęty w zwęglanych leżały kupach. Kamienne grobowce przegorzałe porozpadały się i w proch poszły. Gdzieniegdzie na tych świeżych rumowiskach już zieleniało nowe życie i rośliny czepiały się

po czarnej skorupie. Przejście nawet ku staremuto zamkowi było trudne, tak ogień wielkie poczynił zniszczenia w podziemiach,

W tej smutnej wieczornej przechadzce towarzyszyli Laurze wszyscy dawni słudzy, rozpierzchli w ostatnich chwilach, uradowani powrotem swej panienki, cisnąwszy się, by ją zobaczyć, powitać, choć słówko przemówić do niej. Przybył i stary Aron, któremu się na łyzy też zbierało.

— Nie smućcie sobie serca — odezwał się do Laury — a podziękujcie Bogu, że wam choć na gruzy powrócić dozwolił. Będziemy budowali i naprawiali, co zniszczone. Dla ludzi zarobek, dla was będzie zajęcie, a Bóg da, że się wszystko naprawi. Co dziś łyzy pomogą?

Już wychodzącym z zamku ksiądz Żagiel zastąpił drogę, witając nową dziedziczkę. Chmurno i on poglądał na to, co się stało, a może i na przyszłość.

— Nie ma na świecie nic wiecznego — rzekł — upaść musiał i wasz dom, a podnieście go tylko w imię Boże, pamiętając razem i o tym przybytku Jego, który waszej pomocy wygląda. — Wskazał na swój kościółek.

— Mój ojciec — odpowiedziała Laura — będziemy razem pracowali nad obiema ruinami.

Pomówiwszy z panią Surynową, kanonik zaprosił na probostwo wszystkich. Tu rozmowa toczyła się trochę o przeszłości, trochę o tym, co najpilniejszym było do wykonania, wszyscy poszli razem do przygotowanej gospody. Rozpoczęło się tedy życie dla Laury nowe, czynne i nie dające jej poczuć smutku, jaki tu panował, bo zapełnione ciągłą pracą, stanowiącą razem rozrywkę. Tyszeko wziął się do interesów pilnie. Basia i pani Suryn pomagały w gospodarstwie, zaczęto natychmiast zwozić drzewo na dotychczasowe domostwo.

Laura zaś chciała mieć dawny dwór o ile możliwości w pierwotnej jego formie (którą mury wskazywały) odnowiony. Sprowadzić musiano budowniczego, mularzy i mnóstwo robotników, których na miejscu brakło. Borowce tymi przybyszami ożywiły się i nowej nabrały fizjonomii, stosunki ostrowa tego z krajem stały się częstsze, a ludzie mniej dzicy.

Sam dwór, bytnością Tyszków i pani Surynowej pomnożony, lepiej sobie wystarczał, nie mogąc wcale na sąsiedztwo rachować. Roboty jednak około starego domu, pomimo zachęty Laury i jej własnego zajęcia się nimi, nie mogły pójść tak prędko, jak sobie życzyła. Stał drewniany, tymczasowy, dosyć wygodny, a na zimę ledwie część murów pod dach podnieść było można. Późną już jesienią z listem bardzo grzecznym od hetmana przybył Georges wyekwipowany starannie i po pańsku na te odwiedziny. Laura przyjęła go grzecznie, urządzać kazała parę polowań, bawiła go, jak umiała i mogła, lecz była tak chłodną i widocznie ceremonialną (co ją samą kosztowało), iż kawaler wyjechał, straciwszy ostatnią nadzieję, nie obiecując nawet powrotu. Ustaliło się wówczas w otaczających ją przekonanie, iż w istocie za

mąż iść ani chce, ani myśli. Czytanie, przechadzka, ogródek, fabryka domowa, ubogie dzieci z miasteczka zajmowały jej dzień cały. Czas schodził niepostrzeżenie i szybko.

W kilka miesięcy po powrocie odebrała listy z Konopnicy od chorążego i od Zosi z przypiskiem Honorego, dające jej znać o przybyciu na świat panny Dobek, której dano Laury imię. Od wojewody też przychodziły częste pisma półzartobliwe, półpoważne, dopytujące ciągle, kiedy ma przyjeżdżać na wesele.

Laura odpowiadała, że sama go zaprosi i przyjedzie, i ruszała ramionami. Drugiego roku stary dom z wielką pociechą Eliasza, który zawsze około swej pani służbę sprawiał, stanął, choć w nieco odmiennej formie, lecz dosyć wierną będąc kopia spalonego. Rozporządzenie izb zostało też same, a ojcowskie na dole Laura starała się ubrać tak, aby jej biednego pana Salomona przypominały. Tak samo na górze swoje pokoiki chciała mieć podobnymi do tych, w których najmiłsze życia lata spędziła. Aron sprowadził jej z Gdańska sprzęt taki sam, a Laurze, siedząc tu znowu nad starą Biblią, mogło się zdawać, że sen młodości trwa nie przerwany.

Wrócili na dawnych miejscach ogródki i puścili kwiaty, ale z nimi razem swoboda i wesołość dawna już nie rozkwitła na nowo. Laura spokojna, nie skarżąca się, wiodła to życie sieroce poważnie zamyślona, jakby dźwigała ciężar i karę. Twarz jej, nawet nie tracąc dawnego wdzięku, nowego nabrała charakteru.

Tak przeszło lat kilka bez żadnych prawie wypadków oprócz starania około upiększenia Borowiec.

W przeciągu tego czasu kraj też powoli się wewnątrz lepiej urządzać poczynął i owe dawniej zapadłe kąty, do których trudno było dojechać, poprzerzynały nowe trakty i drogi. Przez Smołochów i Borowce wybito wielki gościniec, który handlowi otworzył ujście nowe. Wpłynęło nim w ten zakąt życie, miasteczko się podnosić zaczęło, majątki sąsiednie pozasiedlały się dzierżawcami mniejszymi. Sąsiedztwo więc, które parafialny kościół sprowadzał tu co niedziela, pomnożyło się nowymi ludźmi. Laura przez pana Tyszkę wprowadziła ten zwyczaj u siebie, iż z nabożeństwa i księdza, i z dalszych okolic przybyłych sąsiadów zapraszano do dworu. Dowiadywano się przez nich czasem o czymś, co się na świecie działo, i Borowce nie stały już tak odosobnionym ostrowem jak przed laty.

Jednej majowej niedzieli, gdy się jakoś więcej osób zebrało do kościoła, a Tyszko je sprowadził na obiad do zamku, znalazł się szlachcic, który tylko co był właśnie objął dzierżawę Smołochowa. Po raz pierwszy był w kościele i we dworze. Pochodził z dalszych stron, a zabiegły gospodarz i spekulator, z innych dóbr Sapieżyńskich przeszedł na te, spodziewając się tu na handlu smołą i drzewem zarobku.

Szlachcic był w średnim wieku, opalony jak Murzyn, zdrow jak wół, ubrany niewykwintnie, ruchawy i gaduła. Znał cały świat, próbował szczęścia po różnych kątach, śmiały, wygadany, wesół, nigdzie się i wobec nikogo nie zakłopotał. Wszedłszy na górę, gdy go pannie Laurze Tyszko przedstawiał, po ucałowaniu ręki odezwał się do niej starodawnym obyczajem:

— Bardzom szczęśliwy, iż się pani dobrodziejce submitować mogę, bom *ni fallor*, znał jej szanowną rodzinę, bywając często w Konopnicy, a nie dalej jak cztery tygodnie temu jeschcem tam ostatni raz smutnej dopełniał powinności.

Westchnął i urwał, pomiarkowawszy się snadź, bo na twarzy Laury zdziwienie i pomieszanie wielkie zobaczył. Zbliżyła się do niego żywo.

— Cóż to było? Ja nic nie wiem...

Uderzył się szlachcic po czole, że się tak nietrafnie znalazł.

— A, przebaczy mi pani, żem się niepotrzebnie wygadał, gdyż widzę, że wiadomość o tym do niej nie doszła. Wolałbym być milczeć.

— Jednakże raz już poczawszy, chciej mnie pan wywieść z niepewności. Nie pisano mi nic. Cóż się stało w Konopnicy?

— A to te, proszę pani biedactwo, ta poczciwa Zośka Bułhakówna... Bóg wie, co to było, szkarlatyny dostała, snadź zaziębili czy coś... i umarła, osierociwszy biedaka męża z małym dzieciątkiem.

Laura zbladła i załamała ręce.

— A, mój Boże! — zawołała drżąca. — Kiedyż się to stało?

— Z miesiąc pewnie będzie temu. Odprowadziliśmy ją na wieczny spoczynek, tę miłą mrówkę naszą, bo to było skromne, dobre, łagodne, ale Pan Bóg takich istot długo na ziemi nie chowa.

Wszyscy przytomni zauważyli, iż Laura, przejęta mocno tą wiadomością, wymówiła się od obiadu, poszła do swoich pokojów, przeprosiła gości i Tyszcze zwierzyła gospodarstwo. Szlachcic sobie długiego języka darować nie mógł. Był najpewniejszy, że tu już wiadomość ta od dawna przed nim doszła. Dopiero w kilka dni potem przyjechał od chorążego posłaniec z listem, potwierdzający powieść dzierżawcy. Chorąży zapisał cały arkusz o tej swojej drogiej Zosi i o Honorym, o którego się obawiał.

Od samego Honorego nie otrzymała Laura ani słowa. Odpisała też staremu ojcu ze współczuciem serdecznym, dodając, iż bardzo by była szczęśliwą, gdyby dziecię Zosi jej powierzyć chciano. Sama jedna, nie zajęta niczym, przyjęłaby je jako dar Boży i pociechę w samotności. Na ten list nie było żadnej odpowiedzi z Konopnicy przez czas tak długi, iż Laura

już jej się nie spodziewała, a wypadek ten znacznie się przyczynił do zwiększenia jeszcze jej smutku. Przeszedł rok cały, gdy w maju znowu Laura, wstawszy niezbyt rano, bo w nocy usnąć nie mogła, a Basia jej do białego dnia czytała, spojrzawszy przez okno w ogródki swe na zamkowym dziedzińcu.

Oko jej zwróciło się machinalnie ku nim i uwięzło jak przykute. Kto by był patrzył na nią, mógł dojrzeć, jak rumieniec z wolna dobywał się spod bladej twarzy, oczy zwilżały i usta dziwnie drzeć zaczęły. Chwyciła za ramę otwartego okna i stanęła jak wryta.

W istocie, widok, który się jej przedstawił, był w Borowcach nowym i niespodziewanym. W pośrodku kwiatów na murawie siedziała kilkuletnia dziewczeczka w białej sukience, trzymając w ręku pęk narwanych kwiatków. Przed nią schylony mężczyzna bladej, posępnej twarzy, z przymuszonym uśmiechem coś się jej zdawał tłumaczyć, a dziecię z uwagą wielkimi, ciemnymi oczyma nań patrzyło. Na ustach jego zawisł uśmieszek przerywany niby i mający się kiedyś dokończyć. Rączki tymczasem cisnęły pęczek kwiatów, jakby go bronić chciały. W tym czarno ubranym po podróżnemu mężczyźnie Laura poznała Honorego. Snadź, przybywszy rano, nie chciał jej snu przerywać i zszedł z dziedzińca do znajomego ogródka.

Laura, przypatrując się temu obrazkowi, nie śmiała zejść, choć pragnęła dziecię zobaczyć. W tej chwili Honory ją postrzegł, porwał małą Lorke na ręce i podniósł ją ku niej milcząco. Przez złocistą jej główkę powitali się po długim niewidzeniu ze łzami.

Lorka wcale nie zmieszana, bo jej tam już wiele o tej cioci mówiono, trzepocząc się na ręku ojca, puściła kwiatki i wyciągnęła ku niej dłoń.

Wtem Elias uradowany, promienisty, otworzył drzwi wołając:

— Pani wie! Pan Honory z Konopnicy przyjechał.

Biegli tedy naprzeciw siebie, a Laura podążyła jeszcze schwycić ich wychodzących z ogródka i nim przywitała Honorego, wzięła na ręce Lorke śmiejącą się i już jakby starą a dobrą znajomą.

Radość to była pomieszana ze łzami, lecz wielka radość w Borowcach. Radość poważna, nie młodzieńcza, nie marząca, lecz pomna losów tej ziemi, na której wszystko jest chwilą, mgnieniem, błyskiem tylko.

Honory został na tydzień, na dwa, bo go dziecię nie chciało puścić od siebie, a Laura nie oddawała dziecka i tak je potrafiła przywiązać, popsuć i zbałamucić, że do starego nawet dziada powracać nie chciało, ale nakazywało, by dziad tu, do Borowiec do niej przybył.

W jakiej postaci dawna miłość wróciła tym dwom sercom po latach wielu, czy tak świeżą, gorącą, szaloną, jak była pierwsza, czy silniejszą, choć mniej głośną i jawną, któż to wyważyć

i obliczyć potrafi? Bywały chwile, w których oboje zdawali się odżywać młodością, i godziny smutku jakiegoś, jakby trwogi.

Ani Honory nie śmiał się o rękę jej upomnieć, ani ona najmniejszym wspomnieniem przeszłości możliwość zbliżenia się wywołać. Jak brat i siostra byli z sobą. Dobek w końcu z jakimś niepokojem począł się do drogi gotować, nie chciał dłużej ojca starego tak zostawiać, Laura prosiła, aby jej Lorkę powierzył.

— Weź mnie i ją — rzekł Dobek cicho — ale czy zechcesz nas teraz?

— A, mój Honory — odpowiedziała Laura — tę rękę biedną dawno bym ci była wyciągnęła sama, gdyby nie jedna myśl, nie jedno słowo, które mnie przeraża. — Ja bym więc miała zostać naszej miłej, ślicznej Lorce... macochą? Nie mogę!

— Bądźże jej matką — odezwał się Honory.

— Na samo tego imienia wspomnienie drzę i blednieję. Ja bym być miała macochą, ja, com tego wyrazu okrucieństwa doznała i przeklełam go? Czyż nie dziwny traf albo kara boża czyni mnie właśnie, mnie samą, macochą tej dziecinie?

Zaczęła Lorkę ścisnąć i płakać.

— Nieubłagane fatum — rzekła — pomściło się w ten sposób na mnie. Nie jestże to dziwne zrządzenie?

Honory, zostawiwszy Lorkę, pojechał sam do chorążego. Na progu już spotkała go bura sążnista.

— Ale bo też miłosierdzia nie masz! — zawołał stary. — Ja o kuli, sam jeden w tej pustce, gospodarstwo wiosenne diabli biorą, a ty jak pojechałeś tam do tych nieszczęsnych Borowiec, takeś ugrzązł. A Lorka?

— Została u ciotki.

— Jak to? A po cóżeś ty ją tam porzucił? A co ja tu bez tej szczebiotki pocznę? Ja bez niej nie wyżyję.

— Mój ojczu — całując go w rękę, odezwał się Honory — pojedziemy po nią razem.

— Żartuj zdrów. Mnie droga inna na myśli, ku mogiłkom, a ty mnie wyprawiasz w świat jak lekkiego panicza.

— Jużciż choć w lektyce nieść przyszło, ojciec będziesz na moim weselu.

Chorąży się aż cofnął.

— Jezu miły! Wesele ci już w głowie! Wesele! Małoś pierwsze oplakał? Ano mi teraz powiesz: trzeba matki dziecku! Parobczak, gdy się chce żenić, nigdy dla czego innego, tylko że mu nie ma komu bielizny prać, a wdowiec nie dla siebie, ino dla małych dzieci! Co ci to w głowie?!

— Ale, ojcie kochany...

— Pewnieś jakiego szurgota napytał z fraucymeru panny Laury, bo to ty, ja cię znam, umizgus jesteś.

Honory pocałował go w rękę znowu.

— Mój drogi ojcie, żenię się z Laurą.

— He? To nie może być! — złożywszy ręce, krzyknął stary. — A chyba że tak, to co innego. Naprawdę?

— Nie kłamałbym w rzeczy tak poważnej.

— Spodziewam się... a skądże to znowu przyszło? — rzekł jakby do siebie. — Prawda, żeście się to znali dawniej i podobali sobie, prawda. Jednak myślałem, że Laura większych splendorów szukać sobie będzie.

Choraży pociągnął do pokoju syna, aby mu opowiadał, i milczący już rozważał tylko, cieszył się i popłakiwał.

Laura napisała do wojewody, prosząc go o błogosławieństwo, a jeśliby to być mogło, zapraszając jego, Jadwisię i kuzynów na wesele, które pierwszych dni sierpnia odbyć się miało. Zaprośmy te tylko wojewoda z córką przyjął, gdyż syn i reszta rodziny rozproszoną była i różnymi pilnymi sprawami zajęta.

Pierwszy tedy raz może od założenia Borowiec tak liczny zastęp gości znalazł się w ich murach: choraży, wojewoda ze dworem znacznym, sąsiedztwo całe. Odbyły się ślubowiny i wesele samo w towarzystwie mnogim, ale bez żadnego występu i wspaniałości, cicho nawet i skromnie. Idąc do ślubu, Laura przybraną w białą sukieneczkę Lorkę zabrała i, może przeciwko zwyczajowi, postawiła ją pomiędzy Honorym a sobą, jakby przyjmując za własną dziecinę, jakby przyznając za swoją, ażeby nienawistnego imienia macochy nie nosić, aby jej być prawdziwą matką.